



Prószynski i S-ka

IZABELA PIETRZYK
HISTORIE
RODZINNE

Wiktorja ma 38 lat, dużą rodzinę i przedziwną umiejętność komplikowania życia sobie i innym.
Jedno jest pewne - ta książka poprawi każdy humor.



IZABELA PIETRZYK
HISTORIE
RODZINNE

Prószyński i S-ka

I

SĘP, CZYLI NIEDOCENIANY ŚCIERWOJAD

Wielkość i duża masa ciała uzależniają go od prądów powietrznych umożliwiających długie szybowanie bez zbędnego wydatku energii. Z pewnością nie cieszy się powszechną sympatią. Już sam fakt żywienia się padliną budzi odrazę. Jeżeli dodamy do tego nagą szyję ubrudzoną krwią, nie dziwi, że sępowi zawsze przypisywano negatywne cechy.

ROZDZIAŁ 1

– Wiesz, jak długo kobieta jest bezbronna? – Wiktoria zakręciła krwistoczerwony lakier i zaczęła powoli machać dłońmi. – Dopóki jej paznokcie nie wyschną.

Stercząca po drugiej stronie stołu gazeta nie zareagowała.

– Słyszałeś, co mówiłam? – Wpatrywała się z determinacją w okładkę popularnego tygodnika tylko dla operatywnych biznesmenów. – Bo moje paznokcie właśnie wyschły i chciałabym z tobą porozmawiać.

Gazeta wyjaśniająca ekonomiczno-polityczne zawłości kryzysu gospodarczego pozostała głucha na ten apel, więc nie było innego wyjścia, niż wyrwać ją z rąk właściciela.

– Co ty wyprawiasz? Kompletnie zgłupiałaś?! – Twarz Pawła, kiedyś piękna i delikatna, przypominała teraz pysk rozwścieczonego bulteriera. Chętnie by jej przyłożył albo przynajmniej szarpnąłby nią porządnie, ale szybko sobie uświadomił, że nie skończył się jeszcze „miesiąc miodowy”, czyli okres dobroci i fundowania Wiktorii kosztownych rekompensat, jaki obowiązywał po każdym ataku złości. Od dnia, kiedy podarował jej złoty naszyjnik, nie minęły przecież nawet dwa tygodnie...

Nie chciał bić. Zawsze uważał się za niezwykle spokojnego człowieka i święcie wierzył, że z inną kobietą dożyłby sędziwej starości jako wzorowy dżentelmen. Gdyby chociaż Wiktoria umiała docenić jego ciężką pracę, w której bez przerwy balansował na granicy prawa. Gdyby wiedziała, ile nerwów kosztuje go utrzymanie się na zdziczałym polskim rynku. Gdyby starała się zrozumieć swoje miejsce w tym domu i w tym związku. Gdyby potrafiła milczeć, kiedy trzeba milczeć. Gdyby umiała mówić to, co trzeba i kiedy trzeba.

Niestety – nie doceniała, nie wiedziała, nie starała się, nie rozumiała, nie milczała, nie mówiła...

A tyle razy jej tłumaczył, co robi źle. I co? Grochem o ścianę! Minęły zaledwie dwa tygodnie, a ona znowu zachowała się niewłaściwie: wyszarpnęła mu gazetę z rąk i spojrzała z jakąś taką dzikością, bez śladu miłości w oczach. Ale nie może dać się sprowokować tej wariatce, bo znowu będzie musiał zostawić fortunę u jubilera.

– Przepraszam. – Westchnął głęboko i trzepnął gazetą o blat. – Miałem dzisiaj koszmarny dzień. A do tego właśnie przeczytałem, że komunistom słupki idą w górę. Trzeba ich było wyrznąć w pień, a nie się bawić w politykę grubej kreski. Bardziej by się przydał gruby sznur na szyję. Złodzieje cholerni!

Był tak zdegustowany, jakby w jego ogromnej ogrodowej altanie rozsiedli się właśnie Stalin, Mao Zedong oraz Che Guevara, snujący plany rozkułaczenia kapitalisty Pawła.

– Komunistom słupki idą w górę? To znaczy, że co? Zaczęli nosić wysokie obcasy? Bo nie rozumiem... – Wiktoria nie mogła odmówić sobie zdegustowania go jeszcze bardziej, a wiedziała, że jej głupie żarty zawsze idealnie się do tego nadawały.

– Jakie obcasy?! O czym ty mówisz?

– To nie ja mówię. To ty mówisz, że komunistom słupki idą w górę. A słupek to fason obcasa jest...

Chciała jeszcze dodać, że nie wypada, by ktoś, kto sam prowadzi ciemne interesy, wyzywał innych od złodziei, ale bała się, że wystawi jego cierpliwość na zbyt ciężką próbę.

Postanowiła, że ta rozmowa, do której szykowała się już od dawna, będzie właśnie rozmową, a nie tradycyjną – jedną z dziesiątek, a może i setek – awanturą.

Poza tym nie była całkiem pewna, czy Paweł jest złodziejem. Nigdy nie informował jej o niczym i nie opowiadał, co dokładnie robi. Byli ze sobą osiem lat, a Wiktoria – jako ewentualny świadek – mogłaby zeznać tylko tyle, że jej partner prowadzi firmę pośredniczącą w handlu czym się tylko da i że wiecznie wraca z tej pracy skonany. Gdyby ewentualny śledczy dopytywał, dlaczego ma tak mętne pojęcie w tej kwestii, odpowiedziałaby, cytując Pawła: „Nie interesuj się tym, bo po pierwsze, to nie twoja sprawa, po drugie, i tak tego nie zrozumiesz, a po trzecie, im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie – niech przynajmniej jedno z nas sypia spokojnie”. Nie byłby to wierny cytat. Dosłowne przytoczenie słów Pawła mogłoby sprawić, że ewentualnemu śledczemu zwiędłyby uszy.

Nie wiedziała zatem, czy jej facet na pewno jest hochsztaplerem, bardzo jednak wątpiła, by za słowami „im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie” kryła się wyłącznie troska o spokojny sen. Dużo dawały jej do myślenia rozmowy telefoniczne, prowadzone przez Pawła niemal całodobowo – zawsze za zamkniętymi drzwiami. Bała się ponurych mężczyzn, którzy czasami przychodzili do ich domu i znikali w jego gabinecie, burcząc tylko w kierunku Wiktorii zdawkowe powitalne lub pożegnalne formułki. Martwiło ją, że zniknął na kilka dni, ostrzegając, żeby nie wydzwaniała z bezsensownymi informacjami typu „rodzice zapraszają na obiad”...

Początkowo próbowała się czegoś dowiedzieć, dzielić z Pawłem jego problemy i zmartwienia. Szybko się jednak poddała i dostosowała do oczekiwań, a potem, nie wiadomo kiedy i nie wiadomo jak, stała się potulną ofiarą.

Dzisiaj miało się to zmienić. Sytuacja była wystarczająco dramatyczna, więc nie chciała bez powodu denerwować Pawła. Dlatego skłękła się w duchu za ten kretyński tekst o słupkach i obcasach. Mogła sobie darować...

– Za chwilę stuknie ci czterdziestka, a pozujesz na infantylną nastolatkę. Irytująca jesteś.
– Spojrzenie i ton jego głosu potwierdziły obawy Wiktorii. – Mam tego serdecznie dość.

– Ja też. To już koniec. – Ucieszyła się, że wyznanie tak szybko i tak gładko przeszło jej przez usta. Dodało jej to sił.

– Chwała Bogu. – Uśmiechnął się nawet szczerze i sięg-nął po odłożoną przed chwilą gazetę. – Przynieś mi kawę.

– To już koniec – powtórzyła, nieco mniej pewnie. – Wyprowadzam się. Mam tego serdecznie dość. Podobnie jak ty, z tego co słyszę...

– Tylko nie wlewaj do niej zimnego mleka. Podgrzej je.

– Paweł! – Podniosła głos dużo bardziej, niż chciała. – Czy ty słyszysz, co mówię? To koniec! Wyprowadzam się!!!

Najwidoczniej usłyszał, bo odłożył gazetę i wpatrywał się w nią ze zdumieniem. Milczenie zdawało się nie mieć końca, a dzwoniąca w uszach cisza wpędzała Wiktoria w coraz większy strach. Uderzy? Mimo lęku powtarzała sobie jednak, że nie może odwrócić wzroku i musi patrzeć mu prosto w oczy. Już nigdy więcej nie będzie spuszczać głowy i zerkać na boki. Trudno! Co ma być, to będzie!

Spodziewała się wszystkiego, tylko nie tego, co nastąpiło po chwili. Paweł eksplodował niepohamowaną wesołością i w żaden sposób nie mógł jej powstrzymać. I nie był to wcale złośliwy rehot. Wręcz przeciwnie – zanosił się serdecznym radosnym śmiechem, wyciskającym z jego oczu łzy, które spływały powoli po zarumienionych policzkach.

Wiktoria była zupełnie oszołomiona. Zdumiała ją ta reakcja, ale dużo silniej wstrząsnęła

nią myśl, że nie potrafi sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziała jego szczerzy wybuch radości. Taki jak teraz. Taki jak przed laty. Taki jak ten, w którym się kiedyś zakochała...

Zakochała się w Pawle typowo po kobiecemu, czyli na śmierć i życie, w ułamku sekundy i po uszy. Był wieczór, w jednym ze szczecińskich lokali z licznym gronem przyjaciół świętowała swoje trzydzieste urodziny. Podszedł do ich stolika z pąsową różą i pochylił się w wiernopoddającym ukłonie:

- Wiktorio! Wszystkiego najlepszego. Zatańczysz ze mną?
- Ale ja ciebie nie znam! – Odsunęła się od niego jak od wariata. – Kim ty... pan... Kim pan jest? Skąd wiesz... pan wie... że mam urodziny?
- Wiem i już. Stara cyganka mi cię dzisiaj wywróżyła. No więc jak? Zatańczysz czy będziesz uciekać przed przeznaczeniem?

Zatańczyła i uwierzyła w przeznaczenie, chociaż nie było ani żadnej starej cyganki, ani żadnych wróżb. To postrzelona Anka ustawiła w męskiej toalecie słoik z kwiatami opatrzony fotografią oraz informacją: DRODZY PANOWIE! NA ZDJĘCIU JEST NASZA PRZYJACIÓŁKA WIKTORIA, KTÓRA DZISIAJ OBCHODZI W TYM LOKALU SWOJE TRZYDZIESTE URODZINY. BARDZO PROSZĘ O WRĘCZENIE JEJ RÓŻY, ZŁOŻENIE ŻYCZEŃ I POPROSIENIE DO TAŃCA – NIECH SIĘ DZIEWCZYNA GODNIE POŻEGNA Z MŁODOŚCIĄ! DZIĘKUJEMY. KOLEŻANKI I KOLEDZY JUBILATKI.

Paweł był pierwszym chętnym. Nie wyjaśnił, skąd wie o jej urodzinach, tylko wciąż plótł o cygance i przeznaczeniu. Dzięki temu po kilkunastu minutach ponownie wpadła w zdumienie, kiedy kolejny obcy mężczyzna podszedł do niej z różą, życzeniami i prośbą o taniec. A potem następny i następny... Dopiero szósty zdradził, skąd wie o trzydziestych urodzinach Wiktorii. Obsztorcowała Ankę za wywieszanie zdjęć po męskich kiblach, ale musiała przyznać, że żart się udał.

W przeciwieństwie do pozostałych mężczyzn Paweł nie zniknął w bawiącym się tłumie. Przysiadł się do ich stolika, w kilka minut zaskarbił sobie sympatię całego towarzystwa, a serce Wiktorii zdobył szturmem i bez żadnych ceregieli. Był przystojny, zabawny, hojny, inteligentny, dowcipny... Która by się oparła? Która nie chciałaby księcia z bajki?! I to jeszcze takiego, który – jak wskazywały wszystkie znaki na niebie i ziemi – też zakochał się od pierwszego wejrzenia!

Kiedy kilka minut po północy nasty mężczyzna podszedł do Wiktorii i poprosił ją do tańca, Paweł wziął od niego pąsową różę, przekazał ją jubilatce i powiedział stanowczym, nieznoszącym sprzeciwu tonem: „Żegnam uprzejmie! Ta pani ma z kim tańczyć!”. A potem poszedł do toalety i przyniósł słoik z nielicznymi już pozostałymi kwiatami.

– Ty! Co się rzadzisz naszymi różami? – burknęła Anka, wyraźnie niezadowolona z zakończenia zabawy w męsko-kwiatowy korowód.

– Nie rządę się waszymi różami. – Posłał jej przepaszający uśmiech. – Ja tylko dążę do... do... do zwycięstwa! – Puścił oko i spojrzał znacząco na Wiktoria.

– Dąż, chłopie, dąż. – Kamil, mąż Anki, podniósł do góry palce ułożone w literę V, wywołując salwę śmiechu. Jego żona wciąż jednak zerknęła na Pawła niechętnie, więc Wiktoria postanowiła osobiście stanąć w jego obronie.

– Bardzo dobrze, że to się wreszcie skończyło. Pomysł miałaś fajny, tylko przegięłaś z ilością.

– Chciałam, żeby było trzydzieści. To moja wina, że nie kończysz dzisiaj osiemnastu lat?! Cierpisz bardzo?

– Raczej się cieszę, że nie kończę stu...

Broniła go przed Anką, bo jego zachowanie wydawało jej się wtedy bardzo miłe. Takie męskie. Wręcz rycerskie. Naprawdę nie miała już ochoty na zabawę z nachlanymi i śmierzącymi facetami, którzy z godziny na godzinę bełkotali życzenia urodzinowe z coraz większym trudem. Była zatem wdzięczna, że on – pachnący i prawie zupełnie trzeźwy – uwolnił ją od ich towarzystwa i od płacenia tańcem za każdy wręczony kwiat.

Nie przypuszczała, że to był ostatni wieczór, kiedy mogła bawić się z innym mężczyzną. Potem z żadnym już nie tańczyła, a po kilku latach nawet z żadnym nie rozmawiała. Doszło do tego, że uciekała od nich jak od ognia i wpadała w panikę, kiedy jakiś – bez względu na wiek, wygląd i stan cywilny – zbliżał się do niej. Nieważne, czy chciał zapytać o drogę do łazienki, czy poprosić o wezwanie taksówki dla siebie i żony.

Kiedyś odpowiedziała na taką prośbę kurtuazyjnym: „Ależ zostańcie. Przecież nie jest jeszcze tak późno”. Wtedy uderzył po raz pierwszy. Odczekał, aż wszyscy goście wyjdą, i łupnął bez żadnego ostrzeżenia prosto w policzek. Nie wiedziała za co, więc jej wykrzyczał, że uśmiechała się prowokacyjnie do tego palanta, kokietowała go i na siłę zatrzymywała, tylko po to, żeby pójść z nim do łóżka. Kiedy następnego dnia chciała się wyprowadzić, klęczał przed nią i płakał jak dziecko. Przysięgał, że to się nigdy nie powtórzy, że to wina alkoholu, który odebrał mu rozum, że kocha ją bezgranicznie i życia sobie bez niej nie wyobraża. Została.

Przez ponad cztery lata nie podniósł na nią ręki, więc niemal zapomniała o tamtym zdarzeniu, uznając je za incydentalne, wywołane zgubnym działaniem alkoholu, od którego Paweł raczej stronił.

To były cudowne cztery lata, kiedy wierzyła, że ich związek jest idealny. Dopiero z perspektywy czasu dostrzegła, że przez te cztery lata jej pozornie idealny partner cicho i niepostrzeżenie prządl wokół niej swoje sieci.

Nie wiedząc nawet jak i kiedy, straciła kontakt ze wszystkimi znajomymi. Godziła się na to, bo Paweł zapewniał jej wystarczająco dużo rozrywki i był wystarczająco ciekawym towarzystwem. Dbał, żeby się nie nudziła. Spędzał z nią dużo czasu. Zwiedzali świat, urządzali najpierw mieszkanie, a potem ogromny dom, organizowali przyjęcia dla jego przyjaciół... Imponował jej swoją wiedzą, czytaniem, umiejętnością zarabiania pieniędzy, swobodą bycia. Uznała zatem, że Paweł ma rację także w ocenie innych ludzi, i zdała się na jego opinie. Z coraz mniejszymi oporami przyznawała, że Anka jest rozpieszczoną babą i zrobiła ze swojego męża żalostnego pantoflarza, którym każdy normalny facet może tylko pogardzać. Nie umiała zaprzeczyć, gdy mówił, że jej rodzice są parą zgryźliwych tetryków, przy których człowiek traci chęć zarówno do życia, jak i do dożycia – starości. Amelię też powoli od siebie odsuwała, tym bardziej że Paweł powtarzał w nieskończoność: „To nieprawdopodobne, że jesteście siostrami”, „Jakie szczęście, że nie jesteś do niej podobna”. Przytakiwała, bo inni nieraz mówili to samo. Nawet rodzice podejrzewali, że Wiktoria trafiła do nich na skutek pomyłki pijanej połoźnej, która pozamieniała noworodki.

Zanim się obejrzała, stała się jego bezwolną własnością: myślała jak on, słuchała go, podziwiała – i nie było jej z tym źle. W zamian rozpieszczał ją do granic rozsądku. Przez całe cztery lata. Potem znowu uderzył. Znowu bez powodu, czyli przez coś, co powstało w jego chorym umyśle. Znowu przeproszał i płakał, a ona znowu mu wybaczyła, licząc na kolejne cudowne lata. Poza tym dokąd miałyby uciec i co powiedzieć ludziom? Paweł odciął ją od życia i świata tak bardzo, że już dawno zwątpiła, czy zdoła samodzielnie się po tym świecie poruszać. Systematycznie i skutecznie podkopywał jej wiarę w siebie i życiową zaradność. Liczyła na kolejne cztery lata spokoju, a tymczasem stłukł ją już po czterech miesiącach. Podejrzewała,

że to wina firmy i coraz większego stresu.

Zaczynał zarabiać duże pieniądze dawno temu, kiedy nie trzeba było być biznesmenem z prawdziwego zdarzenia. Wtedy wystarczyło mieć kilka złotych, lubić ryzyko i znaleźć się we właściwym miejscu o właściwej porze. Udało mu się w to właściwe miejsce i porę wstrzelić i gruba kasa popłynęła nieprzerwanym strumieniem. Niejednokrotnie opowiadał Wiktorii, jak na początku lat dziewięćdziesiątych jeździł do banku z własną maszynką do liczenia pieniędzy, żeby nie korkować kolejki do okienka na kilkadziesiąt minut.

Potem dzięki rynek zaczął się oswajać i – jak się domyślała – przyduszać go coraz bardziej. Nie radził sobie z tym. Chciał dalej być panem świata, a świat powoli spychał go na boczny tor. Współczuła mu. Naprawdę i szczerze. Chciała go pocieszyć, zapewnić, że nie potrzebuje ani wielkich pieniędzy, ani tych wszystkich drogich prezentów, ale on przestał z nią rozmawiać. Nawet jej nie przytulał, nawet nie cmokał zdawkowo rano i wieczorem. Oddalił się do jakiegoś swojego niedostępnego królestwa, z którego wracał tylko po to, żeby odreagować na niej swoje niepowodzenia, lęki i frustracje.

Może i dobrze się stało? Pozbawiona jego „opieki” Wiktoria powolutku odzyskiwała zdrowy rozsądek i trzeźwy ogląd rzeczywistości.

Kiedy przyszło jej do głowy, że trzeba to raz na zawsze skończyć, sama się wystraszyła tego hardego pomysłu i mimowolnie skuliła ramiona. Ale decyzja kielkowała niczym magiczna fasola i nie dawała spokoju. Coraz wyraźniej rysował się też pomysł na najbliższe życie, a przynajmniej na pierwsze dni i tygodnie po ucieczce od sępa, który już dawno uznał ją za padlinę.

Może miałyby jakieś wątpliwości, gdyby jeszcze coś do niego czuła. Cokolwiek. Choćby złość albo nienawiść. Ale już nawet tego nie było. Długo szukała w sobie jakichś emocji, ale nic nie znalazła. Została czysta obojętność.

Dlatego teraz, kiedy wreszcie zebrała w sobie całą odwagę i zdecydowała się powiedzieć mu, że odchodzi, była zszokowana nie tyle sytuacją, co jego szczerym śmiechem. Ile lat temu widziała go tak serdecznie rozbawionego? Cztery? Może pięć?

Postanowiła, że da mu się śmiać do woli. Odważnie wpatrywała się w załzawione oczy, ledwo widoczne zza policzków, i cały czas powtarzała w myśli mantrę: „Nie uciekaj wzrokiem, nie odwracaj głowy. Nie uciekaj wzrokiem, nie odwracaj głowy!”.

Uspokajał się bardzo powoli, a kiedy przestał się w końcu śmiać, wciąż patrzył na nią z życzliwą radością.

– Chodź tu. – Wyciągnął do niej jedną rękę, drugą wycierał mokre policzki. – No chodź, kochanie. Starczy tych wygłupów.

– To nie są wygłupy. Ja naprawdę odchodzę. – Stała nieruchomo, jakby ją ktoś przyspawał do grubego puchatego dywanu.

– Melodramat jakiś obejrzałaś? Czy czytałaś kolejną głupią książkę? – Spojrzenie Pawła nie traciło pobłażliwej łagodności. – Chyba jakiegoś cenzora będę tu musiał zatrudnić. No chodźże!

Przez ułamek sekundy chciała podejść i chwycić wciąż wyciągniętą rękę, bo zaświtało jej, że może jednak w końcu coś zrozumiał i zmieni się z powrotem w czułego rycerza sprzed lat. Ale na szczęście przerobiła taką wersję w wyobraźni i zakazała sobie w nią wierzyć.

„Nie uciekaj wzrokiem, nie odwracaj głowy, nie daj się nabrać” – rozszerzyła swoją mantrę. Zdążyła powtórzyć ją chyba ze dwadzieścia razy, zanim się odezwał.

– Słyszysz, co mówię? – Jego wzrok przestał być życzliwy i łagodny, z twarzy zniknęły

wszelkie ślady niedawnego rozbawienia. – Przestań się zachowywać jak głupia idiotka i przestań mnie wkurzać!

– Bo co? Uderzysz mnie? – Zaczepnie wysunęła głowę do przodu i wykrzywiła się złośliwie.

– Nie. – Wzruszył ramionami. – Wywalę cię stąd na zbity pysk, po prostu! Chodź tu!!!
– Zastukał w oparcie fotela gestem, jakim przywołuje się psa.

– Nie musisz. Sama się stąd wywalę na zbity pysk. Mogłam to zrobić, kiedy byłeś poza domem, ale to nie byłoby fair. Chciałam ci przedtem powiedzieć, że kiedyś naprawdę cię kochałam i czułam się kochana. I chciałam ci za to podziękować, bo...

– Jak ja uwielbiam to wasze babskie pieprzenie!!! Gdzie ty chcesz iść?! Pod most?! Zdychać z głodu?!

– Pracuję i zarabiam.

– No zaję-kurwa-bista praca! Z usmarkanymi bachorami za dwa tysiąki miesięcznie! To ja ci gratuluje z całego serca takiej przyszłości! Za co będziesz kupowała te wszystkie szmaty i świecidełka, bez których nie umiesz żyć?! Dupą zaczniesz zarabiać? A może już masz jakiegoś alfonsa?!

– Nie dogadamy się. – Wiktoria wzruszyła ramionami i oderwała wreszcie stopy od puchatego dywanu. Ruszyła do przedpokoju, gdzie w ogromnej zabudowanej lustrami wnęce od rana stała spakowana mała czerwona walizka.

Zanim przekroczyła próg salonu, poczuła stalowy uścisk dwóch rąk na swoich ramionach. Zalała ją fala panicznego strachu przed pięściami Pawła.

– Chcesz?! To idź w cholerę! – Odwrócił ją tak, że widziała jego zionącą wściekłością twarz z odległości kilku centymetrów i poczuła na policzkach krople jego śliny. – Ale niczego stąd nie weźmiesz, rozumiesz? Niczego! Spalę te twoje szmaty! Biednym rozdram, a ty będziesz goła chodziła i żebrała o kawałek chleba!!!

„Nie uciekaj wzrokiem, nie odwracaj głowy” – powtarzała w duchu.

– Kim byś była, głupia pusta babo, gdyby nie ja?! Zerem! Zwykłym szarym zerem!!! Wszystko ci dałem! Wszystko miałaś, ale jak nie potrafisz tego docenić, to się wynoś! Tak jak stoisz! W jednych gaciach i w jednej sukience!

– Dobrze. Wszystko ci zostawiam – szepnęła. – Puść mnie, to boli...

Starła się uwolnić ramiona z imadeł jego wielkich łap, ale zacisnął je jeszcze mocniej. Była pewna, że zaraz zacznie bić. Pocieszała się, że to już ostatni raz.

Nie uderzył, ale pchnął tak mocno, że ledwo zachowała równowagę. Odwróciła się i bez pośpiechu otworzyła szafę.

– Zabieram tylko swoje osobiste rzeczy. – Wyjęła małą jaskrawą walizeczkę, postawiła ją przy wieszaku i sięgnęła po płaszcz. Starła się zachować spokój i nie prowokować go ani słowami, ani zbyt gwałtownymi ruchami. Bóg jeden wiedział, ile ten spokój ją kosztował. Modliła się teraz do Niego żarliwie, żeby Paweł pozwolił jej wyjść z domu i nie zabrał walizki. Celowo wybrała najmniejszą, jaką miała, taką, którą można było zabierać na pokład samolotu jako bagaż podręczny.

Udało się. Wprawdzie obrzucił ją stekiem wyzwisk za wcześniejsze perfidne przygotowanie się do wyprowadzki i schowanie walizki w szafie, ale zawartość czerwonego maleństwa zupełnie go nie interesowała.

Nabrała pewności siebie i nawet chciała coś powiedzieć, ale bała się, że wtedy w końcu się doigra. Poza tym co by jej dało to mówienie? Przecież nie miała zamiaru niczego naprawiać, chciała tylko uciec.

– Wynocha!!! – krzyknął ile sił w płucach, stojąc w otwartych na oścież drzwiach

i machając ponaglać ręką. – Wynoś się, niewdzięczna suko! Życie mi zmarnowałaś! Jeszcze będziesz mnie przepraszać i błagać, żebym cię z powrotem wpuścił! Jeszcze będziesz skowyczała na wycieraczce!!!

Zatrzaśnięte drzwi omal nie wypadły z futryny. Utrzymał je chyba tylko system sztab i przemysłnych bolców antywłamaniowych, w które zostały uzbrojone przez zapobiegliwego producenta.

Wiktoria stała lekko oszołomiona pośrodku cichej podmiejskiej ulicy, zaciskając dłoń na uchwycie walizki. Czyli to już? Koniec? Już po wszystkim?

Jeśli tak, to poszło dużo łatwiej, niż się spodziewała. Była pewna, że zanim ciężkie dębowe drzwi się za nią zatrzasną, dostanie kilka ciosów i dorobi się kilku siniaków, które będzie przynajmniej przez godzinę starannie pokrywać fluidem, a dopiero potem zadzwoni po taksówkę. Tymczasem była cała i zdrowa, a jedyne, co musiała zrobić, to uciec jak najszybciej i jak najdalej.

Sięgnęła do torebki, wyciągnęła telefon i wybrała numer firmy, która znała ten adres na pamięć, bo obsługiwała wszystkich gości i znajomych Pawła. Kierowcy bili się o te zlecenia, wiedząc, że każdy zabierany stąd pasażer da napiwek równy kwocie z taksometru.

– Oder-Taxi. Dobry wieczór. Czym możemy służyć?

– Niczym. Przepraszam, pomyłka. – Szybko nacisnęła czerwoną słuchawkę, bo zdecydowała, że jak koniec, to koniec! Ze wszystkim! Z tą zaprzyjaźnioną firmą też!

Długo szukała w pamięci namiaru na jakąkolwiek inną korporację. Nie dała rady, chociaż widziała tyle reklam taksówek. Wiedziała, że przewijają się w nich sekwencje cyfr: ósemki... dziewiątki... trójki...? Bezskutecznie próbowała dodzwonić się na wymyślane z tych cyfr numery i w końcu się poddała. Postanowiła, że skontaktuje się z siostrą.

– Cześć Mela! – Starła się, żeby jej głos brzmiał beztrzesko. – Możesz podać mi jakiś namiar na taryfę? Pustkę mam kompletną w głowie i lekko jestem jeszcze zszokowana. Odeszłam od niego...

– Wika! Czyś ty zwariowała?! Ustaliliśmy, że nie zrobisz tego sama. Czemu nie zadzwoniłaś po mnie?! Żyjesz?

– Żyję. A w zasadzie dopiero mam zamiar zacząć żyć. I wolałam załatwić to sama... Różnie mogło być... Daj mi namiar na taryfę, to zaraz u ciebie będę i wszystko opowiem.

– Wiktoria wciąż nie dowierzała, że za chwilę wtuli się w siostrę i wypłacze.

– Ten świr mógł cię zabić... Głupia ryzykantka z ciebie. Kretynka skończona!

– Byłoby miło, gdyby już nikt mnie nie wyzywał od głupich i od kretynek. Limit obelg na dziś został wyczerpany. Dasz mi wreszcie numer do jakiejś firmy taksówkowej czy mam pieszo iść na drugi koniec miasta?!

– Przepraszam – powiedziała Amelia już dużo łagodniej. – Nie dzwoń po żadną taksówkę. Zaraz cię sama zabiorę, tylko powiedz, gdzie przyjechać.

– Nie trzeba. Po co się będziesz tłukła taki kawał...

– Bo lubię się tłuc! Gadam z tobą, ale już jestem w samochodzie, więc nie kłóć się z siostrą! Tym bardziej że jestem starsza.

– Czekam zatem grzecznie na drodze wyjazdowej z osiedla. Będę siedziała na ławeczce z walizką na kolanach, jak Ania z Zielonego Wzgórza na peronie w Avonlea. – Czują, że wpada w chorobliwą wesołość, zupełnie jak Paweł kilkanaście minut temu, kiedy powiedziała, że odchodzi. Może to zaraźliwe? – Słyszysz, jak łomoczę butami, pędząc do ciebie? Dobrze, że mam płaskie podeszwy, bo obcaso to bym na bank złamała. Mela, zabierz mnie stąd!!!

– krzyknęła tak głośno, że kilka ptaków poderwało się z okolicznych zadbanych ogrodów, a kilka firanek w oknach odchyliło się dyskretnie.

– Jadę, Wikuś, już jadę! Muszę się rozłączyć, bo mnie zaraz jakiś gliniarz złapie. Nie ruszaj się z wyjazdówki! A ten psychopata mi cię stamtąd nie zabierze? Może wyjdź gdzieś dalej...

– Nie! – Wiktoria swoim głośnym śmiechem ponownie spłoszyła stado ptaków i uruchomiła firanki w oknach. – On teraz będzie siedział w domu i niecierpliwie oczekiwał mojego skomlenia na wycieracze.

– Jesteś pewna? – zapytała Amelia i posłała współużytkownikowi szczecińskich szos soczyste przekleństwo. – No słyszałaś?! Jakiś chłop mnie beczelnie obtrąbił!

– Pewnie pierwszeństwo wymusiłaś. Jak zwykle...

– Co za czasy! Żeby facet miał pierwszeństwo! Oto jest cena, jaką płacimy za feminizm...

– Rozłącz się, bo zaraz zapłacisz nie tylko za feminizm.

– Dobra, no to dozo, jak mawia moje dziecko. Bez odbioru.

– Dozo! – Wiktoria schowała telefon i żwawym krokiem ruszyła w kierunku drogi.

Czekając na siostrę, smakowała z rozkoszą zapomniane już uczucia: radość, wolność i poczucie bezpieczeństwa. Wołała, przynajmniej chwilowo, nie zadrećcać się pytaniami, dlaczego tak długo zwlekała z tą decyzją i dlaczego pozwalała się tak traktować. Fachowe podręczniki i poradniki psychologiczne mają na to swoje logiczne wyjaśnienia i jej motywy niewątpliwie idealnie się w nie wpasowywały. Objawy się w każdym razie zgadzały...

ROZDZIAŁ 2

Mela pierwsza odważyła się zapytać, czy między nią i Pawłem wszystko w porządku, a na gorliwe zapewnienia, że jak najbardziej i że lepiej już być nie może, zadała Wiktorii kilka kłopotliwych pytań i podała kilka faktów niepasujących do obrazka idealnego związku.

– Wika. Wiem, że kłamiesz – wypaliła prosto z mostu. – Masz wszystkie objawy maltretowanej kobiety. I nie mówię tylko o siniakach. Rozmawiałam o tobie ze specjalistą, bo bardzo się o ciebie martwimy.

– My, czyli niby kto? I o co się martwicie? – zapytała z protekcyjnym uśmiechem.

– Nie macie się o co martwić. Zaręczam, że nic złego się nie dzieje.

– My, to znaczy ja i Sławek. Rodzice niczego się chyba nie domyślają...

– Ale czego oni mają się domyślać albo nie domyślać? – Wiktoria chciała jak najszybciej skończyć tę niewygodną rozmowę, więc rzuciła kamyczek do ogródka siostry: – Ze mną i z Pawłem wszystko jest w jak najlepszym porządku. A ty, zamiast rozmawiać ze specjalistami o mnie, może pogadałabyś z nimi o swoim małżeństwie, co?! Dobrze, że Sławek pływa, bo gdyby pracował na łodzi, to zadręczyłby całą rodzinę. Mam wrażenie, że nie odróżnia was od swojej załogi!

– Słuchaj, młoda... – Mela dobrze przygotowała się do rozmowy, nie zareagowała na tę zaczepkę. – Rób, co chcesz. Nie będę się wtrącać ani namawiać na jakieś terapie, bo wiem, że dopóki sama nie podejmiesz decyzji, dobrymi radami mogę cię co najwyżej wkurzyć. Chcę tylko, żebyś pamiętała, że jestem. Możesz do mnie zadzwonić i pogadać. Poza tym twój pokój zawsze będzie na ciebie czekał i możesz się do niego wprowadzić o każdej porze dnia i nocy...

– Wprowadzić? – Wiktoria wzruszyła ramionami. – Chyba raczej zaokrętować. I zostać kolejnym majtkiem twojego pana kapitana. Dziękuję, ale nie skorzystam.

– Zrobisz, jak uważasz. Ale pamiętaj, że jestem. I że zawsze masz dokąd uciec...

– Daj mi już spokój, dobrze?!

Była wtedy naprawdę zła, że Amelia rozmawia o niej z jakimiś, pozał się Boże, specjalistami. Święcie wierzyła, że nie potrzebuje ani jej pomocy, ani fachowych porad innych ludzi. Irytowały ją programy publicystyczne i głupie rozmowy w radiu czy telewizji, w których maltretowane kobiety opowiadały o swoim życiu. Natychmiast zmieniała stację i odganiała od siebie myśl, że sama może być jedną z nich. Zwalczała w sobie tę myśl tak długo, aż nabierała pewności, że nie jest żadną ofiarą. Tamte z radia i telewizji nie były przecież kochane i miały mężów alkoholików, a jej Paweł nie urządzał żadnych libacji, tylko wytworne przyjęcia, no i – co najważniejsze – kochał ją. Gdyby był alkoholikiem i gdyby jej nie kochał, to co innego... Wtedy na pewno by odeszła!

Mela nigdy nie wróciła do tamtej nieprzyjemnej rozmowy. Inna sprawa, że i okazji nie miała zbyt wiele. Paweł skutecznie odizolował siostry od siebie, nawet w święta rzadko się spotykały – Wiktoria na ogół spędzała je z nim w jakimś ciepłym kraju. Amelia próbowała więc namówić Ankę na rozmowę z Wiktorią. Liczyła na to, że może przynajmniej przed najbliższą przyjaciółką Wiktoria nie zamknie się w skorupce. Ale Anka rozłożyła bezradnie ręce i oznajmiła, że praktycznie nie utrzymują ze sobą kontaktu i od dawna się nie widziały.

– Nie chce mi się nawet do niej dzwonić – wyznała. – Gada ze mną bardzo oficjalnie

i każdy temat zaraz ucina. Mela, nie wiem, co będzie dalej, ale według mnie sytuacja jest beznadziejna. My o ciuchach nie umiemy już normalnie rozmawiać, a ty chcesz, żebym z nią gadała o tym jej frajerze? Wiem, czym to się skończy: zasypie mnie zachwykami, wyliczy, co jej ostatnio kupił i gdzie ją zabrał, a potem szybko się pożegna, nie pytając nawet, co u mnie słuchać. Mam to z nią przerobione i przetrenowane. Do zrzygania! Nie pomogę ci, chociaż bardzo bym chciała... Czuję się winna i mam wyrzuty sumienia, bo gdyby nie ten mój kretyński pomysł z różami w męskim kiblu, to dzisiaj nie byłoby problemu...

Amelia niepokoiliła się coraz bardziej: mijały miesiące i lata i nic nie wskazywało na to, że sytuacja siostry kiedykolwiek się zmieni. Zważyła w rady specjalistów i nie miała pewności, czy Wiktoria w ogóle zapamiętała to jedno krótkie zdanie, które psycholog polecił jej przekazać: „Gdybyś potrzebowała pomocy, to pamiętaj, że jestem i że masz dokąd uciec”. Zapamiętała, chwala Bogu.

Któregoś wieczoru zadzwoniła do Meli, a nazajutrz przyjechała i opowiedziała wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Mówiła tak spokojnie, jakby relacjonowała fabułę jakiegoś filmu, i nie uroniła przy tym nawet jednej łzy. W przeciwieństwie do Amelii, która nie mogła przestać płakać. Podejrzewała wprawdzie, że w związku jej siostry jest bardzo źle, ale skala agresji tego drania przerosła najśmielsze domysły. Płakała, ale jednocześnie nie posiadała się z radości, że Wika wreszcie przemówiła i – przede wszystkim – postanowiła od niego odejść. Jej wściekłość i stanowczość ocierały się o desperację. To dlatego Mela bała się, że pożegnalna rozmowa z Pawłem może przybrać zły obrót, i zaklinała siostrę na wszystko, żeby nie przeprowadzała tej rozmowy sama. Umówiły się, że kiedy Wiktoria będzie gotowa, poprosi siostrę o asystę i z jej pomocą wyprowadzi się z domu. Do tego czasu Amelia miała jednak nie dzwonić, bo niespodziewanie odzyskany kontakt Wiki z rodziną na pewno nie wpłynąłby dobrze na coraz gorszą sytuację w jej związku. Więc Amelia milczała, choć codziennie walczyła z chęcią zatelefonowania do siostry. Szczególnie teraz, kiedy wszystko już zostało powiedziane, a wstydliva tajemnica ujrziała światło dzienne. Wytrzymywała z trudem, obgryzała paznokcie i nie mogła sobie znaleźć miejsca. Co gorsza, nie miała z kim o tym porozmawiać. Przysięgła na wszystkie świętości, że nie puści pary z ust. A może mogłaby podzielić się wiedzą i uczuciami z mężem? Sławek na pewno dochowałby tajemnicy. Zresztą komu miałby ją rozgadać, skoro od kilku dni przebywał na statku? Mieli ze sobą stały internetowy kontakt, więc nic nie stało na przeszkodzie, żeby zrzucić na jego barki choć trochę przytłaczającego ciężaru. Zrezygnowała jednak z tego pomysłu. Nie chciała go martwić i niepotrzebnie denerwować. Wystarczająco dużo kłopotów przysparzała mu jego własna praca i zbrodnią byłoby dorzucać kolejne. Wściekła się na pewno, że jest tak daleko od domu i nie może w żaden sposób pomóc swojej żonie i szwagierce. Nooo... szwagierką to może mniej by się martwił, bo nigdy za sobą szczególnie nie przepadali, ale za żonę i dzieci skoczyłby w ogień, więc ta sytuacja na pewno wytrąciłaby go z równowagi. Pomóc by nie pomógł, a Amelii nagadałby, że przez głupotę swojej siostry sama naraża się na niebezpieczeństwo, dobrowolnie pcha się do jaskini lwa i ściąga Wikę do ich domu. A Paweł może nie poddać się tak łatwo i nie wiadomo, jak szybko pogodzi się z rolą porzuconego i niedocenionego dobrodzieja – może nachodzić Wiktoria, a tym samym stanowić zagrożenie również dla Meli i dzieciaków.

Nie, nie, nie! Zabroniła sobie zawracać mężowi głowę tym problemem, bo czuła, że zamiast sobie ulżyć, będzie tylko bardziej przybita. Wizja zjawiającego się w ich domu Pawła wydawała się bardzo prawdopodobna nawet bez złowróżbnych przepowiedni Sławka. Jeśli ta wizja się sprawdzi, to trudno, jakoś sobie poradzą. Ale przynajmniej nie będzie musiała

wysłuchiwać od męża sakramentalnego: „A nie mówiłem? Nie ostrzegałem?”.

Thukła się zatem po domu, a po jej głowie thukły się myśli. Najgorszą z nich było przypuszczenie, że Wiktoria wycofała się jednak ze swojej decyzji, że miała tylko chwilę słabości i dlatego wyznała siostrze prawdę, ale potem tego pożałowała, wystraszyła się i znowu zniknie z jej oczu na kolejne lata, i przez kolejne lata będzie bita i poniżana. Z każdym następnym dniem, kiedy telefon Amelii milczał jak zaklęty, myśl ta przybierała coraz bardziej realne kształty. Aż do dzisiaj.

Widząc na wyświetlaczu imię siostry, wstrzymała na chwilę oddech i podziękowała Bogu za to, że jej czarnowidztwo okazało się pomyłką. Chwilę potem, kiedy Wika powiedziała, że właśnie zerwała z Pawłem i wyprowadziła się od niego, Mela ponownie zwróciła się do Najwyższego – tym razem z prośbą, by powstrzymał ją przed zamordowaniem własnej siostry. Jak ona mogła się tak narażać i dlaczego po nią nie zadzwoniła, tak jak się umawiały?! Cała Wiktoria! Miała ochotę zagrozić, że jak tylko się spotkają, przełoży ją przez kolano i spierze na kwaśne jabłko, ale nie była do końca przekonana, czy taki tekst będzie w tej sytuacji na miejscu...

Dopiero w samochodzie zaczęła się powoli uspokajać i oswajać z tym, co się wydarzyło. Wprawdzie wydarzyło się to bez jej udziału, ale – nie miała co do tego wątpliwości – na pewno nie pozostanie bez wpływu na życie jej rodziny. Co powie Sławek, kiedy dowie się, że wzięła Wiktoria do ich domu? Ma świadomość, że dom należy do obu siostr, ale czy ta świadomość w czymkolwiek pomoże? I tak będzie zły. A może i nie. Może kiedy usłyszy, przez co ta dziewczyna przeszła, to zmieni zdanie na jej temat? Chociaż z drugiej strony czy on kiedykolwiek zmienił zdanie na jakikolwiek temat? Nie mogła sobie przypomnieć...

Szybka jazda zawsze pomagała Amelii opanować nerwy i poskładać rozpierzchnięte myśli w logiczne ciągi, które kończyły się na ogół przynajmniej jednym mądrym wnioskiem. Tym razem doszła do wniosku, że nie ma sensu martwić się na zapas, bo mąż ledwo co wypłynął w morze i wróci dopiero za cztery miesiące, a do tego czasu wszystko może się jeszcze zdarzyć. Szczęście w nieszczęściu, że go nie ma! Pokrzepiona tą konstatacją skupiła się na myśleniu o siostrze i o tym, jak zainstalować ją w ich domu, żeby czuła się w nim komfortowo.

Nie kłamała, mówiąc Wiktorii, że jej pokój stoi wolny i zawsze jest gotowy przyjąć ją z powrotem. Czekając na telefon od siostry, miała nawet ochotę trochę go odświeżyć: pomalować albo wytapetować, wstawić jakieś nowe meble? Pomogłoby jej to przeczekać długie i pełne niepewności godziny. W końcu doszła jednak do wniosku, że lepiej będzie, jeśli Wika zajmie się tym osobiście, kiedy się wprowadzi. Przecież dużo bardziej niż Amelia będzie potrzebowała zajęcia czymś swojej strapionej głowy i duszy. Szczególnie teraz, w czasie wakacji, kiedy ma wolne i nie może uciec w pracę. Amelia postanowiła, że jeśli tylko Wika będzie chciała, to chętnie jej pomoże z remontem – finansowo, i we wszystkich innych kwestiach. Nie miała pojęcia, jaka jest sytuacja materialna siostry. Jakoś niezręcznie było ją o to pytać, ale podejrzewała, że Paweł trzymał pieniądze na smyczy równie krótkiej jak Wiktoria.

Dużo bardziej niż problemy remontowe czy finansowe martwiła Amelię reakcja domowników. Sławek był chwilowo niegroźny, ale są jeszcze dzieci...

Czy Emilka i Mirek zaakceptują obecność Wiki? Jak ta osiemnastoletnia pyskata pannica i zarozumiała dwudziestoletni kawaler ją przyjmą?

Jako małe szkraby uwielbiali Wiktoria i wieszali się na jej szyi jak dwie czereśnie. Kiedy urosli i nie miała już siły ich dźwigać, zamienili się w dwie kule u nogi: jedno wiecznie uczone prawej nogawki jej dżinsów, drugie lewej. Mela bywała wręcz zazdrosna, bo czasami

wydawało jej się, że bardziej kochają ciocię niż matkę.

Kiedy ciocia wyprowadzała się z domu, Emilka miała dziesięć lat, a Mirek dwanaście. Płakali tak rozdzierająco, że sąsiadka z przeciwległej posesji przybiegła spytać, co się stało, i pomagała odrywać dzieciaki od Wiktorii, bo siostry nie mogły sobie poradzić z pozornie tylko słabymi piąstkami, które kurczowo czepiały się dzinsowych nogawek. Wika tysiąc razy zapewniała, że je kocha, że będzie spędzać z nimi każdą wolną chwilę i że mimo jej wyprowadzki nic się właściwie nie zmieni.

Zmieniło się jednak, i to bardzo szybko. Nie przychodziła, nie dzwoniła, nie miała czasu nawet na krótkie spotkania. Pojawiła się wprawdzie na jedenastych urodzinach Emilki i trzynastych Mirka, ale wpadła tylko na chwilę, wręczyła nieprzyzwoicie drogie prezenty i szybko zniknęła. W kolejnym roku nie przyszła już nawet na urodziny. Dzieci najpierw tęskniły, potem pytały, dlaczego ciocia już ich nie kocha, w końcu zgodnie przestały o niej mówić. Widywały ją czasami przy jakichś rodzinnych okazjach. Wiktoria za każdym razem dziwiła się, jak bardzo urosły, i śmiała się, że chyba nie poznałaby ich na ulicy. Wkładała im do ręki po stówie i starym zwyczajem zniknęła, zanim wszyscy zdążyli porządnie się rozsiąść za stołem.

Amelia nie wątpiła, że dzisiaj Wika na pewno nie rozpoznałaby jej dzieci na ulicy. A one? Jak zareagują na stałą obecność cioci? Przecież te krnąbrne potworki nie akceptowały siebie nawzajem i toczyły nieustającą wojnę. Tylko Sławek jako tako nad nimi panował i tylko przy nim zachowywały się względnie przyzwoicie.

„Boże kochany!” – myślała. „Czemu ja nie mogę mieć rodziny jak z serialu? Mogłabym trafić na jakiegoś spolegliwego chłopca, rozsądną siostrę i dzieci ułożone jak owczarki niemieckie po policyjnym szkoleniu. No, mogłabym? Mogła! A tymczasem co? Sprzedałeś mi wszystkowiedzącego Sławka, maltretowaną Wiktorię, rozwydrzoną córkę i cynicznego syna... W Trójcy Jedyny! Ja nie wymagam, żeby wszyscy byli idealni! Ale żeby wszyscy byli popieprzeni, to już lekka przesada...” Westchnęła głośno, pokonując kolejne skrzyżowanie na pomarańczowym świetle; przynajmniej jak na nie wjeżdżała, to było pomarańczowe. „Dzięki Ci, że przynajmniej od mandatów mnie konsekwentnie chronisz. Dobre i to!”

Gnała jak głupia nie tylko po to, żeby uporządkować myśli. Wciąż bała się o Wiktorię. Czy jej siostra rzeczywiście będzie siedzieć jak Ania z Zielonego Wzgórza i grzecznie czekać, aż ktoś odbierze ją z dworca w Avonlea i raz na zawsze odmieni zły los? A co jeśli jej nie znajdzie? Jeśli ten psychol ją dopadł i coś jej zrobił? Dlaczego załatwiła to sama?! Cała ona! Odwieczna Zosia Samosia!

Nie były do siebie podobne – ani fizycznie, ani charakterologicznie. Różniły się jak dzień i noc, jak ogień i woda. Amelia zawsze pragnęła tylko świętego spokoju, Wiktoria wiecznie szukała przygód. Mela chętnie zostawała w domu, bo uwielbiała pomagać mamie, zwłaszcza przy wszystkim, co dało się zrobić z ciasta, Wika przepadała na cały dzień i wracała podrapana, z zielskiem we włosach i w podartych spodniach. Ale potrafiły się też godzinami razem bawić. Role w tych zabawach zawsze były z góry ustalone i oczywiste: Amelia grała księżniczkę, a Wiktoria odważnego królewicza, który uwalniał ją od smoka. Zważywszy na to, że Mela była starsza od Wiki aż o cztery lata – co we wczesnym dzieciństwie jest niemal różnicą pokoleń – taki podział ról zaskakiwał ich najbliższe otoczenie.

I utarło się: Mela została uznana za to dobre i spokojne dziecko, przez które szkoła nigdy nie wzywa rodziców na rozmowy i o które nie trzeba się martwić, natomiast Wika wciąż sprawiała kłopoty, skupiając na sobie prawie całą uwagę rodziców. Kiedy były już nastolatkami,

Wika zawsze przedstawiała siostrę tak samo: „A to moja starsza siostra. Wzór do naśladowania dla wszystkich panien z dobrego domu. Nie to co ja!”.

Amelia nigdy nie protestowała i nie zaprzeczała. Bo i czemu miałyby zaprzeczać?

Mogła być wzorem do naśladowania. Nigdy nie zrobiła niczego, za co musiałyby się wstydzić. Uczyła się pilnie, sprzątała dokładnie, ubierała normalnie i niezmiennie dążyła do zrealizowania scenariusza ze świętym spokojem w roli głównej. Wybierając męża, dokładnie go przetestowała, żeby wiedzieć, jak zachowuje się w sytuacjach stresowych i czy jest wystarczająco zaradny. Musiała to sprawdzić, bo nie da się mieć świętego spokoju przy niezaradnym i nerwowym chłopie. Sławek pomyślnie przeszedł wszystkie testy i – jak to kiedyś określiła Wiktoria – zdobył w końcu harcerską sprawność: Mąż Zuch.

Niespodziewana ciąża przyspieszyła decyzję o ślubie. Zamieszkali z rodzicami i Wiką w wielkim domu w ponemieckiej willowej dzielnicy Szczecina. Niemiecki kapitalistyczny architekt nie przewidział jednak, że willa znajdzie się raptem na terenie Polski, że w Polsce będzie socjalizm, że w socjalizmie będą poważne problemy mieszkaniowe i że pod zaprojektowanym przez niego dachem nastąpi aż taka kumulacja. I chociaż metraż był imponujący, to liczba pomieszczeń okazała się niebezpiecznie mała. Wszystkim najbardziej dokuczała wspólna kuchnia i łazienka.

Tylko ich ojcu dużo bardziej dokuczała obecność wiecznie płaczącego wnuka – nowo narodzonego Mirusia. Z męską godnością przetrzymał pierwszy rok, ale gdy wkrótce potem Amelia oznajmiła, że znów jest w ciąży, nie zdierzył. Przepisał dom córkom i razem ze swoją żoną przeniósł się do dwóch pokoi w centrum miasta, by od tej pory w każdej rozmowie zachwalać lokalizację nowego mieszkania: blisko do sklepów, apteki, przychodni, poczty, całodobowego spożywczaka, dwóch przystanków tramwajowych i pętli autobusowej...

– I podobno mamy niedługo mieć bardzo korzystne połączenie z tym domem starców, co go rok temu otwierali z taką pompą – oznajmił podczas któregoś wielkanocnego śniadania, spoglądając wymownie na Amelię. – Kto wie? Może i do hospicjum też kiedyś będzie jakiś dobry dojazd? To nie będziemy musieli z matką na stałe tam zamieszkać, tylko sobie karnety wykupimy...

– Tato! Daj już spokój z tym swoim zrzędzeniem – odezwała się krzepiąco. – Masz dwie córki, bądź spokojny, do domu starców na pewno nie trafisz!

– Melu, dobrze wiesz, że tak naprawdę to my tylko jedną córkę mamy. Tylko ciebie. Wiktoria całkiem o nas zapomniała. I nie mówmy więcej o tym, bo zdaje się, że waszą matkę boli to zdecydowanie bardziej niż mnie.

Pokonała ogromne skrzyżowanie, po raz kolejny na końcu pomarańczowego światła. Co oni wyprawiają z tą sygnalizacją?! Obiecywali zieloną falę, a tymczasem człowiek wciąż musi uciekać przed czerwoną! I dziwią się potem, że tyle stłuczek jest i wypadków...

Wróciła do smętnych rozmyślań nad tym, czy Wika odnajdzie się w swoim nowym-starym życiu. Emilka i Mirek od dawna nawet nie wspominali o cioci, a ojciec skwitował ją krótkim: „Nie mówmy o tym”. Sławek po powrocie z morza też na pewno nie otworzy przed nią ramion... A jak zareaguje Anka, która uznała, że ich przyjaźń to już dawno nieaktualna historia?

„Boże! Nie dałeś mi rodziny jak z serialu, to przynajmniej powiedz teraz, jak tej zblakanej owcy ułatwić powrót do normalnego życia i nienormalnej rodziny?!” – Nie wiadomo który już raz szukała ratunku w siłach nadprzyrodzonych, ale znowu nie uzyskała żadnej konkretnej odpowiedzi. „Wybacz, Boże, ale od razu widać, że jesteś facetem! Dobra, poradzę

sobie sama...”

Docisnęła gaz, minęła ostatnią prostą i za skąpanym w akacjach zakrętem dostrzegła siostrę. Wiktoria wydała jej się jakaś biedna i nieporadna. Naprawdę przypominała sierotę, która przyjechała do Avonlea. Wprawdzie zaczęła machać, zobaczywszy nadjeżdżający samochód Amelii, wprawdzie uśmiechała się od ucha do ucha, dźwignęła się dziarsko z ławeczki i omal nie urwała klamki przy drzwiach... Ale jednak...

– No i widzisz, że jestem cała i zdrowa? I nie wyzywaj mnie więcej od idiotek i kretynek!
– Zachowywała się dziwnie i śmiała nienaturalnie głośno. – Zrozum, musiałam to załatwić sama ze sobą... z nim... z nami...

– Chodź tu do mnie, idiotko i kretynko! – Amelia przytuliła ją tak, jak przytulała własne dzieci, kiedy jeszcze jej na to pozwalały.

Przez ponad pół godziny gadały i płakały w aucie, koślawo zaparkowanym tuż przy wjeździe na główną szosę. Potem zgodnie otarły łzy i Mela gwałtownie przekręciła kluczyk w stacyjce.

– No to co? Ruszamy w tak zwane lepsze jutro? – Mrugnęła do siostry i ruszyła z rykiem silnika, paląc kilka milimetrów gumy na oponach.

– Lepsze i gorsze jutro to ja już miałam. Problem z tym, co będzie pojutrze... Wiesz co? Boję się. Czuję się, jakbym po tych wszystkich latach wracała z jakiejś podróży kosmicznej, i wiem, że kiedy w końcu wyląduję na Ziemi, nic nie będzie takie samo...

– Nie ma czego się bać! Najgorsze i tak już za tobą. – Amelia pod żadnym pozorem nie przyznałaby się, że ma podobne obawy i że przez całą drogę zamartwiała się, jak będzie wyglądało to lądowanie po długiej podróży kosmicznej, więc milczała przez kilkanaście minut. Odezwała się, dopiero gdy wpadły w samo serce Szczecina.

– Nie martw się. Zaraz będziemy w domu. Zrobię coś do jedzenia. Zaparzę herbatę. Potem się rozpakujesz... – Urwała, przypomniawszy sobie niewielką walizeczkę, którą Wika rzuciła na tylne siedzenie. Co miałyby z niej rozpakowywać? Chyba dwie pary majtek i szczoteczkę do zębów... – A jak zabierzesz swoje rzeczy? Kiedy po nie pojedziemy? My! My pojedziemy! Bo tym razem już lepiej cię przypilnuję i na pewno samej nie puszcę!

– Nie pojedziemy. Ani ty, ani ja, ani my. Nie mam nic oprócz tego tam... – Wskazała głową w kierunku tylnego siedzenia. – I niczego więcej nie potrzebuję.

– Bez przesady! Chyba nie będzie chodził w twoich ciuchach? Po co mu one? A poza tym nie bądź taka znowu przesadnie honorowa. Przez te osiem lat też sporo swojej kasy w wasz dom wpakowałaś, prawda?

Wika nie odpowiedziała i zamilkła na dłużej.

– Dzieciaki są? – odezwała się w końcu. – Ich też się boję... Wszystkiego i wszystkich się teraz boję. Czy to się wreszcie skończy?! Czy kiedyś przestanę się bać?! – Bezskutecznie próbowała powstrzymać kolejny napad płaczu. Mela nie mogła jej tym razem po matczynemu przytulić, bo właśnie lawirowała między wlokącymi się w korku autami.

– Zawalidrogo cholerny! Najlepiej stań w poprzek tym samochodem! – mówiła z furią raczej do siebie i do Wiktorii, bo kierowca, który z uporem godnym lepszej sprawy próbował wbrew przepisom zmienić pas ruchu, nie mógł jej przecież usłyszeć. – Na furmankę byś się przesiadł, to i na ulicach by się luźniej zrobiło i koń miałby z kim pogadać! Co za cymbał, no! A ty, młoda, też mnie nie denerwuj i przestań buceć, bo sama widzisz, że zaraz zawału dostanę

przez tego woźnicę! No jedź, jedź!!! – Zrobiła woźnicy miejsce na karkołomny manewr i machała ręką, zachęcając do skorzystania z okazji. – Boże! Strzel w niego jasnym gromem, a przysięgam, że już nigdy nie będę Ci brzęczeć nad uchem! – Czekając, aż kierowca przebije się na sąsiedni pas, oderwała na chwilę wzrok od drogi i pogłaskała siostrę po głowie. – No weź wreszcie przestań płakać! I wrzucić na luz albo jak mawiają moje dzieci: czilautuj.

– Co?

– Czilautować to zaliczyć chill out, mówiąc profesjonalnie i z angielska. Faktycznie, trochę cię na tym świecie nie było...

– Ano nie było – westchnęła smętnie Wiktoria. – Czyli już wiem, że z twoimi dziećmi się nie dogadam. Zdecydowanie za mało wyczilautowana jestem... Ciekawe, jak mi pójdzie z resztą ludzi? Słuchaj, mam do ciebie ogromną prośbę...

– W dupę mnie pocałuj! – niechętnie zaburczała Mela.

– Słucham?!

– To nie do ciebie, tylko do tego furmana! Będzie mi teraz sto razy dziękował rękami i światłami! – Mimo szorstkiego tonu uśmiechnęła się promiennie przez szybę i zrobiła dłonią gest: „proszę bardzo, nie ma za co”. Zawalidroga w życiu by nie zgadł, jakimi epitetami zdążyła go obrzucić. – Przepraszam, co mówiłaś? Że masz prośbę? Jaką?

– Nie mów na razie nikomu, że u ciebie mieszkam. Chcę trochę odpocząć, dojsć do siebie. Potrzebuję przynajmniej kilku dni na ogarnięcie się i... jak to było? Wyczilautowanie? – Zaśmiała się po raz pierwszy od dłuższego czasu, ale natychmiast znowu sposepniała. – No właśnie, wystarczy, że będę się musiała zaraz zmierzyć z Emilią i Mirkiem. Wiedzą, że się do was wprowadzam?

– Po pierwsze, nie wprowadzasz się do nas, tylko do siebie. Wracasz do swojego domu i tyle! A po drugie, znowu niepotrzebnie dramatyzujesz. Z dziećmi nie będziesz musiała się mierzyć od razu. I miej litość przy dobieraniu słów! Co to za określenie: „zmierzyć się”?! Wiesz, że zawsze cię uwielbiały... – W tym momencie Amelia przyznała sobie Oscara za drugoplanową rolę żeńską. Wiedziała, że jej siostra ma rację, bo w końcu też się bała jej konfrontacji z dziećmi. Wolą więc nie przesadzać z oscarową rolą i nadmiernie jej nie rozbudowywać. Darowała sobie dalsze zapewnienia o tym, jak bardzo jej pociechy tęsknią za ukochaną ciocią, i skupiła się na faktach. – Emila jest na obozie. Wraca za tydzień. Mirek jest gdzieś tam pod namiotem i wraca trzy dni później. Okrągły rok planowali, żeby się przez całe wakacje nie widzieć, a wyszło im zupełnie odwrotnie: w tym samym czasie wyjechali i prawie w tym samym czasie lądują w domu. I tak sobie teraz myślę... Może jednak miałaś rację, mówiąc, że trzeba się z nimi zmierzyć?

– To znaczy? – Wika rzuciła siostrze wystraszone spojrzenie.

– To znaczy, że ja też chyba nie tyle z nimi mieszkam, ile codziennie się z nimi mierzę. To istne potwory i obawiam się, że kiedyś w moim... to znaczy w naszym domu dojdzie do morderstwa. Musisz być na to przygotowana.

– Nie przesadzaj. To prawie dorośli ludzie...

– Dorośli? Dobry żart. Dowód osobisty to jedyny dowód ich dorosłości. Innych objawów brak. Nie mam pojęcia dlaczego. Może pogłupieli przez te modyfikowane kurczaki, homogenizowane serki i pestycydy w bananach? Trzeba ich było karmić chlebem z cukrem i cebulą, tak jak nas matka karmiła, to może wyrosliby na mądrych ludzi.

– W moim przypadku dieta z cukrem i cebulą się nie sprawdziła. Na mądrą jakoś nie wyrosłam.

– Mam zupełnie inne zdanie na ten temat. – Mela spojrzała na siostrę z aprobatą. – Jesteś mądra, a ja jestem z ciebie dumna. Natomiast moje własne dzieci dumą mnie nie napawają,

niestety. Ale co ja teraz mogę? Co poradzisz, człowieku: czasu nie cofniesz, dzieci nie zabijesz!

– Czilautuj, chyba przesadzasz.

– Co ja ci będę gadać? Sama się niedługo przekonasz. I nie takie słowa poznasz. I gesty...

– Na przykład? – Wiktoria postanowiła choć trochę przygotować się na spotkanie z „istnymi potworami”. – Bo pamiętaj, że ja też przez ostatnie lata różne słowa i różne gesty widziałam. Niewiele może mnie zaskoczyć.

– W dupie byłaś, gówno widziałaś! – prychnęła Amelia. – Na marginesie, to jedno z powiedzeń, którymi chętnie się nawzajem raczą.

– To jest akurat stare jak świat. Mówiłam, że trudno mnie będzie zadziwić.

– Jesteś pewna? A wiesz co to, na przykład, znaczy? – Ponieważ znowu utknęły w korku, Mela mogła pozwolić sobie na małą demonstrację. Wyciągnęła w kierunku siostry prawą rękę i odwróciła głowę najbardziej jak się dało.

– Heil Hitler? – Zgadywała Wika. – Matko jedyna! Twoje dzieci są nazistami?!

– Jakimi tam nazistami! – Mela wciąż nie opuszczała ręki i wciąż nie patrzyła na Wiktoria. – Nazistów bym w ramach odwetu zagazowała i byłoby po sprawie! To nie jest żadne „heil Hitler”, bo jak się robi „heil Hitler”, to się nie zadziera dłoni i nie wykręca głowy w drugą stronę. A ja się odwracam i zadzieram dłoń, tak?

– No, tak. – Faktycznie, tuż przed nosem Wiktorii przeżyło się w całej okazałości wnętrze siostrzanej dłoni. – To co to znaczy?

– Mów do ręki.

– Nie rozumiem. Jakie „mów do ręki”?

– „Mów do ręki”, czyli inaczej „spadaj”, czyli inaczej... sama dobrze wiesz, jak można to inaczej wyrazić. Rozumiesz teraz? Stąd ta odwrócona głowa i podetknięta pod same usta dłoń...

– Ale to wcale nie jest brzydkie. I nawet mi się podoba. Fajne to jest... – Wika przećwiczyła zademonstrowany przez siostrę gest. – Szkoda, że wcześniej tego nie znałam. A to by się Pawełek zdziwił, gdybym mu tak zrobiła i powiedziała: „Mów do ręki”. Fajne!

– No! Bardzo fajne. Jak jasna cholera wręcz! – kpila Mela, rezygnując z komentowania możliwej reakcji Pawła. – A zdecydowanie najfajniejsze jest wtedy, kiedy gadasz do dzieciaka, coś mu tłumaczysz, prosisz o coś, apelujesz do sumienia, odwołujesz się do dorosłości, poczucia obowiązku i raptem w połowie tego przemówienia gówniarz odwraca od ciebie głowę i wystawia ci pod nos wyciągniętą dłoń. Boki zrywać, normalnie!

– Ale chyba lepsze to niż „spadaj”, prawda?

– Wybacz! Mam się cieszyć, że każą mi przemawiać do swoich rąk i nie mówią do mnie „spierdalaj”?! Bo, żeby była jasność, do siebie to, owszem, często i gęsto tak mówią...

– A co na to Sławek? – Wiktoria szczerze nie lubiła szwagra, ale nie mogła odmówić mu silnego charakteru, więc trudno jej było uwierzyć, że pozwala dzieciom na takie zachowania i taki język.

– Sławek? Przecież on o niczym nie ma pojęcia. To jest Mały Książę, który żyje na innej planecie i raz na jakiś czas spada z niej na nasz dom jak tunguski meteoryt, robiąc porównywalny bałagan. Dzieciaki się dostosowują i biorą go na przeczekanie. Wiedzą, że za jakiś czas znowu pójdzie w morze, więc zaciskają zęby i odliczają dni do jego wyjazdu.

– A mówiłaś mu o tym?

– Po co mam mówić? – Amelia wzruszyła niechętnie ramionami. – Żeby usłyszeć, że sama je tak rozpuściłam i teraz zbieram, co zasiałam? Wika! Odwołując się do twojego nauczycielskiego powołania, powiem ci tyle, że mój mąż jest jak wizytator z kuratorium: wpada, robi kilkutygodniową hospicję, a potem wystawia opinię pani, która prowadzi przystosowanie do życia w rodzinie. Rozumiesz? Znasz ten typ? Mądrała zza biurka, który nigdy w szkole nie

pracował i kredy w rękę nie trzymał, zaczyna cię oceniać: wyciąga wnioski, komentuje, sugeruje dalsze działania dydaktyczno-pedagogiczne... A ciebie krew nagła zalewa i masz ochotę powiedzieć: „Co pan wiesz o szkole, panie wizytator?!”. Ale siedzisz cicho i pokornie się zgadzasz. Bo to jest pan z kuratorium, a ty jesteś tylko głupią nauczycielką... Mało o mnie wiesz, siostra. I o moim życiu.

– Może i mało. – Przytaknęła Wiktoria. – Ale jedno wiem. Zazdroszczę ci twojego życia. Narzekasz na wizytatora z kuratorium, bo nigdy nie mieszkałaś z obozowym kapo.

– Nie to miałam na myśli! Oczywiście, że nie da się porównać Pawła do Sławka, bo jak mawia nasza mamusia: „Nie można mylić gówna z twarogiem”. Nie chciałam się nad sobą użalać ani tym bardziej licytować się z tobą. Tylko wiesz? Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma... Po prostu szlag mnie czasami trafia, kiedy słyszę, jak niektóre baby zazdroszczą mi męża, pieniędzy, domu. I wydaje im się, że u mnie to wszystko jest takie lukrowo-różowe.

– Ja ci też zazdroszczę, chociaż wiem, że lukrowo-różowo nie jest. Ale za to wszystko masz takie normalne, zdrowe, spokojne. I usystematyzowane. Mam nadzieję, że nie trafi cię teraz szlag?

– Nie trafi. – Amelia pokręciła głową i uśmiechnęła się ni to ironicznie, ni to z goryczą. – Ale wstrzymaj się z tymi deklaracjami. Pomieszkasz z nami i przekonasz się, jak to naprawdę wygląda. Jeśli po roku powtórzysz to, co teraz powiedziałaś: że zazdrościsz mi, bo w moim życiu wszystko jest takie normalne i tak dalej, to przysięgam, że postawię ci skrzynkę twojego ulubionego alkoholu! Powtarzam: wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma.

– Przecież wiem. Bardzo dobrze wiem. – Nie kłamała. Koleżanki z pracy też niejednokrotnie Wiktorii wszystkiego zazdrościły, a ona miała wtedy ochotę je zabić. – Ale, ale! À propos gówna, twarogu i naszej mamusi... Mówiłaś rodzicom?

– Wika! Czy ty się w końcu ogarniesz i porządnie wyczilautujesz? I mi w końcu zaufasz? Powiedziałaś, że mam nikomu nie mówić, to pary z gęby nie puściłam. Nikomu! Ani Ance, ani własnemu mężowi, ani dzieciom, co je z własnym mężem mam, ani rodzicom, co ich mam na spółkę z tobą. Ani słowa. Ni-ko-mu!!! – Mela oderwała na chwilę obydwie dłonie od kierownicy i uniosła je ku górze w modlitewnym geście. – Mój ty Boże! Wiem, że jestem dzisiaj wyjątkowo natrętna, ale za słabe baterie mi dałeś i zaraz będziesz się za mnie wstydził! Czy jest szansa na podpięcie mnie do stałego źródła zasilania? Tylko dzisiaj! Proszę!!!

– Odbiło ci? – Wiktoria z niepokojem obserwowała siostrę. – Z kim ty gadasz?

– Z takim jednym, co na szczęście nie jest marynarzem, chociaż podobno bardzo lubi rybaków.

– Mela. Ty się dobrze czujesz? Ja nic nie rozumiem. Pytałam o rodziców. Czy im powiedziałaś...

– Wiem, o co pytałaś. I odpowiedziałam ci, że nikomu nic nie mówiłam. I nic nikomu nie powiem. Sama zdecydujesz, ile czasu ci potrzeba, żebyś odpoczęła, doszła do siebie, ogarnęła się i wyczilautowała. Tak czy siak, zanim zaczniesz się twoje katharsis, mamy przynajmniej kilka dni wyłącznie dla siebie: bez moich dzieci, bez naszych rodziców...

– A co potem? – Wiktoria skrzywiła się, jakby zabolął ją ząb.

– Nadrobisz. Zawsze byłaś zdolna.

– A Sławek kiedy wraca?

– Sławek tylko co wypłynął. Wraca za cztery miesiące. – Mela zawiadacko puściła oko do siostry. – Mówiłam, że mamy czas. Zobaczysz! Dobrze będzie!

Wika nic nie odpowiedziała, ale nie zdołała stłumić pełnego ulgi westchnienia, które – jak podejrzewała Amelia – poświęcone było uwięzionemu na statku Sławkowi.

– Zaraz będziemy w domu. Myślałam, że nigdy się nie przebijemy przez te wszystkie

zapchane ulice. Sorki, że tyle to trwało.

– Daj spokój! – Wiktoria wyjęła z torebki puderniczkę i w miniaturowym lusterku sprawdzała, jak bardzo rozmazał się jej makijaż. Bardzo. Zaczęła ślinić palec i trzeć nim zawzięcie powieki. – Nawet nie wiesz, jak dobrze mi te korki zrobiły. I ta nasza rozmowa. I to „mów do ręki”. I ten wizytator z kuratorium. I to gówno z twarogiem od naszej mamusi...

– Teraz to ja zapytam, czy ci odbiło.

– Mela... Ja mam wrażenie, że odeszłam od Pawła nie godzinę temu, ale co najmniej przed miesiącem! Siedzimy w tym samochodzie i pitolimy o wszystkim naraz, a ja się czuję, jakbym jakieś nowe kontynenty odkrywała. Oderwałaś mnie od poprzedniego życia tak szybko, że sama w to nie wierzę!

– Nie mów hop, siostrzyczko! Pewnie jeszcze nie raz coś ci je przypomni... Ale jakby co, to wiesz?

– Wiem, wiem. Jakby co, to jesteś. I kochana jesteś.

Parkując samochód w piwnicznym garażu i patrząc na Wikę, wciąż pochłoniętą usuwaniem śladów po rozmazanym tuszu, Mela pomyślała: „Jeszcze będą z niej ludzie”. A potem po raz ostatni w tym dniu wzniosła oczy do nieba i jęknęła w duchu: „Boże! Wybacz, że nadużyłam dzisiaj Twojej cierpliwości. Dopomóż!”.

Po przekroczeniu progu domu Wiktoria rozglądała się przez chwilę niepewnie, tak jakby nigdy wcześniej tam nie była. W ostatnich latach pojawiła się tam wprawdzie może z pięć albo sześć razy, ale dom pełen był wówczas gości i wszystko wyglądało trochę inaczej.

– Niewiele się chyba zmieniło od mojej ostatniej wizyty?

– Ano niewiele. – Przytaknęła Amelia. – Tylko w kuchni zrobiliśmy kapitalny remont. I w łazience, ale nową łazienkę, zdaje się, już widziałeś?

– Tak, widziałam. A kuchnię kiedy robiliście? – Zajrzała do ogromnego pomieszczenia naprzeciwko jeszcze większego salonu. – Ładnie. Sama wszystko wymyśliłaś czy braлиście kogoś do aranżacji?

– No chyba nie sądzisz, że Sławek wziąłby jakiegoś projektanta? Przecież to by oznaczało, że jest na tym świecie coś, na czymś mój mąż nie zna się osobiście. – Mela z uśmiechem pokręciła głową. – Zapewniam cię, że gdyby w supermarkecie można było kupić narzędzia dentystyczne i materiał na plomby, to Sławek sam leczyłby sobie zęby. I to bez znieczulenia! Bo to takie niemęskie.

– Faceci raczej boją się bólu...

– Sławek też. Ale bardziej boi się okazywania słabości. Wiesz, że on mi coraz częściej przypomina naszego ojca? Tylko sił ma więcej i nie zrzędzi jak tata, ale na starość całkiem się pewnie do niego upodobni. A jak się spotykają, prawie zawsze skaczą sobie do gardeł.

– O co? – Do Wiktorii coraz wyraźniej docierało, jak bardzo oddaliła się od rodziny i jak mało o niej wiedziała.

– A czy kiedykolwiek rozumiałaś, o co kłóć się ze sobą faceci? Bo ja nigdy. To chyba przez chromosom Y. Sławek z ojcem potrafia wziąć się za łby dosłownie o wszystko: o politykę, o strefy parkowania, o historię Polski i Europy, o odśnieżanie miasta, o reklamę w telewizji... Dopracowali to do perfekcji i nie mają już chyba wspólnego stanowiska w żadnej sprawie. Na osiemnastce Emilki pokłócili się na przykład o to, ile kanałów powinno być w porządnym prywatnym warsztacie samochodowym. Żaden z nich nigdy nie miał, nie ma i nigdy nie będzie miał warsztatu samochodowego, ale jazda była taka, jakby walczyli o życie. Mama zaproponowała nawet, żebym przyniosła z ogrodu szlauch i poląła ich zimną wodą, to może się

wreszcie uspokoją. I co? Rozumiesz to? Bo ja ni cholery! Przyszłoby ci do głowy pokłócić się, dajmy na to, ze mną o to, ile suszarek powinno stać w zakładzie fryzjerskim? – Amelia postawiła na stole dwie filiżanki z herbatą. – A może jesteś głodna? Jest zupa pomidorowa i jakieś pieczone mięso, i...

– Dzięki. Wciąż mam ściśnięty żołądek. Jeszcze mi chyba nerwy do końca nie odpuściły... Jak będę głodna, to ci powiem albo sama sobie coś wezmę. Siadaj już. – Poklepała kanapę, a kiedy Mela przycupnęła obok, wróciła do tematu. – Ale poza tym? Jesteście szczęśliwi ze Sławkiem?

– On na pewno. Wiesz, jak to jest. Człowiek wiecznie z siebie zadowolony i niemający sobie nic do zarzucenia zawsze jest szczęśliwy.

– A ty? – Wiktoria popatrzyła na siostrę z pewnym niepokojem. Wystraszyła się, że jeśli między nią a mężem się nie układa, to swoim pojawieniem się u nich może jej tylko zaszkodzić.

– Ja? – Łyżeczka w herbacie ruszała się bardzo powoli. – Nie jestem nieszczęśliwa. A to już chyba coś, z czego można się cieszyć, prawda?

– Święta prawda...

W ogromnym salonie zapadła cisza. Po kilku minutach Amelia zebrała się na odwagę.

– Boisz się, co będzie, jak wróci Sławek, tak? Nie lubisz go, prawda? Zawsze cię wkurzał.

– Mela! O czym ty...? – Zdziwienie wydawało się naprawdę szczere. – Czy ja mam prawo go krytykować? W ogóle krytykować jakiegokolwiek faceta, który dba o żonę i dzieci? I nie dość że dba, to nie bije? Chociaż muszę przyznać, że mój Paweł też nigdy nie znęcał się nad rodziną...

– Jak to?

– Normalnie. Nie znęcał się nad rodziną, bo jest bezdzielnym kawalerem.

– Czarny humor – skwitowała gorzko Amelia. – Ale dobrze, że dowcip cię nie opuścił.

– Nie mam nic do Sławka. Zobaczymy, co będzie, jak wróci. O kanały w warsztacie samochodowym na pewno się z nim kłócić nie będę. O politykę i historię też nie. A jeśli się nie dogadamy, coś sobie znajdę. A tobie i tak będę do śmierci wdzięczna za to, że mnie dzisiaj przygarnęłaś. Choćby to miało trwać kilka dni...

– Nie wiem, który już raz gadasz głupoty, i nie wiem, ile razy mam ci jeszcze powtórzyć, że ten dom jest tak samo twój, jak i mój. Rodzice przepisali go na nas obie, więc jeśli ktoś nie ma do niego prawa, to akurat Sławek, którego tak się obawiasz.

– Oj! Nie chodzi przecież o zapisy notarialne, tylko o zasady. Obydwie wiemy, że jeśli ktoś będzie się musiał stąd wyprowadzić, to nie on, tylko ja. A poza tym to ja się go wcale nie obawiam. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Bo najpierw pytałaś o nas, a potem tak długo siedziałaś zamyślona.

– Długo siedziałam zamyślona? – Wika zmarszczyła brwi. – Taaak... Ale wcale nie o Sławku myślałam, tylko o tym, co mnie w życiu ominęło i co straciłam przez tego zwyrodnialca. Między innymi was wszystkich.

– Chwila, chwila! Zamierzam jeszcze trochę pożyć. – Amelia zaśmiała się z całego serca. Poczwała ulgę, słysząc, jak pokojowo Wiktoria jest nastawiona do szwagra. – I zobaczysz, że jeszcze nie raz będziesz nas wszystkich miała powyżej uszu.

– Ale tego, co straciłam, już nigdy nie nadrobię. Słuchałam cię i miałam wrażenie, że opowiadasz o obcych ludziach... – Spojrzenie siostry było tak smutne, że uśmiech natychmiast znikł z ust Meli.

– Nadrobisz, nadrobisz. – Próbowala jakoś podnieść ją na duchu. – Ze szkoły też wiecznie zwiewałaś i co roku groziło ci, że nie zdasz, a potem jakoś się wyciągałaś. I to na czwórki albo i piątki! Masz w tym wprawę, więc zaległości rodzinne nadrobisz równie szybko.

– A własne dzieci? Nigdy nie będę ich miała...

– Dzieci wcześniej czy później okazują się mocno przereklamowane. Najpierw fundują ci rozstępy, potem wiercą dziury w brzuchu, następnie przyprawiają o wrzody żołądka, a na koniec idą w pizdu i mają cię gdzieś. Dziewczyno, widziałaś gorszą inwestycję? Nawet kredyt w banku jest bardziej przyjazny! – Starala się rozbawić siostrę.

Ze ściśniętym sercem patrzyła na tę kupkę nieszczęścia siorbiącą resztki herbaty. Gdzie się podziała dawna Wiktoria? Dobrze ją pamiętała: zawsze radosna, żywiołowa, roztrzepana, wszędzie jej było pełno i głośno; w porównaniu z nią Mela przypominała zakonnice, która złożyła ślubny milczenia. A teraz...? Teraz to raczej ona czuła się jak wulkan energii.

Zdawała sobie sprawę, że rany na psychice są jeszcze bardzo świeże i bardzo bolesne, ale miała nadzieję, że zbliznią się z czasem i siostra odzyska swój twardy charakter i dawny temperament. Niemożliwe, żeby było inaczej. Wika miała zbyt silną osobowość, żeby coś mogło ją zniszczyć. Owszem: mogła dać się zdeptać albo stłumić, ale zniszczyć? Wykluczone!

– Nie martw się i niczego się nie bój, i nie roztrząsaj przeszłości. Co się stało, to się nie odstanie. Przekonasz się, że wszystko będzie dobrze. – Ocierała łzy spływające po policzkach siostry. – Pamiętasz? Kiedyś powtarzałaś, że regenerujesz się szybciej niż jaszczurka. I zawsze tak było! Pamiętasz, jak spadłaś z huśtawki i wszyscy myśleliśmy, że już po tobie, bo więcej betonu zostało w twojej głowie niż pod huśtawką? A jak pies cię pogryzł, bo chciałaś mu zrobić kitki na uszach? Albo jak w podstawówce dziennik spaliłaś i mieli cię za to wyrzucić? A jak na węgry poszłaś i wpadłaś do jeziora, a rodzicom powiedziałaś, że w szkole był próbny alarm przeciwpożarowy? A jak na obozie zastępowy cię złapał na picu piwa i paleniu papierosów i ojcu kazał natychmiast przyjechać? Widzisz?! Ciągle miałaś nie żyć albo skądś wylecieć, a zawsze wychodziłaś z tego cała! Ty nie jesteś jak jaszczurka, tylko jak feniks. Odradzasz się nawet z najgorszych popiołów. A pamiętasz, jak się okazało, że Andrzej cię robi w trąbę i chodzi jednocześnie z tobą i z tą rudą, co była w równoległej klasie? Też się szybko zregenerowałaś...

– E tam! To się nie liczy. Nie musiałam się za bardzo regenerować. Brzydki był. Tylko motor miał ładny – chlipnęła Wiktoria i wybuchnęła śmiechem. – Matko! Daj mi jakąś chusteczkę, bo się całkiem zasmarkałam.

– No to po jego motorze musiałaś się zregenerować. I dałaś radę? Dałaś! – Mela poszła do łazienki i wróciła po chwili z pudełkiem chusteczek.

Wydmuchując nos, Wiktoria z niekłamanym zdziwieniem przyglądała się pojemnikowi na chusteczki. Ozdobiony był złoto-czerwonymi różyczkami, wizerunkiem konika morskiego i siateczką łowicko-kurpiowsko-podhalańskich koronek.

– Jejku! Co to za bohomazy? – Pociągnęła za biały koniuszek kolejnej chusteczki i dmuchając w nią, wygulgotała: – Moje pierwszaki wykazują podobne gusta na zajęciach plastycznych. Nie wierzę, że ty to kupiłaś...

– I słusznie. Do tego jest jeszcze lusterko. Też niebanalnej urody.

– A wyrzucić nie możesz? Od dzieci dostałaś?

– Niestety, nie... To prezent od męża. Bardzo praktyczny, prawda? Na urodziny mi dał... Spojrzały na siebie i zaśmiały się.

– Jeśli już mówimy o prezentach, to przepraszam, że nic dla ciebie nie mam. Jakoś tak w pośpiechu wychodziłam i nie bardzo miałam do tego głowę, a wypadałoby coś kupić dla pani domu, zamiast tak z pustymi rękami przyłazić. – Wiktoria utrzymywała się we względnie dobrym humorze, w jaki wprawilo ją ceramiczne cudeńko. – Natomiast chciałabym dać ci trochę

pieniędzy na najbliższe dni...

– Przestań, bo się obrażę. – Mela złapała ją za rękę, nie pozwalając sięgnąć do torebki.
– Nawet nie próbuj! Jesteś moim gościem.

– Nie denerwuj mnie, dobrze?! I weź się w końcu zdecyduj, czy jestem tu gościem, czy jestem u siebie. Raz mówisz jedno, raz drugie. Zabieraj łapy!

– Ale...

– Żadne ale! – Wiktoria zaczęła grzebać w okazałym skórzanym worku. – Gdzie ja to mam... gdzie ja to mam... Szlag mnie zaraz trafi! – Odsunęła filiżanki po herbacie, uniosła torebkę nad stół i odwróciła ją do góry nogami. W ułamku sekundy cały blat pokrył się babskimi drobiazgami, między którymi pełzały niczym węże kabelki słuchawek i ładowarki do telefonu. Udało jej się w końcu znaleźć w tym pobojuwisku spięty gumką plik banknotów. – Na razie dwa tysiące. Bierz i nie marudź. Daj mi zachować przynajmniej resztki godności, proszę!

– Nie wezmę! Raz ty zrobisz zakupy, raz ja i jakoś się dogadamy...

– Zobaczysz, zaraz cię trzepnę. Bierz te pieniądze, pókim dobra! Może potem jakoś się dogadamy, ale na razie nie będę kupowała swojego proszku do prania, swojej soli, kawy i herbaty. Nie mam siły skupiać się na takich drobiazgach, a chciałabym bez skrępowania tu mieszkać, jeść, pić, pracować... No bierz!!! – Wpychała banknoty wciąż opierającej się Meli.

– Nie chcę! Mam pieniądze. Sławek zarabia dużo więcej, niż potrzebujemy, naprawdę. A ty teraz taka bidula...

– Bidula? Mówisz, że jestem bidula? – Wika popatrzyła przeciągle na Amelię, a potem zaśmiała się tak, że siostrze aż ścierpła skóra. Czyżby się obraziła? Mela patrzyła zaniepokojona, jak Wiktoria idzie do przedpokoju i chwyta za swój niepozorny bagaż. No chyba teraz nie wyjdzie?!

Na szczęście ani myślała wychodzić. Wręcz przeciwnie: dziarskim krokiem wróciła do salonu. Uśmiechając się pod nosem, bezładnie upchnęła w torebce cały bajzel, który przed chwilą z niej wyrzuciła, a kiedy blat był już pusty, położyła na nim swoją czerwoną walizeczkę. Pogmerała chwilę przy szyfrowym zamku, a potem odwróciła walizkę w stronę Amelii i otworzyła na całą szerokość.

– Bidula, powiadasz? – powtórzyła pytanie.

– Bożzzz... – Mela zakryła usta obydwoma dłońmi. – Jezu...

Nie mogła wykrztusić nic więcej, bo po raz pierwszy w życiu zobaczyła walizkę po brzegi wypełnioną biżuterią. Nie była znawczynią wyrobów jubilerskich, ale od razu było widać, że to wszystko musiało kosztować majątek. Oderwała od ust jedną dłoń i nieśmiało dotknęła pierwszego z brzegu naszyjnika.

– Trafny wybór. – Pochwaliła rozbawiona Wiktoria. – Białe i żółte złoto. Niestety, ten duży kamień to tylko cyrkonia, ale te cztery maluszki wokół niego to już prawdziwe brylanty. Gdzieś tam jest do tego bransoleta i kolczyki. Zaraz ci znajdę. Jeśli nie chcesz pieniędzy, weź przynajmniej to.

– Przynajmniej to?! Przecież mercedesa bym pewnie za to kupiła... Co to jest?!

– Pamiętam, że ten komplecik nazywał się Vendetta. Nomen omen, chciałoby się powiedzieć. Z Amsterdamu. No, gdzie ta bransoleta i kolczyki? – Grzebała w walizce równie niecierpliwie jak przed kilkoma minutami w torebce.

– Ale ja nie o komplecik pytam, tylko o to... to... wszystko, co tu masz... o tę walizkę... się o tę walizkę pytam...

– Walizki ci nie dam. Jedną mam. Będziesz musiała zadowolić się brylantami i złotem. O,

jest! Proszę. – Włożyła w ręce oszołomionej Meli grubą na dwa centymetry obręcz i opadła na kanapę. – Kolczyków sama sobie poszukaj. Gdzieś tam są. Takie długie, prawie do ramion, z identycznym wzorem jak na naszyjniku i bransoletce. Tylko w jednym zapięcie się poluzowało. Trzeba by naprawić.

– Skąd to masz?

– No chyba nie sądzisz, że napadłam na sklep jubilerski?! To prezenty od niego.

– Ale aż tyle?! – Amelia zanurzyła obydwie dłonie w walizce i przerzucała pierścionki, łańcuszki, bransoletki, wisiorki, kolczyki. – Aż tyle?!?!

– Hojny był, jak widzisz, mój pan i władca.

– No wiesz... Jestem pod wrażeniem... Naprawdę... Jezuniu! – Podskoczyła nagle jak rażona prądem. – Co będzie, jak on się zorientuje, że to zabrałaś?! Na policję cię poda albo, co gorsza, sam z bandziorami jakimiś przyjdzie! Musimy to jak najszybciej odwieźć. Ty nie możesz tam jechać. Ja mu to zawiozę i powiem, że niechcący zabrałaś. Przez pomyłkę. Albo jakiegoś gońca z tym wyślemy... – Mela wpadała w coraz większą panikę. – Coś ty narobiła?!

Nieszczęście sobie na głowę ściągniesz! Ty musisz mu to oddać. Koniecznie!!!

– Wyciuajczuj. Czy jak te twoje dzieci mówią?

– Czilautuj... – poprawiła ją odruchowo. – Oszalałaś?! Jak ja mam czilautować z walizką brylantów we własnym domu? Matko! Okna trzeba pozasłaniać! I odwieźć mu to wszystko albo odesłać. I to jeszcze dzisiaj! On cię zabije. Może już tu jedzie?!

– Przestań histeryzować. Niepotrzebnie się denerwujesz. On nigdy po to nie przyjdzie. Owszem, zauważy, że zabrałam biżuterię, ale co konkretnie wzięłam, to już nie będzie miał pojęcia. Uwierz, nie pamięta połowy tego, co mi dał. To tak, jakbym kazała ci teraz wymienić wszystkie smaki i rodzaje lodów, jakie kupiłaś swoim dzieciom w ciągu ostatnich ośmiu lat.

– Ośmiu lat! Gdybym kupiła coś takiego jak ten komplet z Amsterdamu, do śmierci bym pamiętała! – Amelia nie czuła się ani trochę spokojniejsza. – Wybacz, moja droga, ale jest jednak jakaś różnica między lodami a białym złotem, prawda?

– Zgadza się. Ale z kolei głodujące dziecko z Afryki do śmierci pamiętałoby, że jadło lody, prawda? Wierz mi, kochana siostrzyczko, że dla Pawła te błyskotki były tyle warte, ile dla ciebie lody. Poza tym idę o zakład, że ten drań kompletnie nie pamięta, co kupował mi, a co swoim kochankom...

– To on kogoś miał oprócz ciebie?!

– Melciaaaaa... Ty to jednak dzieciak jesteś. – Wiktoria patrzyła na nią z politowaniem.

– I nie bój się. Nie będziesz mieszkać z tym kramem. Wybierz sobie coś, resztę sprzedam.

– Ale gdzie?! Wystawisz się z tą walizką na rynku?! To raczej ty dzieciak jesteś.

– W Szczecinie są tysiące lombardów, zakładów jubilerskich i punktów skupu złota.

– Wika wzruszyła ramionami, jakby mówiła o sprzedaży starej komórki.

– No nie wiem. I nadal uważam, że niepotrzebnie to wszystko zabierałaś. Po co?

– Jako rekompensatę, zadośćuczynienie i odszkodowanie za krzywdy moralne. Poza tym to w końcu prezenty są, prawda? – powiedziała ironicznie. – Kto jak kto, ale żebyś ty nie rozumiała, że prezentów się nie wyrzuca? Trzymasz chusteczki do nosa w jakiejś koszarnej skorupie z różyczkami i konikiem morskim, bo ją od męża dostałaś, a mnie każesz złoto i brylanty oddawać?

Amelia położyła prezent od męża obok mieniącej się od klejnotów walizki. Przenosiła wzrok z ceramicznego pojemnika na kilogramy biżuterii.

– Mów, co chcesz, ale porównanie wypada jednak na twoją korzyść... Widzisz to?

– Parsknęła śmiechem, który jednak uwiązał jej w gardle na widok Wiktorii. Przeraziła się, bo tylko raz w życiu widziała takie spojrzenie – u martwej kobiety, którą kilka lat temu znalazła

na pobliskim przystanku autobusowym. Do dzisiaj śniła jej się ta twarz z szeroko otwartymi oczyma, które już nigdzie nie patrzyły i niczego nie widziały.

– Dużo tego dostałam, prawda? – odezwała się cicho Wika. – Mówiłam ci, że był bardzo hojny. Aż przesadnie... Chociaż nie od zawsze... Początkowo dostawałam kosztowne prezenty tylko dwa, trzy razy do roku: z okazji urodzin, pod choinkę, na wakacjach... A potem zaczął kupować mi coś po każdym biciu. Miał sumienie jak kalkulator, im bardziej mnie stłukł, tym droższy prezent dostawałam... Za cieniutkimi złotymi łańcuszkami i delikatnymi pierścionkami kryją się niewarte wspomnienia cieniutkie i delikatne ciosy. Ale za najbardziej okazałymi kompletami z białego złota i za tymi, w których są brylanty, to... ho, ho, ho... To było coś... Razem z nimi przynosił mi zawsze lewe zwolnienia lekarskie, bo przez kilka dni nie mogłam wychodzić z domu... Czy często mnie bił? Na tyle często, że zbierałam całą walizkę biżuterii... cienkich drucików i grubych bransolet. Bo różnie bił... raz grubo, a raz cienko... – Martwe oczy zamrugały kilka razy, nieco ożyły i spojrzały na Melę. – Zrozum, że ja nie mogłam mu tego zostawić. Ja sobie na to solidnie zapracowałam.

Amelia była w szoku. Zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Po raz kolejny doszła do wniosku, że nie potrafi sobie wyobrazić piekła, które przeżyła siostra.

– To tyle! – Wiktoria klepnęła się w uda i podniosła z kanapy. – Wybierz sobie coś, a potem zamykam walizkę i więcej tego nie zobaczysz. Postaram się pozbyć wszystkiego w ciągu najbliższych kilku dni. Zależy mi na czasie, bo jak patrzę na te cacka, to mi wstyd. Chcesz Vendettę czy poszukasz czegoś innego?

– Czyś ty oszalała?! – Mela pokręciła głową z najwyższym oburzeniem. – Zabierz to! Niczego nie chcę! Skórę by mi chyba spaliło! Zabierz to ode mnie raz na zawsze i rób z tym złodem, co chcesz!

– Ale pieniądze weźmiesz? Pieniądze są czyste, słowo honoru! – Wika uderzyła się w piersi, a potem złożyła ręce jak do modlitwy. – Proszę!

– Dobrze, wezmę...

– No to chwała Bogu! Bo marzę o tym, żeby iść do łazienki i doprowadzić się do porządku, ale nie mam niczego, co jest do tego potrzebne. Gdybyś nie wzięła ode mnie pieniędzy, musiałabym najpierw lecieć do sklepu po ręcznik, mydło, szampon i jakiś balsam do ciała. A tak to uprzejmie proszę o wskazanie i udostępnienie mi niezbędnych akcesoriów.

– Jasne! Chodź. Wszystko dostaniesz. I ręcznik, i mydło, i balsam. I nawet żel antycellulitowy. I taki rewelacyjny krem na rozstępy. Dam ci też serum na ujędrnienie biustu i magiczny środek modelujący pośladki...

– Masz jakiegoś kochanka? – Zaśmiała się Wiktoria, drepcząc za siostrą do łazienki.

– Nie. Nie mam kochanka. Mam tylko więcej lat niż ty. Przypominam ci, że jestem starsza.

– Ale tylko o cztery lata! A po tym, co mówisz, można by pomyśleć, że czterdzieści. Też się tak posypię w twoim wieku? Nie strasz!

– Jak nie przestaniesz mi dokuczać, to w opakowaniu po magicznym żelu na modelowanie pośladków przyniosę ci środek do odtyskania rur.

Dała jej czyste ręczniki, pokazała, gdzie co jest, i zostawiła ją w wannie pełnej piany. Była pewna, że siostra szybko z łazienki nie wyjdzie, więc poszła do kuchni, żeby zająć czymś ręce i głowę.

Przygotowywała obiad z taką starannością i dbałością o szczegóły, jakby za chwilę w salonie miał się pojawić powracający z morza Sławek, a nie zawinięta w szlafrok Wiktoria. Wyciągnęła najlepszą zastawę, serwetniki, kryształowe kieliszki... Nawet świeczki zapaliła.

Zdjęła ze stołu nieszczęsną walizkę z biżuterią i ceramiczny pojemnik na chusteczki. Jeszcze raz im się przyjrzała.

– Sięgaj, gdzie wzrok nie sięga, ot co! – zamruczała pod nosem. Z nabożną czcią odstawiała na parapet ozdobiony różyczkami i konikiem morskim koszmarek, a walizkę przesunęła nogą do przedpokoj.

Czekając na siostrę, rozmyślała nad tym, co właśnie usłyszała. Nad życiem, nad prawdziwą wartością białego złota i brylantów, nad sobą, nad Sławkiem...

Tak bardzo chciała, żeby dogadał się z Wiką, ale intuicyjnie przeczuwała, że to tylko pobożne życzenie, które nigdy nie zostanie spełnione. Popadała w coraz większe zwątpienie i rosła w niej złość na męża, który w sumie niczemu nie był winien: nic złego nie zrobił, nic złego nie powiedział i w ogóle nie miał pojęcia o tym, co się tu działo. Ale Mela wiedziała, że jak tylko się dowie, nie odmówi sobie przemądrzałych komentarzy, a ją wtedy krew nagła zaleje. Bo nie zdoła mu przekazać emocji, których dzisiaj doświadczyła.

Pieprzone życie marynarskich rodzin...

Owszem, mogłaby mu przez Internet zrelacjonować cały dzień: ucieczkę siostry, rozmowę w samochodzie, zawartość czerwonej walizki, martwe oczy Wiktorii...

Ale jak by zareagował? Zapewne oznajmiłby, że już dawno przeczuwał taki finał, ale szwagierka sama sobie winna, bo każdy jest kowalem swego losu i każdy się wyśpi tak, jak sobie pościeli. Zaraz potem współczułby jej takiej siostry i apelował, żeby się nie przejmowała, nie martwiła i dbała o siebie, bo jest za dobra dla ludzi i wszyscy to wykorzystują. Dalej, w ramach pocieszenia oczywiście, pozazdrościłby Meli, że ma na głowie tylko siostrę. W przeciwieństwie do niego, który jest odpowiedzialny za całą załogę. Opowiedziałby o tym, co się dzieje na oceanie na drugiej półkuli: że prawdopodobnie ETA mu się nie zgodzi i wejdzie do portu oraz z niego wyjdzie niezgodnie z wyznaczonym przez armatora czasem, a jeśli się tak stanie, to armator będzie bulił dziesiątki tysięcy dolarów za każdą godzinę pozaplanowego postoju statku przy kei, a Sławek będzie musiał się z tego tłumaczyć. Na dodatek kucharz znowu jest w ciągu i załoga jedzie kolejny dzień z rzędu na suchym prowiancie, więc trzeba będzie napisać raport do firmy i wysadzić kucharza w najbliższym porcie, a na jego miejsce przyjąć innego. Drugi mechanik natomiast wczoraj wszedł na Skype'a, żeby pogadać z żoną, przez chwilę był zasięg. Powiedziała mu, że odchodzi, bo dość ma takiego życia. Wtedy drugi mechanik uznał, że też ma takiego życia dość, i postanowił się powiesić, ale go w porę koledzy odcięli od wywietrznika. Chwała Bogu, bo gdyby mu się ta próba samobójcza udała, to Sławek musiałby całe zapasy żarcia z chłodni wyrzucić za burtę i umieścić w niej zwłoki drugiego mechanika. Chociaż z drugiej strony – po co chłodnia z żarciem, skoro kucharz i tak jest schlany do nieprzytomności? To może niechby się jednak drugi mechanik skutecznie powiesił? Nie no, jak już go uratowali, to trudno! Teraz załoga musi na zmianę pilnować desperata, więc brakuje rąk do pracy. A przecież prosto z Brazylii idą do USA, więc statek musi wyglądać i pachnieć jak „Queen Elizabeth”, bo kogo w Stanach obchodzi, że to jest masowiec, a nie statek pasażerski?!

I co?! I jak się to ma do śmiesznego problemu Wiktorii?

I co? I jak tu się dogadać z własnym mężem? Oraz z własną żoną, kiedy jest się marynarzem? Jak się dogadać, kiedy mąż i żona skupieni są na zupełnie innych sprawach i żyją w różnych światach?

Tupot bosych stóp wyrwał Amelię z zamyślenia. Wiktoria zbiegała po schodach, roziskrzonymi oczyma patrząc na nakryty stół.

– Ksiądz dzisiaj po kolędzie przychodzi czy co? – Zdjęła z głowy ręcznik i zaczęła wycierać włosy. – Ależ pięknie! To dla nas?!

– Nie dla nas, tylko dla ciebie. Załóż skarpety, bo zmarzniesz.

– Mela! Jak ja się teraz bosko czuję! – Siostra cmoknęła ją i przytuliła. – Mam wymodelowane pośladki, cellulit spadł mi z ud i uciekł przez szparę pod drzwiami od łazienki, piersi sterczą po tym twoim kremie jak egipskie piramidy... A do tego ten stół... I to wino... Masz więcej czy tylko jedną butelkę?

– Nie martw się. W piwnicy trzymamy pokaźny zapas. Nie tylko wina. Przed wypłynięciem w morze Sławek zawsze jedzie do sklepu i kupuje całymi kartonami wszystko, co ma datę ważności zgodną z datą jego powrotu. Dzięki temu mam w piwnicy kilogramy cukru i proszku do prania, kilometry makaronu i papieru toaletowego, hektolitry wody mineralnej i różnych soków, no i... kilka metrów sześciennych wina!

– Miło, że robi przed wyjazdem takie zakupy, bo o czymś to świadczy, co nie? Kocha cię i tyle. Dobrze, że przynajmniej tobie się w życiu udało... Naprawdę się cieszę... Może ja i Sławek nie będziemy nigdy się kochać jak rodzina z wyborczego plakatu, ale, wierz mi, nic do niego nie mam i zawsze uważałam go za faceta przez duże F! Nawet jak mnie będzie wkurzać, to przysięgam, że zacisnę zęby i nie będę go denerwowała głupimi odzywkami. Przysięgam! – Wiktoria położyła dłoń na sercu. – Bo zawsze będę pamiętać, że to twój królewicz z bajki! Prawda?

– Prawda – przytaknęła Amelia bez większego entuzjazmu. – Tak więc o wino się nie martw. Mamy zapas.

– To wiesz co?! Chodź się upijemy i stoczmy na samo dno! Przynajmniej dzisiaj zapomnijmy o bożym świecie!

ROZDZIAŁ 3

Kilka godzin później siostry leżały na kanapie, plotąc bez ładu i składu.

– Wiesz co? – Mela dźwignęła się z oparcia, ale zaraz z powrotem bezsilnie na nie opadła. – Ja tylko jednego... kurka wodna... i psia krew... i mać też psia... i motyla noga... i sama nie wiem, co jeszcze... ale wiem, że jednego nie rozumiem... i chyba już nigdy nie pojmem! Muszę cię o to zapytać!

– Dawaj! – Zachichotała Wiktoria.

– Wytłumacz mi, moja kochana... Oj... mam helikopter... – Amelia podjęła kolejną nieudaną próbę podniesienia się do pionu.

– Ale jesteś pewna, że to helikopter, a nie helikobakter? Bo helikoptera nigdy nie miałam, natomiast helikobakter zaszczycił kiedyś moją dwunastnicę. Dwunastnica to jakoś tu jest...

– Wika zadarła górę od pizamy i chaotycznie jeździła palcem po brzuchu. – Powiedz mi, ale tak szczerze, jak siostra siostrze! Masz niestrawność, mdłości i uczucie pełności w podbrzuszu?

– Nie mam. Mówię szczerze, jak siostra siostrze! We łbie mi się tylko kotłuje... Łeb to jakoś tu jest... – Mela już za drugim razem trafiła palcem w głowę. – O tutaj... Trochę wyżej od dwunastnicy...

– Uuuuu! Czyli to helikopter, a nie helikobakter... No chyba że masz dwunastnicę w głowie...

– Nie sądzisz, że to idiotyczne, żeby część człowieka nazwać dwunastnicą? – Amelia skrzywiła się z odrazą. – Co to ja jestem? Jakaś konstrukcja matematyczna, żeby mieć w środku dwunastnicę?! Co za obrzydliwa nazwa!

– Masz rację! Obrzydliwa... Ale ślepa kiszka niby lepsza? – Wiktoria czknęła i zachichotała cichutko. – Albo macica. Co to za nazwa: macica! Jak kawałek świni, a nie kobiety, nie? Też obrzydliwa. A dźwigać ją trzeba. – Pochyliła się nad siostrą i stuknęła kieliszkiem w jej kieliszek. – Zdrowie naszych dwunastnic, ślepych kiszek, macic i całej reszty!

– Zdrowie! – Mela wzniosła kieliszek na całą długość wyciągniętego ramienia.

– I za tych, co na morzu! Oprócz Kriegsmarine!

– Za tych, co na morzu! – powtórzyła Wika, a potem dodała zdegustowana: – Oczywiście, że oprócz Kriegsmarine! Zdrowia tych panów pić nie będziemy! Co to, to nie! – Pociągnęła kilka sporych łyków i szturchnęła siostrę łokciem. – Ty! O coś mnie chciałaś zapytać... że nie rozumiesz, mówiłaś...

– No! Nie rozumiem. I mnie to nurtuje i dręczy...

– Ale co?!

– Zapomniałam! – Mela wybuchła zaraźliwym śmiechem. – Za... zapomnia... zapomniałam, co mnie dręczy – wykrztusiła z trudem.

– Jesteś pijana! Święta Amelia się upiła. Świat się kończy! – Śmiech Wiktorii był jeszcze głośniejszy. – I nie machaj mi tu łapami. Prawda jest taka, że się narąbałaś, moje złotko, upiłaś się w sztok! Ja zresztą też...

– O, już wiem! Już wiem! Właśnie, złotko! Złotko mnie dręczy, z tej twojej walizki. Powiedz, czemu zabrałaś z domu złoto, a zostawiłaś ciuchy? Zawsze byłaś tak zarąbiście ubrana... Szkoda tego wszystkiego... Bym sobie pożyczła... – Meli wreszcie udało się usiąść prosto. – Wiesz co? Chodź mu jutro odeślemy wszystkie precjoza z karteczką, żeby je sobie wsadził w dupę, a nam oddał twoje ciuchy. Dobra?

– Nie! Nie dobra. I daj już spokój z tym tematem. Precjoza sprzedam i kupię sobie jeszcze fajniejsze ciuchy. I będę ci je pożyczala. Dobra?

– Nie! Nie dobra. Bo te wszystkie złota obrzydliwe są i trzeba się ich pozbyć. A ciuchy mogłybyśmy zostawić...

– Melcia! – Wiktoria pogroziła jej palcem. – Uprzedzam, że cierpliwości wystarczy mi jeszcze na jakieś trzydzieści sekund.

– Ale gdyby te klejnoty wymienić na ubrania, to...

– Dwadzieścia dziewięć. Dwadzieścia osiem. Dwadzieścia siedem. Dwadzieścia sześć...

– No dobra! Nie będę już więcej gadać. Ale daj mi za to buziaka! Jak ja cię Kocham, Wikuś moja najukochańsza!!! A ty? Kochasz mnie?

– Jasne! I zobaczysz, jak zaszalejemy na zakupach! – Rozmarzyła się Wiktoria.

– Przecież niczego nie mam, więc musimy obkoczyć i sklepy z bielizną, i z butami...

– Ale to nie dzisiaj, dobrze? – Mela ziewnęła jak hipopotam. – Tak mi się nagle spać zachciało, że do łóżka nawet nie zalezę. Oczy mi się nie otwierają, widzisz? – Palcami podnosiła powieki, które natychmiast z powrotem opadały. – Tu się położę, tylko jakiś koczek mi daj...

– Żadne tutaj! Dupa w górę! – Wiktoria ledwo sobie radziła z na wpół bezwładnym ciałem siostry. – Ruchy, ruchy! Prawa noga... bardzo dobrze... teraz lewa... ślicznie!

Kiedy udało jej się w końcu odstawić Melę do sypialni, przykryła ją kołdrą i z czułością pocałowała w czoło. Była pewna, że siostra zasnęła w ułamku sekundy, ale kiedy stała w progu i miała właśnie zgasić światło, Amelia odezwała się bełkotliwie:

– Wiesz co, Wikuś, ale może jednak oddamy mu to złoto, co?

Wiktoria zaśmiała się głośno, a potem wystawiła w jej stronę wyprostowane ramię:

– Mów do ręki!

===YwEzV2QCO15tX2debAkxB2MHMgE2BD0KOG08WWxZYFY=

II

STRZYŻYK, CZYLI BEZTROSKI KOCZOWNIK

Bardzo ruchliwy, zwinny i niespokojny. Zachowuje ostrożność, kryje się przed człowiekiem. W miejscach odsłoniętych pojawia się tylko na chwilę i zaraz z nich znika. Jego ruchy są nerwowe i gwałtowne. Lata nisko nad ziemią, wśród roślin. Ogon trzyma prawie cały czas zadarty. Bardzo aktywny o zmierzchu.

ROZDZIAŁ 4

Spotkanie z Emilią i Mirkiem wcale nie było takie straszne, jak Wiktoria myślała. Zarówno siostrzenica, jak i siostrzeniec pogodzili się z perspektywą zamieszkania z ciotką pod jednym dachem bez żadnych pytań, komentarzy czy szczególnych emocji. Początkowo cieszyła się z tego, mając nadzieję, że nadal żywią do niej głębsze uczucia, ale szybko zorientowała się, jak mylna była ta diagnoza. Mimo że rodzeństwo bezustannie się kłóciło i dokuczało sobie na każdym kroku, to w jednym było zadziwiająco zgodne: domyślną postawą obojga była obojętna akceptacja wszystkiego i wszystkich. Gdyby do ich domu wprowadził się Kuba Rozpruwacz, zapytaliby go, czy dziś wieczorem idzie zamordować jakąś prostytutkę, a jeśli tak, to niech wracając, kupi czyste płyty kompaktowe, bo właśnie się skończyły. Gdyby natomiast do ich domu wszedł cyrkowiec ze stadem słoni, poprosiliby go tylko o to, by nie ustawiał swoich zwierząt między kanapą i telewizorem, bo zasłaniają.

Wiktoria nie była ani seryjnym mordercą, ani słoniem, więc tym bardziej traktowali ją jak powietrze. Przez moment myślała, że być może jest to ostentacyjny bojkot, ale i ta diagnoza okazała się nieprawidłowa. Bojkot wymaga jednak jakichś emocji, a siostrzeńcy ewidentnie postanowili pokazać całemu światu, że nie mają żadnych uczuć: nic ich nie obchodzi, nie zaskakuje, nie przeraża, nie dziwi, nie interesuje... Godzili się ze wszystkim, więc również nad obecnością ciotki w ich domu przeszli do porządku dziennego bez żadnych oznak niechęci czy radości. Traktowali ją tak samo jak matkę: „Jesteś, no to jesteś. To se bądź. Okej”.

Chociaż przyjęli podobne pozy, to jednak w nieco odmienny sposób je wyrażali. Mirek podpiął się pod wizerunek zblazowanego mędrca: „Ach, czymże ten świat może mi zaimponować?”, natomiast Emilka odgrywała nadąsaną pannę: „Nie popełnię samobójstwa, bo mi się nie chce”. Rozbieżność w sposobach demonstrowania młodzieńczego nihilizmu wynikała prawdopodobnie z różnic w umysłowości. Mirek był elokwentnym erudyta, który uwielbiał popisywać się wiedzą, natomiast jego siostra, mówiąc delikatnie, nie lubiła obnosić się z rozumem. Nie była głupsza, tylko słabsza psychicznie i mniej czytana, co brat ochoczo wykorzystywał, doprowadzając ją do furii.

Wiktoria miała nadzieję, że w przyszłości będą jednak fajnym, kochającym się rodzeństwem. Kiedy któregoś dnia przy porannej kawie głośno tę nadzieję wyraziła, Mela zareagowała ironicznym śmiechem.

– Zwariowałaś?! Nie ma takiej opcji! Ich należałoby raczej dożywotnio separować, żeby jakiegoś nieszczęścia nie było. Przecież oni się nienawidzą. Jesteś z nimi prawie trzy tygodnie i jeszcze tego nie zauważyłaś?!

– Ale my też nie byliśmy do siebie podobne. Pamiętasz, jak rodzice ciągle powtarzali, że mnie musiała jakaś pijana położna w szpitalu podmienić?

– Trudno nie pamiętać! Ojciec powtarzał to co najmniej kilkaset razy w roku – westchnęła Amelia. – Aż mi ciebie czasami szkoda było...

– Daj spokój! – Wika machnęła niedbale ręką. – Ja ojca rozumiem. Ty byłaś w naszej rodzinie Mirkiem, a ja Emilią. Mądre i grzeczne dzieci zawsze łatwiej kochać...

– No coś ty?! Ja kocham Emilkę!

– A myślisz, że ojciec mnie nie kocha? Problem w tym, że przy takich dzieciach jak ja albo Emilka człowiekowi czasem puszczają nerwy.

– Mnie nerwy puszczają równo przy obojgu. I uwierz, nie raz mój syn wkurzył mnie dużo

bardziej niż ta mała złoźnica. – Mela wyglądała na zasmuconą. – Czuję, że oni się nigdy nie polubią...

– Polubią się, polubią! Zauważyłaś, że mają wszystko w dupie? Ignorują cały świat, ale siebie nawzajem jakoś nijak nie potrafią traktować obojętnie. Bo się lubią, tylko głupia duma nie pozwala im tego przyznać. Za daleko zabrnęli w pyskówkach i teraz jedno drugiemu nie chce ustąpić...

– Bardzo dziękuję za takie lubienie! – prychnęła Amelia. – Przyjaźń byka z torreadorem!

– Nawet jeśli, to najważniejsze, że nie są sobie obojętni. Jak wchodzi obojętność, to już faktycznie kaplica... Niczego na tym nie zbudujesz.

– Być może – ucięła dyskusję Mela, starając się ukryć rozdrażnienie. Obudził się w niej buntowniczy instynkt matki, którą ktoś poucza, jak ma wychowywać własne dzieci. W końcu знаła je dużo lepiej i wiedziała o nich wszystko. Zdawała sobie sprawę, że nie ma szans, by miały się kiedykolwiek porozumieć, więc pokrępiające teksty uważała za czcze gadanie. Na szczęście siostra nie drążyła tematu i rozmowa skupiła się po chwili na babskich zakupach, które zaplanowały na popołudnie.

Wiktoria nadal jednak myślała o Mirku i Emilce. O ile słowo „obojętność” wydawało jej się okropne, o tyle „akceptację” uważała za najładniejsze ze słów. Czowała, że dziwaczne nabzdyczenie siostrzeńców wynika z braku akceptacji. Ktoś kiedyś kazał im zapewne wpisać się w określone wzorce, ktoś ich krytykował, ktoś pouczał i ktoś nigdy nie był do końca z nich zadowolony. Mogła założyć się o wszystkie pieniądze, jakie dostała za sprzedaną w międzyczasie biżuterię, że tym kimś jest jej szwagier. Dzieciaki – najpierw zbyt małe, potem wciąż jeszcze zbyt młode – nie umiały mu się zdecydowanie przeciwstawić, więc w ramach jedyne go protestu, na jaki było je stać, olały cały świat.

Oczywiście prędzej dałaby sobie język wyrwać, niż powiedziała by Amelii o swoich podejrzeniach. Miała świadomość, że stoi na przegranej pozycji – była ostatnią osobą, której wypadałoby dawać ludziom dobre rady i świecić przykładem. Niby jakim prawem ktoś, kto tkwił przez lata w patologicznym związku, miałby teraz pouczać innych? Wolą rozmawiać z siostrą o zakupach.

Tym bardziej że na razie nic nie wskazywało na to, by jej optymistyczne przepowiednie miały się kiedykolwiek spełnić: relacje Emilki i Mirka faktycznie bardziej przypominały szorstką przyjaźń byka z torreadorem niż braterską miłość. Klócili się o wszystko, wręcz szukali okazji do złośliwych zaczepek, które przeradzały się w kłótnie z krzykiem i trzaskaniem drzwiami. W ciągu ostatnich kilkunastu dni Wiktoria miała okazję być świadkiem wielu takich potyczek i zdążyła się już z nimi oswoić, więc kiedy pewnego sierpniowego poranka rodzeństwo ponownie rzuciło się sobie do gardeł, jadła spokojnie jajecznicę, jakby była głuchoniema albo jakby nie rozumiała po polsku.

– Emalia, podaj mi masło, proszę... – Chociaż ton głosu Mirka ocierał się o błaganie, jadłowity uśmiech kompletnie temu błaganu przeczył.

– Goń się, debilu! I nie mów do mnie Emalia, bo za chwilę na łbie ci to masło wyląduje!

– Wybacz, ale nie ja tę naszą chorą anagramową rodzinę wymyśliłem. Nie miałbym tyle fantazji. Romantyczna koncepcja rodziców bardzo mnie jednak, Emalio, zobowiązuje.

– Kleisz, ciotku, co się do ciebie mówi?! – Twarz Emilki oblała się purpurą. – Mamo! Powiedz mu coś...

– Mirek, przestań! – Mela podała synowi masło, dzięki czemu awantura chwilowo przycichła.

Wiktoria dziobała jajecznicę i chichotała się w duchu, bo anagramowa rodzina rzeczywiście powstała z romantycznych porywów Amelii i Sławka. Kiedy ponad dwadzieścia lat temu USG wykazało, że ich pierwotne dziecko będzie chłopcem, wymyślili dla niego imię będące anagramem imienia ojca: Sławomir – Mirosław. A kiedy dwa lata później okazało się, że kolejne dziecko będzie płci żeńskiej, próbowali dokonać podobnej operacji na imieniu Amelii. Musieli się jednak poddać, nie mogli przecież nazwać córki Emalia.

Mirek nie mógł sobie odmówić wykorzystywania tej historii do kolejnych przytyków.

Wysmarowawszy chleb pokąsną porcją masła, z przesadną starannością ułożył na nim sałatę, wędlinę i plasterki pomidora, a następnie wbił zęby w kanapkę, widelec w jajecznicę i chochlikowate spojrzenie w Emilkę.

– Ciesz się, że naszej mamie nie dali na chrzcie Milena.

– Bo co?! – Siostra nie była w stanie tak szybko dostrzec płynących z tego konsekwencji.

– Bo wtedy miałabyś na imię Melina – objaśnił usłużnie. – To już chyba Emalia lepsze, nie?

– Goń się! I przestań do mnie mówić Emalia!!! Mamo...

– Mirek! Przysięgam, jeszcze słowo i pójdziesz ze śniadaniem do piwnicy! Czy w tym domu nie można jednego posiłku normalnie zjeść?! Przestań wreszcie jej dokuczać! Ile ty masz lat? Siedem?! – Twarz Meli była nie mniej czerwona niż twarz jej córki.

– Ale, przepraszam bardzo, czy ja nie mam racji? Gdybyś miała na imię Milena, mamo, to jaki jest anagram tego słowa? Melina! Nie ma żadnego innego.

– Jest jeszcze „laniem”. – Po tygodniach niewtrącania się w rodzinne przepychanki Wiktoria postanowiła w końcu przemówić, czym nieco zaskoczyła zebranych przy śniadaniu domowników. Nie zwracając uwagi na ich zdziwione miny, uraczyła Mirka życzliwym i jak najszczerzym uśmiechem, a potem zwróciła się do siostrzenicy, modląc się w duchu, żeby po pierwszych słowach nie usłyszeć: „Goń się!”. – Emilka, a tak w ogóle to lubisz swoje imię? Bo powiem ci szczerze, że ja swojego nienawidzę i wolałabym, żeby mnie ochrzczili Emalia albo nawet Melina. Takie imiona przynajmniej nie zobowiązują. A moje?! Obarczyli mnie na starcie wyzwaniem nie do pokonania i tylko w wyrzuty sumienia na całe życie wpędzili. Zdecydowanie dalej mi do zwycięstwa niż tobie do prawidłowego anagramu, więc daj sobie...

– Nie może być „laniem” – przerwał jej Mirek. – Imiona żeńskie w języku polskim kończą się na „a”, więc pozostaje tylko „Melina”.

– Masz rację, ale nie do końca. – Starła się ze wszystkich sił, by jej uśmiech nie został odebrany jako złośliwy. – Czy wiesz, że jak dostaję nową klasę pierwszaków, to co najmniej połowa imion dziewczynek nie kończy się na „a”? Miałam, na przykład, Brigid, Charlotte, Mercedes, Emanuelle... I nie są to córki cudzoziemców. Ojciec Mietek, matka Bronka, a ich córka? Emanuelle!

– Widocznie Mietek i Bronka mieli jakieś kompleksy i postanowili je zrekompensować imieniem córki. Każdy radzi sobie ze swoją małostkowością na własny sposób. Jeśli im od tego lepiej, to proszę bardzo. Co mnie to obchodzi? Jak komuś się to podoba... – Wzruszył ramionami, wycofując się w nonszalancki tumiwizizm. – Chociaż ja w życiu nie dałbym córce na imię Brigid albo Emanuelle.

– Najpierw musiałbyś mieć córkę, tumanie! – Siostra spojrzała na niego ni to z obrzydzeniem, ni to z politowaniem. – Z kim niby chcesz mieć dzieci? Chyba z jakąś sypiącą się profesorką, co podbija do zakuwających łbów! A może zamierzacie coś adoptować ze swoim przygłupim kolegą Rafałem?

– Skąd wiesz? – zapytała Wiktoria, która zauważyła, że chłopak na chwilę znieruchomiał i zacisnął szczęki. – Skąd wiesz, czy nie znajdzie się jakaś dziewczyna, która spełni ambitne wymagania mojego siostrzeńca?

– Chyba nie czaisz, co mówisz?! – Emilka popukała się w czoło.

– Dlaczego?

– Bo każda normalna dziewczyna ucieknie spod dzidy takiego nolajfa jak on! Moje kumpele nie rozumieją, jak my możemy być ze sobą spokrewnieni.

– Tego to akurat ja też nie rozumiem... – Mirek wzruszył ramionami. – Ale wyjaśnij mi, z łaski swojej, kogo miałaś na myśli, mówiąc „normalna dziewczyna”? Chyba nie którąś ze swoich koleżanek?

– Bo co?!

– Bo jeśli wszystkie dziewczyny byłyby takimi dodoidami jak ty i te twoje kumpele, to masz rację, potomstwa bym się nie doczekał. Nie tylko ja. Każdy facet straciłby przy was chęć na przedłużanie gatunku metodą tradycyjną.

– Zdziwiłbyś się, jak wielu ma na to ochotę! – W przeciwieństwie do brata Emilka gotowała się ze złości.

– Naprawdę? No zobaczcie! – Spojrzał na matkę i ciotkę, kiwając głową z niedowierzaniem. – A mówią, że to kobiety powinny uważać na pigułki gwałtu... – Przerzucił wzrok na siostrę. – Powiedz, ile musicie wsypać gościowi do drinka, żeby miał na was ochotę? Ile opakowań, a nie tabletek, oczywiście...

– Przestańcie wreszcie! Oboje! Oboje będziecie jeść i mieszkać w piwnicy!!! – Mela oparła łokcie o stół i ukryła twarz w dłoniach. Po chwili spojrzała na Wiktorię przez palce.

– Wytrzymujesz? Bo ja mam w tym już niezłą zaprawę, ale ty? Dajesz radę?

– No wiesz... – Wika zauważyła, że rodzeństwo zgodnie zamilkło i wyraźnie czekało na to, co ciotka odpowie. – Daję radę. Może dlatego, że też mam niezłą zaprawę? W pracy.

– Czyli, jak mniemam, zachowujemy się jak dzieci w wieku wczesnoszkolnym?

– zainteresował się uniżenie Mirek. – A system kar i nagród dla tej fazy rozwojowej przewiduje zamykanie w piwnicy?

– Absolutnie nie! Dlatego jeśli już, to prędzej ja z waszą matką wyprowadzimy się do piwnicy, niż wy zostanieie tam zamknięci. Uważam zresztą, że nie jest to zbyt straszna perspektywa: podziemia waszego domu są zaopatrzone w takie zapasy picia i jedzenia, jakby to był schron przeciwatomowy. Na dłuższą metę chyba wyszłybyśmy na tej przeprowadzce lepiej niż wy...

Zawiesiła głos, czekając na reakcję Mirka i Emilii, ale ponieważ oboje twardo milczeli, mówiła dalej.

– Poza tym macie nad moimi uczniami zdecydowaną przewagę: oni wyzywają się w zrozumiałym dla mnie języku, a wasze teksty nie zawsze... nie zawsze... no... jak to mówicie? sklejam? – Uśmiechnęła się do siostrzeńca. – Możesz mi z łaski swojej wyjaśnić, co to znaczy, że ty jesteś nolajfem, a ona i jej koleżanki dodoidami? Bardzo staro się przez was czuję: jakbym się obudziła z hibernacji po upływie kilku epok literackich.

– Mirek! Nie mów! Jak powiesz, to będą tego używały! – zakrzyknęła Emilka niemal z rozpaczą. – Najgorsza żenada, jak starzy próbują gadać tak jak my. Szału można dostać!

– Czilautuj, mała. – Wiktoria starała się powiedzieć to jak najbardziej zblazowanym tonem. – Przysięgam, że nie będę mówić jak wy.

– A co to za słowo? Czilautuj??? – Siostrzenica patrzyła na nią z jeszcze większą odrazą niż na brata. – Co to ma być?

– No tak się podobno mówi... – Widząc coraz okrągłejsze oczy Amelii, dorzuciła na tym

samym wydechu: – Gdzieś słyszałam... w szkole. Od jakiejś koleżanki albo kolegi.

– I proszę bardzo! – prychnęła Emilka. – Czyli masz w robocie kolejną nowoczesną mamuszkę albo tatuśka? Wie, że dzwonią, tylko nie wie, w której dzwonnicy!

– Kościele, nie dzwonnicy – poprawiła ją szybko matka. – Mówi się: słyszy, że dzwonią, ale nie wie, w którym kościele.

– Przecież to jedno i to samo. Widziałas kiedyś kościół bez dzwonnicy?!

– Ja kiedyś zwariuję... – Amelia ukryła twarz w dłoniach. – Przysięgam, zwariuję i każdy sąd mnie uniewinni za to, co zrobię tuż po tym, jak postradam zmysły!

– Jeśli masz na myśli dzieciobójstwo, to nie liczyłbym na uniewinnienie. Mogą cię najwyżej wsadzić do jakiegoś psychiatryka zamiast do więzienia. Ale tam też odsiedzisz dożywocie. Mówi to student prawa. – Mirek miał taką minę, jakby już od dawna posiadał własną kancelarię adwokacką z samymi wygranymi sprawami na koncie. – Postaraj się nas zatem nie mordować, choćby tylko dla własnego dobra. Ojciec też by ci nie darował. To znaczy nie tego, że nas zabiłaś, bo z tego to może akurat i byłby na dłuższą metę zadowolony. Natomiast na pewno by ci nie wybaczył tego, że siedzisz w psychiatryku i nie rozwijasz przed domem czerwonego dywanu na jego przyjazd.

– No! Tatuś by się na maksa zjeżył, gdyby nie został powitany fajerwerkami z chleba i soli. – Emilia zachichotała złośliwie i przez krótką chwilę patrzyła na brata ze szczerą sympatią.

– Wy naprawdę jesteście potworami – westchnęła Wiktoria. – A gdzie litość i szacunek dla starych, steranych życiem rodziców? Żadnych świętości już ta dzisiejsza młodzież nie uznaje, prawda, Melciu? – zwróciła się do siostry z udawanym oburzeniem. – Za naszych czasów byłoby to nie do pomyślenia!

– Narzekanie na młode pokolenie znane jest już od starożytności. Czy zna ciocia poglądy Seneki na...

– Nie! – przerwała mu natychmiast. – I nawet nie próbuj mi ich przedstawiać, bo w życiu żadnego filozofa nie zrozumiałam. Ale znam za to Tuwima, który powiedział, że życie to czas, którego pierwszą połowę zatruwają nam rodzice, a drugą dzieci. Miejcie więc litość dla matki i nie zatruwajcie za bardzo.

– Święte słowa! – Amelia aż klasnęła.

– Coś w tym jest... – Zamyślił się na chwilę jej syn. – Czyli wynika z tego...

– Że najgorsze dopiero przed wami. – Wiktoria przyłączyła się do wesołości siostry.

– Poczekajcie, aż będziecie mieć dzieci. Życzę wam takiej samej parki, jaką wy jesteście!

– Oszalałaś?! – Mela złapała się za głowę. – To moje wnuki będą!

– Czil! – Emilka wydeła usta. – Damy radę.

– No proszę! Z mojego „czilautuj” się śmiałaś, ale twoje „czil” może być? I gdzie tu sprawiedliwość?

– Bo nie mówi się „czilautuj”, tylko „wycziluj”. A w waszym wieku to najlepiej powiedzieć: „uspokój się” i na tym poprzestać. Przynajmniej błędu nie zrobicie i się nie skompromitujecie – wyjaśniła z niezwykłą dla siebie cierpliwością, którą jednak już po chwili miała stracić.

– To nie zależy od wieku, tylko od poziomu umysłowego. – Mirkowi najwidoczniej przeszkadzał względnie spokojny ton rozmowy. – Ja też zdecydowanie wolę mówić: „uspokój się”. A te wszystkie protezy językowe są dobre dla takich dodoidów jak ty i te twoje głupie koleżanki.

– Sam jesteś głupi!

– Na pewno! I na pewno jestem za głupi, żeby posługiwać się tymi waszymi inteligentnymi tekstami: „Hejka, Emi! Czaisz? Ściągnęłam zajefajną muzę na kompa.

Megawykon!”. – Tak komicznie przedrzeźniał słodki dziewczęcy głos, że Wiktoria i Amelia z trudem hamowały wesołość, która dołałaby tylko oliwy do ognia.

– Spadaj, cwelu! – Emilka wstała od stołu. Wrzuciła talerz do zmywarki i ostentacyjnie zadzierając brodę, wyszła z kuchni.

– Musisz się tak nad nią pastwić? – zapytała Mela przyciszonym głosem. – Starszy jesteś, powinieneś być mądrzejszy... Widzisz, jak ona szybko się denerwuje.

– Kupi sobie nowy tusz do rzęs i jej przejdzie. – Wzruszył ramionami.

– A co to znaczy „dodoid”? I to drugie, co ty nim podobno jesteś? – dociekała Wiktoria.

– Nolajf? – Mirek uśmiechnął się niemal z dumą, jakby nie uważał tego słowa za szczególną obelgę. – W ich słowniku to osoba pozbawiona życia towarzyskiego, odizolowana od świata, zamknięta w pokoju z gramami komputerowymi... Rozumiecie? Te kretynki, jak nauczą się cudem kilku angielskich słów, to natychmiast dorabiają im polskie końcówki i są dumne ze swojego wkładu w ojczyste słowotwórstwo. Tak jak z tym głupkowskim „wycziluj”.

– A dodoid to też z angielskiego?

– Nie, nie! Dodoid to od Dody, tej piosenkarki. Tak z kolegami nazywamy dziewczyny z gatunku mojej siostry i jej koleżaneczek. Chciałyby wyglądać jak Doda, ale nie dysponują ani wystarczającą urodą, ani pieniędzmi. Bo o głosie nawet nie wspominam...

– Czyli co? – Mela ściągnęła brwi i widać było, że w wyobraźni porównuje wygląd swojej córki z wizerunkiem celebrytki.

– Mamo! Na litość boską! Naprawdę nie widzisz, jakie one są wszystkie do siebie podobne? – Mirek wyprostował dłoń tuż przed jej nosem i zaczął wyliczać, zaginając palce: – Kilogramy tandetnej biżuterii. Rzęsy posklejane od tuszu. Opaska do włosów zamiast spódnicy. Obowiązkowy blond. Sarkastyczny nosowy ton... – Zabrakło mu palców, więc zaczął je odginać.

– Charakterystyczny głupkowski chichot. Obcasy takie, że ściany się muszą trzymać, żeby iść. Proca, czyli wystające z dzinsów stringi. Wielobarwne pazury. No i generalnie brak umiaru.

– Dłoń przed nosem Meli znowu była wyprostowana. – Mam mówić dalej?

Nie musiał pytać, bo widać było, że matka ma już ewidentnie dość.

– No dobrze. A dlaczego ona powiedziała o tobie, że jesteś nolajfem? – Załamana charakterystyką córki postanowiła ratować przynajmniej swoje wyobrażenie o synu. – Przecież wychodzisz z domu i nie siedzisz zamknięty sam w pokoju. Masz tylu kolegów...

– Tak, ale nie chodzę na te ich melanże ani nawet na bifory... – Zaśmiał się, słysząc jęknięcie Amelii i Wiktorii. – Już tłumaczę! Bifor to spotkanie przed wyjściem na dyskotekę. Towarzystwo gromadzi się u kogoś w domu i pije. Po pierwsze, po to, żeby wprowadzić się w nastrój, a po drugie, żeby nie wydać za dużo kasy na alkohol w knajpie. To nie dla mnie. Ja, z dwojga złego, wolę być nolajfem, niż przebywać z dodoidami... No, no, proszę, proszę! O wilku mowa... Księżniczka nałożyła tapetę i dąsy przeszły jak ręką odjął? – powitał Emilię, która weszła do kuchni i wyraźnie go ignorując, zajęła się parzeniem herbaty. – W takim razie więcej paniom nie przeszkadzam i jak każdy rasowy nolajf odpływam w bezbarwny niebyt, z którego wyłonię się dopiero za tydzień. – Wstał, a potem złożył matce i ciotce kurtuazyjny ukłon.

– Jak to za tydzień? – zaniepokoiła się natychmiast Mela. – Gdzie ty się wybierasz?

– Wyjeżdżam z chłopakami nad jezioro. Wynajęliśmy domki campingowe pod Inśkiem...

– Czemu dopiero teraz się o tym dowiaduję?!

– Bo sam dowiedziałem się o tym zaledwie godzinę temu. – Ponownie się uklonił.

– Do końca nie było pewne, czy damy radę wszystko zorganizować.

– Ale dlaczego nie powiedziałaś, że w ogóle coś planujecie? – Amelia popatrzyła na Wiktoryę wzrokiem, który mówił: „No i widzisz, co ja z nimi mam?!”.

– Z oczywistych powodów, mamusi. – Mirek ucałował ją w czubek głowy. – Bo żyć byś mi nie dała. Zaczęłaś od wyprania plecaka, a skończyła na sprawdzaniu długoterminowych prognoz i łamaniu rąk, że ma padać. Potem kupiłaś mi pałatkę i kalesony w tym samym kolorze i przez cały czas sto razy dziennie pytałaś, czy już coś wiadomo i dlaczego jeszcze nie, i kiedy wreszcie będzie wiadomo. Ponadto tysiąc razy dziennie namawiałaś, żebym jednak nie jechał, bo rano przeczytałaś w gazecie, że pod Rysami kogoś zabił piorun, a wieczorem usłyszałaś w *Faktach*, że w Grecji porywają do domów publicznych, z czego wynika niezbiecie, że jeśli wyjadę nad jezioro, to zabije mnie piorun w ińskim burdelu. Przerosłoby mnie to, więc milczałem. Dokładnie tak, jak milczy w tej chwili moja ukochana siostra Emalia. Widocznie to u nas rodzinne... Idę się pakować, bo za trzy godziny wyjeżdżam. – Raz jeszcze ucałował matkę w czubek głowy i pobiegł na piętro.

– Zapakuj ci jedzenie! – krzyczała za nim Mela, podnosząc głos tym bardziej, im mniej było słychać tupanie syna. – Trochę słoików! Makaron! Jakiś sok i mleko w kartonie!!!

– Przestań się drzeć. – Wiktoria zasłoniła uszy. – Myślisz, że w Ińsku jeszcze nie wynaleźli makaronu i mleka w kartonie?

– Ale po co ma kupować, jeśli może wziąć z domu? Jest tego cała piwnica.

– Najlepiej to z nim jedź i pilnuj, czy dobrze podtarł du... tyłek. I nie pakuj mu mleka w kartonie, tylko w butelce ze smoczką – odezwała się Emilka, która od momentu ponownego pojawienia się w kuchni stała odwrócona plecami i całą uwagę skupiała na parzeniu herbaty oraz dodawaniu do niej jakichś granulek z torebki opatrzonej napisem FITNESS STYLE.

– O co wam chodzi?! Czy ja wam krzywdę jakąś robię? – Mela wyglądała na szczerze załamana, a w jej głosie było tyle rozgoryczenia i żalu, że udało jej się poruszyć nawet zazwyczaj chłodną i cyniczną córkę.

– Mamo... – Usiadła na krześle, które przed chwilą zajmował brat. – Fajnie, że o nas dbasz. Tylko wrzuć trochę na luz i zrób z tego wersję demo, dobra? My naprawdę jesteśmy już na tyle duzi, że sami potrafimy zorganizować sobie papier toaletowy, i wyrosliśmy już z pieluch. A ty nas traktujesz, jakbyśmy mieli po kilka lat, i ciągle dręczysz jedzeniem albo pytaniami dosłownie o wszystko. Może powinnaś zająć się czymś sensownym? Jakiejś pracy, na przykład, poszukać?

– Gdzie ja teraz znajdę pracę?! W moim wieku? Bez żadnego stażu? Miałam dwadzieścia jeden lat, jak zaszłam w ciążę. Urodziłam Mirka, zaraz potem ciebie. Miałam iść do pracy, a was na ulicy zostawić?!

– Wystarczyłoby w przedszkolu. Po co od razu startujesz w dramat z ulicą? – Skrzywiła się Emilka. – Jak nie znajdziesz pracy, to może jakiś inny wentyl sobie wymyśli? Bo ja wiem...? Na drutach zacznij robić albo dokarmiaj koty?

– No szlag mnie zaraz trafi i padnę trupem! – Wygląd Amelii wskazywał, że to zdanie może okazać się prorocze. – Całe życie wam poświęciłam, warowałam przy was jak pies. Czy kiedyś czegoś w tym domu zabrakło?! Inne dzieci po rękach by takich rodziców całowały, a ty mi każesz na drutach robić!

– A czy to nasza wina, że tak, a nie inaczej życie sobie ułożyłaś? – Dobrotliwość Emilki jechała na oparach. – Kto wie? Może lepiej by było, gdybyś nas jednak na ulicy zostawiła?! Przynajmniej nie wpędzałaś teraz całej rodziny w poczucie winy, że zmarnowaliśmy ci życie!

– Co ty wygadujesz?! Nie zmarnowaliśmy mi życia! Ja tylko nie rozumiem, co w tym

dziwnego, że dbam o własne dzieci? Martwię się o was, troszczę... A jedyne, co dostaję w zamian, to wyzwiska i awantury!

– Przestań się nakręcać... Nikt cię nie wyzywa...

– No jeszcze tego by brakowało, żebyście mnie wyzywali!!! – Amelia wzięła kilka głębokich wdechów i po chwili zaczęła mówić zupełnie spokojnie. – Miałam na myśli wasze awantury. Sądzisz, że przyjemnie mi tego słuchać? Dlaczego bez przerwy kłócisz się z Mirkiem?!

– Bo to debil – padło rzeczowe wyjaśnienie.

– I nie dasz rady normalnie z nim rozmawiać?

– Normalnie to się rozmawia z normalnymi ludźmi, a nie z debilami – Emilka wyrzuciła z siebie kolejny związany argument...

Wiktoria przestała ich słuchać. Pogrążyła się we własnych rozmyślaniach po tym, jak Emilka zasugerowała matce pójście do pracy, a ta wykrzyczała, że już na to za późno. Miała rację. Rynek pracy skazywał ją na porażkę. Ale mimo wszystko była w komfortowej sytuacji: Sławek zapewniał im przecież wszystko, co potrzebne do życia. I to do życia na nie byle jakim poziomie. A co ona, Wiktoria, zrobiłaby teraz, gdyby nie miała pracy?

Błogosławiła się za to, że chociaż we wszystkim ustępowała Pawłowi, to nigdy nie dała mu się namówić na porzucenie szkoły. A tyle razy nalegał, tłumacząc, że obowiązki zawodowe Wiktorii tylko przeszkadzają we wspólnych wyjazdach, imprezach i w ogóle we wszystkim. Na dodatek wciąż jej wypominał, że zarabia śmieszne pieniądze. Być może dałaby się namówić na rzucenie pracy, gdyby tak bardzo jej nie lubiła. I tych maluchów, które kleiły się do niej z bezkrytyczną miłością i jeszcze bardziej bezkrytycznym podziwem.

Co by dzisiaj zrobiła, gdyby wtedy jednak uległa i porzuciła ukochaną posadę?

Wzdrygnęła się kilka razy, jakby ogarnął ją syberyjski ziąb. Potrząsnęła głową, żeby wyrzucić z niej czarne myśli, i szybko wróciła do rzeczywistości, czyli do kuchni, w której toczyła się dalsza burzliwa wymiana zdań między matką i córką.

– Ja wiem, że Miruś to wasz ukochany synek! Bo taki mądry jest, prawda?! I nigdy z nim problemów nie mieliście, prawda?! Wieczny kujon, który wzorowo zdał maturę i wzorowo zdał na prawo! – Dziewczyna żywo gestykulowała, opierając się biodrem o stół. – Nie to co ja: zakała rodziny! Ale jeszcze się zdziwicie! Zobaczysz!!!

– Ja chyba naprawdę dzisiaj zwariuję! – wymamrotała Mela, wznosząc oczy do nieba.

– Za co mi to robisz? Czy ja kogoś okradłam albo zabiłam? A może coś ci się w kartotece pomieszało i z kimś mnie pomyliłeś?

– Nie ma to jak pomonologować z Bogiem zamiast z dzieckiem. Gratuluję kontaktu. Czill! Dyskusję uważam za zamkniętą. – Emilka wróciła do blatu, siorbnęła herbaty i dorzuciła do niej kilka granulek fitness style. Zamieszała, znów spróbowała, a potem wypila wszystko i podniosła kciuk, śmiejąc się ostentacyjnie. – Pycha! Daję mojej odchudzającej miksturze lajka. Emilia Czubatka lubi to! Ciotka, mogę ci też zrobić. Chcesz?

Wika, pogrążona w czarnych myślach związanych z ewentualnym bezrobociem, nie wiedziała, czym uraczyły się w międzyczasie te dwie damy, więc nie potrafiła zgadnąć, czy powinna być teraz dramatyczna, czy raczej komiczna. Wybrała najbezpieczniejsze rozwiązanie: powrót do pytania, które zadała wcześniej.

– No właśnie... Emilio Czubatka... Mniejsza o odchudzającą miksturę, za którą chwilowo dziękuję... Lubisz swoje imię?

– Może być. Nie zastanawiałam się jakoś nigdy, ale za to nie ba... – Przerwała na widok

Mirka, który wpadł do kuchni jak piorun kulisty i trząsał kolejnymi szufladami. Przypomniała sobie jednak szybko, że obiecała sobie traktować go, jakby był niewidzialny, i powróciła do urwanej kwestii. – Imię lubię, ale za to nie bardzo mi się podoba nasze nazwisko. Czubatka! Strasznie infantylne, nie? Na szczęście kiedyś wyjdę za mąż i je zmienię. Mam nadzieję, że zmienię na jakieś niebanalne i rzadkie...

– Proponuję: Sraczka. Trudno o rządsze nazwisko, prawda? – Widać było, że chłopak pakuje się w pośpiechu, bo niemal wybiegał z kuchni, podrzucając odnalezione w dziesiątej szufladzie opakowanie baterii. Zatrzymał się jednak na chwilę w progu i przesłał Emilce całusa. – Będziesz za mną tęsknić? Bo ja ogromnie!

– Ja też! Jak cholera! – krzyknęła za oddalającym się bratem. – Najlepiej tu nie wracaj! Nigdy!!!

– Masz ochotę na spacer? – Amelia błagalnie spojrzała na siostrę i dźwignęła się zza stołu z takim trudem, jakby nagle przybyło jej dwadzieścia lat. – Bo ja muszę stąd natychmiast wyjść...

Kilka minut później wlekły się po zadbanych uliczkach podmiejskiego osiedla. Mela nie przestawała głośno biadolić nad bezmiarem podłóści własnych dzieci, a Wika roztrząsała w myśli swoją ponurą biografię.

– Może to głupio zabrzmie, ale nie masz pojęcia, jak ci teraz zazdroszczę – lamentowała Amelia, ciągnąc swoje gorzkie żale. – Czy widzisz, co ja mam za życie?! Ty wychodzisz na prostą i masz jakieś widoki na przyszłość. A ja?! Ja jestem zerem, które zadręcza rodzinę!

– Przesadzasz. Ciesz się, że masz kogo zadręczać. Gdybym miała dzieci, też pewnie bym je zadręczała, w ich mniemaniu, oczywiście... Poza tym wygląda na to, że posłuchałaś Emilki i dałaś sobie trochę na luz?

– Skąd takie przypuszczenie? – Mela złapała siostrę za rękę i pociągnęła w kierunku małej cukierni po drugiej stronie ulicy. – Chodź! Muszę zjeść coś słodkiego. Może mi cholera przejdzie chociaż trochę.

– Jak to skąd? Przecież Mirek za chwilę wyjeżdża, a ty, zamiast pakować mu słoiki, wyszłaś z domu i wleciesz mnie na ciastka. Matka dręczycielka nigdy by tak nie zrobiła.

– E tam! To nie ma znaczenia! – Amelia pchnęła drzwi do cukierni z impetem godnym kowboja wchodzącego do saloonu. – Gdybym została, to w końcu któreś z nich zarobiłoby w łeb. Nie wiem czym, plecakiem, słoikiem, tłuczkiem do mięsa?! Smarkate potwory!!!

– Z tym „smarkate” trochę przesadziłaś... Co bierzemy? – Osłonięta szybą lada kusiła smakołykami.

– Nie wiem, ale zaraz się dowiem. – Mela wyszczerzyła zęby do stojącej przy kasie niemłodej już kobiety. – Proszę pani, które ciastko ma najwięcej kalorii?

– Tort bezowy – bez wahania odpowiedziała sprzedawczyni. – Zjedzą panie przy stoliku czy zapakować?

– Przy stoliku.

– Mąż, dzieci czy szef? – Kobieta starała się jak najostrożniej odkroić dwa kawałki z ogromnego krążka, który przypominał suknię ślubną angielskiej księżniczki. Położyła je na wagę i wystukując rachunek, rozumiejąco patrzyła na Amelię.

– Szefa brak, a męża też mam tylko poniekąd.

– Rozumiem. Niewesołe jest życie kobiety, prawda? – Westchnęła tak ciężko, jakby to ona przed chwilą klóciła się z Emilką i Mirkiem. – Czy coś jeszcze?

Obydwie zdecydowały się wypić kolejną kawę. Zapłaciły na spółkę, a potem usiadły przy

miniaturowym stolicku na zewnątrz. Błat ledwo zmieścił filiżanki i talerzyki.

– Mówię ci, kiedyś ich wszystkich pozabijam. – Mela zamilkła na dłuższą chwilę, po czym niespodziewanie prychnęła śmiechem. – Nie mówiłam, że moje dzieci to potwory? Nolajf i dodoid... Cudne!!! Sławek na pewno pęknie z dumy, jak mu powiem, co spłodziliśmy.

– Przestań dramatyzować. Dzieciaki masz zupełnie normalne. Tylko my jesteśmy trochę za stare, żeby za nimi nadążyć. Ot co!

– O Mirka się nie martwię, ale o Emilkę bardzo.

– Dlaczego? – Wiktoria miała zupełnie inne odczucia, postanowiła ich jednak chwilowo nie ujawniać.

– Bo Mirek to mądry i ogarnięty chłopak. Da sobie radę w życiu. Ma charakter po ojcu: silny, zdecydowany i twardy. Natomiast Emilka... Ja nie wiem, po kim ona ma charakter. Żadnych planów na życie, a w tym roku matura.

– Jak to po kim ma charakter? Po mnie! Z góry przepraszam! – Zaśmiała się Wika.

– No coś ty? Zupełnie nie jesteście do siebie podobne.

– Bardzo jesteśmy, jak na mój gust. Czasami kiedy na nią patrzę i jej słucham, mam wrażenie, że Emilka jest moim klonem. Tylko żyjącym kilkadziesiąt lat później. Stąd ta różnica w makijażu, w języku, w sposobie okazywania emocji...

– Nie, nie! – Amelia machnęła przecząco widelczykiem. – Ty zawsze wiedziałaś, czego chcesz. A ona nie wie.

– Ja?! Nigdy nie wiedziałam, czego chcę! Płynęłam z nurtem, nigdy nie próbowałam pod prąd. I wydaje mi się, że tak samo robi twoja córka. Poza tym... – Wiktoria spojrzała na siostrę zaczepnie. – Skąd wiesz, że ona nie wie, czego chce? Może wie, tylko boi się powiedzieć?

– Co ona tam wie? – Wzruszyła ramionami Mela. – Jak mawia nasza mama: tyle wie, ile zje. A do tego, jak powiedział dzisiaj Mirek: rzęsy sobie skleja, zamiast je malować, i opaskę zakłada na tyłek zamiast na głowę. Gdyby była chociaż w połowie taka jak on... Ale gdzie tam! Tylko by za chłopakami ganiała i słuchała tego bębnienia, które nazywa muzyką.

– To chyba normalne w jej wieku, że gania za chłopakami... A Mirek? Miał kiedykolwiek dziewczynę?

– No co ty?! On jest zdeklarowanym mizoginem. Uważa, że baby są bezgranicznie głupie. Nie wyłączając pewnie i mnie. Może to przez Emilkę i jej koleżanki tak ma?

– Dziwne, nie? – Wiktoria wbiła wzrok w upaprany słodką masą talerzyk. – Jest przystojny, inteligentny, ładny, dowcipny... – wyliczała przymioty siostrzeńca, nieco nadgorliwie zgarniając z porcelany kremowe smugi.

– No jest. Ale jeszcze się taka nie urodziła, co by mu dogodziła. Niestety! Mówię ci, mój synek ma bardzo wysokie wymagania. Wątpię, czy kiedykolwiek znajdzie dziewczynę, którą będzie kochał, zamiast nią gardzić.

– Też się nad tym zastanawiałam... czy on w ogóle szuka dziewczyny... – Wika, mimo że nie patrzyła na siostrę, wiedziała, że ta przestała jeść i patrzy ponagląco. Nie mogąc wytrzymać przedłużającej się ciszy, podniosła w końcu wzrok. Natrafiła na wytrzeszczone oczy i rozchylone usta Amelii. – Nigdy o tym nie pomyślałaś? Że on nie szuka dziewczyny i nigdy nie będzie szukał?

– Co ty chcesz przez to powiedzieć?!

– Nic. To tylko taka sugestia... I wolne wnioski...

– Chcesz mnie zabić? Czy rozśmieszyć? – Mela bujała się na krześle, błędząc

widelczykiem po talerzu. – Sugerujesz, że Mirek jest gejem?

– Nie... Nie wiem... Ale... Przyznasz, że to dziwne, że chłopak po dwudziestce nigdy nie miał dziewczyny... Może się mylę... Prawie na pewno się mylę... Ale...

– Niemożliwe! Nie ma takiej opcji! – Krzesło Amelii huknęło wszystkimi nogami o uliczny bruk. – Za dużo telewizji się naoglądałaś! Ja wiem, że w dzisiejszych czasach to ani filmu, ani książki, ani nawet programu partyjnego bez geja się nie przepchnie, ale nie myl mojego życia z filmem, modą i parlamentem. Błagam! Nie dokładaj mi, bo naprawdę dość mam problemów na głowie.

– Nie denerwuj się. Na pewno się mylę.

Zamilkły na kilka długich minut, podczas których unikały nie tylko słów, ale nawet patrzenia na siebie.

– Wika...

– No?

– Zapaliłabym.

– Najpierw kalorie, teraz tytoń... Postanowiłaś się unieczystwić? – Wiktoria wstała z krzesła. – Zamów jeszcze jedną kawę, a ja skoczę do sklepu na rogu. Jakie chcesz?

– Takie, które mają najwięcej nikotyny! Żartuję... Nie wiem. Jakieś miętowe. Wszystko mi jedno.

– To może jeszcze flaszkę czystej kupię i rozpijemy ją na ławeczce w parku? Albo butelkę denaturatu od razu? Jak szaleć, to szaleć!

– Super pomysł. – Uśmiechnęła się słabo Mela. – Kup i to, i to. Najpierw wypiję flaszkę czystej, potem poleję się denaturatem, a na koniec zapalę papierosa i zgaszę go sobie we włosach. Idź! A ja zamówię kawę i zorganizuję jakąś popielniczkę.

Czekając na Wiktorię, po raz setny rozważała hipotezę, że Mirek jest homoseksualistą. Raz wydawało jej się to absurdalne, innym razem całkiem prawdopodobne. W jednej chwili mnożyła argumenty za, chwilę potem znajdowała tysiące argumentów przeciw. Najsilniej przemawiał jednak fakt, że jej syn rzeczywiście nigdy nie miał żadnej dziewczyny. Ba! Nie mogła sobie nawet przypomnieć, żeby o jakiejś opowiadał ze szczególną sympatią, żeby poszedł choć raz do kina z koleżanką z liceum albo ze studiów, żeby przyprowadził którąś do domu... Nigdy...

A jeśli? Jeśli Wiktoria ma rację?

W takim razie co z niej za matka, że dotychczas nie zwróciła na to uwagi? Dlaczego jej to nie zaniepokoiło? Nawet przez myśl nie przeszło!

Może dlatego, że wystarczająco dużo zamieszania robili znajomi Emilki, która dla odmiany prowadziła aż nazbyt wybujałe życie towarzyskie – trudno było zliczyć koleżanki i kolegów, których spraszała do domu. W porównaniu z siostrą Mirek wydawał się miodem na zniekane matczyne serce – cichy, spokojny, poukładany chłopiec.

No właśnie! Dlaczego Emilka wykrzyczała dzisiaj, że on ich jeszcze zadziwi, bo wcale nie jest taki idealny, jak mogłoby się zdawać? Czyżby coś wiedziała?

Ale z drugiej strony to, że nie umawia się z dziewczynami, wcale nie musi oznaczać, że jest gejem. Amelia zdawała sobie sprawę, że jej syn ma zawyżone poczucie własnej wartości, jest w sobie wręcz bezkrytycznie zakochany i trudno o kobietę, która mogłaby mu zaimponować. Była pewna, że Mirek nie umówiłby się nawet z miss świata, gdyby nie miała jeszcze szerszych horyzontów niż on. A że o kobietach zdanie miał nie najlepsze, tym trudniej było im się przebić do jego serca. Powtarzał, że bardziej ceni sobie towarzystwo kolegów, bo dziewczyny są

bezwartościowe, płytkie, monotematyczne i wrzaskliwe. Lubił też mawiać, że zatrzymały się w ewolucji w dniu, w którym wynaleziono lusterko.

Tak. Jedno było pewne: zawsze otaczali go koledzy. Zrobiła szybki przegląd w pamięci: Arek, Norbert, Krystian, Leszek, Bogdan, Irek... No i przede wszystkim Rafał – najbliższy chyba przyjaciel. Przychodził często i nawet kilka razy został na noc. Mieszkał na drugim końcu Szczecina, więc kiedy zdarzało mu się czasami zasiedzieć do późna, sama proponowała, żeby u nich nocował... Emilka dzisiaj o nim wspomniała. Ale w jakim kontekście? Mela starała się odtworzyć w pamięci poranną pyskówkę. Tyle tego było, że z trudem przypominała sobie kolejne wątki. Dodoidy... nazwisko... wyjazd pod namiot... nolajf... „Z kim niby chcesz mieć dzieci? Ze swoim przygłupim koleżką Rafałem?” – szufladka w głowie otworzyła się z hukiem, Mela cicho jęknęła.

Mirek i Rafał...? Wyobraźnia podsunęła obrazek, od którego zrobiło jej się słabo.

– Mogą być takie?

Amelia drgnęła wystraszona nagłym pojawieniem się paczki papierosów tuż przed jej oczyma.

– Zawału omal przez ciebie nie dostałam! – Wzięła z rąk siostry wąskie białe-zielone opakowanie, a potem szybko zdjęła folię. – Nie zachodź mnie tak od tyłu. Moje nerwy są bardziej zszarpane niż najnowsze džinsy Emilki. A pomyślałaś o ogniu?

– Proszysz... – Wika wyjęła zapalniczkę z kieszeni. – Czasami uda mi się pomyśleć.

– Przekręciła kółeczko i podsunęła Meli niebieski płomyk. – Kiedy ostatnio paliłaś?

– Nie tak dawno. Kupuję sobie paczkę od czasu do czasu. – Siwy obłok zniknął na jakiś czas w ustach Amelii. – Nie ma reguły... – Wypuściła dym. – Potrafię się bez nich obyć całymi miesiącami, ale zdarza się, że w kilka godzin wciągnę całą paczkę. Na zakrapianej imprezie, na przykład, albo jak mnie dzieciaki wkurzą, albo jak się dowiaduję z telewizora, że w Japonii wypierdzieliło w kosmos wszystkie elektrownie atomowe i licznikom Geigera skończyła się skała, a wiem, że Sławek stoi tam akurat na redzie i przez kilkanaście godzin nie mam go w komputerze... Wtedy odpalam jednego od drugiego. A ty?

– Od ośmiu lat nie miałam papierosa w ustach. Paweł nie lubił ani nikotyny, ani alkoholu. Zawsze mówił, że tylko słabi ludzie pozwalają, by rządziło nimi uzależnienie. A on gardził słabymi ludźmi. – Twarz Wiktorii przybrała mściwy wyraz. – Dawaj zapalniczkę! – Wyciągnęła papierosa i oglądała go przez chwilę dokładnie. – Nawet nie wiedziałam, że produkują coś takiego. Ustnik w kwiatuszki? Perwersja! A pamiętasz, jak jarałyśmy w twoim pokoju i nagle weszła mama? Wyrzuciłyśmy fajki przez okno prosto w stos drewna, które ojciec dopiero co narąbał do kominka i odłożył, żeby schło. Umierałam wtedy ze strachu, że zaraz mu wysuszymy nie tylko drzewo, ale i całą chałupę, na popiół.

– No, pamiętam... – Mela uśmiechnęła się, ale tylko na chwilę. Nie była skora do żartów i miałyby poważny problem z określeniem swojego obecnego stanu ducha. Nie wiedziała, czy czuje strach, zdziwienie czy przygnębienie. Westchnęła ciężko. – Zastanawiałam się nad Mirkiem i nad tym, co powiedziałaś.

– Przestań. – Wiktoria chciwie zaciągnęła się papierosem. – Nie ma o czym myśleć, nie ma o czym gadać. Nie zwracaj uwagi na to, co mówię, bo moje mówienie jest zupełnie niezależne ode mnie. Nie panuję nad tym, po prostu. Ja sobie, moje usta sobie. Takie tam, dwa oddzielne i niezależne byty. Należę do zjawisk, o których nawet filozofom się nie śniło... Fu!!! Wstrętnie! – Wgniotła niewypalonego nawet w połowie papierosa w dno popielniczki.

– Nie zmieniaj tematu, dobrze? Sama zaczęłaś, to się teraz nie wycofuj!

– Ja się wcale nie wycofuję. Po prostu palnęłam coś niepotrzebnie, a ty się zamartwiasz.
– Z niczego ci się to palnięcie nie wzięło. Zauważyłaś coś, co umknęło mojej uwadze?
– Ależ skąd! – Wika domyślała się, że siostra robi sobie teraz wyrzuty, wyzywając się w duchu od złych matek. – Tak się tylko głośno zdziwiłam, że Mirek nie ma żadnej dziewczyny. Ale to nie dowód na...

– A właśnie, że to jest bardzo dobry dowód. Dowód koronny! Jak poszłaś po papierosy, to ja sobie wszystko przeanalizowałam. On nie ma i nigdy nie miał żadnej dziewczyny. Rozumiesz?! Nigdy!

– Tego „nigdy” to nigdy nie możesz być pewna: miał czy nie miał. A nawet jeśli masz rację, to wynika z tego tylko to, że twój syn jest prawiczkiem.

– Dwudziestoletni prawiczek? – Mela popukała się w głowę. – W zoo by go wtedy pokazywali! Widziałaś gdzieś dwudziestoletniego prawiczka?

– Widziałam! Przysięgam! – Wiktoria uderzyła się kilka razy w piersi.

– Gdzie?

– U Drzyzgi. W *Rozmowach w toku*.

– Sama widzisz. Takich można zobaczyć tylko w zoo albo w telewizji! – prychnęła Amelia. – Proszę cię, bądź poważna! Ja już mam plan i musisz mi pomóc. Podejrzewam, że Emilka wszystko wie. Musimy to z niej wyciągnąć!

– Od Emilki? Wyciągnąć?? My?!?! – Wika osunęła się w krzesło. – Naprawdę genialny plan! Gratuluję, ale ja odpadam.

– No coś ty? Pomóż mi!

– Goń się, debilko! Widzę, że totalnie czaisz bazy i mega jesteś odklejona od reala.

– Naśladowanie głosu Dody szło Wiktorii zdecydowanie gorzej niż Emilce. – Czy ja mam z nią zajebisty konwers i potrafię melanzować w opór? Nooo!!!!

– Przesadzasz. – Mimo że Mela nie była w zbyt dobrym nastroju, tekst siostry rozbawił ją niemal do łez. – Gadacie przecież czasami. Sama widziałam.

– „Gadamy” to dużo powiedziane. Ona do mnie mówi, a ja staram się wychwycić coś z kontekstu... Jak ty to sobie wyobrażasz? Wezmę ją na stronę, a potem szepnę na ucho: „Emilka, bądź grzeczną dziewczynką i powiedz, jak ciocia cię pyta. Czy Mirek jest gejem? Tylko nie kłam, bo Święty Mikołaj nie przyjdzie”. – Wiktoria rozłożyła ręce. – Weź się zastanów i wymyśl inny plan.

– Ja się już bardzo dobrze zastanowiłam. – Oczy Amelii płonęły czystą desperacją.
– Musisz ją wyciągnąć na neutralny teren i mimochodem zagadać.

– Jasne! Wyciągnę ją do zoo, pokażę dwudziestoletniego prawiczka w klatce i mimochodem zagadnę, jak ten okaz ma się do jej brata. Tak to widzisz?

– Nie ironizuj, proszę. Czasami jak cię słucham, to mam wrażenie, że z własnym mężem gadam: łapię za słowa i myślisz, że wiesz, o czym mówię.

– No teraz to cię poniosło... Dawaj papierosa! Może drugi będzie lepszy? – Wika sięgnęła po biało-zieloną paczkę i wyjęła z rąk siostry zapalniczkę, którą Mela bawiła się od dłuższego czasu. – A jak nie, to się najwyżej uduszę albo zrzygam. – Zapaliła i teatralnie osunęła się na krzesło. – Matko jedyna! To ja uciekłam od oprawcy, licząc na święty spokój, a tymczasem co mnie spotkało? Nałogi, geje, intrygi... I ja tak mam przez całe życie. No dobra, dawaj ten swój plan! Co mi tam!

– Kochana jesteś! Może chcesz jeszcze kawałek tortu?

– Wtedy to się na pewno zrzygam. Papierosy i kawa w zupełności mi wystarczą. Mówże!

– No to słuchaj. – Amelia pochyliła się nad stolikiem i szepnęła konspiracyjnie: – Nie licz na to, że wywleciesz moją córcię do jakiegoś zoo. Ona da się wywlec wyłącznie na zakupy.

Obojętnie jakie. Byleby był sklep, towary na półkach i rząd kas...

ROZDZIAŁ 5

Kilka godzin później, po sutym obiedzie, Wika z Emilką siedziały na kanapie, stękając z przejedzenia, a Mela ganiała między zlewem i zmywarką.

– Zaraz koniec wakacji. Boli, co nie? – Wiktoria szybko zrozumiała, że rzuciła to pytanie sobie a muzom, bo poziewująca siostrzenica ani myślała na nie odpowiadać. Mimo wszystko brnęła dalej. – Ja też muszę się powoli szykować do roboty. Najgorsze, że wciąż zamierzałam coś zrobić ze swoim pokojem i na planowaniu się na razie skończyło. A dobrze by było zrobić remont, zanim zacznie się nowy rok szkolny. Muszę go pomalować, przemeblować...

– Postanowiła zakończyć tę grę wstępną jak najszybciej, więc wypaliła bez zastanowienia:

– Pomożesz mi?

– W czym? – Emilka od dłuższego czasu przyglądała się uważnie paznokciowi wieńczącemu palec serdeczny jej prawej dłoni. Przejechała nim po nitkach różowego sweterka i skrzywiła się z najwyższą odrazą. – Cholera! Pękł mi! – Włożyła palec do ust, żeby językiem i zębami sprawdzić rozmiar katastrofy. – Sorki, muszę się chwilowo wyautować.

Po kilku minutach wróciła na kanapę z pilniczką w rękę. Ratowanie paznokcia pochłonęło ją bez reszty: piłowała, dmuchała, oblizywała, sprawdzała pod światło, oblizywała, piłowała, dmuchała... No i milczała, oczywiście.

– Pomożesz mi? – Wiktoria z trudem się zmuszała, żeby nie pójść do kuchni i nie powiedzieć Meli, co myśli o jej chytrym planie.

– Ale jak? – Nieprzytomne oczy ledwo zaszczyciły ją spojrzeniem, zamrugały sklejonymi od tuszu rzęsami i natychmiast zwróciły się ku śmigającemu w tę i z powrotem pilniczkowi. – Bo nie wiem, o co cho.

– Chodzi o to, czy może masz jakiś pomysł na mój pokój.

– A co mnie to? – Emilka wzruszyła ramionami między dmuchnięciem w paznokieć i jego poślinieniem. – Nie mój pokój, nie mój cyrk! Rób, co chcesz.

– Kiedy ja właśnie nie wiem, czego chcę. Marzy mi się coś ekstrawaganckiego, ale nie mam pojęcia, co to jest ekstrawagancja. A ty masz niebanalny styl... Chciałabym, żeby mój pokój wyglądał tak jak ty... – Przez chwilę aż się przeraziła własnych słów: czy da radę wytrzymać w dodoistycznym pomieszczeniu? Czy zdoła w nim zasnąć bez tabletek?

– Naprawdę? – Emilka przestała szlifować paznokieć i zdecydowanie życzliwiej popatrzyła na Wiktorię. – Czyli co? Mam ci pomóc wybierać meble?

– Mebli nie. Aż tak daleko się nie posunę. Niech zostaną te, które są. Najwyżej jakoś je odświeżę, poprzesztawiam, może część wyrzucę? – Widząc rozczarowanie wypływające na upudrowaną dziecięcą buzię, szybko rzuciła przynętę. – Myślałam o pomalowaniu ścian, zmianie firanek i zasłon, jakichś duperelach, które z osobna niby nic nie znaczą, a wzięte do kupy dają efekt łał, rozumiesz?

– Aha, aha... – Rozczarowanie powoli zniknęło. – A to łał to w jakim ma być stylu? Rock? Gotyk? Romantic? W którą stronę pójdziemy?

– Nie wiem. Może romantic? – Wika ucieszyła się, że Emilka użyła liczby mnogiej i postanowiła rozdmuchać tę iskierkę. – Może skoczmy do jakiegoś sklepu i rozejrzemy się, co mają? Znalazłabyś trochę czasu?

– Spoko. Mogę znaleźć. Ale najpierw muszę zobaczyć, jak ten pokój dokładnie wygląda. Trzeba zdecydować, co zostawiamy, a co wywalamy, żebyśmy miały jakiś orient w temacie

i wiedziały potem, czego szukać. – Liczba mnoga na dobre rozgościła się w ich rozmowie.

– To co? Idziemy? Nie ma na co czekać. Dzisiaj przerobimy to teoretycznie, a jutro zakupy. Pasuje?

– Czil... – Emilka podniosła się z kanapy i niespiesznie ruszyła za ciotką.

– A wy dokąd? – Zaczepiła je Mela, kiedy mijaly kuchnię. – Na poobiednią sjęstę?

– Wręcz przeciwnie. Do ciężkiej pracy. Postanowiłam coś zrobić z moją zatechłą norą, ale nie mam koncepcji, więc poprosiłam o pomoc młodsze i bardziej kreatywne pokolenie – odparła Wiktoria, puszczając oko do siostry. – Idziemy obejrzyć front robót.

– Naprawdę??? – Sztuczne zdziwienie Amelii graniczyło z szokiem. – Bardzo dobry pomysł! Bardzo dobry. Naprawdę, bardzo. Bardzo dobry, naprawdę – zaplatała się między trzema słowami. – Gdybym była do czegoś potrzebna, możecie mną dysponować.

– Zawołamy cię, jakby co – krzyknęła Wiktoria, idąc obok Emilki po starych szerokich schodach wyłożonych paskami miękkiej wykładziny. – O, widzisz? Coś takiego ciepłego i puchatego na podłogę też bym chciała kupić. Mam już dosyć łysych klepek... – otworzyła drzwi swojego pokoju i puściła siostrzenicę przodem. – Zapraszam!

– Chciałam kiedyś go przerobić na swoją sypialnię z garderobą i toaletką... – Emilka stanęła na środku przestronnego pomieszczenia i rozglądała się krytycznie. – Pomyślałam, że fajnie byłoby mieć oddzielny pokój gościnny i sypialnię... Ale ojciec się nie zgodził. Powiedział, że nie mam prawa niczego tu tknąć.

– Serio? – Wika poczuła przyływ sympatii do szwagra.

– No. Powiedział: „Niczego nie ruszaj, bo jak znam życie, to ona wcześniej czy później tu wyląduje bez jednej walizki i grosza przy duszy. Niech ma chociaż własny kąt”.

– Widzisz, jaki prorok? – Sympatia do szwagra odpłynęła w siną dal.

– Dlaczego się do nas wprowadziłaś? Co się stało z tym... jak mu tam... Pawłem?

Widziałam go dwa czy trzy razy, ale pamiętam, że luk miał niezły. Co się stało? – pytała Emilka, nie patrząc na Wiktoria; chodziła po pokoju, dotykała mebli, oglądała firanki i karnisze...

– Ano, jakoś tak wyszło, że nie wyszło. – Wika uznała, że nie może obarczać młodej istotki dramatyczną prawdą. – Zwyczajna życiowa pomyłka i przy okazji nauczka. Na całe życie.

– A teraz? Masz kogoś? – Siostrzenica usiadła na starym łóżku z ciężkim rzeźbionym wezglowiem i kilka razy klepnęła materac.

– Nie mam...

– Nie obraż się, ale wiesz, jak się mówi o takich kobietach jak ty?

– No? – Wiktoria zastanawiała się, jakie nowe słówko teraz pozna, tym razem nie chodziło jednak o żaden angielsko-polski dziwoląg, tylko o starodawne poczciwe porównanie.

– O takich kobietach się mówi, że są głupsze od małpy.

– Od małpy? Dlaczego od małpy? – Zaśmiała się, siadając obok Emilki. – Nie rozumiem.

– Bo kobieta powinna poruszać się między facetami jak małpa po drzewach. Nie ma sensu wisieć wiecznie na jednej i tej samej gałęzi, bo to nudne i łapy od tego drętwieją. Ale każda małpa wie, że zanim puści się jednej gałęzi, to przedtem musi się chwycić innej. A ty się jednej puściłaś, drugiej nie złapałaś i widzisz, gdzie wylądowałaś? – Zakreśliła ręką krąg. – Zglebiłaś z fasonem!

– Matko święta! – Wiktoria nie mogła przestać się śmiać. – Skąd wam się te wszystkie mądrości biorą?

– Z chodzenia do szkoły i oglądania Animal Planet... Przyroda, po prostu. – Emilka była wyraźnie dumna, że odkrywa przed starą ciotką podstawowe prawdy o życiu, a przy tym

rozbawia ją do łez. – Ja się ludziom w lajf nie wtrącam, żeby było jasne. Wypytyuję cię o facetów, bo to się wiąże z tym, co mamy zrobić w tym pokoju. Rozumiesz? Czy ktoś tu będzie przychodził i takie tam...

– Masz na myśli to, czy urządzę tu małą gaj i będę ściągać do niego jedną gałąź za drugą? – Wika rozejrzała się po swoim wcale niemałym królestwie. Liczyło sobie ponad dwadzieścia metrów i panowała w nim anarchia: władczyni robiła w nim, co chciała i kiedy chciała. Panował tu niebywały chaos, a wystrój utrzymany był w stylu, nomen omen, wiktoriańskim. Sprzęty krzyczały nadmiarem dekoracji, wszędzie pełno było najróżniejszych durnostojek: figurek, wieszaczek na biżuterię, pudełeczek, puzdereczek, pojemniczków na materiały biurowe... Wszystko było tak jak w dniu wyprowadzki Wiki, tkwiło w bezruchu niczym zatrzymany w kadrze obrazek. Może tylko sosnowe meble dziwiły się, że przez osiem lat sterczały w tym samym miejscu. Swego czasu bowiem przywykły do ciągłego podróżowania po wiktoriańskim królestwie i do tego, że w najmniej oczekiwanych momentach bywały oddelegowywane w najdalsze tego królestwa rejony. Wiktoria w sumie dobrze się czuła w tym klimacie i gdyby nie plan Meli, niczego by nie zmieniała.

– O małym gaju zapomnij. Zero gałęzi! – Uśmiechnęła się do Emilki. – Wręcz przeciwnie! Urządzimy to tak, że każdy facet, który tu wejdzie, będzie się czuł nieswojo. A jeśli jakiś będzie się czuł tutaj swojo, to tylko gej! Ale ja nie przyprowadzę ani jednego, bo żadnych gejów nie znam. A ty?

– Kilku znam. Są spoko. Czyli co? Idziemy w babskie motywy? Pastele i fluory, puch i koronki, złoto i czarny metal... Trzeba koniecznie zmienić firanki i zasłony, bo te do niczego nie pasują. Łóżko może zostać, tak jak jest, tylko zarzucimy je czymś fajnym i zasypimy kolorowymi poduchami z długą sierścią... – Popatrzyła na Wiktoria, czekając na akceptację, a kiedy ciotka posłusznie potaknęła, ciągnęła dalej: – Najgorzej z tymi meblami. Po co ci było tysiąc oddzielnych sosnowych elementów?! Chciałaś sobie odbić to, że przez komunę nie miałaś w dzieciństwie klocków lego czy co?

– A wiesz, że może masz rację? Nigdy w ten sposób o tym nie pomyślałam. Ciekawe, dlaczego ty na to wpadłaś, a ja nie?

– Bo ty nie musiałaś godzinami wysłuchiwać trucia dziadka. A ja, niestety, tak. – Emilka głęboko westchnęła. – Wiecznie gada o historii, komunie i occie na półkach. Zwariować od tego można!

– Aż tak z nim źle? – Wika wciąż jeszcze nie zdobyła się na odwagę, żeby odwiedzić rodziców i powiedzieć im, że przeprowadziła się do Meli. I nie unikała tej wizyty dlatego, że bała się opowieści ojca o historii, komunie i occie na półkach... – Zrozum dziadka. On już bardziej żyje tym, co było, niż tym, co będzie.

– Staram się go zrozumieć, ale się nie da!

– Dlaczego?

– Jak się do nich idzie, to strach szynkę na chleb położyć, bo człowiek zaraz się nasłucha, że nie docenia tego, co codziennie zjada. I się zaczyna... – Emilka nie przestawała wdychać.

– O kartkach na mięso, kolejkach, pustych półkach... Ja nie wiem, jak można bez przerwy jedno i to samo gadać?! Sama się zresztą niedługo przekonasz, bo przecież w przyszłym tygodniu są jego imieniny. – Zachichotała złośliwie, a potem klepnęła się po udach i poderwała dziarsko z łóżka. – Mniejsza o dziadka i ocet! Czyli co? Mamy ustalone, że przerabiamy ten pokój na mega- i gigakobięcy dizajn? No! problem! Zrobimy zakupy i w trzy dni zamienimy tę norę w stuprocentowo babski lokal. Będzie jak wysadzana brylantami podpaska!

Wiktoria nie wiedziała, co bardziej nią wstrząsnęło: wizja pokoju przerobionego na wysadzaną brylantami podpaskę czy zbliżające się imieniny jej ojca. Dlaczego Mela nic jej nie

powiedziała? Wiktoria chciała jak najszybciej porozmawiać o tym z siostrą.

– No, co tam, dziewczyny? Mam do was iść czy już kończycie i schodzicie na kawę i deser?! – Jak na zawołanie usłyszała głos Amelii, która krzyczała do nich z kuchni.

– Schodzimy! – odkrzyknęła Emilka, wychodząc z pokoju i ponaglająco machając na ciotkę. – Szybko! Mamy trzy sekundy. Jak nie zdążymy, to mama wjedzie tu zaraz z całym cateringiem i nagada się przy tym więcej niż dziadek o kartkach na baleron. Ruchy, ruchy!

– Zaśmiała się i zbiegła po schodach, nie czekając na Wikę, która zanim zamknęła drzwi, z trwogą omiotła spojrzeniem ściany swojego pokoju. Podpaska wysadzana brylantami? Hmm...

Zanim Wiktoria zjawiła się w kuchni, Emilka zdążyła zjeść połowę swojego malinowego deseru i z grubsza przekazać matce, co ustaliły.

– No, no! – Mela powitała ją promiennym uśmiechem. – Z tego, co słyszę, koncepcja pokoju już ustalona. To kiedy jedziecie na zakupy? Jutro?

– A może dzisiaj? Jeszcze nie ma czwartej, a sklepy są pootwierane do dziewiątej albo i dziesiątej. Zdążymy! Z palcem w... w tym, no... w nosie! Z palcem w nosie zdążymy! Co myślisz, ciociu?

Rozbroiła Wiktorię czułą „ciocią” i radosnym podrygiwaniem na krześle.

– Jasne. Nie mam nic przeciwko temu, możemy jechać nawet dzisiaj. Byle nie natychmiast, dobrze? Dasz najpierw cioci wypić spokojnie kawę i pogadać trochę z twoją mamą?

– Pewnie! – Emilka poderwała się zza stołu, ale mówiła dalej, wodząc łyżeczką po dnie pucharka w poszukiwaniu resztek bitej śmietany. – To ja polecę na kompa i odwiedzę kilka designerskich stron z wystrojem wnętrz. Może znajdę na nich coś, co mnie zainspiruje i zwilży?

– Odstawiła pucharek na blat, po chwili rozległo się huknięcie drzwi, a zaraz potem łomot układający się w świdrujące mózg ymcyk-ymcyk-dżdż-dżdż-dżdż-ymcyk-ymcyk.

– No widzisz? Od początku czułam, że potrafisz do niej dotrzeć. Wikuś! To jest nie to dziecko! – Amelia promieniała radością. – Jakim cudem potrafiłaś w pół godziny dokonać czegoś, co mnie nigdy by się nie udało? Nie pamiętam, kiedy ona była taka ożywiona i rozgadana!

– Po pierwsze, sama zasugerowałaś, że zakupy ją ożywią. A po drugie, czy pozwoliłabyś, żeby przerobiła dom na wysadzaną brylantami podpaskę? – Wiktoria wzięła łyk kawy i rozejrzała się po kuchni. – Gdzie masz papierosy?

– Co ty gadasz? Jaką podpaskę?! – Mela wyszła do przedpokoju, skąd wróciła po chwili z torebką. Wyciągnęła biało-zieloną paczkę i podała siostrze. – Nie pal tyle. Najpierw mówiłaś, że to ohydne i nie dla ciebie, a teraz ciagniesz jednego za drugim.

– Dlaczego nie mówiłaś, że ojciec ma w przyszłym tygodniu imieniny?

– Myślałam, że wiesz...

– Wiedziałam, ale zapomniałam. – Wiktoria przypaliła najpierw sobie, a potem Amelii.

– Czy to znaczy, że się tam wybieramy?

– Oni wiedzą, że u mnie mieszkasz... Mama zadzwoniła kilka dni temu...

– Co jej powiedziałaś?

– Tylko tyle, że odeszłaś od Pawła i wprowadziłaś się tutaj. – Mela wyglądała na mocno spłoszoną. – Przysięgam, że nic więcej nie powiedziałam!

– I co oni na to?

– Nie wiem, co oni, ale mama się oczywiście popłakała i chciała natychmiast przyjechać. Zabroniłam jej. Powiedziałam, że potrzebujesz spokoju.

– A tato?

– Nie wiem. Kto za nim zdąży? Z mamą rozmawiałam, a nie z nim...

– Mogłaś mnie uprzedzić. – Wika spojrzała na siostrę z wyrzutem, ale zaraz potem machnęła ręką. – No dobra. I tak wcześniej czy później musiałabym stawić im czoła i wysłuchać, co o mnie myślą... – Po chwili zastanowienia poprawiła się. – Jemu stawić czoła i wysłuchać, co o mnie myśli...

– Daj spokój. Obydwie wiemy, że ojciec musi zawsze na coś albo na kogoś zrzędzić. Gdyby był Sławek, to na pewno skupiłby się na nim, a tak, to pożyłaby się na ciebie. A jeśli tak strasznie ci nie pasuje ta wizyta, to możesz zostać w domu. Powiem, że gdzieś wyjechałaś, albo coś innego zmyślę.

– Pójdę. Miejmy to wreszcie za sobą.

– Nie będzie tak źle. – Mela wyraźnie się ucieszyła, że Wiktoria jest gotowa wrócić na łono rodziny z podniesioną przyłbicą. – On ma, wbrew pozorom, miękkie serce. Tylko chyba się tego wstydzi i dlatego bez przerwy burczy na cały świat.

– Pomyślę o tym jutro. Tym bardziej że dzisiaj czekają mnie zakupy z twoją córką. To i tak za dużo emocji jak na jeden raz. Jedziesz z nami po te fluory, gipiury i sama nie wiem, co jeszcze?

– Myślę, że lepiej będzie, jak pojedziecie we dwie. Weź samochód. Tylko chyba będziesz musiała zatankować, bo obawiam się, że Emilka nie zadowolony się wizytą w jednym sklepie i przeciągnie cię kilka razy w tę i nazad po całym mieście. Wytrzymasz? I z nią wytrzymasz?

– A co mam nie wytrzymać? – Wika nie chciała się przyznać, że choć sama była tym zaskoczona, cieszy się na ten sklepowo-remontowy maraton, który przynajmniej chwilowo rozproszy myśli o rychłej wizycie u rodziców. – Mówiłam ci już, że jak na nią patrzę, to widzę siebie. Inne czasy, inne ciuchy, inny język, inna moda, inna muzyka... niby wszystko inne, ale charakterystyki mamy identyczne. A jeśli nie identyczne, to przynajmniej bardzo podobne.

– Nawet nie wiesz, jaka jestem wdzięczna. Co ja bym bez ciebie zrobiła?

– Ty beze mnie? Coś ci się chyba we łbie poprzestawiało! To chyba raczej co ja bym bez ciebie zrobiła!

– Wiesz? Nie mogę przestać myśleć o Mirku. Martwię się. – Głos Amelii był pełen niepokoju. – Po raz pierwszy w życiu martwię się przez niego. Do tej pory tylko mnie wkurzał. Nieraz miałam ochotę strzelić go w łeb za to rozdęte ego, kłótnie z Emilką, mądrowanie się i traktowanie mnie jak mało ambitnej pomocy domowej. Nie przerywaj i nie zaprzeczaj!

– uprzedziła protest Wiktorii. – Bo to teraz nie ma znaczenia. Rzecz w tym, że chociaż mnie często wkurzał, to nigdy tak naprawdę się o niego nie martwiłam. Od urodzenia był kochanym dzieciakiem: świadectwa z czerwonym paskiem, olimpiady, nagrody... Taka byłam zawsze z niego dumna, a Sławek to już w ogóle jest w niego zapatrzony jak w obrazek. Matura na sto procent, żadnego pijaństwa, żadnych bójek... No właśnie! – Mela plasnęła się w czoło. – On nigdy się nie tłukł z kolegami. Ani na podwórku, ani w szkole. To też chyba o czymś świadczy, prawda?

– Matko jedyna! Co mnie podkusiło... Mam coraz większe wyrzuty sumienia. Idiotka ze mnie! – Wika naprawdę zaczęła żałować tego, co powiedziała rano w cukierni. – Popadasz w paranoję! O czym to niby świadczy, że nigdy nie bił się z kolegami? Myślisz, że geje się nie biją?!

– A biją się?

– Jezu! Skąd mam wiedzieć?! Nawet lesbijką nigdy nie byłam, a co dopiero gejem!

Zapytaj Emilkę, czy się biją, bo powiedziała mi, że kilku zna.

– Naprawdę? – Amelia patrzyła na siostrę oszołomiona. – Jakich ona gejów może znać? Ja wiem! Wiem!!! Na pewno chodziło jej o Mirka i jego kolegów! Tak?

– Uspokój się! Melcia, jak nie przestaniesz, to zaraz zwariuję. Co ja narobiłam... Co ja narobiłam... – Wiktoria nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. – Bąknęła tylko, że zna kilku i są spoko. Nic więcej nie mówiła. Ani o Mirku, ani o jego kolegach. I chyba w ogóle nie kojarzy jednego z drugim, bo nawet jej powieka nie drgnęła. Po prostu bąknęła, że zna, i obojętnie przeszła do rozmowy o tym, co zamierza zrobić z moim pokojem.

– A bo ona zawsze jest taka obojętna na wszystko, że szkoda gadać...

Jednostajne ymcyk-ymcyk-dżdż-dżdż-dżdż-ymcyk-ymcyk przestało nagle wstrząsać ścianami na piętrze, co najprawdopodobniej zwiastowało pojawienie się Emilki w drzwiach od kuchni. Rzeczywiście, po kilku sekundach w nich stanęła.

– Ale tu nadymione! – Pomachała ręką. – Mamo, czemu paliłaś? Przecież nic nie zrobiłam!

– To ja, nie mama – sprostowała Wiktoria. – Twoja mama jest winna tylko temu, że zapaliłam. Za bardzo podniosła mi ciśnienie...

– Wika!

– No co?! Trzeba było wcześniej ostrzec, że w przyszłym tygodniu idziemy do ojca na imieniny. Żeby mogła jakoś się na to przygotować.

– Żeby przygotować się na spotkanie z dziadkiem, to trawkę trzeba zapalić, a nie zwykłego papierosa. – Zaśmiała się wyrodna wnuczka. – To co, wypijcie już? Jedziemy?

– Ja zostaję, córeńko. Muszę pranie zrobić i cała sterta prasowania już od kilku dni na mnie czeka...

– I bardzo dobrze. Chwała Bogu! – Emilka nawet nie starała się udawać żalu. – Nie nadajesz się zupełnie na takie zakupy.

– Niby czemu? – Nastroszyła się Amelia.

– Bo w tobie, mamo, nie ma za grosz spontanu i zawsze jesteś spięta jak koński ogon. A zakupy są lepsze od seksu.

– Skąd to wiesz?!

– Bo chodzę na zakupy! Jedyne, co może mi pęknąć na zakupach, to reklamówka i nie muszę bez przerwy żarliwie zapewniać sprzedawcy, że jest naprawdę fantastyczny i nigdy nie było mi tak dobrze...

– Słucham?!?!

– To żart był. Czil... – Emilka uśmiechała się triumfalnie. – A nie mówiłam, że jesteś spięta jak koński ogon?!

– Nie przesadzaj. – Wiktoria stanęła w obronie siostry. – Twoja matka ma więcej spontanu niż ty i twoje koleżanki razem wzięte. Wiem, co mówię, bo jak się tu wprowadziłam, a ty byłaś na obozie, to takie zakupy razem zaliczyłyśmy, że w życiu coś podobnego ci się nie śniło. Całą szafę ciuchów i butów przytargałyśmy!

– Ja też wiem, co mówię, bo zaliczyłam z mamą niejedne zakupy. Mniejsza o to...

– Głębokie westchnienie było jednoznaczne: „Nie chce mi się o tym gadać”. – Idziemy wreszcie?

– Idźcie, idźcie. – Chociaż Mela była trochę rozgoryczona cenzurką, jaką przed chwilą dostała od córki, postarała się o spontan na ustach i rozciągnęła je od ucha do ucha.

– Pamiętajcie, żeby wrócić z pełnym bagażnikiem cudowności! – Pomachała im na pożegnanie, a kiedy samochód zniknął za zakrętem, wróciła do domu i bezwładnie opadła na fotel. Swoim

zwyczajem popatrzyła do góry i jęknęła: – Boże, dopomóż! I jeśli mogę o coś prosić, to słuchaj mnie na przyszłość ze zrozumieniem, dobrze? Prosiłam cię nie tak dawno o rodzinę jak z serialu telewizyjnego. Miałam na myśli bezkonfliktowe i słodkie stadło, w którym jedno bez drugiego żyć nie może i wszyscy się kochają i szanują nawzajem. A Ty usłyszałeś tylko, że jak z serialu, i wpakowałeś mnie w pierwszą lepszą komercyjną produkcję. Zanim się obejrzałam, mam w domu geja! Co Ty za filmy masz na półkach, Panie mój, to bój się Boga, że tak powiem...

ROZDZIAŁ 6

Wiktoria przeczuwała, że te zakupy będą nowym i bardzo osobliwym doświadczeniem w jej życiu, ale szybko przekonała się, że nie doceniła siostrzenicy, a przewidywany scenariusz w konfrontacji z rzeczywistością okazał się bladziutki. Początkowo patrzyła z pewnym przestachem na Emilkę, która wchodząc do sklepu, wpadała w coś na kształt fizycznego i psychicznego dygotu i zaczynała miotać się między półkami, z trudem klejąc sensowne zdania.

– Odjechane to złoto, co nie? Bierzemy!

– Jesteś pewna? – Wiktoria bez przekonania patrzyła na dwumetrowe błyszczące cieniutkie frędzle, które miały być firanką. Uznała, że są wstrętne i nie ma opcji, żeby je kupiła. Ale kiedy Emilka przyłożyła do nich zasłony uszyte z połyskującego głęboką czernią ciężkiego weluru, zmieniła zdanie. – Bierzemy! – Wrzuciła zdobycz do wózka, a potem popatrzyła na swojego dizajnera z niekłamany podziwem. – Ty! Mała! Niezła jesteś... Ja bym nigdy nie zwróciła uwagi na te tandetne złote sznureczki.

– Będziesz miała megawypasione okno w stylu gla-mour! Nie pożałujesz! – Uśmiechnęła się nieco chełpliwie Emilka. – Czyli okno mamy już z głowy. To teraz jedziemy po farbę do reanimacji naszego gwoździa programu.

Gwoździem programu był stary druciany manekin. Wiktoria kupiła go kilkanaście lat temu na pchlim targu. Jak tylko na niego spojrzała, wiedziała, że musi go mieć. Osadzony był na grubym pręcie zamontowanym w wymyślnej podstawie. Powyżej linii bioder zaczynało się coś przypominającego klatkę na ptaka, tyle że ta klatka miała kształt bezgłowej seksbomby. Emilka była nim równie zachwycona jak Wiktoria i uznała, że w stuningowanym ciocinym pokoju trzeba go wyeksponować, tylko odświeżonego błyszczącą czarną farbą. Idea odświeżania czarnym połyskiem stała się dla Wiktorii zrozumiała, kiedy wrzuciła do wózka z zakupami złote firanki i zniewalająco czarne aksamitne zasłony.

– Artykuły metalowe... Elektryka... Kleje i spoiwa... – mamrotała Emilka, czytając zawieszone pod sufitem wskazówki. – Glazura, terakota... Farby... Farby!!! – krzyknęła radośnie. – Mamy to! Jedziemy tam! – Wika posłusznie pchnęła wózek we wskazaną alejkę i znów usłyszała mamrotanie: – Akcesoria farbiarskie... Farby do drzewa... Farby naścienne... Farby dekoracyjne... Farby do metalu... Do metalu!!! No wreszcie! – Stały w miejscu, gdzie Aleja Farb Naściennych krzyżowała się z Aleją Farb do Metalu. – Teraz musimy wyhaczyć jakiegoś leszcza w ogrodnikach. Nie będziemy przecież jak kretyнки latać między tymi wszystkimi regałami, nie?

Wiktoria po raz kolejny zdobyła się tylko na skinienie głową.

– Ooo! Tam jest jakiś niezagospodarowany. Proszę pana! – Półgłos przeszedł w krzyk. –Możemy pana prosić?!

– Służę paniom. – Leszcz w ogrodnikach już był obok.

– Chodzi nam o czarną farbę... – Emilka mrugała posklejanymi rzęsami i roztaczała swój młodzieńczy wdzięk. – Ale zgubiliśmy się między regałami i bez pana pomocy nigdy z nich nie wyjdziemy.

– Jaka czarna farba panią interesuje? Lateksowa czy akrylowa?

– Lateksowa? Nieee.... Nie chcę nią malować ciała. Wolę tradycyjną bieliznę, nie

permanentną. To może niech pan da akrylową.

– Czarna akrylowa. Duża wydajność, ale zmywalność znacznie gorsza niż przy lateksowej – mówił chłopak, zdejmując z półki ogromne wiadro. – Jeśli ją pani kupi, to ma pani dwudziestoprocentową zniżkę na dowolny drugi produkt z tego działu. Oferta ważna tylko do końca tygodnia.

– A po co mi wiadro czarnej farby?! – Emilka wzięła się pod boki. – Nie zakładam ani łoża masońskiej, ani firmy pogrzebowej! Potrzebujemy małej puszczyki farby do metalu...

– Ach! Do metalu? Nie mówiła pani, że chodzi o metal. Zapraszam do sąsiedniego regału. – Podążyły za chłopakiem, który wyglądał na nieco skołowanego tekstami i uśmiechem małej diablidy. – Jaki kolor panią interesuje? Młotkowy?

– Że co? Co to za kolor: młotkowy?! – Śmiech Emilki słyhać było zapewne nie tylko w dziale z farbami. – Nigdy bym nie podejrzewała, że istnieje kolor młotkowy. Musiał go wymyślić jakiś facet! Młotki są zawsze w takim samym kolorze? Nie miałam pojęcia! Ciekawe, jak by zareagował mój fryzjer, gdybym przyszła i poprosiła, żeby mi zrobił młotkowe pasemka...

– Kolor farby jest czarny. – Sprzedawca próbował przebić się przez ten słowotok.

– Natomiast „młotkowy” oznacza, że po wyschnięciu uzyska się taki efekt, jakby metal był obity młotkiem.

– To tym bardziej nie rozumiem. – Wzruszyła ramionami Emilka. – Mam się męczyć z malowaniem i odnawianiem metalu, żeby potem wyglądał jakby w niego ktoś napie... obił go młotkiem? Debilem musiałabym być! A nie ma pan zwykłej czarnej farby? Bezmłotkowej jakiejś?

– Półmat czy połysk?

– Jasne, że połysk. Dziękuję panu bardzo. – Wzięła z rąk chłopaka małą puszkę i wrzuciła do wózka. – A pomoże nam pan jeszcze z farbą do ścian?

– Oczywiście. Z przyjemnością. – Najwidoczniej głęboki dekolt dziewczyny rekompensował mu jej hałaśliwe zachowanie. – Proszę za mną. Woli pani kolor gotowy czy z mieszalnika?

– Zaraz skonam od tych pytań: lateksowa czy akrylowa, młotkowa czy niemłotkowa, gotowa czy z mieszalnika?! Najlepiej niech mnie pan zaprowadzi do takiej ściany, na której jest pełno kolorowych kwadratów z przykładami. Mijałam ją, ale nie pamiętam gdzie. Chyba tam.

– Wskazała kierunek przeciwny do tego, w którym prowadził je sprzedawca. – Słyszysz pan? Tam!

– Czy o tę ścianę chodziło? – zapytał, skręcając za kolejny regał.

– A tak. O tę. – Emilka była wyraźnie zaskoczona. – Głowę bym sobie dała uciąć, że jest tam. Macie dwie takie same?

– Nie. Tylko jedną. I co? Taka piękna głowa poszłaby niepotrzebnie na ścięcie...

– Strzelił szelką swoich ogrodniczek wyraźnie zadowolony z reakcji: Emilka chichotała, jakby ją ktoś łaskotał. – Który kolor panią interesuje?

– Chyba nie myśli pan, że podejmę taką decyzję w trzy sekundy?! Dalej dam sobie radę. Jak już wybiorę kolor, to mam szukać tego numerka z kwadratu na półce, tak? Oj, oj, oj...

– skrzywiła się. – Ale tu są trzy wielkości opakowań, to jakie mam wziąć?

– A jak duża powierzchnia będzie malowana?

– No, cała ściana.

– Domyśliłem się, że nie chce pani malować podłogi. – Uśmiechnął się, zaglądając Emilce nie tylko w oczy. – Pytam, jak duża jest ta ściana.

– Bo ja wiem? Ściana jak ściana. Taka normalna, w domu...

– A ile metrów kwadratowych ma ta normalna ściana?

– Skąd mam wiedzieć? Przecież jej nie mierzyłam! – Emilka przypomniała sobie raptem

o istnieniu Wiktorii, która stała cichutko z boku i z coraz większym rozbawieniem obserwowała całą scenę. – Ile metrów mają ściany w twoim pokoju?

– Pojęcia nie mam! – Chociaż dzieliło je pokolenie, to podobieństwo charakterów dawało identyczne efekty.

– Wie pan co? Ta ściana to jest taka jak odtąd... – Emilka ruszyła przed siebie, drobiaż na niebotycznych obcasach wzdłuż kolorowych kwadratów, co chwila się oglądając i szacując dystans, jaki dzielił ją od sprzedawcy. – Dotąd! – Zatrzymała się w końcu i sama sobie przytaknęła. – Tak. Tyle dokładnie ma ta ściana.

– A na wysokość ile ma? Może przyciągnę drabinę, żeby mogła pani pokazać? Chętnie bym popatrzył. – Kusa spódniczka gwarantowała, że miałyby na co.

– Obejdzie się. – Przydreptała z powrotem. – Na wysokość będzie mniej więcej tyle, co na długość. One kwadratowe raczej są, te twoje ściany, nie?

– Raczej – przytaknęła zwięźle Wiktorii.

– Ile takich ścian będzie malowanych? – Sprzedawca oderwał wreszcie oczy od dekoltu Emilki i czytał napisy na opakowaniach z farbami.

– Trzy. Ale każda na inny kolor.

– Słucham?! Jak to każda na inny kolor? Nie za śmiała ta koncepcja? – Wika znowu zaczęła się obawiać, czy zdoła zasnąć w swoim nowym pokoju.

– Zaufaj mi, ciociu.

– Ciociu? – Chłopak zmierzył Wiktorię wzrokiem. – Byłem pewien, że panie są koleżankami.

– Jedno drugiemu nie przeszkadza, prawda? – Emilka cmoknęła ze zniecierpliwieniem.

– To jakie opakowanie mam wziąć na jedną ścianę?

– Takie. Powinno w zupełności wystarczyć na podwójne pokrycie ściany odtąd do tamtąd. – Wskazał brodą miejsce, w którym przed chwilą stała Emilka. – Mogę jeszcze w czymś pomóc? Wybrać wałek, taśmę malarską?

– Z wałkiem to już na pewno poradzę sobie sama. – Uśmiechnęła się dwuznacznie.

– Dziękuję bardzo.

Chłopak chciał coś odpowiedzieć, ale podszedł do niego starszy jegomość i bezceremonialnie pociąg-nął za rękaw.

– Panie! Pomóż mi pan, bo mnie zaraz cholera weźmie. Szukam czegoś, sam nie wiem czego. Bo, słuchaj pan, zaszpachlowałem płyty gipsowe i wciąż mi przez farbę miejsce spojenia wyłazi...

Kiedy zniknęli między niekończącymi się rzędami półek, Wiktorii mrugnęła do Emilki.

– Chyba wpadłaś mu w oko.

– Daj spokój! Placek kompletny!

– Placek? To znaczy co? Kto?

– Przeciwiństwo ciacha. A do tego sama słyszałaś, jakie suchary sprzedawał!

– Suchary? – Nie po raz pierwszy zgubiła się w języku siostrzenicy.

– No, głupie żarty. Takie jak ten tekst z drabiną, na przykład. – Emilka ani myślała rozvodzić się dłużej nad sprzedawcą. – To co? Wybieramy kolory?

– Jesteś pewna, że każdy ma być inny? Jakoś nie czuję się do końca przekonana.

– Czil, ciotka, czil. Wiem, co robię. Musimy wziąć dwa zimne i jeden bardzo ciepły.

Myślę, że Miodowe Marzenie będzie okej. Fajnie zagra ze złotymi firankami. A z zimnych to jakiś róż albo wrzos... może Lawendowa Dolina? I do niej coś między szarym a błękitnym. Coś

jak, o, Kwarcowy Poranek. Jak myślisz?

– Ja już nic nie myślę... – Wika ostatecznie złożyła broń. – Zdaję się na ciebie. Wybieraj. Może być dolina, może być poranek...

Nie było to zbyt mądre posunięcie, bo Emilka puszczonej samopas między barwne kwadraty nijak nie mogła podjąć ostatecznej decyzji.

– Lody Truskawkowe będą chyba lepsze... Nie! Różana Altanka, to jest to! Tylko czy będzie do niej pasował Kwarcowy Poranek? Może lepiej Kamień Księżycowy albo Dostojna Perła? Perła chyba nie... – Wciąż zmieniała zestawienia i wciąż nie była pewna wyboru. Po niemal półgodzinnej debacie z samą sobą zapakowała w końcu do wózka Angielską Mżawkę, Fiołkowy Ametyst i Złoto Ali Baby.

Wiktoria obawiała się, że jeśli na każdy zakup będą potrzebowały tyle czasu, to nie zdążą załatwić nawet połowy sprawunków. Kiedy wyraziła tę obawę, usłyszała, że ma się nie martwić i nie spinać jak koński ogon.

– Teraz pójdzie już szybciej – uspokajała ją Emilka. – Okno mamy, ściany mamy... Chyba czas na podłogę, nie?

– Dobra. Chciałabym coś miękkiego i ciepłego, ale nie na całą podłogę.

– Jasne. Trzaśniemy plamę, która będzie grać z poduszkami na łóżku... No właśnie! Żebyśmy nie zapomniały o kapie i poduszkach. Może od tego zacniemy, co? A dywan na samym końcu, bo jak wrzucimy go do wózka, to nie damy rady przemieszczać się po sklepie.

– Słuszna decyzja. – Wiktoria już dawno przekonała się, że w tlenionej główce siostrzenicy wcale nie jest tak pusto, jak mogłoby się wydawać. – Masz już jakiś pomysł na kapę i poduszki?

– Jasne! Kapa musi być jasnoszara i z połyskiem. Po pierwsze, będzie wtedy gadać z Angielską Mżawką na ścianie, a po drugie, zrobi fajne tło dla poduszek. Żeby był odpowiedni efekt, potrzebujemy przynajmniej siedmiu, ośmiu poduch. Każda w innym oczojebnym kolorze.

– Emilka!

– Zaufaj mi. Zobaczysz, że super się skomponują.

– Ja nie o poduszkach teraz myślę, tylko o słowach, których używasz. – W Wiktorii obudził się pedagog. Chociaż sama często kłęła, czuła się w obowiązku zwrócić uwagę nastolatce.

– A co ja powiedziałam? Że oczojebny? Przyznaj, że łatwiej go sobie wyobrazić i brzmi mniej głupio niż młotkowy... Ale okej. – Skrzywiła się w sztucznie ugrzecznionym uśmiechu.

– Musimy kupić siedem, osiem poduszek w tak jaskrawych kolorach, że aż będą biły po oczach. Teraz lepiej?

– Lepiej. – Wika domyślała się, że Emilka w myśli właśnie wyzywa ją od drętwych bab bez spontanu, bo siostrzenica szła obok w zaciętym milczeniu. Odezwała się dopiero wtedy, kiedy wjechały między kilometrowe regały z poduszkami wszelkich możliwych rozmiarów, barw i struktur.

– Tam, tam musimy iść! – Złapała za rączkę wózka i zaczęła go pchać w kierunku półek, które mieniły się od błyszczących kudłatych jaśków jak choinka. – Ale wyczesane fluory, nie? Które ci się najbardziej podobają? Bo wszystko ja wybieram, a to w końcu twój pokój ma być. Pokombinuj trochę, ciotka! Rusz wyobraźnią! – Najwidoczniej Emilka nie umiała zbyt długo się dąsać. Albo przynajmniej zbyt długo milczeć.

– Podoba mi się ten pomarańczowy i ten seledyn. Żółty też jest fajny. Do ściany Ali Baby będzie pasował... chyba... – Spojrzała na siostrzenicę niepewnie.

– Bardzo dobrze. Pakuj. Koniecznie musimy też wziąć ten dziki cyklamen.

– Fajny, ale dlaczego koniecznie?

– Bo zdaje się, że mają tu dywany w identycznym kolorze. I też takie włochate i błyszczące jak te poduszki. Widziałam na samym początku, gdzieś przy wejściu, gdzieś tam...

– Emilka rozejrzała się bezradnie. – Mniejsza o to! Zaraz znajdziemy. A taka cyklamenowa wyspa na podłodze będzie jak najbardziej wporzo i zrobi nam enter po całości.

– No to wrzucaj! – Poduszka w biskupim kolorze wylądowała w wózku. – Może jeszcze ten fiolet?

– Zdecydowanie za ciemny. – Tym razem Emilka nie pochwaliła wyboru ciotki.

– Ciemną weźmiemy tylko jedną. Koniecznie czarną.

– A teraz dlaczego koniecznie?

– Zapomniałaś, jakie kupiliśmy zasłonki? Z czym będą gadać? Potrzebują pasującego akcentu. Czarna poduszka to niby nic, ale wrzucona między fluory stanie się bardzo widoczna. Pod warunkiem że nie zafundujemy jej żadnej ciemnej konkurencji w rodzaju tego fioletu, który wybrałaś. Wbrew pozorom w tym szaleństwie jest logika.

– Skąd to wszystko wiesz? – Wiktoria naprawdę była pełna podziwu dla właśnie odkrytego talentu siostrzenicy. – Kursy jakieś robiłaś?

– Gdzie tam kursy! Lubię to, po prostu. Sporo czytam, sporo oglądam, trochę sama kombinuję... – Rozejrzała się po półkach. – Proponuję jeszcze ten jaśniutki beż albo pastelowy błękit. Wybieraj. Każdy będzie dobrze odbijał czerń.

– No to może weź obydwie. Ile już mamy?

– Razem z czarną będzie siedem. I wystarczy. Nie są wcale takie małe, a nie możemy zakryć całego łóżka. Kapa też musi mieć coś do powiedzenia i do pokazania, nie? Mam nadzieję, że pójdzie nam z nią równie gładko jak z poduchami.

Poszło im gładko zarówno z kapą, jak i z dywanem we wściekle cyklamenowym kolorze.

– Widzisz, jak ładnie do siebie pasują? – Ucieszyła się Emilka, wyciągając z wózka poduszkę w identycznej jaskrawej barwie i przykładając ją najpierw do dywanu, a potem do kapy.

– Zmieścimy to wszystko do samochodu? – Wiktoria taksowała wzrokiem imponujące zakupy, które ledwo zdołały dotoczyć do kasy.

– Zmieścimy. Luz! Najwyżej siedzenia się złoży. Ty się lepiej martw, czy kasy ci starczy.

– O to mnie akurat głowa nie boli. Kasy starczy nie tylko na zakupy, ale jeszcze na kolację. Dasz się gdzieś zaprosić? Muszę ci jakoś podziękować za pomoc i zmarnowane popołudnie.

– Nie ma za co. Fajnie się bawiłam. – Wzruszyła ramionami Emilka. – Ale nie zaprzeczę, że jestem głodna. Tylko mama będzie zła, jak nie wrócimy na kolację do domu. Na pewno coś przygotowała i od godziny stoi w oknie, wypatrując, czy wracamy. Aż dziw, że ani razu nie zadzwoniła, żeby spytać, czy nic nam się nie stało, bo my się beztrząsco szlajamy po sklepie, a ona umiera w domu ze zmartwienia.

– Na pewno nie będzie zła. A nawet gdyby, to biorę ją na siebie. Na co masz ochotę? Jakaś pizza? – Wiktoria przypomniała sobie granulki fitness style, które jej siostrzenica rozpuszczała we wszystkim, co piła, więc dorzuciła czym prędzej: – A może wolisz bar sałatkowy?

– Szaszłyka bym zjadła. Takiego prawdziwego, na węglu drzewnym. Mniem! Ale mi w brzuchu zaburczało! – Emilka rozejrzała się wokół siebie z uśmiechem. – Słyszałaś? Wszyscy

chyba słyszeli.

– A gdzie zjemy dobrego szaszłyka? Bo smaka mi narobiłaś. – Wikę nieco zaskoczył ten wybór. Prędzej spodziewałaby się, że za chwilę wylądują w jakiejś wegetariańsko-dietetycznej knajpie. – Dla mamy weźmiemy na wynos, to może nam wybaczy, że nie wróciłyśmy na kolację do domu.

– Poprowadzę cię, ale to na Wyzwolenia jest, przy Fali. Nie szkodzi?

– Absolutnie nie! Jakby się uprzeć, to nawet mamy po drodze... – Dotarły właśnie do kasy. – No dobra! Wyrzucamy na taśmę. Dawaj najpierw farby.

Wbrew obawom zakupy pomieściły się w samochodzie, nawet nie trzeba było składać siedzeń. Wprawdzie zrolowany dywan sterczał tuż przy głowie Wiktorii i ograniczał trochę pole widzenia, ale nie bardzo się tym przejmowała.

Ledwo przekroczyły próg szaszłykarni, Emilka oznajmiła, że musi iść siku i poprawić makijaż. Poprosiła, żeby zamówić dla niej dwadzieścia deko szaszłyka z surówką z białej kapusty. Bez bułki i chleba, oczywiście! Wika na razie ani myślała spełniać tę prośbę. Kiedy tylko jej siostrzenica zamknęła za sobą drzwi toalety, zadzwoniła do Amelii.

– No wreszcie! – Usłyszała na powitanie. – Gdzie wy jesteście? Tyle was nie ma! Czemu dopiero teraz dzwonisz? Ja tu siedzę i od zmysłów odchodzę. Wszystko dobrze?

– A bo ty myślisz, że z twoją córką to da się tak szybko ze sklepu wyjść?! Dopiero skończyłyśmy. Młoda poszła na chwilę do kibla, to korzystam i dzwonię. Jak długo poprawia makijaż?

– Kwadrans minimum.

– To mamy chwilę.

– Kupiłyście coś? Opowiedz tak z grubsza, jak było. Szczegóły potem.

– Tak z grubsza? – Wiktoria starała się stłumić śmiech. – Tak z grubsza, to leszcz od młotkowej farby chciał wsadzić twoją córkę na drabinę, ale się nie dała. I kupiłyśmy złote firanki i Angielską Mżawkę z Ali Babą. I czarne gadające zasłony. I kapę, która cudownie odbija fluory. I oczojebny różowy dywan...

– Co ty pleciesz? Nic nie rozumiem! Gadające zasłony?! I co to za słowo: „oczojebny”?

– Synonim jaskrawego, skoro chcesz wiedzieć. Melcia, my nic o życiu nie wiemy. Mówię ci! Nawet o kolorach nie mamy po...

– Dobra! Mniejsza z tym. Wytlumaczysz mi to, jak się zobaczymy, bo na szybko chyba się nie da, z tego co słyszę. Powiedz lepiej, czy wypytałaś ją o Mirka.

– Ty chyba z konia spadłaś! Jakim cudem miałam się wmontować ze swoim wypytywaniem między czerń młotkową i oczojebny róż?! Ale może teraz się uda... – W skrócie wyjaśniła siostrze, gdzie jest i jaki ma plan. – Przywieziemy ci szaszłyka. Ile chcesz? I z czym? Z ogórkiem kiszonym czy z surówką?

– Po co masz mi przywozić szaszłyka? Przecież ja tu już dawno przygotowałam kolację. Tylko podgrzać. I twoją ulubioną sałatkę warstwową zrobiłam...

– Za warstwową do nóg ci padam. Zjem jutro. Dzisiaj zostaną jednak przy szaszłyku. Jeśli mam się czegoś dowiedzieć o Mirku, to tylko tu i teraz. Kończę, bo Emilka zaraz wróci, a ja nawet nie zamówiłam żarcia. Tak na marginesie... Gratuluję córki. Wiesz, że jest niesamowita?

– Emilka?

– A kto? Masz jakąś inną córkę?

– Jeśli mi gratulujesz, to obawiam się, że mam, tylko nic o tym nie wiem. Z której niby strony Emilka jest niesamowita?

– Z każdej. Ją trzeba wysłać na jakiś designerski kierunek studiów. Tylko musiałyby trochę nad słownikiem popracować, bo nie każdy człowiek wytrzyma te suchary, które bez przerwy sprzedaje. Ale poza tym naprawdę miło mnie zaskoczyła.

– Znowu nie rozumiem. Jakie suchary? Gdzie sprzedaje? Komu? – Amelia westchnęła.
– Już lepiej nic więcej nie mów, bo im więcej gadasz, tym bardziej się gubię i martwię. Idź zamawiać szaszłyk, a ja chowam wszystko do lodówki. Do zobaczenia w domu. I pamiętaj, że masz ją przycisnąć!

– Pamiętam, pamiętam... Pa!

Kiedy Emilka wróciła z toalety, zastała ciotkę siedzącą jakby nigdy nic nad dwoma tackami z pachnącym szaszłykiem.

– Zlituj się! Ileż można poprawiać makijaż?! Kiszki marsza mi grają, a ciebie nie ma i nie ma.

– Sorki. Jak ci kiszki grają, to trzeba było zacząć beze mnie.

– Jakoś wytrzymałam. Zadzwoiłam w międzyczasie do mamy, żeby uprzedzić, że nie przyjedziemy na kolację.

– Bardzo się wściekła? Marudziła? – Emilka wzięła się do jedzenia w dość osobliwy sposób: najpierw powyjmowała spomiędzy kawałków mięsa słoninę i odłożyła ją z obrzydzeniem na brzeg tacki, a potem poddała wnikliwej lustracji plasterki boczku. Część z nich zostawiła w spokoju, a z niektórych odkrajała co tłustsze fragmenty i też odłożyła na bok.

– Wcale się nie wściekła. Wspomniała wprawdzie, że kolacja stoi i czeka, ale nie marudziła. – W przeciwieństwie do siostrzenicy Wiktoria zjadała wszystko, co miała na talerzu. – I coś czuję, że tylko ja tej kolacji nie tknę, natomiast ty i owszem. Nie najesz się tym, co ci tu zostało.

– Nienawidzę tłustego mięsa, a od samego widoku słoniny chce mi się rzygać.

– Wzdrygnęła się z obrzydzeniem Emilka. – Ale nie martw się, nie będę głodna. Kolacji w ogóle nie jem, tylko czasami pozwalam sobie na szaleństwo, tak jak dzisiaj... Mówiłaś mamie, co kupiłyśmy?

– Z grubsza tylko. Jak wrócimy do domu, to wszystko razem opowiemy i pokażemy nasze zdobycze. Natomiast nie odmówiłam sobie pogratulowania utalentowanej córki.

– Pogratulowania? Mnie? – Emilka zaśmiała się ironicznie i tak głośno, że kilka osób z sąsiednich stolików spojrzało w ich stronę. – To już wiem, dlaczego nie marudziła. Zatkano ją od tych twoich gratulacji, po prostu.

– Przestań robić z mojej siostry potwora, bo każę ci zjeść wszystko, co przed chwilą wyrzuciłaś z talerza! – Wiktoria wzięła najgrubszy kawałek słoniny i pomachała nim Emilce przed nosem. – Zobaczysz. Będziesz rzygać i jeść!

– Łuuu! Zabierz to! Ja nie żartuję! Zdziwisz się, jak zaraz puszcę pawia na stół!

– To proszę na przyszłość o więcej wiary we własną matkę! – Wika nie chciała sprawdzać, czy Emilka mówi prawdę, czy tylko ją straszy, więc odłożyła ociekający tłuszczem plaster. – Poza tym zapamiętaj sobie raz na całe życie: rodzice są po to, żeby ich kochać, a nie rozumieć! Jeśli nie będziesz się tego trzymała, to w końcu zwariujesz.

– Dobra. A jak mama zareagowała na te gratulacje? Nie wyśmiała cię?

– Dlaczego miałyby wyśmiać? – Wiktoria czuła, że zaczynają ją piec policzki. – Nie może doczekać się szczegółów. Przyznaję, była lekko zaskoczona, ale ja też byłam. Czy to nasza wina, że ukrywasz się ze swoimi talentami?

– A co ja mam niby za talenty?

– No jak to? My tu siedzimy i wcinamy szaszłyka, a tymczasem samochód pewnie aż się trzęsie od rejwachu.

– Nie rozumiem...

– Emilka! Na kilku hektarach sklepu było milion przeróżnych pojedynczych rzeczy. Udało ci się z tego wszystkiego wybrać coś, co ze sobą gada: firanki gadają z farbą, farba gada z kapą, kapa gada z poduszkami, poduszki gadają z zasłonkami... Dlatego powiedziałam, że w samochodzie jest teraz rejwach, bo z pojedynczych niemot skompletowałam towarzystwo wzajemnej adoracji. I to jest właśnie talent.

– Eeee tam... – Emilka wzruszyła obojętnie ramionami, ale nie zdołała ukryć zadowolenia.

– Nie „e tam”. Żadne „e tam”. Gdybym pojechała bez ciebie, też pewnie zrobiłabym niezłe zakupy, może nawet wydałabym więcej pieniędzy, ale daję ci słowo, że w samochodzie byłoby teraz cicho jak makiem zasiał. Gwarantuję, że nic by tam nie gadało.

– Ależ to całkiem proste...

– Oczywiście! Tak samo jak proste jest zaśpiewanie arii operowej albo namalowanie portretu. Całkiem proste, jeśli się ma talent.

– Eeee tam... – protestowała dalej Emilka, ale nie starała się już chować promiennego uśmiechu pod płaszczykiem obojętności.

– Jeszcze raz powiesz „eee tam”, to cię palnę w ucho! Wiem, co mówię. – Wiktoria ściszyła głos i pochyliła się nisko nad blatem stołu. – Przyznam ci się, że na początku byłam przerażona. Naprawdę! A jak mi dzisiaj w sklepie zaproponowałaś te cygańskie złote sznureczki, to zastanawiałam się, czy nie będę musiała proszków jakichś kupić, żeby zasnąć przy takich firankach.

– Serio? – Emilka zachichotała, a potem z udawanym oburzeniem wzięła się pod boki.

– Wypraszam sobie! To nie są żadne cygańskie sznureczki, tylko portiera typu spaghetti. Na dodatek w prześlicznym stonowanym kolorze miedzi, któremu bardzo daleko do cygańskiego złota! A poza tym kto chciał mieć typowo babski pokój, w którym żaden facet nie wytrzyma dłużej niż trzy minuty? Ja? Nie! Ja się tylko dostosowałam do zlecenia. Gdybyś sobie zawinszowała na elegancko, toby było na elegancko. I też by wszystko ze sobą gadało, ale kulturalnie, bez przekrzykiwania się.

– No widzisz? I to jest właśnie talent. Nie chciałabyś go jakoś dalej rozwijać? O jakich studiach myślałaś?

– No na pewno nie o dizajnerskich!

– Dlaczego? – Wiktoria miała wrażenie, że Emilka prawie się wystraszyła własnych słów.

– Teraz to cię... Jak to z mamą mówicie? Poniesło?

– Kto jak kto, ale ty jesteś akurat ostatnią osobą, która miałaby prawo nabijać się z czyjegoś języka, ty placku, sucharze, nolajfie, dodoidzie i nie wiem, czego się jeszcze od ciebie nauczę! – Obie wybuchnęły śmiechem.

– A dlaczego mówisz, że mnie poniesło ze studiami dizajnerskimi? – wróciła do tematu Wiktoria.

– Przecież ojciec by zawału dostał! A bez niego nie dam rady.

– Czemu?

– W Szczecinie nie ma żadnych porządných studiów tego typu. Musiałabym wyjechać... Najbliżej miałabym chyba Warszawę. Ładne mi „najbliżej”, nie? – powiedziała smutno. – Jest tam taka jedna szkoła. Prywatna. Ale za to jakie nazwiska, jakie warunki, jakie oferty praktyk!

– Skąd wiesz?

– Byłam na ich stronie. Tak sobie patrzyłam z ciekawości... Bo popatrzeć tylko mogę i się obliczać. Nie masz pojęcia, jakie tam jest czesne. A gdzie kasa na chatę i żarcie? Nawet gdybym poszła do pracy, nie miałabym szans zarobić na samo wpisowe.

– Przyjmują kandydatów do oporu? – Wiktoria nie miała zaufania do prywatnych uczelni.

– Coś ty? Trzydzieści pięć miejsc i szlaban! Tłumaczą, że chcą zapewnić swoim absolwentom przygotowanie i płynne wejście na rynek pracy, więc nie mogą ich mnożyć bez końca. Ale i tak bym się pewnie nie dostała...

– Nie dowiesz się, dopóki nie spróbujesz. Wymagają matury z wychowania plastycznego czy jak to tam się teraz nazywa?

– Historia sztuki. – Emilka przekrzywiła głowę z bezbrzeżną dezaprobatą. – Nie kompromituj się!

– Odezwała się erudytko! Wymagają matury z historii sztuki czy nie?

– Nie. Ale wymagają przynajmniej podstawowej z fizyki i rozszerzonej matematyki. Bez sensu! Poza tym mają też egzamin wstępny. I wiesz, jak on wygląda? Dokładnie tak jak to, co dzisiaj robiliśmy! Czyli musisz przeprowadzić rozmowę z klientem: poznać jego gust, przeznaczenie pomieszczenia, ile szmalu może na to wydać... No takie tam. – Machnęła ręką, zrzucając widelec na podłogę. – A potem musisz je urządzić. – Zanurkowała pod blat, nie przestając mówić. – Bezgotówkowo urządzasz, oczywiście, tak na niby, a nie jak my dzisiaj... Fajnie, nie? Od razu widać, że bardziej niż punkty na maturze interesuje ich... – Wynurzyła się spod stołu z widelcem w ręku, przyjrzała mu się z takim obrzydzeniem, jakby był zrobiony ze słoniny, i odłożyła na stół.

– Że bardziej niż punkty na maturze interesuje ich talent – dokończyła za nią Wiktoria.

– Jakby co, to mogę ci dać referencje.

– I na co mi one? Z fizyki jestem strasznie cienka, z matmy też... Polegnę już na maturze. A reszta? Nawet gdybym się jakimś cudem dostała, to skąd wezmę pieniądze na opłacenie nauki i utrzymanie się w Warszawie? Z dupy? Szkoda gadki, zaraz w jakąś melanchunię wpadnę!

Wiktoria miała ochotę upomnieć ją, że używając takiego języka, może się nie dogadać z ewentualnymi klientami, ale darowała sobie. Zauważyła, że Emilka potrafi mówić całkiem ładnie i dorzecznie, więc zapewne gdyby zaszła taka potrzeba, zdołałaby właściwie się zachować.

– Mało dizajnerska ta twoja melanchunia, szczerze mówiąc. – Zareagowała dla przyzwoitości i skupiła się na czymś innym. – Dlaczego myślisz, że tato nie da ci pieniędzy na studia w Warszawie? On by dla was wszystko zrobił. Nie można mu tego odmówić, więc nie bądź niesprawiedliwa i nie strosz się na wyrost...

Chciała jeszcze coś dodać, ale Emilka wpadła w złość i przerwała:

– Oczywiście! Uwielbia powtarzać, że z morza nie zejdzie i flaki sobie wypruje, żeby nam niczego nie zabrakło! – krzychała, prychnąwszy po każdym zdaniu. – I nie wątpię, że tak by zrobił, gdybym zdecydowała się studiować, na przykład, stosunki międzynarodowe w Brukseli. O tak! Wtedy na pewno by nie schodził z morza i niewątpliwie wyprułby sobie flaki! Tyrałby jak wół, żeby najpierw zapłacić korepetytorom, którzy przyjeżdżaliby do mnie z całej Europy i szykowali mnie do matury, a potem zarznąłby się na śmierć, żeby mieć w tej Brukseli co jeść i gdzie spać! Tak by było. Jestem pewna, że wszystko by dla mnie zrobił, więc nie mów mi, że się stroszę na wyrost!!!

– Czemu krzyczysz...? – Wiktoria starała się choć trochę uspokoić ten nagły wybuch agresji. – Nie jestem głucha.

– Co ty wiesz! – Emilka spojrzała na nią z politowaniem. Na szczęście przerzuciła się też na litościwą cichą intonację. – Tato nie da mi grosza na studiowanie o firankach i poduszkach.

Bo tylko tyle to dla niego znaczy.

– Mówiłam ci przed chwilą, że rodzice są po to, żeby ich kochać, a nie rozumieć, prawda? Rozmawiałaś z nim kiedykolwiek o tym?

– Ciotuniu... – Zdrobnienie zabrzmiało dość jednoznacznie. – Ja z nim nie raz rozmawiałam, na różne tematy. Ale ty chyba rzadko, co? To jest człowiek, który ma licencję na mądrość i nie ma wad.

– Każdy jakieś ma. Nie przesadzaj.

– Tak. Każdy. – Emilka kiwnęła głową. – Oprócz niego. On nie ma. Uwierz, mój ojciec składa się wyłącznie z zalet. To drugi taki egzemplarz po Chrystusie. Tylko ten pierwszy był bardziej ludzki i dawał człowiekowi wybór. Natomiast mój ojciec wyboru nie daje, bo zawsze wie, co dla kogo dobre, a co złe. – Opadła na oparcie krzesła i przecesała włosy palcami. – Ja pierdzielę! Nie masz pojęcia, jak on mnie jeży tą skończoną doskonałością i wiecznym samozadowoleniem!

– Co nie zmienia faktu, że zrobi dla ciebie wszystko... – Wiktoria po raz kolejny chciała coś wtrącić i po raz kolejny jej się to nie udało.

– Jasne! Najlepiej wyjedź mi teraz z tekstem, że nie doceniam tego, co on mi daje! Tylko nie zapomnij wspomnieć, że dzieci z Sudanu muszą dygać kilka kilosów po wodę i targać ją w wiadrach do wsi! I że gdybym ja musiała się kilka razy dziennie kopnąć z wiadrzem do Odry, to może bym nabrała rozumu...

– Przecież nic nie mówię. Czill! Czemu cię tak poniesło? – Próba żartobliwego uspokojenia siostrzenicy się nie powiodła. Emilka zamilkła wprawdzie na chwilę i wzięła kilka głębszych wdechów, ale wciąż nerwowo szarpała kosmyki włosów.

– Ojciec od zawsze tresował za pomocą pieniędzy, tak jak tresuje się foki przy użyciu ryb. Zrobisz sztuczkę i zaklaszczesz płetwami, to dostaniesz nagrodę, a jeśli nie... – Rozłożyła bezradnie ręce, a potem opuściła je z rezygnacją. – Co ci będę tłumaczyć? Chodzi o to, że moje dizajnerskie zdolności nie są sztuką, za którą foka dostaje rybę. Co innego mój braciszek! Ten to klaszcze płetwami, aż się echo niesie! Zakuwał cały rok jakiś popieprzony starodawny system karnistyczny i zdał prawo rzymskie najlepiej na roku. A ile było gadania przy stole i ile uczonych dyskusji! Chyba wolałabym słoninę jeść, niż ich słuchać... Ale tatuś był tak wniebowzięty, że w nagrodę za ten egzamin kupił Mirkowi samochód. A jak ja chciałam zrobić prawko zaraz po osiemnastce, to powiedział, że za kierownicę mogą siadać wyłącznie odpowiedzialni ludzie, a ja mu na taką chwilowo nie wyglądam. No i weź się zastanów! Jeśli nie dał mi kasy na prawo jazdy, to da na studiowanie o firankach?! Wierzysz?! Fejspalm! – Emilka teatralnym gestem plasnęła się otwartą dłonią w czoło.

– To... fejs... co? A to co znowu znaczy?! – Wiktoria rozkojarzyła się od natłoku myśli.

Po pierwsze, zrozumiała wreszcie, dlaczego ta mała krzykaczka zawsze wydawała jej się bratnią duszą: pomijając zbieżność charakterów, obydwie miały podobne relacje z ojcami, dla których były życiowym rozczarowaniem. Po drugie, upewniła się, że nie bez podstaw żywi niechęć do szwagra. Po trzecie, kiedy Emilka wspomniała o swoim bracie, przypomniawszy sobie, z jaką misją przybyła do szaszłykarni: pogrążona w rozmowie z siostrzenicą zupełnie zapomniawszy, że ma ją „przycisnąć” w sprawie Mirka. Po czwarte, zastanawiała się coraz poważniej, którym z dzieci Mela powinna się zająć w pierwszej kolejności. No i wreszcie, po piąte i najtrudniejsze, jak jej to wszystko powiedzieć, żeby nie urazić tego kawałka duszy, w którym była matką, i tego, który oddała mężowi...

– Fejspalm? – burknęła wciąż rozeźlona Emilka. – Ojej, no jak ktoś gada coś zenującego,

to łapiesz się za czoło i jęczysz: „O nieee... jaki fejspalm”.

– Dobra. Rozumiem, że z tatą nie możesz się dogadać. Ale wyjaśnij mi, dlaczego wciąż się żresz z Mirkiem? – Wiktoria uznała, że czas się zmobilizować, bo w tej chwili najważniejsze jest „po trzecie”. Mela byłaby na pewno rozczarowana, gdyby siostra wróciła do domu z niczym. – Ja i twoja mama też nie byliśmy wzorowym rodzeństwem, ale to, co wy wyczyniacie, przechodzi ludzkie pojęcie.

– Nie moja wina! Zauważyłaś, że to on mnie zawsze zaczepia i wkuuuu...rza? Zauważyłaś?! Ja z ciuchów wyłażę, żeby z nim nie gadać!

– Ale czemu z ciuchów wyłazisz, żeby z nim nie gadać? To znaczy, że skóry wyłazisz... – Matko jedyna, czy to dziecko nigdy nie miało kontaktu z polonistą?

– Bo to skończony debil!

– Już to słyszałam. Debil i nolajf. Ale, umówmy się... Jeśli najlepiej na roku zdał prawo rzymskie, to na pewno nie jest debilem.

– Jest. Tylko ma dobrą pamięć i kocha zakuwać. – Emilka nie wyglądała na skora do rozmowy na temat brata. Jej twarz zrobiła się nagle jakaś zimna i obca, a oczy patrzyły na Wiktoria niemal wrogo.

– To jeszcze nie powód, żeby wciąż się z nim szarpać. Może lubi swoje studia i po prostu z przyjemnością się uczy?

– Jasne!

Bojowe spojrzenie siostrzenicy trochę wystraszyło Wiktoria. Przez ostatnie godziny miała z nią doskonały kontakt: śmiały się, rozmawiały, wygłupiały, planowały wspólne malowanie pokoju... Emilka zupełnie wypadła ze swojej codziennej roli i w niczym nie przypominała nabzdyczonej pannicy, która obojętnie spogląda na świat zza pancерnej szyby. Teraz jednak zaczynała się znowu za tę szybę chować. Wika bała się, że za chwilę straci to, co między nimi zbudowała.

– Masz chłopaka? – Postanowiła zmienić temat.

– Dzizas! Jakbym z babcią gadała! Pyta o to za każdym razem! Od razu widać, że jesteście spokrewnione! – Wszystko wskazywało na to, że drzwi w kuloodpornej ścianie zostały właśnie zatrzasknięte tuż przed nosem Wiktorii.

– Nie chcę cię martwić, ale ty też jesteś spokrewniona. I ze mną, i z babcią. Jak to mówią, rodziny się nie wybiera...

– Dlatego wszyscy powinni oddawać jeden procent podatku na badania genetyczne. Bo one mogą to kiedyś wreszcie zmienić – przerwała Emilka, wciąż patrząc na ciotkę zaczepnie.

– Zapytaj mnie jeszcze koniecznie o ulubiony przedmiot i dlaczego nie oglądam *Mody na sukces*.

– Chyba piłki nożnej...

– Babcia nie ogląda piłki nożnej.

– Ale dziadek ogląda. A ty się czepiasz dokładnie tak jak on: nie wiadomo za co i nie wiadomo dlaczego. – Wiktoria postawiła wszystko na jedną kartę, bo czuła, że pod żadnym pozorem nie może pozwolić, żeby wróciły do obojętnego milczenia. Zawsze uważała, że obojętność jest najgorsza ze wszystkiego. – Wybacz, kochanie, ale jak ciebie słucham, to wydaje mi się, że większość genów masz jednak po dziadku, nie po babci. I nie patrz tak na mnie!

– Zaśmiała się, widząc wbite w siebie coraz bardziej zwężające się oczy. – Nie padnę pod twoim spojrzeniem, nie jesteś bazyliżkiem. Chociaż mało ci brakuje.

– Jesteś... wredna! – Emilka nie odważyła się użyć mocniejszego słowa.

– No cóż... Genetyka już taka jest. Cała nasza rodzina składa się wyłącznie z wrednych

kobiet, a każde pokolenie przerasta poprzednie, więc gratuluję! Może faktycznie oddam jeden procent podatku na genetyków? Bo strach pomyśleć, jaka będzie twoja córka.

Zacięte milczenie siostrzenicy wcale jej nie zniechęcało. Domyślała się, że Emilka nie zrezygnuje tak szybko z chowania się za szybą i trzeba się będzie trochę nagimnastykować, żeby ją zza niej wyciągać.

– Słuchaj no, panno Czubatko! Nie strosz się jak prawdziwa czubatka, dobra? Zapytałam tylko, czy masz chłopaka, a ty zupełnie bez sensu na mnie naskoczyłaś. I nie porównuj mnie z babcią, jeśli mogę prosić, bo ja zadałam ci to pytanie raz i nie mam zamiaru codziennie do niego wracać. A *Mody na sukces* nie oglądam, chociaż jak ktoś lubi, to nie widzę w tym nic złego. Ty też na pewno jakiś głupi serial oglądasz... – W odpowiedzi zobaczyła tylko przedziałek we włosach Emilki. Zwątpiła w skuteczność swoich zabiegów i podniosła się zza stołu. – No dobrze. To idę zapłacić, a ty jakoś ogarnij stół i odnieś to wszystko do okienka. – Ruchem głowy wskazała wnękę z tabliczką: PROSIMY O ODDAWANIE NACZYŃ ORAZ TAC. – Czas jechać do domu...

Kiedy wróciła do stolika, zastała Emilkę siedzącą nad wciąż niesprzątniętymi talerzami. Bez słowa zaczęła układać wszystko w jeden stos.

– Zostaw. Zaraz to pozbieram i zaniosę... Wiesz co? Nie powinnaś strzelać focha, bo jesteś starsza i już ci nie wypada. Ja mogę, bo jestem młoda i głupia, a ty nie. – Patrzące na Wiktorię oczy nie były już ani zimne, ani wrogie. Wręcz przeciwnie: siostrzenica patrzyła wesoło i odrobinę przepraszająco. – Rozumiesz?

– Z grubsza, chociaż nie za bardzo mi się to podoba... – powiedziała Wika ugodowo. – Bo wygląda na to, że twój ojciec ma licencję na mądrość, brat na zakuwanie, a ty na stroszenie się. Będę musiała znaleźć coś dla siebie.

– Nie szukaj. Już masz. Ty masz licencję na złote myśli. – Emilka zachichotała, coraz bardziej wychylając się zza kuloodpornej szyby.

– Na złote myśli? Nie wiem, o co ci chodzi.

– No bo wciąż wrzucasz jakieś górnosłowne mądrości.

– Po jakiemu ty mówisz? – Wika zaraziła się szybko wesołością siostrzenicy.

– Górnotłone, a nie górnosłowne!

– Kiedyś może się tak mówiło – prychnęła Emilka. – Teraz każdy mówi, jak chce.

– No właśnie widzę. To znaczy, słyszę właśnie...

Jakiś czas uśmiechały się do siebie w milczeniu.

– Obiecasz mi, że już nigdy nie porównasz mnie do dziadka? – odezwała się w końcu Emilka.

– A co dostanę w zamian?

– W zamian ja cię już nigdy nie porównam do babci.

– Kuszająca oferta. – Wiktoria z aprobatą pokiwała głową. – Niech ci będzie. Chociaż wołałabym przyrzeczenie, że nie będziesz się na mnie więcej stroszyć bez powodu.

– Co ty wciąż z tym stroszeniem? Stroszyć i stroszyć!

– Okej. Wołałabym, żebyś nie strzelała fochów bez powodu. Teraz rozumiesz? I daj spokój babci i dziadkowi. Co ci przeszkadzają? Z tego, co mówiła twoja mama, widzisz się z nimi zaledwie kilka razy w roku.

– Łatwo ci mówić „daj spokój”, bo ty się z nimi widzisz jeszcze rzadziej! – Rzuciła ciotce brutalną prawdę w twarz. – Nie czepiam się ich i wytrzymuję jakoś te rodzinne spotkania, chociaż czasami ledwo. Czy wiesz, co dostałam od babci na zakończenie roku szkolnego?

W życiu nie zgadniesz!

– Ciesz się, że w ogóle coś dostałaś. Podejrzewam, że niewiele babć traktuje koniec roku szkolnego jako powód do dawania wnukom prezentów. Obojętnie, jakie by te prezenty...

– Dżizas! Ale ty jesteś! – przerwała jej Emilka, cmokając ze zniecierpliwieniem. – Nie rób mi wykładu o tolerancji międzypokoleniowej, tylko spytaj, co dostałam.

– Co dostałaś? – Wika była nieco zaskoczona tym, że jej siostrzenica wymyśliła i bez zająknięcia wymówiła frazę „wykład o tolerancji międzypokoleniowej”.

– Bo dziadka opętała na starość polityka i historia, a babcię kościół. I na zakończenie roku szkolnego dała mi zaproszenie na boską dyskotekę. Słyszałaś kiedyś o boskiej dyskotece?

– Nie uwierzysz, ale byłam kiedyś w twoim wieku i chodziłam na dyskoteki. Niektóre naprawdę były boskie.

– Jesteś pewna? Ta boska dyskoteka to się nazywa konkretnie Chrystoteka. Na ulotce było napisane, że jak ktoś się zmęczy w tańcu, to będzie mógł odpocząć przy adoracji Najświętszego Sakramentu. A na wejściu każdy dostanie darmowego drinka Ekstaza Świętej Teresy. Bezalkoholowego oczywiście, bo alkoholi na Chrystotece żadnych nie ma. Do tego zabawa przy muzyce chrześcijańskiej wykonywanej przez zespół o wdzięcznej nazwie Krzyż na Droge. I co?! – Emilka zaniosła się chichotem. – Nic nie mów! Wystarczy mi twoja mina.

– No cóż... Dość niebanalna forma ewangelizacji, muszę przyznać... Ciekawe, jak się nazywały inne drinki? Uniesienie Faustyny? Albo podwójny Piotr i Paweł? Albo Gorzkie żale... to na bazie toniku by musiało być... Powiem ci, że robi wrażenie. I co? Poszłaś?

– No chyba zwariowałaś! Pić Świętą Teresę i adorować Najświętszy Sakrament pod muzeum Krzyża na Droge?! Czy ty w ogóle słyszysz, jak to brzmi?!

– A może babcię jakaś sekta zwerbowała? – Popatrzyły na siebie i jednocześnie wybuchły śmiechem. – Nie, no teraz mnie chyba trochę poniesło... I jak to się skończyło?

– Normalnie. Jak zwykle w naszej rodzinie. Dziadek powiedział babci, że jest starą dewotką i Chrystus na pewno wolałby męczyć się po raz drugi na krzyżu, niż z nią mieszkać. To babcia się na niego obraziła i wyzwała go od faryzeuszy, a potem obraziła się na mnie i powiedziała, że jestem bezbożnicą. Jak już wyszli, to tata mi nagadał, że dźwigi w jego ładowniach są subtelniejsze ode mnie, a mama poprawiła tekstem, że nie mam szacunku dla dziadków i strach pomyśleć, co jej i ojcu zgotuję na starość. Braciszek wprowadził milczał, ale następnego dnia od niego też dostałam prezent: wypalił mi płytkę z kościelnymi kawałkami, żebym wiedziała, do czego będę wymiatać na parkiecie... – Popatrzyła na Wiktorię i znów cmoknęła ze zniecierpliwieniem. – Oj, nie rób już takich oczu i takiej miny, jakbyś naprawdę nie rozumiała! Wypalił, to znaczy zgrał z kompa na płytę!

– Rozumiem, rozumiem... – Zbliżająca się wizyta u rodziców zaczęła jawić się Wice jako coś, czego nie da rady przeżyć. Polityka... *Moda na sukces*... Chrystus, który wolałby się dać ukrzyżować po raz drugi... historia... faryzeusze... boska dyskoteka... Może faktycznie będzie lepiej, jeśli nie pójdzie, a Mela usprawiedliwi jej nieobecność nagłym wyjazdem? – Coś ty babci powiedziała, że się na taki lincz naraziłaś?

– Nic takiego... – Uciekła wzrokiem i przez kilka chwil kontemlowała obrazki na ścianach szaszłykarni. – Ojej... Przez pierwsze pół godziny siedziałam cicho i tylko głupkowato się szczyrzyłam. Ale babcia, jak się czepi tematu, to albo wyprowadzi człowieka z równowagi, albo zamęczy na śmierć. – Dziewczyna oderwała wzrok od obrazków i rzuciła to swoje zaczepne spojrzenie, którego ewidentnie nadużywała. – Nie mogłam dać się zamęczyć, prawda!? To co mi zostało?! Dałam się wyprowadzić z równowagi...

– I?

– I trochę mnie poniesło, jak to mówisz. Poprosiłam, żeby dała mi wreszcie spokój. Tylko

chyba troszkę za głośno poprosiłam...

– A nie lepiej było zapewnić babcię, że pójdziesz, ale tylko z Mirkiem? Przynajmniej byś jego też ugotowała.

– Jak ty nic nie wiesz... – po raz kolejny powiedziała Emilka i po raz kolejny popatrzyła na ciotkę z politowaniem. – Nie masz pojęcia, w co on gra. Wciąż nabija się z dziadków i tak ich wkręca, że czasami mam ochotę wypłacić mu w ten debilowaty łeb. Po co miałam mówić, że pójde, ale tylko z nim, jeśli on sam natychmiast się zadeklarował, że chętnie by na boską dyskotekę polecał, piętami waląc się w dupę, tylko akurat mu termin nie pasuje. „Ale czemu moja siostra nie chce iść, to nie rozumiem. Emalia! Dlaczego nie chcesz? Ty i twoje koleżanki tak lubicie imprezy!”, gadał jak nakręcony, a potem, kiedy nikt nie słyszał, nucił mi bez przerwy „Taki chudy, taki gruby, może świętym być” i radził, żebym sobie jakiś ładny układ choreograficzny do tego wymyśliła, to na dyskotecę jakiegoś faceta wyrwę i na Dzień Babci wystąpię z nim przed rodziną. Ale tego oczywiście nikt nie słyszał. Babcia się na niego nie obraziła i rodzice mu nie nawtykali, bo nie mieli za co. Debil! – Odsunęła krzesło i zaczęła zbierać ze stołu tace z naczyniami. – Zawijamy? Znaczy... Jedziemy? Bo zobaczysz, że mama nas w końcu do domu nie wpuści i przez najbliższe trzy dni będzie chodzić nadąsana i ostentacyjnie uprzejma. Ona też jest niezła... – Emilka zatrzymała się w połowie drogi między Wiktoria i okienkiem i głośno się zaśmiała. – Wiesz co? Ty masz rację, że kobiety w naszej rodzinie są chyba nie do końca normalne...

Jechały jakiś czas w milczeniu. Nie widziały się, bo między ich głowami sterczał zrolowany dywan. Może dlatego Wiktoria nabrała odwagi i po raz kolejny przystąpiła do szturmu.

– A Mirek ma jakąś dziewczynę? Tylko się teraz nie strosz i nie mów, że czujesz się, jakbyś z babcią gadała! – zastrzegła szybko. – Pytam, bo jak tak o nim opowiadasz, to sobie pomyślałam, że może jemu dziewczyny brakuje? Może by trochę spuścił z tonu? Według mnie ten, kto powiedział, że muzyka łagodzi obyczaje, musiał być gejem. Na mój gust obyczaje mężczyzny sto razy bardziej łagodzi kobieta i dlatego... – Głos uwiązał Wiktorii w gardle, bo nagle stanął jej przed oczyma Paweł i to, jak bardzo „złagodziła” jego obyczaje. Coraz rzadziej o nim myślała i ze wszystkich sił starała się wyrzucić go z pamięci, ale bywały momenty, kiedy wszystko niespodziewanie wracało, szarpiąc wnętrzości wstydem i rozgoryczeniem. Tak jak teraz... Zrobiło jej się nagle głupio, że chce doradzać, pomagać i ratować, chociaż sama nie potrafiła ułożyć sobie życia. Wydała się sobie żałosna i nic niewarta. Zaczęła mrugać, żeby pohamować napływające do oczu niechciane łzy.

– Spoko. Nie nastroszę się. – Emilka opacznie odebrała milczenie ciotki. – Ale nie chcę gadać o Mirku. I nie wiem, czy cokolwiek jest w stanie złagodzić jego obyczaje. Natomiast co do dziewczyn, to... On nie lubi dziewczyn.

Wiktoria omal nie przyrznęła w bagażnik samochodu, za którym jechała.

– Przepraszam, nie zauważyłam, że hamuje – wykrztusiła, rozmasowując sobie ramię, boleśnie uciśnięte zablokowanym nagle pasem bezpieczeństwa. – Przepraszam.

– Nie ma za co. Jestem przyzwyczajona. Mama zawsze tak jeździ i wciąż się dziwi, że są na tym świecie kierowcy, którzy na widok pomarańczowego światła hamują, zamiast przyspieszać – stękała Emilka, mocując się z dywanem, który omal nie przebił przedniej szyby.

– Najwidoczniej to też dziedziczne wśród kobiet w naszej rodzinie. Może dlatego tata nie dał mi na prawo jazdy? – Udało jej się w końcu ułożyć różowy rulon w poprzedniej pozycji.

– Nie lubi dziewczyn?

– Tata?! No wiesz? Pod tym względem to on jest akurat normalny.
– Nie żaden tata, tylko Mirek. Powiedziałaś, że Mirek nie lubi dziewczyn.
– Hejku! Naprawdę musimy o nim gadać?! Jest tak pięknie: debil wyjechał, cały tydzień nie będę musiała na niego patrzeć i słuchać jego tekstów... – Błogie zadowolenie Emilki przeszło w złość. – A ty mi o nim przypominasz! Co się dziwisz, że nie lubi dziewczyn?! Sama mogłaś na to już sto razy wpaść. Nie słyszałaś, co mówi o mnie i moich kumpelach? Nołajf jeden!!! Mam nadzieję, że będę akurat w domu, jak on w końcu przyprowadzi swoją... hmmm... że tak powiem... dziewczynę! – Zachichotała jak czarownica. – Ciekawe, czy pierwszy zemdleje tatuś, czy mamusia.

– Chcesz powiedzieć, że Mirek...

– Chcę powiedzieć, że nie chcę o nim więcej gadać! Ani dzisiaj, ani w ogóle! Nie psuj atmosfery, co? Jak masz potrzebę, to zgłoś się do niego osobiście i przemagluj. Na mnie w tej kwestii nie licz! – Nerwowe prychnięcie miało prawdopodobnie zadziałać na Wikę odstrasżająco i ostrzegawczo. – Słuchaj! Tak teraz myślę, że kupiliśmy dwa zestawy do malowania. A co, jeśli mama zechce nam pomóc? Mam nadzieję, że w piwnicy znajdzie się dla niej jakiś wałek albo przynajmniej pędzel. Jeśli nie, to oddam swój najcieńszy pędzelek do makijażu i powierzmy mamie wymagającą precyzji wykończeniówkę: przy framugach, kontaktach... No, chyba że umiesz odkręcić kontakt. Umiesz?

Wiktoria nie była w stanie odpowiedzieć, bo najzwyczajniej w świecie nie usłyszała pytania.

– Mirek jest gejem? – Miała już dość zabawy w kotka i myszkę.

Emilka zaśmiała się głośno, a potem wychynęła zza dzielącego je dywanu i podsunęła dłoń tuż pod nos Wiktorii.

– Mów do ręki, ciociu!!!

III

ŁABĘDŹ, CZYLI NASTROSZONY OBROŃCA

Jaja wysiaduje głównie samica, podczas gdy samiec pozostaje w pobliżu, by w razie potrzeby bronić gniazda - odstrasza intruzów groźną postawą, wyciągając głowę do tyłu i podnosząc skrzydła. W sytuacji zagrożenia rzuca się naprzód, odbijając się od powierzchni wody obiema łapami. Łabędzie z reguły dochowują sobie wierności, ale absolutna monogamia tych ptaków jest mitem. Obrączkowanie pozwoliło wykazać przypadki rozpadania się par.

ROZDZIAŁ 7

W opinii ojca Wiktorii zawsze miała fiu-bździu w głowie i od urodzenia przysparzała rodzicom zmartwień. Była upartą i krnąbrną dziewczynką, która chadzała własnymi ścieżkami i wracała do domu umorusana jak chłopak. Nie posłuchała matczynych błagań nawet na kilka dni przed Pierwszą Komunią. Przystąpiła do niej wprawdzie, ale z ręką w gipsie i podrapaną buzią! I jak tu iść do fotografa? Odłożyli robienie pamiątkowych zdjęć na później, ale kiedy ręka się zrosła, śnieżnobiałe lakierki i komunijna sukienka były już na Wiktorię za małe. Rosła w górę szybciej niż pęd fasoli, który w pewnym okresie trochę przypominała, chuda tyczka ze zbyt długimi kończynami. Z czasem zmieniła się z tej tyczki w młodą, bardzo zgrabną i bardzo wysoką dziewczynę, ale nic nie wskazywało na to, że jej rozsądek nadaża za rozwojem fizycznym. Nadal chadzała własnymi ścieżkami, tyle że nie miała już wiecznie podrapanych kolan. Janina i Bernard nie mogli pojąć, dlaczego starsza córka nie przysporzyła im nawet jednej dziesiątej tych kłopotów, jakie mieli z Wiktorią. Wychowywali je przecież tak samo!

Amelia spełniała wszystkie pokładane w niej nadzieje i nigdy nie musieli się za nią wstydzić. Wprawdzie pewnego dnia nieprzyjemnie ich zaskoczyła informacją, że jest w ciąży, ale dość szybko się uspokoiili, bo Sławek zachował się jak mężczyzna: natychmiast poprosił o rękę Amelii, zapewniając, że bardzo ją kocha i nigdy nie pozwoli, aby jej i dziecku czegoś w życiu zabrakło. Dotrzymał słowa. Dbał o żonę, chyba tylko ptasiego mleka jej brakowało. Był też dobrym, chociaż surowym ojcem. Pochwalali to, wyrzucając sobie czasami, że może to przez zbyt łagodne wychowanie Wiktorii wyrosła, na kogo wyrosła, czyli nie wiadomo na kogo.

Wprawdzie w odróżnieniu od siostry skończyła studia i zaczęła pracować, ale zawód, jaki sobie wybrała, nie był imponujący. Kiedy po maturze, do której dojrzała chyba tylko dzięki modlitwom matki, oznajmiła, że chce zostać nauczycielką, Bernard jasno i otwarcie powiedział, co o tym myśli, a mianowicie że nie rozumie, dlaczego trzeba aż pięć lat się uczyć, żeby cudzym dzieciom tyłki i nosy wycierać. Przy okazji wyraził swoją opinię na temat matek, które zamiast zajmować się pociechami, oddają je do zbiorowego przytułku, zwanego dla niepoznaki przedszkolem. Nie miał nic przeciwko temu, żeby kobiety robiły karierę zawodową, ale uważał, że ich świętym obowiązkiem jest odchowanie dzieciaka przynajmniej do wieku szkolnego. Potem niech sobie idą do pracy, jeśli muszą pomóc w utrzymaniu domu, bo nie trafił im się taki mąż jak, na przykład, Sławek...

Wiktorii zareagowała na ojcowskie uwagi bardzo gwałtownie i rozmowa skończyła się jedną z większych awantur, jakie miały okazję usłyszeć ściany ich domu. Być może byłyby kolejne, jeszcze większe i jeszcze głośniejsze, ale w tym samym mniej więcej czasie Bernard podjął niezłomną decyzję oddania domu córkom i wyprowadzenia się jak najdalej. Decyzja była niezłomna, ale na prośbę żony odwlekał ją w czasie. Kiedy jednak Amelia oznajmiła radośnie, że znowu jest w ciąży, postanowił działać, nie oglądając się na nic i na nikogo. Chciał mieć wreszcie święty spokój i cichy kąt, gdzie mógłby w ciszy posiedzieć przed telewizorem albo z książką. Życie na kupie z całą tą ferajną nie dawało takich możliwości. Kiedy Sławek był na łądzie, Bernard czuł się zdominowany przez młodego samca, który zajął jego terytorium i panoszył się na nim, traktując teścia jak stary mebel trzymany tylko ze względu na sentymenty domowników. Kiedy natomiast zięć wypływał w morze, Bernard czuł się zdominowany przez

stado samic, które ciągle go gdzieś wypychały albo popychały.

Codziennie dostawał rozkaz oddalenia się do parku z wózkiem, w którym malutki Miruś wydzierał się wniebogłosy, zagłuszając nawet przejeżdżające na sygnale karetki pogotowia. Trzeba było niemal biec po alejkach, mocno bujając wózkiem, bo tylko takie tempo i silne kołysanie usypiały wnuczka. Dopiero kiedy Miruś zamykał wreszcie oczy i buzię, Bernard mógł zwolnić kroku i uspokoić skołatane serce. Spacerował po parku przez ściśle określony czas – zależnie od załączonych do rozkazu instrukcji – a kiedy wracał do domu, na progu odbierano mu wózek i wręczano siatkę oraz długą listę sprawunków, które czasami wprawiały go w lekkie zażenowanie. Kupiwszy wszystko, łącznie z maścią na pękające sutki, nadal nie mógł liczyć na chwilę wytchnienia, bo znowu trzeba było w czymś pomóc albo czegoś przypilnować. Nic zatem dziwnego, że wiadomość o kolejnej ciąży Amelii podziałała na niego niczym bojowa surma. W ciągu dwóch tygodni dokonał wszelkich formalności związanych z przepisaniem domu na córki i kupił wygodne mieszkanie na drugim końcu Szczecina. W dniu przeprowadzki nie podskakiwał z radości tylko dlatego, żeby nie drażnić żony, która zalewała się łzami i zamartwiała tym, jak poradzi sobie biedna Amelka, kiedy Sławek wypłynie w morze, a ona zostanie sama z dwójką dzieci. Bernard tłumaczył spokojnie, że po pierwsze, nie zostanie sama, tylko z siostrą, a po drugie, nie wyprowadzają się przecież na drugą półkulę, więc zawsze będzie mogła przyjechać i pomóc, a nawet zostać u córek na dłużej, jeśli zajdzie taka potrzeba. To troszkę uspokoiło Janinę, która dała się w końcu wywieźć do nowego mieszkania. Przez pierwszych kilka dni chodziła po kątach i pochlipywała ukradkiem, natomiast on, zamiast bujać wnuczka w wózku, bujał sam siebie w wiklinowym fotelu, rytmicznie przybliżając i oddalając oczy od lśniącego nowością dwudziestośmicalowego ekranu.

Znowu był samcem alfa: miał własny teren, własną samicę i aż dwa piloty – jeden do dekodera anteny satelitarnej, a drugi do telewizora – i mógł przy nich majstrować ile dusza zapagnie, bez obawy, że ktoś zaraz krzyknie, żeby przyciszył albo najlepiej wyłączył ten głupi mecz... Rozkoszował się głosem komentatora sportowego i własnym rozsądkiem. Nie miał wątpliwości, że podjął jedną z najlepszych w życiu decyzji i że dzięki temu dożyje w dobrym zdrowiu sędziwej starości.

Niestety żona nie podchodziła do tego aż tak entuzjastycznie i niejednokrotnie ciosała mu kołki na głowie za to, że odseparował ją od dzieci i wnucząt, a jak tylko Sławek wypływał w morze, natychmiast pakowała walizki i przeprowadzała się do Amelii, żeby pomagać jej w opiece nad Mirusem i nowo narodzoną Emilką. Wracała dopiero wtedy, kiedy zięć ponownie pojawiał się w domu. Bernard nie był zachwycony, więc najpierw prośbami, a potem groźbami starał się wyperswadować małżonce ten dziwaczny model rodziny. Na nic jednak to się zdało: nie dość że jego prośby i groźby zupełnie ignorowano, to jeszcze bunt Janiny eskalował i przybierał coraz drastyczniejszą postać. Początkowo dbała przynajmniej o to, żeby mąż nie siedział w domu o chłodzie i głodzie, ale po pewnym czasie oznajmiła, że nie ma zamiaru robić zakupów i gotować na dwa domy, więc albo niech razem z nią przenosi się na te kilka miesięcy do córek, albo niech radzi sobie sam, bo ma dwie zdrowe ręce i książkę kucharską. Podobnie rzecz się miała z praniem i sprzątaniami.

Tym sposobem samiec alfa, zanim się obejrzał, regularnie zostawał na kilka miesięcy słomianym wdowcem. Na dodatek jego samica odsądzała go przy każdej okazji od czci i wiary za zerwanie kontaktów z najbliższą rodziną i oskarżała o brak uczuć rodzinnych.

Nie miała racji, bo bardzo kochał i córki, i wnuczęta – szczególnie po wyprowadzce. Nie widział jednak sensu w ciągłym przebywaniu z nimi i narzucaniu się ze swoją pomocą, bez której

i tak na pewno dałyby sobie świetnie radę. Poza tym jak można było mu zarzucać brak troski o dzieci? Oddał im dom z ogrodem, a sam zamknął się w betonowym bloku! Czemu nikt tego nie potrafił docenić? Ba! Wszyscy uważali, że zrobił coś oczywistego i naturalnego. Zięć wyglądał tylko na nieco zaskoczony, że nie został uwzględniony przy podziale schedy. Kilka razy napomknął, że mocno ryzykuje, inwestując ciężko zarobione pieniądze w kolejne remonty, bo jeśli Amelia znajdzie sobie innego faceta, to on zostanie goły i wesoły na ulicznym bruku. Za każdym razem teść miał dla niego jedną i tę samą odpowiedź: „To staraj się, chłopie, ze wszystkich sił, żeby jej coś podobnego do głowy nie przyszło”. Tym sposobem Bernard upiekl dwie pieczenie na jednym ogniu: nie tylko zapewnił Amelii dach nad głową, ale też zmotywował zięcia do bycia wiernym i posłusznym mężem. Fortel godny Onufrego Zagłoby! Tymczasem zamiast pochwał słyszał tylko nieustającą krytykę i coraz głośniejsze wyrzekania żony. Przyszedł taki moment, że nie potrafił powiedzieć, czy lepiej czuje się wtedy, kiedy ma ją przy sobie, czy raczej wtedy, kiedy wyprowadzała się do córek. Miał natomiast pewność, że najtrudniej było z nią wytrzymać przez pierwsze dni po jej powrocie. Całymi dniami stękała, że dusi się w tym blokowisku, że nikogo tu nie zna i nie ma do kogo ust otworzyć, że nawet sprzedawczynie w pobliskim warzywniaku są jakieś inne: obce i niesympatyczne. Na domiar złego wydzwaniała do Amelii po kilkanaście razy dziennie. Kiedy słyszał nieprzerwany potok jej idiotycznych pytań, zaczynały pulsować mu żyły na skroniach, a paznokcie wbijały się w poręczę bujanego fotela.

– A Mirusiowi już nie wróciło to rozwolnienie? Aha... aha... No to dobrze. Ale uważaj na drugi raz i nie zmieniaj mu tak gwałtownie diety, dziecko kochane. A co dzisiaj zrobiłaś na obiad? Aha... No tak, Sławuś na statku tego nie miał. To smakowało mu, co? A z czym zrobiłaś? No... no... Czemu tylko z surówką?! Musisz go troszkę podkarmić, bo jakiś taki mizerny przyjechał, takie ma policzki zapadnięte... Aha... Co? No też wymyślił! O jaką linię on chce dbać? Chłop to musi jak chłop wyglądać! A rozpakował się już do końca? Poprałaś wszystko? Aha... aha... No to szybko się uwinęłaś. A zdążyło ci dobrze wyschnąć? Bo ty czasami za szybko pranie składasz. Wydaje ci się, że już suche, a ono jeszcze trochę wilgotne i potem może pleśń się wdać. Nie da rady wszystkiego na łapu-capu robić, dziecko kochane... Co? Jak to w ogrodzie suszyłaś? Przecież padało dzisiaj... U was nie padało? Chmurzyło się tylko? No popatrz, a u nas wciąż pada. Taki drobny kapuśniaczek, ale pada... A Emilka ładnie zjadła wszystko? Dałaś jej tę papkę z marchewki, co ci zawekowałam?... Tak? No to dobrze, to się bardzo cieszę. Pamiętaj, że masz jeszcze troszkę słoiczków w tej narożnej szafce obok okapu... A jutro co będziesz robiła na obiad? Aha... aha... Ale nagotuj mu do tego ziemniaków. Teraz akurat młode kartofelki są najsmaczniejsze...

Najgorsze były jednak finały tych rozmów.

– U nas? A co u nas może być słyhać? Siedzimy jak te kołki w płocie. Tatuś ogląda mecz, a ja nie mogę sobie miejsca znaleźć, bo ckni mi się bardzo. Piechotą bym do was pobiegła, ale wiem, że młodzi też muszą czasami pobyć sami. Doczekałaś się wreszcie męża, to się nim teraz naciesz, ale jak tylko Sławuś wypłynie, zaraz u was jestem. Co?... W niedzielę na obiad? No nie wiem. Ja to bym chętnie przyszła, ale wiesz jak to z ojcem. Wciąż naburmuszony chodzi. Nie wiem, czy choroba jakaś go męczy, czy to już starość?

Bernard, bojąc się, że żyły na skroniach za chwilę eksplodują, wyciągał paznokcie z poręczy, brał pilota i pogłasniał telewizor o kilka kresk.

Mimo że siedział w bujanym fotelu i miał już dwoje wnucząt, wcale nie czuł się dziadkiem. Skończył pięćdziesiąt pięć lat, ale czasami odnosił wrażenie, że nie ma nawet czterdziestki. Chciał cieszyć się swoim istnieniem tu i teraz, korzystać z tego, że wreszcie nie musi się o nic martwić. Był pewien, że dobrze odrobił swoje życiowe zadanie i celująco zdał egzaminy, więc spodziewał się zasłużonych wakacji z żoną. Tymczasem żona oczekiwała, że

będzie się pasjonował zawartością pieluchy Mirusia, martwił o zapadnięte policzki zięcia i zastanawiał, czy Amelia aby nie za szybko zdjęła pranie ze sznurka. To chore!

Zaciskał zęby i liczył na to, że kiedy wnuki urosną, sytuacja ulegnie zmianie. Niestety, z biegiem lat prawie nic się nie zmieniało...

Zdradził żonę w milenijnego sylwestra. Gdyby ktoś mu powiedział, że kiedykolwiek to zrobi, popukałby się w czoło. A gdyby ten ktoś dodał, że zrobi to tuż przed sześćdziesiątką, odwiózłby tego kogoś na pogotowie. A jednak. Stało się.

Pozostawiony sam sobie z gotowaniem, praniem i sprzątaniami chodził na zakupy do pobliskich sklepów. Pracujące w nich sprzedawczynie, wbrew temu, co twierdziła żona, nie były wcale niesympatyczne. Szybko zaprzyjaźniły się z nowym klientem – szarmanckim, dowcipnym i inteligentnym panem w nieokreślonym wieku. Zawsze znalazł czas na pogawędkę i potrafił rozbawić zarówno smarkatą pannicę w cukierniczym, jak i dostojną panią Różę z mięsnego.

Pani Róża, mimo zaawansowanego nieco wieku, miała w sobie coś z beztrudnej dziewczynki. Na dodatek kiedy się uśmiechała, w jej policzkach robiły się cudnej urody dołeczki, które rozkładały Bernarda na łopatki.

– Różyczko najmilejsza, niech no mi pani da jakiś ładny pasek żebereczek. Tylko naprawdę ładny, bo mnie kobita z domu wyrzuci. – Od lat miał sprawdzoną metodę na zakupy: „Niech pani dobrze wybierze, bo kobita mnie zabije, jak jej byle co przyniosę”. Zawsze działało: sprzedawczynie nurkowały między lady chłodnicze albo skrzynki z warzywami i owocami i gmerały w towarze ze zdwojoną gorliwością. Pani Róża nie była wyjątkiem.

Któregoś razu jednak przyznał się jej, że to blef, i poskarżył z głębi serca, że od wielu lat musi sam o siebie dbać, bo kobita wprawdzie w jego życiu istnieje, ale trochę na podobieństwo Urszulki z trenów Kochanowskiego – jest, a jakoby jej nie było.

Pani Róża nie do końca rozumiała, dlaczego między dwoma dorodnymi paskami żeberek pojawił się nagle Kochanowski, ale co miała pojąć, pojęła i dołeczki w jej policzkach stały się głębsze niż kiedykolwiek. Dała się sympatycznemu panu Bernardowi zaprosić na kawę, po tygodniu poszli do kina, po kolejnym – na dancing do klubu Wspomnienie. Oboje byli wniebowzięci: ona, bo się zakochała, a on, bo wreszcie ktoś miał dla niego czas i chciał z nim spędzać każdą wolną chwilę, a na dodatek nigdy nie ciosał mu kołków na łbie. Wręcz przeciwnie, pani Róża obsypywała go komplementami i powłóczyстыми spojrzeniami, co mile lechtało wygłodzone męskie ego.

Bardzo polubił swoją nową przyjaciółkę, ale myśl o zdradzie nawet przez sekundę nie zagościła w jego głowie. Ot, przyjemnie spędzał czas i nie czuł się samotny...

Aż nadszedł ten brzemienny w skutki milenijny sylwester. Miał go spędzić z żoną, ale Janina zadzwoniła trzydziestego grudnia i poinformowała, że Amelka złapała grypę: leży w gorączce, więc nie można zostawić jej samej z malutkimi dziećmi, które niechybnie za chwilę zarażą się od matki śmiertelnośnym wirusem. Jak zwykle przyznał jej rację. Jak zwykle zapytał, czy może im jakoś pomóc. Jak zwykle okazało się, że nie.

– Beniu! Ty się nic o nas nie martw. Damy sobie radę. Nie ma sensu, żebyś tu przyjeżdżał, bo i ty się zarazisz. Wypij szampana, pooglądaj telewizję. Na pewno będą jakieś ciekawe filmy. Ja już muszę kończyć, bo Emilcia zaraz się obudzi, a jeszcze jej zupki nie przetałam. No to całuję cię i wszystkiego dobrego. Mam nadzieję, że nie jesteś zły?

– Nie. Oczywiście, że nie. Idź, przetrzyj zupkę i pozdrów tam wszystkich ode mnie.

W ostatnim dniu dwudziestego wieku poszedł do mięsnego. Złożył pani Róży życzenia

noworoczne, a przy okazji pożalił się na swój los. Okazało się, że ona też jest sylwestrowo niezagospodarowana, więc zaprosił ją do siebie i jakoś tak, od słowa do słowa... i od fajerwerków do fajerwerków...

Czuł się przy niej wspaniale: odzyskał wiarę we własne siły i nabrał pewności, że od pięć po przedziałek wypełniony jest nieprzeciętną życiową mądrością oraz imponującą elokwencją. Ta kobieta przez dwa lata była jego objawieniem, linką holowniczą i nadzieją na lepsze jutro... Przyzwyczał się, że żyje w dwóch wymiarach: pierwszy okupowały rodzinne troski i rozterki, drugi należał tylko do niego i Róży. W tym pierwszym był nijaką zrzędą, w drugim – boskim mężczyzną. Nietrudno zgadnąć, który bardziej mu się podobał. Poddał się temu drugiemu wymiarowi bez reszty i tak się w nim zatopił, że z czasem stracił początkową czujność i dbałość o pozory. Jego instykt stępił się do tego stopnia, że zapomniał nawet o zatraskiwaniu drzwi na górny zamek, którego nie dało się otworzyć od zewnątrz. Pewnego wieczora to właśnie go zgubiło...

Kiedy Janina weszła do mieszkania, usłyszała dochodzący z dużego pokoju głos spikera komentującego mecz piłki nożnej. Przez szybę w drzwiach przebijały się drobne smugi światła. Sceneria była tak banalna i dobrze znana, że Janina aż się sama do siebie uśmiechnęła. Nie zapalając światła w przedpokoju, nacisnęła klamkę i weszła do salonu. To, co zobaczyła, omal nie przyprawiło jej o zawał serca: mąż siedział na kanapie i oglądał mecz, a obok leżała jakaś kobieta, z głową opartą wygodnie na jego kolanach. Głaskał ją po włosach i nie przestał nawet wtedy, gdy odwrócił wzrok i spostrzegł oniemiałą żonę. Sam też nie mógł wydobyć z siebie słowa. Kobieta nie reagowała. Może drzemała, a może leżała tylko z przymkniętymi oczyma, nie mając pojęcia, co się dookoła niej dzieje.

– Co ty tu robisz? – Bernard pierwszy odzyskał mowę. – Nie dzwoniłaś, że przyjdiesz...

Obca kobieta uniosła głowę i popatrzyła nieprzytomnie. Chyba jednak drzemała i nie zdążyła jeszcze stwierdzić, czy to, co widzi, należy jeszcze do snu, czy już do jawy.

– Kto to jest? – wykrztusiła żona.

– To? To jest... pani Róża z mięsnego... przyszła na mecz.

To była najgłupsza odpowiedź, jakiej w życiu udzielił. Do dziś wzdrygał się na samo wspomnienie tego zdania, bo wiedział, że obraził nim obydwie kobiety. Jedna podniosła się wtedy szybko i po chwili czmychnęła zawstydzona z mieszkania. Druga natomiast osiadła w nim na dobre i nigdy więcej nie nocowała u córek, nawet kiedy Amelia miała grypę.

Bernard wolałby, żeby ta, która uciekła, pozostała przy nim, a ta, która została, uciekła. Wiedział jednak, że tak być nie może – czuł moralny obowiązek trwania u boku prawowitej małżonki, choćby kosztem własnego szczęścia.

Od tej pory musiał hamować gniew, a początkowo nawet łzy, kiedy ktoś wątpił w jego przywiązanie do rodziny. Zapisanie domu córkom było niczym w porównaniu z tym, co przeżywał, rezygnując z Róży. Mierząc miłość do rodziny, położył na wadze swój ból, żal i tęsknotę, a oni na przeciwległej szali niezmiennie układali słoiki z przecieranymi marchewkami i telefoniczne debaty o tym, co było i co będzie na obiad...

Nigdy więcej nie spotkał swojej odkrytej na stare lata miłości. Po kilkunastu dniach od wpadki udało mu się wreszcie uciec spod czujnego oka małżonki. Pobiegnął wtedy do sklepu, ale za ladą stała jakaś zasuszona sekutnica z twarzą bez śladu uśmiechu, nie mówiąc o dołeczkach. Dowiedział się od niej, że pani Róża ponad tydzień temu zwolniła się z pracy.

Na kolejne pytania nie uzyskał odpowiedzi.

– A skąd mam wiedzieć, w jakim teraz sklepie robi? – Wzruszyła ramionami sekutnica.
– Nie opowiadała mi się przecież. Przejęłam stoisko i tyle. Może ona wcale do innej pracy nie szła, tylko na chorobowe? Bo źle wyglądała... jakoś tak mizernie...

Włókł się do domu noga za nogą, patrząc na szare płyty chodnika. Nie mógł zadzwonić do Róży, bo nie miał telefonu komórkowego, a domowy był na podsłuchu. Ale znał jej adres. Pójść? Nie pójść? A jeśli pójść, to po co? Co miałby jej powiedzieć? „Przepraszam”? Nie poszedł.

Ból malał, w końcu zamienił się w nostalgiczne wspomnienie, które tylko od czasu do czasu boleśnie kłuło w serce. Bernard nie miał ani jednego zdjęcia Róży i wątpił, czy rozpoznałby ją dzisiaj na ulicy. Chyba tylko po tych dołączkach... Obrazy zacierały się coraz bardziej, wiedział jednak, że nigdy nie wyrzuci jej z serca. Po pierwsze, przez siłę uczucia, którego sam się nie spodziewał i które zrozumiał dopiero wtedy, kiedy ją stracił. A po drugie, o ironio, przez własną żonę, która robiła wszystko, by nie zapomniał o swoim występny romansie.

Janina przyjęła postawę ascetyczną – nie ukrywała, że bardzo cierpi i czuje się skrajnie osamotniona z mrocznym sekretem, który musi skrywać przed córkami i resztą świata, więc nie może liczyć na wsparcie czy dobre słowo. Tego, co mówił mąż, nie chciała słuchać. Kiedy tylko otwierał usta, dostawała spazmów i kazała mu się wynosić do drugiego pokoju. Potem już nie płakała i go nie przeganiała, ale ostentacyjnie odmawiała jakiegokolwiek rozmowy. Ograniczali się do wymiany zdań na temat posiłków i zakupów, chociaż i to był dość śliski grunt, bo każdemu powrotowi Bernarda ze sklepu towarzyszyły kąśliwe pytania o urodę sprzedawczyń i o to, czy już się z którąś umówił.

Asceza jego żony znalazła w końcu dość oczywisty i naturalny grunt, na którym mogła rozkwitnąć w pełni: Janina zaczęła niemal codziennie chodzić do kościoła i udzielać się w Żywym Różańcu, co jednak nie obudziło w niej nawet iskierki miłosierdzia. Wręcz przeciwnie – stała się bezlitosnym sędzią, który za dobre wynagradza, a za złe karze. I to karze latami... Kiedy wnuczka przystępowała do Pierwszej Komunii, kazała mężowi pozostać w ławce i nie fatygować się ani do spowiedzi, ani tym bardziej po oplatek, bo serce by jej pękło, gdyby zobaczyła, że ktoś taki jak on przyjmuje ciało Chrystusa.

Bernard znosił wszystko ze stoickim spokojem, w myślach nazywając żonę Żywą Pokutą. Kara może i mu się należała, ale był pewien, że jest niewspółmierna do przewinienia. Mimo najszczęśliwszych chęci nie czuł się ani trochę winny. Wyrzuty sumienia i wstyd odczuwał, owszem. Ale tylko wtedy, kiedy myślał o Róży. W stosunku do żony nigdy. Starał się ją co najwyżej usprawiedliwiać i szukać winowajcy gdzieś indziej: poza nią i poza sobą. Szukał tak długo, aż w końcu znalazł. Im częściej się nad tym zastanawiał, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że odpowiedzialność za to wszystko ponosi Wiktorina.

Kiedy postanowił przepisać dom na córki, Wiktorina powinna była wreszcie dorosnąć i wspomóc siostrę. Ale ona wolała latać z akademika do akademika i bawić się na kolejnych imprezach. To przez nią Janina nie miała wyboru i przez nią skazywała męża na długie miesiące samotności. Gdyby mogła liczyć na młodszą córkę, z pewnością nie musiałyby poświęcać tyle czasu starszej. Ale czy na Wiktorinę kiedykolwiek można było liczyć? Czy ją coś kiedyś interesowało oprócz czubka własnego nosa? Nigdy! Ten nieszczęsny milenijny sylwester to też była jej wina. Pamiętał doskonale, że kiedy żona zadzwoniła i powiedziała, że Mela złapała grypę, zapytał, czy Wiktorina nie może się nią zaopiekować.

– Beniu! No i widzisz, jaki ty jesteś niezwiązany z rodziną? Że sam nie wiesz, co mówisz! – Usłyszał ironiczny śmiech. – A gdzie Wika zostanie w domu na sylwestra i gdzie ona ma głowę do zajmowania się dziećmi albo chorymi? Jej już od wczoraj w domu nie ma. Pojechała w góry razem z całym towarzystwem i czort wie, kiedy wróci. Miała być drugiego stycznia, ale dzisiaj dzwoniła i wspominała, że może dzień dłużej zostaną. Podobno bardzo ładny hotel im się trafił. Czy jakieś kwatery wynajęli... Już nie pamiętam. Ale mówiła, że ma z okna widok na Śnieżkę. I pogoda im dopisuje...

„No oczywiście!” – zżymał się w duchu na córkę z taką zapiekłością, jakby dopiero wczoraj wyjechała w te nieszczęsne góry. „Jej zawsze musi wszystko dopisywać. I zdrowie, i humor, i widok za oknem, i pogoda! Najlepiej tak żyć: wszystko rzucić w cholere i wyjechać, nie troszcząc się o nic! Niech sobie siostra umiera na grype, matka niech zdechnie ze zmęczenia, a ojciec z samotności. Byle jej było dobrze! Pani nauczycielka od siedmiu boleści, która pewnie za dobrze nie odróżnia Mirka od Emilki!”

Starał się ukrywać przed córką te pretensje, ale kilka razy wyrwała mu uwaga, po której robiła się czerwona jak burak. O dziwo ani razu nie odpyskowała, tylko milczała zaciekle, spoglądając z wdzięcznością na Melę, która niezmiennie stawała w jej obronie.

Równo rok po komunii Emilki Wiktoria wyprowadziła się z domu i prawie zerwała kontakty z rodziną, co utwierdziło Bernarda w jego opinii na temat młodszej córki. Znalazła sobie jakiegoś szemranego bogatego biznesmena, którego ledwo kilka razy mieli okazję zobaczyć. Przychodził nabzdyczony, z miną jakby zjadł wszystkie rozumy, i ewidentnie nie miał zamiaru zabiegać o czyjąkolwiek sympatię. Zarówno on, jak i Wiktoria siedzieli jak na szpilkach i uciekali od stołu przy pierwszej okazji. Jak tylko wyszli, Janina zaczynała płakać, załamując ręce nad ich życiem na kocią łapę, Mela parzyła matce melisę i godzinami tłumaczyła, że w dzisiejszych czasach kocia łapa to nic niezwykłego, a Sławek – jeśli był akurat w domu – nie przebierał w słowach, mówiąc, co o tym wszystkim myśli. I chociaż Bernard niejednokrotnie wdawał się z zięciem w przeróżne spory, to tu akurat zgadzał się z nim w całej rozciągłości. Tyle było dobrego ze sporadycznych wizyt, jakie Wiktoria i Paweł składali rodzinie, że wieczór kończył się zgodnym popijaniem zamiast tradycyjnym łagodzeniem sporu teścia i zięcia przez małżonki.

Bernard tak oswoił się z sytuacją, że nie spodziewał się zmiany. Jakież więc było jego zdumienie, kiedy któregoś sierpniowego dnia żona oznajmiła mu, że ich córki znów mieszkają razem, bo Wika wreszcie nabrała rozumu i odeszła od tego, co to z nim osiem lat w grzechu żyła.

– Skąd to wiesz?

– Od Amelki. Powiedziała mi dzisiaj, jak do niej rano zadzwoniłam. Chciałam tam pojechać, ale mówiła, żeby na razie dać Wiktorii spokój. – Janina od lat nie uśmiechała się tak promiennie.

– To, przepraszam bardzo, widok rodzonej matki ją niby ze spokoju wytrąci?

– W przeciwieństwie do żony nie tryskał entuzjazmem.

– Ano wiesz, jak to jest. Niech sobie najpierw we dwie pobędą i porozmawiają do woli. Nie szkodzi, że nie chcą mnie widzieć. Za to Melcia powiedziała, że być może przyjdą razem na twoje imieniny. – Zanim oddaliła się radosnym krokiem do kuchni, rzuciła jeszcze w prog: – Ja to wymodliłam! Mówię ci, ja to wymodliłam! I Bogu niech będą dzięki, że dzieciaka się z nim nie dorobiła, bo dopiero byłby teraz kłopot. – Po chwili dobiegło go trzaskanie garnkami i nucona półgłosem kościelna pieśń.

Wątpił w modlitwę jako metodę antykoncepcji, ale nie to go teraz zaprzętało. Zdał sobie

sprawę, że jest zupełnie nieprzygotowany na spotkanie z Wiktorią występującą w roli zbłąkanej owcy, która wraca na łono rodziny. Ma ją teraz raptem przytulać i pocieszać? I jak z nią rozmawiać? I o czym? Co on o niej wie? Tyle co nic. Że pracuje gdzieś w szkole i najmniejsze dzieciaki uczy. Nie wiedział nawet, czego uczy i gdzie ta szkoła jest.

– Matka! – krzyknął w stronę kuchni, chociaż matka nie mogła mu odpowiedzieć, bo od trzydziestu lat nie żyła. – A co ona teraz robi?

– Jak to co? – Żona zwana matką stanęła w drzwiach z nożykiem w jednym ręku i obranym do połowy ziemniakiem w drugim. – Przecież szkoły jeszcze zamknięte, to wakacje ma. Od pierwszego wraca do roboty... – Janina zamyśliła się na dłuższą chwilę, bezwiednie dłubiąc czubkiem noża w kartoflu. – Tylko się teraz zastanawiam... Kiedy ja te twoje imieniny wyprawię? Bo dwudziestego akurat będę na pielgrzymce.

– Na jakiej znowu pielgrzymce? Nic nie mówiłaś.

– Jak nie? Mówiłam, że w tym roku nie mogę być piętnastego na Jasnej Górze, bo szesnastego mam to prześwietlenie kości, co się na nie w zeszłym roku zapisałam. To zrobię badanie, a potem do Lichenia jadę. Osiemnastego na noc wyjeżdżam.

– A tak, faktycznie, mówiłaś. – Głos męża nie brzmiał zbyt pewnie.

– Potem znowu mam wizytę u lekarza, żeby wyniki tego prześwietlenia opisał... To może ostatniego sierpnia je zaproszę, co? Od razu będzie i z okazji twoich imienin, i z okazji rozpoczęcia roku szkolnego Wiktorii, a przede wszystkim z okazji rozpoczęcia roku szkolnego Emilki. Do maturalnej teraz idzie... Bym gołąbki dla niej specjalnie zrobiła, bo tak lubi.

– Dobrze. – Bernard szczerze się ucieszył, że jego imieniny zostały trochę odroczone. Kilkanaście dni później jeszcze bardziej uradował go fakt, że przez zawirowania finansowe w polskiej służbie zdrowia oraz drobne niedopatrzona Janiny wszystkie zaplanowane przez nią terminy posypały się niczym domek z kart, co wymogło przełożenie rodzinnego spotkania na pierwszy weekend września. Ale dzień ten w końcu nadszedł...

– Otwieraj, Beniu, otwieraj! – Głos żony nałożył się na ptasi świergot domofonu. – Ja zaraz przyjdę, tylko gołąbki z piekarnika wyjmę. Emilka lubi, jak kapusta jest lekko przypieczona z wierzchu, to wrzuciłam termoobieg i muszę teraz liczyć co do sekundy!

– Dobrze.

– Przypilnuj, żeby dzieciaki w butach nie włożyły, bo pogoda paskudna i naniosą nam błota! – Janina starała się przekrzyczeć termoobieg.

– Dobrze.

– A parasole zabierz i zanieś do łazienki! Niech obciekną!

Chciał odpowiedzieć sakramentalnym „dobrze”, ale nie zdążył, bo goście już stali w progu. Nieświadoma tego Janina znowu zakrzyknęła z kuchni:

– I bardzo cię proszę, nie bądź szorstki dla Wiktorii!

Miał nadzieję, że wrzawa, która powstała w przedpokoju, zagłuszyła te słowa. Witał się z córkami i wnukami, wymieniając pocałunki i kurtuazje, między które starał się subtelnie wpleść wskazówki odnośnie do zdejmowania butów i wnoszenia parasolek do wanny.

– Ale z ciebie pannica! – Przytulił Emilkę. – Wiesz, że babcia specjalnie dla ciebie zrobiła gołąbki i teraz je przypieka wedle twojego gustu?

– Zajefajnie! Z góry proszę o kilka sztuk na wynos! – Cmoknęła go w policzek, a potem wyciągnęła ręce do reszty towarzystwa. – Dawajcie swoje parasole! Zaniose je do wanny, ale jak z któregoś kropla spadnie, to ja za to nie odpowiadam. Sami będziecie sprzątać. – Z chichotem oddaliła się do łazienki, nucąc pod nosem: – *You can stand under my umbrella, ella, ella, eh, eh,*

eh, under my umbrella, ella, ella, eh, eh, eh...

– No jak tam? Kiedy wreszcie otwierasz kancelarię? – Bernard dobrodusznie szturchnął wnuka, a potem zmierzwił mu włosy.

– Jeszcze trochę. – Mirek odchylił głowę, wyzwalając się od dłoni dziadka, i pomaszerował do salonu.

– Co u Sławka? Gdzie teraz jest? Dobrą ma pogodę?

– Cześć, tatku. – Amelia przytuliła go i klepnęła parę razy po łopatkach. – Rozmawiałam z nim dzisiaj. Przeszedł przez Biskaje tak spokojnie, że sam się dziwił. Powiedział, że tyle lat pływa, a pierwszy raz zaliczył tam niemal flautę. Teraz jest już na Atlantyku, więc trochę się pobawi autopilotem – dodała i odsunęła się. – Zajrzę do mamy, dobrze?

Kiedy Mela zniknęła za kuchennymi drzwiami, Bernard znalazł się sam na sam z Wiktorią. Stali na środku przedpokoju i oboje nie za bardzo wiedzieli, co powiedzieć.

– Witaj, córca. Mama mi powiedziała, że podobno rozum odzyskałaś...

– Myślisz, że to w ogóle możliwe w moim przypadku?

Nie zauważył, żeby miała ochotę go przytulać i klepać po plecach. Uśmiechała się tylko pod nosem i patrzyła zaczepnie spode łba. To zdumiewające, ale odniósł wrażenie, że ma przed sobą wnuczkę, a nie córkę: to samo zadziorne spojrzenie, te same ironicznie skrzywione usta.

– Podobno wszystko jest możliwe, jak się człowiek żarliwie modli – powiedział, naśladując jej minę. – Przynajmniej mama tak mówi. Ja jeszcze nie próbowałem, więc nie wiem. I nie patrz na mnie jak Emilka!

– Co Emilka? Co? – zapytała dziewczyna, wychodząc z łazienki.

– Zauważyłem, że zdążyłaś już nauczyć ciotkę tego swojego spojrzenia bazyliuszka.

– Coś ty, dziadek?! Jakiego spojrzenia, jakiego bazyliuszka? Ja nauczyłam ciotkę posługiwać się kolorami, bo całkiem zaniedbana w tej kwestii była. Odnowiłyśmy jej...

– No jesteś wreszcie! – Janina wpadła do przedpokoju i zaczęła ścisnąć Wiktorię. – Tak się cieszę, dziecko moje kochane, tak się cieszę... – Odsunęła ją na długość ramion i przyglądała jej się. – Schudłaś nam chyba, ale i tak ślicznie wyglądasz. – Chwilę jeszcze patrzyła, a potem ponownie ją przytuliła. – Ja to wymodliłam. Ja to wszystko wymodliłam!

– A nie mówiłem? – Bernard zaśmiał się serdecznie. – No, matka! Przestań już płakać i nie trzymaj gości w przedpokoju. Wchodźcie, wchodźcie...

– Tak. Wchodźcie! – Żona otarła łzy skrajem fartucha i przystąpiła do komenderowania.

– Beniu, odsuń się! I wy też! Puśćcie przodem Melcię, bo zaraz jej ręce zemdleją od trzymania tych gołąbków. – Obejrzała się na stojącą za jej plecami starszą córkę. – Nie poparzyłaś się, dziecino?

Podczas kolacji panowała całkiem sympatyczna atmosfera, wbrew większości biesiadników. Oczywiście ani solenizant, ani goście nawet na torturach nie przyznaliby się, że mieli treść przed tym rodzinnym spotkaniem. Wiktoria niepokoiła się, jak przyjmą ją rodzice. Jej ojciec martwił się, czy zdoła zamienić z nią chociaż jedno normalne zdanie. Janina i Amelia bały się o wszystko i wszystkich.

Mirek natomiast czuł się nieswojo, odkąd wrócił z ostatniego wakacyjnego wyjazdu. Odnosił wrażenie, że pod jego nieobecność wydarzyło się coś złego, ale matka nie chce mu o tym powiedzieć. Czasami łapał jej spojrzenie pełne ni to troski, ni to współczucia. Kiedy pytał, o co chodzi, uśmiechała się sztucznie i zapewniała z nadmierną gorliwością, że o nic, i szybko uciekała do innego pokoju. Podejrzewałby, że ojca spotkało jakieś nieszczęście, ale rozmawiał z nim na Skypie przynajmniej raz w tygodniu i widział, że jest w doskonałej formie. Zaczął więc

szukać przyczyny dziwnego zachowania matki w niej samej. Może toczy ją jakaś choroba, ale nie chce go martwić? Miał świadomość, że od niej niczego się nie dowie, zatem zwrócił się do siostry. Zgodnie z przewidywaniami usłyszał, że to raczej jego toczy jakaś choroba i powinien natychmiast zgłosić się do psychiatry, żeby ten zoperował mu durny mózg. Nie obraził się, bo może miała rację... Sam coraz bardziej martwił się o stan swojego umysłu. Oprócz podejrzenia, że matka coś przed nim ukrywa, miał też nieodparte wrażenie, że wciąż jest obserwowany i podsłuchiwany. Nigdy nikogo na tym nie przyłapał, ale czuł śledzące go zewsząd niewidzialne oczy i uszy. Czasami wydawało mu się też, że ktoś odwiedzał jego pokój i myszkowało po szufladach. Ale i na to nie miał żadnych namacalnych dowodów, więc może jego siostra słusznie zasugerowała wizytę u psychiatry?

Swoją drogą Emilka też była jakaś odmieniona. Choćby teraz, na imieninach dziadka – siedziała i gadała, jakby ktoś nakręcił jej sprężynkę w języku... Może i dobrze? Bo to właśnie jej głupia paplanina rozładowała początkowe napięcie i drętą atmosferę.

– Zanim zabrałyśmy się do malowania, musiałyśmy rozmontować radio i kolumny, i telewizor, i komputer, i dekodery. Dżez, mówię wam! – W całym tym towarzystwie Emilka była rzeczywiście jedyną osobą, która o nic się nie martwiła. – Bałyśmy się, że jak potem podłączymy, to nic nie będzie działało. Tymczasem, co? Zadziałało! Wszystko! A tam było chyba z piętnaście kabelek. Do tej pory umiałam połączyć tylko dwa. Co z tego wynika? – Rozłożyła ręce w nauczycielskim geście. – Że rozwijam się technicznie! Kto wie, może po maturze pójdę na politechnikę i będę studiować mechatronikę? Na dodatek po przestawieniu mebli i przemeldowaniu całego sprzętu okazało się, że dwa przedłużacze, które przedtem wały się po podłodze, są już niepotrzebne!

– To idź jeszcze na logistykę elektroniczną – doradził jej Mirek życzliwie. – Nie ma sensu, żebyś z taką tęgą głową ograniczała się do mechatroniki.

– Sam jesteś tęgi!

– Ależ określenie „tęga głowa” to akurat komplement jest, siostrzyczko moja kochana...

– Zapamiętaj sobie raz na zawsze, że niektóre słowa nigdy nie będą dla dziewczyny komplementem. Chociaż w sumie to nie wiem, do czego ta informacja mogłaby ci się przydać, braciszku mój kochany... – Emilka chciała wydać usta i wzruszyć ramionami, ale jej matka nagle się zakrztusiła, więc zaczęła klepać ją po plecach, zaglądając troskliwie w twarz. – Oddychasz? Czy po gromnicie lecieć?

– A to ty i twoje koleżanki nie widzicie różnicy między tęgą głową i tęgą dupą? – zapytał Mirek tuż po tym, jak jego matka wycharczała, że oddycha, i oparła się o siostrę, chowając plecy przed pięściami Emilki.

– No, no, no! Bez takich, proszę! – Bernard postanowił wrócić do tematu, którym był szczerze zainteresowany. – Wnusia! A powiedz, dlaczego musiałyście wszystkie kable rozmontować? Nie wystarczyło odsunąć cały sprzęt od ściany, a potem przysunąć?

– Nie mogłyśmy, przecież mówiłam, że zrobiłyśmy przemeblowanie. To słowo znaczy coś więcej niż odsuwanie i przysuwanie. Bo to było takie... – Łypnęła na brata, który zajął się kontemplowaniem sufitu. – ...takie tęgie przemeblowanie! Poza tym zdejmowałyśmy wszystko na podłogę, żeby półki obić tkaniną. Całkiem niezłe nam wyszło, nie? – Przeniosła wzrok na swoją ciotkę.

– Oczywiście! Jak cała reszta – przytaknęła Wiktoria ze śmiechem. – A zwłaszcza kolory farb na ścianach.

– Wygładziłyście przynajmniej te ściany przed malowaniem? – Jej ojciec wyglądał na coraz bardziej rozbawionego.

– Nie! – odpowiedziała mu wnuczka. – Ale za to przed malowaniem wygładziłyśmy sobie

włosy prostownicą, żeby czapeczki z gazety dobrze leżały. Mama nam je zrobiła. Nawet nie wiem, skąd to umie. – Popatrzyła z podziwem na Amelię, która wciąż jeszcze pokasływała. – A ciocia ma rację z tymi farbami. Do tej pory wiedziałam, bo mi to, dziadku, wciąż powtarzałeś, że telewizja kłamie. Ale czy wiesz, że producenci farb kłamią jeszcze bardziej? Te kolory wyszły zupełnie inaczej niż na wystawie w sklepie. Poza tym musiałyśmy jechać i dokupić dwie puszki, bo oprócz ściany pomalowałyśmy też siebie, dwie drabiny, podłogę...

– Nie prościej było załatwić to jak Jaś Fasola? – Mirek potrafił milczeć znacznie dłużej niż siostra, ale jego cierpliwość też miała granice. – Zawinąć wszystko w gazety, a potem odpalić petardę w puszcze z farbą?

– Mniejsza o problemy natury technicznej i kolorystycznej. – Emilka zignorowała jego uwagę i skupiła się na babci i dziadku. – Efekt finalny zwala z nóg! Musicie przyjść i zobaczyć na własne oczy.

– Jaki tam efekt finalny?! Z nóg zwali was żyrandol, a nie efekt finalny. Ta biało-czarna płatanina świecących drutów sięga prawie do podłogi, więc każdy o nią zaczepi włosami. Zwala człowieka z nóg, czy tego chce, czy nie. – Brat Emilki nie dawał za wygraną i w końcu udało mu się osiągnąć cel.

– Zamkniesz wreszcie ryja, debilu ty?! W dupie byłeś, na gównie się znasz!

W tej samej sekundzie Mela huknęła na Mirka, a Wiktoria na Emilkę. Osiągnęły identyczny efekt: jedno i drugie nabzdyczyło się na cały świat.

– Nieładnie tak się wyzywać. Jesteście rodzeństwem i nigdy nie będziecie mieć nikogo bliższego – odezwała się Janina, która do tej pory siedziała w milczeniu i tylko przyglądała się z zadowoleniem zebranej za stołem rodzinie. Niecenzuralny wyskok wnuczki trochę zmącił ten sielski obrazek, więc postanowiła szybko go naprawić. Na wszelki wypadek powtórzyła:

– Pamiętajcie, że nigdy nie będziecie mieć nikogo bliższego.

– Ja już dawno bym miała! – Wzruszyła ramionami Emilia. – Tylko rodzice wciąż nie chcą się zgodzić na psa.

– Co ty wygadujesz? – Babcia załamała z rozpaczą rękę.

– Matka! Daj no po kielichu, bo co to za imieniny? Trzeba wypić moje zdrowie!

– Bernard postanowił zmienić temat. Nie chciał, żeby atmosfera się popsuła, chociaż mało brakowało, a sam by się do tego przyczynił. Miał na końcu języka uszczypliwą uwagę, że niektórzy ludzie doceniają rodzeństwo, dopiero jak im się noga powinie. I dopiero wtedy przypominają sobie o rodzinie. Powstrzymał się jednak, i to nie tylko z troski o nastrój. Zauważył, że chociaż na powitanie Wiktoria obdarzyła go zaczepnym spojrzeniem, to przy stole siedziała z pokorną miną i starała się jak najmniej odzywać. Jeśli nawet czasami wybuchała śmiechem, słuchając opowieści Emilki o ich remontowych perypetiach, natychmiast uspokajała się i milkła, jakby spłoszona tym, że może kogoś urazić swoją wesołością. Unikała też kontaktu wzrokowego: głowę miała niemal cały czas opuszczoną i bawiła się posklejanymi krochmalem frędzlami obrusa; Janina należała do nielicznych już pań domu, które regularnie odnosiły do magła wszystko, co tylko da się przepuścić przez dwa gorące wałki.

– Czego się napijecie? – Otworzył barek i spojrzał na gości.

– Dziękuję, nie piję. Jestem tu za kierowcę. – Mirek, podobnie jak obrus jego babci, ani myślał tracić fason.

– Ja poproszę wino. – Emilka podniosła do góry dwa palce niczym zgłaszająca się do tablicy uczennica.

– Nie dzieci pytam, tylko dorosłych. Zobaczyła żaba, że konia kują, i nogę podstawia.

– Wzruszył ramionami i z politowaniem spojrzął na wnuczkę. – Czego się moje dziewczyny napiją? – Przeniósł wzrok na Mełę i Wiktorię.

– Dla mnie wino. Białe albo czerwone, wszystko jedno – odpowiedziała starsza córka, podczas gdy młodsza wciąż zajmowała się sklejonymi frędzlami i sprawiała wrażenie, jakby nie usłyszała pytania.

– Wiktoria...?

– A wódkę masz? – Podniosła głowę, spoglądając na ojca tak samo jak w przedpokoju.

– Mam! – Znowu starał się ją przedrzeźniać: spuścił głowę, zmarszczył brwi i łypał zmrużonymi oczyma. – W drinku czy z kielicha?

– Z kielicha! – Parsknęła. – Co robisz z twarzą?

– To samo, co ty i Emilka. – Też się roześmiał. – Nie wychodzi mi?

– Dziadek! Już drugi raz nam coś wmawiasz. A my przecież złote kobiety jesteśmy, co nie? No powiedz sama. Cośmy się przy malowaniu nakłóciły, to nasze, ale sama powiedz...

– Emilko – przerwała jej babcia – dlaczego mówisz do cioci na ty? To trochę nie wypada.

– A ona wciąż mówi do dziadka na ty i jakoś jej nie zwracasz uwagi – odpyskowała natychmiast.

– Tatusiu! – Wiktoria szybko podniosła kieliszek. – Twoje zdrowie!

– Nie „twoje”, tylko „tatusia” – poprawiła ją Emilka. – Jakby dziadek dał mi wino, tobyśmy mogli wszyscy wypić bruderszaft i skończyłyby się ceregiele.

– Emilko. To nie są ceregiele. Tak się, między innymi, okazuje innym szacunek...

– Janina chciała powiedzieć coś jeszcze, ale zagłuszyła ją Amelia, która wstała z kanapy i na całe gardło zaintonowała „Sto lat”. Pozostali przyłączyli się ochoczo.

– No, no! – Ojciec popatrzył na Wiktorię jednocześnie z podziwem i zdziwieniem, kiedy wychyliła cały kieliszek wódki na raz.

Nie podejrzewał, że córka marzy o tym, by wypić natychmiast jeszcze jeden, i kolejny... i kolejny... Czuli się potwornie spięta. Miała wrażenie, że rodzice wciąż patrzą na nią jak na czarną owcę, przy czym matka jest wyraźnie zadowolona, że Wiktoria wróciła do zagrody, a ojciec zachowuje się jak zdezorientowany baca, który nie bardzo wie, co z tym fantem zrobić. Wciąż czekała na atak i chciała mieć to wreszcie za sobą. Dlatego poprosiła o czystą wódkę. Wiedziała, że ojciec, mając odpowiedniego kompana, zrezygnuje z sączenia niskoprocentowego wina, a jak się już porządnie napije, to przestanie być taki akuratnie uprzejmy i zjedzie ją od góry do dołu. Ona to przełknie, a potem, po oczyszczeniu atmosfery, może uda im się dogadać od nowa. Tylko kiedy? Za tydzień? Za miesiąc? Za rok? A może jednak nigdy?

Pierwsze kieliszki nie obudziły w nim oczekiwanych instynktów. Siedzieli, popijali, rozmawiali i nic nie wskazywało na to, żeby miała się rozpętać jakaś burza.

– To czego ty tak dokładnie, córco, w tej szkole uczysz? – zagadnął życzliwie ojciec, kiedy tylko Amelia skończyła opowiadać, co słychać u jej męża. – Dobrze ci tam? Płacą wam jak ludziom?

– Uczę wszystkiego. Fachowo mówi się o tym kształcenie zintegrowane. W tym roku znowu dostałam grupę pierwszaków i będę ich przez kilka lat holować do tak zwanej pełnoletności szkolnej. A jeśli chodzi o płacenie... No wiesz? Ludzie ludziom nierówni... Ale nie narzekam – mówiła wolno, starannie dobierając słowa. – Wolę zarabiać tyle, ile mi dają, i z przyjemnością iść do pracy, niż dostawać grube tysiące za coś, czego nie lubię robić. Poza tym ja naprawdę kocham te swoje dzieci i chyba nawet jakby mi o połowę obcięli pensję, to nie umiałabym z nich zrezygnować. Są niesamowite i wciąż mnie czymś zaskakują.

– Pewnie dlatego, że własnych nie masz... – Matka popatrzyła na nią ze współczuciem.
– Mamo... – Wiktoria pokręciła głową. – Nawet gdybym miała, to tylko jedno albo dwoje. A nie dwudziestkę naraz! To nie w tym rzecz. Chodzi o to, że moi uczniowie są w najfajniejszym wieku. Potrafią już wszystko powiedzieć, ale jeszcze nie do końca wiedzą, co i kiedy wolno mówić. Nie ma dnia, żeby mnie nie rozbawiły do łez. A najczęściej jest tak, że skręca mnie ze śmiechu, a muszę zachować powagę i...

– Weź opowiedz o tych dwóch dziewczynkach. Wiesz! – przerwała jej Emilka, podskakując na kanapie z tak dziecinnym zniecierpliwieniem, jakby sama dopiero zaczynała edukację pod skrzydłami ciotki. – To, co nam wczoraj opowiadałaś! Jak jedna się bez przerwy przechwalała...

Wiktoria wzbraniała się początkowo, ale gorliwie zachęcona przez matkę i ojca zrelacjonowała rozmowę, której świadkiem była dwa dni temu podczas dyżuru w szkolnej świetlicy.

– Mam uczennicę Martynkę: słodkie, ciche i rozkoszne dziecko, chociaż troszkę wycofane. Może dlatego, że ma tylko tatę i nie miał jej kto nauczyć walki o głos...

– A co się stało z mamą? Nie żyje? – przerwała matka, głęboko wzdychając.

– Nie wiem, co się dokładnie stało, ale żyje. Kilka lat temu wyjechała do Irlandii, z kimś się tam związała i już nie wróciła. Nie jestem pewna, czy to prawda, bo to wiadomości z drugiej ręki. Mniejsza o to. – Wika wzruszyła ramionami, ignorując pełną zgrozy minę matki. – Mam też w klasie Laurę, która jest przeciwieństwem Martynki: rozgadana, przemądrzała, pyskata, wszędzie jej pełno, a do tego rozpuszczona jak dziadowski bicz...

– Jak co? Jak dziadowski bicz? Co za bezsensowne określenie... – Emilka wyduła usta.
– A niby to ja mówię dziwnym językiem. Phi!

– Martynka i Laura razem otwierają i zamykają świetlicę. Bo tatuś tej pierwszej i rodzice tej drugiej wciąż są w pracy...

– Kiedyś to było nie do pomyślenia! – Oburzył się Bernard, sięgając po butelkę i napełniając kieliszki. – Żeby takie małe dzieci osiem godzin siedziały po cudzych kątach!

– Dziesięć, nie osiem. Nasza świetlica jest otwarta od siódmej rano do siedemnastej...

– To już w ogóle skandal! To powinno być zabronione! Do czego ten świat zmierza?! Kara boska powinna na to spaść, prawda? – Spojrzał na żonę, która miała chyba lepszą wiedzę o systemie kar boskich. – Czy ty sobie wyobrażasz, żeby nasze córki miały siedzieć po dziesięć godzin w szkole?!

– Daj spokój, Beniu. Już dawno pogodziłam się z tym, że spotyka mnie coś, czego nigdy sobie nie wyobrażałam. Kto jak kto, ale ty najlepiej o tym wiesz...

– No i jak tam dalej było, z tą Martynką i Laurą? – Bernard zeszytywniał i poczerwieniał tak bardzo, że wystraszona Amelia zasugerowała mu opuszczenie chociaż jednej kolejki. Została jednak uciszona ostrym fuknięciem. – Nie wtrącaj się w cudze kieliszki. Masz swój? To go pilnuj. No i co z tą Martynką?

– Przedwczoraj Martynka z Laurą znowu pojawiły się w świetlicy jako pierwsze – kontynuowała Wiktoria, zastanawiając się, kto tym razem jej przerwie. – A ja akurat miałam dyżur. Dałam im kredki, bo obydwie postanowiły, że narysują rodzinę. Martynka rozłożyła blok, wysunęła język i zabrała się do rysowania. Bo ona, jak coś robi rękoma, to musi równocześnie jęzorem. Natomiast Laurze nie spieszyło się do rysowania. Najpierw powiedziała niby tak sobie, w powietrze: „A ja mam w domu psaaa...”. Martynka zupełnie nie zwróciła na to uwagi, więc Laura przechwalała się dalej: „A ja mam nową sukienkę z Galaxy. Mama mi kupiła”. Martynka nadal rysowała, wywijając językiem. Laura nie odpuszczała: „I mam nowe buciki do tej sukienki. Z Kaskady je mam”. Martynka sięgała po kolejne kredki, nie zwracając uwagi na teksty Laury:

„A ja mam nalepki z Hello Kitty. Od babci dostałam...”, „A ja mam adidas, co jak tupnę, to zaczynają mrugać. Z Molo je mam...”, „A ja mam takie gwiazdki na ścianie, że jak mama zgasi światło w moim pokoju, to same świecą. Z Carrefoura je mam...”. No i Martynka w końcu nie wytrzymała. Rzuciła kredkami, zsunęła się z krzeselka, stanęła przed Laurą i wykrzyczała jej prosto w nos: „A ja mam grzybicę! Z basenu ją mam!!! Też masz?!”.

– Zaraz się posikam! – Emilka śmiała się najgłośniej ze wszystkich, chociaż słyszała tę historię po raz drugi. – Puśćcie mnie. Muszę do łazienki! – Zaczęła się tarabanić, przeciskając się między stołem a kolanami matki.

– Ale, ale... Zapomniałam o czymś. Bo potem, jak już Martynka dokończyła rysunek, to przyszła mi go pokazać. I tłumaczy: „To jest tatuś, to babcia, to dziadek, a to ciocia Ania i wujek Tomek”. Pochwaliłam, ale zdziwiłam się, że jej na nim zabrakło. „Martynko? A gdzie ty jesteś? Czemu ciebie tu nie ma?” Popatrzyła na mnie jak na głupią i mówi: „Jak to czemu? Nie może mnie tu być, bo przecież to ja rysowałam!”. – Wiktoria śmiała się tak samo jak wtedy w świetlicy. – Rozumiecie? Przez analogię do robienia zdjęć. Jak ktoś robi zdjęcie, to też go na nim nie ma, prawda? Logiczne!

– Teraz to na pewno się posikam! – Drzwi do łazienki huknęły za Emilką, ale po sekundzie wypadła zza nich z powrotem i ze ściśniętymi kolanami wróciła do pokoju. – Mamo, podaj mi torebkę. Makijaż sobie przy okazji poprawię.

– Tylko pamiętaj, co najpierw – poradził jej dziadek ze śmiechem.

– Spoko! – Emilka walnęła drzwiami tak mocno, że omal nie wypadły z zawiasów.

– No to faktycznie, wesoło tam masz... – Bernard dłuższą chwilę przyglądał się Wiktorii.

– Czyli co? Nie żałujesz, że na nauczycielkę poszłaś?

– Nie – odpowiedziała krótko i chociaż ograniczyła się do jednego słowa, ojciec wyczytał w jej oczach dwa kolejne: „Bo co?!”.

Nabierał pewności, że pokorna mina, z którą siedziała, skubiąc frędzle obrusa, musiała ją sporo kosztować. Widział, że bardzo się stara, ale nie potrafi do końca zapanować nad zadziorną naturą, wyrwywającą się z jej spojrzeń albo, jak teraz, z intonacji. Postanowił nie drażnić córki pytaniami, których być może sobie nie życzyła. Przerzucił się na wnuka.

– No a co tam u ciebie, Miruś? Siedzisz i w ogóle się nie odzywasz. Milczeniem to ty w swoim zawodzie, chłopaku, kariery nie zrobisz.

– Nie jestem teraz na uczelni ani w pracy, tylko w rodzinie, gdzie szefem jest moja matka. Wydała mi zwięzłe polecenie: „Zamknij się wreszcie!”, więc je posłusznie wykonuję.

– Nie zachowuj się jak małe dziecko, dobrze? – powiedziała Mela, wzruszając ramionami. – Tyle razy cię prosiłam, żebyś nie dokuczał Emilce. Szkoda, że do tego się nigdy tak posłusznie nie zastosowałeś.

– Przepraszam bardzo! Czy ja ją kiedykolwiek wyzwałem od debilek albo powiedziałem, że w de była i gie widziała? Nigdy!

– Dobrze wiesz, o czym mówię. Nie udawaj głupiego.

– Kiedy Miruś ma rację. – Babcia stanęła w obronie chłopaka. – Nie lubię się wtrącać, ale Emilka używa dużo brzydkich słów. I to przy tobie, przy nas. Powinnaś coś z tym zrobić. Przecież to dziewczynka jest. Kobieta niedługo. A Miruś, chociaż chłopak, to nigdy się nie wyraża. W życiu nie słyszałam od niego przekleństwa.

– Miło, że ktoś to zauważył. Dziękuję, babciu. – Chłopak uśmiechnął się szarmancko do babci. – Ale mojej mamy i tak nie przekonasz.

– Strzeliłbyś z nami kielicha, to od razu inaczej by się rozmawiało. – Dziadek nalał sobie

i Wiktorii następną kolejkę. – Dobrze, że się moja córka odnalazła, mam teraz z kim wypić! – Mrugnął wesoło do Wiki, uprzedzając ewentualne bazyliżkowate spojrzenie. W samą porę, bo już zaczynała ściągać brwi. – Nie drocz się z babami, tylko powiedz lepiej, jak tam na studiach.

– Nijak. Zaczynam dopiero w październiku. Wciąż jeszcze mam wakacje.

– Ano tak. Zapomniałem. To się byczysz?

– Nie do końca... Pracuję nad czymś... – Chłopak ociągał się nieco. – Być może wyjadę na jeden semestr do Warszawy.

– Jakiej Warszawy?! – Jego matka aż podskoczyła na kanapie.

– To takie miasto na Mazowszu. Dość duże, stołeczne nawet...

– Przystaniesz wreszcie?! – przerwała mu wściekła Mela. – Czemu ja nic o tym nie wiem?!

– Mamo, ile razy mam ci tłumaczyć? Nie wiesz, bobyś mnie od miesiący zadreęczała pytaniami i wątpliwościami.

– Jak to do Warszawy? – Janina skrzywiła się płacząco. – Żle ci tu? Czego ci brakuje, żebyś musiał się sam po świecie tułać?

– No i się zaczęło... – jęknął Mirek. – Nie będę się tułał, tylko studiował.

Na Uniwersytecie Warszawskim, w ramach programu MOST, czyli mobilny student. I nie sam, tylko z Rafałem. To mój kolega, pamiętasz go, babciu? Widziałś go u nas nie raz. Jest na architekturze i też złożył papiery na wyjazd. Ale jeszcze nie wiadomo, czy pojedziemy razem, czy tylko jednemu się uda, czy żadnemu. Nie ma zatem na razie o czym rozmawiać. Trwa rekrutacja. Czekamy na wyniki. Do dwudziestego września wszystko powinno być wiadomo.

– Wziął kilka łyków soku pomarańczowego, nałożył sobie na talerz trochę sałatki, a ponieważ przy stole panowała zupełna cisza, której czuł się trochę winny, postanowił dodać coś, co złagodziłoby poprzednią wypowiedź. – Najchętniej starałbym się o wyjazd za granicę w ramach Erasmusa, ale kiedy studiuje się prawo, to nie jest to dobre rozwiązanie. Mógłbym potem nie nadrobić różnic programowych i zawałiłbym rok. Mimo że jesteśmy w Unii, prawo cywilne jest jednak w każdym kraju inne. Przykładowo: wiecie, że w Niemczech nie ma czegoś takiego jak orzekanie o winie w przypadku rozwodu? Dlatego prywatni detektywi nie zajmują się tam szpiegowaniem niewiernych małżonków...

– Ale po co ci ta Warszawa i ta Erasmus? – przerwała mu babcia. – Do czego ci to potrzebne?

– Ten Erasmus. Do wszystkiego, babciu: do życiorysu, do zbierania nowych doświadczeń, do wykorzystania szansy. Jesteśmy w Europie i czas to wreszcie zauważyć i zrozumieć, moi drodzy.

– A wasze pokolenie to uważa się, przepraszam bardzo, za pierwszych Europejczyków? Przecież ja z Afryki nie przyjechałem! Jestem Europejczykiem od ponad siedemdziesięciu lat!!!

– W Bernardzie obudził się duch walki, który podnosił głowę za każdym razem, kiedy wydawało mu się, że ktoś próbuje zepchnąć go na boczny tor. – Urodziłem się na tym samym kontynencie. I nie potrzebowałem wchodzić do żadnych unii, żeby wiedzieć, że tu jest kolebka cywilizacji! I ja się w tej kolebce wychowałem! Chociaż była wtedy komuna i nikomu się o żadnej unii nie śniło.

– Jesteś kontynentalnym ksenofobem, dziadku. Z tą kolebką cywilizacji to przesadziłeś – powiedział Mirek pobłażliwie. – Zapomniałeś o Mezopotamii, Egipcie, Syrii i całej masie innych kolebek w Azji Środkowej i na Bliskim Wschodzie. A Majowie i Aztekowie to według ciebie gdzie mieszkali? Też w Europie?

– Co ty wiesz, smarku jeden cywilizowany! Wszystko podane na talerzu! To wasze pokolenie nic o życiu nie wie. Cieplarniane dziecko Unii Europejskiej! – Bernard odwrócił się do wnuka plecami i stuknął kieliszkiem z Wiktorią. – A co ty się, córcia, objasz? Tak ci ładnie

szło, a teraz ledwo dziobek moczysz. Zdrowie młodych unitów!

– Zdrowie... – Wika przytknęła kieliszek do ust, symulując picie. Nie nadążała za ojcem. Czowała już szum w głowie, a pod żadnym pozorem nie chciała stracić kontroli nad sytuacją.

– Tata wie o tej Warszawie? – Amelia otrząsnęła się z oszołomienia i popatrzyła na Mirka, wzdychając głęboko.

– Oczywiście – prychnął chłopak. – Od początku wie. Gadałem z nim, zanim jeszcze papiery złożyłem.

– I co powiedział?

– Powiedział mniej więcej tak: „Doskonały pomysł. Spróbuj, może się uda. Tylko nic nie mów matce, bo zamęczy i ciebie, i mnie”.

– Aha... – Mela opadła na oparcie kanapy. – Super! Widzę, że mam taki sam kontakt z wami obydwoma. Traktujecie mnie...

– Mamo, nie dramatyzuj, proszę. – Mirek przechylił się przez stół i pogłaskał ją po ramieniu. – Ciesz się, że nie dałem mu się przekonać do Erasmusa. Próbował mnie namówić na roczne studiowanie u Niemców.

– Jakich Niemców? – Emilka stanęła w progu z odświeżonym makijażem. – Co za Niemców?

– To takie plemiona germańskie, siostrzyczko kochana. W dorzeczach Łaby i Renu – odpowiedział Mirek tym samym tonem, którym wyjaśniał matce, co to jest Warszawa, i uśmiechnął się do siostry z jadowitą uprzejmością. – W szóstym i siódmym wieku zachodnia część została podbita i włączona do państwa Franków...

– Wali mnie to!

– Akurat nie o Walii teraz mówię. Mam nadzieję, że nie będziesz zdawać matury z historii albo z geografii?

– Bujaj się!

– Dziadku, czy mogę skorzystać z twojego fotela?

– Przestańcie wreszcie! – krzyknęła babcia. – Emilka, czy ty wiesz, że twój brat chce wyjechać na studia do Warszawy?

– Naprawdę? To musimy szybko pomóc mu się spakować i odprowadzić go na dworzec, bo jeszcze się rozmyśli!

ROZDZIAŁ 8

– Czego nie śpisz? Jakoś przeżyłaś tę wizytę i chyba nie było tak strasznie, co? – Mela zaciągnęła się papierosem i spojrzała na zegarek. – Wiesz, że zaraz czwarta?

Po powrocie do domu umyły zęby, pożegnały się grzecznie z dziećmi, a potem oddaliły do swoich sypialni. Nie mogły jednak zasnąć. Wiktoria przez kilka godzin liczyła barany, przewracając się z boku na bok, ale na nic to się zdało. Kiedy usłyszała, że w kuchni ktoś włącza czajnik i nastawia radio, wyskoczyła spod kołdry, zarzuciła szlafrok i zbiegła po schodach. Ucieszyła się na widok siostry palącej papierosa nad lampką wina.

– W oczach mam piasek, ale co z tego, jak mózg pracuje na przyspieszonych obrotach? Jeszcze chwila i chybabym zwariowała. Napijesz się herbaty? – Wiktoria pomacała czajnik, a potem go włączyła. Niemal natychmiast zaczął szumieć i bulgotać.

– Dzięki. A ty napijesz się wina?

– O nie, nie! Żadnego wina, żadnego alkoholu. – Zachichotała. – Chciałam upić ojca, ale nie doceniłam jego głowy. W ostatniej chwili przystopowałam. Jeszcze kieliszek i byście mnie nieśli do samochodu.

– Ale dobrze się czujesz?

Wiktoria przytaknęła, Mela wyciągnęła w jej stronę paczkę papierosów.

– Chcesz?

– Może za chwilę. – Siostra zaparzyła herbatę i przycupnęła na krześle. – A ty czemu nie śpisz?

– Wszystko mi się w głowie kotłuje: Mirek, Sławek, Emilka, rodzice...

– No i co ci wychodzi z tego kotłowania? – Wika przeciągnęła dłonią po włosach siostry.

– Nie podoba mi się... Do dupy to wszystko... Wiesz co? – Spojrzenie Meli było lekko rozkołysane od wina. – Jestem nolajfem. Normalnym, regularnym nolajfem! – Parsknęła nieszczerym śmiechem. – Wszyscy mają mnie w dupie! A ja żyję jak ta Calineczka w norze u kreta. Nie wiadomo po co i dla kogo.

– Calineczka w norze kreta? A to wymyśliłaś! – Wiktoria popukała się w czoło. – Nie jesteś ani Calineczką, ani nolajfem, tylko narąbaną babą. Wytrzeźwiejesz i znowu będziesz lajfem pełną gębą.

– Pieprzysz!

– Słodzę, a nie pieprzę. Ślepa jesteś? – Wiktoria wsypała do herbaty łyżeczkę cukru.

– Niby słodzisz, a pieprzysz. Masz dar, moja droga. Potrafisz pieprzyć cukrem...

– Mela, ty tylko piłaś czy jeszcze coś wciągnęłaś?

– Wciągnęłam. Piżamę. – Podniosła się i wykonała kilka reprezentacyjnych dygów.

– Ładna?

– Ale czy nosem wciągałaś, się pytam?

– Głupia jesteś? Piżamę nosem? Nogami i rękami wciągałam. Nie miałaś nigdy piżamy? Poza tym zobacz. – Poglądziła bawełnianą koszulkę. – Gdybym ją wciągnęła nosem, to byłaby zdecydowanie bardziej pomięta. Logiczne, nie?

– Aleś się złoila...

– O! Pierwsza trzeźwa się odezwała! A kto pił z ojcem czyściochę kieliszek za kieliszkiem? Ja?! Nie. Nie ja. Ty! – Mela wbiła palec w pierś siostry. – Ty rozpijałaś tatusia. Powiem ci, że trochę się bałam, bo on jak za dużo wciągnie... ale nie piżamy, tylko wódki jak

za dużo wciągnie... – Zachichotała, ponownie gładząc swój nocny strój. – ...to często gęsto szuka, komu by przypierdzielić. Oczywiście nie mam na myśli rękoczynów, tylko czepianie się. Rozumiesz?

– Coś jak z tymi pretensjami do Mirka, że żyje w Unii Europejskiej, a nie w komunizmie?

– Iiii tam. – Amelia machnęła ręką. – To było nic. Normalna rozmowa to była. Nie widziałaś tatusia w akcji. Dlatego się bałam, że tą wódką sama sobie biedy napytasz. Ale o dziwo... Łagodny był jak baranek.

– Pewnie nie chciał urządzać jazdy przy twoich dzieciakach. Mniejsza o to. Najważniejsze, że chrzest bojowy mam za sobą i faktycznie nie było tak strasznie. Ale wiesz co? Mama mnie zaskoczyła. Ona jest taka... taka...

– Upierdliwa! – dokończyła Mela. Złapała butelkę i wlała do kieliszka resztkę wina. – Oj, chyba trzeba będzie iść po następną... Masz rację. Nasza matka jest upierdliwa do bólu, a ja na starość będę identyczna, zobaczysz! Zadręcę wszystkich gołąbkami i troską. Zresztą...

– Zamilkła na chwilę; bujała kieliszkiem, patrząc na przelewający się bordowy płyn. – Nie muszę czekać na starość. Ja już ich zadręczam. Słyszałaś, co mówił Mirek? Nie wspomniał mi ani o wakacyjnym wyjeździe do Ińska, ani o planach studiowania w Warszawie, bo nie wytrzymałby mojego marudzenia. A Sławuś? Kochany Sławuś doradził mi milczenie, bo też nie ma ochoty narażać się na moje zrzędenie. I siedzi sobie na statku, zadowolony z życia i z synka, a nie wie, że ten jego synek do Warszawy wyjedzie z narzeczoną, czyli z Rafałkiem. Nie powiem mu tego, bo po co mam go dręczyć i mu zrzędzić, prawda? Niech sobie pływa i sławi imię polskiego marynarza. – Podniosła kieliszek. – Za tych, co na morzu! Oprócz Kriegsmarine oczywiście! – Wzięła kilka łyków, a potem popatrzyła przeciągle na siostrę. – Jaki z tego wniosek? Powiedz mi, proszę...

– Że faceci to debile? Bez względu na stopień pokrewieństwa? – Wiktoria przypaliła sobie papierosa.

– Błędna odpowiedź. Wniosek z tego taki, że jestem już niepotrzebna. Mam siedzieć cicho, niczym się nie interesować, niczego nie komentować, nie mówić, co czuję i co myślę. Bo wtedy marudzę i zadręczam. Kiedyś mogłam, ale wiesz, murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść. Tym się tylko różnię od murzyna, że nie muszę odchodzić. Pozwolą mi tu zostać, ale ćś...

– Położyła palec na ustach i zaczęła mówić szeptem. – Na żadne pytania i komentarze nie mogę już sobie pozwolić. Mam zostać nolajfem i tyle! – Wychyliła resztkę wina. – Idę do piwnicy. Na pewno nie chcesz?

– Daj spokój. Łeb ci jutro... to znaczy dzisiaj pęknie. Z łóżka nie wstaniesz.

– I co z tego? Nolajfy nie muszą wstawać z łóżka. Po co? Żeby synowi przeszkadzać? I mężowi truć dupę na Skypie? Chyba lepiej dla nich będzie, jak nie wstanę, prawda?

– Mnie nie o nich chodzi, tylko o ciebie. Po co masz się jutro... – Wiktoria urwała, bo Amelii już nie było. Po krótkiej chwili wróciła z butelką pod pachą. Z pasją wbiła w nią korkociąg.

– Melciu, zostaw. Upiłaś się na smutno, od kolejnej butelki tylko ci się pogorszy...

– No to się pogorszy! Wielkie halo! Tobie też przeszkadza moje zrzędenie? Ciesz się, że przynajmniej nie marudzę jak nasza matka, że rodziny nie masz, dzieci nie masz, nawet faceta nie.

– Bardzo się cieszę...

– Dała ci dzisiaj mamusia popalić, co?

Rzeczywiście, Janina pod koniec wizyty córek z niespodziewanym ożywieniem skupiła

się na stanie cywilnym Wiktorii.

– Ustatkuj się wreszcie. I znajdź sobie kogoś, to ostatni dzwonek, żeby zająć w ciążę. Nie można żyć tylko pracą z cudzymi dziećmi i piciem wódki z własnym ojcem. Z tego nic nie wynika.

– Kac wynika, mamó. Jutro na pewno wyniknie. – Wika nie miała ochoty rozmawiać.

– Czy ty słyszysz, Beniu, co ona mówi?

– Dobrze mówi. – Ojciec pokiwał głową. – Ja się cieszę, że ona jutro tylko z kacem się obudzi, a nie z jakimś fagasem! Córcia, nie daj się! Zdrowie!

– Z wami nie sposób normalnie rozmawiać. – Janina potarła czoło i zaczęła mówić, jakby Wiktorii nie było w pokoju: – Powinna sobie chłopca znaleźć i rodzinę założyć. Czego jej brakuje? Ładna, zgrabna... A ty? Nie chciałbyś być dziadkiem?

– Przecież jest! I to od lat! – zakrzyknęła oburzona Emilka. – Ja i Mirek się już nie liczymy jako wnuki?!

– Nie wtrącaj się – ofuknęła ją babcia. – Idź i spakuj sobie gołąbków. W szafce obok kaloryfera są takie duże plastikowe pojemniki. No idź, idź...

– Dla mnie też nałóż! – zawołał Mirek za idącą do kuchni siostrą.

– Dobra! – Emilka wyjątkowo nie kazała mu się gonić ani bujać. Może poczuła nagle więź z bratem, który został przez babcię potraktowany równie brutalnie jak ona.

– Dziecko, powinnaś dać nam wnuka...

– Mamó, przestań. – Wiktorii postanowiła obrócić wszystko w żart. – Nawet gdybym miała dziecko, tobym go wam nie dała. Wciąż powtarzacie, że nie umielicie mnie wychować. Musiałabym na głowę upaść, żeby wam dziecko oddać na zmarnowanie!

– Słyszysz, kochanie? – Zaśmiał się Bernard. – Ona jeszcze dziecka nie ma, a już zakłada, że to my byśmy je wychowywali. To ja z góry dziękuję za bycie dziadkiem! Ty też już jesteś w Unii Europejskiej, co? I taka właśnie jest ta wasza europejska filozofia. – Pogroził córce palcem. – Z jednej strony chcecie brać przykład z Zachodu i oddawać rodziców do domu starców, ale z drugiej chętnie obarczacie ich opieką nad wnukami, chociaż to zupełnie nieeuropejskie.

– Tatusiu, ja cię naprawdę nigdy, ale to przenigdy, do żadnego domu starców nie oddam! Raz, że nie miałabym serca, dwa, że nie miałabym czasu.

– Na co nie miałabyś czasu? – Ojciec wietrzył w jej słowach ukrytą uszczypliwość.

– Nie miałabym czasu latać do domu starców na wywiadówki. A czuję, że byłabym wzywana kilka razy w tygodniu, żeby wysłuchiwać skarg na twoje zachowanie.

– Przestańcie pleść głupoty – wtrąciła się Janina. – Jak tak was słucham, to mam wrażenie, że dzielicie skórę na nieupolowanym chłopie.

– Jakim chłopie?! – Zdziwili się zgodnie.

– No właśnie nie wiem na jakim! Ale żeby Wika mogła mieć dziecko, o które się tak kłócicie, to chyba najpierw chłopca musi upolować, prawda? W Europie czy nie w Europie, bez chłopca nie da rady.

– Mamó! Czy ja jestem jakaś feudalna pani? Czy ja mam folwark, żeby się bez chłopów nie mogła obejść? I na dodatek miałabym na nich polować? Przecież wiesz, że bliżej mi do Greenpeace niż do myśliwych. Od dziecka brzydę się łowiectwem i jestem za ochroną wszystkich żyjących stworzeń. Wszystkich! Chłopów też!

W tej chwili w drzwiach salonu stanęła Emilka z plastikowym pojemnikiem w ręku.

– Mam siadać czy idziemy do domu?

– Idziemy do domu. – Mela wstała od stołu. Podeszła do ojca, żeby się pożegnać i po raz ostatni życzyć mu wszystkiego najlepszego, ale słuchał jej tylko jednym uchem.

– Wnusia, wykręć numer.
– Komu? – Emilka była szczerze zdumiona.
– Po taksówkę!
– Jaką taksówkę? Mirek nas wiezie...
– Ach, tak! Zapomniałem, że macie kierowcę! – Bernard puknął się w czoło.
– Ale o co cho z tym wykręcaniem? – Emilka nie mogła wyjść ze zdziwienia.
– Taksówkarzowi numer wykręcić? Nie sklejam...
– Nie próbuj, odpuść – poradził jej brat. – Nasz dziadek zatrzymał się na etapie aparatów z okrągłym cyferblatem i dziurkami na palec. Wtedy się numer telefonu wykręcało, a nie wystukiwało. Po drodze dokładniej ci to wytłumaczę...
– Nie bądź taki mądry, ty unijny bękartcie! – Zaśmiał się dziadek, mierzwiąc włosy wnuka. – Tak, tak... Wy jesteście tylko bękartami Unii Europejskiej. Może wasze wnuki będą jej prawowitymi dziećmi. Bo wasze dzieci na pewno jeszcze nie. A co dopiero wy!
Podczas tej dyskusji Janina odciągnęła na bok Wiktoria, żeby szepnąć jej na ucho:
– Córcia, powinnaś jak najszybciej znaleźć odpowiedniego mężczyznę i zejść w ciążę, bo czas leci, a im później, tym większe ryzyko, że dziecko urodzi się jakieś nienormalne.
Kiedy tylko Mirek otworzył drzwi, Wiktoria uciekła od matki, cmoknąwszy ją w policzek i zapewniwszy, że weźmie sobie do serca wszystkie jej rady. Z ulgą opuściła mieszkanie rodziców. Bała się spotkania z ojcem, a okazało się, że to matki trzeba się było obawiać.

Mela doskonale to wyczuła i pewnie dlatego sącząc wino o piątej nad ranem, domagała się wdzięczności za to, że nie zrzędzi siostrze o tym, jak powinna sobie ułożyć życie.
– Ale wiesz co? Mama ma rację! Ty powinnaś sobie kogoś znaleźć, bo się marnujesz...
– To jest najlepszy dowód na to, że trzeba zamknąć tę imprezę i iść wreszcie do łóżka.
– Zaśmiała się Wiktoria. – Zostaw to wino. Dawaj! Odholuję cię.
– Czekaj, czekaj. – Mela machnęła rękoma, żeby opędzić się od siostry. – Musimy ci kogoś znaleźć!
– Dobrze, kochana moja, jutro wystawię się na ulicy z karteczką: „Niech mnie ktoś przygarnie i zapłodni, bo mama i siostra zamartwiają się do łez”. – Wstała z krzesła i klepnęła Melę po nodze. – Chodź do wyra!
– A po co masz sterceć z karteczką? Zalogujemy cię na portalu randkowym. To teraz jest bardzo trendy...
– Okej. Chodź już. – Wiktoria ziewnęła niczym hipopotam. – Czuję, że wreszcie zasnę.
– Zaczekaj! – Amelia chwyciła się jedną ręką stołu, a drugą krzesła, z którego siostra próbowała ją ściągnąć. – Pójdę, ale przedtem przysięgnij, że jutro zalogujemy cię na portalu dla singli!
– Przysięgam, przysięgam...
– A dajesz słowo honoru?
– Daję! Co chcesz, to daję, tylko weź się nareszcie połóż! – Wika znowu rozdzierająco ziewnęła.
– Ale zalogujemy się? – dopytywała Amelia na schodach.
– Słowo honoru! – Wiktoria klepnęła ją w tyłek. – Idźże szybciej, bo jutro znajdziesz mnie śpiącą na schodach! Ruchy, ruchy! Słyszysz, co do ciebie mówię?
– Nie słyszę! – Mela zatoczyła się i chwyciła za poręcz. Przykucnęła i chichocząc jak głupia, wystawiła pod nos siostry wyprostowaną dłoń. – Jakby co, to mów do ręki. Mam w niej ukryty dyktafon. Jutro odsłucham i się ussss... tosunkuję.

IV

WOLIERA, CZYLI WYGODNE OBSERWATORIUM

Woliera to zbudowane z siatki lub szkła pomieszczenie dla ptaków. Musi być na tyle duża, by mogły w niej swobodnie latać. Należy w niej umieścić konary drzew oraz inne przedmioty imitujące naturalne środowisko. Nie można jednak zapominać, że ptaki w wolierze bardzo często pozbawione są instynktów, które przejawiają na wolności.

ROZDZIAŁ 9

Wiktoria obudziła się koło południa i pierwsze, o czym pomyślała, to jak czuje się Mela. Czy już wstała? Czy w ogóle da radę wstać?

Uniosła się na łóżku i wsłuchiwała dłuższą chwilę w domowe odgłosy. Emilka była chyba u siebie, bo z jej pokoju dobiegała muzyka, jeśli można tak nazwać jej ukochane ymcyk-ymcyk-dżdż-dżdż-dżdż-ymcyk-ymcyk, dużo jednak cichsza niż zazwyczaj. Czyżby panna Czubatka okazywała litość dogorywającej matce?

Wiktoria opadła na poduszkę i przeciągnęła się leniwie. Kontemplując różnokolorowe ściany i okno w stylu glamour, próbowała ustalić, czego bardziej potrzebuje jej organizm: kawy czy kąpieli? A może jeszcze kilku minut leżenia pod czarno-złotą jedwabną kołdrą, która tak ładnie gada z firankami i zasłonkami? Starła się wsłuchać w głos serca, kiedy nagle coś zagłuszyło nie tylko jej serce, ale nawet Emilkową muzykę. Całkiem donośny, chociaż nieco fałszywy śpiew dochodził z kuchni.

– Jesteśmy jagódki, czarne jagóóódkki, mieszkamy w lasach zielooonych! Oczka mamy czarne, uszka granatooowe, a sukienki są zielone i seledynooowe!!! – darła się na całe gardło Amelia.

– Jezus Maria! Ona dalej pije... – Wiktoria wyskoczyła z łóżka, szybko wciągając szlafrok. Nie mogła znaleźć kapci, więc zbiegła na dół bosą, przekonana, że zastanie siostrę bujającą się z kieliszkiem w ręku nad pełną petów popielniczką; brudną, wymiętoloną, zionącą odorem niestrawionego alkoholu. Zobaczyła jednak obrazek zgoła odmienny od tej ponurej wizji. Mela, pachnąca i świeża jak skowronek, stała przy kuchence, mieszając coś w ogromnym garnku i śpiewając ile sił w płucach.

– A kiedy dzień nadchodzi, dzień nadchooodzi, idziemy na jagody, na jagooody! A nasze czarne serca, czarne seeerca, biją nam radośnie, bum tarara bum!!!

– Co ty robisz?

– Witaj, siostrzyczko. – Amelia odwróciła się od kuchenki. – Wiesz, że już południe minęło? Mama byłaby zgorzozona, gdyby wiedziała, do której się wylegujesz. Dobrze się czujesz? Nie boli cię główka?

– Mnie?! To raczej ciebie powinna boleć... Co robisz? I czego się tak wydzierasz?

– Wypraszam sobie! Nie wydzieram się, tylko śpiewam. A robię dżem z malin. Nie znam żadnej piosenki o malinach, to sobie nucę o jagóódkach.

– Ładne mi nucenie. – Uśmiechnęła się Wiktoria. – Przez moment myślałam, że... Mniejsza o to... – Machnęła ręką. – Co cię nagle na dżem wzięło? I jakim cudem wyglądasz, jakbyś wczoraj nic nie piła i położyła się do łóżka zaraz po dobranocce?

– Jak jestem w stanie totalnego wkurwienia... ups! – Zasłoniła usta, spoglądając płochliwie w kierunku schodów. – Kiedy jestem bardzo zdenerwowana, znaczy, to trawię wszystko szybciej niż ekologiczna spalarka śmieci. Obudziłam się po trzech godzinach trzeźwa jak świnią. Poszłam na rynek zrobić zakupy, a że akurat przyjechał jakiś facet z malinami i sprzedawał je za pół ceny, to pomyślałam, że zrobię kilka słoików. Uwielbiam maliny. Dają zawsze o połowę mniej cukru i wyciskam sok z całej cytryny. Gębę wykręca, że aż miło. A jakie dobre są na przeziębienie!

– Że też ci się chce... – Wiktoria miała początkowo zamiar zrobić sobie kanapkę, ale poprzestała na jabłku i kawie. Z Amelii biła jakaś dziwna energia, od której wolą się trzymać

z daleka, więc zamiast plątać się po kuchni, siadła za stołem i wbiła zęby w dorodny owoc.

– Wcale mi się nie chce. To taka terapia. Hormony zamieniają mnie w rozjuszonego byka, więc muszę się jakoś wyżyć. Nie mogę ugotować i zawekować ludzi, ale mogę to sobie zwizualizować za pomocą bezbronych malin, nie? Zobacz, jak bulgocze! Jakbym krew gotowała. Od razu mi lepiej. I czuję, jak z każdą chwilą złość ze mnie uchodzi i uchodzi...

– Przestań, wampirzyco, bo aż skóra cierpnie!

– E tam... Gdzie mi do wampirzycy... – Mela zerknęła na zegarek. – Jeszcze dwie minuty i rozlewam do słoików... Może dzisiaj zmodyfikuję przepis? Napluję porządnie do garnka, żeby było w tym dżemie trochę mojego jadu. Rodzina będzie miała antidotum, jak w końcu zaczną ich kąsać. Dobry pomysł?

– Z pluciem do dżemu? Genialny! – Zaśmiała się Wiktoria. – Wiesz co? Biorę kawę i idę do wanny. Taka jesteś krwiożerczo bojowa, że lepiej zejdziesz ci chwilowo z oczu.

– Dobra. A jak już się wykąpiesz, wypijemy razem drugą kawę. Akurat skończę ze słoikami i cały ten chlew ogarnę. Aha! – Amelia wychyliła się z kuchni i krzyknęła za siostrą. – Ania dzwoniła. Powiedziałam, że śpiesz, boś z ojcem wczoraj popiła i nie mam sumienia cię budzić. Zadzwoń później. Ale trochę z nią pogadałam. Przy kawie ci opowiem.

– Dobrze – odkrzyknęła Wika, wchodząc do łazienki. Lecząca do wanny woda dość głośno szumiała, ale nie była w stanie zagłuszyć drugiej części kuchennego koncertu Meli.

– Jesteśmy jagódki, leśne jagóóódkie! Mieszkamy w lasach zielooonych!!! Noski mamy śmieszne, rączki granatowe, a czapeczki też nosimy, kiedy zimno w głoowowie!!!

Leżąc w aromatycznej pianie, Wiktoria zastanawiała się, z czym dzwoniła Anka. Jakieś kino? Albo kawa na mieście? A może tak tylko, poplotkować?

Odbudowywały powoli swoją przyjaźń. Spotkały się już kilka razy i Wiktoria opowiedziała Ance wszystko jak na spowiedzi. Tym sposobem Anka stała się drugą po Amelii osobą, która знаła całą prawdę o ostatnich latach życia przyjaciółki. Istniało też poważne prawdopodobieństwo, że wie o tym jeszcze ktoś trzeci: Kamil, mąż Anki. Wika czuła, że wszystko zostało mu dokładnie powtórzone, ale gdyby to podejrzenie okazało się słuszne, nie miałyby pretensji. Kamil był bowiem porządnym, godnym zaufania, czułym i wrażliwym facetem. Nigdy nie odważyłby się oceniać Wiktorii. Poza tym prawdopodobnie nie za bardzo go to obchodziło, gdyż od zawsze interesował się i zajmował tylko jednym – uszczęśliwianiem Anki. Reszta świata była dla niego tylko skromnym dodatkiem do niej...

– A kiedy dzień nadchodzi, dzień nadchooodzi! Idziemy na jagody, na jagoooody!!! A nasze czarne serca, czarne seeerca, biją nam radośnie, bum tarara bum!!!! – Głos Amelii zbliżał się do łazienkowych drzwi. – Siostra! Wychodź! Kawa czeka!

Zanim Wiktoria zdążyła odpowiedzieć, usłyszała pełen pretensji krzyk Emilki:

– Mamo! Przestań wreszcie śpiewać tę kretyńską piosenkę! Zaraz oszaleję. Co w ciebie dzisiaj wstąpiło?!

– Zły duch! Zawładnął mną ciemny jagodowy duch z czarnego lasu! – Zaśmiała się Mela. – A piosenka wcale nie jest kretyńska. Przynajmniej w porównaniu z twoimi przebojami typu: „Gangam styl, e, e! Gangam styl, y, y! Gangam styl, e, e! Gangam styl y, y”. Superinteligentne, prawda? Albo: „Cały dzień, całą noc, cały dzień, całą noc, cały dzień, całą noc. Co jest, kurwa?! Cały dzień, całą noc, cały dzień, całą noc, cały dzień, całą noc. Co jest?! Cały dzień, całą noc, cały dzień, całą noc. Co jest, kurwa?!”. Chyba dobrze przetłumaczyłam twoje hiciory, skarbie? Że nie wspomnę już o starym i pocziwym: „Parasolka, olka, olka, olka, o, o, o! Parasolka, olka, olka, o, o, o!”.

– Rihanna to ty nie jesteś! – Drzwi pokoju Emilki huknęły gwałtownie.
– Zapewniam cię, że gdyby moje jagódki przetłumaczyć na angielski, to jak nic w trzy dni znalazłyby się na topce MTV! – Nie odpuszczała Mela. – Chociaż wątpię, czy dalibyście radę tak zróżnicowane zwrotki zapamiętać. Trzeba by je chyba uprościć i zamknąć góra w pięciu słowach! – W tym momencie musiała się poddać, bo domem wstrząsnęło ogłuszające ymcyk-ymcyk-dżdż-dżdż-dżdż-ymcyk-ymcyk.

– Od waszych wrzasków i śpiewów zrobiło mi się w wannie tsunami. – Wiktoria wyszła z łazienki zawinięta w ręcznik, który ledwo zakrywał piersi i pośladki. – Ciebie naprawdę coś dzisiaj opętało...

– Nie łaź po domu z gołą dupą i cyckami na wierzchu. – Zaśmiała się do niej siostra, ciągnąc za róg frotowej tkaniny. – Mirek może zaraz wrócić z treningu. Gej, bo gej, ale zawsze to jednak mężczyzna.

– Oszalałaś?! – Wika wyrwała jej ręcznik i czym prędzej z powrotem się nim owinęła.
– I ciszej, na litość boską! – Wskazała głową drzwi Emilki.

– Nie usłyszałyby nawet eksplozji bomby wodorowej. Przestań mi tu syczeć, cmokać i pukać się w czoło – komenderowała niczym Janina. – Włóż coś elegantszego i chodź wreszcie na kawę. Tylko się nie guzdrz!

– Zaczynam się ciebie bać...

– Niepotrzebnie. Naplułam do dzemu, ile się dało. Antidotum już stygnie i tężeje. Jesteś bezpieczna. – Mela popukała palcem w zegarek. – Za pięć minut widzę cię na dole.

Wiktoria zjawiała się przed czasem, taszcząc wielką kosmetyczkę.

– Wołałam nie nadużywać twojej cierpliwości, ale pozwól, że sobie przy kawie nałożę maseczkę i paznokcie zrobię.

– Pozwolę. Siadaj i zamaskuj się porządnie. Nie tu! – krzyknęła Amelia, kiedy Wiktoria zaczęła się sadowić w fotelu. – Idź na kanapę.

– Dlaczego?

– Nie możesz siedzieć twarzą do okna z zielonymi algami na gębie. Jeszcze ktoś cię z ulicy zobaczy i pomyśli, że w moim domu wylądowali kosmici. Jakbym mało tu cudaków miała!

– Mela, co ci się dzisiaj stało? To od tego dzemu? Czy od całonocnego picia wina? Jakaś pobudzona dziwnie jesteś. – Wika potulnie przeniosła się na kanapę i zaczęła powoli nakładać na twarz gęstą maź. Papka niemal natychmiast zastygała, mocno ściągając skórę. – Ale młodziej! Czuję, jak mi lat ubywa normalnie...

– Nie zapomnij zmyć, jak dojdiesz do trzydziestki. Dwóch Emilek w jednej chałupie nie zniosę! – Amelia rozsmarowała na wierzchu dłoni odrobinę cudownego specyfiku i przyglądała się przez chwilę, oczekując natychmiastowego efektu, o jakim zapewniały napisy na tubce.

– Tyle warte, co i cała reszta. – Machnęła ręką. – Mówiłam ci, że dzwoniła Ania?

– Mówiłaś. – Wiktoria przymknęła oczy i odchyliła głowę na oparciu kanapy. – Czego chciała?

– Po pierwsze, chciała się pochwalić, że zmienia pracę. Przechodzi do biura koleżanki na prawach współwłaścicielki.

– Czyli jednak? – Tężejąca maseczka nie pozwalała Wice nadużywać mięśni twarzy, więc mówiła, ledwo poruszając ustami. – To chyba zadowolona bardzo jest, co?

Anka od lat pracowała jako naganiacz w biurze nieruchomości. Przez ten czas zdobyła duże doświadczenie i wiele się nauczyła. Marzyła jej się własna firma, ale nie miała niestety

wymaganych papierów. Chyba z dziesięć razy podchodziła do egzaminu dającego odpowiednie uprawnienia, ale za każdym razem go oblewała. Podczas ostatniego spotkania opowiadała Wiktorii, że koleżance udało się zdać ten egzamin i myślą teraz o założeniu własnego biura.

– Bardzo jest zadowolona, tylko trochę ma wyrzuty sumienia, że z dnia na dzień zostawia swojego szefa na lodzie. W sumie nie mogła na niego narzekać. Całkiem ludzki człowiek z niego był.

– Yhy – Maseczka zamieniła się w betonową skorupę.

– Zapytała, czy mam kogoś, kogo mogłabym polecić na jej miejsce. Powiedziała, że może to być osoba zupełnie bez doświadczenia, bo ona chętnie przyuczy i doradzi: sprzeda namiary na dobrych notariuszy i zaprowadzi do zaprzyjaźnionych banków, gdyby potrzebny był kredyt... Grunt, żeby to solidna firma była. Nie jakieś fiu-bździu, które się notorycznie spóźnia albo mu brakuje cierpliwości do marudnych ludzi.

– Yhy.

– I wpadnie dzisiaj po południu, żeby o tym pogadać, bo znalazłam dla niej kogoś, kto mógłby się nadać.

– Yhy?

– Siebie.

– Słucham?! – Wiktoria wyprostowała się jak struna, kawałki zasuszonych alg spadły na kanapę, stół i podłogę.

– No co się tak dziwisz? Myślisz, że nie dam sobie rady?

– Nie chodzi o to, czy dasz sobie radę, tylko o to, że wywrócisz ten dom do góry nogami! Sławek wie? – Rozmowy Meli z mężem były tematem tabu. Wiktoria nigdy o nie nie pytała, Amelia nigdy o nich nie opowiadała. Pierwsza nie była ciekawa komentarzy szwagra na swój temat, druga nie paliła się do ich powtarzania. Kiedy Mela wracała od komputera po rozmowie z mężem, wymieniały tylko kurtuazyjnie kilka słów o tym, jaką Sławek ma pogodę, z jakiego portu wyszedł i do jakiego zmierza. Tym razem sytuacja była jednak wyjątkowa... – Wiesz, że może mu się to nie spodobać? Nie sądzisz, że zanim podejmiesz jakieś zobowiązania, powinnaś z nim porozmawiać?

– Z nikim nie będę rozmawiać. I nie próbuj mnie odwozić! – Amelia uderzyła pięścią w oparcie fotela. – Mam już dość robienia za pomietajło przy sfrustrowanej rodzinie pełnej zdewociałych matek, nadętych córek, rozdętych chłopów i przemądrzałych gejów!

– Poniesło cię... – Wiktoria złapała ją za rękę. – Uspokój się. I koniecznie dodaj mnie do tej menażerii, bo czuję się odrzucona.

– Proszę bardzo! – Amelia wyrwała dłonie i uderzyła w fotel. – I mam już dość siostry, która zamiast mnie wspierać, podcina mi skrzydła. Wystarczy?! A na dodatek wyglądasz jak biało-zielone przepiórcze jajo! – Parsknęła śmiechem. – Albo jak stary pomnik częściowo obdrapany z mchu. Zrób coś z twarzą, bo patrzeć na ciebie nie mogę.

– No i proszę! Mój piękny bioregeneracyjny plan poszedł w pizdu! – burknęła Wika znad zlewu. – A miało być tak miło: niedzielne popołudnie, umierająca od kaca siostra, ja kwitnąca od alg...

– Nie wiem, co tam mamrociesz! – krzyczała Amelia z salonu. – Ale zrozum! Drugi raz coś takiego może mi się nie trafić. To dar losu. Jak z nieba!!!

– Co ci się drugi raz może nie trafić? – zapytał Mirek, wyrastając nagle pośrodku holu, czyli między kuchnią i salonem. – Co tu się dzieje?

– A co ma się dziać? – Wiktoria odwróciła ku niemu swoje rozmazane na zielono oblicze

i wzruszyła ramionami. – Ja właśnie pozbywam się maseczki, a twoja mama właśnie znalazła pracę. Nic specjalnego. Spoko!

Siostrzeniec natychmiast pobiegł do Meli, a Wika przez kilkanaście długich minut prychała niczym koń, płucząc najpierw twarz, a potem zlew i jego okolice z gęstej, ciągnącej się mazi, która nijak nie chciała się zmyć i wciąż dawała o sobie znać mętными smugami. Kiedy wreszcie się z nimi uporała, wróciła do salonu, gdzie zastała perorującego ze swadą Mirka.

– Weź się zastanów! Jakie ty masz pojęcie o nieruchomościach?! O transferze praw, zawieraniu porozumień, obsłudze technicznej, warunkach umów deweloperskich, analizie rynku, ustawach regulujących stosunki między osobami fizycznymi, przepisach finansowych i budowlanych... To nie dla ciebie! Porywasz się z motyką na słońce. Po co ci to? – Patrzył na matkę, która zacięciem milczała i najwidoczniej nie miała zamiaru odpowiadać na jego pytania. – No dobrze... Pomijając wszystko inne, bardzo jestem ciekaw, co ojciec na to powie. Rozmawiałaś z nim już?

– Nie, Miruchna. Nie rozmawiałam. – Mela podniosła się z fotela, zadzierając głowę, żeby spojrzeć synowi w oczy. – Ale wiesz co? Jak ty będziesz z nim rozmawiał, to nic mu nie mów. Bo zamęczy i ciebie, i mnie. Chyba oboje mamy dość jego zrzędzenia, prawda? A teraz bądź tak miły i zostaw nas same, dobrze? Mam jeszcze kilka spraw do obgadania. Jakby co, możesz sobie podgrzać gołąbki od babci.

– Nie jestem głodny. Byłem z Rafałem na lunchu... – Wycofywał się powoli w kierunku schodów. – Mamo, zrobisz, co uważasz, ale zastanów się jeszcze.

– Dobrze, kochanie. Zastanowię się.

Kiedy zniknął im z oczu, Mela mrugnęła do siostry.

– Niezła byłam, co? Zaliczył szok, prawda?

– Nie tylko on. – Wiktoria wciąż nie mogła odkleić się od framugi drzwi. – Od samego rana robisz na mnie wrażenie. Z każdą minutą coraz większe, muszę przyznać.

– Dostyc tego! – Amelia rozwaliała się w fotelu. – Mam sporo czasu do przyjścia Ani, więc może teraz skoncentrujemy się na tobie?

– Ale że co? O co ci chodzi? – Niespodziewana stanowczość Meli wprawiała siostrę w taki sam popłoch jak przed chwilą syna.

– No jak to?! Przecież obiecałaś wczoraj, że zalogujesz się na portalu dla singli. I nawet słowo honoru dałaś kilka razy! Nie wymiguj się teraz, bo ja Ani obiecałam, że jak wieczorem przyjdzie, to już będziemy w miarę zorientowane w temacie. Przynieś tu szybko laptopa!

– Mela... Ja myślałam, że tobie się wczoraj film urwał, i dlatego tak tym słowem honoru szafowałam.

– To masz nauczkę na przyszłość! Dałaś słowo? Dałaś! Szoruj po komputer. – Amelia pstryknęła palcami. – Raz, dwa!

– Kiedy ja nie mam ochoty na żadne spotkania i na żadnych facetów... To dla mnie za wcześnie... Za świeże to wszystko... Nie jestem jeszcze gotowa...

– A kto ci się każe spotykać? Poczytamy tylko i pooglądamy. No idźże!

– Wiesz co? – Wiktoria popatrzyła z trwogą na siostrę. – Do ciebie powinni egzorcyście wezwać. Naprawdę!

– Dobra, dobra. – Wika pobiegła po swojego laptopa, a Mela jeszcze wygodniej rozwaliała się w fotelu i mruczała pod nosem: – Spróbuj mi tylko teraz nie pomóc, dobry Boże. Wtedy będziesz miał u mnie przegwizdane! Pomóż, błagam! Najbardziej to w tym transferze praw, obsłudze technicznej, przepisach prawnych i podatkowych oraz sama nie wiem w czym jeszcze.

Daj mi szansę. Co Ci zależy...?

ROZDZIAŁ 10

Słońce już dawno zaszło, a trzy kobiece głowy wciąż przepychały się przy monitorze.

– O! Ten jest milutki. Ładny uśmiech ma, nie? – Anka zastukała paznokciem w ekran laptopa. – Mnie się podoba.

– Stary jakiś taki... – Skrzywiła się Mela, a Wika kiwnęła głową, nie do końca wiedząc, czy przytakuje siostrze, czy przyjaciółce. Czowała się zawstydzona, oglądając fotografie i czytając zamieszczone przy nich opisy. Zupełnie nie miała ochoty logować się na portalu randkowym i próbowała odwieść Ankę i Amelię od tego pomysłu, ale ani myślały jej słuchać: zrobiły wszystko za nią, konsultując tylko co ważniejsze kwestie.

– Wiek wpisać prawdziwy? – Mela była pobudzona jeszcze bardziej niż podczas robienia dzemu.

– Głupia jesteś? Kobieta, która zdradza swój wiek, jest zdolna zdradzić wszystko, nawet ojczyznę! Odejmij jej przynajmniej ze dwa lata.

– To się i tak wyda wcześniej czy później... – Palce Amelii wciąż wisały nad klawiszami z trójką i ósemką.

– Chyba nie sądzisz, że facet każe jej się wylegitymować na pierwszym spotkaniu?! Poza tym ona nie wygląda na swoje lata. Popatrz na nią. – Anka złapała Wiktorię za podbródek i obróciła jej twarz w stronę siostry. – Jakbym jej nie znała, dałabym górą trzydzieści cztery, trzydzieści pięć.

– Może i tak... – Amelia przez kilka chwil taksowała Wikę krytycznym spojrzeniem. – To ile ci w końcu wpisać?

– Wszystko mi jedno. I tak się nie wyda. Ani wcześniej, ani później...

– Podrobisz sobie dowód osobisty czy komuś ukradniesz? – zapytała rzeczowo Anka.

– Ani nie podrobię, ani nie ukradnę. Nie mam zamiaru chodzić na żadne randki, po prostu.

– Oj tam, oj tam. Przestań się zarzekać, bo potem ci będzie głupio.

– Głupio to teraz mi jest.

– Niby czemu?

– Takie to jakieś żenujące... – Wiktoria wierciła się nerwowo w fotelu. – Poza tym ja naprawdę nie tęsknię za facetami. A co będzie, jak trafię na kolejnego psychopatę? Już raz mnie zeswatałaś i bokiem mi wyszło.

– Wiem. Dlatego próbuję teraz zmasać swoje grzechy. – W oczach Anki widać było przez chwilę poczucie winy, które jednak szybko zniknęło, ustępując miejsca entuzjazmowi. – Uwierz mi, że nie ma nic żenującego w poznawaniu się na takich portalach. Nie masz pojęcia, ile moich koleżanek singielek tam siedzi!

– A ile z nich znalazło tam jakiegoś fajnego, normalnego faceta? – odpowiedziała pytaniem Wika i uśmiechnęła się kpiąco na widok niezbyt mądrej miny przyjaciółki.

– Ty mnie o statystyki nie pytaj, bo nie prowadzę. Masz inne wyjście? Gdzie ty chcesz kogoś poznać? W szkole przy robieniu kotylionów z bibuły? – Machnęła ręką i zwróciła się do Meli. – Pisz pani: trzydzieści sześć.

– Kogo szukasz? – Po uzupełnieniu rubryki z wiekiem Amelia przeszła do kolejnego punktu i spojrzała wyczekująco na siostrę.

– Nikogo!

– Napisz, że szuka takiego, który zamiast czytać Hegla, woli kupować Diora...

– Nie! – zaprotestowała gwałtownie Wiktoria, chwytając siostrę za rękę. – Ani się waż!!!

– Dlaczego? Przecież to fajne – broniła swojego pomysłu Anka.

– Bo takiego, co kupował Diora, już miałam. Dziękuję, wystarczy.

– To jak mam napisać? – Mela zgromiła wzrokiem Anię, która chciała coś powiedzieć, ale pod ciężarem jej spojrzenia szybko sobie odpuściła. – Czego szukasz?

– Igły w stogu siana. – Wika wybuchła nerwowym chichotem. – Pisz, że igły w stogu siana! I co dalej? Miejmy to wreszcie za sobą!

– Ulubiona forma wypoczynku?

– Leżak albo kanapa: zależnie od pory roku. Czy to się wreszcie skończy?! – Powoli traciła cierpliwość.

– A czego nie lubisz? – Amelia przeszła do kolejnego pytania.

– Was! I zimnej wody w Bałtyku.

– Nas pomiń – podpowiedziała Anka. – O Bałtyku możesz napisać.

– Zi... mniej... wo... dy... w Bał... ty... ku... – sylabizowała Mela, stukając w klawisze.

– Enter! Dobra, to już mamy. Teraz dalej. – Przysunęła twarz do ekranu. – Na czym najbardziej ci zależy?

– Żeby był pokój na świecie i żeby ludzie zaczęli segregować śmieci. – Wiktoria usłyszała tupot na schodach, więc odwróciła się i zakrzyknęła do zbiegającej na dół Emilki.

– Ratuj!!!

– A co się dzieje? Czyżby moja matka występowała z jagodowym recitalem? Nakręciłyście ją i wrzucacie na YouTube'a? To spikselujcie jej przynajmniej twarz, bo szkołę będę musiała zmienić!

– Gorzej! – Wika zamachała ręką, żeby przywołać siostrzenicę. – Zakładają mi konto na portalu randkowym i dręczą kretyńskimi pytaniami.

– To chyba żart. Dajesz się?! – Emilka przysiadła na oparciu fotela Wiki i ze zgrozą popatrzyła w ekran komputera. – „Na czym ci najbardziej zależy?” – przeczytała pulsujące czerwonymi literami pytanie. – Ja bym powiedziała, że na prawidłowym metabolizmie i żeby żadne dziecko w Afryce nie było głodne. Kretynizm skończony!

– Głodna? – spytała Amelia mało życzliwie. – Tu są tylko orzeszki. Nie pożywisz się nimi, córuś.

– Córuś zrozumiała. Spadam zatem. I uważaj. – Wycelowała wskazujący palec w Wiktorię. – Nie daj się. Bo jak patrzę na to, co one robią, to czuję czystą degustację!

– Zdegustowanie, a nie degustację! Zrób sobie kanapkę albo podgrzej kotlety i je sobie degustuj!!! – krzyknęła matka za oddalającą się Emilką. – No to na czym ci najbardziej zależy?

– Na świętym spokoju. Idę zapalić, a wy piszcie sobie, co chcecie.

Poszła do ogrodu i położyła się na drewnianej huśtawce. Obserwowała bezchmurne niebo, skupiając się na skromnym punkciku, który nieśmiało migał tuż obok środkowej gwiazdy z dyszla Wielkiego Wozu. „Wędrujemy cygańskim obozem, nocujemy w gwieździstej grozie, dzisiaj pod Wielkim Wozem, jutro na Wielkim Wozie...” – wyrecytowała niemal bezgłośnie, a potem uśmiechnęła się do swoich myśli. „Nie potrzebuję Wielkiego Wozu! Wolę być bezimiennym cieniem dyszla. Niech nikt o mnie nie wie”. Wystawiła nogę, odbiła się od ziemi i wprawiła huśtawkę w równomierne kołysanie. Nie miała pojęcia, jak długo unosiła się raz w prawo, raz w lewo.

– Przyjęli przelew! – Głos Anki wyrwał ją z błogiego odrętwienia. – A myślałyśmy, że w niedzielę nie przejdzie. Chodź tu! Zimno jak cholera, a ty się opalasz przy księżycu. Szybko, szybko! Zaraz otworzy się przed tobą cała stajnia ogierów!

Wiktoria wstała z huśtawki i powlekła się do domu, rzucając ostatnie spojrzenie na skromną gwiazdkę ukrytą w blasku dyszla Wielkiego Wozu.

– Dawaj, dawaj! I przestań tyle palić. Siadaj tu! – Mela klepnęła dłonią w fotel. – Przed chwilą napisali, że kończą weryfikację danych i zaraz będziesz mogła w końcu obejrzeć wszystkie, jak to Ania mówi, ogiery!

Wpatrywały się zgodnie w ekran, który nagle rozbłysnął kolorami i otworzył im drzwi do „stajni”.

– Hmm... To chyba nie są ogiery, tylko szkapy uratowane przez ekologów z transportu do rzeźni.

– No chyba tak. Ale nie zniechęcajmy się tak szybko... O! Ten jest miłutki. Ładny uśmiech ma, nie? – Anka zastukała paznokciem w ekran laptopa. – Mnie się podoba. A wam?

– Stary jakiś taki... – Skrzywiła się Mela. – Zobaczmy, co o sobie napisał. – Poprawiła kąt nachylenia monitora i przeczytała podpis pod zdjęciem: – Kasjusz ze Szczecina... Kasjusz? – powtórzyła z, jak by to powiedziała Emilka, degustacją. – To chyba ksywka? Kto ponad pięćdziesiąt lat temu dałby chłopakowi na imię Kasjusz? Sam musiał sobie wymyślić. Ale czemu akurat Kasjusz?

– Może z góry uprzedza, że lubi zdradzać?

– Skąd ci się to wzięło? – Spojrzały zaskoczone na Wiktoria.

– No bo Kasjusz, jeśli dobrze pamiętam, to chyba był najlepszy kumpel Brutusa, który pomógł mu załatwić Cezara. To ja takiego zdrajcy nie chcę!

– Dobra! Kasjuszowi dziękujemy – zgodziła się Amelia. – Tym bardziej że naprawdę za stary jest. Może i młodszy od Rzymu, ale Forum Romanum to już trochę przypomina. Jedziemy dalej... A ten? – Odwróciła komputer w stronę siostry. – Cieszy oko.

– Jurand? – Zachichotała Anka. – Czyli, idąc tokiem rozumowania Wiki, wdowiec z córką? Bo Jurandowi żona umarła ze strachu, jak ich Krzyżacy napadli, nie?

– Wdowiec, ale bez córki – poprawiła ją Wiktoria. – Danusia też mu umarła. Czyli to facet z traumą musi być. Nie chcę!

– Ale przynajmniej będzie mu wszystko jedno, jak wyglądasz, bo oczy ma wyłupione. I gadać nie będzie, bo... – Atak śmiechu nie dał Ance dokończyć zdania.

– Uspokójcie się! – Mela ponownie ustawiła komputer przed sobą i zaczęła przeglądać kolejne strony.

– To nas nie prowokuj. Odrzuć, proszę, wszystkich z wąsami, brodami i historyczno-literackimi ksywkami – zasugerowała Wika.

– Wąsy i brodę można zgolić. A on w końcu jakieś prawdziwe imię ma, więc nie musiałabyś się chyba zwracać do niego per „drogi Jurandzie”.

– A wiadomo? Jak się tak nazwał, to pewnie fantazjuje na ten temat...

– Dobrze mówisz! – Anka nijak nie mogła wyjść z głupawki. – Kazałby ci się do łóżka w płaszcz krzyżacki ubierać...

– No! A w sypialni mielibyśmy fototapetę z zamkiem w Malborku...

– Jejku! Jakie wy jesteście durne! – Amelia całym sercem zaangażowała się w sprawę i nie bardzo podobało jej się beztróskie chichotanie siostry i jej przyjaciółki. – A ten? Adam. Bez wąsów i brody. Czterdzieści dwa lata.

– Nooo... – Anka pokiwała głową z aprobatą. – Sama bym się z nim umówiła. Czytaj, co ma napisane na profilu.

– Adam. Czterdzieści dwa. Bankowiec. Ulubiony kolor: zielony. Znak zodiaku: Lew.

Oczy: piwne. Włosy...

- Przejdź do konkretów! Co nas obchodzi znak zodiaku albo ulubiony kolor?
- To ulubiony kolor też się podaje? I co mi wpisałyście? Mam nadzieję, że czerń młotkową. – Wiktorii dużo bardziej odpowiadało podejście Anki. – Wpisałyście czerń młotkową?
- Różowy wpisałyśmy. Żeby było śmiesznie.
- To musicie uściślić, że różowy oczojebny. Będzie jeszcze śmieszniej. A z czernią młotkową to już w ogóle ubaw po pachy...
- Mogę czytać dalej? – sapnęła Mela i przez chwilę ostentacyjnie milczała.
- Czytaj, czytaj. Nie strosz się.
- „Jestem poważnym człowiekiem, który nie szuka tu żadnych przygód. Cenię sobie dobry film, literaturę, muzykę. Moim marzeniem jest upadek komercji i zwalczenie sztucznego napędzania rynku”.
- Faceci potrafią mieć naprawdę niebanalne marzenia, prawda? – Anka po raz kolejny zaczęła chichotać. – I on jest niby bankowcem?! Przecież jak mu się marzenie spełni, to na bruku wyląduje!
- Faktycznie. Pracownik banku, który śni o upadku komercji, musi być skończonym frustratem. Nie chcę!
- Może masz rację? – Amelia zbliżyła twarz do ekranu i zastukała w klawisze, mamrocząc pod nosem: – Ten związek i tak byłby z góry skazany na porażkę. Gdyby Adam zobaczył cię, jak napędzasz rynek, kiedy wchodzisz do sklepu z ciuchami, to zwątpiłby w to, że jego marzenia się kiedykolwiek spełnią.
- Co się mnie czepiasz? Żadna kobieta nie pomoże mu spełnić takiego marzenia!
- Chyba że Adam zaloguje się na portal dla Hare Kryszna. Wtedy jakieś szanse ma. Zasugerujemy mu to? – zaproponowała Anka, podnosząc się z krzesła. – Macie jakieś wino? Bo czuję, że na trzeźwo tego nie udźwignę. Jak nie zbłąkany Krzyżak, to dusigrosz, który ukrywa skąpstwo pod utopijnymi hasłami. Strach pomyśleć, co będzie dalej!
- Błagam! Nie wymawiaj przy mnie słowa „wino” – jęknęła Mela. – Idź, przynieś sobie z kuchni, ale pij tak, żebym tego nie widziała i żebym nie słyszała, jak przełykasz.
- Dlaczego?
- Moja siostrzyczka, jak zaczęła tankować na imieninach tatusia, to wpadła w ciąg i łoila do rana – wyjaśniła Wiktorii. – Myślałam, że ją dzisiaj będę reanimowała, ale nabuzowała się malinami i reorganizuje życie, zamiast się z nim żegnać. Nie tylko własne, jak widzisz. Najpierw sobie robotę znalazła, teraz próbuje znaleźć mi chłopca. „Zmiany, zmiany, zmiany!”, jak mawiał Bareja.
- Byłam pewna, że to ty łoilaś z tatusiem.
- No i tak się rodzą plotki. – Wika rozłożyła bezradnie ręce. – Jest w tej plotce trochę prawdy: piłam z tatusiem. Ale w porę wyhamowałam. Idź po wino. Ja dzisiaj też za wiele nie zwojuję, ale lampeczkę dla towarzystwa wypiję.
- A ten? Wiktor. Jak ładnie: Wiktorii i Wiktor... – Amelia nie mogła nawet słuchać o piciu, więc wróciła do „ogierów”. – Czterdzieści cztery lata. Fajny. Taki trochę wiking.
- Anka była już w drodze do kuchni, ale szybko się cofnęła i zaglądając Meli przez ramię, zaczęła czytać:
 - „Szukam kobiety bez nałogów, inteligentnej, uroczej, o szczupłej budowie ciała, ozdoby domu, kochającej życie, dostrzegającej jego piękno i moje też, pełnej optymizmu, ufności, radości, ciepła...” – Głos coraz bardziej jej się łamał. – „Wyrozumiałej, bezkonfliktowej, delikatnej, zawsze uśmiechniętej i zycziwej...”

– Ma chłop przegwizdane! – Cmoknęła Wika. – Szanse na to, że zalogowała się tu Matka Boska, są dość znikome. Nie chcę go!

– Faktycznie, trochę faceta poniesło... – Mela wczytywała się w opis. – Ale w sumie, jak się dokładniej przyjrzeć, to wymagań nie ma zbyt wielkich. Ani słowa o tym, z ilu dań powinien składać się obiad i czy trzeba go podawać w garsonce.

– Idę po wino. Same widzicie, że inaczej się nie da!

– Od początku mówiłam, że to głupi pomysł. Aleście się uparli.

– Nie upadaj tak szybko na duchu – powiedziała Amelia krzepiąco, a po kilku minutach ponownie podsunęła siostrze komputer pod nos. – Darek. Trzydzieści osiem. Twój rówieśnik.

– Przepraszam bardzo! Ja mam trzydzieści sześć!

– Yhy. W Internecie i w marzeniach. Zobacz, jaki sympatyczny. Ładne oczy ma. Jak migdały. Zawód: dyrektor.

– Dyrektor? A nie mówiłam, że Bareja wiecznie żywy? „Mój mąż jest z zawodu dyrektorem”. Co to było? *Poszukiwany, poszukiwana?*

– Przestań się czepiać i szukać dziury w całym. Wczytaj się w opis, a nie tak po jednym słowie oceniasz.

– No dobrze. – Wika starała się wykrzesać z siebie choć troszkę entuzjazmu. – Przyczepię się, jak przeczytam wszystko.

– Kto teraz? – Anka wróciła z kuchni, niosąc dwie lampki wina. – Kogo tak studiujesz? – podała kieliszek Wiktorii.

– Darka dyrektora. Napisał, że szuka kobiety, z którą mógłby porozumiewać się bez słów.

– Jasne! I uprawiać seks bez penisa? Ciekawe: głupi czy głuchoniemy? Z kobietą porozumiewać się bez słów?! To dopiero marzyciel. Lepszy od bankiera.

– Zastanawiam się, który z nich pierwszy trafi na babę ze swoich fantazji? Bo nie wiem, czy trudniej znaleźć milczącą, czy może taką, co nie napędza rynku?

– Masz rację – przytaknęła Anka. – Szybciej znajdą pięciokilogramowy samorodek. Zamiast obciążać serwer, powinni kupić sobie po sitku i iść nad Odrę płukać piasek.

– Na dodatek Darek zapewnia, że jego życie wewnętrzne mnie oszołomi...

– Podejrzewasz tasiemca?

– Chyba tak, bo zaraz potem jest: „Mam w sobie to coś”.

– Mela! Kogo ty jej znajdujesz?! Specjalnie ich wybierasz?

– Proszę bardzo! Sama szukaj, jak jesteś taka mądra! – Amelia przesunęła komputer w stronę Anki. – Zobaczymy, kogo znajdziesz.

– No na pewno nie Krzyżaka z tasiemcem, który marzy o zagładzie własnej branży i fantazjuje o małomówniej Matce Boskiej! Dajcie mi chwilę. Niech ogarnę, jak to działa. Nie przeszkadzajcie teraz...

Wiktorii chętnie przystała na propozycję przyjaciółki, bo dużo bardziej interesowały ją plany zawodowe Meli niż ci wszyscy Darkowie i Adamowie.

– To o której masz jutro spotkanie? – zagadnęła. – I czy na pewno wiesz, co robisz, nie pytając Sławka o zdanie? Zauważyłaś, że Mirek też zaczął od „Co na to ojciec?”.

– Mirek zaczął od tego, że sobie nie poradzę i że porywam się z motyką na słońce.

– Amelia skubała lamówkę fotela. – Dopiero potem zapytał o Sławka... Nie wiem, co robię, i nie wiem, czy dobrze robię. Ale wiem, że dłużej tak nie wytrzymam.

– Bardzo dobrze robisz! – odezwała się Anka, nie odrywając oczu od rozłożonego na kolanach laptopa. – I wierz mi, że niepotrzebnie się martwisz, bo nadajesz się jak mało kto.

Nie dość że całe życie napierdziałaś się z remontami i innymi takimi, to byłaś na zmianę szczęśliwą mężatką i samotną matką. Dlatego zrozumiesz każdego klienta i każdego właściciela nieruchomości. Wypełniania dokumentów i podpisywania umów nauczy się każdy, ale do rozmawiania z ludźmi trzeba mieć predyspozycje, i ty je masz... Poza tym niech mężuś nie marudzi! Jak zjedzie do domu, to zluzujesz trochę w robocie i dopieścisz go odpowiednio. To też jest plus, że nie masz parcia na zarabianie kasy i z głodu nie umierasz. Po pierwsze, dzięki temu pozostali agenci będą cię lubili, bo nie będziesz im wyszarpywać klientów, a po drugie, nie dostaniesz palpacji, kiedy sprzedający albo kupujący wycofa się z transakcji na godzinę przed wizytą u notariusza. Przekonasz się, że kretynów nie brakuje... – Przerwała nagle i stuknęła w ekran komputera, krzyżąc ze zgrozą: – Matko kochana! Tak à propos kretynów, to już chyba dwudziesty raz trafiłam na takiego, który jest z zawodu dyrektorem albo kierownikiem. Plaga jakaś czy co?

– Może jednak jest taki zawód?

– Nie wiem. Ale Mariusz, czterdzieści jeden, pobił na głowę wszystkich. Napisał, że jest dyrektorem zarządzającym. Dacie wiarę?

– Bardzo odpowiedzialne stanowisko. Jakbym miała być dyrektorem, to zdecydowanie wolałabym być niezarządzającym. Taki niezarządzający ma spokojniejszą robotę i na pewno jest mniej znerwicowany. Jestem przekonana, że Mariusz, czterdzieści jeden, dyrektor zarządzający, krzyczy przez sen i szybko zejdzie na zawal. – Zaśmiała się Wiktoria. – Nie chcę go! Szukaj dalej!

– Też liczę na to, że sobie poradzę. Chociaż stracha mam. – Amelia potrząsnęła głową, opędzając się od złych myśli. – A Sławek...? Nie chcę mu na razie nic mówić, bo mimo waszych zapewnień i mojego pozytywnego nastawienia z tyłu głowy mam strach, że jednak nie podołam. Nigdy nie pracowałam i to dla mnie kompletnie nieznaną sferą. Wiem, że gdybym mu teraz powiedziała, to usłyszałabym tylko: „Na co ci to?” albo: „A czego ci brakuje?”, albo: „Co ty chcesz teraz udowodnić i komu?”. – Przedrzeźniała męża, robiąc mądre miny i rozwlekając sylaby. – Wytrzymam tysiące takich tekstów, ale jest jeden, którego w jasną cholere nie zniosę: „A nie mówiłem?!”. – Jeszcze mocniej wykrzywiła twarz, a głos obniżyła prawie do barytonu. – Kiedy słyszę „A nie mówiłem?”, mam ochotę go zabić! Rozumiesz teraz, czemu na razie nie chcę z nim o tym rozmawiać? – Amelia spojrzała na siostrę z rozpaczą. – Nie chcę, żeby to powiedział, jak mi się nie uda! – Po kilku głębokich wdechach wróciła do normalnego głosu i łagodnego tonu. – Natomiast jeśli jakimś cudem jednak mi się uda, to mam nadzieję, że zrozumie, doceni...

– A jeśli nie? – Wiktoria obawiała się, że Sławek ani nie zrozumie, ani nie doceni.

– To będziemy dla siebie, kochana siostrzyczko, konkurencją na tym portalu. Napiszę, że szukam faceta, który jest czuły, empatyczny, uroczy, dostrzegający piękno życia oraz moje piękno, pełen ufności, wyrozumiały, bezkonfliktowy, delikatny, zawsze uśmiechnięty i życzliwy. I znajdę w godzinę, bo nie będę jak ty powtarzać bez przerwy: „Nie chcę!”. – Wzruszyła ramionami Mela. – A przede wszystkim będzie mi obojętne, czy ma ksywę Jurand albo czy jest dyrektorem zarządzającym. Zadowolę się tym, że będzie czuły, wyrozumiały, delikatny, zawsze uśmiechnięty, uroczy, troskliwy, spokojny...

– Nie szarżuj tak z tą deklaracją, że w godzinę znajdziesz! – Anka miała podzielną uwagę. – Krzysztof, trzydzieści dziewięć, napisał, że nie ma specjalnych wymagań i w zupełności wystarcza mu, jeśli kobieta jest bardzo młoda, dość ładna, zadowolająco zgrabna i względnie inteligentna. Nie uważasz, że brakuje ci jednego z tych warunków, Melu?

– Błagam! Powiedz, że masz na myśli moją inteligencję!

– Niestety... – Usta Anki wygięły się w ironicznym grymasie. – Inteligentna masz być tylko względnie. Natomiast młoda powinnaś być bardzo. Mam wyjaśniać dalej?

– Ani się waż!

– No dobra. Odmówię sobie tej przyjemności. Ale za to nie odmówię sobie zapoznania was z Jankiem, trzydzieści siedem. Przyznajcie, że wygląd ma miły, a sylwetkę imponującą.

– Żeby dać świadectwo prawdzie, powiększyła na monitorze zdjęcie niezwykle atrakcyjnego mężczyzny. – Nawet ładna tapeta by była, nie? – Wizerunek smagłego bruneta zajmował cały ekran laptopa.

– Ooo! – Zdziwiły się miło. – No bardzo ładna tapeta, bardzo... Czuję, że mogłabym się do niego przyzwyczaić. Jakim cudem jest niezagospodarowany?

– Teraz wam przeczytam, co o sobie napisał, i zapewniam, że słowa Janka zrobią na was jeszcze większe wrażenie niż jego zdjęcie. – Anka ponownie położyła sobie komputer na kolanach. – „Zaznaczam, że jestem oszczędny w pochwałach, a wiem, że kobiety to lubią. Uprzedzam zatem, aby nie liczyły na mnie w tej kwestii. Poza tym nienawidzę namolnego babskiego wymuszania i głupich gier słownych”.

– To niech gejem zostanie! – palnęła Wika i natychmiast złapała się za usta.

– Przepraszam... To znaczy, nie przepraszam... – plątała się, pąsowiejąc po uszy.

Nie wtajemniczały Anki w coś, co wciąż pozostawało tylko hipotezą, więc zarówno ze swoim „przepraszam”, jak i z „nie przepraszam”, wyskoczyła jak filip z konopi. Spojrzała w popłochu na siostrę, ale Mela zanosila się szczerym śmiechem, natomiast Anka w ogóle nie zwracała na nie uwagi, pochłonięta czytaniem tego, co Janek miał do powiedzenia damskiej części populacji.

– „Najlepiej czuję się wśród ludzi dzielących moje poglądy i uczucia. W wolnym czasie nurkuję, jeżdżę na rowerze i na nartach. Pasjonuje mnie modelarstwo redukcyjne figurek w skali jeden do szesnastu, historia powszechna i rozmowa na odpowiednim poziomie. Codziennie drzemię, nigdy dłużej niż trzydzieści minut i nie wolno mi w tym przeszkadzać”.

– Od dłuższego czasu z trudem utrzymywała powagę i kiedy dobrnęła do ostatniego zdania, parsknęła. – Kolejny kandydat do płukania piasku z Odry!

– Ten tekst brzmi jak fragment z poradnika dla świeżo upieczonego właściciela psa.

– Amelia kręciła głową w zdumieniu. – Daj szczeniakowi pospać, wyprowadź na dwór, nakarm, nie podnoś głosu, wysyłaj krótkie i jasne komunikaty, zapewnij odpowiednie zabawki: piłeczkę albo gumowego kurczaka w skali jeden do szesnastu... Ja pierdzielę!

– Nie chcę go! – Wiktoria wzorem przyjaciółki płakała ze śmiechu. – Nie chcę! Nie, nie, nie!

– To może pasowałby ci Irek, czterdzieści siedem? Irek jest wedle tego, co pisze, obowiązkowy, rozsądny, powściągliwy, dokładny, odpowiedzialny i punktualny. A znajomi mówią, że oprócz tego jest też zabawny, szalony i rozrywkowy.

– Zabawnie obowiązkowy i rozrywkowo odpowiedzialny? – Wika zamachała rękoma.

– Nie chcę go!

– Tylko szalony i rozrywkowy facet wstawia wierszyki. Słuchajcie: „Choć nie jestem milionerem, choć nie jeżdżę land roverem, chociaż rzadko pijam whisky, nie wyglądam jak Olbrychski, chociaż nie używam Ace ani ubrań od Versace, w piłkę nie gram jak Gadocha... To mam serce, które kocha!”.

– A kogo Irek szuka?

– Kobiety wiernej, uczciwej, wrażliwej, atrakcyjnej, chętnie z bardzo dobrą znajomością języka angielskiego.

– Z czym?!

– Z bardzo dobrą znajomością języka angielskiego – powtórzyła uprzejmie Anka. – Ale nie wyjaśnia, do czego mu ten angielski potrzebny. Może jak już baba zrobi obiad i ogarnie chałupę, to wrzuci jej jakieś teksty do tłumaczenia, żeby się nie nudziła? Pojęcia nie mam. Mogę zapytać, chcecie? – Najechała kursorem na rysunek koperty pod zdjęciem Irka. – Bo sama jestem zaintrygowana.

– Zostaw! Pewnie odpisałby po angielsku, żeby sprawdzić, czy się kwalifikujesz do dalszej korespondencji. – Powstrzymała ją Wiktoria. – Ciekawe, kto i czym nas jeszcze zaskoczy...

– Już mam swojego kandydata na zwycięzcę w kategorii „szok portalu”. Trafiłam na taką perełkę, że mnie zatkało, tylko nie chciałam wam przerywać, bo gadałyście akurat o pracy i Sławku. Gdzie on był...

– No nie mów, że lepszy od Janka drzemiącego między ludźmi dzielącymi jego poglądy oraz figurkami w skali jeden do szesnastu?!

– Dużo lepszy! – Anka przerzucała kolejne strony. – Mam! Posłuchajcie, co pisze Remek, trzydzieści dziewięć: „Moja kobieta powinna mieć trzy rzeczy białe: skórę, zęby i ręce. Powinna mieć trzy rzeczy czarne: oczy, brwi i rzęsy. Powinna mieć trzy rzeczy czerwone: wargi, policzki i paznokcie. Powinna mieć trzy rzeczy długie: ciało, włosy i ręce. Powinna mieć trzy rzeczy krótkie: zęby, uszy i stopy. Powinna mieć trzy rzeczy wąskie: usta, talię i kostkę. Powinna mieć trzy rzeczy delikatne: palce, włosy i wargi. Powinna mieć trzy rzeczy małe: głowę, podbródek i nos”.

W salonie na dłużej zapadła cisza.

– Pokaż mi zdjęcie. – Amelia wychyliła się z fotela. – No wiecie co... Żeby tak wyglądać i mieć takie wymagania?! On chyba ma coś jedno małe, szare i gładkie: mózg! – Opadła z powrotem na oparcie. – Wika, przyniesiesz papierosy?

– Ale mówiłaś, że w tym pokoju się nie pali...

– Proszę! Bądź czuła, wrażliwa, empatyczna, bezkonfliktowa i wyrozumiała – jęknęła, składając ręce. – Przynieś mi długiego białego papierosa, którego będę trzymać w delikatnych palcach, by od czasu do czasu wsadzić go sobie w wąskie czerwone usta. Możesz to dla mnie zrobić?

– Oczywiście! – Wiktoria prychnęła śmiechem i poszła do kuchni. Kiedy wróciła, zastała siostrę perorującą ze złością:

– Czy oni wszyscy zdurnieli z tymi wymaganiami?! Pewnie najbardziej pasowałaby im taka, która jest Kopciuszkiem w dzień, a po północy zamienia się w dziwkę. Na dodatek z określonym kolorem włosów i oczu, z wąskimi stopami, krótkimi zębami oraz wymiarami: dziewięćdziesiąt–sześćdziesiąt–dziewięćdziesiąt. Do tego gospodarna, czytana, dbająca o czystość, gotująca, piorąca i sprzątająca. Wszystko to robiąca w milczeniu i ostro się uwijająca, żeby znaleźć czas na rozliczne pasje i zainteresowania, bo który by z kurą domową, taką, co to nie zna biegle angielskiego, chciał być?! Co za debile!!!

– Czego się wściekasz? Zamiast tego pomyśl i docień swojego męża. Ty też! – Wika spojrzała na Ankę, wciąż zajęta przeglądaniem ofert. – Słyszysz, co mówię? Doceniasz Kamila?

– Chłopa trzeba utrzymywać w stanie ciągłej niepewności i wciąż się o coś czepiać. Wtedy chodzi jak szwajcarski zegarek – powiedziała, odrywając się na krótką chwilę od komputera. – Ja swojego Kamila aż za bardzo kocham i za bardzo doceniam, ale oni mają jakiś taki dziwny instynkt, że lubią podskakiwać do poprzeczki i krzyczeć: „Co? Ja nie przeskoczę?! Ja?!”. I dlatego trzeba im tę poprzeczkę wciąż podnosić, bo takie podskakiwanie nadaje sens ich życiu. Nie kapcanieją wtedy i nie marudzą. Za cholerę tego nie pojmuję, ale

wiem, że tak jest. Nie biorę zatem Kamila na rozum, tylko dostosowuję prymitywne narzędzia do materiału i jakoś to działa. Ale doceniam go jak najbardziej. Szczególnie teraz. Na tle tych wszystkich... – Pochyliła się w stronę ekranu. – Na tle takiego, dajmy na to, Bogdana, który pisze: „Jestem, jaki jestem, i musisz się z tym pogodzić. I musisz mnie poznać, byś była pewna, co posiadałaś. A gdy poznasz, sama docenisz”. – Anka dopiła wino i odstawiła kieliszek na stół. – Sądząc z opisu, to chyba jakiś celebryta: „Musisz mnie poznać, byś była pewna, co posiadałaś”. Rozkoszny, prawda? Albo taki Grzegorz, stary pierdziel: „Czytam, czytam, czytam... I robię coś jeszcze, ale to już po zaakceptowaniu twojej kandydatury”.

– Kandydatury? – Mela złapała się za głowę. – Nie napisał, gdzie trzeba wysłać CV i jakie dokumenty załączyć?

– Podejrzewam, że kilka zdjęć: w stroju służbowym, wieczorowym i w bikini – zgadywała Wiktoria. – Poza tym aktualne wyniki testów na kiłę i HIV. I może jakieś referencje od byłych facetów? Nie chcę go! To znaczy... Nie zgłaszam swojej kandydatury!

– Wiecie co? Faktycznie jeszcze bardziej swojego Kamilka doceniam, bo gdyby powiedział mi: „Jestem, jaki jestem, i musisz się z tym pogodzić”, toby w trzy minuty z walizką na wycieracze wylądował! Ja bym mu dała rozpatrywanie kandydatury! – Po minie Anki trudno się było domyślić, czy bardziej jest załamana, czy wściekła. – Widzicie? Dlatego trzeba im wciąż poprzeczkę podnosić, bo inaczej tracą kontakt z rzeczywistością i wydaje im się, że są Bóg wie kim. I pierzają takie głupoty jak ci tutaj! – Huknęła z całej siły w klawisz, zamykając profil Grzegorza. – Spadaj, bezczelny stary rupieciu! Zrób coś z tymi wstrętnymi zębami i dopiero potem wyszczerzaj się do zdjęcia! A jak załatwisz sobie jeszcze operację nosa, to kto wie? Może rozpatrzemy ponownie twoją kandydaturę!

– Ja nie umiem tak jak ty... Ja umiem tylko faceta podziwiać i się nim zachwycać. Nie zależy mi na wojnach i wyzwaniach. Na podnoszeniu poprzeczki też nie. – Mela wyraźnie nie była dumna z tego, co mówi.

– Nie wiem, czy cię to pocieszy, ale ze mną jest podobnie. Widocznie rodzice nas skrzywdzili swoimi genami – bąknęła Wika. – Tylko jeśli nie lubisz wojen, to zastanów się może jeszcze raz nad pracą, którą zamierzasz wykonywać w konspiracji.

– Kto by pomyślał, że zawsze chciałam być waszą siostrą! Teraz jestem szczęśliwa, że jednak nie mamy wspólnych genów. – Anka machnęła ręką. – Chodźcie, szukamy faceta zdrowego na umyśle. Skupiłyśmy się na wymagających dyrektorach, a normalni też tu muszą gdzieś być...

Raz jeszcze pochyliły się nad stołem.

Szybko zorientowały się w podstawowym podziale. Oprócz wymagających dyrektorów była duża grupa panów, którzy szukali kobiet chyba tylko po to, by dać upust swojemu rozbuchanemu libido.

„Najlepiej czuję się na plaży. Z dziewczyną. Gdy promienie słońca docierają w jej najintymniejsze miejsca, pobudzając zmysły” – pisał Ryszard, pięćdziesiąt dwa.

– Jak kładę się na plaży, to słońce nie ma szans dotrzeć w moje najintymniejsze miejsca. Piasek zawsze jest pierwszy. – Skrzywiła się Anka. – Ryszard ewidentnie nie wie, co mówi!

– Też tak mam – potwierdziła Mela. – Ale ten opis pobudza inny kawałek mojej wyobraźni. Bo jak kobieta musiałaby się ułożyć, żeby promienie słońca docierały w najintymniejsze miejsca?! W samo południe, na przykład...

„Cały swój wolny czas najchętniej spędziłbym na tobie. Odezwij się, jeśli masz na to ochotę!!!” – apelował Czarek, trzydzieści sześć.

– No, to naprawdę trzeba mieć tupet, żeby takie rzeczy wypisywać przy jego wadze – obruszyła się Wiktoria, patrząc na zdjęcie trzydrzwiowej szafy w czerwonym podkoszulku i bejsbolówce. – Przecież bym się udusiła, gdyby się na mnie uwalili!

Alex, trzydzieści siedem, zwierzał się z marzeń o sypialni pełnej zabawek dla dorosłych, natomiast Zbigniew, czterdzieści cztery, z rozbrajającą szczerością informował, że choć niezmiernie cieszy go, iż słońce codziennie tak pięknie wschodzi, to każdego ranka boleśnie odczuwa, że nie tylko słońce ładnie wstało, więc poszukuje partnerki, która tej dolegliwości zaradzi.

– Myślicie, że cierpi na polucje? – Mela dokładnie analizowała zdjęcia i opis Zbigniewa. – Trochę za stary na te sprawy... Ale jeśli, jak twierdzi, mentalnie jest nastolatkiem, to może faktycznie zmagają się z problemami okresu dojrzewania?

Zbigniewa na pewno dobrze zrozumiałaby Adrian, pięćdziesiąt, który w rubryce dotyczącej ulubionych zajęć napisał: „Nie powiem, bo się wstydzę, że sam to wykonuję. Gdybyś miała ochotę mi pomóc, będę wdzięczny”.

Trafiły także na Piotra pasjonującego się penetrowaniem kobiecych raf koralowych, na Jurka marzącego o tym, żeby wylądować z ukochaną na bezludnej wyspie i zaludnić tę wyspę bardziej niż Chiny, oraz na Filipa, który nie lubi tracić czasu w kawiarni albo w kinie, więc prosi, by pisały do niego wyłącznie panie odważne i bezpruderyjne, potrafiące się wznieść ponad staromodne konwenanse.

– Sądząc po zdjęciu, naprawdę trzeba odwagi, żeby być przy nim bezpruderyjną...

Mimo złośliwych komentarzy i żartów Ance i Meli rzedły miny, kiedy trafiały na wcale nierzadkie, dość do siebie podobne oferty typu: „Jestem żonaty i nie mam zamiaru tego zmieniać. Szukam dyskretnej partnerki bez zahamowań. Zdjęcie prześlę na prywatnego maila”.

– Ty! A jak to któryś z naszych chłopów pisał? Cholera ich wie! – Anka poszła do kuchni napęlić kieliszek i niemal biegiem wróciła do salonu. – Zabiłabym gada jak psa!!!

– Przestańcie – uspokajała je za każdym razem Wiktoria. – Mój szwagier ma dość ograniczone możliwości spotykania się z kobietami, bo go tu fizycznie nie ma. A Kamil jest tak zajęchany robotą, że zasnąłby na początku randki. O końcu nie wspomnę.

– A skąd ty wiesz, że on przez robotę taki zmęczony wraca i zasypia?

– Widzę po twoich ciuchach. Kobiety musiałyby mu płacić za seks, żeby na ciebie zarobił. A tego chyba nie podejrzewasz, prawda?

– Zdecydowanie!

Oprócz mężczyzn, którzy jasno precyzowali wymagania w stosunku do przyszłej partnerki – czy to życiowej, czy łóżkowej – odnalazły też grupę facetów sprawiających wrażenie względnie normalnych. Czytając, jakie cechy własnego charakteru najczęściej wymieniają, stworzyły złotą dziesiątkę zalet, którymi odznacza się statystyczny wolny mężczyzna w wieku czterdziestu kilku lat. Ze statystyk wynikało niezbicie, że Polska pełna jest inteligentnych, pracowitych, rozsądnych, romantycznych, szczerych, wiernych, opiekuńczych, opanowanych, godnych zaufania i spontanicznych mężczyzn. Poza tym przytłaczająca większość chlubiła się niezależnością, niezawisłością, samostanowieniem, wolnością oraz autonomią, zaznaczając, że jest to dla nich wartość najważniejsza.

– Mają coś z garem chyba! – Zzłymała się Mela. – Co oni z tą niezależnością? Pilnują jej jak tygrys miejsca, w które nasika! Przecież każdy związek to wzajemna zależność, więc po co się tu w ogóle logują?

– Jak to po co? Jeszcze się nie zorientowałaś? – Wiktoria wzruszyła ramionami. – Żeby znaleźć darmową laskę do bzykania. Taką, która siedzi i nie narusza autonomii, tylko grzecznie czeka, aż suweren zadzwoni, bo ma wolny weekend. Jak się trafi łaskawca, to oprócz bzykania

weźmie cię na spacer albo do kina na swój ulubiony film. Swój! – powtórzyła głośno i dobitnie.
– Nie po to całe życie walczył o niezawisłość, żeby teraz komedie romantyczne z babą oglądać!

– Myślisz? – Zafrasowała się Amelia. – A może się jednak mylisz? Niektórzy całkiem porządnie wyglądają... – Analizowała kolejne zdjęcia i opisy. – I wszyscy z wyższym wykształceniem...

– Zgadza się, z wyższym wykształceniem. Są wybitnie inteligentni i dlatego zamiast napisać: „Szukam baby, którą mogę za darmo przelecieć”, mówią: „Jestem niezależny”. Znaczy to samo, ale dużo lepiej brzmi!

– Jesteś pewna?

– Jestem! Nie zapominaj, że spędziłam parę lat z wyjątkowo niezależnym facetem. Też porządnie wyglądał i miał wyższe wykształcenie.

– Ale...

– Wiem, wiem! – przerwała siostrze. – Wiem, że nie można porównywać patologicznego Pawła z tymi pseudopowstańcami warszawskimi, którzy walczą o wolność, bo nie odróżniają miłości od faszyzmu. – Wskazała brodą komputer. – Ale zrozum, że odrzuca mnie na samą myśl. Brrr! – Wzdrygnęła się teatralnie. – I masz rację, że niepotrzebnie się tu logują. Tak naprawdę wystarczyłaby im lala z sex-shopu: niczego nie wymaga, siedzi cicho i nie zagraża niezależności. Ale jak z taką wyjść na ulicę albo do kina? No i pogadać trudno... A muszą mieć zachwyconą słuchaczkę, przed którą rozwiną pawie ogony i wyłożą niepodważalne i jedynie słuszne racje. Imponowanie innym to ich paliwo, a gumowej lali zaimponować się nie da... Chociaż... Czy ja wiem? – Parsknęła złośliwie. – Usta ma niby wiecznie rozdziawione...

– Nie obraż się – wtrąciła Mela – ale według mnie za ostro wszystko oceniasz.

Na każdego patrzysz jak na Pawła, a w ten spo...

– Być może – przerwała jej Wiktoria. – To chyba nic dziwnego, że po takim upokorzeniu niełatwo jest odzyskać wiarę w ludzi i zdobyć się na obiektywną ocenę, prawda? Dlatego od początku mówiłam, że ten pomysł z portalem randkowym jest nie dla mnie. Potrzebuję sporo czasu, żeby zaufać mężczyźnie i zobaczyć w nim człowieka, a nie tylko znaczące teren zwierzę... Nie chcę ich! – Roześmiała się, żeby zabić rosnącą w gardle kluchę, zapowiadającą płacz. – Nie chcę! Nie chcę!!!

– Czyli niezależnym dziękujemy? – Anka zamknęła profil kolejnego wykształconego, porządnie wyglądającego i suwerennego mężczyzny.

– Zgadza się – potwierdziła Wiktoria. – Niezależnym dziękujemy! Nie mam ochoty czuć się jak lala z sex-shopu, której niezależny palant używa zależnie od czasu i ochoty! Nawet jeśli opakuje to w kina, kolacyjki i spacerki... Faj! Nie chcę ich!!!

– Ja bym się jednak upierała przy swoim. – Amelia z wyraźnym żalem pożegnała zdjęcie sympatycznego blondyna. – Uważam, że przesadzasz...

– Melcia! Bo cię zaraz strzelę, no! – Wiktoria podsunęła siostrze pięść pod nos, wygłupiając się na siłę, ale klucha znowu niebezpiecznie zatykała jej gardło. – Sama przed chwilą powiedziałaś, że każdy związek to wzajemna zależność. I ja się z tobą zgadzam w całej rozciągłości! Też uważam, że to wzajemna zależność, a nie pieprzona umowa o współpracy! Czemu więc chcesz mnie sprzedać jakiemuś dupkowi, który potrafi być w związku i jednocześnie zachować niezależność?! Sama mówiłaś, że to się wyklucza... – Odetchnęła, żeby się uspokoić. – Poza tym nie sądzisz, że to obrzydliwe nazywać nieodpowiedzialność niezależnością?! Ci faceci nie są niezależni, tylko nieodpowiedzialni!!! – Głębokie oddychanie niestety nie pomagało, więc ulżyła sobie kilkoma siarczystymi przekleństwami i znowu nabrała

powietrza, a potem wypuściła je, dmuchając jak parowóz. – Oni po prostu nie chcą ponosić odpowiedzialności za to, co robią: wciągają głupią, naiwną babę w chory związek, ona się zakochuje i chce czegoś więcej, a oni wtedy rozkładają ręczki i szczerze się dziwią: „Ależ uprzedałem, że jestem niezależny i nigdy z tego nie zrezygnuję”. Jak to nazwiesz? Bo dla mnie to jest miganie się od odpowiedzialności za to, co się robi drugiemu człowiekowi. Dlatego uważam, że gdyby ci wszyscy niezależni byli naprawdę szczerzy, to nie zasłaniałiby się farmazonami o niezawisłości, tylko napisaliby wprost: „Szukam laski, która da się bzykać, ale nie będzie mi się wpierdalała w życie”. Bo taka jest właśnie prawda o ich górnolotnej niezależności!!! Robią z niej sztandar i wymachują nim dumnie, chociaż gównem to warte! Tchorze i nieodpowiedzialne bawidamki! Szlag by ich wszystkich... – Wiktoria ponownie sapnęła i uśmiechnęła się do siostry niespodziewanie pogodnie i beztrąsko. – Uff! Ale sobie czakry oczyściłam! Nawet dobrze mi to zrobiło.

– Może masz rację...? To znaczy: nie masz racji, że chcę cię sprzedać jakiemuś dupkowi... Nawet mi to przez myśl nie przeszło... – broniła się Mela, nieco wystraszona gwałtownym wybuchem Wiktorii i siłą jej przemowy. Zrozumiała, że zakładanie jej konta na tym portalu faktycznie nie było chyba najlepszym pomysłem. Siostra ewidentnie nie była jeszcze gotowa na jakiegokolwiek kontakty z mężczyznami i Amelia zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie umiała komuś zaufać. Obawiała się, że Wika już nigdy nie odzyska równowagi i zawsze będzie oceniała świat przez pryzmat swoich smutnych doświadczeń. Miała teraz wyrzuty sumienia, że zamiast dobrej zabawy zafundowała jej rozdrapywanie ran i chciała nawet za to przeprosić, ale Wiktoria, po gwałtownym wyładowaniu, wpadła dla odmiany w stan nienaturalnej wesołości. Być może udawała, a być może naprawdę oczyściła sobie czakry, jak powiedziała... Mela uznała, że nie ma sensu jej denerwować, więc przyłączyła się do radosnego nastroju. – Ja ich nie bronię, tylko wiesz, faceci są inni niż my. Musimy zrozumieć, że są trochę jak ptaki...

– Bardzo dobre porównanie! Oczywiście, że są jak ptaki! – Zaśmiewała się coraz głośniejsz Wiktorią. – Albo trafi mi się biały kruk, czyli „więcej mnie nie zobaczysz”. Albo wróbel, czyli „gniazdko uwijemy kiedy indziej, a na razie pobujam się na gałęzi”. Albo obraźliki i niezdecydowany żuraw, co to do czapli chodził w zaloty. Albo pan sikorka, który zostanie ze mną, bo zrobię mu tyle kaszki, ile waży. Albo pan kukułka, który w dupie ma bachory i z łaski daje alimenty. Albo gawron, co dużo skrzeczy, a mało robi. Albo bocian, który przynosi dziecko i tyle go widziałas. Albo uszczypliwy gąsior z zadartym dziobem. Albo dzięcioł, co stuka na okrągło i ciągle może... Ptasie radio, cholera jasna!!! – kpiła, coraz bardziej chowając się za ironią. Tak naprawdę wcale nie oczyściła sobie czakr. Wystraszyła się po prostu tego, jaka wciąż jest słaba i jak łatwo traci kontrolę nad emocjami, więc wesołością postanowiła udowodnić sobie i Amelii, że podniesie się równie szybko, jak upadła. Nie może być słaba! Jeśli będzie słaba, to znaczy, że Paweł wciąż ma nad nią przewagę. Chociażby na złość jemu powinna się śmiać i dobrze bawić! – Weź mnie już, siostra, nie denerwuj swoją naiwnością, dobrze?! Poszukaj lepiej jakiegoś sensownego faceta, bo godziny lecą, a mojego ogiera, jak nie było, tak nie ma. A przecież nie mam wielkich oczekiwań. Wystarczy, że facet będzie bardzo bogaty, nad wyraz przystojny, wystarczająco inteligentny... Co tam jeszcze...? Aha! Żeby miał poczucie humoru, znał biegle angielski i nie drzemał po obiedzie. No i, oczywiście, żeby nie był niezależny! Wiem, że to dość banalne wymagania, ale człowiek swoje lata ma, to już mu wybrzydzać nie wypada...

– Przystaniesz wreszcie gadać? – Anka wróciła z kuchni, niosąc kolejny kieliszek wina. – Zgadza się, że związek to wzajemna zależność. Ja na przykład jestem uzależniona od mojego Kamisia jak od heroiny... i ani myślę iść na odwyk! Natomiast jeśli chodzi o tych wszystkich

ogierów z portalu, to dużo bardziej mnie w nich denerwuje coś innego niż ten śmieszny atawistyczny pęd do niezależności. Panie pozwolą? – Usiadła przed komputerem, patrząc z rozbawieniem na dwie siostry. – Panie pozwolą, że wypiję teraz zdrowie panów tak chętnie deklarujących romantyzm! Sto lat, moi mili! – Delikatnie stuknęła kieliszkiem o ekran. – Co drugi romantyczny. Myślałby kto! – fuknęła niczym kotka, która niechcący wpadła do wanny pełnej wody. – Karl Friedrich Hieronymus von Münchhausen mógłby im buty czyścić!

– Kto?!

– Karl Friedrich Hieronymus von Münchhausen. Król łgarzy. Dopiero żona okazała się lepsza od niego i na dodatek w trakcie rozwodu doprowadziła go do ruiny.

– Skąd ty to wiesz? – Wiktoria starała się uspokoić. – Skąd znasz tego Karla Friedricha... coś tam, coś tam?

– Od Kamisia. Już chyba z tysiąc razy powiedział, że się ze mną nie rozwiedzie, bo skończyłby jak Karl Friedrich Hieronymus von Münchhausen, więc się w końcu nauczyłam i zapamiętałam nazwisko. – Spojrzała na nie z wyższością. – A wracając do romantycznych... Nareszcie wiem, dlaczego żadnego romantycznego nie można spotkać w realu. Ostatnie egzemplarze zrezygnowały z chodzenia po ulicach i gremialnie zalogowały się na tym portalu. Posłuchajcie: „Jestem bardzo romantyczny i niedawno zacząłem praktykować w Duchu Świętym...”.

– Nie chcę go! – przerwała szybko Wiktoria. – To pewnie jakiś didżej z Chrystoteki. Dawaj następnego.

– „Jestem romantyczny. Lubię wiatr we włosach...” A to dopiero żartowniś! Chyba za bardzo ten wiatr lubi, bo mu niemal wszystkie włosy powyrywał. Prawie łysy jest.

– Łysina mi akurat nie przeszkadza. Ile jeszcze mam tłumaczyć, co mi przeszkadza?! – Wzruszyła ramionami. – Poza tym może specjalnie tak powiedział? Może ma poczucie humoru? A to ważniejsze niż włosy. Co jeszcze napisał?

– „Uważam się za człowieka renesansu: uprawiam ogródek i jestem namiętny”. – Anka parsknęła tak, że opluła się winem. – Wypisz wymaluj Leonardo da Vinci! – Wycierała brodę serwetką i śmiała się bez opamiętania. – Dawajcie następnego, coraz bardziej mi się to podoba!

– Ojej! A co to? – Mela prawie dotykała nosem ekranu i sylabizowała z trudem: – „Mije ulubione zajecie to sizdzenie przd komptefem”.

– No cóż... – Anka zajrzała jej przez ramię. – Jak widać, nie każdy ma odwagę logować się tu po trzeźwemu. I ja to rozumiem. Lecę po wino, bo straciłam wszystko przez człowieka renesansu, co namiętnie uprawia ogródek. Wika, nie opierdzielaj się! Sączysz, jakbyś miała trzy białe i trzy krótkie zęby! Zaraz ci na ambicję wjadę i powiem: „Z ojcem to piłaś, a ze mną nie chcesz?”.

– Odczep się! – Wiktoria machnęła ręką w kierunku przedpokoju. – Idź po to wino i nie wyliczaj ludziom, ile piją.

– No widzisz? Tym się właśnie różnimy od facetów. Każdy by się teraz urznął w sztok, udowadniając, że może i z ojcem, i ze mną. A ty na mnie łapami wywijasz. To jest właśnie ten syndrom poprzeczki. Jak widzą poprzeczkę, to radośnie podrygują, a my każemy się odczepić i ostentacyjnie kładziemy się na materacu. I jeszcze marudzimy, że tyczka za miękka, materac za twardy, poprzeczka za wysoko... Co za odmienność, nie? – Anka podniosła się z krzesła. – Tylko nie oglądajcie beze mnie!

– Nie widziałas, jak wyglądał sam początek – powiedziała przyciszonym głosem Mela, oglądając się na schody, którymi Anka zbiegła do piwnicy. – Pierwsze, co musiałyśmy

zaznaczyć, to płęć. Kolejne pytanie brzmiało: „Szukasz kobiety czy mężczyzny?”. Serce mi do gardła podskoczyło, natychmiast o Mirku pomyślałam – mówiła niemal szeptem. – Teraz jestem już pewna. Słyszałaś, że on wciąż gdzieś z Rafałem wychodzi? Do Warszawy jedzie z Rafałem, na lunchu był z Rafałem... Staram się z tym oswoić, ale co poradzę, że mi się na samą myśl słabo robi?!

– Ja przepraszam, że tak z tym gejem wyskoczyłam przy okazji gościa od figurek w skali jeden do... do nie pamiętam już ilu. Wyrwało mi się.

– Daj spokój! Powiedz lepiej, co myślisz.

– Może jednak nie jest tak, jak sądzimy? – Wiktoria starała się pocieszyć siostrę, chociaż sama nie wierzyła w to, co mówi. – Przeczujemy przecież regularnie cały jego pokój i nigdy nic nie znalazłyśmy.

– A co miałyśmy znaleźć? Gejowskie pornosy albo filmiki z Mirkiem i Rafałem w roli głównej?! Znowu mi słabo... – Amelia wachlowała się dłonią. – Chciałam przejrzeć jego komórkę, ale wciąż nosi ją przy sobie.

– Bez przesady! Nie masz prawa do kon...

– Gównu mnie obchodzi, do czego mam prawo! – przerwała Wiktorii w pół słowa.

– Najpierw muszę mieć pewność, potem pomyślę o prawie. Nie pouczaj mnie! – rozcapierzyła palce i wsunęła je we włosy. – Niestety, nijak się do jego telefonu nie dorwę! Równie dobrze mogłabym liczyć na to, że obejrzę jego wątrobę, bo gdzieś ją zostawi i zapomni zabrać ze sobą do łazienki albo do łóżka. To też dziwne i daje do myślenia, prawda?

– Co daje do myślenia? – Z przedpokoju rozległ się głos Anki. – Ależ ty tam masz zapasy! Mogłybyśmy przez rok z domu nie wychodzić, a i tak nie zabrakłoby nam jedzenia i picia. Co jest nie do pomyślenia?

– No, że ci faceci na portalu są tacy zarozumiali i pewni siebie. W takich pretensjach, jakby lustra w domu nie mieli – odpowiedziała szybko Wika, widząc spanikowane spojrzenie siostry. – Właśnie powiedziałam, że nie chcę żadnego z nich i nawet mi się nie śni oddawać wam pieniądze, które wydałyście na założenie konta. Nie interesuje mnie, która użyczyła w tym celu swojej karty. Niech teraz sama sobie z nimi flirtuje!

– Powiem szczerze, że jak byłam w piwnicy, to też o nich myślałam. – Anka wzięła butelkę między kolana i bezskutecznie usiłowała wbić w nią korkociąg. – Naprawdę jestem zaskoczona tą hucpą. Kiedy tworzyłyśmy z Melą twój profil, nawet przez myśl nam nie przeszło, żeby takie kretynizmy wypisywać, prawda? – Spojrzała na Amelię, a potem zniecierpliwiona machnęła korkociągiem. – Co to za szmelc?!

– Ono ma metalową zakrętkę, a nie korek. Przestań się szarpać i otwórz jak wodę mineralną – poradziła Mela.

– Jabola wybrałam? Takie też masz? Nie pomyślałabym... – Anka rozbroiła wino, nucąc pod nosem: – „Alpagi łyk i dyskusje po świt, niecierpliwy w nas ciskał się duch”.

– Sama jesteś jabol i alpaga! To bardzo dobry alkohol i wcale nie tani.

– Domyślam się, że twój mąż... – W spodniach Anki rozbrzmiały nagle latynoskie rytmy.

– O wilku mowa! – Wyjęła z kieszeni komórkę i uśmiechnęła się szeroko.

– Sławek do ciebie dzwoni? – Mela była szczerze zdumiona.

– Nie. – Zachichotała Anka. – Mąż. Mój, nie twój. – Nacisnęła guzik z zieloną słuchawką i rozparła się w fotelu. – Co tam, kochanie najdroższe?... No jak to gdzie? U Wiki i Meli. Mówiłam ci przecież... Nie, nie boli mnie język od gadania... Skarbenku, skąd ja mam wiedzieć, za ile? Może za godzinę, a może za dwie?... Tak. Pamiętam, że jutro poniedziałek. I pamiętam

o wszystkim, co muszę jutro załatwić w urzędach i że papiery mam jeszcze nie do końca wypełnione... Zgadza się. Oczywiście... Wiem, że sobie nie zdaję sprawy z tego, co to znaczy zakładać własną firmę... Tak, kochanie, masz rację... Oczywiście, masz rację... Wiem i dlatego właśnie wybrałam sobie na męża najbardziej zaradnego i najmądrzejszego mężczyznę w tym kraju... Kamisiu! Przestań mnie straszyć, bo ewentualny komornik i policja skarbową nie przyjdą tylko do mnie. Do ciebie też. Nie mamy rozdzielności majątkowej... – Anka pokręciła głową i przewróciła oczyma, ale jej głos wciąż był słodki i przymilny. – To wypełnij może za mnie te papiery, kociątko. Dla ciebie to tyle co nic, a ja sobie głowę będę nad nimi łamać do rana... Oczywiście, kochanie, masz rację. Jak zawsze zresztą... Ależ nauczę się, nauczę i sama sobie w końcu poradzę... Kamisiu! Teraz nie mogę, bo cały czas siedzę z Amelią i tłumaczę jej od kilku godzin, o co w tych nieruchomościach chodzi. Nie masz pojęcia, jaka ona jest przerażona i jak się zupełnie nie orientuje w biznesie... – Gestem poprosiła Melę o wybaczenie. – Nie mogę jej teraz zostawić z tym wszystkim, bo się wystraszy i ucieknie. A obiecałam szefowi, że dam mu kogoś kompetentnego na swoje miejsce. Może i jestem, Kamisiu, głupia, ale próbuję tę głupotę czymś nadrobić i staram się być przynajmniej odpowiedzialna. Ale ty, jak zwykle, tylko wady we mnie widzisz i tylko byś mnie krytykował. Ile bym się starała, nigdy dobrego słowa nie powiesz. Czasami mam wrażenie, że traktujesz mnie jak matola, który o niczym nie ma pojęcia. Czym sobie na to zasłużyłam?! W jeden wieczór finalizuję sprawy starej firmy, rekrutuję i przyuczam pracownika, urywają mi się telefony związane z nową działalnością, a ty mi jeszcze dokładasz... No właśnie... No właśnie... Nie, kochanie, nie jestem zła i nie dąsam się bez sensu, tylko jest mi zwyczajnie przykro... – Anka uniosła w górę kciuk i wyszczerzyła zęby. Szybko jednak spoważniała, a jej intonacja z przymilnej i kociej przeszła w rozżaloną. – Myślałam, że choć troszeczkę mi pomożesz i dokończysz za mnie te papiery. Sam przed chwilą mówiłeś, że siedzisz i się nudzisz. Ja dla odmiany się nie nudzę, tylko ciężko pracuję nad Amelią i swoim dobrym imieniem. Gdybym była na twoim miejscu, na pewno bym ci pomogła. A ty co? A ty się ciskasz i zastrzegasz, że nie będziesz za mnie z komornikiem rozmawiał. To nie jest miłe. Oczekiwałam wsparcia, a ty z góry zakładasz plajtę... – Na dłuższy czas oddała głos Kamilowi i tylko przytakiwała, robiąc przy tym ostentacyjnie cierpiętniczą minę. – Wybacz, ale trudno, żebym tryskała radością, skoro własny mąż we mnie nie wierzy... Nie, nie wściekam się. Jest mi tylko bardzo, bardzo, bardzo przykro. Miałam nadzieję, że przynajmniej ty mnie zrozumiesz... Oprócz zdrowego rozsądku trzeba też mieć serce, kochanie! Czemu we mnie nie wierzysz?! Naprawdę uważasz, że jestem aż taka głupia?... – Po chwili milczenia i wsłuchiwania się słowa w męża Anka zaczęła podskakiwać na fotelu. Ramieniem przycisnęła telefon do ucha i wyprostowała ręce, składając palce obydwu dłoni w literę V. Machała rękami na prawo i lewo, kołysząc się, jakby była na jakimś koncercie. – To wypełnisz je za mnie?! Jaki ty jesteś kochany, Kamisiu mój najdroższy. Wiesz, że jak wrócę, to ładnie ci to wynagrodzę? Tylko mi nie zaśnij! Mówiłam już, że cię Kocham? – Mrugnęła lewym okiem do oszołomionej Wiktorii i prawym do oniemiałej Amelii. – Nie... Już nie jest mi przykro. Ale będzie mi przykro, jeśli będziesz spał, jak wrócę. Wytrzymasz dwie godzinki?... No jak to nie wiesz?! Przecież dałam ci zajęcie, żebyś był w formie. Gdybyś się, mój lwie, za szybko uwinął z papierami na jutro, to mam też takie na pojutrze. Leżą na stole, w tej popielatej teczce. Wiesz, co to popielaty? Taki trochę jak beton... Nie nabijam się! No, może troszkę... Dobrze, zadość ci uczynię, jak tylko wrócę do domu... Dobrze... Słuchaj, Kamisiu, muszę kończyć, bo Mela znowu czegoś nie rozumie i przyszła właśnie do mnie z jakimś wzorem umowy. Zaraz mi się tu rozplacze, bidulka... Całuję cię. I pamiętaj: nie zaśnij!!! A jeśli jednak zaśniesz, to obudzę cię nieziemsko... Ja też. Pa!

– Co to było?!

– No, no! – Wiktoria też była pod wrażeniem. – Przerobiłaś Kamisia na dżem malinowy, normalnie! Niezła jesteś.

– Lata praktyki i wzajemnej tresury. – Anka była wyraźnie zadowolona z siebie. – Poza tym, powiedzcie same, czy nie mam racji? Siedzi i się nudzi, ale za cholere nie wymyśli, żeby przygotować mi te durne dokumenty. Dla niego to pryszcz, bo ciągnie swoją firmę budowlaną od ponad piętnastu lat i ma wszystko w małym palcu. Ale czy potrafi połączyć te dwa fakty w mózgu? Nie! Prędzej wydlubie go sobie z nudów przez nos! Kochany z niego chłop, tylko czasami jak z nim gadam, to nie tylko ręce, ale i cycki mi opadają – podsumowała, łapiąc się za biust. – A oni się potem dziwią, że jak nas brali, to były jędrne, a potem nagle zrobiły się obwisłe. Sami są temu winni!

– Ale robi ci wszystkie papiery, z tego co zrozumiałam?

– Zrobi. Tylko same słyszałyście, ile się musiałam nagadać i nagimnastykować!

– Gimnastykowałeś się prześlicznie. – Mela uśmiechnęła się na wspomnienie słodkiego ćwierkania, które niepostrzeżenie przeszło w ostre dziobanie. – Ja bym tak nie umiała. A też mam za sobą lata praktyki i wzajemnej tresury.

– Nie wiem, jak jest ze Sławkiem, ale Kamil funkcjonuje prawidłowo tylko przy takim traktowaniu: pochwalić i pogłaskać, a potem dać instrukcję i obiecać nagrodę.

– Sławek w życiu nie dałby się nabrać na chwalenie i głaskanie. Nie uznaje ani takiego ćwierkania, ani takiej gimnastyki. Powiedziała, że jeśli nie umiem czegoś zrobić, to albo mam się nauczyć, albo przestać to robić. Koniec tematu... – Skrzywiła się Amelia. – Wciąż powtarza, że kapitan nie jest na statku od tego, żeby się z załogą kolegować, tylko żeby ją prześladować. Podobno jak podwładni mają wspólnego wroga, to się konsolidują i lepiej pracują, bo nie żrą się między sobą. I wiecie co? – Westchnęła ciężko. – Czasami wydaje mi się, że on przenosi tę zasadę na życie rodzinne.

– Daj Boże, żeby każda kobieta była prześladowana przez męża tak jak ty. – Wiktoria, mimo antypatii do szwagra, dostrzegała jego niewątpliwe zalety. – Po samej zawartości piwnicy widać, jak Sławek cię „gnębi”. Przytaszczył pół sklepu, zanim poszedł w morze...

– Potwierdzam! – Anka nałapała sobie wina. – Piwniczka robi wrażenie. Głodem was nie wezmą.

– Przecież nie twierdzę, że on jest zły – zastrzegła Mela. – Jego załogi też nikt głodem nie weźmie. Opowiadałam już chyba, że jak tylko mustruje na nowy statek, to w pierwszej kolejności bierze się do kucharza. Bo wiecie, na jedzeniu można robić niesamowite przekręty. Często jest tak, że kapitan i kucharz wchodzi w układ: karmią ludzi byle czym, a gruba kasa, czasem prawie druga pensja, leci im na lewo do kieszeni. Sławek w życiu by czegoś takiego nie zrobił. Wręcz przeciwnie. Karmi załogę za górną stawkę, a jeśli zauważy, że coś jest nie tak, to daje kucharzowi wilczy bilet i wysadza go w pierwszym porcie. Nie raz, nie dwa już to zrobił.

– No widzisz? Tylko chwalić.

– Macie rację. Marudzę bez sensu... – Amelia postanowiła zamknąć temat. Chciała im powiedzieć coś zupełnie innego. Nie chodziło o to, że mąż się nad nią pastwi i morzy ją głodem. Ona miała pełną piwnicę, załoga na statku miała pełne talerze pysznego jedzenia. Tylko co dalej?

– Nie martw się. Nie ty jedna marudzisz bez sensu. – Zaśmiała się Anka. – Ja też marudzę, chociaż mam najlepszego męża na świecie. Ale co poradzić, czasami chciałoby się z tymi głupimi chłopami dogadać tak po całości, jak z babami, a to marzenie ściętej głowy. Niczym upadek komercji i sztucznego napędzania rynku.

– No właśnie – podchwyciła Mela. – Chciałoby się po całości, a nie tylko na poziomie

pełnej piwnicy.

– Bo my głupie jesteście. Czekać na chłopca, z którym dogadasz się po całości, to jak wierzyć, że w AGD zaczną sprzedawać pralkolodówki. A takie coś nie istnieje, nie? Ale baby nie przyjmują tego do wiadomości i się niepotrzebnie ciskają, że oddzielnie pranie, a oddzielnie chłodzenie. Na dodatek jedno w kuchni, a drugie w łazience. I koniecznie chcą się z chłopcami dogadać i ich zrozumieć, i żeby oni je rozumieli... A sensu w tym naszym uporze jest akurat tyle, ile w trzymaniu masła w palce albo brudnych skarpet w lodówce. I niby wiem, że to bzdura, a i tak wciąż się ciskam i wkurzam na Kamisia, że nie jest pralkolodówką.

– Wiecie co? – Wiktoria w zadumie potarła czoło. – Może jednak odpuszczę sobie ten portal? Chyba jeszcze nie jestem gotowa na poszukiwania pralkolodówki... Tym bardziej że z tego, co widzę, to nawet pralki osobno i lodówki osobno na nim nie znajdę.

– No właśnie! Całkiem zapomnieliśmy o ogierach! – Monitor komputera zdążył zamienić się w czarną niemą płaszczyznę, więc Anka stuknęła w klawiaturę, by przywrócić go do życia.

– Ty się, kochana, nie zniechęcaj marudzeniem starych mężatek. Zanim osiągniesz nasz etap, na pewno nie raz uwierzysz w to, że pralkolodówki istnieją. Już oni o to zadbają, żebyś zgłupiała i uwierzyła. – Położyła sobie laptopa na kolanach. – To na kim skończyłyśmy?

– Na Leonardzie da Vinci, o ile dobrze pamiętam – odpowiedziała Mela. – Tym, który jako człowiek renesansu namiętnie uprawia ogródek. To coś jak pralka, lodówka i kosiarka w jednym. Tylko nie mów, że go nie chcesz! – Pogroziła siostrze.

– Nie chcę! – Wiktoria pokazała jej język. – Szukajcie dalej. Niech będzie pralka, niech będzie lodówka. Co mi tam? – Zaśmiała się głośno, powtarzając sobie w duchu, że ma być silna i dobrze się bawić. Bawić, bawić, bawić! Nie płakać, nie złościć, nie rozmyślać... Bawić się!!!

– A co tu tak miga? – Anka mamrotała chwilę pod nosem, a potem zakrzyknęła tryumfalnie: – Ty! Masz dwadzieścia sześć wiadomości! Napisali do ciebie!

– Kto? – Wystraszyła się Wiktoria. – Jurand ze Spychowa czy ten, co podąża za słońcem w intymne miejsca?

– Jeszcze nie wiem, ale zaraz zobaczymy. Pamiętaj na przyszłość, że jak tu ci będzie pulsować żółta koperta, to znaczy, że masz nową wiadomość. Widzisz?

– Dwadzieścia sześć?! – Mela klasnęła w dłonie. – Ale szybko cię znaleźli. Ciekawe, co napisali? Otwieraj te wiadomości – poganiała Ankę – bo nie mogę się doczekać! Zobaczysz, jak szybko wycofasz się z tego swojego głupiego „nie chcę go”. Postaw komputer na środku, bo nic nie widzę!

Laptop wylądował na środku małego stoliczka, przy którym siedziały. Stłoczyły się tak, że niemal dotykały się policzkami. Anka zaczęła otwierać kolejne koperty...

Pierwsza wiadomość zawierała kwiatek, druga – mrugające oczko, trzecia – uśmiechnięta buźkę, czwarta – pudełko z prezentem, piąta – mrugające oczko, szósta – machającą łapkę...

– O co chodzi? – Po entuzjazmie Amelii nie było już śladu. – A gdzie te wiadomości?

– Drogie siostry! – Anka wstała z fotela i wyciągnęła do góry rękę z kieliszkiem.

– Chciałabym wnieść toast za nasze nowe odkrycie! Może Nobla nam dadzą?

– Że niby co? – Wika zdecydowała, że nie poprzestanie jednak na jednej lampce wina. Doląła sobie i przyłączyła się do przyjaciółki.

– No właśnie. Za co tego Nobla dostaniemy? – Mela, którą wciąż trzymał wstręt do alkoholu, stuknęła w ich kieliszki pustą filiżanką po dawno wypitej herbacie.

– Jak to za co? Nie zauważyłaś, że odkryłyśmy kolejny męski atawizm? – odpowiedziała Anka. – Oni wciąż tkwią w neolicie i posługują się wyłącznie pismem obrazkowym. I weź tu gadaj z jaskiniowcami! To się nigdy nie uda. Ale dramat...

– Fejzpal! – zakrzyknęła Wiktoria, widząc przyjaciółkę przykładającą dłoń do czoła.

– Neolit i fejspalm w jednym! To lepsze od pralkolodówkokosiarki. Jak mawia Emilka: zaraz się posikam! – Spojrzała ze zgrozą na Ankę i Melę. – No i w co wy mnie wpakowałyście?

– Od dzisiaj będę ci mówiła Wilma Flinstone. Mogę?

– Możesz. Pod warunkiem że znajdziesz jakiś rysunek z facetem niosącym zabitego mamuta. Bo jak inaczej mam odpisywać, żeby zrozumieli?

– Pozostałe wiadomości to też same machające łapki? – Amelia przejęła władzę nad laptopem i z resztkami nadziei otwierała kolejne koperty. – Mrugające oczko... Uśmiech... Kwiatek... – mruczała pod nosem coraz bardziej zrezygnowana, ale nagle podskoczyła i zakrzyknęła radośnie: – Ha! Jest! To znaczy, są! Są litery! Jeden wyszedł z jaskini i umie pisać! Robert, pięćdziesiąt siedem. Oglądałyśmy jakiegoś Roberta? Bo już wszyscy mi się pomieszały i nie pamiętam.

– Pięćdziesiąt siedem? No, no... To wiek, w którym faktycznie można już znać alfabet.

A co napisał?

– Nie powiem! – Mela przymknęła komputer, żeby nie mogły zajrzeć, i zaczęła chichotać.

– No powiedz! – Pozostałym udzieliła się jej wesołość.

– Napisał... napisał... – dukała Amelia, zalewając się łzami. – He... Wi... hej... ka...

– Co?!?!

– Hejka, Wika – zdołała wreszcie wykrztusić.

– Hejka, Wika? – Anka uniosła brwi. – A dalej co?

– Nic. To już koniec! – Mela zawisła na oparciu fotela i zaniosła się chichotem. – Eru... erudyta, nie?

– Dawaj! – Wiktoria bez trudu odebrała laptopa kompletnie rozbrojonej siostrze i razem z Anką przeczytały wiadomość. Mela nie kłamała. – Robert, pięćdziesiąt siedem, Koziorożec – czytała. – Najbardziej cieszy się z tego, że jest biały, zdrowy i inteligentny...

– Inte... inteligentny?! – Amelia starała się usiąść prosto, ale przegrała z kolejnym atakiem niepohamowanej wesołości.

– Inteligentny? – jęknęła Anka, której akurat wcale nie było do śmiechu. – Jeśliby ktoś chciał popełnić samobójstwo, to nie powinien skakać z jego IQ.

– Ale gdyby skoczył z ego? Nie byłoby co zbierać. – Wiktoria pociągnęła rżącą siostrę za sweter i usadziła ją na fotelu. – Weź się uspokój! Co tobie?

– Hejka, Wika! – pisnęła Mela. – Już nigdy inaczej cię nie przywitam. – Schowała głowę między kolana. – Zaraz się posikam!

– Cieszy się, że jest biały... – Zdegustowana Anka patrzyła na fotografię nijakiego, zaniedbanego mężczyzny stojącego na brzegu jeziora. – Aż dziw, że nie dał zdjęcia w białym kapturze z dziurami na oczy. Cóż jeszcze? – Kręciła głową, czytając kolejne informacje.

– „Jestem namiętny i romantyczny. Najbardziej lubię sen”.

– Śpiący królewicz zakłęty w żabę? – Amelia podniosła głowę, ale wciąż ciężko oddychała.

– Nie ubliżaj żabie. Żaba czasami coś tam jednak kuma – zażartowała Anka. – Dacie wiarę, co on dalej pisze? „Jestem trudny w prowadzeniu. Jeśli myślisz, że zdołasz mnie zmienić, to odpuść i nie pisz do mnie”. Wiecie co? – Spojrzała na siostry. – Sprowokował mnie! A właśnie że do niego napiszę! Zaproponuję, żeby schował się za ksywką Flevo.

– Co to jest flevo?

– Poziomy rower. Podobno bardzo trudny do prowadzenia.

– Pierwsze słyszę. Skąd to wiesz?

– Od Kamisia. Wciąż powtarza, że życie ze mną jest jak jazda na flevo.

– Zdumiewasz mnie – powiedziała Wiktoria. – Najpierw Karl Friedrich von jakiś tam...

– Karl Friedrich Hieronymus von Münchhausen – wyrecytowała bez zająknięcia Anka, a potem wypięła dumnie pierś. – To są właśnie skutki podnoszenia facetowi poprzeczki. Gdybym jej Kamilowi nie podnosiła, toby mi już sto razy wykrzyczał, że jestem zwykłym upierdliwym babsztylem. Ale skoro jestem wymagająca, to i jego obelgi są na odpowiednim poziomie. Zamiast tradycyjnych wyzwisk zdecydowanie wolę słyszeć, że jestem dużo gorsza niż żona Karla Friedricha Hieronymusa von Münchhausena i dużo trudniejsza niż rower flevo. Niby to samo, ale jak brzmi! Zupełnie jak z tą ich niezależnością, za którą tak naprawdę kryje się bzykanko bez zobowiązań, co nie?

– Fakt. Brzmi dumnie. – Mela nagle zapomniała o niedawnym ataku głupawki i dla odmiany popadła w apatię. – Kiedy mój Sławek chce rzucić we mnie obelgą, to mówi: „Kobieto! Pomyśl, ile masz lat, i wreszcie to udowodnij!”. – Osunęła się w fotelu. – Chyba wołałabym rower i tego Karla coś tam Friedricha.

– To skup się na podnoszeniu poprzeczki, zamiast piąć w zachwytach, że Sławuś potrafi z gazety na podłogę zeskoczyć – poradziła zwięźle Anka i wróciła do portalu. – Robertowi, pięćdziesiąt siedem, dziękujemy. Niech się... wyśpi! – Kliknęła czerwony iks, skazując białego, inteligentnego, zdrowego mężczyznę na wirtualny niebyt. – Masz jeszcze wiadomość od Leszka, czterdzieści dziewięć.

– Hejka, Wika? – zapytała kwaśno Mela.

– Nie! Leszek kilka zdań napisał...

– O, to jakiś literat musi być. Dawaj!

– „Witaj, piękna Wiki. Bardzo podoba mi się twój profil. Podaj adres mejlowy i numer telefonu, jeśli chcesz pogadać. Nie praktykuję korespondencji na tym portalu. Pozdrawiam cieplutko” – przeczytała Wiktoria, a potem ciężko westchnęła. – Piszący niepraktykujący... Ciekawe. Może od razu klucze do mieszkania mu podam?

– A coś więcej o Leszku? Bo chyba jednak nie jest literatem.

– Nie podał zawodu, ale napisał, że jest uparty i pracowity.

– Skrzyżowanie osła z wołem? Hmm... bo ja wiem, czy to dobre? – Skrzywiła się Anka. – Co jeszcze?

– Szuka partnerki, dla której kasa nie ma żadnego znaczenia...

– Kolejny Hare Krysna? – Amelia pokręciła głową. – Co oni? Poszaleli?

– Uuuu, niedobrze! Pamiętaj, że jak facet pyta, czy kasa jest dla ciebie ważna, to znaczy, że jej nie ma. Każe ci jeść chleb z kaszanką i rozkoszować się, jakby to był to czarny kawior. Pieniądze to nie wszystko, ale bez przesady z tą nonszalancją!

– Lubi jazdę na rowerze. – Wiktoria analizowała kolejne informacje. – A najbardziej kocha swoją snuczkę. – Parsknęła śmiechem. – Co to jest snuczka?

– Połączenie suczki i wnuczki? Nie chciało mu się za bardzo rozpisywać, to je wsadził w jedno słowo? – zgadywała Mela. – Zauważyłyście, ile oni robią błędów? Nie wiem, czy chociaż jeden z tych profili, które odwiedziłyśmy, był bez jakiegoś byka? Najlepszy ten dyrektor zarządzający. Pamiętajcie? „Nie lubię wścipskich kobiet”. Powiem wam szczerze, że do tej pory nie wiem, co miał na myśli. Może mu jednak nie o wściubianie nosa chodziło, tylko o coś całkiem innego? To znaczy o wściubianie, ale niekoniecznie nosa. No bo „wścipska”...

Pomyślcie same. Jak się temu słowu dobrze przyjrzeć, to to może być synonimem „puszczalskiej”. Rozumiecie? Na przykład: „Zośka codziennie idzie do łóżka z innym facetem, ale ona zawsze była wścipska”. Nie mogę! – Amelia machała rękoma, starając się nad sobą zapanować. – Naprawdę powinni się trochę bardziej wysilić. Poza tym komputer sygnalizuje niepoprawne formy. Nie widzą tego?!

– Widzą, tylko nie wyciągają wniosków. Mój Kamiś też potrafi zrobić pięć błędów

w czteroliterowym słowie. Zawsze na wszelki wypadek daje mi do sprawdzenia swoje oferty przetargowe. I czytam na przykład, że ze względu na rodzaj gruntu pod zabudowę trzeba wykopać „ruw melioracyjny”. – Narysowała w powietrzu u otwarte. – Pytam go, czy komputer nie podkreślił mu tego na czerwono, a Kamiś na to: „Podkreślił, ale myślałem, że nie zna słowa «rów»”. Proste? Proste!

– Żeby aż takim analfabetą być? – zgorszyła się Amelia. – Przecież to się wzorcowo wymienia: rów-rowy.

– Chłopcy wymieniają trochę inaczej niż dziewczynki... – wyjaśniła Wika tonem doświadczonego pedagoga. – Nie zapomnę, jak kiedyś wprowadzałam w drugiej klasie zasady pisowni er zet. Krzysio, całkiem niegłupi uczeń, oznajmił, że „lekarz” pisze się przez er zet, bo się wymienia na „r”.

– No to dobrze mówił.

– Dobrze. Ale wiesz, na co się wymienia „lekarz” według Krzysia?

– No?

– Na „pielęgniarka”!

– Genialne! – Anka wystawiła kciuk. – To mojemu Kamisiowi mogłam powiedzieć, że „rów” pisze się przez o z kreską, bo się wymienia na „dołek”. Może wtedy by zapamiętał? Faktycznie, przy takim sposobie rozumowania można mieć problemy z ortografią... I co robimy z miłośnikiem snuczki? Odpisujesz mu?

– Nie mam zamiaru na starcie podawać numeru telefonu i prywatnego maila. Nie praktykuję tego – powiedziała Wiktoria złośliwie. – A po drugie i ważniejsze, on jest dużo niższy ode mnie. Podaliście mój wzrost? I nie zrobiliście z nim tego, co z wiekiem? Nie obcięliście mi centymetrów?

– Absolutnie. Masz wpisane: „metr siedemdziesiąt pięć, w porywach do metra osiemdziesięciu (zależnie od wysokości obcasa i fryzury)”. Prawda, że ładnie to wymyśliłyśmy?

– Ładnie – pochwaliła Wika. – Ale najwidoczniej Leszek tego nie doczytał. On nie ma nawet metra siedemdziesięciu.

– To jedziemy dalej. Kto jeszcze napisał?

– Miron... A nie. Miron tylko uśmiech wysłał...

– A czym się zajmuje i co lubi Miron? I ile ma wzrostu? – Mela starała się stłumić ziewnięcie. – Nudno się robi.

– Nie będę wchodzić w profil Mirona. Neolit odpada z korespondencji. Tym bardziej że słaba jestem w rysowaniu, więc na dłuższą metę moglibyśmy się nie dogadać. – Wiktoria przeszła do kolejnej koperty. – O! Tu się ktoś rozpiisał... Słuchajcie: „Dobry wieczór. Eeee, nie wiem, co dalej, bo bardzo nieśmiały jestem w kontaktach z dziewczynami. Szczególnie z ładnymi i inteligentnymi, przy których tak łatwo wyjść na głupka...”.

– Na litość bierze. Lepszy cwaniak. – Cmoknęła Anka. – Czytaj dalej.

– „Nie atakuj mnie więc od razu, tylko oceń z kobiecą wyrozumiałością. Czy te oczy mogą kłamać??? No powiedz!”

– Dawaj zdjęcie. – Amelia wybudziła się z odrętwienia. – I pokaż, co ma w profilu.

Po chwili zgodnie parsknęły, bo fotografia idealnie pasowała do zadanego w liście pytania: na ekranie pojawił się dorosły mężczyzna z bezradnym spojrzeniem dziecka, które zgubiło się w lesie. Promienny uśmiech zaprzeczał jednak wyrazowi oczu i jednoznacznie wskazywał na to, że jego właściciel celowo się wygłupia.

– Ale słodziak! – Mela wrzuciła się po matczynemu. – Tylko się zaopiekować

i przytulić.

– Ostrożnie z tym przytulaniem! – Anka studziła jej zapał. – Może on po prostu nieźle kombinuje. Wie, jakie instynkty nami rządzą, i uderza w samo sedno: taki jestem biedny i nieśmiały, a ty taka ładna i mądra. Przeczytaj opis, bo facet bardziej mi wygląda na Liska Chytruska niż na wstydliwą pierdołę. Coś bezczelnego ma w uśmiechu i tych oczkach.

– Witek, czterdzieści trzy lata. Bliźniak. Handlowiec. Sto osiemdziesiąt centymetrów...

– Może być. Zostaw tę wyliczankę i przejdź do konkretów – ponagliła Amelia.

– Do konkretów!

– „Szukam kobiety, z którą związek nie będzie przypominał Związku Radzieckiego, ale Kanadę” – czytała Wiktoria z rozbawieniem. – „Chciałbym wygrać w totka, żeby znaleźć miłutką i ładniutką partnerkę...”

– Chociaż jeden przytomnie myślący. Daj mu, Boże, kumulację!

– „Lubię obserwować koty. Dachowce są bardzo podobne do mnie: bezpieczeństwa, ale niezależne, mądre i pełne wdzięku...”

– No! I wyłazi prawdziwa natura! Czyli kolejny niezależny! – zakrzyknęła tryumfalnie Anka. – Kanadyjski dachowiec, cholera jasna, co się reżimu boi! Pogłaszcz, nakarm, daj się pocierać o nogi i puść wolno. Cóż jeszcze ten mądry i pełen wdzięku skromniś pisze?

– „Uważam, że kobieta nie musi być inteligentna. Wystarczy, że wie, że się pisze «Iran», a nie «Irak»...” – Po tym zdaniu wszystkie wybuchły śmiechem. – Dobrze! Podoba mi się. Tym bardziej że ja faktycznie nigdy nie wiem, które jest które... Odpiszę mu, a co tam! – Wiktoria przyciągnęła komputer do siebie. – Chociaż jeden z poczuciem humoru.

– Uważaj. Na mój gust to nie wygląda dobrze. Sama przed chwilą kłęsaś w żywy kamień na wszystkich niezależnych. A on jest, wypisz wymaluj, właśnie z tego gatunku. Wysyła jasny komunikat: przeleceć kotkę na gorącym blaszanym dachu i spadać do piwnicy.

– Daj spokój! Poniosło mnie i bluzgałam, bo mi się demony przeszłości w głowie obudziły. – Spojrzała na przyjaciółkę, a potem wróciła do zdjęcia Witka, przyglądając mu się z rosnącą aprobatą. – Niech on sobie przelatuje wszystkie kotki w Szczecinie. Skarpetki mu założę, żeby łapek o gorący blaszany dach nie poparzył...

– Uważaj. Oj, uważaj! – powtórzyła Anka. – Bo jeszcze jakieś nieszczęście z tego będzie.

– Nie będzie. Jestem pewna, że żadne nieszczęście z ich strony mi nie grozi. Przynajmniej na razie... – Wiktoria kliknęła w zamieszczoną pod zdjęciem ikonkę koperty. – Dużo jeszcze wody w Odrze upłynie, zanim potraktuję poważnie jakiegoś faceta. Nie jestem teraz gotowa na żaden związek; ani na Związek Radziecki, ani na Kanadę, ani na związek zależny, ani na niezależny. Ale muszę wreszcie wyleźć z bunkra, do którego dałam się zapędzić temu skurwielowi... Czas zacząć normalnie żyć i dobrze się bawić, moje drogie!

– Masz pewność? Że nic ci nie grozi?

– Na sto albo i dwieście procent! – przytaknęła bez wahania. – Wy nie wiecie, jak to jest... Coś we mnie umarło i na pewno nie wskrzesi tego bezpieczeństwa dachowiec. Mam swoje zdanie na temat męskiej niezależności i nie zmienię go aż do śmierci. Bądźcie spokojne... Wiem, że to kolejny nieodpowiedzialny chłopczyk, który wierzy, że jest świadomym mężczyzną... – mruczała pobłaźliwie. – Ale facet ma poczucie humoru i coś mi mówi, że do wyciągnięcia mnie z bunkra nadaje się idealnie... Przyznajcie, że zdecydowanie wyróżnia się na tle wszystkich ogierów, które są tak rozdęte, jakby przez czterdzieści lat tylko mokrą trawę żarły.

– Niech do niego napisze. – Mela przekonywała wciąż powątpiewającą Ankę. – Chociaż jeden, na którego nie zareagowała swoim „Nie chcę go”. Od pisania jeszcze nikomu niczego nie uchyliła. A co mu napiszesz?

– Nic takiego... – Wiktoria zacytowała pytanie: „Czy te oczy mogą kłamać???”

i odpowiedziała poniżej: „Według mnie jak najbardziej, mogą!!!”. Wstawiła uśmiechnięty emotikon, a potem wysłała wiadomość.

- Okej. – Anka była daleka od entuzjazmu. – Jakby co, to ostrzegałam.
- Nie masz przed czym ostrzegać. Uwierz wreszcie!

V

KOLIBER, CZYLI LATAJACY KLEJNOT

Najbardziej kolorowy ptak świata, choć jego piórka w rzeczywistości mają tylko dwa barwniki: czarny i brązowy. Potrafi unosić się pionowo, wykonywać zawisy, latać na boki i do tyłu. Przez większą część roku prowadzi samotny tryb życia. Źle znosi niskie temperatury. Większość czasu poświęca na poszukiwanie i spijanie nektaru...

ROZDZIAŁ 11

Zgodnie z przewidywaniami Anki Witek zupełnie nie sprawiał wrażenia nieśmiałego mężczyzny, który ma trudności w kontaktach z kobietami. Wręcz przeciwnie: był bardzo spontaniczny i bezpośredni, przynajmniej w korespondencji. Pisali do siebie regularnie i Wiktoria powoli przywykała do tego, że listy Witka są nieodłącznym elementem jej codzienności. Kiedy wstawiała, znajdowała w skrzynce mailowej pytanie, jak jej się spało, a kiedy kładła się do łóżka, zawsze czekały na nią życzenia kolorowych snów. Była też cała masa innych wiadomości. Witek był zdecydowanie bardziej dyspozycyjny niż Wiktoria, która już zaczęła rok szkolny. Siedział za ladą stoiska z akcesoriami sportowymi i wszelkiego rodzaju odżywkami dla amatorów siłowni. Zabijając czas między jednym a drugim klientem, słał do Wiktorii wyszukane w sieci zabawne zdjęcia, teksty i filmiki. Zdarzało się, że po powrocie do domu nie była w stanie ogarnąć wszystkiego, co jej przysłał. Większość internetowych zdobyczy oglądała tylko pobieżnie, bo w głowie jej się kręciło od nadmiaru, natomiast z przyjemnością czytała dowcipne listy – często miała wrażenie, że Witek doskonale odnalazłby się wśród jej uczniów: uwielbiał pajać i bawić się słowami. Nie tylko to jej się w nim podobało. Sympatię Wiktorii zaskarbił sobie przede wszystkim tym, że nie naciskał na jak najszybsze spotkanie i nie tupał o numer telefonu. Mogła zatem stopniowo oswajać się z jego obecnością i powoli się do niej przyzwyczajać. Coraz bardziej ceniła sobie jego takt, bo pozostali mężczyźni, którzy odzywali się do niej na portalu randkowym, nie mieli na ogół do powiedzenia nic oprócz: „Daj komórkę, to zadzwonię” albo: „Umówisz się ze mną na kawę?”. Niekiedy poprzedzali to jednym lub dwoma zaczepnymi zdaniami, ale bywało i tak, że nawet na jedno zdanie brakowało im fantazji.

A Witek fantazję miał. Potrafił zaciekać bez używania telefonu i jeśli miała do niego jakies ale, to chyba tylko przez te humoreski z YouTube'a, którymi bez opamiętania ją bombardował. Byłoby to jednak czepianie się na siłę. Chłopak przecież chciał dobrze. Skąd mógł wiedzieć, że Wika nie jest akurat entuzjastką Internetu.

Doceniała w sieci to, co zasługiwało na uznanie: nieskończone pokłady informacji, które można odnaleźć w ułamku sekundy, i nieograniczoną możliwość kontaktowania się z ludźmi na całym świecie. Szczególnie teraz, odkąd mieszkała z siostrą, która całymi godzinami rozmawiała na Skypie z zakotwiczonym w Ekwadorze albo na Tajwanie mężem. Kiedy Sławek wychodził w morze i tracił zasięg, Amelia co kilka godzin sprawdzała pozycję jego statku. Oddychała z ulgą, obserwując, jak bezpiecznie pokonuje kolejne mile, skutecznie unikając tajfunów i cyklonów. Imponujące, wielobarwne trąby powietrzne wirowały na ekranie niczym w grze komputerowej. Patrząc na nie, Wiktoria musiała zweryfikować swoją opinię o szwagrze i docenić pracę, która nie mogła pozostać bez wpływu na charakter.

Internet miał jednak z zdaniem także wady. Brzydziła się anonimowymi użytkownikami, którzy bezkarnie wszystkich krytykowali i mieszały z błotem. Podejrzała, że coś sobie tym rekompensują, ale nie do końca wiedziała co: nudę, głupotę, kompleksy? Nie wzruszały jej komentarze na temat biustów aktorek, braku głosu u piosenkarek i butów noszonych przez dziennikarki, ale nie potrafiła równie obojętnie przejść do porządku dziennego na przykład nad kretyńskim rozliczaniem Owsiaka z tego, ile kasy co roku zarabia na Orkiestrze i jak bardzo sam się przy tej okazji lansuje – ciekawe, czego dokonali w życiu autorzy tych

zjadliwych postów, że pozwalali sobie na takie komentarze?

Starając się unikać stresu, omijała z daleka plotkarskie portale, ale mimo to wciąż wpadała w złość, kiedy otwierała przeglądarkę. Bijące ze stron internetowych nagłówki drażniły formą i treścią: „Skandal z mięsem zatacza coraz szersze kręgi”, „Groźba zderzenia Ziemi z asteroidą. Nie ma żadnych pozytywnych scenariuszy”, „Przerażająca wizja zdevastowanej Warszawy”, „Szokujące nagranie. Ten film miał być tajny!”, „Poważna gafa ministra końcem Polski w strukturach UE”, „Zatrważające problemy amerykańskiej elektrowni atomowej”, „Ksiądz pedofil nadal uczy religii”, „Inwazja rakotwórczych zabawek z Chin”, „Aferzyści od dróg lądują na ciepłych posadach”, „Fatalna pomyłka GPS: zginął dwudziestolatek i jego dziewczyna”, „Terrorzyści planują rozlewanie silnie trującej cieczy na przystankach”...

Miała wrażenie, jakby usiłowano wyprać jej mózg i wmówić, że świat rozlatuje się na kawałki. Zarówno w sensie dosłownym – na skutek najróżniejszych kataklizmów i zagrożeń ekologicznych – jak i moralnym – przez namnożenie się w niespotykanych dotąd ilościach głupich polityków, zboczonych księży, skorumpowanych biznesmenów, rozwiązłych artystów, nawiedzonych zamachowców, patologicznych rodziców i młodocianych przestępców.

Wprawdzie oprócz katastroficznych przepowiedni zdarzały się w sieci rewelacje mniejszego kalibru – „Niech żyje piętnastolatka, która zaśpiewała dla Obamy!” lub „Znana wokalistka dostała ataku hysterii w reality show” – ale i one nie pociągały Wiktorii na tyle, żeby chciała dokładniej się z nimi zapoznawać.

Z pewnych względów nie lubiła zatem Internetu i buszujących po nim wszyskowiedzących internautów – ale Witka, który ewidentnie się do nich zaliczał, lubiła coraz bardziej.

Co dziwne, im bardziej go lubiła, tym bardziej przekonywała się, że ta znajomość – jak zapewniała Ankę – niczym jej nie grozi. Witek nadawał się na kumpla, z którym chodzi się na piwo albo do kina i spaceruje wokół Głębokiego, natomiast wyładowanie z nim na koniec w łóżku nie wchodziło w grę – zakrawałoby na pedofilię. Potrzebowała mężczyzny, a – zgodnie z przewidywaniami – wszystko wskazywało na to, że Witek jest niestety małym chłopcem. Czytając jego listy, musiała przyznać, że to chłopiec rozbrajający, słodki, przymilny... Ale chłopiec, niestety. I to taki, który nigdy nie będzie miał ochoty dorosnąć.

Była pewna, że koresponduje nie tylko z nią i że doskonale się bawi, występując w roli czarującego donżuana nadskakującego kobietom. Ciekawe, czy każdą z nich nazywał „swoją Witeczką”? Jeśli tak, to niemały koszyk dałoby się pewnie upleść z tych witeczek...

Mimo tych podejrzeń z każdym listem zacieśniała znajomość i pozwalała na coraz większe poufałości.

„Witeczko moja!” – czytała, przecierając oczy. „Wstałaś już? Zaparzyłem ci kawkę i postawiłem obok łóżeczka. Nie rozlej, bo się poparzysz! Kąpiel przygotowana. Całuję kocie oczka i łapki! Przesyłam kilka piosenek i zabawnych linków na dobry dzień. Odezwiij się do swojego stęsknionego lokaja! PS Tak miło wczoraj się rozmawiało... Co byś powiedziała na prawdziwą kawę?”

Poprzedniego wieczora podała mu numer telefonu. Gadali prawie dwie godziny, ale kiedy w końcu się rozłączyli, nie potrafiła powiedzieć o czym.

– Pytał cię o przeszłość? Albo o plany? Albo co robisz i gdzie mieszkasz? O czymś przecież musieliście gadać! – Amelia starała się zorientować w sytuacji. – O sobie coś mówił?

Wiesz już, gdzie ma to stoisko? Poszłabym go zobaczyć. Incognito, oczywiście.

– Nie pytał ani o przeszłość, ani o przyszłość. I wiesz co? Straszna z niego gaduła. Chyba gorsza ode mnie. O swoich klientach sporo opowiadał... – Wiktoria próbowała odtworzyć treść rozmowy. – Śmieszne to było, bo często przychodzą do niego mięśniaki i łyse karki, co wyściubiają nos spomiędzy sztang i hantli tylko po to, żeby kupić odżywki wspomagające pakowanie. Ponoć większość jakby prosto z najgłupszych dowcipów wyskoczyła...

– Spytałaś, gdzie te odżywki sprzedaje?

– Nie. W zasadzie niczego sensownego się nie dowiedziałam. Ale fajnie się z nim gada. Bardzo fajnie.

Mówiła prawdę. Witek był wdzięcznym i ciekawym rozmówcą. Dlatego kiedy przeczytała propozycję spotkania, pomyślała: „Czemu nie? Nudzić się z nim na pewno nie będę”.

„Dzień dobry, Witeczku. A cóż to za skromny catering? Mogłeś chociaż kromkę czarnego chleba położyć obok filiżanki. Kawę oczywiście rozlałam, ale nie poparzyłam się, bo dawno wystygła. Podobnie jak woda w wannie... Wiesz co? Marny z ciebie lokaj. Zwalniam cię!

Ale może to i dobrze, bo z zasady nigdy nie umawiam się ze służbą. Teraz nie ma już żadnych przeszkód, żebyśmy się spotkali, więc... kiedy ta kawa?

Mam dzisiaj sporo obowiązków. Nie sądzę, abym odezwała się przed wieczorem. Bądź grzeczny. Miłego dnia. Cmok!” – przeczytała list i dopisała kurtuazyjne kłamstewko: „PS Załączniki na dobry dzień są śliczne i przezabawne. Dziękuję!”

Zamknęła komputer bez słuchania piosenek i klikania w linki. Postanowiła, że obejrzy je wieczorem, wraz z dziesiątkami innych, które w międzyczasie Witek niewątpliwie przyśle.

Siedziała na łóżku i wsłuchiwała się w odgłosy kuchennej krzątania. Uwielbiała te dźwięki: szum czajnika, opryskliwe głosy kłócącego się rodzeństwa, brzęk filiżanek, błagania Meli o chwilę spokoju, stukanie łyżki o patelnię, trzaskanie szuflad...

Mimo że minęło już kilka tygodni, odkąd wyprowadziła się od Pawła, a on ani razu nie próbował się z nią skontaktować, wciąż dręczyły ją koszmarne wspomnienia i równie koszmarne sny. Zdarzały się też bezsenne noce, kiedy przewalała się z boku na bok, błagając Boga, by wreszcie wstało słońce i rozproszyło czarne myśli: nie tylko te o przeszłości, ale i te, które dotyczyły najbliższych tygodni, miesięcy i lat.

Często płakała w poduszkę, a kiedy w końcu udawało jej się zasnąć, budziła się zmęczona i rozbita. Najlepszym lekarstwem były wtedy te poranne odgłosy, w które właśnie z lubością się wsłuchiwała.

– Emilka! Nie kręć mi się pod nogami! Pozbieraj wszystko do lodówki. Dziada z babą tu brakuje... Mirek, zabierz książkę ze stołu, bo zaraz jajecznicę ci na nią wyłożę! – pokrzykiwała Amelia. – Im jesteście starsi, tym gorsi!

– Być może słuszna, ale obawiam się, że dość tendencyjna ocena. – Głos Mirka był zimny i spokojny. – Uważasz, że ta prawidłowość dotyczy tylko nas? Czy może dostrzegasz podobne objawy również u innych domowników? Bez wytykania palcem, oczywiście...

– Córcia! Co ty robisz?! Modlisz się do tej lodówki czy co? Rozmrozi mi się zaraz.

– Pudełka z jajkami nie mogę zmieścić. Moja wina, że takie wielkie kupiłaś? Jesteś pewna, że to nie strusie? – Dąsała się Emilka. – Jak mam to domknąć?

– Nadepnij, a potem dociśnij drzwiami lodówki – poradził brat.

– Odwal się, kretynie!

– Przestańcie się kłócić! Czy w tym domu nawet jednego śniadania nie można zjeść w spokoju?! – Koszyk zmywarki huknął z impetem, Wiktoria domyślała się, że siostra upchnęła

w nim właśnie patelnię. – Jeśli jajka nie mieszczą się na jednej półce, to na pewno zmieszczą się na drugiej. Zamknij wreszcie lodówkę, bo szlag mnie zaraz trafi! I jajka, dla waszej wiadomości, nie są od żadnego strusia. Specjalnie tłukłam się wczoraj na rynecek, bo tylko w czwartki można je dostać. Przyjeżdża tu na Pogodno chłop spod Szczecina i sprzedaje prosto z samochodu.

Wolny chów, XXL, po dwa żółtka mają... Ale czy ktoś to doceni?!

– Ja doceniam – zadeklarował szybko Mirek. – Martwię się tylko, czy to szaleństwo ma jakieś granice. Bo jeśli nie, to za chwilę wszystkie kury będą chodzić z porozrywanyimi dupami.

Śmiech Emilki zagłuszył słowa, którymi Mela upominała syna. Wiktoria chichotała cicho w łóżku.

– A ciotka to co? Nie wstała jeszcze? – Wiktoria wyteżyła słuch. Głos siostrzenicy był pełen pretensji. Czyżby nadal próbowała umieścić wytłaczankę z jajkami w lodówce przypominającej wielkością furgonetkę chłopca spod Szczecina?

– Zaraz powinna wstać. Oprócz lekcji ma po południu zebranie. Ciężki dzień ją czeka, to niech się dobrze wyśpi – odparła Amelia. – Z dziećmi przez cały miesiąc człowiek tak się nie umorduje jak z rodzicami przez godzinę.

– Bardzo ładnie powiedziane, mam – zauważył kpiąco Mirek.

– Obudzę ją, co? Niech zje, póki jajecznicą ciepła. Nudno tu jakoś bez niej. – Słowa Emilki mile połechtaly Wiktorię.

– No to idź.

Słyszając, jak siostrzenica zbliża się do drzwi, Wika nakryła się szybko kołdrą i przymknęła oczy. Nie zareagowała na ciche pukanie. Na głośniejsze też.

– Pobudka! – Emilka dała sobie spokój z kurtuazją i wpadła z impetem do pokoju.

Szarpnęła za czarne welurowe zasłony, a potem przysiadła obok przeciągającej się leniwie ciotki.

– Trzeba wstawać! Dzień sam z siebie nie zrobi się gówniany!

– Niezbyt optymistyczne powitanie.

– Może niezbyt optymistyczne, ale prawdziwe. Wciągaj laczki i dawaj na dół, bo śniadanie stygnie.

– Wolalabym „dzień dobryyy”... – Ziewnęła Wika.

– Nie wiem, czy taki znowu dobry. Mam dwie klasówki, brata debila i matkę, która karmi mnie jajami dinozaura – stęknęła Emilka.

– Nawet nie staram się zrozumieć, ale klasówek współczuję. Mnie też czeka ciężki dzień.

– Wiem. Słyszałam. I też ci nie zazdrozczę. Ja nie mogę z jedną matką wytrzymać, a ty podobno będziesz miała ich dzisiaj kilkadziesiąt naraz?

– Jak ci kiedyś język odpadnie, to będziesz wiedziała za co? – Wiktoria robiła wszystko, by zabrzmieć jak najbardziej potępiająco.

– Domyślę się, domyślę... – Dziewczyna machnęła ręką. – Ale przyznaj, że odkąd mama poszła do pracy, dostała totalnego odpału. Rządzi się jak bąbel w oranżadzie. Taka ważna się zrobiła, że bez kija nie podchodź, normalnie! Ciekawa jestem, jak ojciec sobie poradzi, kiedy zacznie go rozstawiać po kątach... – Na chwilę głęboko się zamyśliła, trzepocząc kapiącymi od tuszu rzęsami. – Nie ma tego złego! Może wreszcie tatuś uzna, że to nie ja jestem najgorsza w rodzinie. – Ściągnęła z ciotki kołdrę. – Chodź na śniadanie!

– Zaraz. Skoczę tylko na pięć minut do łazienki.

Przy porannej toalecie Wiktoria myślała o tym, co przed chwilą powiedziała Emilka. Nie zauważyła, by Mela zachowywała się jakoś inaczej, od kiedy podjęła pracę w biurze nieruchomości, a już na pewno nie rządziła się jak bąbel w oranżadzie... Przypomniawszy sobie

to porównanie, parsknęła i opluła lustro spienioną pastą do zębów.

Jak na jej gust Amelia była raczej permanentnie zdenerwowana, przy czym przerażały ją nie tylko realne wyzwania. Wika szybko się zorientowała, że jej siostra ma dar wymyślania problemów: „Co będzie, jeśli zapytają, gdzie jest najbliższa przychodnia?”, „Jutro wszystkie spotkania mam ustawione na styk. Jak pierwszy klient się spóźni, to po mnie. Wszystko się wali jak domek z kart”, „Bank zagwarantował im kredyt, ale czy dzisiaj można wierzyć bankom? A jeśli jednak nie dostaną pieniędzy?”, „Nie wiem, po co tam jadę. Przecież on się na pewno nie zgodzi na oddanie części działki do użytku wspólnoty drogowej”. Wciąż starała się zapobiec ewentualnym katastrofom: błądziła po internetowych mapkach Szczecina, zapoznając się z bliższą i dalszą okolicą mieszkania, które miała następnego dnia odwiedzić z klientami, wydzwaniała bez przerwy do banków, notariuszy, kupujących, sprzedających... oraz do Anki i Kamila, bo oboje byli nieocenioną skarbnicą wiedzy. Anka służyła wieloletnim doświadczeniem na rynku nieruchomości, natomiast jej mąż kilkakrotnie pomógł Amelii oszacować rzeczywistą wartość wystawianych na sprzedaż domów, których właściciele niezmiennie uważali, że zamieszkują pałac, a nie ruinę nadającą się już tylko do wyburzenia.

Zarówno Mela, jak i Wiktoria szybko zakochały się w Kamilu i uprzedziły swoją koleżankę, że jeśli coś głupiego strzeli jej do głowy, to na rozprawie rozwodowej będą świadczyć przeciwko niej, a potem stoczą pojedynek o jej męża. Nigdy nie odmówił fachowej porady. Jeśli był akurat zajęty na własnej budowie, to obiecywał, że na pewno przyjedzie, jak skończy, i zawsze dotrzymywał słowa. Bywało, że pojawiał się u nich późnym wieczorem, głodny, brudny i zmęczony, ale zawsze życzliwy i w dobrym nastroju.

– Melcia. To jest studnia bez dna. Instalacja gazowa grozi wybuchem, dach do wymiany, poniemiecka kanalizacja i elektryka, schody za chwilę się rozlecą, okna wylecą, grzyb w elewacji... – mówił po dokładnym obejrzeniu zebranych przez Amelię materiałów: zdjęć i nagrań wideo. – Jedynym plusem jest lokalizacja i magiczny ogród; na nowym osiedlu nie będą mieli szans dożyć podobnego drzewostanu. Ale uświadom im, że to jest dom dla milionera. Jeśli chcą tylko wziąć kredyt, a nie mają trzy razy tyle wolnej gotówki na remonty, to niech się naprawdę dobrze zastanowią.

– Powiem im! Wszystko im powiem. – Amelia skrupulatnie notowała każdą uwagę.
– Najwyżej właściciel tej rudery mnie znienawidzi.

– Może się tak zdarzyć. Ale najważniejsze, że twój szef to porządny gość i na pewno z roboty cię przez to nie wyrzuci – pocieszał ją Kamil. – Weszłaś na miejsce mojej Anuli, ona też tak pracowała: nie wolno robić ludzi w wała i wciskać im czegoś na siłę, byleby tylko złapać prowizję ze sprzedaży. Na pierwszy rzut oka może się to wydać niezbyt mądre, ale wierz mi, że na dłuższą metę się opłaca.

Słowa Kamila okazały się prorocze: po wizycie Amelii sprzedający zadzwonił do biura i powiedział, że wycofuje ofertę, ale za to kupujący zastrzegł, że tylko z Melą będzie oglądał kolejne domy, i piał z zachwytu nad tak dobrze przygotowanym agentem. Szef pogratulował jej pomyślnego przebrnięcia przez chrzest bojowy, a w dowód uznania wręczył podarunek, który wbrew dobrym intencjom omal nie doprowadził do utraty świeżo upieczonej pracownicy. Mela dostała służbowego iPhone'a...

– Nie ogarnę go! Próbowалам, ale to urządzenie żyje własnym życiem! – jęknęła, kładąc diabelski wynalazek na środku stołu, i spojrzała z rozpaczą na córkę i syna. – Właśnie odkryłam, że jednak jest na tym świecie coś, co słucha się mnie jeszcze mniej niż wy. Gdybym znowu zaszła w ciążę, to dziecko, bez względu na płeć, nazwałabym iPhone'...

– Słuszna decyzja. Ładnie pasowałyby do Emalii. – Mirek uśmiechnął się ironicznie, czekając na reakcję siostry, ale ta była tak zaaferowana nowym sprzętem, że zdawała się nic nie słyszeć.

– Jejku! Zaraz się posikam! Nauczę cię, jak to obsługiwać, ale będziesz mi czasami pożyczala? – Głaskała lśniący nowością ekran. – Wyczesane cacko! Szacun dla twojego trolla.

– Litości! – Mela osunęła się w fotelu. – Mało ci, że maszyny nie rozumiem?!

– Bardzo dobry oraz udany egzemplarz, chciałam powiedzieć... – mruknęła Emilka, uruchamiając iPhone'a i przeglądając jego funkcje. – Przekaż szefowi wyrazy uznania.

– Jakim cudem się po nim poruszasz?! Mnie ciągle robaczki wyskakują.

– Robaczki? Co za robaczki?

– Arabskie! Krzaczki, robaczki... jak zwał, tak zwał... – Amelia coraz głębiej zapadała się w skórzane siedzenie.

– Może twój telefon opanowali talibowie? – Mirek wzruszył ramionami. – Idę do siebie, bo zdolności pedagogiczne nie są moją najmocniejszą stroną. Ustępuję pola fachowcom.

Wiktoria nie była do końca pewna, czy siostrzeniec się o coś nadał, czy tylko wykorzystał okazję do ucieczki w swój świat, ale nie zastanawiała się nad tym zbyt długo. Wołała obserwować przezabawną lekcję posługiwania się iPhone'em, jakiej Emilka udzielała Meli.

– Dotykasz tylko i przesuwasz... Nie tak! Coś ty narobiła?! Mamo! Czy wiesz, na czym polega różnica między dotykiem i waleniem?! – Nastolatka spojrzała pogardliwie na rodzicielkę. – To nie jest zlew ani patelnia! Tego się nie szoruje!

Mimo niezbyt udanych początków Amelia opanowała w końcu wymagające wycucia urządzenie i zaczęła całkiem nieźle z nim sobie radzić. Nie potrafiła go tylko poskromić, gdy przychodziło do pisania SMS-ów – ona pisała swoje, iPhone swoje. Uzbrojony w domyślny słownik, którego nijak nie dało się usunąć, wedle własnego widzimisię zamieniał wystukiwane przez nią słowa w to, co jemu bardziej pasowało i bardziej się podobało.

Na przykład pewnego dnia Wiktoria otrzymała od siostry zadziwiająca wiadomość: „Daj znać, jak skończyli Żydzi”.

– Wszystko dobrze? – Zaniepokojona oddzwoniła tuż po wyjściu z lekcji. – Emilka ma sprawdzian z historii? Ja za mocna z tego nie jestem. Wiem tylko, że Holocaust...

– Co to? Były jakieś imieniny w pracy? – Siostra przerwała jej, cmokając ze zniecierpliwieniem. – Weź taksówkę, bo nie dam rady po ciebie przyjechać. Ile wypłaś?

– Ani grama. A ty? Żydzi...

– Wika! Nie mam czasu na rozmowy o Żydach! Opowiesz mi wieczorem... – Cmoknęła jeszcze głośniejszym zniecierpliwieniem. – Klient zadzwonił, muszę pilnie jechać na Warszewo. Pewnie utknę w korkach. Nie wiem, kiedy wrócę. Masz klucze?

– Mam. – Wiktoria czuła się jak w ukrytej kamerze. – Ale czemu wysłałaś mi pytanie „Jak skończyli Żydzi”?

– Nie wiem, o czym mówisz. Jacy Żydzi? Napisałam: „Daj znać, jak skończysz zajęcia”.

Nie dostałaś? – Kolejne cmoknięcie wskazywało na to, że Meli kończy się cierpliwość.

– Mniejsza o to! Jadę na Warszewo, a ty się zajmij domem i dziećmi. I sprawdź, kto cię o tych Żydów pytał. Pa!

Z biegiem czasu Wika przyzwyczaiła się do dziwnych wiadomości, które wciąż dostawała od siostry. W ostatnią sobotę spotkała się z Anką i Kamilem. Mela nie mogła jej towarzyszyć, bo pojechała do Świnoujścia pokazywać mieszkania w nowo wybudowanym apartamentowcu.

– Pewnie już dawno wróciła. – Anka spojrzała na zegarek. – Dochodzi dziewiąta. Napisz,

żeby przyszła. Młoda godzina przecież... Niech się pochwali, co zwojowała w Świnoujściu.

– Mogę po nią podjechać – zaproponował Kamil.

Wiktoria wysłała siostrze zaproszenie i po chwili odczytała gospodarzom odpowiedź: „Dzięki, ale nie skorzystam. Leżę pod kelnerką. Żadna siła mnie już nie wyciągnie!”.

– Pod kelnerką? – Anka wytrzeszczyła oczy. – Gdzie ona jest?! Świątuje udaną transakcję?

– Bez paniki – uspokoiła ją Wika. – Jestem pewna, że nie jest pod żadną kelnerką, tylko obok swojego iPhone’a. Jakiś demon w nim siedzi i... – Nie zdążyła dokończyć, bo telefon zabrzączał. – A nie mówiłam? – Pokręciła głową z rozbawieniem. – Posłuchajcie: „Oczywiście miało być «pod kołderką», a nie «pod kelnerką»! Litwa mać!!! W końcu wyrzucę to gównu do śmieci!”.

Nie skończyli się jeszcze śmiać, kiedy Mela wysłała im kolejnego SMS-a: „No żeby kurwy od Litwy nie odróżniać?! Głupi iPhone!!!”.

Psikusy, jakie płatał głupi iPhone, były jednak zabawne tylko do czasu... Do czasu, aż Mela poprosiła bardzo poważnego klienta o przesłanie personaliów potrzebnych do sporządzenia umowy przedwstępnej. W odpowiedzi przeczytała: „Nie sądzę, aby moje genitalia miały jakikolwiek wpływ na treść umowy zawieranej przeze mnie z państwa biurem”. Godzinę płakała, dwie godziny się śmiała, trzy dni robiła wszystko, by zatrzeć gafę, i od tej pory tylko dzwoniła do klientów, a jeśli już musiała wysłać SMS-a, korzystała ze swojej poczciwej i posłusznej starej komórki.

Niezależnie od drobnych wpadek i niepowodzeń radziła sobie coraz lepiej i wyraźnie nabierała wiatru w żagle. Być może Emilka, mówiąc, że matka rządzi się jak bąbel w oranżadzie, miała na myśli nieujawnianą dotąd pewność siebie i energię, którą Mela emanowała na całe domostwo...

– Hejka, Wika! – powitała ją siostra z szerokim uśmiechem. – Czegoś się tyle grzebała? Jajecznicza już zimna.

– Nie szkodzi. Nie jestem głodna. Później zjem, teraz tylko kawy się napiję. Ta, którą zrobił mi Witek, wystygła jeszcze bardziej niż jajecznicza.

– Wituś Sprytuś powitał cię jak zwykle? – Chichotała Emilka nad talerzem. – Wirtualna kawa, prasówka internetowa i przegląd szlagierów? „Czy ten pan i pani są w sobie zakochani, czy ta pani tego pana chce?” – zanuciła.

– Coś w tym stylu... Zaproponował też wypicie prawdziwej kawy...

– Idziesz na randkę?! – Siostrzenicę zatkało z wrażenia. – W co się ubierzesz? Pomogę ci coś wybrać, chcesz?

– Zastanów się, zanim przyjmiesz jej pomoc – bąknął Mirek, nie odrywając oczu od książki. – Facet może tego nie wytrzymać.

– Nie idę na randkę, tylko na spotkanie, więc nie przewiduję specjalnych kreacji – odparła Wiktoria, na co Emilka się skrzywiła, a Mirek z aprobatą kiwnął głową.

– Kiedy się spotykacie? Gdzie? – Mela wyglądała na równie podekscytowaną jak jej córka.

– Ustalimy wieczorem. O ile dożyję oczywiście...

– Dożyjesz, dożyjesz. A co to, pierwsze w twoim życiu zebranie z rodzicami, że miałabyś nie dożyć? Setki masz za sobą.

– Fakt – przytaknęła Wiktoria. – Ale zawsze boję się, co tym razem wymyślą mamusie i tatusiowie cudownych dzieci.

– Słuchaj, kochana siostrzyczko... – zaczęła Amelia przymilnie. – Mogę mieć prośbę? Bo to zebranie i tak ci dzień spaprze, więc co za różnica...

– Jezu! Już się boję. Mów, o co chodzi.

– Wykupiłam dla mamy całą reklamówkę leków. Swoją drogą to będzie cud, jeśli połknie wszystko i nic jej się nie stanie. W jakiś nałóg chyba wpadła...

– I chcesz, żebym jej tę reklamówkę zawiozła? – zgadła Wiktoria.

– Gdybyś była tak miła... Mam urwanie głowy i nie odpowiadam za swój dzisiejszy grafik. A wiesz, że ona człowiekowi dziurę w brzuchu wywierci, jak się z nią precyzyjnie nie umówi.

– Żaden problem. Tyle że mój grafik na dziś też jest dość niepewny. Skąd mam wiedzieć, o której zakończy się to nieszczęsne zebranie? Jeśli zadzwonię do niej i powiem, że przywiozę leki koło osiemnastej, to będzie wystarczająco precyzyjnie?

– Na pewno! – Mela energicznie pokiwała głową. – I nie musisz dzwonić.

– Sprawdźcie, czy w tej reklamówce są też tabletki nasenne – przerwała jej Emilka.

– I dorzućcie, jeśli nie. Przynajmniej trochę spokoju będziemy mieli. I dziadek zresztą też.

– Nie żartuj – mruknął Mirek znad książki. – Chcesz, żeby babcia zasnęła na poranną mszę? Wtedy to dopiero dziadek miałby przechłapanie. I my zresztą też.

– Wstydzilibyście się! – zbesztła ich Amelia i zwróciła się do siostry: – Nie musisz dzwonić do mamy, bo jak z nią rozmawiałam dwie godziny temu, to obiecałam, że wpadniesz koło osiemnastej... – Uśmiechnęła się chytrze na widok zdumionego spojrzenia Wiktorii. – Tak jakoś przewidziałam, że się zgodzisz, i tak jakoś mi wyszło, że o szóstej będziesz już wolna.

– No pięknie. Człowiek śpi i nawet nie podejrzewa, że najbliższe osoby knują za jego plecami!

– Ale za to zrobię zakupy i przygotuję wam taką obiadokolację! – Mela trzy razy cmoknęła złożone palce i zakołysała się w rytmie walca wiedeńskiego.

– Daj spokój! Nie musisz nic przygotowywać. – Studziła ją siostra. – Całe życie zasuwałaś przy rodzicach za siebie i za mnie. Łaski teraz nikomu nie robię.

Amelia dostała ataku śmiechu i zaczęła machać rękoma, jakby chciała uspokoić samą siebie. Wybuch radości był tak potężny i niespodziewany, że Mirek oderwał się od lektury i patrzył na matkę ni to ze zdziwieniem, ni to zgorzaniem.

– Przypomniało mi się à propos twojego: „Łaski nikomu nie robię”... Pamiętacie moją nieszczęsną wpadkę z personaliami–genitaliami? – Wciąż chyba nie nabrała dystansu do tamtej sprawy, bo natychmiast spoważniała. – Klient prosił mnie wczoraj o SMS-a z potwierdzeniem terminu spotkania. Zapytałam, czy mogę zamiast tego zadzwonić, i opowiedziałam, co to diabelstwo wyczynia. – Kiwnęła niechętnie głową w kierunku leżącego na parapecie iPhone’a. – Facet poprosił, żebym się nie przejmowała, bo nic już go nie jest w stanie zaskoczyć. Sam zaliczył jeszcze gorszą wpadkę. Pokłócił się z żoną i wyszedł z domu, trzasnąwszy drzwiami. W pracy dostał od niej SMS-a: „Kino na zgodę?”. Ponieważ był mocno naburmuszony, odpisał: „Rozumiem, że oglądając ze mną film, zrobisz mi wielką łaskę?”. Nie zauważył, że telefon zamienił mu „ł” na „l”. Trzy dni żonę na kolanach przeproszał... – Głos uwiązał Meli w gardle, bo uprzytomniła sobie, że chyba nie powinna była tego opowiadać przy dzieciach. Wprawdzie Wiktoria i Emilka pękały ze śmiechu, ale pełne dezaprobaty spojrzenie syna bardzo ją zdeprymowało. Szybko wróciła do poprzedniego tematu. – A zakupy i obiadokolację zrobię nie dlatego, że chcę ci się odwdziżyć. Masz rację, łaski nikomu nie robisz... – Zamaskowała parsknięcie napadem udawanego kaszlu. – Chcę nią uczyć pierwsze zarobione pieniądze. I to

wcale niemałe!

– Wynajęłaś komuś Zamek Książąt Pomorskich? – Mirek z powrotem schował się za książką.

– Nie. Zamku nikomu nie wynajęłam, ale sprzedałam dom na Gumieńcach, jedno mieszkanie i jeden apartament w Świnoujściu. Dwie transakcje są już klepnięte u notariusza, trzecią sfinalizuję dzisiaj o siedemnastej! A zaraz potem dostaję wypłatę w biurze! Iiiii!!!

– zapiszczała z radości jak dziecko.

– Brawo, siostra! – Wiktoria zaklaskała w ręce, chociaż dużo bardziej wołałaby strzelić siostrzeńca w łeb.

– Brawo, brawo!!! – Emilka wykazywała jeszcze więcej entuzjazmu niż Wika, ale trudno było powiedzieć, ile jest w tym szczerego uznania, a ile chęci wyciągnięcia od matki pieniędzy.

– Co mi za to kupisz, mamuś?

– Zobaczymy... – powiedziała Mela. – Na razie kupię coś na uroczystą obiadokolację, na którą serdecznie wszystkich zapraszam. – Skłoniła się nisko.

– Mamo! Jak będziesz w sklepie, to weź dla mnie puszkę kukurydzy, miks sałat, czerwoną herbatę, otręby owsiane... – wyliczała Emilka, trąc czoło. – I jeszcze ten... no... Zapomniałam!

– Obiadokolacja? Brzmi jak z oferty biura podróży. – Mirek podniósł się z krzesła.

– Dziękuję za zaproszenie, ale niestety nie mogę wziąć udziału w uroczystej obiadokolacji. Po zajęciach jadę do Rafała. Będę u niego nocował. Niemniej gratuluję pierwszej pensji. – Ukłonił się przed matką tak, jak przed chwilą ona się kłaniała.

– No właśnie! Już wiem, mamuś! Pasztet! – Emilka spojrzała przeciągle na brata i uśmiechnęła się zjadliwie. – Dobrze, że wstałeś, bo w życiu bym sobie nie przypomniała. Pasztet!!!

Wiktoria miała wielką ochotę ją uściskać, ale zamiast tego klepnęła się w uda i udając, że nie widzi wzroku, jakim zdruzgotana Amelia odprowadza syna, zagadnęła wesoło do siostry:

– Jestem z ciebie dumna, moja droga! Wygląda na to, że będziesz bohaterką wieczoru. Nie to, co ja! – Skrzywiła się teatralnie. – Najpierw zebranie z cudzymi rodzicami, potem jazda z reklamówką lekarstw do własnych...

– A nie mówiłam, że trzeba wstawać, bo dzień sam z siebie nie zrobi się gówniany?

– Zaśmiała się Emilka. – Wstałaś i masz!

ROZDZIAŁ 12

Lekcje mijały, Wiktoria toczyła ze sobą nieustanną walkę o zachowanie powagi. Najpierw Maciuś odesłany do ławki z sugestią, żeby bardziej się przykładał do nauki, odłożył kredę, a potem z usztywnionymi stawami ruszył spod tablicy, suwając stopami po podłodze i powtarzając monotonnym mechanicznym głosem: *Game over... Game over... Game over... Game over...*

W ciągu następnych czterdziestu pięciu minut okazało się, że szczerbata Sonia chce być w przyszłości policjantem albo złodziejem; Martynka – ta od grzybicy – marzy, żeby wyjść za mąż za Boba Budowniczego, gdyż Bob, całkiem jak tatuś, zawsze daje sobie ze wszystkim radę; natomiast Kacperek, czy chce, czy nie, zgodnie z wolą rodziny zostanie cukiernikiem. Dlaczego? Otóż Kacperek udoskonalił swój tort urodzinowy, ozdabiając go fluorescencyjną plasteliną, która okazała się odporna na wszystkie pasty do zębów.

Na następnej lekcji pyzata Laura (nazywana przez niedoszłego cukiernika Larwą) włączyła się w dyskusję o tym, że ludzie nie zawsze zwracają się do siebie po imieniu.

– No! Moja mama na przykład mówi na tatę „czarodziejski dżin”.

– To bardzo ładnie. Pewnie dlatego, że spełnia każde jej życzenie?

– Nie. Mama mówi, że tata to czarodziejski dżin, bo zjawia się zawsze tam, gdzie jest butelka...

Chwilę wytchnienia gwarantowała lekcja religii. Wika ustąpiła miejsca siostrze zakonnej, a sama przycupnęła w ostatniej ławce i zajęła się uzupełnianiem dziennika. Katechetka tłumaczyła dzieciom porządek kolejnych świąt.

– A potem przychodzi Wielkanoc i malowanie jajek... Co wiecie o Wielkanocy? – Klasa zaczęła się przechwalać swoim bogatym doświadczeniem. – Bardzo dobrze... – przerwała zakonnica. – Ale jest coś ważniejszego od prezentów od zajęczka, malowania jajek, chodzenia z koszyczkiem do kościoła i polewania się wodą. Kiedy idziecie do kościółka święcić pokarm, to co oglądacie? Przy czym klękacie i się modlicie?

– Przy świeczkach!

– Przy jajkach!

– Przy kwiatkach!

– Przy kielbasie!

– Przy koszyczkach!

– Przy grobie Pana Jezusa!

– Bardzo dobrze! Przy grobie Pana Jezusa. – Katechetka odetchnęła z ulgą, doczekawszy się prawidłowej odpowiedzi. – Kiedy idziemy z koszyczkami do kościoła, koniecznie musimy pomodlić się do Syna Bożego, który umarł za nasze grzechy i leży w grobie, czekając na zmartwychwstanie.

– Proszę siostry! – Martynka, przyszła żona Boba Budowniczego, podniosła do góry dwa palce i podrygiwała na swoim krzeselku. – A jak Pan Jezus leży w grobie, to kto za niego przez te trzy dni wisi na krzyżu?

Wiktoria nisko opuściła głowę nad dziennikiem.

– Niezłe aniołki, prawda? – zagadnęła katechetkę, kiedy rozległ się dzwonek na przerwę i wszystkie dzieci wypadły z wrzaskiem na korytarz.

– Prawda! Najbardziej lubię właśnie takie maluchy. A przedszkolaki są jeszcze lepsze. Bo

ja uczę też religii w przedszkolu, tu niedaleko, na Traugutta. Wie pani gdzie?

– Wiem, wiem. – Wiktoria kiwnęła głową. – I co? Przedszkolaki też dociekają, kto zastępuje Pana Jezusa na krzyżu? Siostra wybaczy, ale Martynka okropnie mnie tym rozśmieszyła.

– Żeby tylko takie pytania zadawały! Rodzice w ogóle nie dbają o religijne wychowanie dzieci i nie rozmawiają z nimi na tematy związane z wiarą. Niczego nie wyjaśniają...

– Westchnęła smutno, ale już po chwili się rozpogodziła. – Uwierzy pani, że jak kiedyś zabrałam maluchy do kościoła, do Grobu Pańskiego i zapytałam, co teraz należy powiedzieć, to jeden chłopczyk krzyknął: „Jak się zbudzi, to nas zje!”?

– Przepraszam! – Wika znowu nie potrafiła zachować powagi.

– Nie ma za co. Też mi się wtedy chciało śmiać, musiałam odejść na bok, żeby dzieci nie widziały. No dobrze... – Poprawiła habit tak kobiecym gestem, jakby był sukienką od Versace.

– Będę już szła. Z Bogiem.

– Z Bogiem – W perspektywie zbliżającego się z każdą minutą zebrania takie pozdrowienie wydawało się bardzo na miejscu.

Może dzięki błogosławieństwu zakonnicy wywiadówka nie okazała się taka znowu straszna. Wiktoria obawiała się jej, bo miała być pierwszym poważnym zebraniem po radosnym rozpoczęciu roku szkolnego. Nie wiedziała jeszcze, jacy są rodzice jej uczniów i czy będzie się z nimi dało współpracować równie przyjemnie jak z ich dziećmi. Nauczona doświadczeniem wiedziała, że nie zawsze tak bywa... Na szczęście trafiła na normalnych sympatycznych ludzi. Nie zabrakło jednak przykrych wyjątków.

– Chciałabym się dowiedzieć, jeśli łaska, dlaczego na lekcji nie można mieć włączonej komórki? Pani myśli, że po co kupiłam Laurze telefon?! – Bardzo tęga i bardzo purpurowa na twarzy kobieta odpowiedziała sama sobie, nie dopuszczając Wiktorii do głosu: – Chyba po to, żeby mieć z nią kontakt, gdyby coś się działo, prawdaaa?! – Ze względu na tuszę nie zmieściła się w dziecięcej ławce, więc pokrzykiwała z krzesła ustawionego pod ścianą.

Z doświadczenia Wiktorii wynikało, że im cięższy rodzic, tym sympatyczniejszy, a im chudszy, tym gorsza z niego zadziora. Jak się właśnie okazało, reguła ta nie była do końca prawdziwa. Wyglądało na to, że mama Laury dołoży wszelkich starań, by urozmaicić nudę wywiadówek... Mama Laury? Olśniło ją. Żona czarodziejskiego dżina? Nic dziwnego, że facet pije...

– Przykro mi, ale takie są zasady i nie robimy wyjątków. – Starala się mówić możliwie najzyczliwszym tonem. – Dzieci uwielbiają się bawić komórkami: grają, pokazują sobie zdjęcia albo fotografują się nawzajem...

– Ale ja nie proszę o to, żeby pani pozwoliła Laurze robić zdjęcia! Ja proszę, żeby nie kazała jej pani wyłączać telefonu! To chyba jest jakaś różnica, prawdaaa?!

– Niech mi pani wierzy, że włączony telefon też jest problemem. Klasę potrafi rozśmieszyć samo to, że w środku lekcji w czymś tornistrze rozlega się dzwonek. Komentują melodię, dowcipkują... Jednym słowem: rozpraszają się, co nie jest pożądane, tym bardziej że w ich wieku i tak trudno o dłuższą koncentrację. Nawet w sprzyjających warunkach...

– Nie zauważyłam, żeby moja Laura miała kłopoty z koncentracją. A chyba spędzam z nią więcej czasu niż pani, prawdaaa?

– Oczywiście. – Wiktoria nie przedstawiała grzecznie się uśmiechać. – Dzieci jednak inaczej zachowują się w domu, a inaczej w grupie. Poza tym praca na lekcji wymaga większej mobilizacji, dyscypliny i...

– A jeśli ja się muszę pilnie z Laurą skontaktować?! – Żona czarodziejskiego dzina ani myślała dać za wygraną. – Bo różnie może się zdarzyć, prawdaaa?

– Zgadza się. Dlatego na początku roku szkolnego dałam państwu swój numer, pod który można zadzwonić, gdyby, nie daj Boże, coś się zdarzyło. – Omiotła zebranych wzrokiem. – Jeśli ktoś go nie zapisał, to może powtórzę... – Dyktowała powoli, widząc, że część rodziców skwapliwie chwyciła za długopisy. – Moja komórka jest zawsze włączona...

– A jak pani komórka dzwoni w środku lekcji, to klasa się nie śmieje? Bo mówiła pani, że ich byle dzwonek rozśmiesza, prawdaaa? – drążyła mama Laury.

– Po pierwsze, dzieci wiedzą, że telefon mam włączony właśnie po to, abyście państwo mogli się z nimi skontaktować w wypadku wyjątkowej sytuacji. – Wiktoria zachowywała stoicki spokój, chociaż marzyła o rzuceniu się z pięściami na tę dwustukilową babę. – Po drugie, moja komórka nie dzwoni. Jest ustawiona na wibracje i trzymam ją w kieszeni. Jeśli się odzywa, sprawdzam tylko, czy to ktoś z państwa próbuje się ze mną skontaktować. Jeśli nie, odrzucam połączenie i chowam telefon do kieszeni. – Uznała, że nie ma sensu opowiadać o SMS-ie od Meli, na którego zareagowała dopiero w czasie przerwy, choć bardzo ją zaniepokoił.

– Nie da się jednak ukryć, że z pani telefonem zawsze może się coś stać. Może się zepsuć albo zwyczajnie rozładować, prawdaaa?

– Pani kochana! – Z ostatnich ławek rozległ się zdesperowany męski krzyk. – Chyba już wystarczy, prawdaaa?! Jak się regulamin nie podoba, to zabierz, kobieto, córkę do innej szkoły. Proste, prawdaaa?!

Połowa rodziców spuściła głowy, przygryzając wargi, a druga połowa wybuchnęła śmiechem, oglądając się z zaciekawieniem na siedzącego z tyłu mężczyznę. Wiktoria starała się ze wszystkich sił, by jej twarz nie wyrażała nic oprócz uprzejmej życzliwości. Miała nadzieję, że nie widać po niej uwielbienia dla wybawcy, który po krótkiej, acz burzliwej dyskusji skutecznie uciszył żonę dzina.

Pożegnawszy rodziców, Wiktoria zaczęła zbierać rozrzucone na biurku papiery.

– Proszę mi zdradzić, gdzie się kupuje cierpliwość.

– Ale mnie pan wystraszył! – Spojrzała zaskoczona na niedawnego wybawiciela.

– Myślałam, że wszyscy już wyszli.

– Ja tu zostanę na zawsze. Zaklinowałem się – powiedział, wstając jednak z krzeselka, które sięgało mu do kolan. – Chciałem z panią porozmawiać.

– Tak? – Odłożyła papiery na bok.

– Jestem tatą Martynki.

– O! Bob Budowniczy? – Parsknęła. – Najmocniej przepraszam!

– Słucham? Jaki Bob Budowniczy?

– Raz jeszcze przepraszam. Martynka powiedziała dzisiaj, że chciałyby wyjść za mąż za Boba Budowniczego, bo jest jak tatuś, czyli zawsze sobie radzi. – Chcąc zatrzeć złe wrażenie, zapytała szybko: – A jak grzybica z basenu? Już po wszystkim?

– Skąd pani wie o grzybicy? Prosiłem, żeby nikomu nie mówiła, bo bałem się, że będą ją wytykać palcami. Nie mam pojęcia, jak ją złapała. Zawsze razem na basen chodzimy. Mnie nic się nie stało, a jej się paskudztwo czepiło...

– Proszę się nie martwić. Martynka jest bardzo rezolutna, przekuła porażkę w sukces.

– Wika opowiedziała o podsłuchanej w świetlicy rozmowie i kilku innych popisach dziewczynki, włącznie z pytaniem o zastępstwo na krzyżu.

– Widzę, że wie pani o nas i o naszych dzieciach więcej niż my.

– Opiekuję się po prostu szczerą i pozbawioną zahamowań grupką, w której wszyscy prześcigają się w mówieniu. Taka praca.

– Rozumiem. – Bob Budowniczy pokiwał głową. – Ja właśnie o pracy chciałem porozmawiać. Mojej pracy.

– Słucham.

– Muszę na dwa miesiące wyjechać. Dostałem bardzo intratne zlecenie na Śląsku. Jedna z tamtejszych kopalń powierzyła mi... Mniejsza o to! Nie będę pani zanudzał szczegółami. Problem w tym, że Martynka nie ma mamy... To znaczy ma, ale nie tutaj... Bo moja była żona... – Odchrząknął. – Mówiąc krótko, sam wychowuję córkę. I ten wyjazd stawia mnie w sytuacji bez wyjścia.

– Zabiera ją pan ze sobą?

– Ależ skąd! Kto by się nią zajmował? Już tutaj mam dla niej za mało czasu, a co dopiero tam. Będę w pracy od rana do wieczora, bo zleceniodawcy zależy na terminach. – Machnął ręką. – Zawiozę ją do dziadków. Problem w tym, że oni mieszkają w Gorzowie. Staralem się ich namówić, żeby przyjechali tutaj na dwa miesiące, ale nic nie wskórałem. Ojciec całymi dniami łowi ryby, ale tylko przy ujściu Kłodawki do Warty, bo to, co pływa w Odrze, strasznie ponoć śmierdzi chemią. A matka nie może zostawić stada bezdomnych kotów, które tymi rybami z Kłodawki i z Warty dokarmia. – Westchnął ciężko. – Rozumie pani? Moi rodzice tworzą idealny związek: perfekcyjnie uzupełniają się pod względem zainteresowań. Do tego stopnia, że koty i ryby okazują się ważniejsze niż Martynka.

– Przenosi ją pan do szkoły w Gorzowie? – Wiktoria zerknęła dyskretnie na zegarek, żeby sprawdzić, czy zdąży do matki na czas.

– Nie, nie! – Targał swoją szpakowatą czuprynę. – Chodzi o to, żeby zorganizować mojej córce indywidualny tok nauczania. Żeby przez te dwa miesiące pracowała w domu, a potem wróciła tutaj do szkoły.

– Zrobię, co w mojej mocy. Porozmawiam z dyrektorem, mam nadzieję, że nie będzie robił problemów. Dam znać, jak tylko podejmie decyzję. Cieszę się, że Martynka zniknie tylko na chwilę. Ze swej strony obiecuję wszelką pomoc: może się ze mną kontaktować na Skypie, może pisać, dzwonić... – wypluwała słowa nieco spanikowana: minęła osiemnasta, powinna być już u matki. Licząc na domyślność Boba Budowniczego, wróciła do porządkowania papierów.

– Serdecznie dziękuję! Przepraszam, że zająłem tyle czasu. – Stał przy drzwiach, zanim zdążyła mrugnąć. – Może gdzieś panią podwieźć?

– Poradzę sobie. – Uśmiechnęła się uprzejmie. – Zadzwoń do pana, jak będę już coś wiedziała w sprawie Martynki.

– Bardzo dziękuję! Do widzenia.

– Do widzenia.

Kiedy wreszcie została sama, złapała za telefon i nerwowo wystukała numer. Zamówiła taksówkę, a potem upchnęła wszystkie papiery do przepastnej torby. Wypadła przed szkołę – prosto na mamę Laury odzianą w fioletowy płaszcz rozmiarów trzyosobowego namiotu. Żona czarodziejskiego dzina stała z drugą kobietą i perorowała zawzięcie:

– Cham tak na mnie nawrzeszczał, że przestałam się w końcu odzywać, bo z byle kim dyskutować nie będę! Skandal, pani kochana, żeby moje dziecko chodziło do jednej klasy z tym jego pomietłem! Co z tego dzieciaka wyrośnie? Bez matki się toto chowa i przy takim okropnym ojcu! Nic dobrego z niej nie będzie. Jeszcze wspomni pani moje słowa, pani kochana...

Wiktoria oddaliła się szybko i schowała za żywoplotem, ale wciąż docierały do niej

głośne narzekania. Usłyszała kilka słów także i na swój temat:

– Dwudziesty pierwszy wiek mamy, pani kochana. W niektórych szkołach to już podobno całkiem wycofują zeszyty i niedługo każde dziecko będzie pisać i czytać na takim specjalnym malutkim komputerku. A ona co?! Głupiego telefonu nie pozwala używać. A ile zadaje! Moja Laura nic nie robi, tylko pisze i pisze. I to, nie uwierzy pani, pani kochana, czym ten biedny dzieciak pisze! Ołówkiem!!! Bo ta, pożał się Boże, nauczycielka kazała im tylko ołówkami pisać. Przecież ona ich cofnie w rozwoju i w postępie. Cały świat na komputerach pracuje, a ona co? Zabiera telefony i ołówkiem każe pisać. Za wiele to się tu dzieciaki nie nauczą. Wspomni pani moje słowa, pani kochana...

Wiktoria przysłuchiwała się temu biadoleniu bardziej z rozbawieniem niż ze złością. Jeśli coś ją irytowało, to spóźniająca się taksówka. Aż dziwi, że matka jeszcze nie zadzwoniła z pretensjami... Wychyliła się zza żywopłotu i rozejrzała. Niestety. Zobaczyła tylko kobietę z malutką dziewczynką. Dziecko starało się iść tak, by nie nadeptywać na szczeliny między płytami chodnika, więc stąpało powoli, patrząc uważnie pod nóżki. W pewnym momencie na jego trasie znalazła się odziana w fioletowy płaszcz dwustukilowa zrzęda. Dziewczynka podniosła na nią wzrok i po kilku sekundach osłupiałego milczenia rzuciła się z krzykiem do kobiety, z którą szła:

– Mamo! Ratunku! Buka!!!

Wiktoria zasłoniła usta, żeby stłumić wybuch śmiechu. Po chwili nadjechała upragniona taksówka. Zamieniła z kierowcą kilka zdań na temat coraz gorszych korków, a potem oddała się rozmyślaniom o oryginałach, z którymi przyjdzie jej współpracować przez najbliższe trzy lata: jak nie Bob Budowniczy, to poślubiona dżinowi Buka... Pięknie!

Wysiadając, spojrzała na zegarek i z przerażeniem odkryła, że dochodzi dziewiętnasta. A to będzie gadania...

– No jesteś wreszcie! – Matka powitała ją w przedpokoju, załamując ręce. – Już myślałam, że coś ci się stało. Latam od okna do okna, wypatruję, zamartwiam się. Sama tak chodzisz...

– Przepraszam, zebranie się przedłużyło. I nie chodzę, tylko jeżdżę. Taksówką przyjechałam. Poza tym co miałoby mi się stać?

– Gazet nie czytasz, telewizji nie oglądasz, to i pojęcia o świecie nie masz. Wiesz, ile jest napadów, gwałtów, rabunków?!

– Jeszcze raz przepraszam. I faktycznie zostałam zgwałcona. Wprawdzie tylko psychicznie, ale za to przez Bukę. To się mobbing nazywa teraz, a nie gwałt.

– Nic nie rozumiem. Ale ja już w ogóle mało co rozumiem z tego dzikiego świata... Tak trudno było zadzwonić i powiedzieć, że nie przyjdiesz na czas? – Janina, podobnie jak jej pościel i obrusy, nie rozkrochmała się łatwo. – Czekam z kolacją, wszystko stygnie, a ty nawet mnie nie uprzedzisz!

– Z jaką kolacją? Mela nic nie mówiła o kolacji. Kazała tylko lekarstwa przywieźć.

– Wika podniosła reklamówkę. – Nie mogłam zadzwonić. Wiesz przecież, że miałam zebranie z rodzicami moich pierwszaków. Rozmawialiśmy między innymi o kulturze korzystania z komórek...

– A o kulturze traktowania matki i ojca będziecie kiedyś mówić? Czy może to już wyszło z mody? – Bernard stanął w drzwiach od salonu i przyglądał się córce z ironicznym uśmiechem.

– Witaj, tato. Też się cieszę, że cię widzę... – Wika modliła się w duchu, by starczyło jej cierpliwości. – Ile razy mam przepraszać?! Naprawdę nie mogłam zadzwonić! Zebranie się

przeciągnęło, a potem musiałam jeszcze porozmawiać z ojcem uczennicy, o której wam opowiadałam. Pamiętacie? Tym, co sam wychowuje dziecko, bo żona mu prysnęła za granicę. Jego firma dostała zlecenie na drugim końcu Polski, więc zabiera córkę ze szkoły na dwa miesiące. Musieliśmy się umówić...

– Umówiłaś się z nim? – Janina w ułamku sekundy przeistoczyła się w tokującą samicę perkoza. – Ile on ma lat? Biznesmenem jest, tak? Bo mówisz, że firma... A co ta firma robi? Na kiedy się z nim umówiłaś?

– Mamo!

– Ale czy ty zdajesz sobie sprawę, co to znaczy wiązać się z kimś, kto ma dziecko? Będziesz umiała pokochać jego córkę? Zastanów się dobrze, zanim...

– Zabiera córkę ze szkoły i odstawia ją do swojej narzeczonej, która mieszka w Gorzowie – przerwała, nie mogąc dłużej słuchać matki. – Będziemy się zapewne nieraz kontaktowały w sprawie kolejnych lekcji, jakie Martynka musi przerobić, więc przy okazji zapytam, czy się dobrze zastanowiła i czy zdoła pokochać tę małą.

– Do narzeczonej? Tak szybko sobie narzeczoną znalazł? I czemu aż w Gorzowie? Ładnych kobiet w Szczecinie nie ma czy co? Ech, te chłopcy! Na chwilę z oka ich spuścić, a zaraz obca baba po domu się kręci. – Janina w niczym już nie przypominała tokującej samicy perkoza. Prędej kawkę w agonii. Wzięła od Wiktorii reklamówkę i ruszyła do kuchni. – Rozbierz się, a nie sterczysz w przedpokoju jak kołek w płocie. I chodź szybko, bo kolacja całkiem wystygła. A na przyszłość uprzedzaj, nawet jeśli miałabyś się spóźnić tylko kilka minut. I pamiętaj, że jak po zebraniu nachodzą cię jacyś ludzie, to trzeba mówić, że nie masz czasu, bo jesteś umówiona z ciężko chorą matką.

Wiktoria zdjęła buty i potulnie poczłapała do kuchni. Były same, bo kiedy tylko Janina zaczęła narzekać na chłopów, Bernard czmychnął do pokoju i zajął się oglądaniem meczu.

– Gdybyś uprzedziła, że się spóźnisz, to nie wstawiałabym ziemniaków tak wcześnie. A tak, to całkiem odębiały od stania tyle czasu na gazie. Trudno. Sama sobie jesteś winna, musisz zjeść, jakie są. Nie będę drugi raz obierać i gotować tylko dlatego, że tobie nie chciało się zadzwonić!

– Mamo... – Wiktoria starała się mówić życzliwie i spokojnie, jakby wciąż była na wywiadówce i miała przed sobą rozżloną Bukę. – Skąd ja mogłam wiedzieć, że czekasz na mnie z kolacją? Mela nic o tym nie wspomniała. Powiedziała tylko, że rozmawiałyście rano, i obiecała, że podrzucę ci...

– A czy to nie jest oczywiste, że jak dziecko wieczorem prosto z pracy przychodzi, to trzeba mu dać kolację? – przerwała jej matka. – Trzeba uprzedzać? Jak można się nie domyślać?! Proszę, jedz. Tylko nie narzekaj, że kartofle odębiałe. – Postawiła przed córką talerz, a potem zawołała w kierunku drzwi: – Zjesz ziemniaki z gulaszem?! – Nie doczekawszy się odpowiedzi, zakrzyknęła głośniej: – Beniu!!! Będziesz jadł coś na ciepło?!

Cmokając ze zniecierpliwieniem, Janina ruszyła w stronę pokoju opanowanego przez głos komentatora.

Wika siedziała na taborecie i wpatrywała się z niechęcią w talerz. Nie miała ochoty jeść, choć bynajmniej nie dlatego, że ziemniaki odębiały, cokolwiek to miało znaczyć. Zamierzała wypić szybką herbatę i jechać na uroczystą obiadokolację Amelii. Nie mogła jednak o tym wspomnieć, bo rodzice nie mieli pojęcia, że ich starsza córka podjęła pracę. Początkowo nie pojmowała, dlaczego siostra uprawia konspirację, zamiast chodzić w glorii chwały, ale potem z każdym dniem rozumiała ją lepiej. Zastanawiała się tylko, kiedy w końcu wszystko się wyda.

Pochłonięta obowiązkami zawodowymi Mela często była niedostępna na Skypie, co dość szybko zaniepokoiło Sławka. Wytlumaczyła mężowi, że musi codziennie odwiedzać rodziców, którzy ostatnio niedomagają. Wcześniej czy później ta nieudolna intryga musi runąć...

„Mam nadzieję, że nie będę musiała tego oglądać” – pomyślała Wiktoria, skubiąc surówkę i wsłuchując się w dobiegający z salonu przedziwny potok urywanych zdań.

„Podanie. Doskonały zwód. Przekazanie piłki. Pytałam, czy chcesz ziemniaków? Doskonała akcja. Nie chcę. Podanie. Świetne odebranie. Wciąż jesteśmy w akcji. To może coś innego byś zjadł? Niestety, nie udało się. Piłka szybuje na połówkę przeciwnika. Nie jestem głodny. Ależ fatalna rozgrywka. Nie wiem, o czym myśleli nasi napastnicy. Ale jak zjesz po meczu, to będzie już późno, a to niezdrowo spać z pełnym żołądkiem. Odebranie piłki. Kapitalna akcja. Kapitalne podanie. Nie będę jadł ani teraz, ani po meczu. Podanie. Podanie. Zwód. Zbliżamy się do pola bramkowego. Od obiadu nic nie jadłeś. Jesteśmy przy piłce i nie ma spalonego. Może teraz zdołamy wyrównać. Daj wreszcie spokój i przestań mnie zamęczać. Gool!!!”

Wiktoria czuła, że jedzenie podchodzi jej do gardła. Spoglądając nerwowo na drzwi, wyrzuciła do kosza polane tłustym sosem ziemniaki i zamaskowała je śmieciami. Nie chciała sprawiać przykrości matce, którą mimo wszystko bardzo kochała, ale marzyła o tym, żeby jak najszybciej stąd uciec. Poza tym gubiła się we własnych uczuciach: z jednej strony była zła na ojca za ostentacyjnie krótkie i oschłe powitanie, ale z drugiej było jej go żal. Jak on wytrzymuje w tym domu?

Upychając na dnie wiadra ziemniaki, poczuła dodatkowy wyrzut sumienia: niejedna afrykańska rodzina wiele by dała za to, co ona przykrywa zgniecioną plastikową butelką, kartonem po mleku i starą gazetą.

– Twój ojciec całkiem już zdziwaczał i stetryczał! On się w końcu wrzodów dorobi od tej piłki nożnej... – Głos matki zabrzmiał tuż za nią, więc aż podskoczyła ze strachu. – A po co ty żeś prawie pod zlew weszła? Szukasz czegoś?

– Mamo, dlaczego nie segregujesz śmieci? Czemu wrzucasz do jednego kosza plastikowe butelki i kartony po mleku? Macie przecież pod domem specjalne pojemniki. – Wiktoria czuła, jak płoną jej policzki.

– Dajże spokój z tymi bzdurami! Może jeszcze świniaka kupię, żeby zjadał obierki?

– Janina klapnęła smętnie na taboret. – Tak się martwię... Może mu dziurawca zaparzę?

– A na co jest dziurawiec? – Odetchnęła z ulgą, widząc, że nie została przyłapaną.

– Dziurawiec jest na takie stany, co je teraz właśnie twój ojciec ma.

– Czyli jak się napije, to go odrzuci od piłki nożnej? Dobre! Nie wiedziałam, że wynaleźli takie zioła.

– Dziurawiec jest na nerwy. Teraz, zdaje się, modniej mówić, że na depresję. – Matka ani myślała się uśmiechnąć.

– Na depresję to są antydepresanty, czyli nowocześniejsze i szybciej działające wersje dziurawca. Problem w tym, że psychiatra je musi wypisać, a ojciec do psychiatry nie pójdzie.

Poza tym on w życiu nie połknie tabletki, bo uważa, że leki i choroby są wymysłem spisku zachodnich firm farmaceutycznych i mafii polskich lekarzy.

– Ty się z niego tak nie natrzęsaj. Gazet nie czytasz, nic o świecie nie wiesz. Sami złodzieje w tym kraju. Bandyty i grabieżcy! Co jacyś się dorwą do koryta, to gorsi od poprzednich. A w kraju coraz więcej biedy i coraz większe bezrobocie. Oni sobie biorą premie po kilka milionów złotych, a zwykły człowiek przymiera głodem. Rozkradają tę naszą Polskę, wstydu nie mają...

Wiktoria wstała i zaczęła skradać się do drzwi, bo wiedziała, że za chwilę usłyszysz

wspomnienia z cudownych czasów matczynej młodości, kiedy każdy kończył szkołę, dostawał pracę, żył w spokoju, a będąc na stolku, mógł ukraść co najwyżej kilka cegieł z państwowej budowy. Postanowiła, że pójdzie do łazienki i zadzwoni do Meli po pomoc.

– O czym rozprawiacie? – Bernard wyrósł jak duch na jej trasie.

– Nie mam już siły do tej naszej córki! Nie dość że się spóźniła i nawet nie raczyła mnie uprzedzić, to jeszcze się awanturuje, że śmieci nie rozdzielam. Po co mam rozdzielać? Sam kiedyś mówiłeś, że przeczytałeś w gazecie, że każą segregować, a potem i tak wszystko na wspólne wysypisko wywożą.

– Naprawdę? Naprawdę rozmawialiśmy o śmieciach? – zapytała Wiktoria z udawanym zdumieniem. – A ja myślałam, że o zbawiennym wpływie dziurawca na stetryczenie...

– Czyli rozumiem, że o mnie była mowa. – Ojciec zaśmiał się niezbyt szczerze. – A ta segregacja śmieci też dotyczyła mnie? Gdzie mam się udać, jak już całkiem stetryczę? Do skupu makulatury czy na złomowisko?

– To co? – Janina poderwała się z taboretu. – Zaparzę ci ziółek. Może melisę?

– Ani mi się waż! – Otworzył lodówkę i z uwagą lustrował półki. – Piwa szukam.

Skończyło się? Przecież kupowałem ostatnio...

– Jest, ale wyjęłam z lodówki, bo nie powinieneś zimnego pić. W ogóle nie powinieneś, ani zimnego, ani ciepłego. Szczególnie przed snem.

– A niby czemu? Bo zsikam się do łóżka?! – Bernard wziął się wojowniczo pod boki.

– Nie martw się. Pęcherz mi jeszcze działa! I jakim snem? Zaraz druga połowa meczu, a potem *Polowanie na Czerwony Październik*. Już kiedyś widziałem. Nie pamiętam szczegółów, ale pamiętam, że dobre było i trzymało w napięciu do ostatniej chwili. Gdzieżeś mi schowała to piwo?!

– O czym ten film? – Janina z wyraźną niechęcią sięgnęła do szafki i podała mężowi butelkę. – Może też obejrzę?

– Nie wiem, czy ci się spodoba, bo to polowanie nie ma nic wspólnego z polowaniem na chłopa. Daj jeszcze jedną.

– Po co? W twoim wieku nie można tyle pić! Zaraz ci dziurawca zaparzę. I melisy...

– Jak nie mogę tyle pić, to nie zaparżaj. Wypiję piwo. A dziurawiec z melisą połknę w fusach. Przestań mnie wreszcie traktować jak niedołęznego dziada!

– A tobie się wydaje, że kim niby jesteś? Młodzieniaszkiem? Marzy ci się, co? Chciałaby dusza do raju, ale grzechy nie dają!

Wika słuchała tej rozmowy i robiło jej się coraz bardziej przykro. Kiedy była małą dziewczynką, a potem nastolatką, uważała swoją rodzinę za idealne stadło, w którym każdy ma swoje miejsce i swoje zadanie – tatuś zarabia i dowodzi, mamusia się troszczy i pilnuje domowego ogniska, a ona z Amelią się uczy, poddając się rządcom tatusia i trosce mamusi; Wiktoria, co prawda, z większym oporem. Doskonale pamiętała rodziców, którzy prawili sobie czułości, a ich niegroźne przekomarzania kończyły się zawsze tak samo: ojciec brał matkę na kolana i dotąd trzymał ją w stalowym uścisku, aż zaczynała się śmiać i wtulała się w niego z miłością. Kiedy i dlaczego zmienili się w parę zgorzkniałych i niemal obcych sobie ludzi? Miała wrażenie, że wina nie leży po stronie ojca, ale było to tylko subiektywne odczucie. Z niezrozumiałych względów kochała go bardziej niż matkę, co było irracjonalne, zważywszy, że nigdy jej nie akceptował i niejednokrotnie jasno dawał do zrozumienia, że nieustannie go rozczarowuje.

– Nie wiem, dlaczego dałem ci na imię Wiktoria – powtarzał, strofując dorastającą córkę.

– Kiedy przyszedł na świat, to były takie czasy, że miało wyjątkowe znaczenie.

– A gdybym się dzisiaj urodziła, to dałbyś mi na imię Porażka albo Klęska?!

– Wybuchła płaczem i zamykała się w pokoju, trzaskając drzwiami z całych sił.

Nigdy nie przyszedł jej przeprosić czy choćby przytulić. W przeciwieństwie do matki, która zawsze spieszyła z dobrym słowem... A mimo to, przysłuchując się teraz rozmowie rodziców, zdecydowanie bardziej czuła się zniesmaczona jej postawą. Odnosiła wrażenie, że matka postanowiła zdręczyć ojca bezgraniczną dobrocią, która jednak nie wypływa z potrzeby serca, ale stanowi formę dziwnego samobiczowania.

– Idę na drugą połowę. – Bernard wziął butelki pod pachę i na odchodnym z kuchni powiedział do małżonki: – A ty się nie interesuj ani mną, ani meczem, ani *Czerwonym Październikiem*. Ósma jest. Twój ulubiony program się zaczyna. Wiktorii też na pewno się spodoba.

– Ach! Faktycznie! – Matka pociągnęła ją za rękaw. – Niech ojciec sobie ten mecz ogląda, a my chodźmy do drugiego pokoju. Widziałaś kiedyś *Obnażmy ludzkie życie*?

– Nie. Nie widziałam. To ty idź, a ja zaraz dołączę. Tylko do toalety na chwilę skoczę, dobrze?

– Dobrze. Ale szybko przyjdź, bo początek najważniejszy!

Ongiś idealne stadło rodzinne rozdzieliło się na trzy pomieszczenia: Bernard siedział w salonie, Janina poszła do drugiego pokoju, a ich córka zatrzasnęła się w łazience.

– Mela?! Ratuj! Zabierz mnie stąd! – chrypiała w słuchawkę dramatycznym szeptem, a żeby mieć pewność, że nikt jej nie słyszy, puściła pełnym strumieniem wodę w umywalce.

– Czuję się, jakbyś mnie na karuzelę wysłała! Wymyśl coś!

– Nie mogę. Mam cielęcinę w piekarniku... Aż tak źle? Tata po tobie jeździ?

– Nikt po mnie nie jeździ i gównu mnie obchodzi twoja cielęcina! Czy ty słyszysz, co ja mówię? Ratuj!!!

– No... mogłabym przyjechać... – wahała się Amelia. – Tak niby mimochodem bym wpadła... Ale co z cielęciną?

– Wyrzucę ją do śmieci, jak nie będziesz widziała. Mam w tym wprawę. I weź się zastanów, czy aby dobrze się słyszysz: ja cię proszę o ratowanie życia, a ty się martwisz o kawałek dawno nieżyjącego cielaka. Widzisz różnicę?!

– Jak to do śmieci? Czemu chcesz wyrzucać taki ładny kawałek mięsa? Specjalnie jechałam do rzeźnika na Niebuszewie. Tego, wiesz...

– Mela!!! – Na wszelki wypadek spuściła też wodę w sedesie.

– No dobra... Będę za jakieś pół godziny. Poproszę Emilkę, żeby przypilnowała piekarnika, ale Bóg jeden wie, czym to się skończy.

– Spiesz się! I nie patrz na światła.

– Nigdy nie patrzę. Zbyteczna uwaga...

– Dzięki! – Wika zakręciła wodę i rażnym krokiem wyszła z łazienki.

– Szybko, już się zaczęło! – Janina nerwowo naciskała guziczki pilota, aż w końcu sapnęła triumfalnie i wbiła oczy w ekran. – Bardzo ciekawe...

– O czym?

– O życiu, dziecko kochane, o życiu. Ty to powinnaś każdy odcinek oglądać, bo ty o życiu pojęcia nie masz. A wszystko na prawdziwych wydarzeniach kręcone!

Wiktoria oparła głowę o miękki wałek i z rosnącym zdumieniem patrzyła na coś, czego nie umiała zdefiniować i pojąć.

– To jest jakiś casting? Jakiś teleturniej? – Starła się zrozumieć. – Wysła się na nich SMS-y czy jury ich niszczy?

– Ćś!!! To są sfilmowane sytuacje z życia wzięte. Nie przeszkadzaj!

Nie przeszkadzała zatem. Zrozumiała, że historia dotyczy faceta, który stracił robotę. Odtwórca głównej roli miotał się po ekranie, wykrzykując: „Jestem wstrząśnięty! Jestem wstrząśnięty! Pod żadnym pozorem nie mogę tego powiedzieć Anecie! Ojej, ojej! Ależ jestem wstrząśnięty!!!” .

– On chyba jakiś poważny wypadek samochodowy miał, co nie?

– Skąd wiesz? – zapytała matka, nie odrywając wzroku od telewizora. – Tylko na kilka pierwszych minut się spoźniłam, ale może coś mi umknęło. Dlaczego myślisz, że miał wypadek?

– No bo tak nienaturalnie się porusza i macha rękoma, jakby mu wszystkie stawy implantami zastąpili. – Zaczęła naśladować przesadną gestykulację, która bardziej przypominała ruchy robota niż człowieka. – Błądnik też mu chyba przy tym wypadku wysiadł i dlatego tak się bezładnie tłucze z kąta w kąt.

– Niemożliwe, żebyśmy tyle przegapili... Ale zaraz się dowiemy, bo po przerwie na reklamy najpierw przypominają wszystko, co było przed reklamami, a dopiero potem puszczają ciąg dalszy.

Wiktoria poczuła coś na kształt zawstydzenia. Zrugła się w myślach i postanowiła nie otwierać ust do końca zadziwiającego programu, który ścinał jej biało w mózgu. Akcja rozwijała się dynamicznie... Główny bohater nie zdołał ukryć przed żoną tego, że stracił pracę. Aneta była wstrząśnięta. „Ależ jak to możliwe? Co teraz będzie? Co to teraz będzie?! Jak my będziemy żyli? Jestem zrozpaczona! Jestem taka zrozpaczona!!!” Kiedy ukryła twarz w dłoniach i zapłakała rozdzierająco, w tle rozbrzmiał spokojny, rzeczowy głos lektora: „Aneta jest zrozpaczona informacją, że Krzysztof stracił pracę, i zastanawia się, jak poradzą sobie w dalszym życiu”. Lektor zamilkł, Aneta dla odmiany szlochała coraz głośniej. Jej partner życiowy robił, co mógł, by ją pocieszyć: „Nie chciałem ci o tym mówić, bo miałem nadzieję, że szybko znajdę nową pracę. Nie bądź zrozpaczona, bo na pewno sobie jakoś poradzimy w dalszym życiu”. Tulił żonę w ramionach, a ona wciąż płakała. Na dole ekranu pojawił się napis: „Czterdziestoletni Krzysztof, chociaż sam jest wstrząśnięty, stara się pocieszyć zrozpaczoną żonę”.

– Po co oni dają te komentarze? – Wiktoria złamała śluby milczenia i spojrzała na matkę nie mniej wstrząśnięta niż Krzysztof i nie mniej zrozpaczona niż Aneta. – To jakiś program pokonujący bariery społeczne? Lektor mówi do niewidomych, a napisy są dla głuchoniemych?

– Ćś!!!

Krzysztof i Aneta zdecydowali, że wobec zaistniałego stanu rzeczy nie mogą sobie pozwolić na luksusy: zrezygnowali z wynajmowanego mieszkania i zamieszkali u matki Anety, która była stereotypową teściową, nigdy nie przepadała za zięciem i od początku wiedziała, że co jak co, ale jego córka zasługuje na lepszego faceta. „Trzydziestoosmioletnią Anetę męczą awantury, jakie wybuchają codziennie pomiędzy jej mężem i matką” – niezmiennie spokojnym i rzeczowym tonem objaśniał lektor. „Krzysztof nie rozumie, dlaczego matka Anety wciąż we wszystko się wtrąca” – informował napis u dołu ekranu.

Wiktoria westchnęła cicho, raz i drugi. Pierwszy raz dlatego, że musiała to oglądać, a drugi dlatego, że doskonale wiedziała, o co chodzi z tą wtrącającą się we wszystko matką.

Akcja nabrała tempa, nastąpiła sekwencja niespodziewanych wydarzeń: Krzysztof znalazł superposadkę, tyle że w firmie swojej byłej dziewczyny, więc ukrywał to przed żoną, chociaż jedyne, co szefowej robił, to faktury. Aneta, która w międzyczasie stała się zupełną frustratką, nabrała przekonania, że na fakturach się nie kończy. „Sugestie matki dodatkowo podsycają wątpliwości w umyśle młodej mężatki” – dał o sobie znać stoicki lektor.

– Jakiej znowu młodej mężatki?! – oburzyła się Janina. – Prawie czterdziestkę na karku ma przecież! Ten świat już całkiem stanął na głowie...

Na koniec, pod wpływem judzącej matki, trzydziestoosmioletnia Aneta obraziła Krzysztofa podłymi oszczerstwami, więc spakował walizy i wyprowadził się do siostry, którą poinformował, że nie ma się gdzie podziąć, ponieważ odszedł od Anety, chociaż ta, jak się właśnie okazało, jest w ciąży. Marta, siostra Krzysztofa, postanowiła pogodzić zwaśnionych małżonków. Z filmu wynikało, że czyni to z miłości i empatii, ale Wiktoria miała inne zdanie na ten temat. Kto normalny wytrzyma w domu z facetem, którego żona jest w pierwszym trymestrze ciąży? Siostra odniosła sukces. „Marta wyjaśnia Anecie, że Krzysztof kocha tylko ją, co Anetę bardzo cieszy” – poinformował napis i już po chwili cały ekran wypełniła twarz Anety, krzyczącej wprost do kamery: „Ach, jaka jestem szczęśliwa! Już wiem, co w moim życiu jest najważniejsze! Wreszcie zrozumiałam, że dla mnie liczy się tylko mąż i nasze nienarodzone dziecko. Jestem taka szczęśliwa!”.

– No widzisz, jakie to wszystko prawdziwe i ciekawe? Bywają takie niedobre matki, które chcą rozbić małżeństwo swoich dzieci, oj, bywają... Mela powinna docenić, jacy my z ojcem zawsze byliśmy dobrzy dla Sławka. Od początku go pokochaliśmy jak swojego syna, chociaż charakterek to on ma, że ho, ho! – Janina jedną dłoń położyła na pilocie, a drugą na piersi. – Serce mnie tylko boli o to, żebyś ty sobie los jakoś ułożyła. Mogłabym już wtedy spokojnie umrzeć... A wiesz co?! Ze trzy dni temu w *Obnażmy ludzkie życie* był odcinek o takiej jak ty. Opowiem ci zaraz...

– Muszę do toalety! – Wika poderwała się na równe nogi. – Ale zaraz wrócę i chętnie posłucham.

Zamknęła za sobą drzwi od łazienki, odkręciła wodę i sięgnęła po komórkę. Czekając na połączenie, przysunęła twarz do lustra i przyglądała się swemu odbiciu. Stroiła przy tym głupie miny, mamrocząc półgłosem:

– Trzydziestoosmioletnia Wiktoria jest wstrząśnięta. Próbuje dodzwonić się do siostry, która nie odbiera telefonu. Wiktoria zaczyna podejrzewać, że siostra uciekła za granicę z nielegalnie przywłaszczonymi pieniędzmi, które uzyskała ze sprzedaży domu, oraz z cielęcą pieczeńią. Czy podejrzenia Wiktorii okażą się słuszne?

– No co tam? – Usłyszała w końcu wesoły głos Meli. – Zmiana planów? Spodobało ci się i zostajesz u rodziców na noc?

– Bardzo śmieszne! Gdzie ty jesteś, do jasnej cholery?!

– Wybacz, ale na kilku światłach musiałam się jednak zatrzymać, boby mi prawo jazdy zabrali. Już podjeżdżam. Będę za pięć, sześć minut...

– To chwała Bogu! – Wiktoria odetchnęła z ulgą. – Pospiesz się!

– Tak właśnie po drodze myślałam, że jeśli wejdę, to utkniemy tam na kolejne dwie godziny...

– Nawet tak nie żartuj!!!

– No właśnie. – Zaśmiała się Amelia. – Tym bardziej że zostawiłam w domu dość niebezpieczny zestaw, czyli zresetowaną córkę, rozgrzanego do czerwoności cielaka i włączony piekarnik. To nie może skończyć się niczym dobrym. Dasz radę wyautować się od rodziców, nie wspominając, że jestem pod oknem?

– Postaram się. Chociaż lekko nie będzie...

Faktycznie, lekko nie było. Wiktoria musiała się nieźle nagimnastykować.

– Mela! Co tam się dzieje?! Co się z nimi stało? – zapytała, kiedy w końcu wsiadła

do samochodu i ruszyły z piskiem opon.

– Nie wiem. Nie pytaj mnie. – Amelia puściła kierownicę i rozłożyła bezradnie ręce.

– Najważniejsze, że się urwałaś. O czym teraz marzysz? Mam nadzieję, że o mojej cielęcinie?

– Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. Marzę o tym, żeby odreagować ten dzień.

Twoja cielęcina na pewno jest fantastyczna, ale potrzebuję mocniejszych doznań. Pozwolisz, że zanim siądziemy do kolacji, napiszę do Witka i umówię się z nim na pierwszy wolny termin?

– Jasne. Grunt, że wreszcie mamy wieczór i najgorsze za nami.

– No! – Wiktoryę trzymały w pionie tylko pasy bezpieczeństwa. – Twoja Emilka miała rację, kiedy mnie dzisiaj rano budziła z okrzykiem „Wstawaj, ciotka, bo dzień sam z siebie nie zrobi się gówniany!”. Miała rację. Opowiem ci dokładnie przy kolacji. O fluorescencyjnej plastelinie w torcie, o Bobie Budowniczym, o zastępstwie na krzyżu, o Buce i jej czarodziejskim dzinie, o tym, co zobaczyłam i usłyszałam od rodziców moich uczniów i u naszych rodziców...

ROZDZIAŁ 13

Wiktoria zbliżała się powoli do placu Orła Białego. Na środku stała fontanna, przy której miała spotkać się z Witkiem. Wybrała to miejsce, kiedy przeczytała, że zaplanowano tu na dzisiaj Operowe Powitanie Jesieni.

– Jezus Maria! Jesteś amatorką muzyki poważnej? – Wystraszył się. – Uprzedzam, to nie moje klimaty. Znam tylko jeden kawałek Mozarta: ten, który dają w telewizji na reklamie papieru toaletowego. Nie wiem nawet, jaki ma tytuł, ale pamiętam, że trwa jedną rolkę... Czy już wystarczająco się skompromitowałem?

– Bez paniki. Gdybym była amatorką muzyki poważnej, to ciągnęłabym cię do filharmonii, a nie w miasto. – Uspokoila go ze śmiechem. – To impreza dla takich właśnie jak my laików. Mają być same fajne i wszystkim znane kawałki. Kto wie? Może zagrają też ten, który trwa jedną rolkę? Pamiętaj, że to nie będzie opera, tylko raczej festyn. Chcą ludzi zabawić, a przy okazji odchamić. Rozumiesz? Scena, występy, orkiestra, baloniki na druciku, karuzela...

– Okej, przekonałaś mnie. Odrobina odchamienia jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Poza tym czego się nie robi dla pięknej kobiety, prawda?

– Dla muzyki, mój drogi. Dla pięknej muzyki!

– Muzyka, nawet najpiękniejsza, może być tylko tłem dla kobiety. – Zniżył uwodzicielsko głos, ale już po chwili wrócił do swojego zwykłego chłopięcego tonu. – To o której, piękna kobieto, się spotkamy?

– Może za piętnaście szósta? Zaczynają grać o szóstej.

Zbliżając się do umówionego miejsca, Wiktoria coraz bardziej wątpiła w sensowność swojego pomysłu. Tłum z każdym krokiem gęstniał i zastanawiała się, czy dadzą radę się w nim odszukać. Na placu było jeszcze gorzej: musiała przeciskać się przez wielokolorową cizbę między rozstawionymi pod sceną ławkami. Starła się dotrzeć do fontanny zwieńczonej rzeźbą ogromnego orła z rozpostartymi skrzydłami i dumnie uniesioną głową. Mamrocząc pod nosem „Przepraszam... przepraszam... przepraszam...”, dojrzała wreszcie do celu. Dolna misa fontanny miała kilka metrów średnicy. Wiktoria obchodziła ją powoli i ze względu na ścisk zaglądała w twarz każdej mijanej osobie. Czuła takie samo zażenowanie jak wtedy, gdy Mela i Anka zakładały jej konto na portalu.

– Witek? – zapytała mężczyznę, który wprawdzie w niczym nie przypominał faceta ze zdjęcia w Internecie, ale uśmiechnął się, kiedy przechodziła obok, i mrugnął zachęcająco.

– Nie! Boguś jestem! – Zarechotał rubasznie, rozpylając w powietrzu zapach świeżo wypitej wódki. – Ale dla ciebie, lalczko, mogę być i Witek!

Miała dość. Postanowiła uciekać. Spuściła głowę i powtarzając „Przepraszam... przepraszam... przepraszam...”, ruszyła przed siebie najszybciej, jak się w tych warunkach dało.

– Wiktoria?! – Ktoś złapał ją za łokieć i lekko pociągnął w swoją stronę. – To ty?

Podniosła wzrok i odetchnęła z ulgą.

– Tak, ja...

– Nieżle to sobie wymyśliłaś. – Cmoknął ją w policzek. – Chciałaś sprawdzić, czy mam zmysł orientacji i nie cierpię na fobię społeczną?

– Wiem... Masakra jakaś... Przepraszam... Właśnie miałam stąd zwiewać...

– Za co tu przepraszać? I czemu zwiewać? Bardzo fajnie jest! Chodź, pójdziemy poszukać miejsca na ławce. – Złapał ją za rękę i torując sobie drogę w tłumie, ruszył w stronę sceny, na której muzycy stroili już instrumenty, a konferansjer dmuchał w mikrofon i wciąż liczył od trzech do jednego. Szła za nim potulnie jak dziecko. Witek co chwila odwracał głowę i zagadywał wesoło.

– Stałem pod tą fontanną i śmiałem się, że orzeł wciąż jest na swoim miejscu.

– Nie rozumiem... – Wiktorii wciąż dokuczał dziwny wstyd, który pogłębiało to, że nie była w stanie zbudować jednego sensownego zdania.

– No coś ty?! Przecież to stara szczecińska legenda! W Pałacu Pod Globusem, tym obok fontanny, przez parędziesiąt lat było Liceum Medyczne, co nie?

– Mhm...

– No właśnie. I legenda głosiła, że jeśli jakaś pielęgniarka skończy je jako dziewczica, to orzeł odleci. Nie słyszałaś?

– Nie...

– Jak widać, orzeł ma się dobrze. Teraz tam jest coś innego, nie?

– Akademia Sztuki... Chyba...

– Akademia Sztuki? Czyli ptaszysko tym bardziej będzie dożywotnio tkwić na cokole i płuć wodą. Artystki są jeszcze lepsze od pielęgniarek. – Zatrzymał się przy długiej ławce, która wprawdzie była zajęta, ale ludzie siedzieli w okazałych odstępach. – Najmocniej państwa przepraszam! Nie dalibyscie państwo rady ścieśnić się troszeczkę? Z obliczeń mi wynika, że gdyby każdy przesunął się o pół poślada, to nasze cztery akurat by się zmieściły. Tylko proszę nie przesadzać z tym robieniem miejsca. Chciałbym mieć jakiś pretekst, żeby przytulać się do mojej dziewczyny. – Odsunął się o krok i zaprezentował stojącą za nim Wiktorię. – Chyba nikogo to nie dziwi, prawda? A przynajmniej siedzących tu panów...

– Co ty...?! – syknęła, chowając się z powrotem za jego plecy.

– Miejsce na ławce nam robie. – Przyciągnął ją do siebie i otoczył ramieniem, a potem szepnął prosto do ucha: – Gawiedź uwielbia patrzeć na zakochanych!

– Nie jestem w tobie zakochana – skleciła wreszcie kompletne zdanie.

– Ja w tobie też nie. Ale widzisz, jakie to skuteczne? – kiwnął głową w kierunku uśmiechających się panów oraz pań, które brały na kolana swoje torebki i przesuwały się gorliwie po drewnianych szczebelkach. – Proszę, skarbie... – powiedział ostentacyjnie głośno i wskazał dłonią opustoszały kraniec ławki, a potem zaszeptał, wsuwając nos w jej włosy: – I przytul się do mnie. Musimy być wiarygodni, bo nas wygonią.

– Ani mi się śni! Nie tulę się do facetów za kawałek ławki. – Powoli odzyskiwała zdolność mówienia.

– A za co się tulisz? – Popatrzył zaczepnie.

– Oj, Wituś, Wituś... – Pokręciła głową, wzdychając bezradnie. W tym momencie scena rozbłysła wielokolorowymi światłami, a na środku stanął konferansjer. Zaczął od przedstawienia szczecińskich filharmoników, którzy zostali nagrodzeni gromkimi brawami, a potem zaprezentował program rozpoczynającego się wieczoru z muzyką lekką, łatwą i przyjemną. Zgodnie z jego obietnicą kilka pierwszych występów rzeczywiście mogło sprawić satysfakcję nawet tym, którym słoń na ucho nadepnął.

Wiktorii oswajała się powoli z obecnością obcego w gruncie rzeczy mężczyzny. Wyglądał dokładnie tak jak na zdjęciach, które widziała w Internecie, i tylko jedno jej się nie zgadzało. Miała pewność, że skłamał, pisząc, iż mierzy metr osiemdziesiąt. Ze względu na swój wybujały wzrost potrafiła szybko ocenić wzrost innych i dawała mu góra metr siedemdziesiąt pięć. Nie założyła butów na obcasie, a kiedy szli blisko siebie, był najwyżej dwa centymetry

wyższy niż ona.

W sumie nie miało to żadnego znaczenia. Tak jak się spodziewała, nic w niej na jego widok nie drgnęło, bo suwerenne dachowce nie były w stanie wzbudzić w niej żadnych drgań...

Z drugiej strony mimo braku większych emocji nie miała wątpliwości, że szybko Witka polubi i chętnie spędzi z nim nie tylko ten wieczór. Był bardzo bezpośredni, nawet ciut za bardzo, jak na jej gust, i przede wszystkim – dowcipny. Co chwila rozbierał ją komentarzami na temat występów. Kiedy na scenie pojawiła się diwa operowa i zaczęła śpiewać wibrującym sopranem, zasłonił uszy i jęknął: „Nie da się jej przewinać? Albo chociaż przyspieszyć? Niech ona tak na mnie nie śpiewa, bo mi bębenki rozwali!”.

– Szanowni państwo. – Konferansjer wskazał artystkę, która skończyła pierwszy występ.
– Za chwilę nasza primadonna wykona dla państwa utwór będący połączeniem muzyki Karola Loewe i poezji Adama Mickiewicza...

– Co powiedział? – Wiktoria nie dosłyszała.

– Że primadonna wejdzie za chwilę na level Mickiewicza. – Złapał ją za dłonie.

– Witeczko, a może już starczy tego odchamiania, co? Może też powinniśmy wejść na wyższy level? Nie masz ochoty na jakąś kolację z lampką wina?

– Chętnie. – Zgodziła się bez wahania, bo już trochę zmarzła. – No to prowadź na ten wyższy level. – Podniosła się z ławki i ruszyła, naśladując wracającego spod tablicy Maciusia.

– *Game is over... Game is over... Game is over... Game is over...*

– Mam nadzieję, że mówisz to do primadonny, a nie do mnie? – Znowu ciągnął ją za sobą, lawirując między obstępującymi scenę ludźmi.

Czuła, że zarówno w jego miłych słowach, jak i w dotyku nie ma żadnej intymności. Prawił komplementy i plótł trzy po trzy, bo taki miał sposób bycia, a trzymał ją za rękę tylko po to, żeby się nie zgubili w gęstym tłumie.

„Zdaje się, że i w niego nie trafił grom z jasnego nieba” – pomyślała nie bez ulgi. Liczyła na zwykłą miłą znajomość. Potrzebowała towarzystwa. Po odejściu od Pawła przebywała pod skrzydłami Meli niczym uciekinier w obozie dla uchodźców, wiedziała jednak, że to nie jest cel podróży, a zaledwie pierwszy etap. Musiała zacząć organizować swoje nowe życie, wypełniać je nowymi twarzami, nowymi zdarzeniami, nowymi planami... Musiała wyjść z bunkra!

Po kilku minutach szli wreszcie normalnie obok siebie, więc mogła mu się lepiej przyjrzeć. Był niższy od niej. Zastanawiała się, dlaczego wcześniej wydawał się tego samego wzrostu, i w końcu zrozumiała, że przedzierał się przez tłum na palcach, wypatrując najpierw wolnej ławki, a potem najkrótszej drogi, którą mogliby się wydostać z ciżby. A to Wituś Sprytuś... Śmiała się w duchu, że oto właśnie jedną z ulic Szczecina idzie trzydziestosześcioletnia kobieta z mężczyzną, który ma metr osiemdziesiąt. I jak tu wierzyć Internetowi?!

Zorientowała się też szybko, że Witek toczy nierówną walkę ze swoim wiekiem. Ubrany był... szukała w myślach właściwego określenia... drogo, firmowo i bardzo młodzieżowo. Musiała jednak przyznać, że ten styl idealnie pasował do jego osobowości. Opowiadał o wypasionej sportowej bryce, którą uwielbia jeździć, łamiąc wszelkie ograniczenia prędkości, o ciągłych imprezach z kumplami, o ulubionych nocnych klubach, o nienadążającym za grammi starym, rocznym już laptopie i o niezliczonej rzeszy znajomych, z którymi latem zwiedza pool bary, a zimą – alpejskie puby.

Opisywał ten zupełnie obcy Wiktorii świat z takim entuzjazmem, że w pewnym momencie poczuła się, jakby była jego matką, i miała nawet ochotę go upomnieć, że nie

powinien jeździć zbyt szybko, bo się doigra, i nie powinien za dużo pić, bo nie urosnie.

Wybrana przez Witka knajpa na starym mieście pasowała do jego wyglądu i opowieści. Średnia wieku klienteli nie przekraczała trzydziestu lat, a z głośników dobywało się ymcyk-ymcyk-dżdż-dżdż-dżdż-ymcyk-ymcyk, takie samo jak to, którego wiecznie słuchała Emilka.

– Jak ci się podoba? – zapytał, otwierając drzwi i puszczając ją przodem.

– Fajnie. Tylko ta muzyka... Trochę głośna.

– No wiesz co?! – Zaśmiał się. – Na pewno cichsza od twojej primadonny. Ona mi chyba swoją arią uszkodziła lewe ucho. Dzwoni mi w nim i jakoś słabiej na nie słyszę. – Prowadząc Wiktoria do jedynego wolnego stolika, kiwał głową na boki i przesyłał pozdrowienia: – Cześć, Krzysiu! Siema, Iwonka! Cześć, Brydzia! Hejka, Piotruś! Cześć wam!

– Znasz tu wszystkich? – Poczuli się dość niepewnie, widząc, jak tamci machają do niego i przyglądają jej się z zaciekawieniem.

– Bez przesady. Tylko stałych bywalców, jak ja. Nie lubię siedzieć sam w domu, to wpadam tutaj w wolnym czasie. Zawsze jest z kim pogadać...

Kiedy dotarli do stolika w rogu, Wiktoria zatrzymała się i popatrzyła niepewnie.

– Chyba źle trafiliśmy. – Wskazała brązowy kartonik ze złotym napisem RESERVED.

– Ze mną nigdy źle nie trafisz. – Zdjął karteczkę z blatu i schował do kieszeni.

– Przewidziałem, że plan A, czyli Operowe Powitanie Jesieni, wcześniej czy później mnie przerośnie. Dlatego przygotowałem z góry plan B i zrobiłem rezerwację.

– A co, jeśli mnie przerośnie plan B?

– No wiesz... Mam jeszcze plan C, ale boję się, że jak ci o nim powiem, to w pysk dostanę. – Mrugnął łobuzersko. – Na co masz ochotę? Wino? Piwo?

– Niech będzie piwo. – Wiktoria rozejrzała się po lokalu i wybrała to, co pili wszyscy.

– Z kija? Z butelki? I jakie? Bo mają tu też te paskudztwa pokaleczone malinami, cytrynami i nie wiem czym jeszcze.

– Wszystko mi jedno. A ty? Co będziesz pił?

– Zawsze biorę bosmana. To mój jedyny przejaw lokalnego patriotyzmu.

– Masz rację, trzeba wspierać rodzimą produkcję. Też poproszę.

– Już się robi, księżniczko. – Skłonił się po sam blat, a potem pomachał do młodziutkiej kelnerki w białej bluzce i kusej czarnej spódnicy. – Monia! Podejdź do nas?! – Kiedy Monia pojawiła się przy stoliku, pogwarzył z nią chwilę i złożył zamówienie: – Przynieś nam, kochanie, dwa czerwone bosmany i coś do pochrupania, okej?

– Chipsy, paluszki, orzeszki? – Kelnerka taksowała ją wzrokiem. Wiktoria była pewna, że jest właśnie porównywana z kobietami, które Witek wcześniej tu przyprowadzał. Po raz kolejny dopadło ją zażenowanie, poczuła się jak klacz z Janowa Podlaskiego...

– Daj wszystkiego po trochu. A co?! Na bogato, jak mawia bezrobotny, stawiając krakersy na stół.

Kelnerka wybuchła głośnym śmiechem i oddaliła się za bar. Wiktoria, w przeciwieństwie do Moni, nieszczególnie się ubawiła. Próbowwała przypomnieć sobie słowo, którego użyła Emilka, kiedy leszcz w ogrodniczkach zniesmaczył ją swoim dowcipem... Jak to było? Sprzedał suchara?

– Witeczko! Coś taka sztywna?

– Nie jestem sztywna, tylko według mnie suchara sprzedajesz. – Postanowiła sprawdzić, jak bardzo jest młody duchem. Zrozumie?

– Nie lubisz żartować z bezrobotnych? Masz kogoś takiego w rodzinie? – Zrozumiał.

- Nie mam.
- A ty? Byłaś kiedyś bez pracy? – Kiedy zaprzeczyła, pokiwał głową i nagle spoważniał.
- A ja byłem. Osiągnąłem najwyższy stopień desperacji.
- To znaczy?
- Codziennie kupowałem gazetę i czytałem nekrologi zamieszczane przez firmy żegnające swoich pracowników, a potem szybko wysyłałem do tych firm aplikację.
- Wygłupiasz się?
- Oczywiście! To kolejny suchar! – Zaśmiał się serdecznie. – Ja nie z tych, co biorą zasilek i miauczą. Zawsze sobie radzę, bo jestem prawdziwym facetem. Takim, wiesz. Co to nie je miodu, tylko żuje pszczoły!
- Dobra... – Popatrzyła na niego jak na przechwalające się dziecko. – Kto ci dał pieniądze na start? Rodzice czy bank?
- Skąd wiesz?
- Bo nie wyglądasz na takiego, co paliłby się do zucia pszczoł. Bardziej przypominasz amatora miodu. I to z otwartego już słoika!
- Pani psycholog się znalazła. – Ukrył lisi uśmiech w kuflu piwa. – No dobra... Niech ci będzie. Ojciec dał mi trochę kasy. Ale cała reszta to już moje dzieło. Nawet nie wiesz, jak ja zapierniczam.
- Jasne, że wiem. Widać po ilości pierdół z Internetu, którymi mnie zasypujesz. Tylko ludzie urobieni po łokcie mają czas na takie rzeczy.
- Wydaje mi się, czy ściany się do siebie zbliżają? – Parsknął, rozglądając się z udawanym strachem dookoła, a potem pogroził jej palcem. – Niezłe z ciebie ziółko. Najpierw ani be, ani me, a potem z dwururki między oczy! Ja się staram, żeby cię rozbawić i dzień umilić, a ty mi mówisz, że cię zasypuję pierdołami?
- Doceniam, ale błagam – złożyła ręce – nie opowiadaj, że zasuwasz w pocie czoła, przeżuwając pszczoły. Wituś, fantazję to ty masz, oj, masz... – Mało brakowało, a pogłaskałaby go matczynym gestem po głowie.
- No co? Wy przecież lubicie historie o heroicznym, twardym i niezależnym facetach.
- Patrzył na nią z rozbrajającą szczerością. – Chciałem zrobić dobre wrażenie.
- Widocznie jeszcze za mało kobiet poznałeś... – Chciała pociągnąć go za język, ale postanowiła, że poczeka z tym do kolejnego piwa.

Gadało im się jednak tak fajnie i na tyle tematów, że zupełnie zapomniała, o co chciała zapytać kilka godzin i kilka kuflów wcześniej. Był naprawdę obezwładniająco słodki i uroczo zabawny. Taki mały Wituś Sprytuś... Uznała, że wymyślone przez Emilkę przezwisko idealnie do niego pasuje.

Zasypywał ją opowieściami ze swojego barwnego życia. W każdej z tych historii grał główną rolę i każda dowodziła niezbicie, że jest zaradnym mężczyzną, cudownym kolegą, wiernym przyjacielem, radosnym człowiekiem oraz gwoździem programu wszelkich spotkań i imprez towarzyskich – ratowanie innych z opresji zdawało się jego misją.

Miał nie tylko dar wymowy, ale i talent parodystyczny, więc słuchała go z prawdziwą przyjemnością, zanosząc się od czasu do czasu śmiechem. Z każdą godziną była coraz bardziej odprężona. Nie tylko dzięki piwu i zabawnym opowieściom. Naprawdę wyluzowała się wtedy, kiedy uświadomiła sobie, że Witek zupełnie nie interesuje się jej biografią. Odetchnęła z ulgą, bo obawiała się dociekań na temat przeszłości, natarczywych pytań o teraźniejszość i sondowania planów na przyszłość. Szybko zorientowała się jednak, że Witek nie potrzebuje żadnej wymiany

informacji i ewidentnie nastawił się na nadawanie. Komuś innemu ten całkowity brak zainteresowania mógłby pewnie sprawić przykrość, ale w przypadku Wiktorii był zbawienną zaletą i działał wyłącznie na korzyść nowego znajomego.

Słuchała go, śmiała się serdecznie, dopytywała o szczegóły, a on mówił i mówił, i mówił. Dość szybko odniosła wrażenie, że nie jest to ich pierwsze, ale raczej sto pierwsze spotkanie. Kiedy mu to powiedziała, złapał ją za rękę i cmoknął szarmancko w dłoń.

– Bo widzisz, to jest tak, że ja mam dużo lepszy kontakt z kobietami niż z facetami. Ja was wszystkie Kocham! Naprawdę wszystkie! – deklarował wesoły poligamista, dopijając nie wiadomo które już piwo. Wiktoria nie wątpiła, że ilość spożytego alkoholu ma istotny wpływ na siłę uczuć do płci przeciwnej, ale z barwnych opowieści Witka wywnioskowała, że kobiety faktycznie stanowią istotny element jego życia. – Witeczko, ja uwielbiam przenikać w wasze szeregi, rozmawiać z wami, zabawiać was! Każda z was jest na swój sposób cudowna. A ten portal... – Przewrócił oczyma w zachwycie. – To jak lep na muchy! I co najzabawniejsze, to ja jestem muchą!

– To znaczy? – Znowu miała ochotę pogłaskać go po włosach, farbowanych, jak się w międzyczasie dowiedziała.

– Witeczko! Tam się odbywa regularne polowanie na mnie. Ja wiedziałem, że wyście się wyzwoliły. Ale że aż tak? Pojęcia nie miałem! Jesteście naprawdę cudowne... Więc uważaj z tym narzekaniem, bo konkurencja nie śpi. – Przechylił się przez oparcie i zakrzyknął: – Monia, księżniczko moja!!! Jeszcze raz to samo, aniołeczku! – Podniósł do góry pusty kufel.

– Polowanie? No, no... – Pokiwała głową, uśmiechając się wyrozumiale. – Teraz to cię już fantazja poniosła... to znaczy poniosła.

– Przysięgam! – Huknął się w piersi. – Tym razem nie kłamię i nie sprzedaję sucharów! Żebyś wiedziała, ile wiadomości i prezentów dostaję codziennie od kobiet! – W odpowiedzi na jej zdumione spojrzenie uściślił szybko: – Wirtualnych prezentów, oczywiście! Oprócz tego przesyłają czule słówka, komplementy, numery telefonu, zaproszenia na weekend... Nie wiem, czy zwróciłaś uwagę, ale mam w profilu jakieś farmazony, że przypominam kota dachowca, bo chadzam własnymi drogami... Czy jakoś tak, już nie pamiętam... Gdzieś to w Internecie znalazłem i zgałę. Nieważne! – Machnął ręką, ucałował dłoń Moni, która przyniosła mu kolejne piwo, i wrócił do tematu. – Witeczko! Do głowy by mi nie przyszło, że to porównanie aż tak was zelektryzuje! Jedna mi pisze, że to fajnie, bo ona jest kotką na gorącym blaszanym dachu i szuka akurat takiego kocura jak ja. Druga mówi, że dachowce są na ogół zapchłone i co ja na to, żeby mi wyiskała futerko. Trzecia, odkąd zobaczyła moje zdjęcie, marzy ponoć tylko o tym, żebym ją zabrał na spacer po tych własnych drogach, którymi chadzam... – Widząc, że Wiktoria śmieje się coraz głośniej, ponownie zabębnił pięścią po mostku. – No przysięgam, że nie kłamię!!!

– Dobra. Przestań przysięgać. Załóżmy, że ci wierzę. – Fantazja Witka wydała jej się równie urocza i beztraska jak on cały. – Ale wytłumacz mi jedno: skoro tyle kobiet do ciebie pisze, to po cholere zaczęłeś jeszcze mnie? Mało ci adoratorek, które nachalnie ślą prezenty i zapraszają na weekend?

– O, przepraszam bardzo! Czy ja powiedziałem „nachalnie”? – Pokręcił głową. – Ja nie uważam, że to nachalne. Ja nie mówię, że mi się to nie podoba. Ja nie twierdzę, że to coś złego. Wręcz przeciwnie! Ja uważam, że to jest fantastyczne i cudowne. Ja to popieram. I ja jestem tym zachwycony! A czemu pierwszy do ciebie napisałem? – Westchnął bezradnie. – No cóż... Jak widzę niebanalny opis, a na zdjęciu fajną dziewczynę, to czemu mam nie zacząć? A może to jest właśnie moja kotka na gorącym blaszanym dachu? Tylko taka cichsza, co się nie wydziera po nocach za kocurem?

– Witeczku... – Wiktoria czuła coraz silniejszą matczyną tkliwość. – Ty nie potrzebujesz jednej kotki, ale całej kociarni!

– Może masz rację – zgodził się bez oporów. – Mówiłem przecież, że wszystkie jesteście cudowne i że dużo lepiej mi z wami niż z facetami. Jesteście znacznie mądrzejsze od nas, dużo czulsze i wrażliwsze, takie jakieś inne... Z wami nie można się nudzić... – Popatrzył na nią lekko zmętniałym i rozkołysanym wzrokiem. Wszystko wskazywało na to, że Wituś Sprytuś poszedł o jeden kufel za daleko i że wypada zakończyć to przemile spotkanie. Wika spojrzała dyskretnie na zegarek i sama się zdziwiła, że tyle trwało. – A może ja mam psychikę kobiety? – zastanawiał się głośno. – Może chciałbym być kobietą? Kto mnie tam wie?!

– No to pisz podanie o naturalizację. – Ponieważ była zakochana w klasyce polskiego filmu i znała na pamięć niektóre kwestie, wyrecytowała bez zająknięcia adekwatny fragment: – „Obecnie stoję twardo i pewnie na gruncie umożliwiającym mi niedopuszczenie do zarazy, której na imię mężczyzna i na którą jestem uodporniona”.

– Co ty mówisz?

– To nie ja. To *Seksmisja*.

– A no tak... faktycznie... znajomo jakoś zabrzmiało... – Kilkakrotnie potrząsnął głową, jakby wierzył, że od tego się trzeźwieje. – A jakie są konsekwencje naturalizacji?

– Będziesz miał zespół napięcia przedmiesiączkowego, a zaraz potem okres. Stwierdzisz, że faceci to świny – wyliczała, zaginając palce. – Na udach pojawi ci się cellulit. Zaczнешz nosić szkła kontaktowe, bo okulary psują efekt makijażu. Przestaną cię interesować kanały sportowe i strony internetowe, które do tej pory odwiedzałeś. Będziesz wybuchał płaczem z byle powodu...

– A czy są jakieś dobre strony? – przerwał jej zde gustowany.

– Są. Będziesz miał dwa razy więcej włosów! – Odważyła się wreszcie i bezceremonialnie potargła niezbyt bujną czuprynę. – Super mi się z tobą gadało, ale czas na mnie. Wiesz, że siedzimy tu już ponad cztery godziny? Nie wiem, kiedy ten czas zleciał.

– No widzisz? I jak was nie wielbić? – Popatrzył na nią zachwyconym wzrokiem. – To co, koteczko? Czuję, że jesteś już gotowa i masz ochotę na plan C.

– Mam ochotę na plan D, kocurze... – Zajrzała mu głęboko w oczy.

– A co to za plan?

– Dzwonię po taryfę i jadę do domu! – Odsunęła się i sięgnęła po komórkę. – A ty wracaj na swoje ścieżki albo na blaszany dach, albo gdzie tam ci wygodnie... – Zaśmiała się, widząc na jego twarzy niebotyczne zdumienie.

– Chyba żartujesz? Co to za suchary sprzedajesz? Zostawisz mnie teraz samego?! Czy wiesz, nierozsądna kobieto, co ryzykujesz?

– Postaram się o tym nie myśleć i żyć dalej. Mam nadzie... – Przerwała, bo w słuchawce telefonu odezwała się dyspozytorka. – Za trzy minuty? Dobrze. Dziękuję bardzo.

– Naprawdę jedziesz do domu? – Poderwał się do wieszaka, na którym wisiał jej płaszcz. – Ja chyba trochę tu jeszcze zostanę w takiej sytuacji...

– Dobra. Zostań. Twój znajomi też jeszcze tu chyba są? – Rozejrzała się po lokalu, goście bawili się w najlepsze mimo późnej pory.

– Są, są... – Podążył za jej wzrokiem. Pokiwał radośnie w kierunku jednego ze stolików, a siedzący przy nim mężczyźni zaczęli go przywoływać. – Zaraz przyjdę!!! – krzyknął do nich, a potem zwrócił się do Wiktorii: – Ale jak to? Sama pojedziesz?

– Nie sama, tylko z kierowcą, który ma być za trzy minuty. – Wyrzała przez szklaną ścianę pubu. – O! Zdaje się, że już jest. Dziękuję za miły wieczór. Naprawdę fajnie się bawiłam. Pa! – Szybkim krokiem ruszyła do taksówki.

– Spotkamy się jeszcze, mam nadzieję?! – Witek stał w progu lokalu i wydierał się na całą ulicę. – Odezwę się jutro, co?!

– Odezwij się koniecznie! Kto mi kawę rano zaserwuje, jeśli nie ty?! Pa, pa! – Zatrzasnęła drzwi i podała kierowcy adres. Machała przez okno wciąż stojącemu w progu knajpy Witkowi, a on słał jej całusy, dopóki taksówka nie skręciła za najbliższy róg.

Kiedy podjechała pod dom, długo szukała portfela w przepastnej torbie. Od dawna podejrzewała, że jej torebki mają tę magiczną właściwość, że potrafią ożywiać znajdujące się w środku przedmioty tuż po tym, jak Wiktoria zasunie zamek. Była pewna, że torebkowi lokatorzy zbierają się wtedy i knują przeciwko niej, zgadując, którego z nich będzie w najbliższym czasie potrzebowała. Potem układają się na nim ciasno, a kiedy właścicielka wsadza rękę do torebki, zabawiają się w ciuciubabkę z jej palcami. Być może to podejrzenie nie było zbyt mądre, ale jak inaczej wyjaśnić, dlaczego siedem razy wymacała klucze, trzy razy komórkę, dziewięć razy pudełko z tabletkami od bólu głowy, a znacznie większego od nich portfela nijak nie dało się namierzyć? Dopadła go w końcu na samym dnie.

Rozliczając się z taksówkarzem, spojrzała w okna domu. W jednym z nich dostrzegła rozplaszczone na szybie trzy twarze: Meli, Anki i Emilki. Kiedy zobaczyły wysiadającą z taksówki Wiktoria, rzuciły się do przedpokoju i od progu zasypały ją pytaniami:

– No i jak było? Fajny jest?

– W gadce taki sam jak w pisaniu? Gdzie byliście? Ciacho czy placek?

– Umówisz się z nim jeszcze? Sprawdziło się, co podejrzewałam?

– Litości! – Wiktoria nie mogła powstrzymać śmiechu. Wciąż była w beztroskim nastroju. – Małą to jeszcze rozumiem, że nad emocjami nie panuje, ale żebyście wy, dwie stare baby, tak piszczały i krzyczały? I do tego o tak późnej porze? – Spojrzała na Emilkę z udawanym oburzeniem. – Nie powinnaś już spać?

– A co? Będiesz coś nieprzyzwoitego opowiadać, że mnie wyganiaasz?

– Skąd! Było bardzo grzecznie i przyzwoicie. – Powiesiwszy płaszcz w szafie, Wika stanęła przed jej lustrzanymi drzwiami i przyglądała się sobie uważnie. – Naprawdę jestem ładna, cudowna, inteligentna, wrażliwa, czuła i nie można się ze mną nudzić?

– Ojej, to on tak o tobie powiedział? – Ucieszyła się Mela.

– No! I o tobie zresztą też. – Przyciągnęła siostrę do siebie i ustawiała ją przodem do lustra, a potem zrobiła to samo z Anką. – I o tobie też.

– A gdzie on nas widział? – Anula patrzyła na siebie bez większego zachwytu. – Matko, jak mi dupa rośnie! Mogłaby się w końcu nad sobą zastanowić i przestać!

– Nigdzie was nie widział. – Wiktoria prawą ręką objęła w pasie przyjaciółkę, a lewą siostrę i przemówiła do ich odbicia, cmokając z zadowoleniem: – Wszystkie kobiety takie są i on wszystkie kocha. Nie wspominał, że was to nie dotyczy, więc domniemywam, że też jesteście ładne i cudowne.

– A ja? – upomniała się nadąsana Emilka i nie czekając na zaproszenie, wepchnęła się między matkę a ciotkę.

– A ty, oprócz tego, że jesteś ładna i cudowna, to jesteś też mistrzynią przezwisk – zapewniła ją Wika, cmokając w czubek głowy. – Nic lepszego niż Wituś Sprytuś nie da się na niego wymyślić!

– Ale generalnie to jak? Ciacho czy placek? – spytała dziewczyna, wyraźnie zadowolona z pochwały.

– Bo ja wiem? Chyba ciacho... Chociaż dla ciebie zdecydowanie zbyt zeschłe. Ale za to

wie, co to suchary, i nawet kilka mi sprzedał.

– A tobie to ciacho pasuje?

– Mnie? Niezbyt. Za słodkie i za bardzo... używane. – Wiktoria wybuchła śmiechem, widząc wytrzeszczone oczy Meli i Anki. – Co się tak patrzycie?

– Możecie mówić jaśniej? Nie rozumiem, jakie suchary, i kto sprzedał, i po...

– Czekaście! – przerwała Emilka. – Zapytam inaczej: a motyle w brzuchu masz?

– zwróciła się do ciotki, a potem spojrzała na Melę i Ankę. – Rozumiecie teraz? No, wreszcie!

– Ucieszyła się, kiedy przytaknęły i zgodnie popatrzyły na Wiktorię.

– Ani motyli, ani nawet larw – odpowiedziała ta zgodnie z prawdą. – Mówiłam, że ze strony dachowców nic mi nie grozi.

– I dobrze! – Emilka była wyraźnie zadowolona z odpowiedzi. – Ja swoje motyle dawno zagłodziłam na śmierć i nie narzekam. Strata czasu z tymi facetami. Oni najpierw jak psy, czy tam koty, za człowiekiem latają, człowiek się przywiąże, a potem się okazuje, że trzeba uśpić i rozpaczyć z tego tylko. Na co mi to?

Wobec takiego dictum trzy kobiety na chwilę zaniemówiły, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać.

– Mam nadzieję, że za jakiś czas zmienisz jednak zdanie... – Mela ostrożnie dobierała słowa. – Chciałabym doczekać się w końcu jakichś wnuków.

– Czil... Doczekasz się. Planuję dwójkę. – Córka poklepała ją uspokajająco po ramieniu.

– A jeśli moje dzieci kiedyś zapytają, jak nazywał się ich ojciec, to powiem im prawdę: Pan Pipeta.

– Pan Pipeta?! Kto to jest?

– Nie „kto”, ale „co”. – Emilka przewróciła oczyma. – Pipeta to takie coś do zakrapiania. W pracowniach in vitro, między innymi, stosowane.

– Dziecko, błagam! Nie chcę mieć za zięcia pipety!

– Wybacz, mamo, ale jest dwudziesty pierwszy wiek i nie ty będziesz wybierać ojca moich dzieci! – Dziewczyna nastroszyła się, jakby już była umówiona na sztuczne zapłodnienie i raptem nie dostała zgody. – Tak się domagasz wnuków, ale gdybyś się dowiedziała, że jestem w ciąży, i to nie z pipetą, a z normalnym chłopakiem, tobyś pewnie martwa padła. A ojciec... Ten toby dopiero oszalał. Wyobrażasz sobie, co by się działo? – Zachichotała złośliwie.

– Dżizas! Już to widzę!

– Na razie nam to chyba nie grozi, prawda? – Wizja rychłego dorobienia się wnuków i reakcji Sławka przeraziła Melę nie na żarty. – Przecież mówisz, że nie masz zamiaru spotykać się z chłopakami, że motyle zagłodziłaś... Więc tak szybko dziadkami nie zostaniemy, co?

– No wiesz... – Córka uśmiechnęła się przekornie. – Facet jest jak samochód: chwila nieuwagi i pod nim leżysz.

– Dziecko! Nie dobijaj mnie!

– A ty, mamo, weź się w końcu zdecyduj, czego chcesz! Pipeta ci się nie podoba, facet też... I tak źle, i tak niedobrze!

– Czy wy słyszycie, co ona mówi? – Amelia załamała ręce. – Powiedzcie jej coś!

– Ja bym z nią w ogóle nie dyskutowała – zasugerowała nieśmiało Wiktoria, mrugając zarówno do siostry, jak i do jej córki. – Wzięłabym tylko podpisane krwią oświadczenie, że nigdy w życiu z żadnym facetem się nie spotka. A potem wrednie je wykorzystała i na żadną randkę nie puściła. Przy tej opcji jest szansa, że dziewczyna machnie kilka fakultetów i zrobi doktorat przed trzydziestką. To co, mała? Podpiszesz? Zero motyli, zero facetów, zero randek? Ja i Anula będziemy świadkami.

– Byle szybko, bo zaraz północ. Kamiś mnie zabije albo przynajmniej z domu wyrzuci.

– Anka ledwo zachowywała powagę, patrząc, jak naburmuszona Emilka drobnymi kroczkami wycofuje się do swojego pokoju. – No! To chodźmy do kuchni i opowiesz nam, jak było. Jeszcze herbatkę z wami wypiję. Kamiś nie taki skory do zabijania i wyrzucania z domu, na szczęście...

Zanim zaparzyły herbatę i rozsiadły się za stołem, dołączyła do nich przebrana w piżamę Emilka.

– Niczego krwią podpisywać nie będę! – Stała w drzwiach z dumnie zadartą brodą i zawiązanymi na supełek brwiami, ale już po chwili jej śliczna bez szpecącego makijażu buzia przybrała cielecospłaszczony wyraz. – Mogę posiedzieć i posłuchać? Pliiz!!!

Anka z Wiktoria solidarnie zamilkły i oddały głos Meli.

– Dziecko kochane – westchnęła Amelia. – Tu nie chodzi o późną godzinę, ale o twoje zachowanie...

– Ja przepraszam, mamo. – Dziewczyna zrobiła jeszcze bardziej cielecą minę.

– Przepraszam, ale ty jesteś czasami taka... taka patriarchalna...

– A jaka mam być, jeśli robię jednocześnie za ojca i matkę? – Mela, chcąc nie chcąc, zaczęła się śmiać. – Nie mogę być wiecznie dobrotliwa, beztroska i łagodna!

– No ja wiem. Ja przepraszam... – Emilka błagalnie złożyła ręce. – To co? Mogę zostać i posłuchać?

– Jeśli ciocia i Anula nie mają nic przeciwko temu, to zostań – poddała się Amelia, rozbrojona pokorą córki.

– Siadaj. – Wiktoria wskazała głową krzesło obok siebie.

– Tylko szybciej! Mój chłop naprawdę mnie w końcu przez was wyeksmituje z chałupy.

– Anka odesłała Emilce całusa, a potem zwróciła się do Wiktorii: – Dasz radę streścić swoją randkę w miarę zwięźle?

– Chyba dam. Spotkałam się z dzieckiem uwięzionym w ciele dorosłego mężczyzny.

I tyle.

– Zazdroszczę. – powiedziała Emilka, wsypując do szklanki z wodą granulki fitness style.

– Z moimi kolegami jest dokładnie na odwrót: mężczyźni uwięzieni w ciele dziecka... Sorki!

– wycofała się, pochwycając spojrzenie matki.

– Słodkie z niego stworzenie: zabawny, rozrywkowy, miłutki, towarzyski, gadatliwy...

– wyliczała Wiktoria jednym tchem. – Po pięciu minutach miałam wrażenie, że zjadłam z nim beczkę soli i niejednego konia razem ukradliśmy.

– Jakiego konia?! – Siostrzenica wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– Tak się mówi: konie z kimś kraść.

– Chyba na wsi, w życiu nie słyszałam...

– Nie przeszkadzaj, mała! – fuknęła Anka. – A ty dawaj dalej. Co z nim jest nie tak? Bo na razie same zalety.

– Gadzeczkarz, paznokcie wypolerowane, włosy ufarbowane, markowe ciuchy...

– I może jeszcze bmw z poduszką powietrzną od Armaniego? – prychnęła Emilka.

– Niewykluczone, ale nie pytałam. A przede wszystkim straszny z niego uwodziciel, z gatunku: „Dzwonili do mnie z nieba i powiedzieli, że uciekł im jeden anioł, ale nie bój się, nie wydam cię”.

– Dżizas!

– Kocha wszystkie kobiety, szczerze nas wielbi i podziwia, i jest zachwycony tym, jak ładnie się wyemancypowałyśmy.

– Ale w jakim sensie ładnie się wyemancypowałyśmy? – Popatrzyły po sobie niepewnym wzrokiem. – Co to znaczy?

– To znaczy, że oprócz obsługiwania koparek, latania w kosmos, służenia w armii

i innych takich przejęłyśmy też inicjatywę w zalotach: to my zabiegamy o względy mężczyzn, nadskakujemy im, prawimy komplementy, zapraszamy do kina czy kawiarni... Wituś Sprytuś jest pod wielkim wrażeniem naszych umiejętności w tej dziedzinie. Siedzi sobie przy komputerze, kiwa palcem w bucie, a jego poczta pęka w szwach od listów i wirtualnych prezentów. – Wiktoria skrzywiła się tak, jakby mówienie sprawiało jej ból. – Pamiętacie te durne kwiatki, słoneczka i uśmieszki? Dostaje ich ponoć całe mnóstwo i też uważa, że wysyłanie samych obrazków jest, delikatnie mówiąc, niezbyt mądre. Chyba trochę przeszarżowałyśmy, twierdząc, że tylko oni zatrzymali się na poziomie neolitu. Najwidoczniej kilka naszych sióstr również tam utknęło.

Opowiedziała w miarę szczegółowo, co usłyszała od Witka, i zrelacjonowała jego wrażenia z rozbuchanej korespondencji, jaką prowadził z poznanymi na portalu kobietami.

– Matko kochana, ale z niego zarozumialec! I co za burak! – Amelia zmarszczyła brwi i złowrogo sapnęła. – Już go nie lubię!

– Uwierz mi, jego nie da się nie lubić. – Wika uśmiechnęła się na wspomnienie słodkiego lekkoducha. – I wcale nie jest zarozumiały. Może to tak brzmi, kiedy opowiadam, ale gdybyście mogły go widzieć i słyszeć... No, dziecko prawdziwe: mały, rozkoszny chłopczyk zachwycony koleżankami z przedszkola. Pierwszy niezależny wśród niezależnych! Naprawdę zaimponował mi niezależnością!

– Przecież ty nienawidzisz niezależnych – odezwała się zdezorientowana Anka. – Już nic nie rozumiem...

– Nienawidzę – potwierdziła Wiktoria. – Dlatego jeśli nie kłamał, to współczuję tym, które ślą mu zaproszenia i machające łapki. Chyba że też są kotkami dachowcami... eee... kotkami dachówkami? – Zaśmiała się beztrzesko. – Ale to już ich problem. Natomiast wracając do mnie... Całkiem fajnego kumpla znalazłam!

– Czyli nic do niego nie czujesz?

– Czuję. Matczyny instynkt. Mam ochotę go adoptować i resocjalizować.

– On mi od początku źle wyglądał. – Anka pogroziła przyjaciółce palcem. – Słuchaj mnie na przyszłość... Ale wiesz co? Myślę i myślę, i jakoś nie chce mi się wierzyć, że baby aż tak się o niego biją. Za mądre czasami faktycznie nie jesteśmy, ale aż tak głupie to też nie. To musi być jakiś erotoman gawędziarz. Złamanego grosza bym nie dała za te jego opowieści. Dzieciak jest, to i fantazję ma pewnie dziecięcą.

– Fantazję ma – przytaknęła Wiktoria. – Najbardziej go poniesła, jak swój wzrost na portalu wpisywał. Niby metr osiemdziesiąt, a sięga mi do połowy czoła.

– A to wredny kłamczuch!

– Bo ja wiem czy wredny? Ja sobie odjęłam lat, to on dla równowagi dodał sobie centymetrów.

– Głupie porównanie – prychnęła Anka, wruszając ramionami. – Dwóch lat różnicy nikt się na pierwszej randce nie dopatrzy, natomiast brakujących dziesięciu centymetrów ukryć się raczej nie da. Liczył na to, że co? Zdaży urosnąć, zanim się spotkacie?

– Być może. Dzieci w końcu rosną, prawda? – Wika wzięła kilka łyków herbaty i zamyśliła się na chwilę. – Mimo wszystko bardzo go lubię. Ma w sobie coś ujmującego. Poza tym jest całkiem niegłupi... jak na swój wiek.

– Niegłupi?! Z tego, co mówisz, jest skończenie głupi. Aż dziw, że nie próbował zawlec cię do siebie.

– Przesadzasz. – Naprawdę polubiła Witka i zależało jej, żeby się do niego nie uprzedziły, więc na wszelki wypadek postanowiła przemilczeć plan C. – Wiesz, jak sympatycznie się z nim rozmawia? Ma bardzo dużo fajnych powiedzonek i trafnych spostrzeżeń.

- Typu?
- No tak ogólnie... Uważa na przykład, że jesteśmy słodkie, bo potrafimy zrobić z banalnego epizodu historię swojego życia...
- Miałaś udowodnić, że jest inteligentny! – zakpiła Mela.
- Ale coś w tym jest! I dlatego Witek przygląda nam się z dobrotliwym rozbawieniem, bo jest przekonany, że nawet jeśli opanujemy wszystkie męskie zawody, to i tak nigdy nie opanujemy męskiego sposobu myślenia.
- Czyli jednak jest inteligentny...

Po kolejnej porcji opowieści Anka i Mela zaczęły się głośno zastanawiać, czy powinny pozwolić Wiktorii na jeszcze jedno spotkanie z Witkiem, czy może lepiej będzie, jeśli dadzą jej co najmniej miesięczny szlaban na komputer i wychodzenie z domu.

– Ty masz kompletnie zaburzony ogląd rzeczywistości – jęczała Amelia. – Za długo w zamknięciu byłaś!

– No! Masz rację – podchwyciła Anka. – Oglądałam niedawno program o dzieciach, które przez kilka lat były trzymane w piwnicy. Miały potem okropne problemy z oceną świata i ludzi...

– Głupie jesteście! Ja nie biorę go pod uwagę jako faceta, tylko jako kumpla. A do bycia kumplem Witek nadaje się akurat idealnie! – Chciała jeszcze dorzucić, że właśnie ze względu na dotychczasową izolację potrzebuje nowego życia i nowych znajomości, ale machnęła ręką. Bała się, że siostra i przyjaciółka albo tego nie zrozumieją, albo, nie daj Boże, obrażą się, że ich towarzystwo jej nie wystarcza. – Emilka, a ty co myślisz? Bo jakoś długo się nie odzywasz...

– Nadal uważam, że Pan Pipeta to jedyny właściwy partner dla każdej szanującej się kobiety, ale jeśli pasuje ci ten Witek, to go bierz. Czy na kumpla, czy na faceta, czy na kogo tam wolisz. Jeśli nauczy cię męskiego sposobu myślenia, to możesz potem zrobić oszałamiającą karierę jako tłumacz damsko-męski. Nawet u nas miałybyś pełne ręce roboty, prawda, mamó?

– A niby czemu? I z kim te pełne ręce? – spłoszyła się Mela.

– Zapomniałaś, że ojciec wraca za dwa miesiące?

Trudno było powiedzieć, czy to krótkie zdanie bardziej wystraszyło Amelię, czy przygnębiło Wiktorię.

Kiedy Anka pojechała do domu, a Emilka zamknęła się w swoim pokoju, wróciły do tematu.

- Weź ty go powoli zacznij o wszystkim informować. Stopniowo jakoś... Na raty...
- radziła Wiktoria po raz enty. – On tego nie udźwignie. Sama sobie nieszczęścia narobisz.
- Nie!
- Mela...
- Mów do ręki!

ROZDZIAŁ 14

Znajomość z Witkiem rozwijała się obiecująco. Wziął sobie do serca uszczypliwości na temat internetowych bzdur i nie zasypywał już nimi jej skrzynki. Niezmiennie jednak witał Wikę wirtualną kawą, pisał zabawne liściki, a wieczorem życzył dobrej nocy. Zastanawiała się, czy nie miały racji Anka i Mela, podejrzewając go o wybujałą fantazję i skłonność do konfabulacji – przecież jeśli by równie intensywnie korespondował z kilkunastoma innymi kobietami, to nie starczałoby mu czasu nawet na poranną toaletę i mycie zębów przed snem.

Niewiele ją jednak obchodziło, w jaki sposób adoruje inne panie i ile ich tak naprawdę jest. Grunt, że udało jej się zachować zdrowy dystans i Witek, chociaż wciąż miły, czuły i chłopięco uroczy, nigdy więcej nie wspomniał o planie C i nie pozwalał sobie na nieprzyzwoite żarty. Wydawało się, że z każdym spotkaniem coraz lepiej rozumie swoją rolę, dostosowuje się do niej i jest mu z tym całkiem przyjemnie. On też zaczął ją traktować jak dobrego kumpla, który wysłucha i doradzi. Kumpla szczególnie cennego, bo doskonale zorientowanego w meandrach kobiecej psychiki.

- Witeczko, mam problem – skarżył się któregoś wieczora w knajpie na starym mieście.
- Pamiętasz, opowiadałem ci o tej dziennikarce z Poznania, co z nią piszę od jakiegoś czasu.
- Tej nieprzeciętnie błyskotliwej, która zaraziła cię bakcylem Dalekiego Wschodu?
- upewniła się Wiktoria. – Ilona? Iwona? Aldona?
- Iwona. O nią właśnie chodzi. Nie masz pojęcia, jak się dzięki niej rozwinąłem. Ile musiałem przeczytać, żeby gadać jak równy z równym... Cudowna kobieta. Jak wy wszystkie zresztą. Mówiłem już, że jesteście niesamowite?
- Owszem. Wielokrotnie – zaśmiała się Wiktoria. – No i jaki masz z nią problem?
- Ona mnie osacza. – Zrobił tak wystraszoną minę, jakby stolik otoczyło stado wilków.
- Nie wiem, co jej się stało. Na początku tak miło się nam pisało... Bo to naprawdę niezwykle ciekawa osobowość. Opowiadałem ci o jej wyjeździe do Korei?
- Opowiadałeś – przerwała zniecierpliwiona. – Przejdź do rzeczy. Czemu uważasz, że cię osacza?
- Dlatego że mnie osacza. To chyba jasne. Czy ja mówię po koreańsku? Nie wiesz, co znaczy słowo „osacza”?
- Objawy podaj! – Wiktoria, która coraz bardziej wątpiła w to, że zdoła kiedykolwiek opanować męski sposób myślenia, pomyślała, że jeśli nawet w końcu odniesie sukces i zostanie pierwszym na świecie tłumaczem damsko-męskim, to szybko rzuci tę robotę bez względu na wysokość wynagrodzenia. – Wymień mi po kolei, co konkretnie robi!
- No zadręcza mnie mailami i telefonami.
- Dobrze. A teraz powiedz, co mówi i pisze.
- Straszne rzeczy! Nie zasłużyłem na to! Wciąż ma do mnie niesłuszne pretensje! Nie mam pojęcia, co się stało!

Patrząc na jego niewinną minę, przypomniała sobie fotografię, którą jej kiedyś przysłał. Zdjęcie przedstawiało wielkiego labradora wytrzeszczającego okrągłe od niewinności oczy. Jego szyja tkwiła w uchylnej pokrywie od kosza na śmieci niczym w obroży. Psisko musiało wcześniej wsadzić łeb w odpadki, a kiedy próbowało się cichaczem wycofać, ściągnęło

plastikowe wieko i nie potrafiło się od niego uwolnić. Podpis pod zdjęciem głosił: „Nie mam pojęcia, co się stało!”.

– O co te pretensje?

– Że się coraz rzadziej odzywam, że jakiś dziwny się raptem stałem, że pewnie dlatego ją zaniedbuję, bo znalazłem sobie w Szczecinie inną, ale brak mi odwagi, żeby się przyznać...

– Naiwna kobieta. Myśli, że tylko jedną inną sobie znalazłeś?

– Witeczko! Nie dokuczaj mi! Sama najlepiej wiesz, jak wygląda prawda. To ty jesteś niby tą inną, którą sobie znalazłem. I co? Czy my robimy coś złego?! Zobacz, jak grzecznie spędzamy czas! – Zatoczył rękoma dookoła. – O co ona ma pretensje? Nie może wymagać, żebym był tylko jej. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego zmieniła się nagle z fascynującej, atrakcyjnej kobiety w zrzędzącą babę, której powoli zaczynam mieć dość!

– Jak to dlaczego? – Było jej niemal wstyd, że musi tłumaczyć tak oczywiste rzeczy.

– Ostrzegалаm cię, żebyś wyhamował z planowaniem waszej wspólnej wycieczki do Seulu. Na całą resztę twoich obietnic spuszczyć zasłonę milczenia...

– Jakich obietnic?! Daj spokój! – Zaniósł się śmiechem. – Nawet głupi by wiedział, że to zwykłe żarty.

– Głupi może by wiedział, ale kobieta niekoniecznie.

– Witeczko! Weź się zastanów! Skąd ja miałbym wziąć kasę na wyjazd do Korei? Poza tym nie mogę zostawić biznesu na tak długo.

– Ale to nie o Koreę chodzi. Ten Seul mógłby być w Szczecinie albo w Poznaniu.

– Seul w Szczecinie? Co ty wygadujesz? Nie rozumiem. – Zdumiony wyraz jego twarzy świadczył, że mówi szczerą prawdę. Znowu skojarzył jej się z tamtym labradorem.

– Niepotrzebnie się zagalopowałeś i robiłeś jej nadzieje...

– Jakie znowu nadzieje?! – Rzucił Wiktorii podenerwowane spojrzenie. – Czepiasz się teraz całkiem jak ona! Wmawiasz mi, że ja jej jakieś obietnice albo nadzieje robiłem! Przy-się-gam!!! Nie robiłem żadnych obietnic i żadnych nadziei! Jak miałbym robić? Naprawdę nie mam tylu pieniędzy, żeby wyjechać na miesiąc do Seulu. – Odetchnął głębiej, a po chwili dorzucił już łagodniej: – Zresztą nawet gdybym miał, to nie wiem, czy chciałbym tam pojechać. To jest jednak kilka ładnych godzin lotu. I pewnie z przesiadkami. Nie wiem, czy ci mówiłem, ale źle znoszę zbyt długie trasy. Dwie godziny w samolocie to dla mnie maks...

– Jasna dupa!!! – Cudem powstrzymała się od użycia znacznie gorszego przekleństwa.

– Zrozum wreszcie, że nie o Seul chodzi! Odczep się od tego głupiego Seulu! Zwariuję, jeśli jeszcze raz wymówisz słowo „Seul”!!!

– W takim razie już nic nie rozumiem. – Rozłożył bezradnie ręce. – Sama przed chwilą mówiłaś, że ona ma pretensje, bo niepotrzebnie żartowałem na temat wyjazdu do Seulu... do Korei, a ona to potraktowała poważnie i robiła sobie nadzieje. No, tak mówiłaś!

– Naprawdę nie wiesz, o co chodzi, czy tylko udajesz głupiego i nabijasz się ze mnie?

– Wiktorcia popatrzyła na niego z nadzieją, ale zobaczyła tylko psa z głową uwięzioną w pokrywce śmietnika. Czowała się, jakby miała wyjaśniać, dlaczego deszcz pada z nieba na ziemię, a nie odwrotnie; trudno w kilku słowach... – Wituś! Przecież tej twojej Iwonie chodzi o to, że piszecie ze sobą od dłuższego czasu, ty się nią zachwycasz, ona rozkwita, wymieniacie się mailami, zdjęciami, telefonami... Rozumiesz do tego miejsca?

– Co mam nie rozumieć? Debilem nie jestem.

– Czyli kobieta zaczyna się angażować i odkrywać przed tobą swoją prywatną przestrzeń...

– Wielka mi przestrzeń: skrzynka, fotki i komórka! – Zaśmiał się. – Codziennie mam w poczcie paręnaście takich przestrzeni.

– Ty jednak jesteś debilem... – Wiktorii zaczynało brakować cierpliwości. Dzięki wykształceniu i wieloletniemu stażowi umiała sobie radzić z trudnymi uczniami, teraz jednak czuła, że zbliża się do pierwszej w życiu porażki. Wszystko wskazywało na to, że Witek jest dzieckiem, delikatnie rzecz ujmując, wybitnie mało zdolnym. – Z tego, co mówiłam, zapamiętałeś tylko cztery słowa: „mail”, „zdjęcie”, „telefon” i „przestrzeń”. A było jeszcze jedno. I ono jest właśnie najważniejsze. Potrafisz je sobie przypomnieć? – Zaczęła przemawiać jak do dziecka, które nie spełnia oczekiwań Ministerstwa Edukacji Narodowej.

– No chyba nie chodzi ci o „Seul”? – Odchylił się szybko na oparcie krzesła.

– Nie! – Gdyby naprawdę był jej uczniem, zwróciłaby się o pomoc do szkolnego pedagoga. – Umknęło ci słowo „zaangażowanie”!!! Nawet jeśli zyskujesz codziennie paręnaście czy parędziesiąt nowych kontaktów, to żadna z tych kobiet nie jest zaangażowana. A Iwona jest! Wciągnąłeś ją w regularną korespondencję, fantazujecie o wspólnych wyjazdach, prawisz jej komplementy i zachwycasz się nią, widzi, że pod jej wpływem zaczynasz się raptem interesować Dalekim Wschodem, i wynika jej z tego niezbitcie, że macie wspólne pasje, że tobie na niej zależy, że jest dla ciebie kimś ważnym, wyjątkowym i jedynym. Zaczyna się więc coraz bardziej angażować i snuć plany w związku z tobą.

– Wybacz, Witeczko, teraz to cię... Jak ty to mówisz? Poniesło? – Kłapa od kosza na śmieci wciąż tkwiła na jego szyi. – Ja naprawdę jestem nią zachwycony. A raczej byłem. – Skrzywił się boleśnie. – I moje komplementy naprawdę były szczere. Ale, przepraszam bardzo, nigdy nie zrozumieję, jak się ma moje zainteresowanie Dalekim Wschodem do tego, że miałbym nagle oszaleć z miłości. To chyba dwie różne sprawy, co nie?

– Obawiam się, że ona jednak dostrzega pewne analogie...

– Daj spokój! To jest dorosła, mądra i wykształcona kobieta! – Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Dobrze powiedziane. Kobieta. – Wiktoria uśmiechnęła się nieco złośliwie. – Wasze mózgi, czy co wy tam macie w tych głowach... no niech będzie, że mózgi; otóż wasze mózgi kształtują się pod wpływem statusu społecznego, zasobów na koncie, metrażu domu, tytułu naukowego, pojemności silnika, obwodu bicepsa i innych takich. A my? Cokolwiek byśmy osiągnęły i jakkolwiek wysoko byśmy się wspięły, to i tak będziemy przede wszystkim kobietami. Dlatego uwierz, że mądrość i wykształcenie Iwony nijak się będą miały do jej zachowania, jeśli w grę wejdą uczucia. Właśnie dlatego wścieka się na ciebie i nie rozumie, czemu ni stąd, ni zowąd zaczęłaś się uchylać. Nawet jakby miała pięć fakultetów, i tak by nie zrozumiała...

– Ale ja dopiero teraz się uchylam. Jak taka natrętna się zrobiła. I marudna. Przedtem naprawdę cudownie nam się rozmawiało.

Wiktoria oparła się łokciami o stół i schowała twarz w dłoniach. Zrozumiała właśnie, że marnuje tylko czas i energię.

– Ja pierdzielę! Jakbym z ufoludkiem gadała...

– Mądra się znalazła! – Zajrzał jej w oczy. – Wyjaśnij mi w takim razie, dlaczego z tobą umiem się porozumieć i doskonale razem się bawimy. Jakoś ci palma nie odbija i nie zamęczasz mnie pretensjami. A też pisujemy do siebie regularnie i nawet się spotykamy. I też prawię ci komplementy i się tobą zachwycam. To dlaczego ty jesteś normalna, a ona nie?!

– Czy ja wiem? – Wyprostowała się na krześle. – Pewnie dlatego, że nigdy nie byłam w Seulu...

Nie mogła przecież powiedzieć mu prawdy: „Jestem normalna, bo mnie piorun

pod fontanną nie poraził. Na twoje szczęście! Bo gdyby mnie jednak sięgnął, to bym ci teraz roztrzaskała na durnym łbie komputer, a potem pojechałabym do Poznania, żeby osobiście wydrapać oczy tej wielce mądrej i wykształconej Iwonce. Godzilla i Hedora to byłyby przy nas mały Pikuś!!!”.

– A wiesz, że coś w tym może być? Wschodnie klimaty i medytacje trochę jednak zmieniają człowieka...

– No właśnie. Słuszne spostrzeżenie. Sprawa wyjaśniona. Z pewnością od medytacji Iwona stała się taka upierdliwa. – Wiktoria była już pewna, że bez względu na ludzkie ambicje i tempo rozwoju nigdy nie pojawi się na świecie tłumacz damsko-męski. Nie da się, po prostu! Chyba prędzej ludzkość dorobi się pralkolodówki.

– Mniejsza o nią. Co robisz w sobotę? – Witek beztrąsko zamknął temat. – Masz ochotę potańczyć? Kilku moich znajomych spotyka się w Jerzyku, bo kumpel świętuje urodziny. Dostałem zaproszenie. Pójdiesz ze mną?

– Chętnie. A kto będzie? – Ucieszyła się, że wreszcie rozmawiają o czymś, co oboje rozumieją.

– Znasz wszystkich z opowieści. Będzie Gruby, czyli ten od kręgli... Kotwica, to ten pływający... Kolanko, którego spotkaliśmy tu w ubiegłym tygodniu i chwilę z nami gadał... Madziar granatem od pługa oderwany... Strawny też ma się podobno pojawić, ale nie wiadomo, czy wyjazd za chlebem mu nie wypadnie...

– Sami faceci będą?

– Skąd ten pomysł?! – Tym razem to on patrzył na nią jak na trudnego ucznia. – Marzy ci się stado chłopów, co?

– Wręcz przeciwnie. Ty wystarczysz za całe stado! – Zaśmiała się. On jednak zrozumiał to po swojemu.

– Schlebiasz mi, Witeczko. Dziękuję... – Ucałował jej dłoń i przytrzymał przez chwilę.

– To było bardzo miłe...

Miała ochotę rozejrzeć się po lokalu i zakrzyknąć z rozpaczą: „Czy jest na sali tłumacz?!”.

ROZDZIAŁ 15

Przez te wszystkie lata, które spędziła u boku Pawła, ani razu nie była w lokalu, gdzie można pogadać, wypić piwo i potańczyć. On za takimi nie przepadał, a ona unikała miejsc, w których coś mogłoby dać mu powód do zazdrości. Nawet gdyby siedziała ze wzrokiem utkwionym w stolik, to zawsze jakiś obcy mężczyzna mógł mimochodem na nią spojrzeć lub – nie daj Boże – poprosić do tańca. Truchlała na samą myśl o konsekwencjach. Dlatego kiedy znajomi zapraszali ich na wspólne wyjście, dziękowała grzecznie i recytowała zawsze tę samą formułkę: „Paweł uważa, że hałas, tłum i taniec są dobre, ale tylko na wiejskim weselu. Zgadzam się z nim. Wybaczcie. Wolimy zostać w domu”. A on kiwał głową z zadowoleniem, chwalił jej rozsądek i powtarzał z kolei swój rytualny tekst: „Tak. Idźcie sami. My nie lubimy spędów. Cudownym zrządzeniem losu spotkaliśmy się akurat w obskurnej tancbudzie. Nigdy nie przestanę twierdzić, że to było przeznaczenie. Prawda, kochanie?”.

- Nieprawda!!! – powiedziała głośno.
- Słucham? – Taksówkarz złapał jej spojrzenie w lusterku. – Mówiła pani coś?
- Nic, nic... – Zmieszała się, odwróciła głowę i zaczęła obserwować stare śródmiejskie kamienice.

Nie miała pojęcia, dokąd właściwie jedzie. Witek nie podał dokładnego adresu, bo sam go nie znał, ale zapewniał, że jak Wika wsiądzie w taryfę i powie: „Do Jerzyka, proszę”, to każdy kierowca bezbłędnie ją dowiezie. Miał rację. Powiedziała, co kazał, i taksówkarz ruszył bez żadnych pytań. Domyślała się, że lokal jest z tych znanych. Chociaż nie wszystkim. Mela bąknęła, że kojarzy coś w okolicach Jagiellońskiej, ale pewna nie była, natomiast Emilka wyduła usta w skrajnym zdziwieniu: „Skąd ja mam wiedzieć?! Ja się melanżuję w Senso, City, Baila albo w Harmonie. Do czegoś, co się nazywa Jerzyk, wstydziłabym się nawet wejść!”. Anka też jej nie pomogła: „Dziewczyno! Ostatni raz byłam na tańcach jakieś pięć lat temu! Nie pamiętam dokładnie kiedy, ale pamiętam, że to była ostatnia sobota w moim życiu, kiedy Kamiś wrócił z pracy i poszedł balować. Potem już tylko wracał i padał na łóżko ze zmęczenia. I to mu się pogłębia”.

Jechała zatem trochę w ciemno, ale uzgodniła z Witkiem, że kiedy dotrze do celu, zadzwoni, żeby po nią wyszedł. Z tego, co mówił, Jerzyk mieścił się w piwnicach starych ponemieckich oficyn, więc nie dało się podjechać pod same drzwi.

Początkowo mieli iść razem, ale w ostatniej chwili okazało się, że Wika nie wyrobi się na dwudziestą. Dostała SMS-a od Boba Budowniczego, który chciał zadzwonić wieczorem i porozmawiać o córce. Mogła oczywiście odpisać, że nie pasuje jej zaproponowana przez niego godzina, zwłaszcza że chodziło o sobotę, przegrała jednak walkę z własnym sumieniem – coraz bardziej niepokoiło ją milczenie dziadków Martynki, którzy nie kontaktowali się z nią ani telefonicznie, ani mejlowo. Zadzwoiła do Witka i przeprosiła za zmianę planów. Chciał na nią poczekać, ale szybko mu to wyperswadowała. Stało na tym, że on pojedzie na dwudziestą, a ona dołączy, kiedy tylko będzie wolna.

Nie spodziewała się jednak, że tata Martynki aż tak nadużyje jej uprzejmości. Prawie godzinę mówił o tym, jak martwi się o córkę i jak bardzo się boi, że mała nie da sobie rady po powrocie do szkoły, bo dziadkowie niczego z nią nie przerabiają.

– Wie pani? Jedno karmi koty, drugie łowi ryby, a ona tylko bajki ogląda. Byłem u nich tydzień temu i przeraziłem się nie na żarty. Zesztyły puste, książki nietknięte... Rodzice twierdzą, że oni są od tego, żeby dzieciak był czysty i najedzony, a nie zestresowany i zmęczony. Na dodatek wmówili Martynce, że dzisiejsza szkoła wykańcza dzieci i gdyby oni musieli się tyle uczyć, to na pewno nie dożyliby starości. Próbowałem dotrzeć chociaż do jednej osoby z tej magicznej trójki, ale chyba zawarli przeciwko mnie jakiś pakt...

Rozumiała go i starała się pomóc, ale przedłużająca się rozmowa zaczynała powoli ją irytować. Nie pracuje przecież w telefonie zaufania, żeby wydzwaniać do niej wieczorami i się zwierzać. Szczególnie jeśli jest się Bobem Budowniczym, co to ze wszystkim sobie ponoć świetnie radzi!

Ustalili, że ojciec Martynki będzie za pośrednictwem Skype'a kontrolował, jakie Martynka robi postępy, a swoich rodziców postara się zmusić do regularnego przesyłania do szkoły jej prac pisemnych. Wiktoria przypomniała, że dziewczynka jest mocno zżyta z kilkoma koleżankami, więc groźba, iż może do nich po powrocie nie dołączyć, powinna zadziałać na nią motywująco, co z pewnością przełoży się na zwiększoną mobilizację jej dziadków. W końcu dał jej spokój, chociaż nie wiadomo, jak długo jeszcze by rozmawiali, gdyby „przypadkiem” nie napomknęła, że szykuje się do wyjścia na dość ważne spotkanie i jest już troszeczkę spóźniona.

Ładne mi troszeczkę! Kiedy wysiadła z taksówki, było wpół do jedenastej. Witek powitał ją zrzędzeniem na babskie spóźnialstwo. Szybko jednak wyrzekanie zamienił w typowe dla siebie zachwyty. Zapewne z powodu chwilowego braku dostępu do komputera całą swoją miłość do płci przeciwnej skierował na Wiktorię. Nie dość że obejmował ją poufale, to jeszcze przedstawił w dość dziwny sposób:

– No i jest wreszcie moja dziewczyna, moja cudowna Witeczka. Teraz dopiero zabawa się dla mnie zacznie! Pozwól, kochanie, że przedstawię ci całe towarzystwo. Poznaj, skarbie, najpierw jubilata, z którego winy odbywa się ta impreza...

„Dziewczyna”?! „Kochanie”?! „Skarbie”?! Nie wyglądał na aż tak pijanego. W zasadzie był chyba jeszcze całkiem trzeźwy.

Nie mogła dłużej się nad tym zastanawiać, bo najpierw składała życzenia, a potem ścisnęła kolejne dłonie, nie zapamiętując imion ani nazwisk ich właścicieli. Usiadła na krześle nieco stremowana oceniającymi spojrzeniami. Klacz z Janowa Podlaskiego... Starła się odpędzić to skojarzenie. Postanowiła ukryć treść za delikatnym uśmiechem i odważnie patrzącymi oczyma. Nie będzie odwracać głowy od ciekawskich zerknięć i udawać, że poprawia mankiety! Jeśli wytrzymała dziki i wściekły wzrok Pawła, kiedy się od niego wyprowadzała, to teraz tym bardziej da sobie radę!

Zacząła patrzeć na zebrane za stołem towarzystwo, oddając im z nawiązką lustracyjną natarczywość. Zadziałało: kilka osób odważemniło uśmiech, kilka innych spuściło oczy.

– Zrobię ci drinka, kochanie. I to mocnego. Karniak dla spóźnialskiej musi być! – Witek przytulił ją i pocałował w czubek głowy.

– Poproszę.

– Witeczko! Sługi się nie prosi. Od sługi się żąda. – Po raz kolejny cmoknął ją czule.

Nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Miała ochotę zapytać: „Co ci się stało? Czemu pajacujesz? Przecież mamy gdzie usiąść, nie musimy udawać zakochanych”, ale przeczuwała, że to zrujnowałoby jego reputację. Poza tym była kompletnie trzeźwa, podczas gdy reszta gości już się lekko podchmieliła. Może stąd to przewrażliwienie? Może dlatego zachowanie Witka wydało

jej się dziwne? Może dlatego widziała w spojrzeniach jego znajomych rozbawienie z domieszką współczucia: „Witamy kolejną panią unizonego sługi”?

– Dawaj karniaka!

Liczyła na to, że alkohol wyleczy ją z niezdrowej podejrzliwości. Nie wyleczył. Kilka godzin później, kiedy już porządnie szumiało jej w głowie, wciąż czuła się dziwnie i była coraz bardziej pewna, że zupełnie nie pasuje ani do tego towarzystwa, ani do tego lokalu, ani do Witka. Zbliżał się świt, a ona robiła w duchu rachunek sumienia, żeby upewnić się, że decyzja, którą właśnie podjęła, jest słuszna.

Po pierwsze, towarzystwo. Każdy był tu nie byle jakim oryginałem, wszyscy razem przypominali znajomych Pawła – oderwani od życia, jednocześnie zimni i rubaszni, z patentem na mądrość, pełni pogardy dla reszty świata. Być może właśnie to skojarzenie nie pozwoliło jej się otworzyć? Niby się śmiała, niby zadawała pytania i niby na jakieś odpowiadała, ale bez względu na ilość wypitego alkoholu wciąż czuła, że stoi z boku i widzi ich jak w krzywym zwierciadle...

Tworzyli przedziwne pary, pozostające ze sobą w mniej lub bardziej nieformalnych związkach. Kiedy przyszła do Jerzyka, wyglądali na całkiem szczęśliwych, ale z upływem czasu i wódki zaczęły budzić się upiory.

Mniej więcej do północy prym wiedli mężczyźni mający dar prostego rozwiązywania problemów, nad którymi od dziesiątek lat głowiły się rady ministrów kolejnych Rzeczypospolitych. Strach pomyśleć, jak wyglądałaby Polska, gdyby nagle ze szczecińskiego Jerzyka przenieść ich wszystkich do sejmu. Piłkarze skończyliby wtedy na Syberii (co może wreszcie zmobilizowałoby ich do lepszej gry), lekarze nie mieliby własnych gabinetów, ale za to pracowałiby wyłącznie w prywatnych szpitalach (bo innych by nie było), przestępcy skończyliby na szafocie (pieniądze wydawane dotychczas na ich utrzymanie zasiliłyby prywatne szpitale, a więzienia przerobiłoby się na przedszkola). Los przestępców podzieliliby politycy. Którzy? Tego akurat nie udało się ustalić ze względu na różnice w poglądach. Był to jednak początek kolejnej wielowątkowej dyskusji na temat tego, kto ich okrada, kto ich okłamuje i kto rzuca im kłody pod nogi. I o ile w kwestii skazywania na śmierć polityków zdania były podzielone, o tyle w sprawie urzędu skarbowego panowała jednomyślność: „Z tymi ze skarbówki nie ma nawet co gadać! Powinno się poczekać, aż się odwrócą, i strzelać w plecy!”.

Po północy, nie wiadomo jak i dlaczego, sytuacja odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni: władzę nad stołem przejęły kobiety. I wtedy dopiero zrobiło się strasznie.

– Muszę wymienić furę. Jeszcze nie wiem, co bardziej oplaca się wciągnąć w leasing. Podoba mi się najnowsze bmw – zwierzył się kumplom Kolanko, przekonany, że tylko oni go słuchają.

– Jasne! Wciągnij bmw. Przecież to jedyne, co umiesz przeliterować! – Donośny głos żony nieco go zaskoczył. – A ja was wtedy wszystkich zaproszę na barszcz! Wiecie, jaki jest przepis na pyszny barszcz? Trzeba wsadzić buraka do bmw, a potem...

– Uspokój się! I nie pij już, bo robisz się mało sympatyczna. Herbatę sobie zamów. – Spojrzał na nią jak na ujadającego pekińczyka, a potem zwrócił się do kolegów, próbując dokończyć: – Byłem przedwczoraj w salonie...

– Uspokój się?! Jakie uspokój się?! Się uspokoję, jak będzie mi się chciało! Nie będziesz mi mówił, co mam robić! A może ja nie mam ochoty się uspokoić?! – Kobieta wyraźnie miała ochotę na kłótnię. – Dostyc mam traktowania mnie jak słodkiej idiotki! I właśnie że się nie uspokoję, jakbyś chciał wiedzieć! Nie uspokoję się!!! No? I co mi zrobisz?

Kolanko westchnął tylko głęboko. Zapadła kłopotliwa cisza. Nikt się nie odzywał, Kolanko i jego żona mierzyli się wzrokiem.

– Kolanko! Dasz radę wpaść w przyszłym tygodniu? Przyjdą te odżywki, które zamawiałeś. – Witek starał się zagadać sytuację. – Wziąłem więcej, bo podobno są naprawdę rewelacyjne.

– No nie wiem... Mam strasznie napięty harmonogram...

– Miło wiedzieć, że coś jednak masz napięte! – odezwała się jego żona jeszcze głośniej niż poprzednio. – A te odżywki wcale nie są rewelacyjne, drodzy panowie!

– Zatańczymy? – Sprzedawca przereklamowanych odżywek złapał Wiktorię za rękę i spojrzał głęboko jej w oczy.

– Chętnie. – Wstała w nadziei, że kiedy wróca do stolika, zastaną przy nim spokój i harmonię. Niestety... Najwidoczniej żona Kolanka wyzwoliła w pozostałych kobietach tłumione dotychczas złe instynkty, bo kiedy wrócili z parkietu, trafili na złorzeczącą partnerkę Madziara, właściciela gospodarstwa agroturystycznego pod Szczecinem.

– Co wy wiecie?! – Usiłowała podeprzeć głowę dłonią, ale broda obsunęła jej się po nadgarstku i pani Madziarowa omal nie uderzyła czołem o stół. – Ja to sobie dopiero życie przesrałam: stanął przede mną wieśniak z widłami, a ja go popierdoliłam z Posejdonem!!!

– Odezwała się, myślałby kto, Mała Syrenka! – odplącił Madziar pięknym za nadobne, ale na tym poprzestał, szturchnięty uspokajająco przez kumpli. Panowie zgodnie milczeli i pobłażliwie przyglądali się swoim damom.

– A ja zawsze marzyłam, żeby żyć ze stadem orangutanów na Borneo. I co? – Zasepiła się przyjaciółka Strawnego. – Mnie to się dopiero życie popierdoliło! – Stuknęła szklanką w szklankę Madziarowej. – Zamiast na Borneo mieszkam w Szczecinie, a zamiast stada mam jeden egzemplarz...

– Ty masz orangutana. A ja? A ja mam lwa! – stęknęła empatycznie siedząca obok niej kobieta, ruchem głowy wskazując Kotwicę i patrząc na niego z politowaniem. – Wyszedł wczoraj goły spod prysznica, stanął przed lustrem i powiedział: „Jeszcze dwa centymetry, a byłbym lwem”!

– Bo taka jest prawda! – Kotwica zaniósł się śmiechem.

– Prawda jest taka, że dwa centymetry mniej i byłbyś lwicą!!!

Nad stołem rozpętała się przedziwna licytacja nieszczęść, na jakie kobiety zostały skazane przez związanie się z tak nieudanymi partnerami.

– No cóż... – Żona Madziara wziętego omyłkowo za Posejdona po raz kolejny poniosła klęskę, próbując podeprzeć głowę dłonią. – Morał jest smutny i wszystkie go znamy: faceci to chuje, a my ich kochamy...

Wika też lubiła wypić i ponarzekać na mężczyzn, nieobce były jej słowa uznawane powszechnie za obraźliwe... Ale tym razem sytuacja zdecydowanie ją przerosła. Nie po to uciekała od patologii, żeby pakować się w coś równie nienormalnego.

Po drugie, lokal. Szybko zorientowała się, że Jerzyk jest knajpą, która daje ludziom w jej wieku namiastkę młodości. Brakowało prawdziwej konkurencji – średnia wieku wynosiła czterdzieści–pięćdziesiąt lat. Nic dziwnego, że Emilka nigdy się tutaj nie melanżowała. Na pewno zaliczyłyby fejspalm. Załamałyby się i zdołowała, widząc rówieśniczki własnej matki ubrane tak, jakby podkładały ciuchy córkom: opaski do włosów zamiast spódniczek, gigantyczne obcasy, w których nie da się chodzić bez trzymania się ściany, cekinowe bluzki z przesadnie głębokimi dekolami, wystające ze spodni stringi... O ile Emilka i jej koleżanki mogły takim

strojem bawić lub zdumiewać, o tyle zebrane w Jerzyku panie zniesmaczały i budziły litość. Tańczyły, a raczej wiły się w małych kółeczkach, niby to wygłupiając się i żartując. Udawały, że nie widzą świata poza sobą i swoim wesolutkim kółeczkiem, a w rzeczywistości tańczyły smętny taniec godowy podupadłych samic. Kiedy około trzeciej nad ranem bawiła się na parkiecie z Witkiem, zauważyła walające się na podłodze damskie buty: różowe, cętkowane, złote i czerwone szpilki. Leżały wszędzie. Podobnie jak ich właścicielki. Pijane do nieprzytomności kobiety w dziurawych rajstopach co chwila traciły równowagę, upadały, chichocząc głupekowato, i pokładały się na mieniącym się od świateł parkiecie obezwładnione alkoholem. Wołały na pomoc równie nieprzytomnych mężczyzn, którzy podnosząc je z podłogi, wkładali im ręce pod spódnice.

Co najdziwniejsze i najbardziej niepojęte: były boso, miały podarte rajstopy, tarzały się po parkiecie – ale na ich ramionach wciąż wisały torebki, jedyne wierne partnerki do tańca. Rozochoczone panie bały się zapewne zostawiać je przy stolikach, dużo bardziej martwiąc się o ich zawartość, niż o dostęp do swoich majtek...

Wika też już dawno trzeźwa nie była, ale nie potrafiła pojąć tego, co widzi. Chwilami zastanawiała się, czy przypadkiem właściciel Jerzyka nie zatrudnił tych kobiet tak, jak gdzie indziej zatrudnia się striptizerki albo dziewczyny do tańca na barze. Było ich jednak zbyt dużo, aby ta teoria mogła być prawdziwa.

Kiedy kiwająca się obok niej pulchna blondyna z rozmazany na spoconych policzkach tuszem bezceremonialnie zadarła spódnice i zaczęła podciągać opadające rajstopy, Wiktoria przestała tańczyć. Stała jak wryta i przyglądała się, nie wierząc własnym oczom. Koleżanki blondyny skręcały się ze śmiechu, ta zaś, poprawiwszy, co miała do poprawienia, nie bez trudu naciągnęła z powrotem kusą spódnice na otyły zad w czerwonej – jak wszyscy mogli się przekonać – bieliźnie.

Ogłuszająca muzyka nie pozwalała zadać pytania, więc Wiktoria spojrzała tylko na Witka i uniosła brwi.

– A nie mówiłem, że pięknie się wyzwoliliście? – Przyciągnął ją do siebie i wrzeszczał jej prosto do ucha. – Urocze jesteście!

Urocze?! Szukała właściwego słowa... Żenujące? Obrzydliwe? Smutne?

Nieważne! Ważne, że nie miała ochoty nigdy więcej tego oglądać. Towarzystwo – nie! Lokal – nie! Musiała jeszcze tylko rozpatrzeć w cichości sumienia swego...

...po trzeciej, Witek. Od początku zachowywał się jakoś dziwnie, a w miarę upływu czasu coraz bardziej się do niej kleił, jakby nie zauważając, że ona wciąż się odsuwa. W niczym nie przypominał faceta, jakiego dotąd znała. Zachodziła w głowę, gdzie się podział dowcipny, sympatyczny kumpel, z którym można było konie kraść.

Tłumaczyła sobie, że to wpływ kolegów, którym chciał pewnie zaimponować głaskaniem jej uda, a skoro na to nie pozwoliła, przynajmniej bawieniem się jej włosami. Miała nadzieję, że kiedy pójdą na parkiet i zostaną sami, Witek przestanie grać lowelasa. Faktycznie, początkowo tak było. Tańczył całkiem niezłe: nóg nie deptał, Travolty nie udawał, po tyłku nie macał. Poskakali trzy, cztery kawalki i wrócili do stołu. Po jakimś czasie powtórzyli. I jeszcze raz, i jeszcze... Za każdym razem było jednak coraz mniej przyjemnie. Krótko po północy dowiedziała się, że ma boską figurę i cudnie się rusza – podziękowała za komplement. Zanim wybiła pierwsza, powiedział, że tańczy zniewalająco i jest najpiękniejszą kobietą w całej knajpie – podziękowała. Tuż przed drugą wyznał, że śni mu się czasami, i to nie zawsze grzecznie – poprosiła, żeby przestał się wygłupiać. Godzinę później miała już najpiękniejsze czekoladowe

oczy w całym Szczecinie i usta, które wręcz proszą się o pocałunki – udowodniła, że wcale się nie proszą, odsuwając go od nich. Po trzeciej, kiedy pulchna blondyna zadarła kieckę i pokazała wszystko, co pod nią miała, zapytał, czy jego Witeczka też ma czerwone majtki – odpowiedziała, że nie pamięta.

– Nie pamiętasz? No trudno. Będę musiał sprawdzić.

Co gorsza, wraz z pojawieniem się werbalnej aktywności erotycznej Witkowi wyrastały chyba dodatkowe ręce; Wiktoria swoimi dwoma nijak nie mogła nad nim zapanować.

– Chciałabym zapalić. Wyjdziemy? – Uznała, że podwórko, z dala od łomoczącej muzyki i urodzinowego towarzystwa, będzie najlepszym miejscem na rozmowę.

– Masz trawkę? – Cmoknął jeszcze bardziej rozochocony.

– Trawkę?! – Roześmiała się na widok jego ucieszonego spojrzenia. – Trawkę, owszem, koszę czasami w ogrodzie. Palę wyłącznie papierosy.

– Palisz papierosy? Nie miałem pojęcia! Ale od początku czułem, że niegrzeczna z ciebie dziewczynka. Taka, jak lubię najbardziej.

– To się okaże... – Czuła, że będzie go musiała rozczarować. Nie bardzo wiedziała, jak zacząć tę rozmowę, ale sam dostarczył jej pretekstu. Kiedy tylko wyszli, próbował przyciągnąć ją do siebie i pocałować.

– Wyjaśnij mi, co się z tobą dzieje. – Odwróciła głowę i lekko go odepchnęła.

– Ale co masz na myśli? – Zrezygnował z całowania, ale nie z obejmowania.

– Chociażby to! – Wskazała ręce oplatające ją w pasie. – Co ty robisz?! Myślałam, że jesteśmy kumplami. Fajnie mi się z tobą rozmawia i w ogóle... ale... – Wzruszyła ramionami. – Ale nic więcej.

– Masz rację. Oczywiście, że jesteśmy dobrymi kumplami i nikim więcej. – Rozluźnił nieco uścisk, wciąż jednak stał tak blisko, że czuła prawie całe jego ciało i wcale nie było jej z tym przyjemnie. – Witeczko! Nie bój się. Ja się nie... Jak to było, co mi tłumaczyłaś? Ja się nie... No! Podpowiedz mi! Zapomniałem to słowo.

– Jakie? – Starła się odsunąć, ale trafiła plecami na poręcz. Że też akurat tutaj postawili popielniczkę!

– Już wiem! Już sobie przypomniałem! – krzyknął radośnie, ale szybko się wyciszył. Przez jakiś czas patrzył na nią czule, głaszcząc po włosach niemal po bratersku. – Wiem, co cię teraz męczy i czego się boisz. Zupełnie niepotrzebnie... Nie martw się, Witeczko, ja się nie za-an-ga-żu-ję – przesylabizował czarodziejskie słowo. – Nie będę cię prześladował telefonami ani dręczył pretensjami. Nie chcę cię mieć na własność. Przysięgam, że zaangażowanie mi nie grozi. Nie bój się, jestem naprawdę całkiem normalny i potrafię uszanować niezależność drugiej strony.

No tak... Niech żyje niezależność!

– Mówisz, że jesteś normalny?! – Miała wrażenie, że stoi przed nią ufoludek z antenką, dwoma nosami, trzema nogami, czterema diodami w brodzie i pięcioma migającymi pokrętłami na brzuchu... i mówi: „Widzisz, jaki jestem normalny?”. Była już pewna, że nigdy nie zrozumie męskiego sposobu myślenia i nigdy nie zostanie tłumaczem damsko-męskim.

– Witek, ty nic nie rozumiesz – podsumowała zrezygnowana.

– Wręcz przeciwnie! Rozumiem doskonale: jesteśmy tylko kumplami i oboje nie lubimy się angażować. Uwielbiam cię przede wszystkim za to, że nie przypominasz tych zaborczych kobiet, które najpierw piszą niby od niechcienia, a potem zdręczają człowieka. Nawet nie wiesz, jak błyszczysz na ich tle. – Znowu pogłaskał ją po głowie. – Witeczko, jesteś wyjątkowa!

– Wzmocnił uścisk i znów próbował ją pocałować.

– Ale właśnie ja wcale nie jestem wyjątkowa! Ja lubię się angażować! – Położyła mu dłoń na ustach. – Ty nic nie rozumiesz... Serce nie sługa... Niestety... – Miała nadzieję, że Witek wyczyta z jej rozpaczliwego spojrzenia niemiłą dla siebie prawdę.

Odsunął się natychmiast, i to na sporą odległość. Patrzył pustymi oczyma gdzieś ponad jej ramieniem. Raz i drugi rozchylił usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale z jego gardła przez dłuższy czas nie wydobył się żaden dźwięk. Wiktorii było przykro. Nie chciała sprawiać mu bólu. Bardzo go lubiła, ale cóż mogła poradzić, że nie jest w stanie zdobyć się na nic więcej? Spoglądając na jego mieniającą się emocjami twarz, usprawiedliwiała się w duchu, że nie robiła mu żadnych nadziei, ale sumienie paliło ją żywym ogniem, bo wiedziała, jak on musi się teraz czuć. To nic przyjemnego dowiedzieć się, że nie jest się kochanym...

– Chcesz powiedzieć, że się we mnie zaangażowałaś? – odezwał się wreszcie.

– Słucham? – Była pewna, że źle usłyszała. – Co chcesz powiedzieć?

– Starasz się dać do zrozumienia, że się we mnie zakochałaś? – dukał zakłopotany. – Ja wiem, że serce nie sługa, ale byłbym nie w porządku, gdybym...

– Nie! Absolutnie nie!!! Nie zaangażowałam się! Wręcz przeciwnie! – zaprzeczyła tak gwałtownie i tak głośno się zaśmiała, że aż głupio jej się zrobiło. Postanowiła jakoś złagodzić swoją reakcję. – Znaczy... Lubię cię bardzo... I bardzo cenię naszą znajomość... I miło mi, jak do mnie piszesz...

– To o co ci chodzi? Bo teraz to ja już naprawdę nic nie rozumiem. W co ty grasz?

– Rozłożył bezradnie ręce.

– W nic nie gram! Jesteś moim kumplem. Tylko i wyłącznie kumplem. Nikim więcej. Dlatego mnie nie obmacuj i nie klej się do mnie.

– A co jedno ma z drugim wspólnego? – Patrzył na nią tak, jakby miała antenkę na głowie, dwa nosy, trzy nogi, cztery diody w brodzie i pięć migających pokręteł na brzuchu. – Już o tym rozmawialiśmy... Że dogadujemy się wspaniale, że się nawzajem nie ograniczamy, że fajnie się razem bawimy...

– Wszystko się zgadza. Problem w tym, że cię nie kocham.

– Nie kochasz mnie? – Wlepił w nią wzrok. – Przecież to nie jest problem. Ja wcale nie chcę, żebyś mnie kochała. Skąd tę bzdurę wytrzasnęłaś, Witeczko?

– Postawmy sprawę jasno! Nie dotykaj mnie tak i nie próbuj mnie całować, bo ja... Ja jestem tylko głupią babą i muszę się w kimś zakochać, żeby na to pozwalać! – Heroicznie potrząsnęła głową.

– Chwila, chwila! – przerwał jej, gwałtownie straciwszy humor. – Udajesz cnotliwą księżniczkę w wieży, która spuszcza przez okno warkocz, żebym się po nim wspiał? No weź mnie nie rozśmieszaj. Ile ty masz lat?! Czego ty ode mnie oczekujesz? Wielomiesięcznych zalotów?! Bukietów czerwonych róż albo innych głupkowatych dowodów miłości?! Nie zachowuj się jak nastolatka!

– Niczego nie oczekuję. – Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale poczuła, że robi jej się słabo. Ten wyraz oczu, ta pretensja w głosie, te wykrzywione usta... Odgarnęła włosy z karku, żeby zimne jesienne powietrze choć trochę ją ocuciło. – Żadnego warkocza nie spuszczałam – dodała z trudem.

– Jak to nie? A po jaką cholere całąmi dniami pisałaś?! I szlajałaś się ze mną po knajpach kilka razy w tygodniu?! Po co w ogóle się ze mną spotkałaś? – Krzyczał z każdym zdaniem coraz głośniejsze i wymachiwał rękoma. – Spotkałaś się raz, potem drugi raz, potem trzeci! Trzeba było mnie po pierwszym spotkaniu odstawić!!! Po co się mną bawiłaś?!

– Nie bawiłam się tobą nigdy. A spotykałam się i szlajałam po knajpach, bo cię lubię

i fajnie mi z tobą. Przepraszam... – Czują, że serce wali jej coraz szybciej, rozsadzając żebra. Zobaczyła przed sobą Pawła. Uderzy? – Nie chciałam cię zdenerwować... Przepraszam...

– Mimowolnie zareagowała dawnym odruchem.

– Przestań! – Nie był Pawłem, ani myślał o biciu. – No, jestem zaskoczony. Zmyliłaś mnie swoimi gierkami. Miałem wrażenie, że chociaż ty jesteś normalna.

– Możesz przynieść mi płaszcz? Źle się czuję. Muszę jechać do domu. Już po czwartej... Pożegnaj wszystkich ode mnie. – Budowała krótkie zdania, nie potrafiła zdobyć się na więcej.

– Powiedz, że za dużo wypiałam. Wymyśl coś. Muszę jechać do domu.

– Jak sobie życzysz – powiedział lodowato. – Zaraz przyniosę ci płaszcz. Zostawiłaś coś przy stoliku czy wystarczy, że pójdę do szatni?

– Wystarczy do szatni... dziękuję... – Zapaliła kolejnego papierosa i wystukała numer taksówki. Marzyła, żeby położyć się do łóżka i zapomnieć o wszystkim. O Jerzyku, o podciągającej rajstopy blondynie, o wieśniaku wziętym omyłkowo za Posejdonę, o Witku... A przede wszystkim o Pawle. Mroczna przeszłość po tak długim czasie znowu ją dopadła i trzymała za gardło.

Kiedy wreszcie schowała się pod kołdrę, długo płakała, mocząc łzami designerską czarno-złotą poduszkę.

VI

PUSZCZYK, CZYLI POTYKAJĄCE SIĘ PISKLE

Puszczyki kojarzą się z dumą, mądrością, odwagą... I takie są. Ale dopiero kiedy wreszcie dorosną. Zanim to nastąpi, bardzo długo pozostają zależne od jedzenia przynieszonego przez rodziców. Opuszczają gniazdo dość wcześnie tylko dlatego, że przestają się w nim mieścić.

Czekając na ojca lub matkę, spacerują po gałęziach i często im się zdarza spadać na ziemię. Chociaż mają już w pełni wykształcone skrzydła, nie korzystają z nich. Wdrapują się na drzewo na piechotę. We wspinaczce pomagają im ostre szpony i silne nogi.

ROZDZIAŁ 16

– Matko jedyna, jak ty wyglądasz? – Mela patrzyła na siostrę z troską. – Rozumiem, że przeżyłaś wstrząs, ale zdawałaś sobie chyba sprawę, że tak łatwo nie wymażesz wszystkiego z pamięci?

– Nigdy w nikim się nie zakocham – stęknęła Wiktoria spod zawiniętego w ręcznik woreczka z lodem. – Nie ma przecież ludzi, którzy się nigdy nie złością, nie podnoszą głosu, nie mają pretensji. A ja na widok agresji będę zawsze dostawała ataku hysterii i uciekała najdalej, jak się da. Tak jak wczoraj.

Amelia nie była pewna, czy wypływające spod ręcznika krople to łzy, czy rozpuszczający się lód.

– Zdejmij okład, bo się udusisz.

– I dobrze! O to mi chodzi. Nie chce mi się żyć.

– Chrzanisz! – przerwała Mela bez zbędnych ceregieli. – Po pierwsze, nie prowokuj Pana Boga. – Wzniosła oczy ku niebu i zamruczała półgłosem: – Wybacz i bądź miłosierny dla tego baraniego łba. – Po czym ponownie zwróciła się do siostry: – Po drugie, zamiast dramatyzować, wyciągnij pozytywne wnioski.

– Niby jakie?

– Że nie każdy facet bije...

– Wybacz i bądź miłosierny również dla tego baraniego łba. – Wika wciąż miała twarz przykrytą ręcznikiem i nie mogła spojrzeć w niebo, więc wzniosła ku niemu splecione dłonie.

– Posłuchaj, co chcę ci powiedzieć. – Amelia złapała siostrę za ręce i ułożyła je na jej kolanach. – Przekonałaś się, że nawet jeśli ktoś jest zły, krzyczy i macha łapami, to wcale nie musisz się go bać. Zgadza się, nie ma na świecie ludzi bez nerwów. Ale nauczyłaś się wczoraj, że wybuch nie zawsze grozi czymś strasznym. Nie ma sensu wpadać w panikę. Ja też czasami krzyczę. A mój Sławek? Ho, ho! Ten to dopiero potrafi musztrować! I co? Nikt przez niego z tego domu nie uciekł... – Zawiesiła głos. – przynajmniej do tej pory...

Wiktoria dłuższą chwilę milczała.

– Słyszysz mnie?!?!?! – Mela celowo rozdarła się ile sił w płucach.

– Jeszcze jak... – jęknęła Wiktoria, ściskając skronie palcami.

– To czemu nic nie mówisz?!?!?! –

– Co to ma być?! Krzykoterapia?! – Wika ściągnęła ręcznik z twarzy, ale szybko zasłoniła oczy przed światłem. Na dodatek wrzask i śmiech wywołały bolesne pulsowanie w żyłach. – Ale mnie łeb napier...

– Mam wezwać policję czy pogotowie? – Głos Emilki zaskoczył obydwie siostry.

– Słysząc was na całej ulicy.

– ...nicza – dokończyła Wiktoria i powtórzyła, żeby nie było wątpliwości: – Ale mnie łeb napiernicza. – Spojrzała przez rozcapierzone palce w kierunku przedpokoju, a potem zapytała umęczonym głosem: – Kim jesteś, dziewczynko?

– Zakałą rodziny. – Siostrzenica podeszła do niej i zaglądnęła w opuchnięte oczy.

– Chociaż widzę, że ktoś chce mi odebrać ten tytuł. Chyba niezły melanż był, co?

– Melanż był zły, a noc jeszcze gorsza. Prawie nie spałam. Śniły mi się koszmary. Budziłam się, przewracałam z boku na bok, przeżywałam, dyskutowałam z niewidzialnymi rozmówcami... Kartoteka Różewicza według Wiktorii.

– Akurat! Różewicz! Zamiast zwałać na wieszczka, powiedz lepiej, z czym Wituś Sprytuś dał ciała. Tylko szczerze! Bez odwracania kota w worku!

– Bez odwracania kota ogonem – poprawiła ją matka. – Kota w worku się kupuje.

– Będziemy teraz o kotach gadać? Sześć godzin po sklepach łąziłam. Nóg nie czuję.

– Emilka usiadła na oparciu fotela Wiktorii i mocowała się z suwakiem zamszowego kozaczka. Kiedy wreszcie zdjęła buty, zaczęła masować obolałe stopy. – To cóż zrobiła ta męska gwiazda, największa i świecąca najjaśniejszym blaskiem w całym wszechświecie? Za mało się nim zachwyciałaś? Czyżby teraz siedział i tekścił kumplom, że zły los znowu się na niego wziął?

– Dziecko! – Głos Meli brzmiał dość trwożliwie. – Co ty wygadujesz? To chyba nie są twoje sprawy. Nie masz pojęcia o...

– Jasne! O niczym nie mam pojęcia! – Rozdzierające westchnienie jednoznacznie dawało do zrozumienia, że nastoletnia duma została właśnie bardzo mocno urażona. Emilka zebrała kozaki z podłogi i zanim podniosła się z fotela, popatrzyła na Wikę ze współczuciem. – Wstyd! Żeby doprowadzać się do takiego stanu przez faceta. Ja, oczywiście, nie mam o niczym pojęcia i za mała jestem na rozmowy o mężczyznach, ale wierz mi, że Pan Pipeta to nie pierwszy kandydat na ojca moich dzieci. Było przed nim kilku innych.

– Co ty wygadujesz? – powtórzyła Amelia, łapiąc się za głowę.

– Nic. Plotę sobie. Jak to ja... – Emilka zatrzymała się w progu. – Ale jeśli jednak tylko kac tak sponiewierał moją ciotkę, to chciałabym doradzić, żeby nie piła żadnych musujących leków.

– A dlaczego? – zaniepokoiła się Wiktorii, która nie dalej jak pół godziny temu wypila podany przez siostrę buzujący bąbelkami pomarańczowy płyn.

– Bo syk rozpuszczającej się tabletki rozsadzi ci czaszkę. Jedyne dobre lekarstwo na kaca to trzy „c”: cisza, ciemność i czas. Ewentualnie kroplówka z glukozy i soli fizjologicznej. Ale co ja tam wiem? Idę do siebie. Pa!

– Czekaaj, czekaaj. – Powstrzymała ją matka. – Będiesz dzisiaj gdzieś jeszcze wychodzić?

– Nawet jakbym chciała, to nie miałabym na czym: nogi mi zaraz odpadną. A co?

– Babcia z dziadkiem przyjdą na kawę i ciasto. Będą za trzy, cztery godzinki.

– Babcia z dziadkiem?! Postanowiłaś ją zabić?! – Emilka wskazała na Wiktorię, która usłyszawszy o rychłej wizycie rodziców, jęknęła okropnie, osunęła się w fotelu i przykryła twarz okładem z lodu. – Lepiej już teraz podaj jej jakąś truciznę. Przynajmniej będzie się krócej męczyła!

– Wstydzilibyś się takie rzeczy mówić! – zgromiła ją Amelia.

– Nie wstydz się... – Stłumiony przez kilka warstw ręcznika głos Wiki był ledwo słyszalny. – Nie trzeba się wstydzć mówienia prawdy... Kto by pomyślał, że zabije mnie własna siostra?

– No widzisz? – Emilka popatrzyła na matkę z wyrzutem, a potem cofnęła się z progu i ponownie usiadła na oparciu fotela. – Rodzeństwo to nam się obydwóm jakoś nie za zbyt udaje, co? – powiedziała i nieporadnie pogładziła Wiktorię po głowie.

– Przestańcie się wymądrzać!

Amelia poczuła ukłucie zazdrości. Nie pamiętała, kiedy ostatnio córka bezinteresownie przytulała się do niej i ją głaskała. Może też powinna kiedyś rozwalić się bezradnie w fotelu, obłożyć lodem i jęczeć, że ma kaca? Najwidoczniej taki obrazek dużo bardziej wzruszał Emilkę niż widok matki, która, czy chce, czy nie, zaciska zęby i dźwiga cały dom na mocno już zmęczonych plecach, a jeśli zaliczy smutno-bezsenną noc, to leczy się robieniem dżemów z malin, zamiast stękać z głową w zimnej szmacie. Serce ścisnęło się jej jeszcze boleśniej, kiedy Emilka – sama z siebie – zabrała ociekający wodą kompres i poszła z nim do kuchni, a po chwili

wróciła z nowym woreczkiem lodu zawiniętym w dokładnie wyżęty ręcznik. Położyła go na czole ciotki i wytarła chusteczką jej mokre policzki i szyję. Jakby tego było mało, usunęła też z podłogi każdą kropelkę wody, jaka spadła podczas bieganina z okładami między salonem i kuchnią. Mela nie wiedziała, co jest dla niej większym zaskoczeniem: czy to, że córka umie po sobie sprzątać, czy raczej to, że umie się przytulić bez proszenia o pieniądze. Na koniec Emilka znowu przycupnęła na fotelu i zaczęła rzucać kolejnymi absurdalnymi pomysłami na wyautowanie się z wizyty dziadków. Wiktoria była wyraźnie ubawiona i co chwila podnosiła do góry wyciągnięty kciuk.

– Nie denerwujcie mnie, dobrze?! Znalazły się dwie mądre! Jedna przez pół dnia odsypiała imprezę, druga latała po sklepach, a ja w tym czasie musiałam wysłuchiwać przez telefon gorzkich żalów, że gdyby umarli, to tylko sąsiedzi by się zorientowali, bo zaniepokoiłby ich smród rozkładających się zwłok. Co niby miałam zrobić?! Zaprosiłam ich! I zamiast marudzić, to się cieszcie, że na wieczór, a nie na obiad! Macie przynajmniej czas, żeby się ogarnąć. Jakie ja miałam wyjście?! Żadnego!!! – Amelia rozłożyła bezradnie ręce. – Faktycznie trochę ich ostatnio zaniedbałam przez pracę, ale chyba nie jestem jedyną osobą w tej rodzinie, prawda?! I myślicie, że ja nie mam ochoty odpocząć?!

– Błagam... Nie tak głośno... Krzycz sobie, ale ciszej... – Skupiona na swoim bólu i swoich problemach Wiktoria nie zauważyła, że to zdanie przelało czarę goryczy.

– No właśnie. Krzycz cicho! – Poparcie Emilki dołało oliwy do ognia. Tego Amelii było już za wiele.

– Dobrze! – Poderwała się z kanapy i niemal pobiegła do telefonu. Jednym guzikiem wybrała zakodowany numer. – Jak jesteście takie mądre, to proszę bardzo! Powiedzcie im, żeby nie przychodzili, bo was to zabije! – I zanim zdążyły się zorientować w sytuacji, już mówiła słodkim głosem: – Tatusz? No witam serdecznie. Dzwonię, bo twoja druga córka i wnuczka chcą wam coś powiedzieć.

Przeżrana Emilka w ułamku sekundy uciekła z pokoju, a Wika w tym samym ułamku wytrzeźwiała. Zrzuciła kompres i wystraszona patrzyła na podetkniętą pod nos słuchawkę. Rada nierada wzięła ją do ręki.

– Cześć tato... Ja w sprawie waszej wizyty... – duką, strzelając w siostrę śmiercionośnym spojrzeniem, ale wszystko wskazywało na to, że Amelia jest kuloodporna: rozsiała się po przeciwnej stronie stołu z triumfalnym uśmiechem. – Chodzi o to, że...

– Poczekaj chwilę – przerwał jej Bernard. – Matka!!! – wrzasnął do telefonu, przez co skronie Wiktorii przeszły miliony igieł. – Chodź tu!!! Dzieciaki coś chcą!!! A bo ja wiem?! Co mnie to obchodzi?! No chodźże!!!

Najwidoczniej Janina spełniła w końcu prośbę męża, bo przestał krzyżeć. Oddalił też usta od słuchawki, ale nie pomyślał o zasłonięciu mikrofonu, więc Wika załapała się na fragmenty szybkiej wymiany zdań między rodzicami: „A ja wiem? Pewnie zaraz ci każą wagon gołąbków narobić. Masz, co chciałaś! A skąd ja bym teraz miała im te gołąbki wziąć? Mogły powiedzieć, z przyjemnością bym zrobiła. Bo one o tym akurat myślą! Beniu, daj spokój. Pewnie chcą, żebyśmy wcześniej przyszli. To i lepiej by było. Pamiętaj, że o ósmej mam mecz. Musimy być w domu! Dobrze, dobrze. Pamiętam. A która dzwoni? Ta, co ją chcesz na siłę zeswatać. Tylko pamiętaj, że nie będziemy u nich za długo siedzieli!”

– Dzień dobry, córcia! – zaszczebiotała Janina wprost w ucho „tej, co ją chce na siłę zeswatać”. – Wy już całkiem litości nie macie. Pamiętacie jeszcze, jak wyglądamy? To nie po bożemu, żeby o rodziców się zupełnie nie troszczyć. Nie tak was wychowywałam. Ckni mi się

za wami i za wnukami. Ojciec też tęskni. Miejsca sobie nie może znaleźć, bo jaki sens ma to nasze życie bez was? Przecież wy to jedyne, co nam zostało na pociechę starych lat. Gadał mi tu i gadał, to zadzwoniłam w końcu. Tak się cieszę, że was dzisiaj zobaczę w komplecie. Wprawdzie bez Sławusia, ale może akurat przez komputer będziemy mogli porozmawiać? Bo za nim też nam się ckni. – Zrobiła wreszcie przerwę na głębszy oddech. – To z czym dzwonisz, córeczko? Bo jak chcecie, żebym coś ugotowała i wam przywiozła, to musicie mi zawsze wcześniej powiedzieć. Teraz u mnie pusto w lodówce. I w zamrażalniku też. Ale zdążę jeszcze jakieś ciasto zakręcić. Co wolicie: jabłecznik czy sernik? – Ponieważ Wiktoria nie była w stanie wykrztusić słowa, Janina pomyślała, że połączenie zostało zerwane. – Córca! Słyszysz mnie? Halo? Halo!!!

– Słyszę, mamó... Nie piecz niczego... Ani jabłeczniaka, ani sernika...

– Kiedy ja z przyjemnością upiekę. Tylko nie wiem co. Jabłecznik czy sernik?

– Mamy i jedno, i drugie, więc bez sensu...

– A z czym dzwonisz?

– Chciałam zapytać, o której dokładnie będziecie. Bo muszę załatwić kilka spraw...

– Jak to o której? O piątej. Mela ci nie mówiła? Ona ostatnio jakaś taka dziwna jest.

Trochę się o nią zaczynam martwić. Mieszkasz tam, to może lepiej widzisz, co się dzieje? Wszystko u was dobrze?

– Tak. Wszystko dobrze – przytaknęła Wiktoria. – Czyli o piątej będziecie?

– Możemy wcześniej, jeśli wolicie.

– Nie, nie! – Wika pokręciła głową tak gwałtownie, że przeszył ją kłujący ból. – Piąta to bardzo dobra godzina. Akurat się wyrobię. No to do zobaczenia.

Długo zwlekała z podniesieniem wzroku na siostrę. Wiedziała, co zobaczy.

– Gratuluję asertywności! – Amelia wciąż uśmiechała się triumfalnie. – Rozumiem, że odwołałaś ich wizytę?

– Wręcz przeciwnie. Nie mogę się jej doczekać. – Wika bawiła się strużkami wody, wyciekającymi na stół z porzuconego przed kilkoma minutami kompresu: zmieniała ich kierunek, spowalniała nurt, rozmazywała palcem na suchej powierzchni.

– Przepraszam... Poniesło mnie... Miałam ciężką noc...

– Wiem. Ale mi też bywa ciężko. Staram się, jak mogę, zrozumieć wszystkich dookoła, ale czasami chciałabym, żeby ktoś rozumiał mnie. Ty masz inne problemy, ja mam inne. Trudno je zważyć i ocenić, które są cięższe. Uwierz mi, że czasami naprawdę chciałabym być na twoim miejscu.

– Czyli nie mieć domu, rodziny, dzieci?

– Czyli nie mieć odpowiedzialności za dom, rodzinę i dzieci. I nie martwić się bez przerwy o dom, rodzinę i dzieci. Chciałabym powiedzieć rodzicom, żeby nie przychodzili, bo marzę o przebibaniu całego dnia w rozwleczonym dresie przed telewizorem. Chciałabym powiedzieć matce, żeby przestała mnie szantażować swoimi chorobami, bo w końcu ogłuchnę na to jej gadanie i kiedy naprawdę coś się stanie, nie zareaguję, myśląc, że to kolejny atak hipochondrii. Chciałabym powiedzieć Sławkowi, że mam już dosyć jego monopolu na mądrość, bo wie o moim życiu dokładnie tyle, ile wie gość hotelowy o życiu pokojówki, która zmienia mu pościel. Chciałabym powiedzieć dzieciom, że... – Mela przerwała i zapatrzyła się tępo w ścianę. – Ale nigdy tego nie powiem. Ty jesteś panią swojego losu, a ja często mam wrażenie, że trafiłam do jakiejś gry komputerowej. Muszę wykonywać określone czynności, bo inaczej zostanę zlikwidowana. Ktoś mną przesuwają, ktoś każe mi coś robić... Nie wiem, jak ci to

dokładnie wytłumaczyć.

– Nie tłumacz. Rozumiem – zapewniła Wiktoria. Wiedziała, co siostra chce powiedzieć, ale stwierdzenie, że czasami chciałaby się z nią zamienić, uznała za mocno przesadzone. – Pójdę pogadać z Emilką, a potem się ogarnę, na tyle, na ile to możliwe. Przecież jak oni zobaczą mnie w takim stanie, to matka zacznie odprawiać egzorcyzmy.

– O czym chcesz gadać z Emilką?

– Po pierwsze, powiem jej, co myślę o sobie i swoim zachowaniu. Przepraszam cię raz jeszcze... Ona jest młoda i głupia, ale ode mnie można już wymagać myślenia. Sorry!

– Uśmiechnęła się, widząc, jak twarz Amelii nieco łagodnieje. – Po drugie, wyślę ją do cukierni po jabłecznik i sernik.

– Na co tyle ciasta? Jest sękacz i torcik z bitą śmietaną...

– Czy ty się dzisiaj urodziłaś? Przed chwilą powiedziałam mamie, że nie potrzebujemy jabłecznika i sernika, bo mamy. Jeśli nie zobaczy ich na stole, to wygna nas na zakupy, a potem zapędzi do tarcia jabłek i mielenia sera.

– Ale na co tyle tego?

– Wolisz trzeć i mielić? Bo ja serdecznie dziękuję! Szczególnie teraz... A nadmiarem ciasta się nie martw. Najwyżej zaniosę je jutro do szkoły. Nasz pokój nauczycielski to gastronomiczny Trójkąt Bermudzki: jak nie zamkniesz żarcia w szafce, to znika. Dobra! Dosyć gadania, trzeba się ogarnąć! – Wiktoria wstała dziarsko z fotela, ale przez ten nagły ruch nasilił się ból głowy, co szybko pozbawiło ją werwy. – Idę do Emilki. Potem na dłużej zajmę łazienkę, dobra? – Powlekła się w kierunku schodów. – A ty może w międzyczasie pogadaj z Bogiem i zapytaj go, ile jeszcze każe mi dzisiaj siedzieć w tym czarnym tunelu? Niech się w końcu zdecyduje: albo mnie zabiera do siebie, albo niech mi daruje i pozwoli wrócić do żywych.

– Na pewno szybciej ja dogadam się z Bogiem niż ty z moją córką. Jak mam ją sto razy prosić, żeby raczyła pójść do cukierni, to już wolę sama skoczyć. Zapomniałaś, że nogi jej odpadają, bo kilka godzin po sklepach latała? Powiedz lepiej, ile tego jabłecznika i sernika kupić?

– Nigdzie nie chodź. Pozwól, że ja się tym zajmę. – Wika mrugnęła do siostry. – Ty już swoje zrobiłaś: zorganizowałaś nam gości. Resztę zorganizuję ja.

Amelia odpuściła. Rozsiadła się na kanapie i włączyła telewizor, ale nie mogła skupić się na tym, co ogląda, bo wciąż zerkła na zegar, odliczając czas z górką satysfakcją. Minuty płynęły i nic nie wskazywało na to, żeby ktoś w tym domu wybierał się do cukierni.

„Oczywiście!” – pomyślała rozzalona. „Skończy się jak zwykle: będę lecieć po ten głupi sernik i jabłecznik z językiem na plecach tuż przed przyjściem rodziców. Bo jedna zasiedzi się w wannie, a druga na Facebooku. Za to ja, ludzik z gry komputerowej, zostaną odesłana po ciasto... Czemu mnie to dziwi? Dawno powinnam była przywyknąć...”

Zaczęła sobie wyobrażać treść rozmowy, jaką zapewne odbyły.

– Emilka, skoczysz do cukierni?

– Nie dam rady. Nóg nie czuję. Sześć godzin po sklepach łąziłam.

– Proszę cię! Skocz.

– Ale po co?

– Po sernik i jabłecznik. Obiecałam twojej babci, że dostanie. Pójdiesz?

– No dobra. Ale nie teraz.

– A kiedy?

– Zaraz.

– Super! To ja idę do łazienki.

Kiedy przyjdzie co do czego, Wiktoria będzie się tłumaczyć, że poprosiła Emilkę, ale potem brała kąpiel, więc skąd mogła wiedzieć, że mała nie poszła? A mała wyburczy, że zagadała się z kimś na fejsie, więc trzeba jej było przypomnieć o durnej cukierni, „Wielkie mi halo!”. Na koniec obydwie uznają, że nie wiadomo, o co całe to zamieszanie – tym bardziej kiedy zobaczą stojące na ławie talerze z sernikiem i jabłecznikiem. Oczywiście żadna nie przeprosi i nie podziękuje niezawodnemu ludzikowi z gry za to, że przyniósł i pokroił ciasto. Wręcz przeciwnie: zaczną się prześcigać w zapewnieniach, że przecież to one mogły iść na zakupy, a potem nakryć do stołu. I będą się o tym wzajemnie przekonywać, chociaż zejda na dół dopiero wtedy, kiedy rodzice zapukają w drzwi.

Były do siebie naprawdę bardzo podobne i doskonale czuły się w swoim towarzystwie... Mela już dawno zauważyła, że Wiktoria ma znacznie większy wpływ na Emilkę niż ona. Z jednej strony nie było to przyjemne, ale z drugiej musiała przyznać, że córka przez ostatnie miesiące zmieniła się bardzo na korzyść. Przede wszystkim: przestała znikać za drzwiami swojego pokoju i zaczęła mówić. Wprawdzie język, którym się posługiwała, wciąż pozostawiał wiele do życzenia, Amelia dowiedziała się jednak wreszcie czegoś o własnym dziecku: co lubi, kogo nienawidzi, z kim spędza wolny czas, którego nauczyciela ma powyżej uszu, jakie przedmioty chce zdawać na maturze... Opowiadała coraz chętniej i coraz dłużej, z własnej woli pozostając po jedzeniu przy kuchennym stole. Poza tym, co kiedyś było nie do pomyślenia, przynosiła filmy, które razem oglądały, śmiejąc się czasami do rozpuku, a czasami zalewając się łzami wzruszenia. Mela była z tego bardzo zadowolona, ale wciąż męczyła ją myśl, że córka rozmawia i ogląda filmy tylko z Wiktoria, natomiast matce łaskawie pozwala w tym uczestniczyć. Traktowała ciotkę jak starszą koleżankę, która wszystko toleruje i za nic nie karci. Dlatego tak łatwo było im dzisiaj dowcipkować na temat zaproszonych gości, wspomagać się w leczeniu kaca, a teraz zająć się sobą i zapomnieć o tym cholernym serniku z jabłecznikiem! Amelia nie mogła sobie niestety na to pozwolić, bo była matką. Dlatego zamiast szydzić, musiała wzbudzać w Emilce szacunek do dziadków. Dlatego nie mogła urznąć się i leżeć potem od rana z kompresem na głowie. Dlatego pójdzie za chwilę po te głupie ciasta.

Łomot na schodach wyrwał Amelię z gorzkiego zamyślenia. Ktoś pokonywał je, skacząc po kilka stopni.

– Dziecko! Ty nie masz już żadnego szacunku nie tylko dla babci i dziadka, ale nawet dla tego domu, który też już młody nie jest. Zawali się kiedyś przez to, jak go traktujesz. – Wyszła do przedpokoju i patrzyła na córkę pospiesznie wkładającą adidasy. – Wika już się wykapała?

– Dopiero poszła do łazienki. – Emilka cmoknęła, nie mogąc rozsupłać sznurowadeł wychuchanymi paznokietkami. – Szlag by to!

– Jak to dopiero poszła? A co robiła tyle czasu? Daj mi ten but... – O połowę krótsze paznokcie Meli zdecydowanie lepiej radziły sobie z życiowymi wyzwaniem.

– Prała.

– Prała?! Co prała? Proszę... – Podała córce but.

– Moje sumienie prała. Jest w tym zdecydowanie lepsza od ciebie. – Zdegustowana intonacja wskazywała, że nie jest to komplement ani dla matki, ani dla ciotki. – Kobiety w naszej rodzinie są naprawdę okropne. Jeśli mi się też tak porobi, to naprawdę współczuję swoim dzieciom. Gdzie one ode mnie uciekną? Do szklanego ojca, który nigdy nie wyściubił czubka pipety z laboratorium? Biedule!

– Idziesz co cukierni? – Mela starała się wyciągnąć jakiś sensowny wniosek z informacji,

że Wiktoria przez godzinę robiła pranie sumienia i jest w tym lepsza od niej. – No... to cieszę się, że... że... że idziesz...

– Co za wiocha! – Emilka dźwignęła pupę z podłogi i niechętnie przypatrywała się adidasom. – Za dresiarę mogę teraz robić. Ale trudno. Tak mnie nogi po zakupach bołą, że umrę, jak coś innego założę.

– Nie przesadzaj. Przelecisz szybko te kilka metrów. Nikt cię nie zauważy.

– Kilka metrów? Ale ja... O cholera! Zapomniałam miesięczny zabrać!

– Po co ci bilet? Gdzie ty się wybierasz? – Matka patrzyła na nią coraz bardziej zdezorientowana. – To nie idziesz po ciasto?

– Mówiłam ci przecież, że Wiktoria jest jeszcze lepsza od ciebie. Albo gorsza? Nie wiem... Musiałabym dłużej pomyśleć. – Emilka drapała się po głowie. – Mniejsza o to! Wymodziła, że oprócz ciasta będzie też sałatka owocowa i wypasiona kolacja. Zwaliła mi na łeb całą listę zakupów, więc muszę pędem jechać na ryneček. Zegar nam się skurczył i cud będzie, jak się wyrobimy.

– To wam pomogę!

– Ani się waż! – Córka pogroziła jej palcem. – Wika to przewidziała. Dostałam rozkaz, żeby zanim pojedę, posadzić cię przed telewizorem, a potem przywiązać grubym sznurem do fotela i zakneblować. Ale wybac, nie mam na to czasu. – Cmoknęła matkę w policzek.

– Możesz sama się związać i zakneblować? – Parsknęła śmiechem, a potem pobiegła po bilet.

Amelia próbowała pozbierać myśli. Kiedy Emilka zbiegła na dół, znowu pokonując schody kilkoma skokami, zastała matkę w tym samym miejscu, co poprzednio.

– Mamo! Nie stercz tu! Idź i przywiąż się do fotela! Zrób to dla mnie, bo jak Wiktoria skończy się kąpać i zobaczy, że luzem po domu latasz, to mi się dostanie. – Z impetem otworzyła drzwi. Wyszła na zewnątrz, jednak cofnęła się i ponownie pocałowała matkę. – Masz się z nami, co? Ale wyciluj... Według mnie to ja nie jestem taka zła. Ja tylko jestem trudna. – Rozłożyła bezradnie ręce, a potem zamachała nimi gwałtownie. – Lecę, bo naprawdę zepnę się zaraz gorzej niż koński ogon. Jeśli ktoś mnie zobaczy w tych adidasach, to zbieraj kasę na operację plastyczną. Będę spalona jak agent na solarce. Pa!

– Pa... – Amelia patrzyła dłuższą chwilę na drzwi, nie mogąc odzyskać kontroli nad ciałem. Wróciła do salonu i klapnęła na kanapę, ale ani myślała się do niej wiązać. Wręcz przeciwnie. Przesiedziawszy w zadumie kilka minut, wstała i powoli pokonała schody, a potem zapukała do drzwi łazienki. Musiała powiedzieć, co ją boli i co jej się nie podoba. Ale czuła też nieodpartą potrzebę przeproszenia Wiktorii i zapytania, jak ona to robi, że panuje nad Emilką. Wiedziała, że czeka je niełatwa rozmowa. W pierwszej chwili chciała przełożyć ją na następny dzień, bo nie wiedziała, czy bardziej boi się tego, co chce powiedzieć, czy raczej tego, co usłyszy, ale w końcu uznała, że nie ma sensu odkładać „prania”.

ROZDZIAŁ 17

Stół wyglądał imponująco, a Janina nie mogła się nachwalić gościny. Amelia zawsze była dobrym dzieckiem, więc jej serdeczność nie robiła już na nikim wrażenia. Natomiast rozgadana Wiktoria i wylewna Emilka stanowiły nowość i wprawiły w zdumienie nawet Bernarda, który dawno postanowił, że nic go już w życiu nie zaskoczy. Patrzył na nie z rosnącym zainteresowaniem i słuchał, jak się zabawnie przekomarzają. Nie chcąc stać z boku, dał się wciągnąć w dyskusję o sensowności programów telewizyjnych, które ogląda jego żona, oraz o ich przewadze nad meczami. Córki wraz z wnuczką, chociaż miały do tych produkcji ambiwalentny stosunek, w ramach kobiecej solidarności stanęły po stronie Janiny, więc jako jedyny mężczyzna znalazł się na przegranej pozycji. Nie mógł sobie jednak odmówić przyjemności wsadzenia kija w mrowisko.

– Jeśli podacie mi chociaż trzy argumenty na to, że mecz jest gorszy od *Obnażamy ludzką głupotę*, czy jak to tam się nazywa...

– Życie! – nadąsała się Janina. – *Obnażmy ludzkie życie* ten program się nazywa.

– Niech będzie, że życie. – Machnął ręką. – Dajcie mi trzy argumenty, że to obnażanie jest lepsze od meczu, a przysięgam, że kankana zatańczę!

– Trzy? – Wiktoria szturchnęła ojca w ramię. – A co zrobisz, jak podamy dziesięć?

– Tylko nie mów, dziadek, że wtedy zatańczysz kankana i się obnażysz!

– Ty sobie uważaj, kozo! – Bernard usiłował trzepnąć wnuczkę, ale matka zasłoniła ją własną pierśią. – Jeśli wymyślicie dziesięć argumentów na to, że *Obnażmy ludzkie życie* jest lepsze od meczu, to przysięgam, że cały wieczór będę wam robił kawki i herbatki, a na koniec wszystko sprzątnę i pozmywam.

– Tato! Ale ja mam zmywarkę! – Amelia próbowała przekrzyczeć dopingujące się kobiety. – Nie będziesz musiał zmywać!

– Dziecko kochane. Tu o honor chodzi, a nie o maszyny. Nie martw się. Nic mi nie grozi.

– A to się zdziwisz! – Emilka wstała i zastukała widelcem w szklankę. – *Obnażmy ludzkie życie* ma tę przewagę nad meczem, że po pierwsze, miejsca akcji są dużo bardziej różnorodne, bo to albo na dworze, albo w którymś mieszkaniu się dzieje, a nie tylko boisko i boisko! Po drugie, lektor jest zdecydowanie mniej znerwicowany niż komentator sportowy. Po trzecie, główni bohaterowie nie noszą identycznych ubrań. – Wydęła lśniące od błyszczyku usta. – To chyba najważniejsza przewaga jest. Tak sobie myślę, że gdyby wszystkie aktorki były tak samo ubrane, to ja bym chyba przestała filmy oglądać. Po czwarte, nikt nie lata bez sensu od lewej strony ekranu do prawej i z powrotem. Po piąte, w *Obnażmy ludzkie życie* zawsze jest jakiś gol albo przynajmniej podejrzenie, że ktoś go strzelił, że tak powiem...

– Gol? – Janina spojrzała na wnuczkę ze zdziwieniem. – Jaki gol? Wszystkie odcinki oglądałam i chyba tylko w jednym było o piłkarzu. Zachorował na białaczkę i potrzebował przeszczepu szpiku i dopiero wtedy rodzice mu powiedzieli, że ma siostrę. Bo jego ojciec wdał się kiedyś w romans i...

– I strzelił gola! – przerwała Emilka tryumfalnie. – A nie mówiłam?

– Ale ten jego ojciec nie był piłkarzem. Nigdy. On chyba lekarzem był i z jakąś pielęgniarką miał tę córkę.

– Babciu, bo gol...

– Mniejsza o to! – Wika spojrzała wymownie na siostrzenicę. – Dawaj dalej. Po szóste?

– Po szóste, postacie nie są takie małe, więc łatwiej się połąpać, kto jest kim. Po siódme... po siódme... eee... – Szukała ratunku u pozostałych kobiet. – Pomóżcie, bo tracę moc! Fantazja mi siada.

– Po siódme, żadna przerwa na reklamy nie jest taka długa jak przerwa w meczu – odpowiedziała szybko Wiktoria.

– Po ósme, nie trzeba mieć szalika, żeby być kibicem *Obnaźmy ludzkie życie*.

– Wypraszam sobie! – zaprotestował Bernard. – Ja nie mam żadnego szalika!

– Niech ci będzie – zgodziła się z nim żona. – To powiem inaczej. Po ósme, nie trzeba mieć piwa, żeby oglądać *Obnaźmy ludzkie życie*. Teraz lepiej?

– Teraz to się zgadza – przytaknął. – No a co po dziewiąte i po dziesiąte? Bo czuję, że jestem w opałach.

– Po dziewiąte, *Obnaźmy ludzkie życie* trwa trzy razy krócej niż mecz, więc człowiek się trzy razy krócej męczy! – Emilka machała rękoma. – No dawajcie! Wymyślcie jeszcze coś!

Nad stołem zapadła dłuższa cisza.

– Wiem! Po dziesiąte, nie ma takiej opcji, żeby po obejrzeniu *Obnaźmy ludzkie życie* ktoś wyszedł na ulicę i zaczął demolować miasto. – Amelia wyciągnęła do ojca rękę z filiżanką.

– Bądź łaskaw zrobić mi kawki, tatusiu. Tylko nie nachlap za bardzo.

– Beniu! Dla mnie herbatka!

– Też poproszę herbatę, kochany dziadku. Dosyp mi do niej płaską łyżeczkę granulek, które stoją obok ekspresu. Są w takiej torebeczce z napisem FITNESS STYLE.

– A ja byłabym wdzięczna za wymianę talerzyka – powiedziała radośnie Wiktoria.

– Mam ochotę na ciasto, a mój talerzyk jest upaprany majonezem.

– O to, to! – podchwyciła Janina. – Wymień nam wszystkim. Zawsze przyjemniej siedzieć przy czystej zastawie, prawda?

Małżonek popatrzył na nią z uśmiechem i potulnie zabrał się do sprzątanía. Kursując między kuchnią i salonem, nie przestawał złorzeczyć na wredne i złośliwe baby, które w ogóle już nie mają szacunku dla mężczyzn, i nie dość że nie pozwalają im oglądać meczów, to jeszcze, perfidnym podstępem, potrafią ich za to ukarać pracą na zmywaku. Wredne i złośliwe baby udawały, że go nie słyszą i nie zauważają, ale celowo rozmawiały tak głośno, aby nic mu nie umknęło, nawet jeśli był w kuchni.

– Nie pomogę ci, mamo, bo sama nie wiem, o co z tą piłką nożną chodzi. Sławek, na szczęście, pływa, więc mam przynajmniej kilka miesięcy odpoczynku. A powiedz mi, ojciec to siedzi cicho, jak ogląda mecz?

– Raczej cicho. Chociaż czasami tak zaklnie, że wstyd powtórzyć.

– To masz dobrze – pocieszyła matkę Amelia. – Mój cały czas przeklina i drze się głośniejsz od telewizora: „Idziesz! Idziesz! Idziesz!!!”. Zwariować można: on się drze, komentator się drze, a mnie łeb pęka.

– Komentator niech się drze – wtrąciła Emilka. – On jest, wbrew pozorom, bardzo potrzebny. Wiecie, że kiedyś poszłam na prawdziwy mecz i nie było na nim komentatora? Wtedy to dopiero człowiek nie wie, co się dzieje i o co chodzi.

– Kiedy ty byłaś na prawdziwym meczu? – Mela znowu dowiedziała się czegoś nowego o swojej córce. – Co tam robiłaś?

– Zaprosił mnie taki jeden... Obiecujący junior Pogoni Szczecin.

– I co?

– I nic. Dawne dzieje. Nie ma o czym gadać. – Machnęła ręką Emilka. – Mówiąc

najprościej, pan Pipeta pobił go na łeb na szyję.

– Kim jest pan Pipeta? – Babcia natychmiast zainteresowała się szczegółami.

– Taki tam...

– To jakiś twój kolega? Ile ma lat, że na pan mu mówisz? Nie pakuj się, dzieciaku, w żadnych starych chłopów!

– Dobrze, nie wpakuję się... Ja nawet go nie widziałam jeszcze... To znaczy... – Patrzyła na matkę i ciotkę, błagając spojrzeniem o ratunek.

– Wracając do tematu, myślę, że darcie gardła na meczach jest winna pojedyncza piłka.

– Wiktoria pierwsza ruszyła z odsieczą. – Złożę się, że gdyby każdy zawodnik dostał swoją, to dużo spokojniej by się to wszystko odbywało. No pomyślcie same! Jeśli dwudziestu dwóm kobietom ktoś rzuciłby jedną sukienkę albo jedną parę butów. Macie pojęcie, co by się działo?

– Jestem pewna, że byłabym napastnikiem! – Śmiech dziewczyny wstrząsnął domem bardziej niż jej bieganie po schodach. – Zaraz się posikam! Właśnie to sobie wyobraziłam i daję lajka temu obrazkowi. Emilia Czubatka lubi to! Wiecie, ile kasy można by na takim widowisku zarobić? A ilu kibiców by było?! Na pewno więcej niż na piłce nożnej.

– Gdyby dwudziestu dwóm kobietom ktoś rzucił jedną sukienkę albo jedną parę butów, to nie tylko piłka nożna mogłaby się schować, ale nawet rugby! – Bernard, uporawszy się wreszcie z zamówieniami na kawy, herbaty i czyste talerzyki, usiadł przy stole zmordowany jak wół.

– Czemu ja muszę sam to wszystko znosić? Czuję się teraz jak ta jedna sukienka wrzucona między dwadzieścia dwie baby... Gdzie są mężczyźni tego domu?!

– Jeden w Mikronezji, a drugi w Warszawie – odpowiedziała zgodnie z prawdą Mela.

– Wasz wnuk załapał się w końcu na MOST. Wprawdzie nie tak jak chciał, czyli nie na cały rok, tylko na jeden semestr, ale i tak jest zachwycony.

– To on mieszka w Warszawie? – Przeraziła się Janina. – Czemu nam nie powiedziałaś?!

– Mamo, spokojnie. – Amelia pogłaskała ją po ramieniu. – Mirek będzie tam studiował dopiero od lutego. Teraz pojechał tylko załatwić formalności. Niby nie było potrzeby, bo wymianę organizują uczelnie, ale on ma charakter po Sławku, więc nikomu nie dowierza i wszystkiego musi dopilnować sam.

– I bardzo dobrze! Nie tylko po ojcu charakter odziedziczył. Po mnie też. W tej rodzinie nie ma miejsca dla chłopów mięczaków...

– Powiedział dziadek, umywszy naczynia! – zażartowała Emilka.

– Umyłem, bo przegrałem zakład, więc musiałem zachować się honorowo. Wy tego nigdy nie zrozumiecie. Tak samo jak piłki nożnej.

– Tato, nie prowokuj! Chcesz się jeszcze o coś założyć?

– O nie, nie! – Ojciec pokręcił głową i pomachał dłońmi. – Dziękuję bardzo. Mam tylko nadzieję, że docenicie fakt, iż zamiast siedzieć w domu i oglądać mecz, siedzę tu z wami i po was zmywam. Nawet nie poprosiłem o włączenie telewizora. Bo tak miło się rozmawia... I zmywa!

– dorzucił ze śmiechem.

Atmosfera za stołem była naprawdę wyjątkowo przyjemna. Może dlatego, że telewizor był wyłączony, a może dlatego, że brakowało innych mężczyzn, więc Bernard nie miał się z kim kłócić. Początkowo rzucał zaczepne teksty, ale został potraktowany jak powietrze, więc dał sobie spokój z politykowaniem i komentowaniem sensacyjnych doniesień o rozkradaniu gospodarki narodowej oraz mordowaniu cichaczem polskich emerytów. Poddał się radosnej babskiej paplaninie, z której nie zawsze wszystko rozumiał, ale która przypominała mu dawne dobre czasy, kiedy dom rozbrzmiewał wesołymi głosami jego żony i córek.

Najwidoczniej nie tylko on miał takie nostalgiczne myśli, bo w pewnym momencie wszyscy zaczęli wspominać właśnie tamte lata, opowiadając o nich rozbawionej Emilce.

– Kiedyś, dziecko kochane, nie było komputerów, a telewizja nadawała tylko na dwóch kanałach. Telewizory musiały stać przy oknie, bo były łatwopalne, a w wypadku pożaru trzeba je było jak najszybciej wyrzucić na dwór. W każdej instrukcji o tym pisali.

– No teraz to przesadziłeś, dziadek. W ocet na półkach uwierzę, ale w instrukcję wyrzucania telewizorów przez okno? W życiu!

– A uwierzysz, że telewizory były bez pilota?

– Hola, hola – zaprotestowała Mela. – Akurat ty miałeś telewizor z pilotem. Kto się darł na cały dom: „Córcia! Przerzuć na dwójkę!”. Uwierzysz, kochanie? – zwróciła się do Emilki.

– Ja siedziałam w swoim pokoju na górze, a dziadek cztery metry od telewizora. I nic go to nie obchodziło. Musiałam schodzić na dół, żeby przełączyć mu kanał. A teraz wciska ci ciemnotę, że miał telewizor bez pilota.

– Mogłaś powiedzieć, żeby się... żeby sam sobie przełączył. – Dla Emilki cała ta historia brzmiała surrealistycznie. – Czemu nie protestowałaś?

– A jakże! Protestowałam. I zawsze słyszałam jedną i tę samą odpowiedź.

– Jaką?

– Niech ci dziadek powie. Jestem pewna, że pamięta.

– Oczywiście, że pamiętam. – Zaśmiał się Bernard z wyraźnym zadowoleniem. – Zawsze powtarzałem: „A po co kowal ma obcęgi?”. I to był koniec dyskusji. Moje córki nigdy mi nie podskakiwały i nie pozwalały sobie nawet na jeden procent tego, na co dzieciaki dzisiaj.

A przynajmniej twoja matka... – Spojrzał wymownie na młodszą latorośl, ale w jego oczach nie było żadnego wyrzutu. Raczej rozbawienie.

– No właśnie! Dlaczego tylko moja mama robiła za pilota do twojego telewizora? Czemu nie wołałaś cioci?

– Bo musiałbym megafony ze stadionu Pogoni pożyczyć, żeby usłyszała. Wiecznie gdzieś ganiała po podwórku. – Machnął ręką na Wiktoria. – Trudno ją było w domu spotkać.

– Dziwisz się? – Wika spojrzała na siostrzenicę. – Nie miałam wyjścia: musiałam zwiewać na całe godziny, bo tu nie było warunków do nauki. Co rozłożyłam zeszyty i książki, to ojciec krzychał: „Przerzuć na dwójkę!”. Chwała komunie, że tylko dwa programy wtedy były i tylko przez parę godzin nadawały, na dodatek koncerty chopinowskie na zmianę z kroniką filmową. Przy dzisiejszej ilości kanałów twoja mama nie skończyłaby podstawówki i padła trupem od latania po schodach w tę i nazad. Chyba że wcześniej zabrałaby ją opieka społeczna.

– To co wyście robili całymi dniami? Albo wieczorami? Darliście pierze?

– No teraz to cię poniesło!

– A bo w szkole *Chłopów* ostatnio do matury powtarzaliśmy – tłumaczyła się Emilka.

– I tak jakoś mi się skojarzyło.

– Nie darliśmy pierza. – Janina wyglądała jak uosobienie szczęścia: uśmiechała się od ucha do ucha i porzuciła nawet swoją zwykłą utyskującą intonację. – Wieczorami graliśmy w karty, w warcaby... A dziewczynki najbardziej lubiły zabawę w kalambury. Im były starsze, tym trudniej było je ograć. Bo zawsze były dwie drużyny: one kontra my. Czasami mieliśmy z twoim dziadkiem wrażenie, że się telepatycznie porozumiewają. Wciąż pokonywały.

– Co to za gra? – Wyglądało na to, że Emilka tyle samo wie o swojej matce, co matka o niej. – Czemu nigdy w nią nie graliśmy i nigdy o niej nie słyszałam?

– Bo twój tata nie lubi kalamburów, a ty od zawsze wołałaś komputer.

– Oj tam, oj tam! Jakoś nie siedzę teraz przy komputerze!

– Mamy już dwóch bohaterów tego wieczoru. Brawo! – zakrzyknęła Wiktoria. – Mój

ojciec nie siedzi przy telewizorze, a moja siostrzenica nie siedzi przy komputerze. Czy aby dzisiaj nie jest Wigilia? Bo jakaś noc cudów się tu zapowiada!

– Już wiem, po kim jestem taka wredna. – Emilka z aprobatą kiwnęła głową w stronę ciotki. – Czy ja się wreszcie dowiem, co to są te kalambury?

– Musisz pokazać na migi jakieś hasło, na przykład tytuł filmu albo przysłowie, albo utarte powiedzenie. Twoja drużyna ma trzy minuty na jego odgadnięcie... – Mela z pewną trudnością przypominała sobie reguły gry. – Na początek trzeba obmyślić system znaków, żeby zasygnalizować, z jakiej kategorii jest to hasło. Na przykład jeśli jest to tytuł filmu, to najpierw wykonujesz ruch, jakbyś coś kręciła kamerą.

– Ale jak się coś kręci, to nie robi się żadnych ruchów. Obraz by się rozmazał przecież... – zdumiała się nastolatka, która nie miała pojęcia, że bracia Lumière robili filmy na długo przed wynalezieniem telefonu komórkowego z wbudowaną kamerą.

– Chodzi o starodawną metodę, że tu się patrzy, a tu się nagrywa. – Wiktoria zademonstrowała gesty operatora kamery z czasów, kiedy telewizor musiał stać blisko okna: jedną dłoń złożyła tak, żeby przypominała oko obiektywu, a drugą kręciła obok skroni, poruszając niewidzialną korbką.

– Tak to się pokazuje, że ktoś jest szurnięty – westchnęła Emilka. – Nic nie rozumiem i zaraz zacznę podejrzewać, że za czasów waszej młodości to nawet sztucców nie było, a na obiad jedliście placki smażone na rozgrzanym kamieniu. W życiu nie ogarnę tych kalamburów.

– Dziewczyny! – Bernard spojrzął na córki rozochocony. – A może po prostu pokażemy mojej wnusi, jak się w to gra? Zobaczmy przy okazji, czy nadal jesteście w dobrej formie.

– Beniu! Daj spokój! Nie będę tu teraz pajacować. Za stara już na to jestem.

– Ja też. Ale one wciąż są młode! No to jak, kozy?! – zakrzyknął. – Wyzywam was na pojedynek. Założycie się ze mną, że nie zgadniecie hasła?

Popatrzyły po sobie, a potem jednomyślnie przytaknęły.

– Ale o co? Talerze umyleś, herbata jest, kawa jest...

– Ale ktoś musi to wszystko na koniec posprzątać, prawda? Zakładamy się o to, że jak zgadniecie hasło, to ja przed wyjściem doprowadzę ten pokój do takiego stanu, jakby w nim nigdy gości nie było. I kuchnię też!

– A jeśli przegramy?

– Wtedy każda z was obejrzy ze mną jeden mecz piłki nożnej: każda osobno, w wyznaczonym przeze mnie terminie. I żadna nawet słówkiem się nie poskarży. Wręcz przeciwnie! Będziecie musiały kibicować i przekrzykiwać komentatora. To co? Podnosicie rękawicę? Ja umiałem godnie przegrać. A wy? – prowokował. – Macie honor? Czy stchórzycie?

Mela i Wiktoria spojrzały na Emilkę.

– Czil! – Wzruszyła ramionami. – Jeden mecz wytrzymam i nie będę miała do was pretensji, jak przegramy.

– To która ma pokazywać? – Spojrzały na ojca.

– Wszystko jedno. Same ustalcie.

– Idź ty. – Wika wypchnęła siostrę z krzesła. – Zawsze byłaś bystrzejsza. A tu chodzi o sprawę życia i śmierci.

Amelia podniosła się zza stołu i schyliła nad ojcem, który wyszeptał jej coś do ucha.

– No wiesz co?! To nie fair! One tego nigdy nie zgadną.

– I o to chodzi! – Bernard niemal płakał ze śmiechu. – Chyba nie myślisz, że mam zamiar

drugi raz nająć się tu za gosposię. Idź! – Machnął ręką. – I daj znać, kiedy mam zacząć odliczać trzy minuty.

Mela stanęła na środku salonu, patrząc na Wiktorię z rozpaczą.

– Pamiętasz jeszcze nasze sygnały i telepatię? Marnie to widzę. Może lepiej poddajmy się od razu?

– Nie ma takiej opcji! Dajesz!

– Zgadniemy, mamó! Ja cioci pomogę!

Wika nie bardzo w to wierzyła, bo zgłębiła specyficzny sposób myślenia i mówienia Emilki, i wiedziała, że dziewczyna nie zna nawet podstawowych przysłów. Widząc jednak jej rozpalone od emocji policzki, poparła ją natychmiast.

– Oczywiście! Takich trzech jak my dwie to nie ma ani jednej! Zastanów się chwilę, Melciu, obmyśl strategię i wierz w nas. Idziesz! Idziesz! Idziesz!!! – krzyczała, jakby już siedziała przed telewizorem i oglądała z ojcem mecz.

– Jasne, mamó! Takich dwóch jak my dwie to nie ma na całym świecie!

Amelia nie reagowała na ich zagrzewające do boju pohukiwania. Stała, wpatrując się w podłogę, i tarła czoło.

– Ej! Szybciej! – Radość Bernarda rosła z sekundy na sekundę. – Bo zaraz zasnę i...

– Nie ma tak! – przerwała mu natychmiast Wiktoria. – O ile dobrze pamiętam, czas na zastanawianie się nie był ograniczony. Można było myśleć, ile się chciało, dopóki nie powiedziało się „Start”. Dopiero wtedy odliczało się trzy minuty. Presję na naszej zawodniczej wywierasz!

– Nie wywieram presji, tylko jestem o ładnych parę lat starszy i sen mnie szybciej morzy...

– Cicho! – Amelia zelektryzowała całe towarzystwo. – Tato, możesz przygotować stoper. Wikuś, skup się. Córcia, pomóż. Mamó, trzymaj za nas kciuki. – Spojrzała na ojca, wahała się jeszcze kilka sekund, w końcu podała sygnał: – Start!!!

Wysunęła dłoń z wyprostowanymi palcami: kciukiem, wskazującym i środkowym.

– Trzy słowa? – zgadła Wiktoria, a siostra radośnie jej przytaknęła i zatoczyła krąg szeroko rozpostartymi rękoma, a potem wewnątrz tego kręgu wyrysowała w powietrzu coś znacznie mniejszego, o bliżej nieokreślonym kształcie.

– Kula ziemską! I jakiś kraj na kuli ziemskiej, tak?!

Mela pokiwała głową i stanęła napięta jak struna, z uniesioną do góry ręką.

– Statua Wolności? Stany Zjednoczone?! – Widząc skrzywione usta i nerwowo latające dłonie, Wiktoria szukała dalej. – Ameryka?

Amelia podskoczyła i klasnęła.

– Pierwsze słowo to „Ameryka”? Nie... Nie Ameryka. Ale to hasło ma coś wspólnego z Ameryką? Dobrze kojarzę?!

Ponownie dostała brawa.

– To już wiemy, że coś z Ameryką. A dalej? Lata? Fruwa? – Wika patrzyła na siostrę, która machała rękoma niczym ptak. – Kondor? Kondor amerykański? Nie!!! Małe coś. Bardzo małe coś, co lata po Ameryce?! – Kiedy Mela przytaknęła, ponagliła ją: – No, to dawaj dalej! Co to ma być? Kucać? Wrzucać? Obierać? Wiaderko? Amerykańskie wiaderko z pisklęciem kondora?! Nie!!! Mam się odczepić od tej myśli? Dobra! Widzę pętlę, jaką sobie zaciskasz na szyi. Już się odczepiam! Kasujemy i wracamy do małego czegoś, co lata po Ameryce. Ale czemu ty kuciałś nad wiaderkiem?

Amelia symulowała, że napycha sobie czymś usta, a potem znowu przykucnęła.

– Jedzenie... obierać do wiaderka... Ziemniaki?! – Zachęcona entuzjastyczną reakcją

na to słowo Wiktoria zgadywała dalej. – Gatunek ziemniaka amerykańskiego? Ale latający? Latające małe amerykańskie ziemniaki?! Nie!!! Przepraszam! – Podniosła do góry ręce, widząc, jak siostra puka się w czoło i patrzy na nią pogardliwie.

– Połowa czasu za wami – wykrztusił Bernard, walcząc z obezwładniającym go śmiechem.

– Ja się poddam. – Wiktoria opadła na oparcie krzesła. – Pójdę i kupię sobie szalik Pogoni.

– Przestań! Dopiero połowa czasu za nami, a ty się poddajesz? – Emilka targала ją za rękaw swetra. – Skup się! Jakies malutkie i latające coś... Może jakiś owad? Amerykański owad ziemniaczany?

– Stonka!!! – Okoliczne ulice na pewno usłyszały triumfalny krzyk Wiki.

Amelia podbiegła do niej i ucałowała ją w obydwie policzki, a potem szybko wróciła na środek salonu i krążyła po nim, na zmianę naśladując samolot i wymachując rękoma.

– Nalot! Dużo! Dużo stonki! – Wika odwróciła się i popatrzyła na ojca, który udawał, że rwie włosy z głowy. Wycedziła bardzo powoli, nie starając się ukryć satysfakcji:

– Tatusiu... Mogłeś wymyślić coś trudniejszego... Czy hasło brzmi: „Plaga stonki ziemniaczanej”? – Wzruszyła ramionami. – Banał!

– Yes! Yes! Yes!!! Drugi raz jesteśmy górą! – krzyknęła Mela, wykonując przedziwne figury taneczne i śpiewając na całe gardło: – Ole, ole, ole, ole, *we are the champions! We are the champions!!!*

– Dzięki, mała! Nie wpadłabym na to bez ciebie. – Wiktoria przyciągnęła do siebie Emilkę i potargała jej włosy.

– Ale ja nic nie rozumiem... Co to za głupie hasło, „Plaga stonki ziemniaczanej”? Równie dobrze mogłoby być „Stado łaciatych krów weszło na ulicę”! Skąd wy to znacie? To jakiś film z waszych czasów?

Kiedy dziadek zaczął z ochotą tłumaczyć wnuczce, o co z tą stonką chodzi, Amelia pobiegła do kuchni i przyniosła fartuszek oraz gumowe rękawiczki. Poczekala, aż Bernard skończy wykład, i uroczyście założyła mu kuchenne wdzianko. Wiktoria naśladowała w tym czasie werble, a Janina i Emilka biły brawo.

– Ty się ciesz, Beniu, że tak łatwo się wykupisz z przegranego zakładu!

– Łatwo?! Cały dom wysprzątać po gościach, to dla ciebie jest łatwo?! Mam teraz skakać z radości, że nie muszę jeszcze wypucować samochodu i narąbać drzewa do kominka?

– Nie, nie! – uspokoiła go żona. – Ale teraz żałuję, że o coś innego się z tobą nie założyliśmy.

– O co, niby?

– Że jak przegrasz, to obejrzysz z każdą z nas jeden odcinek *Obnażmy ludzkie życie*. Z każdą oddzielnie. Bez marudzenia i naśmiewania się. Prawda, dziewczyny?

Dziewczyny przytaknęły, chociaż wcale nie uważały, że byłaby to kara tylko dla Bernarda.

– Oj, to już faktycznie wolałbym nie tylko posprzątać, ale i samochód umyć, i drzewa narąbać.

– Czyli masz to, co wolisz. Widzisz, jakie jesteśmy kochane? – Emilka przyglądała się przez chwilę dziadkowi, a potem dorzuciła: – Bardzo ci ładnie w tym fartuszk. To tak, jakby wściekłemu tygrysowi założyć czapeczkę z pomponem.

– Dziękuję za komplement. Mam to, o co się prosiłem. – Uśmiechnął się do córek. – Nie

podejrzewałem, że wciąż jesteście w takiej dobrej formie.

– Kto wie, czybym zgadła, gdybym nie miała podpowiedzi „amerykański owad ziemniaczany”. Tak naprawdę to wnusia cię w ten fartuszek wpakowała, a nie my.

– Widzisz, kozo, coś narobiła? – Śmiał się Bernard. – Powinnaś ze mną sprzątać.

– Dobra! Ale najpierw się założymy i dopiero jak przegram, to ci pomogę.

– Znowu jakiś zakład?! – zapytała Mela i spojrzała na siostrę. – Nasz dom zamienia się w jaskinię hazardu. Jutro wstawimy tu ruletkę i jednorękiego bandytę, co ty na to?

– Może być – zgodziła się bez ceregieli Wiktoria. – A o co będzie ten zakład?

– Zagramy jeszcze raz w kalambury. Teraz ja będę pokazywała, a wy będziecie zgadywać. – Emilka już stała obok Bernarda. – Jak nie zgadniecie, to sprzątam razem z dziadkiem. Tylko mnie nie zróbcie w konia! – Pogroziła palcem. – Obiecujecie, że będziecie o mnie walczyć?

– Obiecujemy!

– No to, dziadek, dawaj hasło! Tylko, błagam, jakieś ludzkie, nie z komunizmu. Żebym zrozumiała i wiedziała, co to jest.

– Spokojna głowa! – Bernard szepnął jej coś do ucha, a potem spytał na głos: – I jak? Może być? Chyba wiesz, co to jest?

– Jasne, że wiem! – Wnuczka wyskoczyła na środek salonu i zakrzyknęła: – Start!

Jedną dłoń przyłożyła do oka, a drugą kręciła obok skroni.

– Film? Tytuł filmu?

Emilka dawała znaki, że nie do końca o to chodzi.

– Ale coś z filmem? Pokaż, ile słów ma hasło!

Przytaknęła i wystawiła do góry kciuk.

– Czyli jedno słowo i jakoś związane z filmem, ale nie do końca? – upewniła się Wiktoria, a widząc potwierdzenie, zakrzyknęła: – Dobra! Pokazuj dalej, bo czas leci!

Emilka podbiegła do stojącej w rogu pokoju ogromnej juki. Raz wskazywała na nią, raz udawała filmowanie.

– Rośliny? Kwiaty? Jakiś program przyrodniczy? *Z kamerą wśród zwierząt*?! – zgadywała Mela.

– *Z kamerą wśród zwierząt* to też Peerel. Ona tego nie kojarzy tak samo jak stonki ziemniaczanej. – Zdumione spojrzenie Emilki świadczyło o tym, że Wiktoria ma rację. – Trzeba szukać czegoś, co zna. Na dodatek bardzo dobrze. Zgadza się?

Siostrzenica radośnie jej przytakiwała.

– *W pustyni i w puszczy*?

Tym razem Emilka zaprzeczyła gwałtownie i pamiętając sygnał, jaki parę minut temu wysłała jej matka, zaciągnęła sobie na szyi niewidzialną pętlę.

– Nie tędy droga! Odczepiamy się? Tak?

Emilka potwierdziła.

– Ale nie stój i nie kiwaj głową, tylko pokazuj dalej! I zostaw tę jukę, bo ona nam nic nie mówi.

Zamiast zgodnie z sugestią Meli odczepić się od juki, przyczepiła się do niej jeszcze bardziej: odgarnęła długie zielone liście i odsłoniła pień, z którego wyrastały.

– Kora? Gałąź? Pień? Głuchy jak pień?! – Janina też próbowała swoich sił.

– Nie! To są trzy słowa! I nie mają nic wspólnego z filmowaniem! – zakrzyczały ją córki.

– Emilka! Czy to słowo jest jakoś związane z rośliną? Tak! Jest związane z rośliną... Dużą? Bardzo dużą rośliną? – zgadywały, widząc, jak podskakuje i wymachuje rękoma. – Pokazuj dalej! Co to za roślina? – Śledziły ruchy jej dłoni. – Choinka? Czy to jest choinka?

Gestami odpowiedziała: i tak, i nie.
– *Opowieść wigilijna*?
– Przecież to ma być jedno słowo! – Wiktoria zupełnie nie wiedziała, w którą stronę skierować myśli, tym bardziej że zrozpaczona siostrzenica znowu udawała, że się wiesza.
– Odczepiamy się od Wigilii, tak? Wracamy do choinki, tak? Choinka... choinka...
Emilka zaczęła kiwać się na boki z uniesionymi do góry rękoma.
– Drzewo?
Radosne oklaski wskazywały, że Meli udało się wpaść na właściwy trop.
– Drzewo! To jest jakiś gatunek drzewa? Nie! – Amelia szybko się wycofała, widząc, jak ich drzewo gwałtownie oklapło.
– Jeszcze minuta – powiedział Bernard.
– Co z tym drzewem? – Niecierpliwiły się. – Drzewo, film, jedno słowo...
Emilka zatoczyła rękoma krąg na całą szerokość ramion, a potem w jego wnętrzu wyrysowała coś mniejszego.
– Kula ziemską? I jakiś kraj na kuli ziemskiej? Jaki?!
Po dłuższym namyśle Emilka zaczęła pokazywać coś nad swoją głową.
– Uszy? Myszka Miki? Disneyland?! Nie? Nie!!! Rogi? Rogi, nie? Nie!!! – pytały i odpowiadały, widząc, jak dziewczyna rozpaczliwie zaprzecza. W końcu zakreśliła nad włosami kilka wyraźnych trójkątów.
– Korona?! – krzyknęła Wiktoria, na co siostrzenica zareagowała wybuchem niemej radości. – Korona!!! Królowa! Anglia? Chodzi o Anglię?! Tak?! Tak!!!
– Nic nie rozumiem!! – Załamała się Mela. – Film, drzewo, Anglia... W nic mi się to nie składa. Pokaż coś jeszcze. – Kiedy córka pokazała język, Amelia spojrzała na nią z rozczarowaniem. – Dziękuję bardzo...
– Koniec! – ogłosił Bernard, nie próbując ukryć satysfakcji. – No to mam pomocnika do sprzątnia.
– Co ty pokazywałaś?! – krzyknęły siostry jednocześnie. – Co to było?!
– Hollywood.

Emilka nie rozumiała, czemu wszyscy osłupieli ze zdziwienia. Nawet dziadek, który sam to hasło wymyślił.

– A ja byłem pewien, że nie dosłyszałaś i pokazywałaś coś innego. Ale po co miałem ci przerywać?
– Dosłyszałam bardzo dobrze. Nie wiem, jak mogłyście tego nie zgadnąć! – Patrzyła z pretensją na trzy kobiety.
– Ale Hollywood jest w Stanach Zjednoczonych, a nie w Anglii...
– Przepraszam... Nadal nie kojarzę, jak się do tego ma nasza juka...
– I czy to jest powód, żeby zachowywać się jak małe dziecko i pokazywać mi język?
– Jakie wy jesteście mało bystre! Jedna w drugą! – Emilce najwidoczniej spodobał się gest symulujący wieszanie się, bo znowu udawała, że zaciska sobie pętlę na szyi. – Myślicie, że nie wiem, gdzie jest Hollywood?! No, wybaczcie. Może jestem głupia, ale nie aż tak!
– To skąd ci się ta Anglia wzięła?
– I ta juka?
– Nie żadna juka, tylko drzewo! Wysłałam od juki, bo myślałam, że od razu wpadniecie na to, że o drzewo mi chodzi. Przecież pokazywałam, że nieważne liście, ale drzewo. Drze-wo!!!
– wyskandowała, wciąż stojąc na środku pokoju. – Moja wina, żeście zamiast tego wymyślały

jakieś zwierzęta w kamerze, choinki i opowieści wigilijne? To dopiero trzeba mieć fantazję...

– Popukała się w czoło. – Żeby od juki do Wigilii dojść!

– Niech ci będzie, że za późno zgadłyśmy drzewo. Ale co ono ma do rzeczy? – Wika wciąż nie mogła odnaleźć klucza.

– Jak to co?! Pokazałam potem Anglię i język, prawda? – Emilka wzięła się pod boki.

– A jak jest w języku angielskim „drzewo”? No? Słucham!

– Wood? – Mela ucieszyła się w duchu, że córka nie pokazała jej języka.

– I co?! Tak trudno było na to wpaść? Gdybyście zgadły wood i skojarzyły z kamerą filmową, to Holly samo by się nasunęło. Wielka mi filozofia. – Wzruszyła ramionami i pomaszerowała do dziadka. – Dawaj ten fartuch! Idę do kuchni. Zacznę jakoś ją ogarniać, bo nic tu po mnie.

– To ja też idę. We dwoje zawsze raźniej i szybciej. – Bernard poderwał się z krzesła.

– Poza tym trochę winny się czuję. Byłem pewien, że zgadną.

– Niestety! Jak widzisz, twoje córki zatrzymały się na etapie stonki ziemniaczanej.

A potem ludzie się dziwią, że nie ma porozumienia między pokoleniami. – Emilka niby złorzeczyła, ale jej oczy i usta śmiały się serdecznie. – A skąd ma być?! Jak ma się kartoflisko dogadać z czerwonym dywanem? Na dodatek po angielsku?

– To szorujemy teraz po czerwonym dywanie do zlewozmywaka, a stonka niech się rozwala na salonach. – Dziadek zagarnął ją ramieniem i prowadząc do kuchni, tłumaczył: – Nasz kraj, wnusiu, wygląda dzisiaj dokładnie tak jak ten dom: porządni, uczciwi i honorowi ludzie ciężko pracują, a cwaniaki leżą do góry brzuchem...

– Wypraszamy sobie! – krzyknęła za nimi Mela, ale ponieważ nie doczekała się żadnej odpowiedzi, zwróciła się do matki: – Powiedz tacie, żeby dał spokój z tym sprzątaniem. Rozwali nam imprezę.

– Nie, nie! – zaprotestowała Janina. – Niech sprzątają. I tak się zasiedzieliśmy.

– Uśmiechnęła się przepraszająco. – Ale nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się bawiłam. Jakby mi ze dwadzieścia lat ujęli... A najważniejsze, że się uspokołam, bo wciąż się o was martwię. Prawdę mówią, że małe dzieci: mały kłopot, duże dzieci: duży kłopot.

– Nie martw się o nas. Radzimy sobie.

– Właśnie widzę. Dlatego mówię, że się uspokołam...

– Co tam, matka? – zapytał Bernard, który przyszedł zebrać ze stołu brudne naczynia.

– Ładnie żeśmy zabradziliśmy u dzieciaków.

– Ładnie, ładnie – przytaknęła mu żona. – A one mówią, żebyście nie sprzątali, bo psujecie spotkanie.

– A co mają mówić? Dobrze wychowane są przecież. Moja szkoła! – Ucisnęła Melę, a potem przytuliła Wiktorię. – Kochane dziewczyny!

– Ano kochane – rozrzewniła się Janina. – Ja się tylko martwię, że...

– Mamo! Przed chwilą powiedziałaś, że już się nie martwisz. Weź się zdecyduj.

– Dzisiaj się nie martwię, ale Bóg jeden wie, co będzie z wami jutro.

– Jutro będzie jeszcze lepiej – uciał jej mąż. – Prawda, dziewczyny? I nie przejmujcie się tym, co mówi wasza matka. Ona żyje na zasadzie: martwię się, więc jestem. Dlatego ani się wazcie być w pełni szczęśliwe i nie mieć żadnych problemów, bo to tak, jakbyście jej tlen odcięły.

– Ty nie bądź taki mądry! – Janina wbiła w niego surowe spojrzenie. – I nie udawaj takiego lekkoducha. Pomyślałeś o tym, co będzie, jak Sławuś wróci?

– A co on ma do gadania? – Bernard spojrział na żonę szczerze zdumiony. – Jeśli mu się coś nie spodoba, to może wracać na morze albo wynajmując pokój w hotelu.

– Beniu... Co ty opowiadasz?
– Prawdę mówię! Żebyś się nie martwiła bez potrzeby. – Stanął za krzesłem Wiktorii i pogłaskał ją po głowie. – Jeżeli Sławek będzie miał coś przeciwko temu, że nasze córki razem we własnym domu mieszkają, to sam mu pomogę spakować walizki i jeszcze w dupę kopnę na do widzenia!
– Sławusia?! – Przeraziła się Janina. – Bój się Boga!
– Nie mam zamiaru się bać ani Boga, ani tym bardziej Sławusia! Dzieciom ten dom przepisałem, nie jemu. On jest obcy!
– Dziadek!!! – Dochodzący z kuchni krzyk Emilki przerwał tę niezbyt przyjemną i potencjalnie niebezpieczną rozmowę. – Ugrzązłeś całkiem w kartoflisku?! Ogarnij się i przynieś mi wszystko!!!
– Idę, idę! – Bernard upychał w plastikowym koszu resztę zastawy. – Ja tam swojego zięcia kocham. Złego słowa o nim nie powiem... – Mrugnął się do Meli. – Ale pamiętajcie! Wy tu jesteście paniami! Na równych prawach! Idę, wnusiu, idę!

– Łatwo mu mówić. – Żona odprowadziła go trochę niechętnym wzrokiem. – A życie jest życiem. To się martwię.
– Mamo, nie martw się, prosimy! Jakoś to będzie. – Amelia wyglądała na niezbyt pewną tego, co mówi, ale dzielnie nadrabiała miną.
– Będzie dobrze! – poparła ją Wiktoria, chociaż i ona nie dałaby sobie nawet paznokcia obciąć za tę optymistyczną prognozę.
– Dobrze albo i niedobrze... – Janina westchnęła, a potem spojrzała na Wikę, uśmiechając się promiennie. – Do której pracujesz w czwartek? Mogłabyś odwiedzić nas wieczorem?
– Mam ci przywieźć jakieś lekarstwa?
– Nie... Lekarstwa mam... Ale... Bo moja sąsiadka... Rozmawialiśmy...
– Mamo, nie kręć.
– Otóż... Moja sąsiadka ma syna i w ogóle sobie z nim nie radzi, więc pomyślałam, że moglibyście się spotkać. To niesłychanie przyzwoita kobieta. Samotna, trochę schorowana, ale bardzo dzielna i zaradna. A ten syn to jej oczko w głowie, jedyne, ukochane dziecko. Nikogo poza nim nie ma. No to sama powiedz, jak mogłabym odmówić? Często ze sobą rozmawiamy, bo kto zrozumie matkę, jak nie druga matka? – Skrzywiła się płaczliwie. – Miałam do ciebie dzwonić, ale wolałam poczekać i zapytać osobiście... Chociaż tak wstępnie to już was na ten czwartek umówiłam. Nie gniewasz się? Nie jesteś zła? Przyjdiesz? – Spojrzała na córkę jak zbity pies. – Oczywiście zrozumiem, jeśli odmówisz. Masz swoje życie, a ja cię do pomagania ludziom przymuszać nie będę...
– Nie gniewam się i nie złoścę. Przyjdę koło szóstej, żaden kłopot. – Asertywność Wiki ewidentnie straciła datę ważności. – Ale musisz wytłumaczyć sąsiadce, że nie jestem pedagogiem, tylko nauczycielem. Mogę wskazać jakieś formy ćwiczeń i metody pracy, ale jeśli ten chłopczyk ma poważniejsze problemy, to będzie potrzebował specjalistycznej pomocy. Mówiła ci ta sąsiadka dokładnie, z czym sobie jej dzieciak nie radzi? Jest w przedszkolu czy w podstawówce? Wiesz, ile on ma lat?
– Wiem. Czterdzieści sześć.
Mela ryknęła śmiechem, opluwając się herbatą.
– Słucham?! – Wiktoria patrzyła na matkę osłupiała. – Kto ma czterdzieści sześć lat? Ta sąsiadka, tak?

– Gdzie tam! Sąsiadka jest starsza ode mnie. Mówiłam, że schorowana i że samotna. Bo to wdowa już od dwunastu lat... – Janina przerwała i zgromiła Amelię wzrokiem. – A ty czego się śmiejesz jak głupi do sera?!

– Prze... przepra... am. – Mela zasłoniła ręką usta, ale jej ramiona wciąż podrygiwały.

– Mamo! Teraz przesadziłaś. Czy ty mnie chcesz umówić na randkę? – Wiktorii wcale nie było wesoło i z trudem powstrzymywała się od podniesienia głosu.

– Jaką tam randkę? Od razu randkę! – Obruszyła się jej matka. – Tak sobie tylko z sąsiadką pomyślałyśmy, że moglibyście się poznać i zakolegować. Do kina iść albo na kawę... To co? Przyjdiesz w czwartek?

– Nie.

– Jak to? Przecież obiecałaś!

– Bo byłam pewna, że chodzi o jakiegoś chłopczyka, który ma problemy z ortografią albo z tabliczką mnożenia...

– Z ortografią?! Dziecko! To jest lekarz. Wyobrażasz sobie?

– Wyobrażam. Nie uwierzysz, mamo, ale widziałam w życiu już kilku lekarzy, więc jakies wyobrażenie mam: biały fartuch, chodaki, stetoskop, recepty, pieczętka...

– Ale na pewno nie wie, że pisze się przez er zet, bo się wymienia na „pielęgniarka”. Mogłabyś mu powiedzieć – pisnęła wciąż rozkosznie wesoła Mela.

– Jak cię zaraz palnę! – huknęła na nią siostra. – Wynos się do kuchni, bo nie ręczę za siebie!!!

– Fa... faktycznie tak będzie chyba le... lepiej.– Amelia prawie wybiegła z salonu, żeby kolejnymi salwami śmiechu nie wystawiać cierpliwości siostry na próbę.

– Przykro mi, ale nie przyjdę do was w czwartek – tłumaczyła Wiktoria. – Możesz się na mnie gniewać, możesz mieć pretensje, możesz mówić, co chcesz, ale niestety... – Rozłożyła ręce. – Nie mam ochoty na spotkania z mężczyznami.

– Dlaczego? – Janina nie pojmowała uporu córki. – Ty wiesz, co to znaczy mieć lekarza w rodzinie? Ile ja bym zdrowia i nerwów zaoszczędziła...

– W rodzinie? Przed chwilą mówiłaś, że mamy się tylko zakolegować i iść do kina.

– Wika z satysfakcją zauważyła, że uszy i policzki matki zajmują się ogniem.

– No oczywiście! Ale wiesz, jak to jest. Jedno kino, drugie kino, trzecie kino i nigdy nie wiadomo, czym to się skończy.

– Niczym się nie skończy, bo nie będzie ani jednego kina, ani drugiego, ani trzeciego!

– Nie mów hop... – Janina uśmiechnęła się figlarnie, a potem sięgnęła po argumenty cięższego kalibru. – Czy ty wiesz, jaką dobrą teściową byś miała? Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ona marzy o synowej i jak wciąż płacze, że nie dożyje ślubu Bożydara.

– Kogo?!

– Bożydara. Tak ma na imię. Bardzo ładnie, prawda?

– Mhm. Prześlicznie... – Wika marzyła, by pod Szczecinem zaczęły trzeć o siebie płyty tektoniczne albo żeby przynajmniej w kuchni wybuchł pożar, co dałoby pretekst do zakończenia tej denerwującej rozmowy.

– Nie przypuszczała, że marzenie spełni się tak szybko. Nie nastąpiło wprawdzie trzęsienie ziemi ani nic się nie zapaliło, nadciągnęła jednak odsiecz. I to właśnie z kuchni.

– Matka! Chyba już wystarczająco naprzykrzyliśmy się dziewczynom, co? – Bernard wszedł do salonu. – Czas zbierać manatki. Melcia powiedziała, że nas odwiezie. – Rzucił Wiktorii porozumiewawcze spojrzenie; najwidoczniej Amelia zdała mu sprawozdanie z sytuacji

w salonie. – Ileż można gadać i gadać?! Ubieramy się!

– Poczekaj, Beniu...

– Na co mam czekać? Jutro poniedziałek. My możemy sobie spać, ale Wiktoria i Emilka wstają o siódmej rano. – Pomiął Mełę, bo nie miał pojęcia, że starsza córka musi zerwać się z łóżka znacznie wcześniej, żeby zdążyć na spotkanie z umówionym w Międzyzdrojach deweloperem. – Skończycie kiedy indziej.

– Już skończyliśmy. – Wika uśmiechnęła się do ojca z wdzięcznością. – Mama chciała mnie umówić z synem sąsiadki, żebym najpierw zaprowadziła go do kina, a potem do ołtarza. Głównie dlatego, że jest lekarzem. Ale odmówiłam.

– No i to są właśnie skutki tego, co się w naszym złodziejskim kraju wyczynia! – Bernard przyniósł z przedpokoju płaszcz i upychał w niego opierającą się małżonkę. – Gdyby ta polityczna mafia, skorumpowana przez dorobkiewiczów i biznesmenów z bożej łaski, zapewniła człowiekowi warunki do normalnego leczenia i pozwoliła godnie się zestarzeć, to nikt nie szukałby takich rozwiązań. Dlatego, moja kochana córciu, nie miej pretensji do matki, tylko do jaśnie nam panującego ministra zdrowia. Przez niego to wszystko! – Upchnąwszy wreszcie żonę w płaszcz, popchnął ją delikatnie w kierunku drzwi i nie dopuszczając jej do głosu, kontynuował: – Poczekaj, aż dożyjesz naszego wieku! Sama będziesz prosiła, żeby zobaczyć się za darmo z lekarzem szybciej niż za rok. Mama chciała cię z nim umówić, żeby obejść terminy, po prostu. Zrozum ją...

– Przestań mnie popychać jak barana! – Janina zaparła się w progu. Stojąc jedną nogą na ganku, a drugą w przedpokoju, spojrzała na Wiktorię z resztkami nadziei w oczach. – To przyjdiesz w czwartek?

– Niestety. – Wika pocałowała matkę w policzek i mocno ją przytuliła. – Nie przyjdę.

– I bardzo dobrze! W czwartek Arsenal gra z Bayernem. – Ojciec znów porozumiewawczo mrugnął. – Potrzebna byś mi była jak dziura w moście! – Jedną ręką złapał żonę za ramiona, a drugą wskazał garaż. – Chodź wreszcie! Meli zaraz benzyna się skończy od grzania silnika. – Jakby na potwierdzenie tych słów ciszę podmiejskiej ulicy zmaćcił ponagląjący dźwięk klaksonu. Janina, zmobilizowana hałasem, pobiegła do samochodu i nawet zdążyła upomnieć męża, że się niemilosiernie guzdrze.

Wiktoria zamknęła drzwi. Chciała wrócić do salonu i paść na kanapę, ale nie dała rady. Osunęła się po ścianie przedpokoju i usiadła na zimnych kafkach. Była tak skołowana, że nie wiedziała, czy bardziej chce jej się teraz śmiać, czy płakać. Obecność Emilki, która wyszła z kuchni i przycupnęła obok ciotki, rozstrzygnęła ten dylemat.

– Ale jazda, co? – Zaśmiała się Wiktoria, zamiast zapłakać. – Chciałabyś wujka lekarza? Bożydara, na dodatek.

– Bożydara? – Siostrzenica skrzywiła się z odrazą. – Chyba jednak prędzej lover włączy mi się na pana Pipetę. Ale twój też jest czil... To co? – Spojrzała na ciotkę rozbawiona. – Może jednak w końcu zbierzemy się na odwagę i zorganizujemy podwójną randkę? Nasi faceci powinni się polubić, bo jeśli się dobrze zastanowić, to w jednej branży robią, więc na pewno znaleźliby wspólne tematy. Moglibyśmy wyskoczyć gdzieś w czwórkę. Na przykład na Chrystotekę... „Byłam z Bożydarem na Chrystotece”; słyszysz, jak brzmi?

– Daj spokój. Jakoś mnie to nie śmieszy.

– Mnie też nie, ale co nam pozostało? – Emilka oparła się o Wiktorię ciężko. – Może teraz wreszcie zrozumiesz, dlaczego tak się na ciebie wściekłam, kiedy byliśmy na zakupach po farby...

– Zakupy pamiętam. Ale że się na mnie wściekłaś, to nie bardzo... Pewnie dlatego, że nie wypominając, ciągle byłaś wtedy wściekła, jak nieujeżdżony źrebak. Strach było bez bata podchodzić...

– Potem pojechałyśmy na szaszłyka, pamiętasz? – Dziewczyna zignorowała ostatnią uwagę ciotki.

– No. I co dalej?

– Kiedy jadłyśmy, zapytałaś, czy mam chłopaka. Wydarłam się i powiedziałam, że gadasz jak babcia. A potem przestałam się odzywać. Pamiętasz?

– Pamiętam.

– Rozumiesz teraz?

– Rozumiem...

– Ty zaliczyłaś taką akcję po raz pierwszy, a ja to mam na full wypasie. Za każdym razem jak mnie babcia dopada... – Uniosła głowę i zajrzała Wiktorii w oczy. – Wiesz co? Dzisiaj naprawdę było fajnie. Wprawdzie dziadek tradycyjnie truł o starej komunie i o nowej mafii, ale całkiem strawnie. I zajęsmieszne były te wasze wspominki. Kalambury szczególnie. Chociaż wciąż nie rozumiem, jak mogłyście nie zgadnąć mojego „Hollywood”. – Prychnęła i zmieniła temat. – Niepotrzebnie zrobiłaś mi przepierkę sumienia. Obiecałam, że będę się starała, ale powiem ci, że wcale nie musiałam się za bardzo wysilać. Naprawdę było fajnie... I tak sobie teraz myślę, że już wiem dlaczego.

– No?

– Bo babcia dobrała się do ciebie, a nie do mnie. Nawet słowem się mnie nie czepiła. Dzięki za chwilową odmianę.

– Drobiazg...

Przesiedziały w milczeniu kilka długich minut.

– Mogę cię o coś zapytać? – Emilka ponownie zajrzała jej w oczy.

– No?

– Wyprowadzisz się, jak tata wróci?

– Skąd ci to przyszło do głowy? – Zaśmiała się Wiktoria, z nadzieją, że jej rozbawienie brzmi szczerze. – Dlaczego miałabym się wyprowadzać?

– Słyszałam, jak rozmawialiście...

– Mówił ci ktoś, że nieładnie jest podsłuchiwać?

– Nie musiałam podsłuchiwać. Dziadek na cały dom krzyczał, że jakby co, to spakuje ojcu walizki. Ale przecież wiadomo, że tyle jego, co sobie pogada: prędzej wyprowadzi ministra zdrowia z rządu niż tatę z tego domu...

– Masz rację – zgodziła się Wika. – Nadal jednak nie wiem, dlaczego miałabym się wyprowadzać?

– Wydaje mi się, że nie lubicie się z tatą.

– Dobrze powiedziałaś: wydaje ci się.

– Oki doki! Wydaje mi się... Babci też się wydaje, tak? I dlatego się martwi, co będzie, jak on wróci?... Wydaje mi się... – Emilka chwilę się wahała, a potem wyrzuciła z siebie zdesperowana: – Że on ciebie nie lubi, to jestem pewna.

– Skąd wiesz? – Wika zastanawiała się, czy zrobiło jej się zimno od zbyt długiego siedzenia na kafelkach, czy od tego, co usłyszała.

– Mieszkam tu i nie zawsze zdążę zagłuszyć wszystko muzyką, z której się nabijacie.

– Ymcyk-ymcyk-dżdż-dżdż-dżdż-ymcyk-ymcyk?

– Dokładnie! No to jak? Wyprowadzisz się?

– Po pierwsze, nie bądź taka pewna, że się nie lubimy. My się tylko nie kochamy. Co

wcale nie oznacza, że nie możemy się lubić i szanować. Nie oceniaj nas tak radykalnie. Po drugie, twój tata jest na razie w Mikronezji, więc nie ma o czym deliberować. – Cmoknęła Emilkę w czubek głowy. – Zaraziłaś się od babci zbieraniem zmartwień na zapas?

– Ale jakbyś się jednak wyprowadzała, to weźmiesz mnie ze sobą? – Najwidoczniej optymistyczne wyjaśnienia Wiktorii nie zostały potraktowane poważnie.

– Jasne! Tylko najpierw muszę się dowiedzieć, czy Bożydar ma dla ciebie wolny pokój. Oj, mała, mała... Co ty wygadujesz?

– Ale weźmiesz mnie?

– Emilka! Co cię napadło? Na razie nigdzie się nie wyprowadzam. Dokąd miałabym się wyprowadzić? Do dziadków?

– Dżizas! Nawet tak nie żartuj!

– No właśnie. – Odsunęła siostrzenicę i podniosła się z kafli. – Sama widzisz, że poniekąd nie mam wyjścia. Muszę tu mieszkać. Jeśli twój tata i ja naprawdę nie będziemy mogli ze sobą wytrzymać, to najwyżej zrobimy grafik posiłków, żebyśmy się w kuchni nie spotykali. Tak jak kiedyś na czasach z funduszu zakładowego: pierwsza tura turnusu je śniadanie o ósmej, druga o dziewiątej.

– Jakiego tura turnusu? – zapytała Emilka, wyciągając rękę do ciotki. – Nic nie rozumiem.

– Nie rozumiesz, bo to kolejna opowieść z dawnych czasów. – Wika szarpnęła siostrzenicę do góry. – Albo sama się starzeję, albo z dziadkiem za długo dzisiaj przebywałam. Mniejsza o to!

– Czyli się nie wyprowadzisz? – drażyła Emilka, otrzepując spodnie z piasku, który zalegał gdzieś na podłodze przedpokoju jako jedyny dowód na to, że w domu niedawno byli goście. Reszta pomieszczeń lśniła czystością: wielcy przegrani gry w kalambury doskonale wywiązali się z zadania.

– Chcesz mnie dobić? Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam tak sponiewierana jak dzisiaj. Kilka godzin temu okładałam się lodem. Potem szykowałyśmy kolację na czas, jakbyśmy w jakimś programie kulinarnym występowały. Potem grałam w kalambury. Potem musiałam się bronić przed randką... Miej litość! – Wika złożyła ręce.

– No dobra, dobra! Jak się nie wyprowadzasz, to nie ma tematu.

Kiedy Mela wróciła, zastała córkę i siostrę w kuchni. Siedziały i gadały wesoło, komentując wizytę dziadków i licytując się, która jest bardziej zmęczona i przed którą trudniejszy tydzień. Amelia ochoczo się przyłączyła, oznajmiając, że to ją czeka prawdziwa droga przez mękę: rano musi być w Międzyzdrojach, po południu jest umówiona z klientami w banku, a potem spotyka się z Kamilem i jadą szacować wartość szeregowca, który ma coś namotane w księgach hipotecznych, więc będzie trzeba go jeszcze sprawdzić w kilku urzędach.

– Dobra! Wygrałaś! – poddała się Wiktorii. – Ja mam jutro tylko cztery lekcje i wideokonferencję z Bobem Budowniczym.

– No nie wiem. Mnie w tym tygodniu czeka powtórka z całej *Trylogii*!

– Nie przesadzaj. Są gorsze lektury. *Trylogia* akurat jest całkiem fajna. Czytałam kilka razy, i to bez przymusu. – Mela broniła swojej cierniowej korony. – Chętnie bym się z tobą zamieniła.

– *Trylogia* jest fajna?! Mamo, ale ja nie mówię o *Władcy pierścieni*. My będziemy powtarzać tę starą *Trylogię*! Tę starą!

– No ja właśnie o niej mówię. O tej starej.

– Ja też ją lubię – poparła siostrę Wiktoria. – Najbardziej *Potop*, potem *Pana Wołodyjowskiego* i jakoś najmniej *Ogniem i mieczem*. A tobie która część najbardziej się podoba?

– Trudno powiedzieć. – Emilka rozłożyła ręce. – Każda jedna rajcuje mnie jak skręt z rzeżuchy.

– Nie przesadzaj. I pod żadnym pozorem nie mów tego przy dziadku, bo cię wyklnie.

– Dobra. Zapamiętam. Idę, bo widzę, że na współczucie w tym towarzystwie nie ma co liczyć.

– Idziesz czytać *Trylogię*? – zapytała naiwnie Amelia.

– Chyba żartujesz? – Córka spojrzała na nią z politowaniem. – Mało się dzisiaj umordowałam?! Idę sobie przygotować ciuchy na jutro. Muszę przymierzyć kilka wariantów, bo nie wiem, w jakim nastroju się obudzę i w czym mi będzie wtedy dobrze.

– A powtórka do matury? Nie jest ważniejsza od ciuchów?

– Absolutnie! – Emilka ucałowała matkę i ciotkę. – Nie martwcie się. Co nie odpowiem, to dowyglądam. Dlatego właśnie muszę się na garderobie skupić. Dobranoc!

– Jeśli ona zda tę maturę, to ja na kolanach do Częstochowy pójde – powiedziała Amelia, gdy córka zamknęła się w pokoju.

– O mnie mama też tak mówiła. Pamiętasz? I jakoś zdałam. Ona też zda, więc nie dramatyzuj. Tylko udaje głupią. Nawet gdyby kochała się w Kmicicu, to i tak nie przyzna, że *Trylogia* jest fajna. Nie wypada jej, po prostu. – Wiktoria ziewnęła niczym hipopotam. – Boże! Jaka jestem zmęczona. Za dużo się dzieje. Nie nadążam...

– Papierosa?

– Dawaj! Po całym, a potem do wyrka.

Kiedy rozchodziły się do swoich pokojów, Amelia przytuliła siostrę.

– To był bardzo fajny dzień. Mam nadzieję, że mama niepotrzebnie się martwi.

– Jasne! A ty to po niej odziedziczyłaś. – Zaśmiała się Wiktoria. – Dobrze tylko, że w swataniu jesteś mniej nachalna.

– Co zrobisz z Witkiem?

– Kończę to. Za znajomości z portalu randkowego serdecznie dziękuję. Jeszcze dziś skasuję konto... – Stłumiła ziewnięcie. – Albo jutro, bo teraz na oczy nie widzę.

– Masz zapłacone za pół roku. Nie musisz korzystać, ale po co od razu kasować?

– Pół roku? Która z was była taką optymistką? Ty czy Anka? – Pokręciła głową.

– Przecież tam przez pół wieku normalnego faceta nie znajdziesz, a co dopiero w pół roku? Sama widziałaś, albo rozbuchane jełopy, albo niemoty, albo beztroskie ptaszki. I jeden bardziej niezależny od drugiego. Nudy na pudy, jakbym przy kserokopiarce siedziała...

– Zrobisz, jak uważasz. Nic na siłę.

– I tu wygrywasz z naszą mamą – powiedziała Wika i ucałowała Mełę. – Ona wszystko robi na siłę. Wcale się nie zdziwię, jeśli jutro znajdę Bożydara w lodówce. Na dodatek kompletnie zszokowanego, bo chłop prawdopodobnie nie ma pojęcia o spisku naszych matek. Dżizas! Kiedyś oszaleję. Zobaczysz!

– Lepiej idź się położyć, bo kiepsko wyglądasz. – Amelia popchnęła siostrę w kierunku sypialni. – Ale, że się powtórzę, ten dzień był naprawdę wyjątkowy. Jeśli kiedyś będzie mi smutno, to go sobie powspominam. Pa!

– Pa! – Wiktoria zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami.

Wpatrywała się chwilę w komórkę i laptopa, które leżały obok siebie na małym, pięknie postarzonej stoliku. Nie interesowała się nimi od rana. Z pewnym ociąganiem włączyła telefon, który poinformował ją o pięciu nieodebranych połączeniach: dwóch od Boba Budowniczego i trzech od Witka. Zadzwoiła na pocztę głosową.

– Witam, pani Wiktorio. Przepraszam, że przeszkadzam... To znaczy, mam nadzieję, że nie przeszkadzam... Przepraszam... Jak ja nie lubię rozmawiać z maszynami! Zadzwoń do pani jutro. – Głos Boba Budowniczego oddalił się, ale zanim połączenie zostało przerwane, zdążyło się nagrać jeszcze siarczyste przekleństwo, a zaraz po nim „Na debila wyjdę!”.

– Masz... drugą... nową... nagrań... wiadomość... – Usłyszała po chwili, a ponieważ mechaniczna kobieta z poczty głosowej rozwlekła każdy wyraz, poczęstowała ją tym samym przekleństwem, którego użył Bob. – Wiadomość... pozostawiona... dziś... o piętnastej czterdzieści...

– Dawaj tę wiadomość! – burknęła, jakby były jakiejkolwiek szanse na to, że ktoś ją usłyszy.

– Witeczko. Dzwonię do ciebie trzeci raz, a ty trzeci raz nie odbierasz. Właśnie wysłałem ci list. Przeczytaj i odpisz. Mam nadzieję, że odpiszesz. Całuję.

Otworzyła komputer, przebrała się w piżamę i poszła umyć zęby. List przeczytała już w łóżku.

„Witeczko! Szkoda, że nie jestem katolikiem. Poleżałbym sobie wtedy krzyżem, bo to ponoć jest dobre na moralniaka, a trochę mnie sumienie męczy.

Nie będę się za długo rozpisywał. Nie zgadaliśmy się wczoraj (a może od początku chodziło nam o co innego?). Zaproponowałaś mi tylko przyjaźń, o ile dobrze zrozumiałem. Problem w tym, że nie wierzę w przyjaźń damsko-męską. To znaczy... uważam, że coś takiego jest możliwe, ale tylko przy antypatii fizycznej. A ja czuję do ciebie bardzo dużą sympatię fizyczną, więc plan z czystą przyjaźnią nie wypali. Z drugiej strony – muszę być szczery i chcę lojalnie uprzedzić, że niczego innego nie jestem w stanie ci ofiarować. Wydawało mi się, że nadajemy na tych samych falach, ale wczorajszy wieczór dał mi do myślenia.

Umówmy się, że jeśli przemyślisz wszystko i postanowisz dopasować się do mnie, to napiszesz tylko jedno słowo: TAK. Obojętnie, czy tu na pocztce, czy przez telefon. Wystarczy to jedno słowo, żebym zadzwonił, przybiegł i porwał cię, dokąd tylko zechcesz.

Natomiast jeżeli miałaś nadzieję na coś więcej, to... przykro mi, że cię rozczarowałem.

Zrozumiem, jeśli się nie odezwiesz, chociaż będzie mi wtedy okropnie przykro. Bardzo cię lubię i bardzo miło spędza mi się z tobą czas. Miałem wrażenie, że ty też się ze mną nie nudziłaś.

Odezwij się, Witeczko! Napisz: TAK. Czekam”.

Wyłączyła komputer, odłożyła go na podłogę i z rozkoszą wtuliła się w poduszkę. Zasnęła z uśmiechem, bo ostatnim przytomnym zwojem mózgu wyobraziła sobie, że została zatrudniona na etacie tłumacza damsko-męskiego. Wywaliliby ją w pierwszym dniu pracy...

ROZDZIAŁ 18

Matka Wiktorii była nieco zgorzkniała i mocno znerwicowana, ale mimo tych nabytych przez lata mankamentów pozostała kobietą. Dlatego jeśli postanowiła uknuć intrygę, to ani myślała łatwo z niej rezygnować. Działała precyzyjnie niczym starsza pani z powieści Agaty Christie: uśpiła czujność ofiary i dopiero wtedy przystąpiła do ataku.

W ciągu ostatniego miesiąca kilkakrotnie zwabiła do siebie Wikę pod jakimś mniej lub bardziej sensownym pretekstem. Patrzyła rozbawiona, jak córka niepewnie przestępuje próg, jak rozgląda się nerwowo i robi się bladozielona na dźwięk dzwonka do drzwi. Za każdym razem okazywało się jednak, że jej podejrzenia są niesłuszne: Janina witała ją tradycyjną serią narzekań na dzisiaj, a żegnała prognozą nieszczęść na jutro. Ani razu nie wspomniała o lekarzu, z którym jeszcze niedawno tak bardzo chciała ją zeswatać, czy o sąsiadce pielęgnującej ten czterdziestosześcioletni skarb.

Taktyka odniosła zamierzony skutek: córka przestała węszyć podstęp i coraz śmielej przekraczała próg mieszkania rodziców, a któregoś razu na dźwięk dzwonka, zamiast zblednąć, sama pobiegła do drzwi i odebrała z rąk zarządcy rozliczenie za zużycie wody w ostatnim kwartale. To ostatecznie przekonało Janinę, że można przejść do ataku.

Czas był najwyższy, bo nie tylko sąsiadka dopominała się zapoznania syna z Wiktorią, ale on sam, spotkawszy kilka dni temu Janinę w długiej kolejce do sklepowej kasy, zapytał, co słychać u jej ślicznych córek, które są zupełnie do siebie niepodobne, ale tak samo udane. Sprawa była jasna: Wiktoria wpadła mu w oko! Wiedział przecież, że Mela jest mężatką, więc na pewno wspomniał o niej tylko z grzeczności.

– No, no! Starsza córka już dawno zajęta i zięć bardzo zazdrosny. Starsza to ta niższa... ta blondynka... taka bardziej w sobie... – Wolą zapobiec ewentualnemu nieporozumieniu.

– A młodsza to ta wysoka z ciemnymi kędziorami. Ile ja się mordowałam, żeby je okiełznać i warkocze do szkoły zapleść. Niesforne te jej włosiska jak ona cała! – Wystraszyła się, że powiedziała za dużo. – Na szczęście już dawno z niesforności wyrosła. Mówię panu, co za kochane dziecko. Jak nam coś trzeba, to ona wszystko rzuci i przyjedzie pomóc. Zauważył pan, jak często nas odwiedza?

– Tak. Miałem okazję kilka razy ją widzieć, chociaż rzadko bywam w domu. W zasadzie mieszkam w szpitalu... – westchnął Bożydar. – Mama potrafi urządzać mi z tego powodu karczemne awantury. Nie słychać u państwa?

– Niechże pan nie żartuje! Nigdy nie uwierzę, że Basia potrafi krzyknąć!

– Ku zadowoleniu Janiny kasjerka źle nabiła kod jakiegoś towaru i z pomocą koleżanki bezskutecznie próbowała naprawić błąd. Kilometrowa kolejka utknęła na dobre, a oni byli dopiero w połowie. – To taka dobra i dzielna kobieta. W ogień by za panem doktorem skoczyła.

– Wiem. Ja też ją bardzo kocham, ale nic nie poradzę, że pracę mam taką, a nie inną. Staram się mamie pomagać, choćby z zakupami. Sama pani widzi... – Wskazał głową wypchany po brzegi wózek. – Ale nie zawsze jest na to czas: przychodnia, poliklinika, dyżury, trzy razy w tygodniu własny gabinet. Mama mówi, że się zaharowuję na śmierć, że zaniedbuję i siebie, i ją, że traktuję dom jak hotel. Ale cóż ja mogę? – Rozłożył bezradnie ręce. – Całe szczęście, że znalazła w pani serdeczną przyjaciółkę. Powtarza, że tylko dzięki waszym herbatkom nie

zdziaczała do reszty z samotności. Jestem naprawdę zobowiązany, że dotrzymuje jej pani towarzystwa.

– No co pan? Jakie „zobowiązany”? Basia też jest dla mnie wybawieniem od samotności. Błogosławię dzień, w którym się wprowadziliście, i nie wiem, jak mogłam przedtem żyć bez naszych herbatek.

– Cieszę się. – Bożydar posłał Janinie lekki uśmiech. – Proszę mi wierzyć, mam ogromne wyrzuty sumienia, zostawiając ją samą w domu. A do tego martwię się, bo widzę, że z coraz większym trudem dźwiga ten dom na swoich niemłodych barkach. Tłumaczyłem, żeby mi nie prała i nie prasowała albo przynajmniej nie szykowała obiadów, mogę przecież zjeść w szpitalu albo w mieście. Ale ona nie chce nawet o tym słyszeć. Twierdzi, że gdybym tyle harował i jadł w stołówce, to już dawno dorobiłbym się wrzodów żołądka.

– I prawdę mówi! Domowe obiady najlepsze. Żadna stołówka się do nich nie umywa. – Janina kiwała potakująco głową. – A co do prasowania... – Zaśmiała się i pobłaźliwie machnęła ręką. – Panie doktorze! Który mężczyzna potrafi porządnie uprasować koszulę, że o spodniach z kantem nie wspomnę. A lekarz musi wyglądać jak człowiek.

– Faktycznie. Ma pani rację. Nie wiem, jak inni mężczyźni, ale ja naprawdę nie umiem wyprasować spodni.

– Za to potrafi pan zrobić operację i uratować życie. Ktoś taki wręcz nie powinien prasować! Pan musi dbać o ręce.

– Moja mama też powinna dbać o ręce. O siebie całą powinna dbać. – Zadumał się na chwilę, wodząc palcem po zgrzewce wody mineralnej. – Niestety, nie sposób jej tego przetłumaczyć, więc co ja mogę?

– Jak to co? Ożenić się trzeba! Wszystkie problemy natychmiast same się rozwiążą! Żona będzie robiła zakupy, obiady, pranie i prasowanie i zdejmie z głowy Basi prowadzenie domu. I dotrzyma jej towarzystwa. Basia nie będzie już samotna i przepracowana, a pan będzie mógł leczyć ludzi, nie zadreżając się wyrzutami sumienia. Nad czym tu się zastanawiać? Żony panu potrzeba, panie doktorze, żony!

– Mama też mi to powtarza, przynajmniej trzy razy dziennie. Ale znalezienie żony wcale nie jest takie proste. – Dał spokój wodzie mineralnej i zajął się ośmiopakiem z kartonami mleka. – Kobiety są teraz nastawione bardzo roszczeniowo.

– Że co, proszę?

– Chcą robić karierę zawodową, podróżować, wynajmować gosposie i niańki... Ani myślą o gotowaniu, praniu i prasowaniu. – Podniósł na chwilę wzrok. – Pani i moja mama jesteście z innej epoki. Teraz nie ma już takich cudownych, czułych i troskliwych kobiet.

– A cóż to za herezje?! – Janina szybko się przeżegnała. – Kobiety z natury są czułe i troskliwe. Pan doktor widocznie źle szukał... Między lekarkami... Wiem, że u was to modne, żeby lekarz z lekarzem się wiązał, bo ja dużo po przychodniach chodzę, to widzę, że w jednym gabinecie przyjmuje mąż, a w drugim żona. I tak czasami sobie siedzę w poczekalni i myślę, kto się ich dziećmi zajmuje. – Westchnęła głęboko. – Biedne te doktorskie dzieci, oj, biedne... Zimny wychów, zimny dom... Bo kiedyż kobieta ma o nie zadbać, jeśli całymi dniami w pracy siedzi i tłucze się od gabinetu do gabinetu? – Widząc pełne zrozumienia spojrzenie Bożydara, nabrała wiatru w żagle. – Dlatego zupełnie nie rozumiem, czemu wy się tak dziwnie w pary dobieracie: kardiolog z urolożką, laryngolog ze stomatolożką... – Pokręciła głową. – Toż to zabójstwo dla rodziny! Żeby ani ojciec, ani matka w domu nie bywali?! Co oni myślą? Że wykupią się drogimi prezentami albo dwoma tygodniami wspólnych wczasów?

– Już wiem, dlaczego moja mama tak panią lubi. Jest pani niezwykle mądrą kobietą. – Ucałował jej dłoń w nagłym odruchu sympatii. – Ileż takich właśnie małżeństw mnie otacza.

Kiedy na nich patrzę, to odehciewa mi się żeniaczki.

– Niepotrzebnie! – Janina była wniebowzięta: lekarz, do którego zwykły śmiertelnik miesiącami czeka na wizytę, pocałował ją w rękę. – Wystarczy po prostu szukać normalnej kobiety, a nie doktorki! I patrzeć, z jakiego domu jest, jak ją wychowano, jaką ma matkę... Bo na przykład moje obydwie córki są tak nauczone, żeby szanowały męża. Na razie tylko starsza się wydała. Za marynarza. Starsza to ta niższa, blondynka, taka bardziej w sobie...

– przypomniawszy dla pewności. – I co? Ani jej w głowie było chodzenie do pracy. Dzieci odchowwała, żadne się nigdy po przedszkolach się nie tułało. Teraz są już duże. Wnuczek studiuje prawo, wnuczka maturę w tym roku będzie robić. Świata za sobą nie widzą. Aż miło popatrzeć na ich szczęście. A jak zięć ma wrócić z morza, to wszyscy się bardziej szykują niż na Wielkanoc albo inne święto. I nadskakujemy mu potem przez cały czas, bo każdy docenia jego pracę i chce mu podziękować. Ja na przykład od paru lat szykuję na jego przyjazd rybę po grecku, zraziki po litewsku i pieczonego kurczaka nadziewanego podwójnie gotowanymi wątróbkami, bo to jego ulubione dania. Wyściska mnie zawsze, że ho, ho! I ze sto razy powtórzy, że cały świat już zjeździł, ale tak jak teściowa to nikt mu nie ugotuje! Pewnie tak mówi tylko po to, żeby mi sprawić przyjemność, bo córka też jest dobrą kucharką i też mu specjały na powitanie robi...

– Mam wrażenie, że opowiada pani jakiś film. To nie do wiary, że naprawdę są gdzieś jeszcze takie rodziny. Szczęściarz z pani zięcia.

– Szczęściarz, bo taką żonę od nas dostał. Gdyby nie wychowanie, to kto wie, co by z tych moich dzieci wyrosło. Pewnie też jakieś babochłopy.

– A młodsza córka? Dlaczego wciąż niezamężna? – Nieszczęsny Bożydar nie zdawał sobie sprawy, że haczyk właśnie wbił mu się w podniebienie, a stojąca obok miła starsza pani obraca z całych sił kołowrotkiem wędki.

– Bo szuka nie wiadomo kogo! Zapatrzyła się w siostrę i chce jeszcze lepiej trafić. Tak to bywa w rodzeństwie, że jedno z drugim konkuruje. Modlę się, żeby kogoś uczciwego znalazła.

Bo wie pan, panie doktorze, jak to różnie z mężczyznami jest? Była parę lat z takim jednym...

– Janina skrzywiła się boleśnie. – Nie powiem, porządny: nie pił, nie palił, stroił ją jak laleczkę, kawał świata pokazał... Ale co to za zimny człowiek był, to pan sobie nie wyobraża, panie doktorze! Nawet w oczach miał coś takiego, że jak na mnie patrzył, to chłód mi po krzyżu szedł. Rodzina całkiem się dla niego nie liczyła: o swojej ani razu nie wspomniał, a nas unikał jak diabeł święconej wody. Ile ja się do Matki Boskiej namodliłam, żeby on moim zięciem nie został, żeby jakiegoś dzieciaka jej nie zrobił, bo sytuacja byłaby już wtedy bez wyjścia.

– I co? Matka Boska wysłuchiwała modlitw? – Bożydar wyraźnie się wciągnął, podobnie jak kilka innych osób w kolejce. Stojąca przed Janiną kobieta nawet nie ukrywała, że podsłuchuje: odwróciła się w ich stronę i przytakiwała, wzdychając ze zrozumieniem.

– A wysłuchiwała mnie Matka Boska, wysłuchiwała! I w końcu mojej córce przytomność wróciła. Ja tam od początku wiedziałam, że z tej mąki chleba nie będzie, bo gdzie jej, takiej ciepłej i czulej, do takiego gburą? Tylko że on tak jej w głowie zawrócił... Prawdę mówią, że miłość nie robi z głupiej kobiety mędrca, ale za to z mądrej zawsze robi głupka. I chodziło to moje dziecko ogłupiało ładny kawał czasu. No ale, dzięki Bogu, rozum jej wrócił i sama pojęła, że nie ma czego przy nim szukać. Odeszła od niego, ale co ją w lata wpędził, to wpędził, i nikt jej tych lat już nie odda. Pół życia zmarnowała...

Kasjerka złapała karton i przejechała nim po czytniku kodów. Potem błyskawicznie nabiła resztę towarów.

– Sześćdziesiąt siedem złotych i czterdzieści dwa grosze – oznajmiła uprzejmie. – Będę

wdzięczna za końcówkę.

Janina nie wiedziała, czy pakować zakupy, czy szukać drobnych w portmonetce.

– Może pomogę? – Bożydar wyjął z jej rąk reklamówki i zaczął wkładać do nich, według ciężaru i podatności na zgniecenie, najpierw puszki i kartony, potem pieczywo, warzywa i owoce, a na końcu jajka. – Niech pani na mnie poczeka. Mam tu samochód. Z przyjemnością panią podwiozę. Niby niedaleko, ale torby takie ciężkie...

Była wniebowzięta i gratulowała sobie sprytu. Oczyma wyobraźni widziała już, jak cudownie zmieni się wkrótce jej życie: Wiktoria wyjdzie za Bożydara i zamieszka piętro nad rodzicami. Będą odwiedzały się nawzajem, piły herbatkę i prześcigały się w pomysłach na uprzyjemnienie Bożydarowi powrotu z pracy. Wiktoria rzuci szkołę, bo trudno, żeby pani doktorowa za psie pieniądze użerała się z cudzymi dziećmi. A może swoje będzie miała? Wprawdzie nie byli już młodzi, ale Janina zdążyła się zorientować, że w dzisiejszych czasach rodzice bywają często starsi od niegdysiejszych dziadków.

Zastanawiała się, jakie są ulubione dania Bożydara. Zraziki po litewsku? Kurczak nadziewany wątróbkami? Nieważne! Basia jej powie. Bo czuła, że będą musiały pomóc Wiktorii w kuchni. Albo całkiem ją w tym wyręczą. Niech ona się zajmie prasowaniem spodni i chowaniem dzieci. Tak! A zięć w zamian za gotowanie wprowadzi Janinę na salony NFZ-u. Już nigdy nie będzie skomlała w rejestracji o przyspieszenie terminu wizyty, bo on załatwi darmowe konsultacje u kolegów i koleżanek. Sam Bożydar jako pediatra nie był dla niej zbyt użyteczny, ale każdy wie, że lekarze to jedna wielka sitwa: pediatra zna chirurga, chirurg onkologa, żona onkologa jest okulistką, przyjaciółka okulistki jest pulmonolożką... Byle się tylko dostać do środowiska!

– A może umówimy się na jakąś kolację? – zapytała Janina, gdy zajechali pod dom. – Co pan na to, panie doktorze? Byłoby nam niezmiernie miło. I pańskiej matce na pewno też. – Czuła, że podobna okazja może się już nie powtórzyć. – Pan przyszedłby z Basią, to znaczy z mamą, ja zaprosiłabym córki...

– Z największą przyjemnością. Problem w tym, że nie mam zbyt wielu wolnych wieczorów. – Uśmiechnął się przepraszająco.

– Ale czasem pan ma?

– Czasem mam. Niestety teraz nie potrafię powiedzieć kiedy. Musiałbym zajrzeć w grafik.

– A czy ja mówię, że to ma być jutro albo pojutrze? – Janina poklepała go uspokajająco po mankiecie. – Niech pan sobie w ten grafik zajrzy i ustali, kiedy panu pasuje. I mamie powie. A my z Basią zajmiemy się całą resztą.

No i się zajęły...

ROZDZIAŁ 19

W tej samej sekundzie, w której przekroczyła próg mieszkania rodziców, Wiktoria zrozumiała, że wpadła w potrzask. Zaczęła już mieć nadzieję, że matka zrezygnowała ze swatania jej z Bożydarem, ale kiedy zobaczyła w drzwiach Janinę wystrojoną niczym śledź na Dni Morza, jak by powiedziała Emilka, i poczuła zapach podwójnie gotowanych wątróbek, nadzieja została pogrzebana.

– Jesteś wreszcie, córeńko najdroższa! Rozbieraj się, skarbenku kochany. – Została powitana nienaturalnie głośno i serdecznie. – Amelka nie dała rady przyjść? Wciąż chora? Powinna sobie zrobić dokładne badania, bo coś za często zdrowie jej szwankuje. Ledwo z jednego choróbka wyjdzie, to wpada w drugie... Dobrze, że ty się jakoś trzymasz. Pięknie wyglądasz. Jak kwiatusek.

– Mela czuje się lepiej, ale jeszcze trochę kicha i kaszle. Została w domu, bo nie chciała was zarazić. – Wika powoli rozpiniała płaszcz, klęcząc w duchu nie tylko na matkę, ale i na Amelię, która w rzeczywistości była zdrowa jak rydz. Pracowała coraz więcej i odnosiła coraz bardziej imponujące sukcesy, wciąż jednak ukrywała to przed rodzicami, a wszystkie rodzinne obowiązki zrzuciła na siostrę.

– Chodź, córeńko, chodź... – Matka ruszyła do pokoju. – Nie zgadniesz, jakich dzisiaj mamy gości.

– Oczywiście, że zgadnę – wymamrotała Wiktoria. Czowała, jak wzbiera w niej złość. Weszła do salonu, krzywiąc się w sztucznie uprzejmym uśmiechu.

– Pozwól, córeńko, że ci przedstawię...

– A ty, mamo, pozwól, że najpierw przywitam się z ojcem, dobrze? – przerwała szybko.

– Cześć, tato! – Bernard wstał i przytulił ją tak, jakby nie widzieli się od dziesiątek lat.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego – szepnął w ramach usprawiedliwienia. Zdegustowany wyraz twarzy świadczył o tym, że to prawda. – Siadaj tutaj – dorzucił głośno, klepiąc w oparcie fotela. – Czego się napijesz? Masz ochotę na coś mocniejszego?

– Nie, dziękuję.

– Herbaty, kawy?

– Też dziękuję. Wodę poproszę. Niegazowaną. Jeśli macie...

– A co ty? Zwierzę jesteś, żeby wodę pić?

– Beniu, nie zwracaj jej teraz głowy piciem! – zdenerwowała się Janina. – Daj mi przedstawić naszych cudownych gości. Pozwól, dziecko, to jest moja serdeczna przyjaciółka Basia, a to jej syn, Bożydar.

Nie było wyjścia. Wika musiała się odwrócić i spojrzeć na cudownych gości, których dotąd ostentacyjnie ignorowała. Do obojga czuła szczerą niechęć, ale panią Basię z racji wieku potraktowała z należyтым szacunkiem: uściśnęła jej dłoń, wypowiedziała grzecznościową formułkę i zapewniła, że słyszała o niej wiele dobrego. Bożydar nie miał co liczyć na podobne uprzejmości.

– Macie w końcu tę wodę? Gdzie stoi? To sobie przyniosę. – Ściskając dłoń Bożydara, odwróciła głowę w stronę ojca. Wściekłość przeradzała się w furię. Bała się, że za chwilę zacznie... płakać? krzyzczeć? uciekać?

– Mamy, mamy. Zaraz ci dam. – Janina była nieco zakłopotana, ale dzielnie nadrabiała miną. – I talerzyk sobie weź. Ten, co stoi obok nakrycia pana doktora. Myślałam, że na kanapie

siądziesz. Wygodniej by ci było.

– Na fotelu jest mi wystarczająco wygodnie. – Zmroziła wzrokiem Bożydara, który zerwał się z sofy, chcąc podać jej talerz. – Dziękuję, nie będę nic jadła. Wpadłam tu tylko na chwilę. Zaraz muszę iść – zwróciła się do ojca. – Skonana jestem po całym dniu. Te książki, o które prosiła mama, zostawiłam w przedpokoju. Na półeczce nad wieszakiem.

– Dobrze, dobrze... – Bernard pogładził uspokajająco jej rękę. Był w tym trochę nieporadny, ale wyobrażał sobie, jak córka musi się czuć, i szczerze jej żałował. Prawdę mówiąc, spodziewał się, że na widok gości odwróci się na pięcie i trzaśnie drzwiami. Widział, że z trudem nad sobą panuje.

Był zniesmaczony tym żalonym przedstawieniem, które wszystkich w jakiś sposób upokarzało. Starał się mu zapobiec, uprzedzając żonę, że zamiast doprowadzić córkę do ołtarza, doprowadzi do nieszczęścia, ona jednak ani myślała słuchać. Za którymś razem nie poprzestała na „Daj spokój, Beniu” i urządziła mu awanturę, w której wywlokła wszystkie latami pielęgnowane żale. Od tamtej pory nie poruszał już tego tematu. Ani żadnego innego. Myślał o Róży, o jej ślicznych dołeczkach, promiennym uśmiechu, pogodnym usposobieniu... Nie mógł wiedzieć, jak wyglądałoby dzisiaj jego życie, gdyby do niej odszedł, ale był pewien, że popełnił błąd, rezygnując z możliwości przekonania się o tym.

– Wy, młodzi, zdecydowanie za dużo pracujecie. Mój syn też chodzi wiecznie skonany. Raz na trzy dni znajdzie kilka minut, żeby ze mną posiedzieć. A potem znowu gdzieś leci – odezwała się pani Basia. – Jakiś umiar trzeba mieć. Tak się w pracy zatraciliście, że pogubiliście po drodze to, co naprawdę ważne.

– Mamo, proszę... – Głos Bożydara brzmiał niczym kwilenie nieporadnego pisklęcia.
– Daj spokój.

– Sąsiadko kochana! Trzeba się cieszyć, że nasze dzieci w ogóle mają pracę. Nie dziwota, że ze skóry wylażą, żeby jej nie stracić. – Bernard postanowił nadać żalonnemu przedstawieniu pozory normalnej rozmowy. – Może my w ich wieku nie mieliśmy zbyt różowo, ale przynajmniej jednego byliśmy pewni: że każdego trzynastego będzie wypłata. I była. Czy się stało, czy leżało...

– O czym rozmawiacie? – Żona spojrzała na niego czujnie, wychodząc z kuchni. Stała skolowana, słysząc jednocześnie trzy różne odpowiedzi.

– O tym, że zaraz będę musiała iść.

– O bezrobociu.

– O tym, że nasze dzieci nie mają umiaru w pracy.

Bożydar nic nie powiedział, więc Janina uznała, iż najważniejsze są słowa jego matki.

– Święta prawda, Basiu, święta prawda. Umiaru nie mają i tyrają jak woły. A na starość się zorientują, że całe życie pracy oddali i zostali sami jak kołek w płocie. Ja to wciąż córce powtarzam: bierz przykład ze starszej siostry i skup się na rodzinie, zamiast cudze dzieci uczyć! No, nie mówię tak, córeczko?

Wika wbiła spojrzenie w podłogę i z całych sił zacisnęła szczęki.

– Rozumiem cię, Jasieńko, bardzo dobrze. Twoja córka cudze dzieci uczy, a mój syn cudze dzieci leczy. Na jednym wózku jedziemy.

– Mamo, proszę... – zakwilił znowu Bożydar.

– Tu nie ma o co prosić, taka jest prawda. Brakuje wam czasu nie tylko na własne dzieci, ale nawet na zwyczajny ludzki odpoczynek i drobne przyjemności. – Matka pogłaskała go po łysiejacej głowie. – Sam niedawno mówiłeś, że marzy ci się chociaż jedna noc w lesie,

pod gołym niebem. Niby nic wielkiego, a nawet na to nie możesz sobie pozwolić. A przecież warto niekiedy rzucić wszystko i pomyśleć o sobie. – Pani Basia spojrzała na Wiktoryę. – A ty, moja droga, kiedy ostatni raz spałaś pod gołym niebem?

– Wolę sufity.

Kobieta wyglądała całkiem sympatycznie, ale najwyraźniej maczała palce w matczynej intrydze, więc Wika uznała, iż nie musi się z nią cackać. Wystarczy, że podała grzecznie rękę na powitanie i pozwalała mówić sobie po imieniu, chociaż jej matka uparcie zwracała się do Bożydara „panie doktorze”, co było skrajnie irytujące.

– Ale ja nie w sensie dosłownym – tłumaczyła nieco naburmuszona rodzicielka pana doktora. – Chodzi o to, żeby oderwać się od świata, od tłumów, kin, sklepów, pracy, od całego tego hałasu i kołowrotka codzienności...

– Wystarczy iść do więzienia. – Wiktoria z zadowoleniem odnotowała zgorznienie w oczach matki i pani Basi. – A z dwojga złego wolę pracować i być wolna. Poza tym nienawidzę łona natury, za to uwielbiam sklepy i kina.

– Masz rację. – Ojciec znowu pogłaskał jej dłoń. – Trzeba pracować, chociażby po to, żeby utrzymywać takich darmozjadów jak my. Gdyby wszyscy wyjeżdżali do lasu, kiedy tylko mają ochotę, to strach pomyśleć, jak by ten kraj wyglądał. I ciekawe, kto by na nasze emerytury pracował, moje miłe panie... – Chciał jeszcze dodać coś o niżu demograficznym i wciąż malejącym przyroście naturalnym, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

– Tyle tej emerytury, co kot napłakał – westchnęła sąsiadka. – Ja bym wolała, żeby mój syn myślał o sobie i pamiętał o mnie, a nie dniami i nocami pomagał innym ludziom, zarabiając na cudze emerytury.

– Mamo, proszę...

Wiktoria miała wrażenie, że to jedyne, co Bożydar umie powiedzieć. Wyglądał jak półtora nieszczęścia: serdelkowate palce, spocone czoło, które co chwila wycierał miętoloną w rękach serwetką... Ohyda! Do tego wstrętne wodniste oczy, jakby pozbawione rzęs. Całości dopełniał głupkowaty nerwowy uśmiech, chyba na stałe przyklejony do ust.

– Ależ Basiu kochana. Co ty opowiadasz? Powinnaś być dumna, że masz takiego syna – oburzyła się Janina. – Przecież on nie tylko pomaga. On ludziom życie codziennie ratuje! Gdybym ja miała takie dziecko...

– A czego naszym córkom brakuje?! – zirytował się Bernard.

Od początku czuł antypatię do Bożydara. Może i chłopak codziennie ratował ludziom życie, ale wyglądał na takiego, co sam potrzebuje ratunku. Dupa, nie chłop! A Wiktoria akurat w tym momencie napelniała swojego ojca wyjątkową dumą. Odszczekiwała się w typowym dla siebie stylu i patrzyła na wszystkich zadziornie. Kiedyś nie lubił tych zaczepnych spojrzeń spod ściągniętych brwi. Ale to było kiedyś. Dawno temu... Dzisiaj serce mu rosło. Zuch dziewczyna! Nie na darmo dostała swoje imię. A tego mydłka, który nawet do pięt jej nie dorasta, zamiast Bożydar, powinni byli nazwać Bożasierota!

– Ależ ja jestem z nich dumna – broniła się Janina. – Niech ci Basia powie, ile ja je chwale...

– Raczej reklamujesz. – Mąż rzucił jej krótkie, niechętnie spojrzenie. – Dałabyś spokój.

– Czego ty chcesz?! Jestem dumna z naszych dzieci, ale to chyba nie przeszkadza, żebym doceniała też cudze, prawda?

– Prawda, prawda. – Bernard machnął ręką i postanowił się więcej nie odzywać.

– No właśnie! Moje córki są kochane, ale chciałabym też, żeby ludziom pomagały, żeby miały u innych szacunek, żeby godnie to swoje życie przeżyły, a nie tak byle jak...

„Dość tego! Uciekaj, bo stanie się nieszczęście! Szybko, szybko, szybko!!! Uciekaj, zanim stracisz poczatalność!!!” – w głowie Wiktorii zawyły syreny alarmowe. Z trudem się kontrolowała. Chciała rzucić matkę na dywan i wysypać na nią całe to żarcie, które ledwo mieściło się na stole, żeby zniknęła pod sałatką jarzynową, zrazami, śledziami, nadziewanym kurczakiem, bigosem, faszerowanymi jajkami, wędlinami, serami, pomidorami i Bóg wie czym jeszcze. Ile musiała wydać pieniędzy i stracić siłę, żeby przydźwigać zakupy do domu, a potem przyrządzić te wszystkie potrawy... Po co?! Dla kogo?! Na co liczyła? Bo jeśli na wdzięczność córki, to będzie rozczarowana. I nie tylko tym, że w przeciwieństwie do pana doktora Wiktoria nie pomaga ludziom...

Czego ta kobieta chce?! Żeby wzięła przykład z Meli i poświęciła się rodzinie? Czy żeby pracowała, pomagała ludziom i cieszyła się szacunkiem? Nie. Jej matka chce Bożydara. To dla niego te gadki. To dla niego przysmaki, biały obrus i odświętny strój. To dla niego ściągnęła tutaj córkę i gdyby mogła, natychmiast wpakowałaby mu ją do łóżka, chwilowo zapominając o opinii Kościoła na temat seksu przed ślubem. Ciekawe, czy w łóżku pan doktor nadal by się tak głupkowato uśmiechał. Zapewne jego matka stałaby obok i upominała Wiktorię, by szerzej rozsunęła nogi, bo synkowi jest niewygodnie. A on pociłby się jeszcze bardziej niż teraz i powtarzał: „Mamo, proszę...”. Na samą myśl zrobiło jej się niedobrze. „Dość tego! Uciekaj! Szybko, szybko, szybko!!!” – wyraźnie słyszała wewnętrzne głosy, więc przyszło jej do głowy, że jest na granicy obłądu.

– Mamo, gdybym wiedziała, że tak bardzo ci zależy, żebym pomagała ludziom, to już dawno zwolniłabym się ze szkoły.

– I co byś robiła?

– Zostałabym instruktorką aerobiku. – Podniosła się z fotela, cmoknęła w policzek ojca, potem matkę. Na gości ledwo spojrzała. – Cieszę się, że mogłam państwa poznać. Przepraszam bardzo, ale muszę już iść. – Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, była już w przedpokoju. Z nerwów nie mogła znaleźć włącznika światła, więc szukała swoich rzeczy po omacku.

– Wiktoria! Gdzie ty idziesz?!

– Wychodzę.

– Co ty wyprawiasz?! Jak ty się zachowujesz?! – Janina zapaliła światło, a potem szybko przymknęła drzwi. – Obraziłaś się? O co? Coś zrobiłam nie tak?

– Idiotkę zrobiłaś. Nie wiem tylko, z kogo większą: ze mnie czy z siebie. – Wiktoria przyglądała się matce ze zdumieniem: ta kobieta naprawdę nie wiedziała, o co chodzi.

– Jak ty do mnie mówisz? Czym ja sobie na to zasłużyłam?

– Przepraszam, mamo. – Ponownie cmoknęła ją w policzek. – Dobranoc.

– Żadne „dobranoc”, tylko w tej chwili wracasz do stołu! – Janina zmieniła taktykę. – Ani mi się śni świecić za ciebie oczyma. Po co ja się tyle naszykowałam?

– Może sama sobie odpowiesz? – Cmoknęła ją w policzek po raz ostatni. – Według mnie osoba, dla której się tyle naszykowałam, siedzi w salonie i nigdzie się nie wybiera, więc nie masz o co się martwić. – Zanim zamknęła za sobą drzwi, raz jeszcze życzyła matce dobrej nocy, a potem zbiegła po schodach, pokonując kilka stopni na raz; Emilka musiała to odziedziczyć po niej.

Z ulgą wypadła z bramy. Lodowate późnojesienne powietrze przyjemnie chłodziło rozpalone policzki. Wyciągnęła komórkę i wystukała numer taksówki. Mimowolnie przypomniała sobie dzień, w którym uciekła od Pawła... Czy kiedyś przestanie wreszcie

uciekać?

– Wiktoria!!!

Zakłęła w myślach tak, aż sama się zdziwiła, że zna tyle brzydkich słów i potrafi je połączyć w całkiem sensowne zdanie. Ze zgrozą patrzyła na zbliżającego się Bożydara. Ponieważ dotychczas widziała go tylko przy stole, nie miała pojęcia, jak bardzo jest niski. Metr siedemdziesiąt... może mniej... Czy jej matka oślepla?! Pomijając całą resztę, jakim cudem chciała zeswatać Filopata z Patafilem?!

„Czego ten kurdupel ode mnie chce?!” – bulgotało jej w głowie. Wystraszyła się: najpierw wewnętrzne głosy i syreny alarmowe, a teraz bulgotanie? Czyżby Janinie udało się wpędzić ją w obłąd?

– Wiktoria, zaczekaj!

Postanowiła, że jeśli Bożydar będzie próbował zaciągnąć ją z powrotem do rodziców, to powtórzy głośno zdanie, którym sama sobie przed chwilą zaimponowała i w którym przyzwoite były wyłącznie spójniki oraz przyimki. Wykrzyczy mu je prosto w bezbarwne, pozbawione rzęs oczy!

– Czekam – odpowiedziała spokojnie. – Ale na taksówkę.

– Uwierz, jestem tak samo zakłopotany... – Zadarł głowę, żeby zajrzeć jej w oczy.

Na pewno nie miał nawet metra siedemdziesięciu. – Chyba oboje zostaliśmy w coś wpakowani. Ja naprawdę nie chciałem... Nie miej do mnie pretensji, było mi tam na pewno znacznie gorzej niż tobie. – Mimo chłodu wciąż pocił się jak mysz. – Ciebie przynajmniej nikt nie adorował i nie powtarzał, że jesteś prawdziwym bożym darem. Żebyś ty wiedziała, jak nienawidzę swojego imienia.

– Ja swojego też nie lubię. – Spojrzała na niego trochę łagodniej. Jakoś nie przyszło jej wcześniej do głowy, żeby zastanowić się nad tym, co czuje Bożydar, siedząc za suto zastawionym stołem pułapką. Faktycznie, komfortowe to pewnie nie było...

– Czyli coś nas jednak łączy: nie lubimy swoich imion i oboje mamy matki, które nas dręczą. – Po raz pierwszy rozchylił usta na tyle, że mogła zobaczyć jego zęby. Przynajmniej na nie dało się patrzeć z uznaniem, więc mimowolnie wgapiła się w ich lśniąca biel. – Ale ty jesteś w zdecydowanie lepszej sytuacji. Po pierwsze, twoje imię da się przerobić na „Wika”, a spróbuj zdrobnić moje. No?

– Boziu? – zaproponowała po chwili głębokiego zastanowienia i parsknęła śmiechem.

– No właśnie. Sama widzisz, że masz lepiej. – Też się roześmiał. – I to nie tylko

w kwestii imienia. W kwestii matki też.

– Tutaj bym się jednak spierała.

– Jesteś pewna? Ty swoją tylko odwiedzasz, a ja z moją mieszkam. Wyobrażasz sobie?

– Boziu! Nawet o tym nie mów, bo jeszcze mi się przyśni! – Wizja była rzeczywiście jak z koszmaru. – To co? Może zamówię jeszcze jedną taksówkę? Dla ciebie.

– Zwariowałaś? – Błysnął użębieniem. – Dokąd miałbym pojechać?

– Może do szpitala? Podobno bez przerwy tam przesiadujesz. – Nie mogła sobie odmówić tej drobnej złośliwości. – Pomożesz przy okazji jeszcze kilku ludziom i parę razy dasz śmierci prztyczka w nos.

– Jęcza!

Wiktoria nie wiedziała, czy bardziej rozśmieszyła ją ta niby-obelga, czy wygrażanie cielecym serdelkiem. W sumie te paluszki pasowały nawet do reszty – pan doktor cały wyglądał, jakby złożono go z wyrobów garmażeryjnych, nie przejmując się zbytnio proporcjami. Przypominał postać z rysunków pierwszoklasistów. „Przedszkolaków” – poprawiła się w myślach. Pierwszoklasiści pamiętają już na przykład o szyi, której u Bożydara próżno było

szukać... Wydawał się nieporadny, zagubiony i słabo przystosowany. Gestykulował dziwacznie, jak pseudoaktor z *Obnażmy ludzkie życie*, a do tego mówił z denerwującą manierą: rozwlekał słowa i akcentował je tak wyraźnie, jakby obawiał się, że nie zostanie zrozumiany. Wiktoria miała nawet ochotę powiedzieć, że dość dobrze zna polski, więc nie trzeba przemawiać do niej jak do cudzoziemki. Dała sobie jednak spokój, bo jej złość powoli się ulatniała. Faktycznie, był w jeszcze gorszej sytuacji niż ona: ani imienia zdrobnić, ani przed matką się schować...

– Zapomnij o tym, że jeśli pojedę do szpitala, to jej ucieknę – kontynuował, nie zdając sobie sprawy, jak surowej ocenie poddawany jest właśnie jego wygląd. – Zanim położę się na kozetce, wpadnie pielęgniarka i krzyknie: „Panie doktorze! Mamy pilną pacjentkę z miasta. Zabrana z przyjęcia u sąsiadów. Temperatura w normie, ciśnienie trzysta na dwieście, tętno jak u kolibra. Brak kontaktu. Majaczy, że została porzucona”. Poleciałbym do wezwania i wpadł prosto na mamusię.

– Nie przesadzaj. – Wiktoria znowu szczerze się uśmieła. – Jesteś pediatrą. Nie przywiozą ci pani Basi na oddział. Ile ona ma lat?

– Siedemdziesiąt siedem. Ale nie doceniasz jej sprytu. Ubierze się w śpiochy, wsadzi sobie smoczek do buzi i wmówi sanitariuszom, że ma siedem miesięcy. – Zaciśnął wargi. – Byle mnie dopaść, a potem gadać, jaki jestem zły.

Wiktoria spojrzała na niego z rosnącą sympatią. Wbrew pozorom naprawdę mieli ze sobą wiele wspólnego.

– To trzecia rzecz, która nas łączy. Ja też jestem zła. – Spuściła wzrok i wpatrując się w czubki swoich butów, wybąkała z ociąganiem: – Przepraszam, że byłam taka wredna, ale moja mama...

– Nic nie mów! Uwierz, mogłaś trafić znacznie gorzej. – Stał na palcach, żeby spojrzeć za jej ramię. – O! Chyba masz transport.

Podążyła za jego wzrokiem i kiwnęła głową. Kolejny w jej życiu samochód zbawiennie toczył się powoli w ich stronę.

– Zgadza się. To moja taksówka. – Wyciągnęła rękę do Bożydara. – Jeszcze raz przepraszam. Nie jestem jędzą, tylko jakoś nie pomyślałam, że wpadliśmy w te same wnyki...

– Uśmiechnęła się serdecznie, bo facet naprawdę był Bogu ducha winien. Kto jak kto, ale ona akurat powinna wiedzieć, co znaczy nie panować nad własną matką. – Głupio wyszło.

– Czeka! Chyba nie wierzysz, że one nam tak łatwo odpuszczą? – Przytrzymał jej dłoń. – Wciąż chcesz mieć lepiej, co? Ty sobie odjedziesz i spokojnie pójdziesz spać, a ja nie dość że muszę tam wrócić, to jeszcze w domu będę wysłuchiwał matczynych pogadanek.

– Proponowałam drugą taksówkę. – Wiktoria oswobodziła rękę ze spoconego uścisku; sympatia sympatią, ale okład z pięciu mokrych cielecych serdelków był jednak troszkę obrzydliwy. – Jak mogę ci pomóc?

– Mam pewien pomysł, jak zakończyć całą tę farsę. Umówmy się na kawę. Potem powiemy, że nie przypadliśmy sobie do gustu, i może wreszcie dadzą nam żyć... – Zaśmiał się głośno, wprawiając w drgania pokaźny brzuch. – Przynajmniej na jakiś czas!

– Całkiem dobry plan. Ale po co mamy się naprawdę umawiać? Nie wystarczy, że zmyślimy tę... no... tę... randkę?

– Dziewczyno! Ty naprawdę nie doceniasz ich świętego przymierza? Przecież one będą nasze spotkanie godzinami wałkowały przy herbatce: a co powiedziałem ja, a co powiedziałaś ty, a w co ubrany byłem ja, a w co ubrana byłaś ty, a co jedliśmy, a co piliśmy, a gdzie się spotkaliśmy, a czy dużo ludzi było... – Z braku serwetki wytarł czoło mankietem koszuli, tak

samo olśniewająco białej jak jego zęby. – Więcej czasu zajęłoby telefoniczne uzgadnianie zeznań niż prawdziwe spotkanie. Umówmy się i miejmy to z głowy. Uwierz, tak będzie dużo prościej. Nie masz ochoty na święty spokój? Bo ja w imię świętego spokoju jestem gotowy iść z tobą na... – znowu zarechotał – na randkę, jak to nazwałaś. Nie rzucę się na ciebie, bądź spokojna.

Prognozy Bożydara na temat szpiegowskich działań ich matek wydawały się bardzo prawdopodobne, a marzenia o świętym spokoju cudownie kuszące. Podobnie jak wewnątrz stojącej tuż obok taksówki.

– Zapisz sobie mój numer – zaproponowała. Co tam! Nie takie rzeczy kobiety robiły w imię wyższych celów. Ona tylko wypije kawę z facetem. Stać ją w końcu na taki heroizm...

– Nie mam czym ani na czym. Może to i lepiej? Pójdę na górę. Powiem, że trochę porozmawialiśmy i postanowiliśmy się umówić na... randkę. – To słowo wyraźnie bawiło garmazeryjnego Bożydara. – Tylko sobie za dużo nie obiecuj po naszym pierwszym spotkaniu! – Pogroził jej palcem. – Zwrócę się do pani Jasi z prośbą o twój numer. Na pewno będzie zachwycona.

– Na pewno... – Nagle zwątpiła w swój heroizm. – Czekam na telefon. Jadę. Pa! – Z ulgą zatrzaskała drzwi taksówki.

– Jedź. Żebyś wiedziała, jak ci zazdroszczę...

Nie usłyszała, ale wystarczył jej widok machających przyjaźnie paróweczek. Jedna z nich była uzbrojona w gigantyczny złoty sygnet. Powinien sobie na nim, jak na metalowej skuwce wieńczącej paczkę z podrobami, wygrawerować datę przydatności do spożycia. Tylko jaka by to miała być data? „Na pewno nie bieżąca” – pomyślała Wika i wzdrygnęła się z niechęcią.

ROZDZIAŁ 20

– Byłaś kiedyś w tej ukraińskiej restauracji na starym mieście?

– Nie.

– To ulubiona restauracja mojej mamy.

– Mhm.

– Prawdę mówiąc, to jedyna restauracja, do której można ją wyciągnąć na obiad.

Rozumiesz? Mama uznaje wyłącznie domowe jedzenie, ale zaproszenia do Ukrainki nigdy nie odmówi. Trudno chyba o lepszą rekomendację dla ich kuchni, prawda?

– Jakiej kuchni? Przecież mieliśmy iść na kawę.

– Oczywiście. Wypijemy gdzieś kawę, potem zrobimy sobie spacer po starym mieście, a na koniec pójdziemy na kolację.

– Trochę za zimno na spacer. Poza tym nie mam aż tyle czasu...

– Udam, że tego nie słyszałem. Porywam cię jutro z domu i koniec gadania. Przyjadę o piętnastej.

– Po pierwsze, będę wolna dopiero o osiemnastej. A po drugie, nie przyjeżdżaj po mnie.

Mam kilka spraw do załatwienia w pobliżu starego miasta. Proponuję spotkanie o szóstej w tej twojej Ukraince, jeśli tak bardzo chcesz tam iść.

Próbował się targować, zmieniał co chwila taktykę, nie wskórał jednak nic ani prośbą, ani groźbą, ani dąsaniem się. W końcu, wyraźnie niezadowolony, przystał na warunki Wiktorii. Ale ona miała w nosie jego fochy.

Nie chciała, żeby po nią przyjeżdżał. Ta osiemnasta i rzekome sprawy do załatwienia były oczywiście wytworem jej spanikowanej wyobraźni. Chciała uniknąć spaceru z Bożydarem również dla jego dobra. Uznała bowiem, że im krócej będzie go musiała go oglądać, tym dłużej zdoła być miła i grzeczna...

Mimo najszczerzych chęci coś ją od niego odpychało. Tłumaczyła sobie, że nie można pochopnie oceniać ludzi, że to wartościowy człowiek, że wykonuje kawał godnej podziwu roboty, że faktycznie jest w położeniu, którego trudno zazdrościć, że w sumie bardzo ładnie się zachował, że może okazać się znacznie lepszym materiałem na kumpla niż beztroski Witek, że to, że tamto, że siamto. Ile by jednak tych „że” wymyśliła, efekt był zawsze taki sam: odczuwała wstręt na samą myśl o nim. Dlatego wlekąc się na spotkanie, czuła się, jakby szła do dentysty: przyjemnie nie będzie, ale dla własnego dobra...

Kiedy dotarła na miejsce, sterczał już przy drzwiach. Gdyby lubiła go chociaż w połowie tak jak Witka, uznałaby, że stoi, a nie sterczy. Bożydar jednak ewidentnie sterczał. Na dodatek koszula rozpięła mu się na brzuchu, a to, co ukazywała powstała w ten sposób szczelina, było znacznie gorsze niż serdelkowate paluszki. Miała ochotę zadzwonić po taksówkę i uciec. Znowu...

– Nie zimno ci? Strasznie rozchełstany jesteś – powitała go w nadziei, że Bozio spojrzy po sobie i zauważy, iż matka niedokładnie go zapięła, wyprawiając na randkę.

– Nigdy nie jest mi zimno. Mam specyficzny organizm i ponadprzeciętną ciepłotę ciała. Z tego względu czasami pocę się troszeczkę bardziej niż inni ludzie.

Czasami? Troszeczkę?

– Nie zauważyłam.

– Bo bardziej ja to czuję, niż inni widzą. Nauczyłem się z tym żyć. Przynajmniej na kałesonach, czapkach i rękawiczkach zaoszczędzę. Ale pamiętaj... – Grożenie palcem było najwidoczniej ulubionym gestem Bożydara. – Nigdy nie namawiaj, żebym cię zabrał na wakacje w ciepłe kraje. Prędzej skusisz mnie propozycją wyjazdu na Alaskę.

Wakacje?

– Nie będę cię niczym kusila. Możemy wejść do środka? Ja mam, niestety, przeciętną ciepłotę ciała. – Marzyła o tym, żeby wreszcie usiadł i żeby blat stołu zasłonił fatalną szczelinę.

– Oczywiście. – Pchnął drzwi i puścił ją przodem.

Wnętrze było urządzone w stylu ludowym, z dużym smakiem. Z głośników sączyła się delikatna muzyka, a nieliczni goście rozmawiali ściszymi głosami, pochylając się nad stolikami i spoglądając sobie w oczy ponad płomieniami świeczek. Dokładne przeciwieństwo ulubionego pubu Witka. Lokale dzieliło zaledwie kilkanaście metrów, a zdawało się, że znajdują się na dwóch różnych planetach. Tamten był gwarny, hałaśliwy, przepelniony zapachem piwa i drżący w posadach od salw śmiechu – odnosiło się wrażenie, że wszyscy klienci znają się od lat i tworzą jedną wielką rozrywkową kompanię, do której Witek idealnie pasował. Podobnie jak Bożydar pasował do Ukrainki: doskonale się komponował z jej dyskretną, wyciszoną i powściągliwą atmosferą.

– Nie jesteś ciekawa, dlaczego moja mama tylko tutaj daje się wyciągnąć na obiad?

– zapytał godzinę później, kiedy wreszcie pochłonął barszczyk z pampuchami, litewskie cepeliny oraz dranki ziemniaczane faszerowane mięsem i zapiekane z serem. Nic dziwnego, że puszczały mu guziki.

– Mówiłeś, że ze względu na dobrą kuchnię. Prawie tak doskonałą jak jej własna.

– Nie tylko dlatego. Mama jest Ukrainką i nostalgicznie odnosi się do swoich korzeni.

Niejedną leżkę zdarza jej się uronić, kiedy tu jesteśmy – wyjaśnił z rozrzewnieniem. – Bo to było tak...

Zaczął opowiadać o zawiłych powojennych losach, które panią Basię i jej świętej pamięci męża sprowadziły na koniec do Szczecina. Wiktoria słuchała, co chwila potakiwała albo z niedowierzaniem kręciła głową na dowód żywego zainteresowania i modliła się w duchu, by ta rodzinna historia nie miała końca. Nie żeby była jakaś szczególnie ciekawa, chodziło raczej o to, by Bożydar jak najdłużej monologował, dzięki czemu Wika mogła nieco odpocząć.

Ich wcześniejsza rozmowa była bowiem naprawdę koszmarna. Kiedy tylko usiedli i złożyli zamówienie, pan doktor zamienił się w pana policjanta: wypytywał Wiktorię o przeszłość, o to, co robiła, z kim była i dlaczego jest teraz sama. Początkowo delikatnie dawała do zrozumienia, że nie ma ochoty się zwierzać, ale stawał się coraz bardziej nachalny. Musiała zatem ostro, dobitnie i trochę brutalnie poprosić, by nie wpychał się bez zaproszenia w jej biografię. Był wyraźnie zaskoczony i chyba nieco zniesmaczony atakiem. Patrzył na nią jakiś czas w milczeniu, marszcząc czoło i wycierając je z potu ludową serwetką. Szybko jednak złagodniał i nawet zdobył się na szeroki uśmiech. I, oczywiście, pogroził jej palcem:

– Oj, złoźnica z ciebie. Niegrzeczna złoźnica.

„A z ciebie skończony idiota!” – pomyślała.

Nie był chyba jednak całkiem skończonym idiotą, bo dał sobie spokój z przesłuchiwaniami. Dla odmiany skupił się na wmuszaniu w nią kolejnych potraw. O każdej

z nich wiedział bardzo dużo, zaskoczył Wikę znajomością szczegółów zarówno w kwestii składników, jak i sposobów przyrządzania. Teraz już rozumiała, skąd wzięła się ta wiedza: pani Basia, rodowita Ukrainka, od niemal pięćdziesięciu lat karmiła go jeszcze lepszymi cepelinami i jeszcze pyszniejszymi dranikami niż te, które starał się jej wcisnąć.

Po tych doświadczeniach naprawdę gorliwie się modliła, żeby Bożydar nigdy nie przestał opowiadać o dramatycznych skutkach akcji „Wisła”. Niestety. Przesiedleńcza historia miała jednak swój koniec.

– Plusem całej tej tragedii było tylko to, że moi rodzice na siebie trafili i udało im się razem przeżyć chociaż kilkanaście szczęśliwych lat. Teraz nie ma już takich związków...

– Zadumał się pan doktor.

– Skąd wiesz? Czasy są inne, ale ludzie wciąż tacy sami.

– Uwierz, znam wielu ludzi. I tylko jedno znane mi małżeństwo wydaje się godne pozazdroszczenia. Przypominają mi mamę i tatę.

– No widzisz? Czyli jakieś normalne małżeństwo znasz. A przed chwilą mówiłeś, że już takich nie ma. Wprawdzie jedno to niewiele, ale zawsze coś.

– Chyba się mylisz. – Popatrzył na nią smutno. – Bo teraz mówię o twoich rodzicach...

– Widząc, że Wiktoria ma oczy jak młyńskie koła, wrzucił ramionami. – No i czemu taka jesteś zdziwiona? Masz ich na co dzień, więc pewnych rzeczy nie dostrzegasz i nie potrafisz docenić.

Ale ja, kiedy pani Jasia urządziła dla nas kolację, chciałem ją po rękach całować. I wcale nie za tego przepysznego kurczaka czy bigos, tylko za to, że pozwoliła mi cofnąć się w czasie.

Czułem się, jakbym swoich rodziców widział: miłość, szacunek, ciepło, troska, zabieganie o ukochaną osobę...

– Cielęcy serdelek zamigotał przed nosem oniemiałej Wiki. – I muszę ci powiedzieć... Najwyżej się obrazisz. Trudno! Ja już tak mam, że jeśli coś mi się nie podoba, to głośno o tym mówię. Zachowałam się naprawdę karygodnie. Mnie też nie było wtedy przyjemnie, ale w życiu nie zrobiłbym czegoś takiego swoim rodzicom...

Nie bardzo słyszała, co mówił potem. Biła się z myślami. Czy powiedzieć mu, że małżeństwo jej rodziców wygląda na sielankę, ale tylko wtedy, kiedy matka ma na to ochotę, zaś ojciec usuwa się w cień telewizora? A może powinna raczej uświadomić Bożydarowi, dlaczego został przyjęty tak serdecznie i z taką pompą? Czy wie, że jako żonaty i dzieciaty chłoporobotnik zasłużyłby sobie u Janiny co najwyżej na obojętne „dzień dobry”, rzucone od niechcienia na klatce schodowej, a nie na uroczystą kolację, którą Wiktoria zepsuła, zakłócając wszystkim napawanie się miłością, szacunkiem, ciepłem i troską?

Nie czuła się winna. Gdyby wiedziała, co ją czeka, nie zjawiłaby się na tej kolacji wcale, a Bożydar wraz z panią Basią mogliby się do woli napawać atmosferą. Nie mieli tylko pojęcia, że gdyby nie Wiktoria, nie byłoby też całego tego zenującego przedstawienia, które niemal do łez rozczuliło pana doktora.

Wahała się, czy wyjaśniać mu te wszystkie niuanse, ale po dłuższym zastanowieniu doszła do wniosku, że nie warto. Po co? Przecież za chwilę pójdą każde w swoją stronę. Niech sobie wierzy w coś, czego nie ma. Po co burzyć złudzenia kogoś, kogo miała nadzieję już nigdy więcej nie spotkać?

– Czyli jednak się obraziłaś?

– Co? Nie... – Spojrzała na niego średnio przytomnie. – Wcale się nie obraziłam.

– To dlaczego milczysz?

– Nie obraziłam się, ale nie zamierzam tłumaczyć się ze swojego zachowania. Jeśli zmienisz temat, przestanę milczeć. – Miała ochotę poprosić o powtórzenie rodzinnej historii.

Posiedzi, posłucha...

– Dobrze. Zmieńmy temat – zgodził się Bozio, zmieniając moką serwetkę na suchą.
– Jak już wspominałem, nie mam oporów, by powiedzieć, że coś mi się nie podoba. Ale działa to również w drugą stronę. Czyli tak samo szczerze mówię, kiedy coś mi się podoba. A ty podobasz mi się bardzo. Trzeba tylko nad tobą troszeczkę popracować. Wydaje mi się, że poprzedni mężczyzna dawał ci za dużo luzu. Pani Jasia wspominała, że był zimny i mało rodzinny, ale jak na mój gust to był zwykłym pantoflarzem! – Zarechotał wyraźnie ubawiony reakcją Wiktorii. Rzeczywiście, było z czego się śmiać: zeszywniała z gapowato rozdziawionymi ustami.

– Kiedy moja mama ci to powiedziała? – wykrztusiła wstrząśnięta.

– Czy to ważne: kto, gdzie, kiedy? – Machnął lekceważąco ręką. – Ważne, że mi się podobasz. A wiesz dlaczego? – Odczekał chwilę i sam sobie odpowiedział: – Bo chociaż buzię masz niewyparzoną i strasznie jesteś nieokrzesana, to czuję, że gdzieś głęboko chowasz w sobie miękkie, ciepłe serce. Zdradzają cię oczy i delikatne gesty.

– Jesteś pediatrą czy psychologiem?

– Czasami mam wrażenie, że jestem kobietą...

O! Następnym razem z podaniem o naturalizację?! Co oni? Poszaleli? Witek przerobiony na kobietę przypominałby zapewne te wszystkie tańczące boso podstarzałe pijane baby z Jerzyka: też ubrałyby się w cekinową bluzkę i skórzaną mini, po północy zrzuciłyby szpilki, tarzały się po podłodze, podciągały dziurawe rajstopy na środku parkietu i chichotały do każdego mężczyzny, twierdząc, że wszystkich ich kocha, bo są tacy cudowni i wyjątkowi i nie sposób się z nimi nudzić. A jak wyglądałby Bożydar po naturalizacji? Na pewno nie tak jak Wituś Sprytuś, o nie! Wyobraziła sobie pana doktora w fioletowym płaszczu... Jasne! Buka, wypisz wymaluj! Albo raczej jej młodsza siostra, bo wzrost nie ten.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jestem romantyczny, troskliwy, czuły, rodzinny, opiekuńczy, wrażliwy, Kocham dzieci, uwielbiam porządek... – wymieniał swoje kobiece cechy. – Dostaję szału na widok porozrzucanych ciuchów, brudnego sedesu...

„Ciekawe, czy ogląda *Modę na sukces* i *Obnażmy ludzkie życie*” – zastanawiała się, słuchając dalszego ciągu wyliczanki. „Bo jeśli ogląda, to jeszcze tylko musi dostać okresu i wtedy stanie się stuprocentową babą. Nawet piersi już ma. Nie za duże, ale gdyby założył biustonosz z push-upem, byłoby co wypinać”.

– Problem w tym, że nie jestem zwyczajną kobietą, tylko damą.

– To znaczy? – zapytała, z trudem powstrzymując się od uwagi, że damy nie chodzą w prześwitujących koszulkach bez biustonosza. Nie mówiąc już o rozpiętym guziku... Ładna mi dama!

– Nie znoszę wulgaryzmów, tatuaży, kolczyków w innych miejscach niż uszy... – Z jego ust wypływała lista dłuższa niż paragon z supermarketu. – Wyzywającego makijażu, kusych spódnic, głębokich dekolci, obszarpanych dżinsów, hałaśliwego zachowania...

„Czyli dobrze podejrzewałam, że Jerzyk odpada” – skonstatowała Wiktoria. Wykaz preferencji Bożydara podzielała na nią rozweselając. Przypomniało jej się, jak razem z Melą i Anką przeglądały profile mężczyzn na portalu randkowym. Wyglądało na to, że pan doktor doskonale do nich pasuje. Ba! W kwestii wymagań zdecydowanie ich prześciga. A może tamtych facetów ograniczał limit znaków, więc zawężali swoje życzenia do podstawowego minimum? Może gdyby administrator dał im rozwinąć skrzydła, poszybowałyby w swoich fantazjach jeszcze wyżej niż pan doktor?

– I według ciebie takie właśnie są zwykłe kobiety? – zapytała zaczepnie. – Bluzgające, wytatuowane, z kolczykami w nosie i w obszarpanych dzinsach? Dziś prawdziwych dam już nie ma?

– Nie chciałbym generalizować, ale niestety takie właśnie w większości są. A poza tym, bez obrazy, bo od wszystkiego są wyjątki, zauważyłem, że z roku na rok coraz bardziej głupiejecie: albo nie myślicie o niczym, albo myślicie nie o tym, co trzeba – rzucił brutalną diagnozę.

„Ty pokurczony troglodyto!” – oburzyła się w myśli Wiktoria i zachichotała w duchu. „Z takim poziomem samozadowolenia nigdy nie zostaniesz kobietą. Nawet jeśli obejrzysz dziesięć tysięcy odcinków *Mody na sukces!* Gdyby kobieta wyglądała tak jak ty, to po cichutku marzyłaby, żeby ktokolwiek zechciał na nią spojrzeć, a nie rościła sobie pretensje do bycia damą!”

– Chyba jednak generalizujesz...

– Jeżeli uważałbym, że wszystkie jesteście takie same, to nie siedziałbym tu teraz z tobą. – Popatrzył na Wikę zagrzewającym do boju wzrokiem trenera: „Mała, daj z siebie wszystko, nie zawiedz mnie, udowodnij, że słusznie w ciebie wierzę!”. – Wspomniałem przecież, że mi się podobasz. Właśnie dlatego, że jesteś inna. Rozmawiając z tobą, nie czuję żadnego zagrożenia...

– Zagrożenia?! – Gdyby wiedział, co chętnie by zrobiła z jego spoconym łbem, nie rzucałby słów na wiatr. – Zagrożenia czym?

– Że jeśli ja zaproszę cię raz na kolację, to uznasz, iż zaraz potem ty możesz mnie zaprosić do ołtarza.

– Ciebie?! – wyrwało jej się niezbyt grzecznie. Trochę się zmieszała, ale nic nie wskazywało na to, żeby poczuł się szczególnie urażony. Niby czemu? Jego przekonanie o własnej wartości było niczym betonowy schron, którego nie da się nawet nadkruszyć. Ciekawe, co miało na to większy wpływ: biały kitel czy metody wychowawcze pani Basi?

– A czego mi brakuje? – Wzruszył ramionami.

„Właśnie! Wszystko mam takie piękne: i oczka, i paluszki, i brzusek...” – kpiła w myślach. „Na dodatek jestem strzelisty jak wieża Eiffla, mądry jak Biblioteka Aleksandryjska, bogaty jak dom Aarona Spellinga, odporny na wstrząsy jak wieżowiec w Tokio... No, czego mi brakuje?!”

– Niczego – odpowiedziała, bo była damą. – Oczywiście, że niczego.

– Uważasz, że jestem za stary na żeniactwo? Jak to mówią: stary kawaler musi być stary, natomiast pan młody wcale nie musi być młody.

– Może i tak. Ale faktycznie, nie grozi ci trafienie ze mną do ołtarza. Ani nigdzie indziej.

– Wolą rozwiązać wszystkie obawy.

– Oj, nie zarzekaj się, nie zarzekaj...

– To mnie denerwuje. Nie rób tego, bardzo cię proszę.

– Czego?

– Przestań ciągle grozić mi palcem. – Powtórzyła gest, który naprawdę wyprowadzał ją z równowagi. – Nie jestem małym pacjentem, który odmawia połknięcia gorzkiego lekarstwa.

– Przepraszam. To odruchowe. Postaram się bardziej kontrolować. – Skrucza zniknęła z jego twarzy już po sekundzie. – No widzisz?! O tym właśnie mówiłem. Inna na twoim miejscu wdzięczyłaby się, przewracała oczyma i zanudzała mnie opowieściami o tym, jaka to z niej cudowna kobieta! Powiem ci szczerze, bo jak już wspominałem, zawsze mówię, co myślę... Przez chwilę obawiałem się, czy ty też taka nie jesteś. Pamiętasz, jak wyskoczyłem za tobą na dwór, po tej kolacji? Zaproponowałem ci kawę, a ty od razu nazwałaś to randką. Przyznam, że przyszło mi wtedy do głowy: „Oho! Następna sobie za szybko i za dużo obiecuje!”. Ale

w niczym nie przypominałaś wdzięczących się słodkich idiotek, więc postanowiłem zaryzykować...

Postanowił zaryzykować?! Podejrzewał, że Wiktoria zechce zawlec do ołtarza spoconą parówkę?! Mózg Wiki zaczął pracować na takich obrotach, że aż jej w uszach piszczalo.

Chociaż nie sposób było porównywać Bożydara z Witkiem, coś ich jednak łączyło. Po pierwsze, zgodnie uważali, że ona jest jakaś inna, ale tym akurat nie zaprzętała sobie głowy. Wiedziała, że gdyby coś do nich czuła, to pewnie wcale by taka znowu inna nie była. Niepokoilo ją „po drugie”... Zarówno roztrzepany sprzedawca sportowych odżywek, jak i stateczny pan doktor twierdzili, że są niemal prześladowani przez kobiety. Wprawdzie Witek uważał to za cudowne, a Bożydar był tym zdegustowany, ale co do prześladowania byli zgodni.

– Czy naprawdę jesteśmy aż tak agresywne? – zapytała z powątpiewaniem. – Nie przesadzasz, mówiąc o wleczeniu do ołtarza?

– Jako lekarz nauczyłem się przykładac dużą wagę do tego, co mówię, i nawet jeśli nie jestem w pracy, trzy razy pomyślę, zanim coś powiem. Pamiętaj, że jestem też odpowiedzialny.

– Wysunął w jej stronę palec, ale natychmiast go cofnął. – Będę szczery, chociaż może ci się to nie spodobać. Rzucisz mi się do oczu?

– Bez obawy.

– Nienawidzę wyzwolonych kobiet! – Patrzył wyczekująco, ale nie doczekał się niczego szczególnego. – Przejęłyście nasze zachowania, narzucacie się nam, jesteście agresywne i myślicie, że to normalne. A przecież ośmieszacie się tym tylko i upokarzacie.

– Myślałby kto, że tabuny kobiet tłuką się o ciebie! – Zaśmiała się, choć wcale nie było jej do śmiechu.

– Możesz nie wierzyć, ale chętnych bab mam potąd. – Przejechał ręką w powietrzu dość wysoko nad głową. – Blondynki, brunetki, dużo starsze, dużo młodsze, głupie pielęgniarki, uczone lekarki... Przebierać, wybierać!

– To czemu nie przebierasz i nie wybierasz?

– Bo ja się ich boję. One mnie atakują! – Widząc, że Wiktoria zanosi się chichotem, po raz kolejny chciał pogrozić jej palcem, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. – Nie ciesz się, bo nie ma z czego! To jest okropne... Uwierz mi, nawiązać znajomość z kobietą jest bardzo łatwo. Natomiast zakończyć tę znajomość to znacznie trudniejsza sprawa. Nie rozumiecie słowa „nie”. Po prostu przestałyście się szanować, a wręcz, przepraszam za dosadne określenie, schamialiście. Wiele razy już to przerabiałem.

– Wiesz co? – Wika pokręciła głową. – A wam chyba z tego strachu przed nami kompletnie zaburzył się ogląd rzeczywistości... Przyznam ci się do czegoś. Jakiś czas temu założyłam konto na portalu randkowym...

– Żartujesz? – Patrzył na nią, jakby właśnie zrobiła coś wyuzdanego.

– Nie żartuję. Założyłam konto, ale szybko uciekłam, bo nie byłam w stanie czytać tego, co pisali mężczyźni.

– A co takiego pisali?

– Może zacznę od większości, która akurat nie pisała nic i miała niemal pusty profil: bez zdjęcia i bez tekstu. Domyślam się, że nie potrafili zbudować choćby najprostszego zdania...

– Jesteś pewna? – zapytał Bożydar z mieszaniną politowania i rozbawienia. – A przyszło ci do głowy, że po prostu nie chciało im się niepotrzebnie wysilać? Nie wyobrażam sobie, żebym miał kiedykolwiek korzystać z podobnych usług, ale gdyby mi się jednak zdarzyło, to też chyba trafiłbym do tej większości.

– Dlaczego? – Nie potrafiła wpasować się w jego sposób myślenia.
– Nie fatygowalibyśmy się z żadnymi opisami i zdjęciami, bo wiem, że są wam już od dawna niepotrzebne. Po co miałbym się reklamować, wklejać złote myśli albo zwierzać się z marzeń? I bez tego zostałbym zasypany setkami listów.
– Czy ty nie jesteś aby trochę zarozumiała?
– Nie. Jestem realistą, który szanuje swój czas. – Westchnął smutno, wyraźnie niezadowolony z tego, co mówi. – Postawiłyście świat na głowie. Zrobiliście z nas zwierzynę... Czy sądzisz, że przed wejściem do lasu myśliwy prosi kuropatwę o zdjęcie albo pyta ją, co lubi robić w wolnym czasie? Nie! Jest mu wszystko jedno. Ustrzeli, co mu wpadnie pod lufę. I wy się dokładnie tak zachowujecie. Po co zatem wypełniać jakiś głupi profil?

Wiktoria ścierpła skóra. To nie może być prawda! Witek użył podobnego porównania: on również twierdził, że na portalu odbywa się regularne polowanie na niego. Tyle że jemu akurat bardzo pasowała rola kuropatwy. Wręcz prowokował myśliwych...

– Naciągana teoria. – Denerwował ją triumf bijący z jego bladych oczu. – Pozostanę przy swojej. Na mój gust większość facetów nie umie zbudować prostego zdania. A jak już zbudują, to zupełnie bez sensu, na przykład: „Jestem bardzo towarzyski, marzę o domku na odludziu” albo...

– To wcale nie jest pozbawione sensu.
– Towarzyski odludek?! – Zaśmiała się. – Wybacz! Trzeba być mężczyzną, żeby coś podobnego wymyślić.
– Błąd w rozumowaniu. On nie napisał, że jest odludkiem. Napisał, że marzy o domku na odludziu. To dwie zupełnie różne rzeczy i trzeba być kobietą, żeby tej różnicy nie dostrzec.
– Rozwiń myśl w kilku zdaniach. Bo jestem tylko tępą kobietą i nie ogarniam niuansów w waszym sposobie pojmowania świata.
– Nie jesteś tępą kobietą. Jesteś tylko zdenerwowaną kobietą, która za wszelką cenę broni swoich racji. – Bożydar czuł, że Wika cofa się w narożnik ringu, i był z siebie zadowolony. Jak zwykle zresztą... – Zdażyłem się już zorientować, do jakiej grupy kobiet należysz. Wierzysz, że dwa plus dwa zamieni się w pięć, jeśli będziesz wystarczająco głośno się awanturowała.
– Bogu dzięki, że jesteś pediatrą, a nie psychologiem. Byłbyś pierwszym w tym kraju lekarzem, który umarł z głodu. – Rzuciła mu gniewne spojrzenie spod ściągniętych brwi.
– Możemy wrócić do rozmowy o towarzyskim odludku?
– Już tłumaczę. Tylko przedtem chciałbym ci też objaśnić, że psycholog nie jest lekarzem, więc nawet jeśli umarłbym z głodu, to nie trafiłbym do żadnego medycznego rankingu. Natomiast co do reszty... Ja też uważam się za osobę towarzyską, ale nie przeszkadza mi to marzyć o domku na odludziu.

– Tak. Pamiętam, że cknę ci się za nocą pod gołym niebem.
– A ja pamiętam, że wolisz sufity. – Odbił piłeczkę. – Domki na odludziu miewają sufity. Wiedziałaś o tym?

– Nienawidzę odludzia. Bo jestem towarzyska.
– W domku na odludziu można sobie żyć w ciszy i spokoju przez pięć dni w tygodniu. A na weekend zaprosić chmarę znajomych i zamienić odludzie w jaskinię zabawy. Jedno drugiego nie wyklucza. Potrafisz to sobie wyobrazić?

– Weekend potrafię. Ale tych pięciu dni w tygodniu już nie.
Przy całej niechęci, jaką do niego czuła, musiała przyznać, że Bożydar jest wymagającym rozmówcą. Spinała się z całych sił, żeby nie zapomnieć języka w gębie. Gdyby darzyli się sympatią, ta rozmowa byłaby zapewne klasycznym flirtem, ale dla Wiktorii stanowiła prawdziwą drogę przez mękę. Towarzystwo pana doktora z minuty na minutę coraz bardziej ją męczyło.

– I co? Zrezygnowałaś z portalu randkowego, bo trafiłaś tam na mężczyzn, którzy są towarzyscy i marzą o domu na odludziu? – Kpiący uśmiech nie schodził mu z ust.

– Nie. Niech każdy marzy, o czym chce. – Rzuciła okiem na zegarek, żeby upewnić się, czy spędziła już z panem doktorem wystarczająco dużo czasu. Nie chciała, by jej matka i pani Basia dzwoniły jutro z pretensjami. – Zrezygnowałam, bo zabrakło mi sił, żeby czytać ich wymagania, którym mógłby może sprostać spory harem, ale na pewno nie pojedyncza kobieta. I wiesz, co mnie w tym wszystkim najbardziej bawiło?

– No?

– Że przeciętny mężczyzna, zamiast spojrzeć na siebie obiektywnie i zdać sobie sprawę z tego, kim jest i jak wygląda, uważa się za księcia z bajki. Nawet nie wiesz, jacy wy potraficie być śmieszni. Dużo bardziej niż my! Nie rozumiem, dlaczego tak się wysoko cenicie. My nigdy się tego nie nauczymy, bez względu na poziom wyzwolenia!

– Wasz problem polega na tym, że siebie nie lubicie. A my i owszem. Ja, na przykład, zdaję sobie sprawę z pewnych swoich mankamentów. Nigdy jednak nie przyszłoby mi do głowy, żeby je poprawiać. Mam swoje metr siedemdziesiąt siedem, troszkę nadwagi, coraz mniej włosów i coraz więcej zmarszczek...

Wiktoria zamruła. „Mam swoje metr siedemdziesiąt siedem”?! Gdzie je ma? W domu zostawił? Ma, ale nie nosi? Jakie metr siedemdziesiąt siedem? O czym on mówi? Chyba o długości swojego łóżka!

– Ale cóż z tego? Czy przez takie głupoty mam przestać akceptować siebie? – Wzruszył beztrosko ramionami. – Cieszy mnie, że jestem sprawny, zdrowy, mam pracę i dach nad głową, jestem niegłupi, robię coś, co daje mi satysfakcję, i pomagam innym... To chyba wystarczające powody, żeby siebie lubić, prawda?

Skinęła głową bez przekonania.

– Uważasz, że mam wybujałe ego? Być może. Ale nigdy z niego nie zrezygnuję. Długo i ciężko pracowałem na to, żeby dzisiaj być z siebie w pełni zadowolonym. A wy?!

– A my co?

– A wy siebie nie lubicie – powtórzył. – Mam wrażenie, że kiedy wychodźcie z wanny i stajecie przed lustrem, to analizujecie swoje ciało centymetr po centymetrze, doszukując się oznak starzenia. Pomyśl! Coś równie okrutnego można zrobić tylko komuś, kogo się szczerze nie cierpi. A wy codziennie same to sobie robicie. Wciąż doszukujecie się w sobie wad. Po co? Czy nie prościej polubić i docenić to, co dostaliśmy od Boga?

Nie odpowiedziała, ale natychmiast przypomniał jej się poranek, kiedy stanęła w łazience przed zaparowanym lustrem i odnalazła na swoim ciele kolejne ślady bezlitośnie upływającego czasu. Nie wyobrażała sobie, by miała je polubić i być za nie wdzięczną. Wręcz przeciwnie...

– Tobie się nawet nie dziwię, bo nie masz pojęcia o prawdziwych problemach. – Bożydar spojrział na Wiktoria, jakby była złotą rybką pływającą beztrosko w szklanej kuli. – Natomiast moje koleżanki z pracy wciąż mnie zdumiewają. Codziennie ocierają się o tragedie: śmierć, kalectwo, choroby... Ale przechodzą nad tym do porządku dziennego i w każdej wolnej chwili utyskują na nowe zmarszczki. Wybacz! Może jestem nienormalny, ale uważam, że kobiety są w większości zenujące. Nawet jeśli potrafią ładnie wypełnić profil na portalu randkowym.

Wiktoria spuściła głowę. Złożyła broń, bo trudno było odmówić mu racji. Grunt, żeby się w pełni akceptować. I kochać. I czuć niezmacone zadowolenie. I być z siebie dumnym. I polubić własne niedoskonałości. I nie mieć sobie nic do zarzucenia. I wierzyć w siebie. I doceniać to, co się ma. I niczego w sobie nie poprawiać. I dziękować Bogu. Ale wtedy musiałyby być mężczyznami!

ROZDZIAŁ 21

– Uwierzycie?! Facet o wzroście siedzącego psa twierdzi, że ma metr siedemdziesiąt siedem, i jest sobą zachwycony! – Osunęła się w fotelu, patrząc ze zgrozą na Emilkę, Ankę i Melę. – Da się to jakoś wyjaśnić?!

– Może oni tak samo lubią sobie dodawać centymetrów, jak my odejmować lat?
– zgadywała Amelia.

– A może raczej ja mam dwa metry, tylko dotąd o tym nie wiedziałam? Bo jeśli raz spotykam się z gościem, który mierzy metr osiemdziesiąt, a potem z drugim, który ma metr siedemdziesiąt siedem, i obydwaj są ode mnie niżsi, to jaki z tego wniosek? – Zamachała rozpaczliwie rękoma. – Czy jest tu gdzieś centymetr? Czy ktoś może mnie rzetelnie zmierzyć?!

– No wiesz... w sumie... Logiczne... Jeśli dla nich tyle – Anka wystawiła mały palec – oznacza dwadzieścia centymetrów, to nie dziwota, że wzrost szacują podobnie.

– Posikam się! Muszę to kumpelom sprzedać. Dobrze!
– Idź spać, bo już późno. Rano znowu będziesz ledwo przytomna. – Mela wskazała córce schody.

– Idę, idę. – Emilka ani drgnęła. – Chciałabym się jeszcze tylko dowiedzieć, co dalej z Bożydarem. Mogę chwilę zostać? Czy mam tradycyjnie usiąść w piżamie na ostatnim stopniu i podsłuchiwać?

– Niegrzecznie podsłuchiwać cudze rozmowy!
– Dlatego grzecznie proszę o niezmuszanie mnie do robienia czegoś, co jest niegrzeczne.
– Cmoknęła matkę w policzek. – To jak będzie z tym Bożydarem? Swoją drogą, imię ma odjechane na maksa. Pewnie rodzice dali mu je na próbę i zapomnieli zmienić na normalne.
– Emilka usiadła na oparciu fotela Wiki. Od pewnego czasu było to jej ulubione miejsce. Mela miała wrażenie, że jej córka pilnuje Wiktorii niczym mały piesek, bojący się zniknięcia właściciela. Wciąż nie mogła na to patrzeć bez ukłucia w sercu.

– Nie wiem, jak będzie z Bożydarem. Wygląda na to, że całkiem go oczarowałam. Niechcący i wbrew sobie, zaznaczam! Powiedział, że zadzwoni. Co mam wtedy zrobić?

– A chcesz się z nim jeszcze spotkać? – spytała Anka.
– Nawet o tym nie wspominaj! – Wika spojrzała na nią jak na wariatkę. – Czy ja mam mentalność niewolnika?! To, że kiedyś pozwalałam facetowi, żeby mnie traktował jak worek treningowy...

– Bił cię ktoś? Kto?! Ten Paweł?! – Emilka aż wstała z wrażenia. – Dlatego z nim zerwałaś?!

– Nikt mnie nie bił – pospiesznie zaprzeczyła Wiktoria. – To taka przerośnia.
– Co też ci, dziecko, przyszło do głowy? – zdenerwowała się Mela. – Mówiłam, żebyś poszła spać! Czy zaczniesz mnie wreszcie słuchać?

– Nie przerywaj ciotce – dodała Anka. – Kamiś ma po mnie przyjechać za pół godziny, a też jestem ciekawa, co dalej. Jeśli nie przestaniesz przeszkadzać, to osobiście zaprowadzę cię do pokoju i przywiążę do łóżka!

Wszystkie trzy starały się zatuszować nieszczęsne zdanie, które wyrwało się Wiktorii. Robiły, co mogły, ale Emilka ściągnęła brwi i przyglądała się im nieufnie.

– Bożydarowi dziękujemy, na samą myśl mnie trzęsie! – wykrzyknęła Wika. – Gdybyście go widziały, nie pytałybyście głupio, czy chce jeszcze się z nim spotkać. Żeby on sobie przynajmniej zdawał sprawę z własnego wyglądu... Ale gdzie tam! A ego ma równie szpetne. Tragiczna kumulacja!

Opowiedziała wszystko z detalami. Zaczęła od grubego brzucha z długimi czarnymi włosami wzierającymi przez rozpiętą koszulę, skończyła na pożegnalnym pocałunku złożonym przez Bożydara na jej dłoni; poczuła się wtedy, jakby była szybą akwarium, do której przyssał się wielki glonojad. Zreferowała też szczegółowo poglądy i wymagania pana doktora odnośnie do kobiet – schamiałych i ogłupiałych pod wpływem galopującego feminizmu.

Anka i Mela wciąż jej przerywały: pokrzykiwały, łapały się za głowę i klęły na tyle, na ile pozwalało towarzystwo Emilki. Ta ostatnia dla odmiany milczała. Wydawało się, że myśli o czymś innym i nie słyszy ani słowa z opowieści ciotki. A jednak nic nie umknęło jej uwagi.

– Wiecie, dlaczego feminizm dotyczy wyłącznie kobiet? Dlaczego nie może dotyczyć facetów?

– No? – Z ulgą przyjęły tradycyjny sarkazm w głosie nastolatki.

– Feminizm nie może dotyczyć facetów, bo to dla nich zbyt skomplikowane. Dużo bardziej złożone niż instrukcja obsługi grilla. Więc kucają i sikają w majty. Wy tego tak nie odczuwacie, bo wasi mężowie wychowali się w starodawnych czasach...

– No, wypraszam sobie!

– Ja też!

– Minionego czasu wyprosić się nie da, ale próbować zawsze można. Szacun!

– Skrzywiła bezczelnie gładką twarz. – Jeśli was to pocieszy, chwilami wam tych starodawnych mężów zazdroszczę. Moi kolesie urodzili się już w czasach nowożytnych, czyli za panowania feminizmu, i gównem z tego rozumieją. Co w sumie dziwne nie jest, bo przecież żaden facet nigdy powyżej gimnazjum rozumem nie wyskoczy.

– Powyżej czego?

– Gimnazjum – powtórzyła Emilka zniecierpliwiona. – Oj no, powyżej poziomu gimnazjum.

– Westchnęła teatralnie. – Szczerze mówiąc, byłam pewna, że tylko kolesie z moich roczników są popieprzeni... po... mmm... porąbani! Właśnie! Porąbani. Ale z tego co słyszę – spojrzała na ciotkę – to ty też trafiasz na same lemingi.

– Na kogo?

– Matko jedyna! Czy ja po hiszpańsku mówię?!

– Po pierwsze, nie krzycz, bo nikt tu głuchy nie jest – upomniała ją Wiktoria. – Po drugie, nie mówisz po hiszpańsku, ale twój polski czasami nas przerasta. Po trzecie, albo zachowuj się i mów jak dama, albo idź spać jak dziecko. Bożydar byłby zbulwersowany twoim podniesionym głosem. Jeśli nie zaczniesz nad sobą pracować, to nawet stary spocony pierdziel nie będzie cię chciał.

– Ani ja jego! – Emilka wojowniczo skrzyżowała ręce na piersi. – Jak wam się nie podoba, to mogę się wcale nie odzywać.

– O! Jak ślicznie się nastroszyłaś.

– Żebyś ty wiedziała, jak ja nienawidzę tego słowa! „Stroszyć”!!!

– Ależ wiem. Doskonale. Dlatego tak często go używam. Z premedytacją. – Wika ściągnęła siostrzenicę z oparcia fotela na swoje kolana. – Wyjaśnij nam łaskawie, o co chodzi z tymi lemingami? Czy mam cię zagilgotać na śmierć, niesforna nastroszona krzykaczko?!

– Tylko nie gilgotki! – Emilka zaczęła się śmiać na samą myśl o łaskotaniu i dopiero po chwili zdołała wytłumaczyć: – Leming to frajer, który bezkrytycznie wierzy we wszystko, co usłyszy w telewizji albo przeczyta w Internecie. Łyka każdy tekst bez zastanowienia i bez

zrozumienia. Uważa się za mądrego, chociaż tak naprawdę jest totalnym debilem.

– O! Czyli ja na pewno nie jestem lemingiem. – Wiktoria zanurzyła dłoń we włosach złotoustej nastolatki, wiedząc, że siostrzenica uwielbia mizianie po głowie i że to najlepszy sposób, aby zamienić ją w rozkoszne dziecko. Zadziałało. Emilka rozwaliła się na kolanach ciotki i nadstawiła głowę do pieścizot. – Internetowe i telewizyjne niusy albo mnie wkurzają, albo śmieszają...

Zachichotała na wspomnienie nagłówków, które wyświetliły jej się rano po otwarciu komputera: „Księża kupują kazania w sieci. Zobacz, ile płacą!”, „Tak wygląda idealna gwiazda porno”, „Poseł szantażowany przez znanego gangstera”, „Byli u fryzjera, a po chwili w szpitalu”, „Trzy uzbrojone delfiny uciekły z wojska”, „Kłopoty na Okęciu. Winna mgła i Niemcy”, „Wreszcie zbadano, komu Polacy wręczają łapówki”, „Skandal seksualny w parku wodnym”, „Zwykle badanie serca uruchomiło alarm jądrowy”, „Raport o przemocy w przyklasztornym internacie”...

– Krzykaczko nastroszona! – Wiktoria przysunęła rozcapierzone palce do brzucha siostrzenicy. – A wyjaśnisz nam jeszcze, jak się to wszystko ma do feminizmu i twojej gimbazy oraz moich starych pierdzieli? Bo chyba faktycznie już pora iść spać...

– Nie gilgocz! – Emilka w ułamku sekundy uciekła z jej kolan na oparcie fotela. – A co tu wyjaśniać? I stary pierdziel, i szczaw są na poziomie gimbazy, więc nie kleją wątku. Z feminizmu rozkminili tylko tyle, że trzeba nas teraz traktować jak facetów. A przecież w tym wszystkim chodzi o to, że wcale nie jesteśmy facetami. My wciąż jesteśmy kobietami! Chodzi o to, żeby świat zrozumiał, że kobieta nie jest jakimś ułomnym podgatunkiem. Kobieta nie jest gorsza ani głupsza niż mężczyzna. Ale oni najwidoczniej nie dźwignęli tematu, więc pierdołowate placki pozamieniały się w baby albo w dzieci, a zadufane w sobie tępaki robią za antyfeministycznych macho. Proste? Proste! – Wybuchła szczerym śmiechem. – Błagam! Nie róbcie takich min. Specjalnie tak dobrałam słowa. Żeby was rozruszać.

– Jesteś pewna, że mówisz po polsku? – jęknęła Anka.

– Dziecko... Idź do swojego pokoju. – Mela nie wyglądała na rozruszaną. – Jakoś mnie ten twój język mało śmieszy. Pleciesz bez ładu i składu... Połóż się wreszcie! Jutro od rana szkoła, a potem musimy zrobić naradę i obmyślić generalne sprzątanie. Samych okien do umycia jest chyba ze sto. A reszta? Tym razem sama ze wszystkim sobie nie poradzę. Mam pełno poumawianych klientów. W tym czworo spoza Szczecina. Będziecie musiały mi pomóc.

Wiktoria nie bardzo wiedziała, o czym mówi siostra. Chciała zapytać, skąd nagle pomysł generalnego sprzątania, zanim jednak zdążyła otworzyć usta, głos zabrała ponownie nastroszona Emilka.

– Jeśli nie bawi cię mój język, to jeszcze raz wytłumaczę. Tym razem z ładem i składem. Proszę bardzo! Zarówno jej Wituś Sprytuś – wskazała na Wikę – jak i pan doktor to klasyczne przykłady mężczyzn, którzy nie poradzili sobie z naporem feminizmu. Obydwaj nie wiedzą, co z tym fantem zrobić, więc ustąpili pola i zamienili się w duże dzieci. Niby ta sama strategia, ale, zauważmy, zupełnie różne postawy... – mówiła z intonacją wykładowcy. – Wituś zamienił się w dziecko i traktuje wszystko jak dobrą zabawę. Stoi przy półce w sklepie, drapie się po głowie i nie wie, którą Barbie wrzucić do koszyka i zabrać do domu. Bo każda jest taka śliczna i każda ma coś zajebi... fajnego, czego nie ma inna. Jedną pomaca, drugą z półki zdejmie i się poprzygląda, trzecią wrzuci do koszyka, ale zaraz na miejsce odstawi, czwartą się zachwyca – siostrzenica pociągnęła Wiktoria za włosy – bo takie fajne kędziorki ma...

– Jezus Maria! Jakbyś go widziała!

– Bo widziałam. Nie raz i nie jednego. Tylko w dużo młodszym wydaniu – prychnęła Emilka i podjęła wykład: – Natomiast Bożydar, z bożej łaski, zamienił się w inne dziecko. Chodzi w pampersie i szuka kogoś, kto będzie mu pieluchę zmieniał, jak już matki zabraknie. Sam tego nie robi, bo czemu? Przecież wystarczy, że jest, prawda? Barbie go nie interesują. To są laleczki z natury mało gospodarne, więc je ignoruje. Najchętniej napisałby petycję o wycofanie ich ze sklepów. Na ich miejscu widziałyby miliony zakwefionych pacynek, które mają jedną rączkę utyłaną w kupce, a drugą w ekologicznej marchewce startej na zupkę dla pana domu. – Emilka zrobiła krótką pauzę i wzruszyła ramionami. – I to jest właśnie rozumienie feminizmu na poziomie gimnazjum... A jeśli chodzi o mycie okien – spojrzała pokrępowo na matkę – możesz mną dysponować. Byle w rozsądnych granicach.

– Myślałaś o tym, żeby studiować psychologię? – Anka pierwsza otrząsnęła się z osłupienia. – Bo że maturę zdasz, to już jestem całkiem spokojna. Chociaż przyznam szczerze, że do tej pory w to wątpiłam. Przepraszam.

– Dziecko kochane... Skąd ty masz takie spostrzeżenia?

– Z życia, mamusi. Z życia.

Dorosłe kobiety wpatrywały się dłuższy czas w poziewującą nastolatkę.

– Moja krew! – Ciotka klepnęła ją po ramieniu. – Zawsze wiedziałam, że jesteś mądra i umiesz mówić po polsku.

– Idę do siebie. – Emilkę rozpieęła duma, ale nie chciała tego okazywać, więc dodała nonszalancko: – Muszę jeszcze zgrać na penę prezentację z historii. Debilizm!

– Idź, idź, dziecko kochane.

– Czekaj! – Wiktoria złapała ją za rękaw. – Skoro jesteś taka mądra, to może wymyślisz, jak powinnam zakończyć znajomość z Bożydarem. Co mam mu powiedzieć, jeśli jutro zadzwoni?

– Jak to co? Pojedź standardem: „Przepraszam, ale jestem po naprawdę poważnych przejściach... Nie wiem, kiedy będę gotowa, by ci o nich opowiedzieć... Obawiam się, że nigdy...”. Tylko pamiętaj, żeby mówić łamiącym się głosem – instruowała Emilka. – I stękać co chwila, jakbyś z trudem powstrzymywała się od płaczu. Potem dorzuć: „Jesteś naprawdę wyjątkowo wrażliwym facetem, ale wiem, że na ciebie nie zasługuję. A ty nie zasługujesz na to, żebym cię obciążała swoimi rozterkami. Bardzo cię lubię i dlatego musimy zakończyć tę znajomość”. A potem krzyknij głośno i wesoło: „No to pa!”. Żeby nie miał wątpliwości. Szkoda czasu na większy wysiłek dla faceta o wzroście siedzącego psa... Genialne określenie, swoją drogą.

– Dziękuję. Postaram się zapamiętać. – Wika stęknęła, jakby już trenowała do rozmowy z Bożydarem. – Nie wiem tylko, co babcia na to, że pokrzyżowałam jej plany.

– No wybaczyć! – Usta Emilki zadrżały w kolejnym prychnięciu. – Po co babci pediatra? Prędzej przydałby się jej archeolog.

– Bój się Boga! Jazda spać! – Amelia popchnęła córkę w kierunku schodów. – Może lekcjami się wreszcie zajmij!

– Zajmuję się przecież. Udzielam lekcji. – Emilka uciekła na półpiętro i krzyknęła do Wiktorii: – Jest jeszcze jeden sposób! Powiedz mu, że najbliższy termin na kolejne spotkanie masz dopiero za rok. Na pewno zrozumie. W końcu robi w służbie zdrowia i dla niego to normalka. Dla babci też...

– Na górę!!! W kogo ty się wdałaś, zarazo jedna!

– Obawiam się, że w ciebie! – Emilka przesłała Meli całusa. – To idę zgrywać tę prezentację z historii. A wy sobie gadajcie i nie zapomnijcie jej dobić najnowszą nowiną. Dobranoc! – Emilka trzasnęła drzwiami, a chwilę potem rozległo się

ymcyk-ymcyk-dżdż-dżdż-dżdż-ymcyk-ymcyk, które wykluczało jakiegokolwiek podsłuchiwanie.

– Wiesz co? – Anka popatrzyła na Melę. – To naprawdę mądra dziewczyna. Czemu udaje, że do dwóch nie umie policzyć i sklecić normalnego zdania?

– Nie wiem. – Amelia rozłożyła bezradnie ręce. – Sama jestem w szoku.

– Jaką nowiną macie mnie dobić? – Wiktoria wcale nie była zaskoczona słowami i zachowaniem Emilki, ale zaczęła się bać tego, co zaraz usłyszy.

– Sławek dostał podmianę... – Mela spuściła głowę, jakby przepraszała za to, co mówi.

– Wraca wcześniej.

– Kiedy? – Ponieważ Amelia nie odpowiedziała, Wika spojrzała na przyjaciółkę.

– Za sześć dni. – Anka skrzywiła się współczująco, przerzucając wzrok z Wiktorii na jej siostrę. – Ty randkowałeś, a myśmy tu miały burzę mózgow. Na gwałt zmieniałymy terminarz jej spotkań z klientami. Nie wiem, co to będzie...

– Ja też nie wiem. – Mela podniosła wzrok. – Siostra, co to będzie?

– A co ma być? To kiedy ta narada w sprawie generalnych porządków? Wreszcie wszystko rozumiem...

– Jutro wieczorem. Musicie mi pomóc. Nawet do Mirka zadzwoniłam, żeby przyjechał z Warszawy. Obiecał, że przyjedzie.

– No właśnie! Po co on wciąż do tej Warszawy jeździ? Nie pamiętam, kiedy go ostatnio widziałam. – Anka rzuciła okiem na zegarek. – A mój Kamiś zaginął w akcji! Muszę go pogonić.

– Nie wiem, po co Mirek do Warszawy jeździ. I coraz bardziej wątpię, czy chociaż raz tam był... – Amelia ukryła twarz w dłoniach. – Boże, wybaczone! Wiem, że obiecałam dać ci na jakiś czas spokój, ale co poradzę? Znowu muszę pomarudzić... Masz dla mnie chwilę?

Anka spojrzała wystraszona na Wiktoria, ale ta machnęła uspokajająco ręką.

– Może pójde do kuchni i zadzwonię do tego mojego chłopca? Już dawno powinien tu być... – Mijając Wikę, Anula nachyliła się nad nią i wyszeptowała: – Jakby co, to uciekaj do nas. Rozmawiałam z Kamilem. Przyjedzie po ciebie o każdej porze dnia i nocy.

VII

DROZD, CZYLI MONOGAMICZNY PODRÓŻNIK

Drozdy na ogół nie żyją w stadach. Zaczynają wiosenne śpiewy tuż po powrocie do obszarów lęgowych. Mimo że łączą się w stałe pary, samice często przebywają osobno, nie tylko podczas zimowiska. To one budują gniazda w kształcie filiżanki i samodzielnie wysiadują w nich jaja. Samiec ma w repertuarze około stu zwrotów.

ROZDZIAŁ 22

Sławek siedział na mostku i wpatrywał się w bezkres oceanu. Pogoda była idealna. Tak samo jak prognozy na najbliższe godziny. Dobrze... Wieźli brazylijską rudę: miliardy ciężkich kuleczek, które w czasie sztormu przewalały się po ładowniach i pomagały falom kłaść statek raz na lewą, raz na prawą burtę. Dokładnie sprawdzał przebieg załadunku w porcie i codziennie monitorował poziom balastów, żeby upewnić się, iż nic im nie grozi. Mimo to przy każdym dłuższym przechyle wstrzymywał oddech i wsłuchiwał się w odgłos silnika. Łomot ośmiu tłoków był podstawową gwarancją bezpieczeństwa, więc nauczył się kontrolować ich uderzenia nawet we śnie. Wielokrotnie zdarzyło mu się, że siadał na koi, nie wiedząc, co tak nagle go obudziło, i dopiero po kilku sekundach zdawał sobie sprawę, że to przez silnik, który zmienił rytm pracy. Ostatnią taką pobudkę zaliczył przed czterema dniami.

- Co jest? Jakieś problemy? – Zadzwoił do maszynowni.
- Witam, panie kapitanie. Żadnych problemów.
- Motor zaczął inaczej chodzić.
- A tak. Przed chwilą zmniejszyłem prędkość.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Dostałem polecenie z mostku. Wykonałem.
- Dobrze. Dziękuję.

Chociaż silnik znowu pracował równomiernie, Sławek nie miał co marzyć o śnie.

Połączył się z mostkiem.

- Czemu zmniejszamy prędkość? Co się dzieje?
- Nie damy rady wyprzedzić huraganu, panie kapitanie. Rozkręca się. Postanowiłem, że pójdziemy za nim, a nie przed nim.
- Jasna cholera! Za nim są trzy następne!!! Dlaczego sam podejmujesz takie decyzje?!
- Dziesięć minut temu dostałem świeże meteo. Nie chciałem pana budzić...
- Nie chciałeś mnie budzić?! Ty baba jesteś, żeby się o mnie, kurwa, troszczyć?! Czy pedał?! Zaraz będę na mostku. I jak was tam wszystkich pobudzę, to trzy dni nie zaśniecie!!!

Wiedział, że uważają go za despotę, ale nic go to nie obchodziło. Nie był aktorem ani piosenkarzem, żeby zabiegać o sympatię ludzi. Jego praca polegała na tym, żeby bezpiecznie przewieźć kilkadziesiąt osób i kilkadziesiąt tysięcy ton ładunku z portu A do portu B – tylko to się liczyło. Z natury nikomu nie dowierzał i nie ufał, ale sam nie byłby przecież w stanie obsługiwać całego statku. Skupiał się więc na tym, by dobrać sobie pracowitą, przewidywalną i odporną psychicznie załogę. Kierował się przy tym zasadą, że silne jednostki zostają, a słabe muszą odpaść – morze nie zna innych reguł.

Armator nigdy nie zadawał pytań, bo przez lata nabrał szacunku dla jednego z lepszych swoich kapitanów. Z drugiej strony załoganci szybko wyrobili sobie opinię o Sławku i podzielili się na dwie grupy: takich, którzy sami prosili o zamustrowanie na jego statek, oraz takich, którzy na dźwięk jego nazwiska zaczynali niemal płakać i błagali, by ich do niego nie wysyłano. Dzięki temu coraz rzadziej zdarzało mu się odprawiać niedorobionych pizdusiów do domku, w ramiona matek i żon, które musiały żyć z takim nie wiadomo czym. Nie mógł tego czegoś nazywać mężczyzną. Wolał określenie „baba” albo „pedał” i tymi właśnie słowami najczęściej

dyscyplinował załogę.

Nie uważał się za kogoś wyjątkowego. Wręcz przeciwnie, miał się za zupełnie przeciętnego faceta i dlatego wymagał od innych tego, czego wymagał od siebie. To w końcu normalne – jeśli jest się mężczyzną, a nie babą albo pedałem – żeby pokonywać przeciwności, kontrolować uczucia, panować nad emocjami, nie okazywać słabości, być silnym i odpowiedzialnym, twardo stąpać po ziemi, nie prosić o pomoc, nie obnosić się ze zmartwieniami, polegać głównie na sobie, przewycięzać swoje ograniczenia, być zdyscyplinowanym...

– Panie kapitanie, minęła dwunasta. Obiad. – Drugi oficer należał do marynarzy, którym pasował narzucany przez Sławka styl pracy, więc pływali razem już od kilku lat. Dzięki temu wiedział, że kapitan nie lubi zbędnego gadania i najlepiej mówić do niego jak najkrótszymi zdaniami.

– Pilnujesz zegarka, żeby się mnie pozbyć z mostku?

– Nie. Minęła dwunasta. Nanoszę pozycję na mapy.

– To nanieś, a potem idź na obiad. I wypij spokojnie kawę. – Sławek nie odrywał oczu od horyzontu. – Zastąpię cię. Wróc za dwie godziny.

– A pan? Nie będzie pan jadł?

– Powiedz stewardowi, żeby przyniósł mi obiad. Zjem tutaj.

– Dobrze.

– Co dzisiaj dają?

– Barszcz z uszkami i cordon bleu z czym kto woli. Znowu wrócę do domu spasiony.

Żona powtarza, że powinienem przestać z panem pływać.

– Dlaczego?

– Bo jak inni mężowie wracają z morza, to są tak zabiedzeni, że kobity muszą ich doprowadzać do normalnego stanu, a kiedy ja wracam, to żona musi mnie odchudzać. Mówi, że czuje się przez pana jakaś inna i niepotrzebna. A teściowa kiedyś nawet powiedziała, że... Nieważne, mniejsza o to... – Drugi oficer przerwał i pochylił się nad mapami. Rozgadał się jak baba.

– W takim razie niech steward przyniesie mi tylko drugie danie. Z frytkami i jakąś surówką.

– Tak jest. Przekażę.

Pół godziny później Sławek odstawił talerz na obudowę radaru i znowu zaczął wpatrywać się w kojący widok. Przymknął oczy. Czuł, że nie powinien się relaksować, tylko mobilizować do kolejnego wyzwania. Być może jednego z trudniejszych w życiu. Za kilka dni czekał go powrót do domu i był pewien, że w niczym nie będzie on przypominał poprzednich.

Wiktoria... Szlag go trafił, kiedy Mela powiedziała, że wprowadziła się do nich jej młodsza siostra. Na powtarzane wielokrotnie pytanie, co szwagierka zamierza teraz ze sobą zrobić, nie dostał ani jednej konkretnej odpowiedzi. Był zły, że w Szczecinie coś dzieje się bez jego wiedzy i poza jego kontrolą. Nienawidził takich sytuacji.

Rodzina stanowiła dla Sławka świętość, chociaż zwlekał z jej założeniem i nie wiadomo, ile jeszcze by to trwało, gdyby Amelia nie zaszła w ciążę. Czy ją wtedy kochał? Tak. Chociaż na pewno nie było to uczucie rodem z romansidła czy opery mydlanej. Motyle w brzuchu? Bezsenność? Umieranie z tęsknoty? Nieustanne myślenie o ukochanej? Komplementy

i zapewnienia o miłości? Spacerowanie za rączkę i wzdychanie przy księżycu? Nie. Nigdy! Tego typu zachowania wydawały mu się śmieszne, a niekontrolowane wybuchy uczuć uwłaczałyby według niego zdrowemu na ciele i umyśle facetowi. Uważał, że delikatność, czułość i ciepłe gesty są dobre, ale tylko dla kobiet. I dla pedałów! U mężczyzn brzydziło go wszystko, co wykraczało poza uścisk dłoni. No... w szczególnych sytuacjach dopuszczał jeszcze klepanie po ramieniu.

Kochał Melę tak, jak normalny mężczyzna powinien kochać kobietę. Ożenił się z nią i od ponad dwudziestu lat otaczał opieką. Nigdy jej nie zdradził, bo uważał niewierność za przejaw słabości, która budziła w nim wstręt. Był odpowiedzialny, stanowczy i zawsze uczciwy. Czuł dumę, że zapewnia dzieciom i żonie byt. Lubił swoją robotę. Z jednej strony pozwalała zaspokoić wszystkie potrzeby rodziny, a z drugiej – dawała dużo satysfakcji. Nigdy nie ukrywał, że władza działa na niego motywująco, a dążenie do niej było jego zdaniem naturalnym popędem każdego mężczyzny. Nikt przecież nie szanuje faceta, który podporządkowuje się innym.

Ciężka praca utrudniała zaangażowanie się w opiekę nad dziećmi, ale nie znaczyło to, że je zaniedbywał. Wręcz przeciwnie, po powrocie na ląd poświęcał im wiele czasu, starając się nadrobić zaległości wychowawcze oraz naprawić to, co w międzyczasie umknęło uwadze zbyt czulej i wyrozumiałej Amelii. Ale nawet jeśli miał do niej o to pretensje, starał się ich głośno nie wypowiadać. Był zdania, że w każdej normalnej rodzinie matka jest od okazywania czułości, a ojciec powinien być stanowczym wychowawcą o niepodważalnym autorytecie. Nigdy nie pochwalał partnerskich stosunków rodzinnych, czy to na linii mąż–żona, czy rodzic–dziecko. Uważał, że tam, gdzie jest partnerstwo, tam jest tylko jeden wielki bajzel: nikt nie wie, gdzie jego miejsce i co powinien robić. Wychowując Mirka i Emilkę, stanowczo egzekwował posłuszeństwo, narzucał swoje zdanie oraz jasno precyzował zakazy i nakazy. Nie miał wątpliwości, iż dyscyplina daje dziecku poczucie bezpieczeństwa: uświadamia mu, że jest kochane, że ktoś troszczy się i stara, by wyrosło na porządnego człowieka. Wpajał im od lat – szczególnie Mirkowi, jako chłopcu – że na szacunek zasługują wyłącznie ludzie twardzi, niezależni, samodzielni i ambitni.

W stosunku do córki bywał mniej wymagający. Liczył na to, że dziewczynka stanie się kiedyś kobietą podobną do Amelii, która była wzorową żoną i dobrze radziła sobie z prowadzeniem domu pod jego nieobecność. Umiał to docenić. Chętnie spełniał wszystkie jej zachcianki i na każdym kroku okazywał należyty szacunek. Najbardziej lubił w niej życiową mądrość i słodką kobiecą uległość: nigdy nie próbowała zakładać spodni, uzgadniała z nim nawet najdrobniejsze decyzje i konsultowała każdy domowy problem, wiedząc, do kogo należy ostatnie słowo. Bardzo rozsądnie, bowiem Sławek w przeciwieństwie do żony reagował wyłącznie rozumowo. Dlatego jego rady zawsze okazywały się zbawienne. Za każdym razem ona była wdzięczna, a on zadowolony: pomagał wszak zachować równowagę bezradnej kobiecie, która z natury działa często w sposób impulsywny lub wręcz irracjonalny.

Wszystko wyglądało tak, jak powinno. Mela była naturalnym opiekunem dzieci, on był naturalnym opiekunem Meli; kierował jej poczynaniami, a ona zajmowała się domem. Czuł ogromną satysfakcję, że funkcjonuje to równie sprawnie jak urządzenia na jego masowcu. Wprawdzie coś gdzieś czasami zazgrzytało, coś poszło nie po jego myśli, coś się nie udało, ale w końcu nie ma ani urządzeń, ani bytów idealnych – racjonalny Sławek zdawał sobie z tego sprawę.

Żałował na przykład, że nie okazał się bardziej wymagający w stosunku do Emilki, bo nie trzeba było długo czekać na efekty niepotrzebnej pobłażliwości. Syn, ambitny młody wilczek, napawał go dumą, natomiast córka zdawała się snuć po świecie bez celu i pomysłu na przyszłość.

Pocieszał się, że Emilka dysponuje jednak jakimś kapitałem: była bardzo ładna i zgrabna, a to daje każdej kobiecie nadzieję na właściwe ułożenie sobie życia. Najważniejsze, że Mirek nie wyrósł na rozkapryszoną niezdare, która będzie wiecznie potrzebowała czyjejś pomocy.

O ile zdarzały mu się czasami drobne utarczki z dziećmi, szczególnie z córką, to z żoną miał relację prawie idealną. Kiedy się ostatnio kłócili? Musiał porządnie wyteńczyć pamięć...

Siedem lat temu, w jego czterdzieste urodziny. Z winy Amelii, która, zapewne pod wpływem ogłupiających telenowel, postanowiła urządzić mu przyjęcie niespodziankę. Zaczęło się od telefonu Kamila. Zadzwoił, błagając o dostarczenie zapasowych kluczyków. Jęczał, że stoi pod Castoramą na drugim końcu miasta i bezskutecznie próbuje otworzyć samochód, a żaden z bliższych znajomych nie może mu pomóc. Sławek rzucił wszystko i dwa razy przejechał Szczecin w tę i z powrotem: najpierw musiał wpaść do Anki po kluczyki, a potem zawieźć je Kamilowi, który nie wiadomo czemu wybrał się do Castoramy na drugim brzegu Odry. Przez te odległości Sławek wrócił do domu niemal po godzinie. Wszedł do wiatrołapu, zdjął buty, wszedł do przedpokoju, zdjął kurtkę, nacisnął klamkę drzwi prowadzących do salonu...

– Niespodzianka!!!

Chyba ze trzydzieści osób rzuciło się do składania mu życzeń. Większości z nich nie widział od kilku miesięcy, a niektórych nawet od lat. Robił wszystko, by nie zorientowali się, jak bardzo jest wścickły, i dopiero kiedy nad ranem wyszedł ostatni gość, dał upust swojemu niezadowoleniu. Było mu trochę przykro, że doprowadził Amelię do łez.

– Dlaczego nie potrafisz się cieszyć jak każdy normalny człowiek? – chlipała, zbierając brudne talerze. – Czemu nie umiesz docenić... Tyle przygotowań... Te kluczyki... Specjalnie wybrałam Kamila, bo najdalej mieszka... I Castoramę na prawobrzeżu...

– Nie lubię niespodzianek. Powinnaś o tym wiedzieć. Lepiej by było, gdybyś mi powiedziała, że chcesz urządzić dla mnie wystawne urodziny. Zrobilibyśmy zakupy i przygotowali się jak ludzie.

– Czego ci zabrakło?! Nie zjemy tego jeszcze przez tydzień!!! – Mela, wciąż płacząc, wskazała na półmiski i salaterki. – Powiedziałam, żeby zamiast prezentu przynieśli coś do jedzenia, alkohol i popitkę, bo przecież nie mogłam nagle zacząć szykować żarcia dla armii ludzi. Nikt się nie spóźnił, żeby nie popsuć zabawy...

– Niepotrzebnie przynosili jedzenie. Stać mnie jeszcze na nakarmienie swoich gości.

– Boże! Daj mi siłę, żebym go nie przebiła widelcem!!! Oświeć go!!!

Sławek już dawno przyzwyczał się, że żona ucina sobie czasami pogawędki z Najwyższym, i nigdy jej w tym nie przeszkadzał. Całkowicie zgadzał się z morską prawdą, iż kapitan jest pierwszy po Bogu. Szanował hierarchię, więc nigdy się przed Niego nie wpychał i pokornie ustępował Mu pola. Poza tym było mu to na rękę. Niech sobie Amelia pogada, niech się wykrzyczy...

Jako mężczyzna musiał się kontrolować również w sytuacjach konfliktowych. Pod żadnym pozorem nie mógł dopuścić, by poniosły go emocje. Wiedział, że należy przeczekać atak kobiecej słabości i dać Meli czas, żeby się uspokoiła. Nie odzywał się. Nie wychodził z salonu, chociaż histerycznie tego żądała. W końcu wypaliła się niczym hałaśliwy, acz krótki fajerwerk i zdołał jej wytłumaczyć swój punkt widzenia. Była mądrą żoną. Zrozumiała. Od tamtego nieszczęsnego wieczoru nie pokłócili ani razu. Od siedmiu lat nie zafundowała mu żadnej niespodzianki i żyli szczęśliwie, w błogostanie bliskim ideału.

Do teraz. Do czasu, kiedy bez pytania sprowadziła do ich domu Wiktorię. Z dwojga złego

wolałby chyba ponownie przyjąć trzydziestkę niespodziewanych gości... Nigdy nie przepadał za szwagierką, która różniła się od jego żony jak dzień od nocy. Była krnąbrna, pyskata i harda. Kiedy Amelia zaczęła podejrzewać, że jej siostra jest regularnie bita, Sławek uznał to za dość prawdopodobne i nawet się specjalnie nie dziwił. Nie wierzył jednak, aby Wiktoria była bezwolną ofiarą przemocy. Dużo bardziej wyglądała na jej sprawczynię – na pewno prowokowała faceta i też go nieźle tłukła. Trafiła kosa na kamień i tyle! Było mu wszystko jedno, kto kogo bije, i najchętniej w ogóle nie zawracałby sobie głowy losem szwagierki. A jednak przez te wszystkie lata często o niej myślał... Musiał liczyć się z tym, że smarkata ma go w garści: była prawowitą właścicielką połowy domu, w którym jemu łaskawie pozwolono się zameldować. Miotał się z tą świadomością jak tygrys w klatce, a poczucie bezsilności coraz bardziej go rozstrajało.

Poniemiecka willa wymagała niekończących się napraw i remontów. Odkąd zamieszkał w niej z Melą i jej rodzicami, zaczął pakować pieniądze zarówno w nich, jak i w dom, który dawno by się już rozleciał, gdyby Sławek nie finansował kolejnych inwestycji. Oprócz drobnych były też duże przedsięwzięcia: adaptacja strychu połączona z wymianą całej więźby i pokrycia dachu; rozkopywanie fundamentów, które trzeba było osuszać, bo grzyb atakował kolejne ściany; wymiana okien i drzwi; budowa tarasu; założenie systemu nawadniającego w ogrodzie; wymiana instalacji elektrycznej i ogrzewania... Sam nie pamiętał, co jeszcze, ale był pewien, że można to liczyć w setkach tysięcy złotych.

Gdyby w porę przejrzał grę teścia, nigdy by się na to nie zdecydował. Przecież za utopione w tej starej ruderze pieniądze mogliby z Melą już dawno zbudować własny dom. Niestety. Kiedy się zorientował, w jak cwana pułapkę został złapany przez, wydawałoby się, poczciwego i dobrodusznego pana Bernarda, było już za późno. Dom został obciążony gigantycznymi kredytami, które Sławek zaciągnął, by przywrócić mu świetność i polepszyć rodzinie warunki życia...

– No to sobie polepszyłem! – powiedział sam do siebie. Z niechęcią spojrzął na brudny talerz wciąż stojący na obudowie radaru. Westchnął kilka razy i poszedł do telefonu.

– Kuchnia, słucham.

– Jeśli chcecie, żeby gary zostawały na mostku, to je umyćcie i pomalujcie w kaszubskie albo łowickie wzory! Urządzę wystawę ludową i będę na nią ludzi w każdym porcie zapraszał!

– Mam powiedzieć stewardowi, żeby poszedł na górę?

– Nie, kurwa! Ja powiem talerzowi, żeby poszedł na dół!!! – Rzucił słuchawką.

Wrócił na swoje miejsce, po drodze skontrolował ustawienia autopilota i obraz na radarze. Siedział tyłem do drzwi, więc nie zauważył stewarda. Zielony z przerażenia chłopak starał się poruszać bezszelestnie, ale nie docenił wyostrzonych zmysłów kapitana, który nie odwracając nawet głowy, zapytał:

– Następnym razem pisemne zaproszenie mam ci wysłać?

– Przepraszam. Już zabieram. Przynieść coś jeszcze? Może ciasto? Albo kawę?

– Jest u was mój drugi?

– Jest. Siedzi w mesie i rozmawia z elektrycznym. Ma przyjść?

– Nie. Powiedz mu, że wezmę za niego wachtę do końca. Niech tu w ogóle nie przychodzi.

– Dobrze, panie kapitanie. Powiem.

Drzwi zamknęły się tak cicho, że musiał się obejrzeć, by sprawdzić, czy znowu jest sam. Był. Był sam na sam z czarnymi myślami i po raz pierwszy szykował się do powrotu na ląd jak do wyprawy wojennej.

Już fakt, że Wiktoria zamieszkała w ich domu, budził w Sławku niechęć, a przeczuwał, że na tym nie koniec kłopotów. Wszystko wskazywało na to, że szwagierka postanowiła wykorzystać jego kilkumiesięczną nieobecność i rozpanoszyła się na dobre, burząc porządek, który on zaprowadzał latami. Zapewne wcześniej dobrze sobie obmyśliła, jak to rozegrać, i teraz powolutku, ale skutecznie realizowała swój plan. Wredna kudłata wiedźma!

Rozmawiając z dziećmi i z żoną, mógł się przekonać, jak bardzo jest sprytna: w miarę upływu czasu przestał ich poznawać. Amelia stała murem za siostrą i zdawała się go w ogóle nie słuchać. Zapewne po każdej rozmowie z mężem szła do Wiktorii i wałkowały godzinami wszystko, co powiedział. Zawsze była bezwolna i miękka, łatwo było nią manipulować, więc domyślał się, dlaczego miała coraz mniej czasu, by pogadać z nim na Skypie. Zasłaniała się historyjkami o podupadających na zdrowiu rodzicach, którym musi poświęcać niemal cały swój czas. Początkowo jej wierzył, ale coś go tknęło i postanowił zadzwonić do teściów. Zapewnili, że czują się świetnie, chociaż teściowa nie oszczędziła mu opowieści o lekarzach, u których ostatnio była, i przeczytała mu wszystkie opisy USG. Nic z tego nie zrozumiał, poza tym, że Mela go okłamuje. Nie opiekowała się rodzicami i nie wozila ich po przychodniach. Wręcz przeciwnie. Teściowa skarżyła się, że starsza córka trochę ich ostatnio zaniedbuje, ale rozumieją, bo Emilka ma maturę, więc Mela ciągle z nią nad lekcjami siedzi. A do tego musi czasami zawieźć Mirkowi do Warszawy jakieś jedzenie i zobaczyć, czy chłopak sobie w stolicy radzi... Zanim Sławek ochłonął, usłyszał peany na cześć Wiktorii, która dba teraz o rodziców jeszcze lepiej niż kiedyś Mela. Chwilę później odezwała się do niego Emilka. Wciąż mówiła o cioci Wice, więc rozłączył się szybko, wyjaśniając, że za chwilę czekają go skomplikowane manewry w Kanale Panamskim. Kroplą, która przelała czarę goryczy, okazał się Mirek. Wprawdzie słowem nie wspominał o Wiktorii, ale też był jakiś dziwny. Twierdził, że jest w Warszawie, ale przyciśnięty do muru nie potrafił odpowiedzieć na żadne pytanie.

Sławek czuł, że traci kontrolę nad rodziną. Zrezygnował jednak z wyjaśniania czegokolwiek przez telefon czy Internet. Udawał spokój i kompletny brak zainteresowania, zwłaszcza jeśli chodziło o Wiktorię. Postanowił uzbroić się w cierpliwość i zaatakować dopiero po powrocie. Nie było to łatwe, więc – chociaż silnik pracował bez zarzutu – przez kilka nocy nie spał zbyt dobrze. „Ty mała źmijo!” – myślał, przewracając się z boku na bok w koi. „Przypelzłaś i niszczysz wszystko, co się da. Mało ci, że odcinasz Amelię ode mnie, to jeszcze udajesz kochającą córkę i ciocię?! Masz świadomość, że kiedyś wrócę i cię dopadnę?!”

Po pierwszym zamroczeniu odzyskał jednak stopniowo kontrolę nad emocjami. Nie minął tydzień, a był już zupełnie spokojny. Z przeprowadzonych na chłodno kalkulacji wynikało, że należy się cieszyć: los podsuwa okazję, by rozwiązać kilka problemów, a Wiktoria sama pcha się pod nóż...

– Panie kapitanie. Minęły dwie godziny. Wprawdzie steward przekazał, że mam nie przychodzić...

– To po co przychodzisz?

– Mógł coś pokręcić. Wolałem się upewnić. – Drugi oficer stał wyprężony.

– Tym razem nic nie pokręcił.

– Ale gdybym był do czegoś potrzebny...

– To cię znajdę. Idź.

Kiedy za drugim oficerem zamknęły się drzwi, Sławek wstał z fotela i powolnym krokiem wyszedł na skrzydło. Wystawił twarz do orzeźwiającego wiatru. Rozpiął kilka guzików w koszuli, rozkoszując się podmuchami ciepłego równikowego powietrza. W Szczecinie pewnie deszcz, szaruga i pierwsze przymrozki... Dłuższą chwilę obserwował idealną tafłę morza, prujący ją dziób masowca i uwijających się na pokładzie marynarzy. Uśmiechnął się do tego widoku i do swoich myśli. Wprawdzie po raz pierwszy szykował się do powrotu na ląd jak do wyprawy wojennej, nie czuł jednak strachu. Był pewien zwycięstwa. To prawda: kiedyś, młody leszcz, dał się złapać teściowi w pułapkę, dzięki czemu Wiktoria ma teraz złudzenie, że pociąga w tej grze za sznurki. Ale jeszcze się zdziwią! Zapewne nie zdają sobie sprawy, że już dawno ich przejrzał i wszystko przewidział. Nigdy nie wątpił, iż któregoś dnia szwagierka wyląduje mu na głowie, więc latami przygotowywał się na to, co właśnie nastąpiło.

– Nie opierdalać się!!! – krzyknął do dzieciaków. – Przed kolacją cała farba ma być zbita!

– Tak jest, panie kapitanie! – odkrzyknął bosman w imieniu mężczyzn tłukących młotkami w metal.

– No! I tak ma być! – Sławek zszedł ze skrzydła, poprawił parametry autopilota i rozsiadł się wygodnie w fotelu. – I tak będzie!

ROZDZIAŁ 23

– Przeleć to okno jeszcze raz suchą szmatką. Zostawiłaś straszne smugi. – Mela wskazała córce miejsce, ale mimo najszczerzej chęci Emilka nie była w stanie nic dojrzeć.

– Gdzie? Nic nie widzę! Może bielma dostajesz, a zwalasz na mnie i na szybę?

– Schyl się i spójrz pod światło. Tam z lewej strony, tuż przy górnej ramie...

– Ja pierdzielę! Kto przyjeżdża do tego domu? Mój ojciec czy patrol wykrywaczy smug?

– Widzisz jakąś różnicę między jednym i drugim? – zapytał niezbyt wyraźnie Mirek. – Bo ja nie! – W zębach trzymał gwoździe, w ręku młotek. Od pół godziny próbował zawiesić na ścianie niewielką rycinę znanego szczecińskiego malarza, którą Amelia dostała od artysty w podziękowaniu za pomoc przy sprzedaży kłopotliwej nieruchomości. Obrazek leżał przez kilka tygodni w kącie, ale teraz nawet o nim sobie przypominano.

– Po co to przybijasz?

– Bo inaczej spadnie. Słyszałaś kiedyś o grawitacji?

– Słyszałam. – Emilka weszła na taboret, żeby rozprawić się ze smugami. – Jakbyś chciał wiedzieć, to wczoraj dostałam cztery plus z fizyki. Najlepsza ocena w klasie! A klasówka akurat była z ciężenia...

– Najlepiej w klasie wiedziałaś, jak się przed nim zabezpieczyć? Pisałaś o tabletkach czy kalendarzyku?

– Debil!

– Uczona!

– Wiecie co? Powinniście w radiu występować. Wszyscy powinni mieć szansę was posłuchać. – Wiktoria myślała ogromne poczwórne tarasowe drzwi i coraz bardziej wątpiła w to, że odpowiednio wykona powierzone jej zadanie. Sto razy sprawdzała efekt i sto razy znajdowała na szkle jakieś niepożądane ślady. Wiedziała, że okna muszą wyglądać tak, jakby nie było w nich szyb. Dopiero wtedy Mela pozwoliła jej się zająć czymś innym. – Może urządzą na antenie jakiś konkurs na wyzwiska? Ludzie będą wysyłać SMS-y... – Poruszając skrzydłem drzwi i lustrując je badawczo z różnych perspektyw, Wika przemawiała tonem spikera: – Jeśli uważasz, że lepsza w pluciu jadem jest Emilka, wyślij SMS o treści „E” na numer jeden dwa trzy cztery. Jeżeli natomiast bardziej zauroczyły cię wyzwiska wymyślane przez Mirka, wyślij SMS o treści „M” na numer pięć sześć siedem osiem. Zachęcamy i przypominamy, że na każdego, kto weźmie udział w naszym głosowaniu, czekają cenne nagrody: rejs dookoła świata, najnowszy model Porsche oraz główna wygrana, czyli samoczyszczące się okna!!!

– Przepraszam bardzo. Ja jej nie wyzywałem. Powiedziałem „uczona”. To chyba nie jest wyzwisko, prawda? – Chłopak zaklął pod nosem, bo kolejny gwóźdź wylądował na podłodze.

– Jestem dumny z mojej siostry i nie wątpię, że jeśli wczoraj dostała czwórkę z fizyki, to jutro będzie wyginać wzrokiem łyżeczki.

– Zatkaj się, lapsie skończony! Jakbyś chciał wiedzieć, to mam zamiar zdawać maturę z fizyki. Przedwczoraj kupiłam książkę...

– Ho, ho, ho! – Nie dał jej dokończyć. – Emalia kupiła książkę!!! A nie mówiłem, że niedługo zaczniesz wyginać łyżeczki? – Pokiwał głową, a potem zainteresował się uprzejmie:

– I co z tą książką, siostrzyczko? Pokolorowałaś już całą?

– Goń się!

– Możecie przestać? Zaraz poleję was wodą z mojego wiadra! – Wiktoria odkryła

na szybie trzymilimetrową plamkę, chuchnęła na nią i potarła kawałkiem ręcznika papierowego. – I nie wściekaj się tak, mała. Byłoby fajnie, gdybyś nauczyła się wyginać wzrokiem łyżeczki. Mogłabyś wyprostować gwoździe, które zniszczył twój brat... – Z satysfakcją oglądała nieskazitelnie czyste okno. – Wiesz co, Mirek? Byłam pewna, że mama prosiła cię o powieszenie obrazka, ale kiedy patrzę, co wyprawiasz, to mam wrażenie, że kazała ci zdewastować kawał ściany i powyginać wszystkie gwoździe, jakie są w tym domu.

– Przepraszam bardzo! Moja wina, że w to cholerstwo nic nie chce wejść?! Same sobie spróbujcie, jeśli jesteście takie mądre! – Miał ochotę rzucić w którąś z nich młotkiem, ale wybrał mniej drastyczną zemstę. – Jak ja nienawidzę tych powitalnych szopek... – Ściszył głos, spoglądając w kierunku kuchni, gdzie Mela szykowała ulubione potrawy Sławka i skąd co chwila przybiegała sprawdzić, jak sobie radzą. – Na szczęście biorę w tym udział po raz ostatni. Wam mogę tylko współczuć.

– Nie bądź taki miłosierny. – Emilka zeskoczyła z taboretu, a zaraz potem skrzywiła się boleśnie. – No zajebicie! Właśnie wbiłam sobie kość udową w śledzionę! – Masując nadwerżone biodro, spojrzała ironicznie na brata. – A czemu po raz ostatni? Myślisz, że nie wypuszczą cię z Warszawy i będą pokazywać w planetarium jako największą gwiazdę Centrum Nauki „Kopernik”?

Milczał tak długo, że siostra i ciotka przerwały pracę. Przyglądały mu się badawczo, jakby był jednym z okien, które przed chwilą myły.

– A ty co? Przybiłeś sobie język do zębów i nigdy się już nie odezwiesz? Ech! Co ja gadam? – Emilka puknęła się w czoło. – Młotek młotka nigdy nie pokona! Na co ja liczę? Kiedy ja wyrosnę z marzeń? Ale, jak to mówią, nadzieja w narodzie nie umiera ostatnia czy jakoś tak...

Nie zareagował. Nic nie powiedział, nawet nie wzruszył ramionami, więc spojrzwały po sobie zdeorientowane i zaniepokojone. Nie rozumiały tego przedłużającego się milczenia i nagłego otępienia Mirka, ale jedno wydawało się jasne: przyczyna tego dziwnego zachowania musiała być poważna. Wyglądał na... Wystraszonego? Zdesperowanego?

– Co się stało? – W głosie Emilki próżno było szukać śladu po niedawnej złośliwości. Zabrakło w nim nawet tradycyjnej nutki nonszalanckiego zblazowania. – Dlaczego powiedziałeś, że ostatni raz bierzesz udział w tej szopce?

– Zamierzasz zostać na dłużej w Warszawie? Rok? Dwa? – zapytała Wiktoria, a siostrzeniec gwałtownie się zaczerwienił. – Chcesz przenieść się tam na stałe, tak?

– No odezwij się wreszcie! Zawiesiłeś się czy co? Mam cię palnąć tym młotkiem w łeb, żebyś się zresetował?!

Groźba zadziałała. Mirek parsknął śmiechem i spojrzał na siostrę, kręcąc głową ni to z bezsilnością, ni to z podziwem.

– Nie wierzę, że to mówię, ale naprawdę będzie mi ciebie brakowało. Fajnie było z tobą mieszkać. Nie nabijam się teraz. Serio...

Emilka, zupełnie nieprzygotowana na takie wyznanie, wgapiała się w brata z nabożnym lękiem.

– W czym problem? – Wika była nie mniej spłoszona. Próbowwała pojąć, o co chodzi jej siostrzeńcowi, więc powtórzyła najbardziej prawdopodobną hipotezę, jaka przyszła jej na myśl:

– Zamierzasz się przenieść do Warszawy na stałe?

– Nie. Niczego podobnego nie planuję. Wręcz przeciwnie – powiedział, sprawdzając palcami końcówki gwoździ. – Zostaję w Szczecinie.

Z ust Emilki wyrwało się pełne ulgi westchnienie.

– Dżizas! Myślałam, że Bóg wie co ogłosisz, a ty po prostu zostajesz w Szczecinie. No trudno! – Postanowiła jak najszybciej zamaskować chwilę słabości. – Zostajesz to zostajesz.

Chociaż z drugiej strony szkoda. Miało być tak pięknie...

– Spoko. Będzie pięknie i będziesz mnie miała z głowy już na zawsze. Za kilka dni się wyprowadzam. – Po raz kolejny uśmiechnął się do siostry. – Ale obiecuję, że przynajmniej raz w tygodniu zadzwonię, żebyśmy nie wyszli z wprawy... I żeby nie stracił kontaktu ze współczesną polszczyzną.

– Dokąd ty się wyprowadzasz? I kiedy?!

– Ciszej! – Obejrzał się na drzwi. – Błagam, o nic mnie na razie nie pytajcie. Niedługo się dowiecie.

– Słuchaj no, osłe uparty! Ona tylko groziła, ale ja naprawdę stuknę cię młotkiem w głowę, jeśli zaraz mi nie powiesz, co kombinujesz. Gdzie ty się chcesz wyprowadzić?!

– Wiktoria zastanawiała się, czy nie powinna pobiec do kuchni po Melę. Czy ma prawo ciągnąć tę rozmowę bez niej? Dylemat szybko rozwiązał się sam. Z wyrazu twarzy siostrzeńca jednoznacznie wynikało, że żadnej rozmowy nie będzie. Podał jej młotek.

– Proszę bardzo. Możesz mnie nawet nim zabić.

– Czekaj... – wtrąciła się Emilka. – Powiedz chociaż, czy to przeze mnie. Bo jeśli tak, to nie bądź plackiem i daj se na wstrzymanie. Tak tylko gadałam... Jak dla mnie, to możesz tu mieszkać, ile ci się podoba. Wszystko mi jedno... – Przygryzała usta z zakłopotania. – Poza tym chcę stąd prysnąć zaraz po maturze. Nie wiem, czy mi się uda, ale muszę przynajmniej spróbować.

– Próbuj. A dokąd chcesz wyjechać?

– Do Warszawy...

Rodzeństwo spojrzelo na siebie i zgodnie się roześmiało.

– Tylko nie myśl, że z tęsknoty za tobą wymyśliłam tę Warszawę. Albo że mi przykład jakiś dajesz. Chciałbyś! – Skinęła głową na narzędzie, które Mirek trzymał w ręku. – Wybij to sobie z głowy!

– Dobra, dobra. Zawsze wiedziałem, że nie możesz beze mnie żyć. Natomiast co do dawania przykładu, to faktycznie... – Przyłożył młotek do skroni i kilka razy delikatnie się nim puknął, a potem podszedł do siostry. – Dawaj tu łepetynę! Muszę ci wybić z głowy branie ze mnie przykładu. – Był znacznie mniej rozbawiony niż Emilka, ale starał się zachować pogodny ton. – Pchaj się do Warszawy. Jeśli nie ja, to przynajmniej ty spróbuj. Niech będzie jakaś równowaga w naszej niezrównoważonej rodzinie. Podobno nadzieja umiera ostatnia, a duch w narodzie nie ginie. Zapamiętaj sobie, że tak się prawidłowo mówi, cielaku! – Emilka prychnęła, zamiast się nadaśać. Mirek spowaźniał. – Wracając do wyprowadzki... To nie przez ciebie. Nie dodawaj sobie, okej?

– A przez kogo? I kiedy dokładnie się zawijasz?

– Nie wiem jeszcze. Poczekam na przyjazd ojca, bo nie chcę, żeby mama musiała świecić za mnie oczami. Sam mu wszystko powiem i sam się wytłumaczę. Będę prawdziwym, odważnym i silnym mężczyzną! – Zmienił głos, usiłując mówić jak najgłębszym barytonem.

– Każdy prawdziwy mężczyzna musi za siebie odpowiadać. I za miękkie baby też. Prawdziwy mężczyzna musi być odpowiedzialny i nie może się nikim zasłaniać. Miękkimi babami w szczególności, prawda?

– Prawda! Nie zapomnij, że masz być także niezależny – podpowiedziała mu usłużnie Emilka. – Niezależność najważniejsza.

– Oczywiście! – przytaknął Mirek. – Moja niezależność musi być jak błona dziewicza zakonnicy.

– Co ty planujesz?! – Wiktoria nie mogła dłużej milczeć, chociaż widok normalnie rozmawiającego rodzeństwa wart był każdej ceny. – Dlaczego ukrywasz to przed matką? Ty

wiesz, jak ona będzie się czuła? Czy wy naprawdę już dla nikogo nie macie litości?!

Sytuacja zdecydowanie ją przerastała. Sam fakt, że zamieszkała w tym domu, źle wpłynęło na Sławka. Na dodatek spadnie na niego nowina o karierze zawodowej Meli... Już tego było aż nadto. A tu jeszcze okazuje się, że Mirek ma zamiar zaskoczyć nie tylko ojca, ale całą rodzinę. Czym? Obawiała się, że nie będzie to nic przyjemnego. I nawet domyślała się co...

– Ciszej, ciociu. Nie tak głośno. – Chłopak chciał przymknąć drzwi, ale było już za późno. Matka niemal wyrosła za jego plecami. Zanim weszła do pokoju, Wiktoria zdążyła złapać błagalne spojrzenia siostrzeńców. Emilka nawet przysunęła się do niej, na wypadek gdyby trzeba było interweniować.

– No i jak wam idzie? Widzę, że robota w lesie, a wy sobie pogaduszki urządzaacie.

– Ojej! Mamo! Coś ci wybuchło?

Mela faktycznie wyglądała jak ofiara eksplozji. Jej fartuszek, potargane włosy i spocona twarz umazane były mąką, jajkami, mlekiem i przecierem pomidorowym.

– Nic mi nie wybuchło. Ale za to ja chyba zaraz wybuchnę... – Strzepnęła z policzków mąkę i przeszła wzdłuż okien, przyglądając im się dokładnie.

Wykorzystując tych kilka chwil, Mirek nie tylko ponownie spojrzął znacząco na Wiktorię, ale nawet złożył błagalnie ręce. Emilka poparła jego prośbę, najpierw dotykając palcem ust, a potem wzorem brata splatając dłonie jak do pacierza. Wika włączyła się w tę ukradkową pantomimę, pokazując, że wcale jej się to nie podoba i że jeszcze pożałują. Ostatecznie jednak, widząc ich nieme modlitwy, kiwnęła niechętnie głową. Postanowiła, że powie siostrze o wszystkim, dopiero kiedy dowie się czegoś więcej.

– No, no. Całkiem dobrze. – Mela zakończyła inspekcję i uśmiechnęła się do siostry szeroko. – Dzięki, kochana, za pomoc. Dajesz jakoś radę? Pewnie głowa cię rozboleła od tych ich klótni?

– Co...? Eee... Bez przesady... – Mimo szczerych chęci Wiktoria nie zdołała ukryć zmieszania.

Kłamanie nie należało do jej najmocniejszych stron. Potrafiłaby prześcignąć Emilkę i Mirka w złościwościach, umiała dokuczać, pyskować, złościć się, a nawet być bezczelna, jeśli sytuacja tego wymagała – ale kłamać? Nie. Tej sztuki niestety nigdy nie opanowała. Kiedy kilka razy w życiu usiadła do pokera, anegdota na ten temat powtarzano jeszcze długo potem. Wszyscy twierdzili, że z jej twarzy można czytać jak z odsłoniętych kart. I było w tym chyba sporo prawdy, bo ani razu nie wygrała... Jeśli zatem nie zdołała oszukać obcych ludzi przy karcianym stoliku, to jakim cudem miała wyprowadzić w pole rodzoną siostrę?!

– Co się stało? – Mela przestała się uśmiechać. – Coś ci powiedzieli? – Spojrzała z wyrzutem na syna i córkę. – Mało wam, że kłócicie się bez przerwy między sobą?! Jeszcze nad nami musicie się pastwić?! Zobaczycie, kiedyś trzaśniemy drzwiami i zostawimy was tutaj samych. I weźcie się wtedy za łby! Drzyjcie się! Wyzywajcie! Pozabijajcie się nawet! Proszę bardzo!!!

Zamiast przekrzykiwać się w odpowiedzi wzajemnymi oskarżeniami, rodzeństwo stało ze spuszczonego wzrokiem i pokornie milczało, co jeszcze bardziej zaniepokoiło Amelię.

– Czy ja się wreszcie dowiem, co wyście jej powiedzieli?!

– Nie denerwuj się. Nic mi nie powiedzieli. Ani się nie kłócili... Rozmawiali sobie... Normalnie...

– Oni?! Rozmawiali normalnie?! Co ty za bajki opowiadasz? Jak to „rozmawiali normalnie”? O czym niby?

– O... o... Rozmawiali o... – Ponieważ Emilka i Mirek nigdy nie rozmawiali, trudno było wymyślić temat na poczekaniu. – No gadali tak ogólnie... O... o... – Wiktoria rozpaczliwie szukała punktu zaczepienia. Szkoła? Nie. Dom? Nie. Muzyka? Nie. Film? Nie. Wspólne towarzystwo? Też nie. To co?! Psy? Koty? Prawo? Moda? Ekologia? Militaria? Podróże balonem? Polityka? Odjechane fluory? Motoryzacja? Znaczkę pocztową? Mela miała rację: tylko ich zabić! Płonąc ze wstydu pod zmartwionym spojrzeniem siostry, stwierdziła, że musi wyznać jej prawdę. – Dobra... Powiem wszystko... – Westchnęła ciężko. – Tuż przed tym, jak przyszłaś...

– Tuż przed tym, jak przyszłaś, okazało się, że ja dałam radę wbić sobie kość udową w śledzionę, a ten nolajf nie potrafił wbić w ścianę durnego gwoździa! – wypaliła Emilka, podnosząc hardo głowę i prychnąwszy pogardliwie. – Debil jeden!

– Przepraszam bardzo! Trzeba było nie mówić, że kupiłaś książkę. A przynajmniej poczekać z tą rewelacją, aż odłożę młotek. Dobrze, że tylko palec sobie przytrzasnąłem. – Skrucza Mirka również zniknęła bez śladu. Cedził słowa z przesadną uprzejmością, patrząc na siostrę jak na coś, co należy zgnieść butem.

– Nie zwalaj na mnie, dobra?! Kupiłam tylko jedną, a gwoździ tyle wykrzywiłeś i tyle zrobiłeś dziur w ścianie, jakbym kupiła całą księgarnię!

– Fantastyczny pomysł. Kup księgarnię. Będziesz wreszcie miała wystarczająco dużo półek na buty. I nawet mogłabyś zostawić oryginalne napisy. Na przykład SPORT albo EROTYKA, albo...

– Zamknij twarz albo sama ci ją przytkam! – Emilka zamachnęła się na niego rękami papierowymi. – Znalazł się wielki ulubieniec książek! Ciekawe, kiedy ostatnio jakąś kupiłeś?

– Nie mówi się „ulubieniec”, tylko „wielbiciel”, moja kochana siostrzyczko. – Złapał rolę, która szybując w powietrzu, rozwinęła się niczym ogon białego latawca. – Staraj się o tym pamiętać na maturze, bo jeśli napiszesz, że jesteś na przykład ulubienicą współczesnych dramatopisarzy, to znajdziesz się w kłopotliwej sytuacji. Proponuję, żebyś poprzestała jednak na byciu ich wielbicielką. To znacznie bezpieczniejsze...

– Milcz, jak do mnie mówisz!!!

– O! Jaki ładny oksymoron. Dasz radę zapamiętać to słowo? O-ksy-mo-ron – Mirek wyliczał na palcach. – Ma aż cztery sylaby, więc może jakoś na raty się nauczyć? W poniedziałek zapamiętasz „o”, we wtorek „ksy”, w środę „mo”, a w czwartek „ron”. I cały weekend masz wolny na bieganie po sklepach.

– Czy ty rozumiesz, kołku, że nie mam ochoty z tobą gadać?!

– Co za cudowny zbieg okoliczności...

– Mamo! Powiedz mu coś!

– Mamo! Powiedz jej cooooś... – Mirek przedrzeźniał rozżalony dziewczęcy głosik.

– Ona mi dokuczaaaa...

Amelia wyciągnęła z rąk syna ręczniki i z pasją zaczęła je zwijać.

– Chwała Bogu! Widzę, że wszystko w porządku – odsapnęła z ulgą. – Bo jak weszłam, to mieliście takie miny, jakby się coś stało... Przepraszam cię za nich. – Spojrzała na Wiktoria. – Myślałam, że tym razem nie poprzestali tylko na sobie... – Wręczyła córce rolę. – Obskocz teraz porządnie listwy przypodłogowe. Z boku i od góry.

– Może jeszcze zamienię się w Calineczkę i polecę wypastować szyby wentylacyjne?! Co to ja? Kot w wojsku?! Czemu mam te durne listwy czyścić papierem?!

– Bo jeśli ja wyczyszczę je odkurzaczem albo mopem, to pobrudzę ściany. – Słysząc

było, że Mela z trudem nad sobą panuje.

– Ściany? Jakie ściany?! Przecież ten kretyn za chwilę je zniszczy. Co do jednej! – Nie odpuszczała Emilka. – Dopóki on nie wbije obrazka, nie będę czyścić żadnych listew!

– Nie wbijam obrazka. Wbijam gwoździe, jeśli wolno zauważyć...

– Nie wbijas gwoździ. Psujesz je!

– Dostyc tego!!! – Amelia targała włosy. – Uspokójcie się, bo nie ręcę za siebie!!!

– Wzięła głęboki wdech i wypuściła powoli powietrze. – Przepraszam cię za nich – powtórzyła, patrząc na Wiktorię. – Rozumiem już, dlaczego masz taką minę.

– Ja...? Minę...? Nie... – Wika ledwo poruszała ustami. W głowie jej szumiało i bała się, że po raz pierwszy w życiu zemdleje z wrażenia jak bohaterka romantycznej powieści.

Na szczęście Mela znowu skupiła się na dzieciach.

– Córeńko, wyczyść listwy. Oprócz tej, przy której stoi twój brat – mówiła nienaturalnie uprzejmie. – A ty, synku, faktycznie mocno poharatałeś ścianę. Może weź jakieś mniejsze gwoździe? Powinny lepiej się wbijać. Zamiast na jednym dużym zawieszysz obrazek na kilku mniejszych.

– Dobrze. Na pewno sobie poradzę. Idź już, bo się nie wyrobisz i trzeba będzie powitać ojca zupą z torebki. – Mirek delikatnie popychał matkę w stronę drzwi, ale nie przestawała go instruować.

– Zawieś ten obrazek tak, żeby zasłonił te dziury. Trochę wyżej, niż chciałam, ale trudno. Też będzie ładnie.

– Dobrze. – Mirek uśmiechnął się do matki i ponownie wskazał jej wyjście. – A teraz idź do kuchni i nic się nie martw.

– Bo ja wiem, czy to dobry pomysł? – ociągała się Mela. Nie chciała zostawiać siostry w towarzystwie tej zdziczałej parki. Wika nie zasłużyła na podobne cierpienia... – Słuchaj, jeśli z nimi nie wytrzymujesz, to przenieś się do przedpokoju – zaproponowała, po raz kolejny cofając się od drzwi. – Szafę trzeba posprzątać i zrobić w niej trochę miejsca na kurtki Sławka. Przynajmniej będziesz miała spokój. A oni niech się tu kłócą do woli.

– Zaraz... Jeszcze tylko szybę w kominku wyczyszczę... – Wiktoria powoli dochodziła do siebie po widowisku, które te szalone dzieciaki urządziły przed chwilą na jej oczach.

„Dzieciaki?! Ładne mi dzieciaki!” – śmiała się w duchu. „Raczej mordercy o twarzach dzieci. Diabły wcielone i bezlitosne potwory!” Całkiem podobne do... do niej i Meli sprzed lat. Ileż razy knuły intrygi, obmyślały scenariusze i odgrywały scenki, żeby wodzić za nos niczego nieświadomych rodziców. Mirek z Emilką byli zdecydowanie gorsi czy raczej znacznie lepsi – potrafili się zgrać bez jednej wcześniejszej próby. No, no...

– Mamo, proszę, idź wreszcie do kuchni i nie zwracaj sobie nami głowy. Obiecuję, że cię zawołam, kiedy już zawieszę ten obrazek.

– Może lepiej zostanę? – Amelia wróciła na środek salonu niczym bumerang.

– Przypilnuję was przynajmniej...

– Zawołasz mamę, jak już zawieszysz obrazek? Posikam się! Coś mi się skojarzyło. Ja nie mogę!!! – pisnęła Emilka, która przed minutą usiadła na podłodze i potulnie zabrała się do czyszczenia durnych listew.

– Co w tym takiego zabawnego? – Brat zaszczycił ją niechętnym spojrzeniem. – I postaraj się jednak nie posikać, dobrze? Mało tu mamy sprzątanania?

Wiktoria była pewna, że wredne diabełta rozpoczynają drugi akt przedstawienia, żeby jak najszybciej pozbyć się matki. Ponieważ ochłonęła już po akcie pierwszym, mogła się im przyglądać z pełnym uznaniem. Co teraz zafundują jej biednej siostrze?

– Ko... kojarzycie *Psychozę Hitchcocka*? – Ciałem Emilki wciąż wstrząsały radosne

konwulsje, a z jej oczu strumieniami płynęły łzy. – Tam jest taki motyw, że facet trzyma w domu szkielet matki...

– I to tak cię bawi? Gratuluję.

– Daj dokończyć... Wyobraziłam sobie naszą kuchnię, a w niej zasuszony i zarośnięty pajęczynami szkielet. I wchodzi Mirek, zgarbiony, z długą siwą brodą, i mówi do tego szkieletu: „Mamo, udało mi się wreszcie zawiesić obrazek”. – Emilka położyła się na podłodze i ciężko oddychała, masując obolały od śmiechu brzuch. – Genialne!

– Mój zarośnięty pajęczynami szkielet jest zabawny? – Wzdrygnęła się Mela.

– Nie martw się. Swój szkielet też sobie wyobraziłam: siedzący przy listwie, ze szmatą zaplątaną w kości palców. A szkielet ojca z walizką na wycieracze...

– Mamo, idź wreszcie do kuchni. Sama słyszysz, że jej się pogarsza. Nawdychała się przy sprzątaniiu chemikaliów i ma dziwne wizje.

– Ty lepiej tyle nie gadaj, tylko bierz się do wieszania obrazka – kpiła Emilka, wciąż leżąc na podłodze. – Żarty żartami, ale mama naprawdę młoda nie jest. A na pewno chciałaby zobaczyć go na ścianie jeszcze za życia. Prawda, mamo?

Amelia popatrzyła ze zgrozą na córkę, a potem na Wiktorię, która z kolei wyglądała na szczerze rozbawioną.

– Łatwo ci się śmiać, bo o twoim szkielecie nie było ani słowa.

– Mój może być w szafie w przedpokoju, nie mam nic przeciwko temu. – Machnęła ręką Wika i zwróciła się do Mirka: – Nie zapomnij przyjść z tą długą siwą brodą również do szafy i mojemu szkieletowi też oznajmić, że wreszcie powiesiłeś obrazek.

– Mamo! Pójdiesz do tej kuchni czy nie? – cmoknął ze zniecierpliwieniem przyszły posiadacz długiej siwej brody.

– A co ty mnie tak bez przerwy wyganiaasz? – Mela przycupnęła na fotelu. – Może jak posłucham waszych głupich żartów, to dobrze mi to zrobi na skołatane nerwy?

– Nie wyganiaam cię. Martwię się tylko, czy zdążysz ze wszystkim. Chcesz, to sobie tu siedź, ile dusza zapagnie. Tylko się nie zamień w obrośnięty pajęczynami szkielet.

Wiktoria wciąż obserwowała rodzeństwo. Była niemal pewna, że schylając się po młotek, chłopak rzucił siostrze porozumiewawcze spojrzenie, a ona lekko mrugnęła. A może jej się tylko zdawało? Może tak bardzo zachwyciła się ich niespodziewanym porozumieniem, że upiększyła scenariusz tej okrutnej, ale uroczej gry?

– No i czego się tak na mnie gapiecie? – Po dokładnej analizie Mirek wybrał jeden z gwoździ i przyłożył go do zamaltretowanej ściany. – Nie macie nic innego do roboty?

– Odwrócił się do nich plecami i huknął młotkiem z siłą dużo większą niż dotychczas. Rezultat był podobny do poprzednich: gwoździe przybrał kształt litery „L” i spadł na podłogę, a w ścianie pojawiła się kolejna dziura. Zdecydowanie najefektowniejsza ze wszystkich.

– Jezus Maria! – Amelia aż podskoczyła w fotelu. – Czemu tak walisz?

– Jak się nie ma, co się lubi, to się wali, co się ma! – Emilka pogardliwie wzruszyła ramionami. – Ty lapsie! A może podpał dom i zacznij wszystko od początku? Chyba tak będzie prościej?

– Bierz się lepiej do swoich listew.

– Mamo! To niesprawiedliwe! Dlaczego ja muszę szorować te durne listwy, a on wbija gwoździe? Zamień nam prace. Niech on sprząta, a ja będę sobie stała i rozwalala ścianę.

– Córcia, uspokój się. Myj, myj...

– Ale mnie to nudzi. – Emilka nadąsała się po dziecięcemu i ostentacyjnie odłożyła szmatkę.

– Szkoda, że „nudzić się” nie pochodzi od „nudyzmu”, prawda? – Mirek uśmiechnął się

uprzejmie do siostry. – Wtedy ponudziłabyś się z przyjemnością, co?

– Szkoda, że twój młotek nie jest równie dobijający jak twoje teksty.

– Mamo, wyjaśnij mi, proszę, jakim cudem ona jest moją siostrą? Powiedz wreszcie prawdę. Które z nas adoptowaliście: ją czy mnie? – Syn stanął przed Melą w szerokim rozkroku.
– Niech się w końcu dowiem!

– Zwariowałaś? – Mela przeżegnała się trzy razy. – Oboje was urodziłam. W ciężkich bólach na dodatek.

– W takim razie – rozłożył bezradnie ręce – ona musi być jakąś dziką gałęzią w naszym drzewie genealogicznym.

– A ty czubkiem!

– Nie! Ja tego dłużej nie wytrzymam! – Amelia poderwała się z fotela i kręcąc głową, ruszyła do drzwi.

Po jej wyjściu cała trójka przez dłuższą chwilę milczała, wsłuchując się, jak Mela klnie i rzuca pokrywkami garnków.

– Dzięki za pomoc – przerwał ciszę Mirek, wyciągając do siostry dłoń. – Przybij piątkę! Byłaś niezła. Do szkoły teatralnej chcesz w tej Warszawie zdawać?

– Nie. Na dizajn. – Emilka klepnęła w jego rękę. – Dlatego muszę maturę z fizyki zdać. Wymagają przynajmniej podstawy. Bez sensu!

– Z sensem, siostra, z sensem. Wierz mi, dizajn ma dużo wspólnego z fizyką i matematyką.

– Wiktoria też tak mówi. Od trzech miesięcy funduje mi korki. Chodzę do jej kolegi, który uczy w tej samej szkole, co ona i... – Przerwała, bo uświadomiła sobie, że nie są z bratem w pokoju sami. Spojrzeli oboje na ciotkę.

– Dzięki, że nic nie powiedziałaś. – Mirek przez te wszystkie miesiące praktycznie z nią nie rozmawiał, więc trudno mu było przewidzieć, czy zechce być jego sojusznikiem.

– Nie dziękuj na wyrost, bo i tak jej powiem. Wybaczcie! – Złożyła ręce dokładnie tak jak oni przed kilkunastoma minutami. – Przyznam, że po tym, co tutaj przed chwilą urządziliście, znowu w was wierzę. Niezłe to było. Wasza matka i ja też tak pogrywałyśmy z rodzicami, więc za to akurat was rozgrzeszam. Ale nigdy się nie zgodzę na to, żebyś – wycelowała palcem w siostrzeńca – szykował na nią zasadzkę. Nawet jeśli mi nie powiesz, o co chodzi, to i tak ją uprzedzę i usłudnie doniosę o twojej rychłej wyprowadzce. Chyba że zlitujesz się nad matką i sam jej wyjaśnisz, co się dzieje. – Uśmiechnęła się, naśladując jego cyniczny grymas. – Czyli zachowasz się jak odpowiedzialny, twardy, odważny i silny mężczyzna.

– Nie ma takiej opcji! – Zimne, stanowcze spojrzenie, które Mirek odziedziczył po ojcu, przstraszyło Wiktorię. Bała się jutrzejszego spotkania ze szwagrem, a teraz poczuła się, jakby Sławek już był w domu i już na nią patrzył tymi swoimi obojętnymi, nieprzeniknionymi oczyma.
– Nie ma takiej opcji właśnie dlatego, że chcę być odpowiedzialnym, twardym, odważnym i silnym mężczyzną.

– Wiesz co? – Otrząsnęła się z nieprzyjemnych myśli. – Przed chwilą tłumaczyłaś swojej siostrze, co to jest oksymoron. Pamiętasz? O-ksy-mo-ron! Cztery sylaby, jak byleś łaskaw wyliczyć.

– Pamiętam. I co z tego?

– A wiesz, jaki jest najzabawniejszy oksymoron?

– No?

– „Męska rozmowa”. Pięć sylab. – Wiktoria zaczęła odginać palce: – Mę-ka roz-mo-wa.

Jeśli nauczysz się po jednej sylabie dziennie, to weekend będziesz miał wolny na przeprowadzkę!

– „Męska rozmowa” nie jest oksymoronem, ale związkiem frazeologicznym, jeśli mogę zauważyć...

– Nie możesz! I to nie jest żaden związek frazeologiczny, tylko szczyt życiowej i językowej głupoty! Zakompleksieni mężczyźni używają tego wyrażenia po to, żeby poprawić sobie samopoczucie!!!

– Dziękuję bardzo. – Siostrzeniec uklonił się jej uprzejmie. – To może podejmę kolejną próbę wbicia gwoździa w ścianę? Przynajmniej zrobi się zabawnie...

– O! I to jest właśnie kwintesencja męskiej rozmowy: ty, babo, gadaj, a ja, zamiast słuchać i mówić, powbijam gwoździe w ścianę. Proszę bardzo. Idź i wbijaj! – Machnęła ręką.

– Dżizas! Przestańcie się kłócić. Nawet nie wiem, jak się wtrącić, bo nie rozumiem połowy z tego, co mówicie. – Emilka patrzyła to na brata, to na ciotkę. – Tak już było fajnie, a tu znowu jazda po bandzie... Szkoda, że w tym domu nigdy nie może być normalnie...

Jej uwaga zrobiła dobrze zarówno Mirkowi, jak i Wiktorii. Popatrzyli na siebie nieco łaskawiej.

– No dobrze. Nie idę wbijać gwoździ i zamieniam się w słuch. Ale potem ty wysłuchasz mnie, okej? – Kiedy Wika przytaknęła, spytał zaczepnie: – To co z tą męską rozmową?

– W rzeczywistości męskie jest tylko milczenie i zabijanie gwoździami niechcianych tematów. – Skinęła w stronę młotka, chwilę wcześniej ostentacyjnie odłożonego przez Mirka na stół. – Nie wiem, co może być męskie, ale na pewno „rozmowa” to ostatni rzeczownik, który da się dopasować do przeciętnego jełopa. Chcesz być przeciętnym jełopem, który boi się porozmawiać z własną matką?

– Ciociu kochana! – Mirek wybuchł sztucznym śmiechem. – Ja nie mam pięciu lat, żebyś mnie pod włos brała i prowokowała takimi tekstami. Wybacz, ale to żalosne. Wolałbym podyskutować na wyższym poziomie. Na przykład o opozycji: oksymorony versus frazeologizmy, albo o źródłach frazeologizmów...

– Proszę bardzo. – Wiktoria kiwnęła ugodowo głową, chociaż miała nieprzepartą ochotę strzelić chłopaka w łeb tak mocno, żeby zgął się jak pokrzywione przez niego gwoździe.

– Pisząc o „męskiej rozmowie”, słowniki frazeologiczne bazują zapewne na prehistorycznym założeniu, że dialog wymaga męstwa. Dialog w dawnym rozumieniu: bicie się pięściami, na dzidy albo oszczepy, strzelanie do siebie nawzajem z kuszy... – Celowo mówiła nienaturalnie powoli, zachowując cyniczny spokój oraz naśladowując intonację, jaką zwykle posługiwał się Mirek. – Ale dzisiaj „męska rozmowa” to już tylko oksymoron, kochany siostrzeńcze. Ten szczebel cywilizacyjnego rozwoju ewidentnie was przerósł. Umiecie okazywać męstwo na wszelkie sposoby, byle nie mówić... I tak oto, od czasów, kiedy dzidy i oszczepy wyszły z użycia, „męska rozmowa” stała się nic niewartym pustym pojęciem...

– Działasz w jakimś ruchu feministycznym? – zdołał wtrącić Mirek.

– Absolutnie nie. Ale dobrze węszysz. – Widok nerwowo zaciśniętych szczęk chłopaka sprawił Wiktorii pewną satysfakcję. – Uważam, że to kobiety obaliły mit o męskiej rozmowie. Nie w głowie nam wyzywanie się na pojedynek i naporzanie pięściami. Chcemy rozmawiać. Ale, broń Boże, nie po męsku. Bo uwierz, to mało przyjemne dostać pięścią w twarz... – Zmieszała się. – To znaczy... niekoniecznie dosłownie... Niektóre słowa boją gorzej niż cios pięścią. Tak samo zresztą jak milczenie. Jedyne różnica polega na tym, że słowa i milczenie nie zostawiają siniaków... – Wika czuła, że musi zmienić temat, bo za chwilę się rozklei. – Czy dostatecznie się popisałam? Wystarczy ci już naukowych teorii o pochodzeniu związków frazeologicznych? Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Wystarczy i rozumiem. Rozumiem, że milczeniem biję własną matkę i jestem jełopem

– podsumował kpiąco.

– Jełopem na pewno. – Emilka poklepała go po ramieniu z protekcyjną dobroduszością. – A ja rozkminiłam z tego tyle, że Wika uważa, że powinieneś powiedzieć mamie prawdę, zanim przyjedzie ojciec. Ale ty nie chcesz tego zrobić, bo jesteś typowym zesranym w gacie facetem i nawet na minifloł nie ma z tobą szans. Dobrze skleiliśmy?

– Nie wiem... – jęknęła Wiktoria. Co najmniej tysiąc razy obiecywała sobie, że nie da się zaskoczyć językiem siostrzenicy, ale najwidoczniej nie doceniała jej możliwości. – Co to znaczy, że nie ma z nim szans na minifloł?

– Chętnie wyjaśnię – uprzedził siostrę Mirek. – To, oczywiście, z angielskiego. *Flow*, czyli mówić o czymś płynnie. Coś w stylu: „Super nam się gadało, mieliśmy megafloł”. Zgadza się?

– Dokładnie! A to ty znasz takie słowa?

– Znam, znam... Czy teraz wreszcie ja mogę coś powiedzieć? Wysłuchacie mnie równie cierpliwie?

– Dawaj!

– Ponieważ nawet na minifloł nie ma ze mną szans, będzie krótko. Co ci to da, ciociu szanowna, że polecisz za chwilę do mamy i wszystko jej powiesz?

– Koniec?! – Emilka parsknęła śmiechem. – Faktycznie nie masz flołu.

– Mam. Ale nie chce mi się dyskutować z bredniami. Przechodzę więc od razu do tego, co naprawdę istotne.

– Tyle mi to da, że twoja matka nie zostanie zaskoczona przez własnego syna. Przecież ty ją w pewnym sensie okłamujesz, oszukujesz... Nie tylko ją zresztą, ale na pewno ona najgorzej to odczuje. – Wiktoria pokręciła niechętnie głową. – Wiem, że słuchasz mnie teraz tylko z uprzejmości i uważasz, że plotę dyrdymały... Ale jak widzę taki klasyczny przykład męskiej rozmowy, to mnie po prostu szlag trafia!

– Mnie również trafia. Szczególnie kiedy dowiaduję się, co o mnie myślisz.

– W spojrzeniu chłopaka było dużo pretensji.

Nie mogła pozwolić sobie na wyrzuty sumienia, bo po drugiej stronie była Amelia. To dzięki niej Wika uwierzyła, że może uciec od Pawła. To ona otworzyła przed nią drzwi swojego domu, być może uratowała jej nawet życie... Jak mogłaby teraz cokolwiek przed nią ukrywać?! Coraz bardziej żałowała, że była w salonie, kiedy Mirek powiedział o swojej rychłej wypowiedzi. Nie mógł poczekać, aż ciocia pójdzie, i tylko Emilce zdradzić tę rewelację? Przypomniało jej się powiedzenie, jakiego w podobnych sytuacjach używała matka: „Sam pierdzi, a się dziwi, że śmierdzi”. No właśnie...

– Gdybym był taki, jak myślisz, to już dawno bym się stąd wyprowadził i nikim nie przejmował. A jednak, głównie ze względu na mamę, nie zrobiłem tego. Czekam do powrotu ojca i jutro wszystko powiem im obojgu. Więc nie zarzucaj mi, z łaski swojej, że jestem jełopem, który nie umie mówić. Odezwę się. Kiedy przyjdzie czas... – Wzruszył ramionami.

– Pozostańmy przy swoich racjach, dobrze? Ty sobie głoś poglądy o męskiej rozmowie, a ja obiecuję, że cię jako mężczyzna nie zawiodę. I chcę cię, ciociu, uprzedzić, że jeśli polecisz teraz do mamy, to wpędzisz ją w histerię i bezsenność. A ze mnie i tak nic dzisiaj nie wyciśniesz.

– Eee! Ty jednak masz floł! – Emilka znowu poklepała go po ramieniu, ale tym razem ze szczerym uznaniem. – A naszej kochanej cioteczce wybaczyć i postaraj się ją zrozumieć. Ona mało zna naszego tatę. Przez sto lat z nim nie gadała, a przez pięćdziesiąt była oderwana od rodziny.

– Rzeczywiście, masz rację. To wiele wyjaśnia. – Uśmiechnął się do siostry, a potem spojrział spode łba na Wiktorię. – Łatwo z boku doradzać, co?

Wobec stanowczej postawy siostrzeńca ogarnęła ją kompletna bezradność.

– Dlaczego tak się zawzięłeś? – Zdecydowała, że uwagę na temat swojej długiej nieobecności w rodzinie potraktuje po męsku, czyli przemilczy.

– Nie zawzięłem się! Czy ty słyszałaś, co ona przed chwilą powiedziała? – Wskazał ręką na Emilkę. – Sto lat cię nie było, a wydaje ci się, że wszystko wiesz. Ciocia Dobra Rada się znalazła!

– Przestań. Odczep się, placku! Też mało o niej wiesz. Ona jest superfajna.

Wiktoria spuściła głowę. W pierwszej chwili chciała powiedzieć Mirkowi, że właśnie ją uderzył, nie zostawiając siniaka, ale doskonale rozumiała, o co ma do niej pretensje i dlaczego jest na nią zły. Czuła się okropnie. Od tygodnia atmosfera wokół niej przypominała pęczniejący balon: napięcie rosło z każdym dniem, jakby gdzieś w pobliżu coraz głośniej cykał zegar bomby. Mela podkręcała sprężynę, całodobowo rwąc włosy z głowy. Wiktoria poddała się nerwowemu nastrojowi. Też zaczęła martwić się o przyszłość, a wręcz się jej bać. Miała swoje za uszami. Po pierwsze, wprowadziła się do siostry, nie pytając jej męża o zdanie. Po drugie, nie miała wątpliwości, co on o niej myśli. Zdawała sobie sprawę, dlaczego Mela nigdy nie rozmawiała ze Sławkiem przy niej... Po trzecie, namówiła Emilkę, żeby chociaż spróbowała zrealizować marzenia o studiach w Warszawie, przekonując, że ojciec ją w tym wesprze. A co, jeśli ten pomysł mu się nie spodoba? Wiktoria zapewniła siostrzenicę, że wtedy też jakoś dadzą radę. Ale jak mogłaby jej pomóc? Nie ma przecież pieniędzy, żeby zapłacić czesne, nie mówiąc o reszcie kosztów stołecznego życia. Emilka ślepo jej zaufała i podporządkowała temu celowi każdy swój dzień. Co będzie, jeśli Sławek ją wyśmieje? Po czwarte, jutro wieczorem na powitalną kolację mają przyjść rodzice. Była pewna, że matka jest na nią wściekła za to, że nie doceniła Bożydara i zamiast zawlec go do ołtarza, podziękowała mu raz na zawsze. Ojciec jako specjalista od męskich rozmów nic na ten temat nie mówił, ale matka nie omieszkała wspomnieć, że się na Wiktorii zawiodła, bo nigdy nie podejrzewała, że jest do tego stopnia małostkowa i egoistyczna.

– Moje dziecko! Jeśli kobieta tak poważnie wbiła się w lata jak ty, to powinna dziękować losowi za każdego mężczyznę, który jeszcze chce zwrócić na nią uwagę – wypaliła bez pardonu dzień po nieszczęsnym spotkaniu Wiktorii z panem doktorem. – Twój czas na wybieranie i grymaszenie już dawno minął! Perłę ci naraiłam. Ale jeśli myślisz, że znajdziesz coś lepszego, to szukaj na zdrowie!

Janina nie dała się ugłaskać i przestała się w ogóle odzywać do córek. Z łaski zgodziła się przyjść na jutrzejszą uroczystą kolację, zaznaczając, że robi to tylko dla Sławusia, który jest jedynym naprawdę dobrym, porządnym człowiekiem w całej tej rodzinie niewdzięczników.

Jeśli dodać do tego pracę Meli i wyprowadzkę Mirka, kolacja naprawdę zapowiadała się wybuchowo... Ile może wytrzymać jeden człowiek? I który jeden? Ona? Sławek? Mela?

– Przepraszam. Poniosło mnie. Nie miałem pojęcia, że zorganizowałaś jej korki i pchasz ją do Warszawy... Fajnie... Nigdy bym nie pomyślał... Widzę, że też odpadłem od rodziny... – dukał Mirek, podrzucając na dłoni ostatnie proste gwoździe. – Ale ty naprawdę mało o nas wiesz... To jest czysta patologia... Żyjemy w trybach, którymi kręci nasz ojciec. Wedle jego zmian i podmian mama farbuje odrosty i robi manicure, my z Emal... Emilią udajemy pacynki durniejsze od listew przypodłogowych, babcia i dziadek się nami zachwycają... Patrząc z boku: sielsko, anielsko. A wszystko funta kłaków niewarte! Nie masz wrażenia, że ten dom od tygodnia

oszalał? Dobrze się tu teraz czujesz? Widzisz, co się dzieje z mamą? Podoba ci się to? Chcesz jej jeszcze dowalić? Bo ja próbuję ją oszczędzić...

– Idę do przedpokoju sprzątać szafę. – Wiktoria złapała rolkę ręczników papierowych. Mijając Mirka, zatrzymała się na chwilę. – Dobrze. Nic Meli nie powiem. Ale do ciebie też już nie mam siły.

– O! Czyli spodobała ci się idea męskiej rozmowy? – Zaśmiał się. – To ty, ciociu, idź sprzątać szafę, a ja sobie powbijam gwoździe.

ROZDZIAŁ 24

Siostry biegały po kuchni, co chwila się potracając. Czas naglił. Sławek miał wylądować na Teglu tuż przed południem, Mirek właśnie ruszył po niego do Berlina. Chciał jeszcze wypić z nimi kawę i pomóc w przygotowaniach do obiadu, ale matka bez przerwy go poganiała, prorokując serię korków w miastach oraz karamboli na autostradach.

– Jedź już, bo się spóźnisz. Zanim przebijesz się przez Szczecin, z godzinę może ci zejść.

– Nie przesadzaj. Jaką godzinę? – uspokajała ją Wiktoria. – Terrorysty wysadzili wszystkie mosty na Odrze czy co?

– A niechby i wysadzili. – Mirek wzruszył ramionami. – Do czego mi niby te mosty potrzebne? Przecież na Berlin jadę. Przez Kołbaskowo, a nie przez Poznań.

– Racja. – Wika puknęła się w czoło. – Całkiem mi chyba rozum z tego wszystkiego odebrało.

– Synku! Nie dyskutuj, tylko się zbieraj wreszcie. Jedną kawę już wypileś, a drugą, jeśli tak bardzo musisz, dam ci w termosie.

– Jasne! Jeszcze jajka na twardo mi ugotuj. – Chłopak tkwił uparcie na kuchennym taborecie, ze stoickim spokojem przyglądając się nerwowej krzątaniu matki i ciotki. – Weź, nie szalej, dobra? Ojciec ląduje dopiero za cztery godziny, a ja do Berlina dojadę w półtoce. Dziesięć razy zdążę...

– Półtoce godziny?! – Szklana salaterka, w której Mela mozolnie mieszała świeżo wyciśnięty czosnek z zimnym masłem, omal nie spadła na podłogę. – Jezus Maria, co mi tak dzisiaj wszystko z rąk leci? – Spojrzała ze złością na Mirka. – Ty mi tu nie opowiadaj, że w półtoce godziny do Berlina dojedziesz! Będziesz gnał jak wariat? Nie lepiej wcześniej wyruszyć i spokojnie sobie jechać trzy...

– Trzydziestką po autostradzie... – wszedł jej w słowo. – Jak panisko!

– Nie „trzydziestką po autostradzie”, tylko „trzymając się zegarka”, chciałam powiedzieć, ale nie dałeś mi dokończyć. – Amelia nie potrzebowała kolejnego powodu do zdenerwowania. – Przestań się ze mną kłócić i jedź wreszcie. Widzisz, jaka jest pogoda? Od wczorajszego wieczora śnieg wali i wali, a dzisiaj to już prawdziwa śnieżycy! Jak na złość ta zima akurat teraz!

– Śnieg nie wali, tylko ładnie sypie z nieba, a autostrady są odśnieżane.

– Może i są, ale skąd wiesz, czy w Berlinie nie trafisz na jakieś objazdy? To miasto jest wiecznie rozkopane. Jeden wielki plac budowy! Pamiętasz, jak ostatnio odwoziliśmy tatę na lotnisko? Zupełnie inaczej trzeba było jechać, bo zamknęli tunel przy starym przejściu granicznym między dwoma Berlinami. Ledwo zdążyliśmy. Pamiętasz?!

– Pamiętam, że zamknęli tunel. – Mirek uśmiechał się pobłaźliwie. – Ale tego, że ledwie zdążyliśmy, jakoś nie. Wręcz przeciwnie. Wydaje mi się, że byliśmy na Teglu dwie godziny przed odprawą. Bo też histeryzowałaś od samego rana.

– Faktycznie... Jakoś sprawnie udało ci się wtędy objechać te wszystkie rozkopy... Ale gdybym nie histeryzowała, to na pewno byśmy się spóźnili. – Amelia ani myślała odpuścić.

– I skąd wiesz, że dzisiaj też ci się tak łatwo uda?

– Mam GPS...

– Czy ty myślisz, że GPS to codziennie poprawiają? Diabli wiedzą, która ulica jest teraz zamknięta. Raz źle skręcisz i po tobie. Zanim trafisz na zjazd, zanim zawrócisz i znajdziesz drogę...

– Dobra! Wygrałaś!

Mirek poderwał się z siedzenia i po pięciu minutach wyjeżdżał z garażu. Przed wyjściem lojalnie uprzedził matkę, że zatrzyma się w najbliższym przydrożnym barze, żeby wypić kawę i nasycić się widokiem spokoju innych ludzi. Nie miał zamiaru płacić mandatu za jechanie trzydziestką po autostradzie! A kolejna dawka kofeiny była mu bardzo potrzebna...

Po całym dniu sprzątanania ani on, ani Emilka nie położyli się spać. Gadali prawie do czwartej rano. Siostra przyszła wieczorem, niby tylko po to, żeby zapytać, czy może pierwsza zająć łazienkę. Klęła, że przez te durne porządki śmierdzi, jakby była rozkładającą się nauczycielką chemii gospodarczej, i jeśli za chwilę się nie wykąpie, to sama na siebie strzeli megapawia. Zgodził się bez problemu, ale wcale nie poszła pod prysznic. Zamiast tego rozsiadła się na wiklinowej sofie i patrzyła na niego z zaczepnym uśmiechem.

– No mów, kochana siostrzyczko, o co chodzi. Widzę, że cię język świerzbi.

– Nigdy mnie nie doceniałaś, kochany lapsie. Ja wiem wszystko. No... prawie wszystko... Bo muszę przyznać, że po niusie o przewodniczącą zaliczyłam lekkie zdziwko. O tym akurat jeszcze nie słyszałam.

– Ile wiesz? I skąd?

– Wypisz wyskanuj: nolajf z ciebie rasowy – prychnęła pogardliwie. – Przecież Szczecin to wiocha z tramwajami! A ty jesteś regularny wsiok, chociaż za warszawiaka próbowałaś robić. Matce i ciotce możesz wciskać kity o Erasmusach i wyjazdach do Warszawy, ale nie mnie! Myślałaś, że taki jesteś sprytny? Może i jesteś. Ale ja też całkiem durna nie jestem. Powiesz, co planujesz? Dlaczego się wyprowadzasz?

– Mówiłaś im? Wiktorii?

– Wsiok!

– Dzięki, że nie powiedziałaś.

– A może: „Przepraszam, że cię o to w ogóle podejrzewałem”?

– Przepraszam, że cię o to w ogóle podejrzewałem...

Emilka położyła się w końcu spać bez prysznic, śmierdząc niczym rozkładająca się nauczycielka chemii gospodarczej. Zanim wyszła z pokoju brata, zatrzymała się na chwilę w drzwiach.

– Bardzo boisz się ojca?

– A co on może zrobić? – Mirek starał się nadrabiać miną. – Wskoczy mi do ust i wybuchnie w brzuchu? – Machnął ręką. – Nie boję się, bo lubię adrenalinę.

– To przyczep sobie piorunochron do czapki i spaceruj między drzewami w czasie burzy – zachichotała. – Adrenalina gwarantowana, a przynajmniej więcej będzie do zbierania.

– W najbliższym czasie burz nie zapowiadają, niestety, więc pozostaje mi tylko tatuś... Idź wreszcie do siebie, mała jędzo! Przez ciebie zasną jutro nad kierownicą.

Zazdrościł jej teraz: on z zapalkami w oczach popija kawę w przydrożnym barze pod Kolbaskowem, a ona się wyleguje i nie wylezie z łóżka przed południem...

Mylił się. Emilka nastawiła budzik na ósmą i wstała kilka minut po tym, jak brat wyszedł z domu. Fakt, chętnie pospałyby do południa, ale wiedziała, że Wiktoria zadreńczy ją wtedy zrzędzeniem. Oczywiście nie powiedziałyby wprost, że powinna wstać razem ze wszystkimi i pomagać matce, tylko robiłyby te swoje wkurzające uwagi w stylu „Och, jak miło, że ktoś w tym domu nie musiał zrywać się w środku nocy i lecieć do kuchni” albo „Śniadanko, maleńka?

Na co masz ochotę? Na węglowodany czy na białko? Ja przygotuję, a ty zrób sobie okład z lodu na zaspane oczka. Szlag mnie z zazdrości trafia, kiedy na nie patrzę”, albo „Jejku! Czemu się zerwałaś równo z hejnałem? Pewnie za głośno trzaskałyśmy pokrywkami? Przepraszamy”. Nienawidziła metod wychowawczych ciotki, więc dla świętego spokoju nastawiła budzik na barbarzyńską jak na weekend godzinę. Nic dobrego nie mogło z tego wyniknąć...

Siostry biegały po kuchni, co chwila się potracając. Czas naglił. Sławek miał wylądować na Teglu tuż przed południem, Mirek właśnie ruszył po niego do Berlina.

– No, nie! Co ja narobiłam?! Zaraz się zabiję! Mamo!!! Wika!!!

Salaterka, w której Mela mozolnie mieszała świeżo wyciśnięty czosnek z zimnym masłem, huknęła o podłogę i roztrzaskała się w drobny mak.

– Załatw jakiś pocisk usypiający i strzel we mnie. To jedyna szansa, żebym się uspokoiła.

– Wiktoria wyprostowała ramiona i mocno oparła się o szafkę. Bała się, że jeszcze chwila, a wyrżnie czołem w kuchenny blat.

– Poniesło cię. Skąd ja pocisk usypiający wezmę? Może zamiast tego przyjmij pozycję embrionalną i ssij palec... – Amelia odchrząknęła, a potem wydarła się najgłośniejszym jak umiała:

– Co tam znowu?! Chodź tu, dziecko!!!

Ledwo skończyła, w drzwiach pojawiła się jej córka. W wyciągniętych rękach trzymała swojego ukochanego laptopa. Spomiędzy fragmentów popękanej obudowy, która wyglądała, jakby przejechało po niej coś ciężkiego, wзираły kawałki klawiszy.

– Boże kochany! Jak to się stało?!

– Co ty z nim zrobiłaś?

– Stałam na nim... – chlipnęła zrozpaczona dziewczyna.

– Stałaś na laptopie? – Wiktoria wciąż opierała się o szafkę. Dla bezpieczeństwa rozstawiła nieco szerzej nogi. – Hmmm... No cóż... To będzie chyba najgłupsze pytanie w moim życiu, ale muszę je zadać... – Powoli wciągnęła powietrze i jeszcze wolniej je wypuściła.

– Emilko, dlaczego stanęłaś na swoim laptopie?

– Przez pomyłkę... – Usta siostrzenicy wygięły się w podkówkę. – Chciałam się zważyć...

– Chciałaś się zważyć na laptopie?! – Amelia wciąż nie rozumiała, co się stało. Ponieważ Emilka, zamiast odpowiedzieć, spuściła głowę i zalewała łzami zwłoki komputera, jej matka zwróciła się do siostry: – Pojmujesz coś z tego?

– Pomyliłaś laptopa z wagą, tak? – Wika szybciej skojarzyła fakty.

Emilka przytaknęła, wycierając nos w rękaw piżamy.

– Jak można pomylić laptopa z wagą?! Ludzie!!! – Mela spojrzała na nią oszołomiona, a potem wzniosła oczy ku niebu. – Czy będę bardzo bezczelna, jeśli cię o coś poproszę? Pilnuj Mirka, żeby nic mu się nie stało w drodze do Berlina. Pilnuj Sławka, żeby szczęśliwie wylądował. Pilnuj też mnie. Żebym nie zwariowała. Bo co oni wszyscy beze mnie zrobią? Z góry dziękuję. A raczej z dołu... Nieważne! – Wróciła na ziemię i powtórzyła: – Jak można pomylić laptopa z wagą? Wyjaśnij nam?

– No bo ja mam wagę pod łóżkiem. Codziennie rano się ważę, jak tylko wstanę...

– mówiła Emilka wciąż łamiącym się głosem. – I laptopa też tam wczoraj wsunęłam. Zaczy pod łóżko... Nie miałam siły odkładać go na biurko. Byłam padnięta. – Podniosła zapuchnięte oczy. – A dzisiaj... Chciałam wam pomóc. Nastawiłam budzik. Jak ten durny budzik zadzwonił, to byłam nieprzytomna. Prawie nie spałam w nocy... No i sięgnęłam pod łóżko i nie to, co trzeba, wyciągnęłam... – Po jej policzkach spływały strumienie łez. – Dopiero jak coś chrupnęło,

to oprzytomniałam. Wpadłam w panikę, że tyle przytyłam, aż waga się pode mną zarwała. Ale nie... Otwieram oczy, patrzę... A ja na laptopie stoję! To było okropne!!! Buuuuaaa! – rozpląkała się jak małe dziecko. – Co za okropny dzień! Buuuuaaa...

– Fakt. Również nie uważam, żeby to był najszcześniejszy dzień w moim życiu.

– Wiktoria spojrzała na zasypane drobinkami szkła i kawałkami masła kafelki. – Ale bez przesady. To jeszcze nie koniec świata...

– Właśnie że koniec. – Emilka znowu wytarła nos w piżamę. – Na fejsie mnie nie będzie! To tak, jakbym już nie żyła. Jakbym była nolajfem. Buuuuaaa...

– Aha. No faktycznie. O tym nie pomyślałam. – Wika oderwała się od szafki i podeszła do siostrzenicy, podając jej papierowy ręcznik. – Przestań już ryczeć. Jeśli chcesz, to odstąpię ci mojego. Nie jest może wypasiony, ale fejsa chyba dźwignie bez problemu.

– Daj spokój. Przecież tobie też jest potrzebny komputer. – Mela wzięła od córki zmiądnętego laptopa, żeby Emilka mogła wydmuchać nos. – Coś się wymyśli. Chociaż Sławek na pewno zachwycony nie będzie. Już sobie wyobrażam, jak zareaguje.

– Dzizas! Zagada mnie na śmierć, więc w sumie i tak umrę i zniknę z fejsa... Buuuuaaa!!!

– Ty już się lepiej nie odzywaj! Cokolwiek by ojciec powiedział, to będzie miał rację. Żeby pomylić laptopa z wagą? – Pokręciła głową Amelia. – Tylko w tym domu coś podobnego mogło się wydarzyć. I tylko mojej córce!

– Ale ja naprawdę spokojnie się obejdę bez komputera. Jestem nolajfem, więc na fejsie mnie nie ma i nie zamierzam się tam nawet pojawiać – zaśmiała się Wiktoria. – A internetowe rewelacje mam gdzieś, bo nie jestem lemingiem. Jeśli będę czegoś kiedyś potrzebowała, to mała mi to znajdzie i wydrukuje, w ramach rewanżu za laptopa.

– A telekonferencje z Bobem Budowniczym? – Mela nie była pewna, czy nie powinna protestować, ale wiedziała, że Sławek nie tak szybko zgodzi się na zakup nowego komputera dla córki. Przedtem na pewno wymyśli jakąś pouczającą karę. Co najmniej miesięczną...

– Bob Budowniczy od dawna jest z powrotem w Szczecinie i już mnie nie potrzebuje. Nie ma o czym gadać! – Przytuliła wciąż pochlipującą Emilkę. – Bierz mojego laptopa, tylko obiecaj, że jakby co, to polatasz za mnie po tym durnym Internecie, okej?

– Okej. Obiecuję. – Siostrzenica podniosła do góry dwa palce. – Znajdę i wydrukuje!

– Popatrzyła z obrzydzeniem na mokry prawy rękaw piżamy i wytarła nos w lewy. – Albo, jeśli będziesz wolała sama, to oddam ci komputer, na ile zechcesz.

– No to umowa stoi. – Wika odwróciła ją w kierunku przedpokoju i klepnęła w pupę.

– Teraz idź się ogarnij i wracaj zaraz, bo naprawdę potrzebujemy twojej pomocy.

– Dobra. Dzięki wielkie! – Emilka wbiegła po schodach na piętro. Chwilę potem usłyszały dochodzący z łazienki radosny śpiew.

– Też ci dziękuję. – Mela westchnęła ciężko.

– Daj spokój. Mnie ten komputer naprawdę nie jest tak strasznie potrzebny. W zasadzie mogłabym się bez niego obejść. – Wiktoria przykucnęła obok siostry i pomagała jej zbierać z podłogi utyłane w maśle kawałki szkła. – Ciekawe, co jeszcze dzisiaj uda nam się rozwalić, stłuc albo zepsuć? Nie uważasz, że ten rozdeptany laptop Emilki bardzo ładnie pasowałby do ściany zdemolowanej przez Mirka? Może go na niej zawiesimy? A dookoła powtykamy resztki salaterki. To będzie taka wyrafinowana nowoczesna kompozycja. Masz pomysł na tytuł? – Spojrzała na Melę i zobaczyła, że wcale jej nie do śmiechu. – Ej! Co tobie? Nie przejmuj się tak bardzo, nie ma czym. Przecież ona to zrobiła niechcący. Chciała dobrze. Słyszałaś, że budzik sama z siebie nastawiła, żeby nam pomóc? To więcej warte niż ten durny laptop. – Mimo że Amelia wciąż była śmiertelnie poważna, Wika parsknęła radośnie. – Muszę się oduczyć ciągłego używania słowa „durny”. To przez Emilkę... No właśnie! A zauważyłaś, że jak z nami

rozmawia, to coraz bardziej się stara kontrolować swój język? Bo ja zauważyłam. Coś jej się jeszcze czasem wyrwie, ale jak na mój gust zrobiła duże postępy. Do Mirka wciąż mówi po swojemu, ale do nas już bardziej cywilizowanie.

– Daj spokój... Wiesz co? – Mela zakryła twarz dłońmi. – Boję się... Naprawdę się boję... Coś mnie paraliżuje...

– I nie chodzi teraz o laptopa, dobrze zgaduję? – Wiktoria spochmurniała. – Czego się boisz?

– Sama już nie wiem. Żałuję, że nie powiedziałam o wszystkim Sławkowi. Tylko błagam! Nie mów teraz „A nie mówiłam?”, bo nie ręczę za siebie! Pamiętam, że mówiłaś, więc nie mów „A nie mówiłam?”, dobrze?

– Dobrze. Nie mówię. Tym bardziej że tyle tego mówienia w tym, co mówisz, że sama już nie wiem, o czym mówisz. – Wika starała się rozbawić siostrę, ale znowu nic z tego nie wyszło.

Wyrzuty sumienia, które czuła od wczoraj, zaczęły ją gryźć jeszcze dotkliwiej. Mela już wyglądała niczym kupka nieszczęścia, a nie wiedziała jeszcze, że Mirek planuje wyprowadzkę. Czy powinna jej o tym powiedzieć? Kiedy wstawała rano z łóżka, miała taki zamiar, ale teraz tak zwyczajnie, po męsku, zabrakło jej słów, sił i odwagi. Może byłoby łatwiej, gdyby знаła choć kilka szczegółów? Ale tak? Przeraziłaby tylko siostrę krótką informacją, a potem zdręzczałyby się obie domysłami. To nie miało sensu. Postanowiła milczeć.

– Masz rację. Płacę się i nie wiem, co mówię. – Mela dźwignęła się ciężko z podłogi.
– Szkoda czasu na gadanie. Tym bardziej że nie mamy go zbyt wiele. Co ma być, to będzie, nie?
– Wytarła z kafelków ostatni brudny ślad. – Weź teraz pokrój ogórki na sałatkę. Tylko postaraj się jak najdrobniej. Sławek nie lubi, jak jest za grubo. A ja jeszcze raz zrobię masło czosnkowe. Może tym razem w plastikowej misce. Będzie bezpieczniej, nie? – Potrząsnęła głową, jakby chciała się opędzić od złych myśli, które ją przed chwilą obsiadły. – Gdzie ta Emilka?! Całą zastawę trzeba przecież doprowadzić do błysku. I srebra wyczyścić...

Wika skupiła się na krojeniu ogórków tak drobno, że zaczęły przypominać przecier. Mela mieszała świeżo wyciśnięty czosnek z zimnym masłem w żółtej plastikowej miseczce. Bała się, że Wiktoria odgadła, czego boi się najbardziej. Nigdy nie rozmawiała z mężem przy niej i nigdy nie przekazywała jej treści tych rozmów. Bo i co miałyby przekazać? Sławek, kiedy tylko dowiedział się, że szwagierka u nich zamieszkała, jasno określił swoje stanowisko. „Kochanie, masz prawie cztery miesiące do mojego powrotu, żeby coś z tym zrobić. Nie interesuje mnie, co i jak zrobisz. Daję ci chyba wystarczająco dużo czasu, prawda?” Wielokrotnie próbowała mu przynajmniej z grubsza wytłumaczyć i zrelacjonować, co się dzieje w ich domu, ale on na sam dźwięk imienia Wiki natychmiast ucinął rozmowę. Zawsze tym samym zdaniem. „Nie interesuje mnie to. Są sytuacje, kiedy trzeba odważnie stawić czoła rzeczywistości. Jeśli twoja siostra tego nie potrafi, to przynajmniej ty udowodnij, że jesteś dorosła”.

Postanowiła dać mężowi trochę czasu na oswojenie się z nową rzeczywistością i miała nadzieję, że w końcu ją zaakceptuje. Przestała wspominać o Wiktorii, Sławek nie powtarzał już swoich sakramentalnych pytań: „Czy ona wciąż u nas mieszka?”, „Czy postanowiłaś już, co z tym zrobisz?”, „Czy znalazła wreszcie pomysł na życie?”. Od niemal dwóch miesięcy zachowywał się tak, jakby Wiki w ogóle nie było, więc Mela też nabrała wody w usta, licząc w duchu na cudowną przemianę męża. Problem w tym, że odkąd go znała, nigdy nie przeżył żadnej, nawet najdrobniejszej przemiany – on ich dokonywał; on im nie ulegał.

„Ale może jednak?” – uspokajała samą siebie, ugniatając masło w miseczce. „Może

w końcu dorósł do tego, żeby chociaż na chwilę wyłączyć swój wiecznie kalkulujący mózg i poddać się uczuciom?” Za nic by go tak nie kochała jak właśnie za to...

ROZDZIAŁ 25

Wjazd Sławka do domu skojarzył się Wiktorii z wjazdem Sobieskiego na Wawel. Wprawdzie szwagier nie miał na sobie podszytej sobolami niebieskiej szuby przetykanej złotem i srebrem ani pąsowego żupana spiętego diamentami... Ba! Nie miał nawet kołpaka z kokardą, perłami i czarnymi piórami... Wręcz przeciwnie. Ubrany był w dżinsy, jasną koszulę i cieniutką kurteczkę, przy czym ta skromna odzież nosiła na sobie wyraźne ślady kilkunastogodzinnego lotu z dwiema przesiadkami – a jednak czuć było triumfującego monarchę! Witął go pokrzykujący entuzjastycznie tłum poddanych (w tym ona), którym rozdawał uśmiechy oraz prezenty ze strefy wolnocłowej.

Przy prezentach z Sobieskiego zamienił się w Świętego Mikołaja. Zasiadł w fotelu, wyciągał z bagażu podręcznego kolejne małe torebeczki, zaglądał do środka, a potem przyzywał wybraną osobę i zamieniał z nią kilka słów. O dziwo, nie domagał się recytowania wierszyków. Mirek i Amelia zostali już obdarowani. Teraz przyszła kolej na córkę.

– Emiiiilka... – Przywołał ją ruchem dłoni. – Chodź tutaj.

Wiktoria przyglądała się nastolatce z niekłamaną przyjemnością. Po raz pierwszy widziała siostrzenicę bez szpecącego kapiącego fluidem i tuszem makijażu. Jego miejsce zajęła eteryczna mgielka pudru, subtelnie zarysowane kontury oczu, pastelowy cień na powiekach oraz delikatnie podkreślone rzęsy. Kiedy godzinę temu zobaczyła ją w tym nowym wydaniu, aż jęknęła z wrażenia. Emilka stąpała cichutko po schodach, poruszała się miękko i była jakaś taka nierealna. Wika zaniemówiła z wrażenia. „Ty nie myl makijażu z kamuflażem! Czil. To faza przejściowa” – usłyszała w odpowiedzi na zachwyty. I czar prysł, niestety. Ale nawet jeśli był to tylko kamuflaż, to naprawdę cieszył oko.

– I jak tam przygotowania do matury? – zagadnął ojciec przyjacielskim tonem. – Uczysz się?

– Uczę.

– Wiesz już, na jakie studia będziesz zdawać?

– Wiem. Chciałabym...

– Pamiętaj, że na mnie zawsze możesz liczyć – przerwał jej, patrząc po poddanych, jakby się upewniał, że dobrze go słyszą. – Zarobię na twoje studia, nawet gdybym miał zdechnąć.

– Wiem. Chciałabym...

– Oby tylko nie były to pieniądze wyrzucone w błoto. Musisz dobrze przemyśleć swoją decyzję, córeńko. Nie pozwolę ci co roku zmieniać kierunku. – Ponownie zwrócił się do zgromadzonego przed fotelem ogółu: – Miałem teraz takiego starszego mechanika. Syn już mu na trzecie studia poszedł. Rzucił każde, zanim się na dobre zaczęły... Grosza bym darmożjadowi nie dał i do ciężkiej roboty wysłał, żeby zarobił na swoje fanaberie! Pamiętaj zatem – zwrócił się do Emilki, już nieco łagodniej – nie na próżno matura nazywana jest egzaminem dojrzałości. Twoja decyzja musi być dojrzała i dokładnie przemyślana.

– Tak. Wiem. – Głos dziewczyny zjechał dwa tony niżej. – Dokładnie ją przemyślałam i chcę studiować to, co naprawdę lubię...

– To, co naprawdę lubisz? A to na którym uniwersytecie otworzyli wydział dyskotek?

– Sławek wyraźnie ubawił się swoim żartem i nie rozumiał, dlaczego gawiedz nie podziela jego wesołości. Mirek wprawdzie wykrzywił lekko usta, a Mela zdobyła się na nikły uśmiech, ale Wiktoria... Miał wrażenie, że zabija go spojrzeniem. Wytrzymał jej wzrok, a potem ją

zignorował i skupił się na córce. – Studia nie są od lubienia, moje dziecko. Studia mają ci dać porządną pracę. A jak już będziesz miała pracę i pieniądze, to wtedy możesz sobie do śmierci studiować w wolnych chwilach wszystko, co lubisz. Pamiętaj: najpierw obowiązki, potem przyjemności. No to co sobie za kierunek wybrałaś?

– Chyba jednak jeszcze się zastanowię... Może usiądziemy do obiadu?

– Dobrze. – Nie spodobał mu się wyraz oczu Emilki, bo przed paroma sekundami widział to samo spojrzenie w ich wiernej migdałowej kopii. Od osiemnastu lat wpadał w rozdrażnienie za każdym razem, kiedy dostrzegał uderzające podobieństwo ukochanej córki do nie ulubianej szwagierki. Te genetyczne zabawy naprawdę go denerwowały. Dlaczego syn był w miarę podobny do niego, a Emilka w niczym nie przypominała Meli? Jedyne, co odziedziczyła po matce, to proste włosy, znacznie jaśniejsze niż u Wiktorii. Sięgnął teraz, żeby je pogłaskać. – Ale zanim usiądziemy, zrób coś ze sobą. Masz umalowane usta.

– To pomadka ochronna. – Córka odchyliła głowę, uciekając od czułego gestu. – Usta mi pękają.

– Powieki też ci pękają? Mam nadzieję, że pozbędziesz się tych dolegliwości. Jeśli nie, zabiorę cię jutro do dermatologa. – Podał jej błyszczącą torebkę. – Proszę, to dla ciebie. Escada, Rockin' Rio. Podobno ulubiony zapach nastolatek. Ja się na tym nie znam, ale mój starszy mechanik oprócz nedorobionego syna ma też córkę prawie w twoim wieku. To on mi podpowiedział, co ci kupić. Zapisalem sobie i specjalnie szukałem.

– Dzięki. – Emilka wzięła prezent, ale nawet do niego nie zajrzała.

Zrobiło mu się przykro, bo po raz kolejny zdał sobie sprawę, jak mocno zaniedbał pewne aspekty wychowawcze. Za bardzo rozpieszczał dzieci i dlatego nie nauczyły się szanować pieniędzy. Chociaż w sumie to nie on, to Mela je rozpieszczała: podtykała im pod nos, co tylko chciały, zanim zdążyły powiedzieć, że chcą. Miał wielką ochotę przywołać córkę do porządku. Dostała perfumy, które kosztowały niemal połowę przeciętnej polskiej emerytury i które większość jej koleżanek mogła powąchać tylko przez Internet; zacałowałyby na śmierć swoich ojców za podobny podarunek. A co on usłyszał w zamian? „Dzięki”... Postanowił, że porozmawia z nią o tym w stosownym momencie. Ale nie w dniu przyjazdu. Poza tym miał poważniejsze i dużo bardziej palące problemy do rozwiązania.

– Wiktooria... – Wydobył z bagażu następną błyszczącą torebkę. – Witamy w naszym domu. Długo cię nie było.

– Jak miło, że o mnie też pomyślałeś. Dziękuję. – Przejęzyczyła się, bo chciała mu powiedzieć, żeby wsadził sobie te perfumy w dupę.

Chociaż jego powrót napawał ją lękiem, ze wszystkich sił starała się pomóc w przygotowaniach do wjazdu Sobieskiego na Wawel. Myła okna, prasowała hektary obrusu, zrobiła miejsce na żupany w szafie. Wypucowała nawet tralki na schodach! Ale nic to nie dało. Nigdy się nie lubili, a teraz bardziej niż kiedykolwiek była przekonana, że nigdy się nie polubią. Doprowadzał ją do szału samym tembrem głosu, ironiczną wszechwiedzącą intonacją i władczyimi gestami. Przypominał jej Pawła... Był Pawłem. Tylko w ulepszonej, niebijącej, wersji.

– Naprawdę, nie trzeba było... – Podeszła do skrzyżowania Świętego Mikołaja z Sobieskim.

– Trzeba było, trzeba. Nie wiedziałem, jakie są twoje ulubione zapachy, więc kupiłem w ciemno. Wybrałem... Co to ja wybrałem? – Zajrzał do torebki. – Aha! Valentino. Wiesz, co to jest?

„Nazwa czcionki?” – chciała zapytać, ale postanowiła, że znowu się przejęzyczy.

– Tak. Znam tę firmę. I bardzo ją lubię.

– No to proszę. Valentino. Vendetta. – Podał jej prezent.

Wiktoria poczuła mrówki na plecach. Vendetta?! Tak samo nazywał się zestaw, który Paweł kupił jej w Amsterdamie. Białe i żółte złoto, naszyjnik z dużą cyrkonią otoczoną brylancikami. Plus bransoleta i kolczyki... Pamiętała, że kiedy kilka miesięcy temu pokazała siostrze walizkę pełną biżuterii, Mela właśnie na ten komplet zwróciła uwagę. Sławek nie mógł o tym wiedzieć, ale chyba nieprzypadkowo wybrał tę właśnie nazwę.

– Dzięki – wykrztusiła, cudem zdobywając się na sztuczny uśmiech, i szybko wmieszała się z powrotem w gawiedź.

Zagniałała złociste brzegi torebeczki. Ogarniał ją strach. Była przerażona tym, jak bardzo świeże są wspomnienia, które uznała za dawno pogrzebane. Czy w ogóle kiedyś zapomniała o Pawle? Czy uda jej się kiedykolwiek wymazać z pamięci to, przez co musiała przejść? Właśnie zdała sobie sprawę, że jeśli nawet zdoła tego dokonać, to na pewno nie przebywając pod jednym dachem ze szwagrem.

Sławek starał się ukryć zadowolenie. Wyraźnie ją speszył, onieśmielił i zdominował już w pierwszej rundzie: jeden zero dla niego! Uspokoił się też, że niepotrzebnie robił sobie przed chwilą wyrzuty o zaniedbania wychowawcze. To nie przypadek, że Emilka i Wiktoria uraczyły go identycznym „Dzięki”. Zachowanie córki nie wynikało z rodzicielskich błędów, lecz było efektem podłej genetyki – córka odziedziczyła po ciotce nie tylko urodę, niestety. Charakterek również. A Sławek, chociaż kochał władzę, nigdy nie pretendował do sprawowania kontroli nad siłami wyższymi. Wszystko się ładnie wyjaśniło. Był w doskonałym humorze.

Podczas obiadu i poobiedniej kawy zabawiał towarzystwo morskimi opowieściami, zaskakując rodzinę niespotykaną gadatliwością. Zwykle kilkanaście pierwszych godzin poświęcał przesłuchiowaniu i pouczeniu dzieci i żony, a o sobie mówił mało i niechętnie. Wiktoria nie znała tej inwigilacyjnej tradycji, ale po zdumionych spojrzeniach, jakimi bez przerwy wymieniali się Mirek z Emilką, i po głupich minach, jakie stroili za plecami rodziców, zorientowała się, że coś jest nie tak. Mela natomiast nie wyglądała na zaskoczoną ani wystraszoną – promieniała szczęściem, słuchając o tym, jak jej mąż uratował statek od wepchnięcia go na skały przez młodego oficera, który ile by nie pływał, nigdy nie będzie miał obrośniętych muszlami jaj, bo ich zwyczajnie nie posiada, tak samo jak mózgu.

– Nowe pokolenie marynarzy! – grzmiał Sławek kapitańskim głosem. – To nie są marynarze, tylko bezmyślne barany! Nieuki wychowane na komputerach i satelitach! Mówię mu, żeby zmienił kurs, bo zaraz burtę będziemy mieć jak „Titanic”, a ten mi na to, że GPS nie pokazuje żadnych skał i akceptuje trasę. Kładę tumanowi mapy pod nos, a on, że w mapy nie zaglądał. Odesłałem go w najbliższym porcie do domu, bo nie ma na statku etatu dla operatora GPS-u. To dziadostwo samo się obsługuje... – Odsapnął ciężko. – Przemądrzały głupek! Jakby mu wyłączyli urządzenia, to pomyliłby Śniardwy z Mamrami, a on się na ocean pcha! Co za pokolenie rośnie, to aż strach!

– Zbyt daleko idące uogólnienie, pozwolę sobie zauważyć. Nie można ufać tylko urządzeniom, ale nie należy też ich przekreślać i w czambuł potępiać. – Mirek poczuł się w obowiązku bronięcia swojej generacji. – Twój oficer przesadził, bagatelizując pocziwe papierowe mapy, ale ty też czasami przesadzasz. Jak jechałem dzisiaj do Berlina, to trafiłem na taki objazd, że nie wiem, ile bym błdził, gdyby nie nawigacja. A ty ledwo siadłeś na Teglu za kierownicę, to kazałeś mi natychmiast odłączyć GPS. Czemu?

– Bo nie będę słuchał elektronicznej kobiety, która dyktuje mi, co mam robić! To niegodne mężczyzny.

– Aha. Rozumiem... – mruknął Mirek.
– Pamiętaj synu, że jeśli człowiek używa GPS-u, to jest albo babą, albo pedałem. Prawdziwy mężczyzna ma własny GPS, zakodowany w głowie. I tylko na nim polega.
– Tato – odezwała się nieśmiało Emilka. – Ja się nie znam na satelitach, na podwodnych skałach, na GPS-ach. Nawet nie jestem kierowcą, ale...
– Córcia, ty nie myl kobiety z kierowcą.
– Chwileczkę! – Wiktoria złamała daną samej sobie przysięgę milczenia. – Jeżdżę już niemal dwadzieścia lat i nie przejechałam jeszcze niczego żywego.
– To chyba nie jest definicja dobrego kierowcy? – Szwagier uśmiechnął się do niej ze sztuczną uprzejmością. Zupełnie jak Mirek, kiedy chciał dokuczyć siostrze. – Chociaż brzmi ciekawie, muszę przyznać.
– Nie znam się na satelitach ani na GPS-ach i z tego, co słyszę, to nigdy nie będę kierowcą! – Emilka podniosła głos, żeby zwrócić na siebie uwagę. – Ale, błagam cię, tato, nie mów „pedał”. To żenujące.
– A jak mam mówić?
– Gej – poinstruowała go nagle orędowniczka językowej estetyki.
– Wyjaśnij mi, jaka jest różnica między słowem „pedał” i słowem „gej”?
– Taka sama jak między mapą i GPS-em. Tym pierwszym posługują się ludzie na poziomie, a tym drugim bezmyślnie bara... to już sam sobie dokończ.
– Emilka! – Matka spojrzała na nią karcąco, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Obawiała się, że córka popsuje miłą atmosferę.

Cieszyła się, że Sławek nie wygląda na niezadowolonego z obecności Wiki. Wręcz przeciwnie. Pamiętał nawet o upominku i chociaż perfumy miały nieco niepokojącą nazwę, to doceniała gest męża. Poza tym nie tkwił w fotelu jak obrażony gbur, czego najbardziej się bała, ale opowiadał anegdoty i śmiał się ze szczerą radością. Zachowanie siostry też nie potwierdzało złych przeczuć Meli: Wiktoria siedziała cichutko, nie stroszyła się, nie prowokowała. Żeby jeszcze Emilka umiała powstrzymać ten swój niewyparzony język! Z tej strony nie spodziewała się akurat żadnych kłopotów. Córka na ogół nie odzywała się do Sławka, jeśli nie zadał konkretnego pytania, i starała się schodzić mu z drogi. Co ją dzisiaj ugryzło? Może to przez tę uwagę o makijażu? Albo o rozsądnym wyborze studiów? Ale przecież do takich komentarzy już dawno ją przyzwyczaił i nigdy nic sobie z nich nie robiła.

Amelii bardzo zależało na dobrym humorze męża. Planowała, że jeszcze dzisiaj powie mu o pracy. Chciała to zrobić wieczorem, kiedy zakończą się powitalne korowody i wreszcie zostanie ze Sławkiem sama. W sypialni. Najpierw poprawi mu humor jeszcze bardziej, a potem wyzna skrywaną tyle czasu prawdę o swojej rozwijającej się coraz efektywniej karierze agentki nieruchomości. Pominie oczywiście słowo „kariera”, efektywny rozwój też rzecz jasna przemilczy...

Dobrze przemyślała, co powie, znała już na pamięć długo i starannie przygotowywane przemówienie. Przede wszystkim zapewni, iż podczas pobytu męża w domu ograniczy obowiązki zawodowe do minimum i Sławek w ogóle nie odczuje, że jego żona podjęła pracę. Wiedziała, co jest najważniejsze – on musi być zawsze na pierwszym miejscu. Dostałby szału, gdyby ktoś lub coś miało mu to miejsce odebrać. Należy go więc już na wstępie uspokoić, iż jej praca – której naturalnie nawet nie wypada porównywać z tym, co on robi – to zwykły zapychacz czasu, tak bardzo dłużącego się pod nieobecność męża. Musi zbagatelizować temat i siebie, nie może się chwalić sukcesami, powinna przynajmniej dziesięć razy powtórzyć, jak jest jej smutno

i nudno bez niego, żeby upewnić go, że nic mu nie zagraża. Niech sobie zaśnie z koroną na głowie... Dlaczego nie powiedziała mu od razu? Bo nie chciała go denerwować i wołała porozmawiać na spokojnie, twarzą w twarz. Dostyc ma Sławek stresów i problemów na morzu, po co miałyby dokładać mu zmartwień. Zresztą o czym tu mówić? Znalazła sposób na zabicie tęsknoty i tyle. To nie praca, to niewarta roztrząsania zabawa w pracę. Dzieci są już duże, każde żyje swoim życiem, całymi dniami nie ma ich w domu, a ona siedzi sama i głupieje...

Tysiące razy powtarzała w pamięci swoje kwestie i kiedy nikt jej nie słyszał, wznosiła oczy do nieba, prosząc Boga o jedno: niech Sławek dotrwa do wieczora i przyjdzie do sypialni we względnie dobrym humorze. Oby tylko po drodze coś nie wyprowadziło go z równowagi! Do tej pory wszystko wskazywało na to, że dobry Bóg jej sprzyja: mąż był uśmiechnięty, siostra spokojna...

– Emilka! – Amelia przyglądała się córce natarczywie, licząc, że dziewczyna zrozumie to spojrzenie i przeprosi ojca za nazwanie go bezmyślnym baranem. Ale ona zacięcie milczała.

Kłopotliwą ciszę przerwało kołatanie do drzwi, zaraz potem rozległy się powitalne okrzyki. Zanim Mela wyszła do przedpokoju, poprosiła Mirka o sprzątnięcie talerzyków i filiżanek, natomiast Wiktorię z Emilką o wyciągnięcie z lodówki szykowanych od rana smakowitości.

– Gdzie jest nasz wilk morski?! – zapytał gromko Bernard, całując Amelię i machając do wnuków oraz młodszej córki, biegnących do kuchni. – O! Widzę, że załoga już ustawiona do pionu? Latają jak poparzeni... Chodź no tu i pokaż się pan, panie kapitanie! Matka płonie z ciekawości, czy bardzo zmizerniałeś!

Kiedy Sławek pojawił się w przedpokoju, teść uściśnął mu prawicę, natomiast teściowa zachowała się niemal jak fanka Beatlesów na koncercie. Powstrzymała się tylko od omdlenia. Wiktoria była nieco oszołomiona krzykami i piskami matki. Nie przypuszczała, że Janina jest w stanie wykrzesać z siebie tyle energii. Zawsze mówiła cichym, schorowanym głosem, pełnym bolesnego pesymizmu.

– Nie bój się. Babci nic nie jest. – Emilka podniosła na chwilę wzrok znad talerza, na którym układała plasterki wędliny i żółtego sera. – To jej normalna reakcja na widok mojego ojca.

– Aha.

– Przygotuj się też na to, że będzie na niego bez przerwy patrzeć, wzdychać i popłakiwać. To też constans – dorzucił Mirek, wstawiając talerzyki do zmywarki. – Tylko nie pytaj dlaczego. To wy jej organizujecie lekarzy i podajecie tabletki. Czytacie przynajmniej ulotki?

– Dzięki, mędrze. – Wika uśmiechnęła się do siostrzeńca. – Mam nadzieję, że na starość nie będę skazana na waszą opiekę.

– Emilka... – Chłopak nie miał zamiaru wdawać się w niepotrzebne dyskusje z ciotką. – A coś ty tak na ojca wyskoczyła z tymi gejami? Na paradę równości chcesz z nim jechać czy co? Odradzam. Nie jest na to gotowy.

– A na co jest? – Siostra wzięła się wojowniczo pod boki. – Na złoty półmisek Sławka i kurczaka nadziewanego podwójnie gotowanymi wątróbkami? Aż dziw, że babcia dzisiaj z tym durnym kurczakiem nie przyszła.

– Chwała Bogu, bo te jej wątróbki nie wyglądają jak podwójnie gotowane, tylko jak podwójnie zjedzone. – Mirek wzdrygnął się z odrazą. – No dobra! Skończyłem ze swoją robotą. W czym wam pomóc?

– Zanoś wszystko na stół. – Wiktoria kiwnęła głową w stronę blatu, na którym powoli

zaczynało brakować miejsca. – A co to jest złoty półmisek Sławka?

– Talerz z pasztetową, salcesonem, ogórkami kiszonymi i wszystkim, czego nie można kupić na drugiej półkuli. Stał pod nosem ojca już w czasie obiadu. Nie zauważyłaś? Teraz będzie powtórka. – Mirek zabrał kilka naczyń i chciał wyjść, ale powstrzymało go syknięcie siostry.

– A kiedy im powiesz, że się wyprowadzasz? I całą resztę... – Emilka przyciszyła głos.
– Teraz? Czy jak babcia z dziadkiem pójdą do domu?

– Teraz. Zaraz. Nie będę tłumaczył każdemu oddzielnie. – Chłopak nieco spłoszył.
– A czemu pytasz?

– Nic... Tak tylko... Bo wiesz...

– Co?! – Wrócił z progu i stanął przy siostrze. – Nie wiem.

– Bo może zanim powiesz, to najpierw zapytaj wszystkich, czy... – wybuchła tłumionym chichotem.

– Czy...

– Czy jakby co, to chcą zostać podłączeni do aparatury sztucznie podtrzymującej życie – wykrztusiła z trudem. – I zgadzają się na pobranie narządów... – Złapała kuchenną ściereczkę i zaczęła wpychać ją sobie do ust. – Zaraz się posikam!!!

– Wiesz co? – Mirek zaraził się jej śmiechem. – Wiesz, kiedy dotarło do mnie, że mam nienormalną siostrę?

– No? – Zasłoniła twarz ściereczką. – Dawaj!

– Zapytałaś mnie kiedyś, czy znam imiona reniferów Świętego Mikołaja. Nie znałem. Więc mnie oświeciłaś, że to Kacper, Melchior i Baltazar.

– Kiedy to było?!

– Kilkanaście lat temu. Z natury pamiętliwy jestem. Pewnie po ojcu. – Wzruszył ramionami.

– Idź wreszcie! – Wiktoria nie podzielała ich wesołości. Salceson? Złoty półmisek? Aparatura podtrzymująca życie? Trzej Królowie zaprzęgnięci do sań? Zazdrościła, że potrafią ze wszystkiego się śmiać.

– Emilka! Czy ja się wreszcie dowiem, co on chce powiedzieć?

– Oczywiście, że się dowiesz. – Siostrzenica poprawiała rozmazany od śmiechu makijaż różkiem ręcznika papierowego. – Teraz. Zaraz. Słyszałaś przecież...

– To dla niego zrobiłaś ojcu wykład o różnicy między pedałami a gejami? Tak?

– A co Mirek ma wspólnego z gejami? – Emilka patrzyła na nią ze zdumieniem. – Chyba tyle samo, co Kacper, Melchior i Baltazar z reniferami – parsknęła. – Uwierzysz, że ja naprawdę nie pamiętam, że bym to pomyliła... Musiałam być bardzo mała...

– Sama mi mówiłaś, że on nie lubi dziewczyn. – Wspomnienia z dzieciństwa musiały poczekać na lepszy moment.

– Bo nie lubi.

– To myślałam, że jest gejem.

– Mirek?! No, teraz to cię poniesło... – Siostrzenica przyglądała się Wiktorii ze zdumieniem, a że jej brat wrócił akurat do kuchni po kolejne półmiski, nie omieszkała mu donieść: – Czaisz? Ona myślała, że jesteś gejem.

– Zaraz się posikam – prychnął Mirek, krzywiąc się ironicznie. – I co jeszcze myślałaś?

– Nie czekając na odpowiedź, wziął salaterkę z dymiącym bigosem w jedną rękę, a srebrną patelnię z zawiniętymi w szynkę szparagami w drugą i ponownie zniknął im z oczu.

– Emilka, co tu się dzieje? – Wika miała wrażenie, że podłoga się pod nią ugina.

– O czym on chce nam powiedzieć?

– Jak to co się dzieje? Ojciec wrócił z morza, przyszli dziadkowie, Mirek robi za kelnera, my za hostessy...

– Przestań się wygłupiać! Powiedz mi natychmiast całą prawdę! – Brwi Wiktorii ściągnęły się w supełek. – Chyba wiesz, że możesz mi zaufać?

– Wiem. Ale nic z tego. Sorki, ciociu. – Nazywała ją ciocią tylko wtedy, kiedy chciała być złośliwa albo przymilna. – Obiecałam, że nie puszcę pary z gęby. Nawet tobie. Zrozum. To mój brat.

– Ale ja naprawdę po... – Wika nie dokończyła. Tuż przed oczyma zobaczyła wyprostowaną dłoń Emilki. – Nie będę mówić do ręki, mała zołzo!

ROZDZIAŁ 26

Stół przygotowany na Wawelu dla Sobieskiego na pewno był większy i dłuższy niż ten, za którym siedział Sławek, ale ilość potraw na metr kwadratowy wydawała się porównywalna. Talerze i półmiski ledwo mieściły się na blacie, więc Mela musiała zabrać świeczniki i ikebanę, zamówioną specjalnie w pobliskiej kwiaciarni. Janina chwaliła córkę za królewskie powitanie męża, dopominając się przy okazji uznania dla siebie – wszak gdyby nie jej wychowanie, kto wie, czy Amelia wyrosłaby na idealną panią domu?

– Masz rację, mamó. Moja żona jest prawie tak doskonała jak ty. Jeszcze jej trochę do ciebie brakuje, ale liczę, że nie spocznie na laurach...

– Ładne mi spoczywanie na laurach. – Bernard wskazał głową na uginający się stół.
– Chyba prędzej droga krzyżowa!

– Udała nam się córcia, oj, udała... I tak ładnie razem wyglądacie... – Teściowa czule spojrziała na Sławka, a potem zajęła się wycieraniem łez, które nagle napłynęły jej do oczu.

– Serce rośnie... Gdyby Wiktorii się jeszcze życie ułożyło...

– Czy dobrze słyszę, że o mnie mowa? – Wika i Emilka zgasiły światło w kuchni i chwilę podsłuchiwały, zanim weszły do salonu. – Mam nadzieję, że to nie przeze mnie teraz płaczesz?

– Zajęła krzesło obok Mirka, spoglądając na niego nerwowo. Miała wrażenie, że siedzi w samolocie tuż przy obłożonym dynamitem zamachowcu. A może niepotrzebnie się boi? Może siostrzeniec powie, że się wyprowadza, bo chce być po prostu bardziej samodzielny?

– Nie. Ja tak ze szczęścia i ze wzruszenia. Jak na nich patrzę... – Janina szybko wytarła łzy. – A wiesz, że jak wychodziliśmy z domu, to prosto na Bożydara wpadliśmy? Zapytał, dokąd się wybieramy tak elegancko ubrani. To mu powiedziałam, że mamy wielkie święto w rodzinie, bo Sławuś przyjechał. Pan doktor kazał was wszystkich serdecznie pozdrowić, a tobie – spojrziała znacząco na Wiktorię – przesyła specjalne ukłony.

– Dziękuję i nawzajem. Czy ktoś chce sałatki z papryką? – Podniosła do góry stojącą najbliżej salaterkę. – Emilka robiła, więc na pewno nie ma więcej niż pięć kalorii.

– Ja poproszę! Jeśli wnusia robiła, to dziadek nie odmówi.

– Ja też. – Mirek wziął sałatkę, nałożył sobie i przekazał salaterkę Bernardowi.

– Kto to jest Bożydar? – zapytał Sławek z życzliwą ciekawością. – Jakoś nie kojarzę? Znamy go? – Spojrzał na Mełę. – Nic nie wspominałaś.

Wiktorię oczywiście zignorował.

– Cudowny człowiek, Sławusiu! Cu-do-wny! Lekarz. Grzeczny, stateczny, serdeczny...

– Dajże spokój! Co to? Jakaś pieśń kościelna? Grzeczny, stateczny, serdeczny? – fuknął Bernard. – Bardzo dobra ta twoja sałatka, Emilko. Naprawdę pyszna.

Wnuczka podziękowała, krańnięjąc z radości. Małżonka zdawała się go nie słyszeć.

– I powiem ci, że Wiktoria wpadła mu w oko – kontynuowała, nie odrywając wzroku od zięcia. – Co on w niej zobaczył, to Bóg jeden wie...

– Bez przesady. Całkiem nieźle się trzyma. – Sławek spojrział wreszcie na szwagierkę i pokiwał z uznaniem głową. – Naprawdę dobrze wyglądasz.

Odpowiedziała uśmiechem, chociaż w środku gotowała się z wściekłości. Zrozumiała wreszcie, od kogo Mirek nauczył się sztuki doprowadzania ludzi do furii za pomocą uprzejmości. Jakże dobrze potrafiła sobie teraz wyobrazić, co czuła Emilka, którą brat bez przerwy prowokował pozornie grzecznym zachowaniem. Nie dziwiła się już wcale, że dziewczyna wciąż

się wściekała. Sama miała właśnie ochotę wrzasnąć do szwagra: „Goń się, debilu!”.

– A tam, się trzyma! – Janina machnęła ręką, taksując przez chwilę młodszą córkę krytycznym wzrokiem. – Swoje lata już ma, to wiadomo: dzisiaj się trzyma, a jutro posypie.

– Trzeba ich koniecznie ze sobą umówić. Nie zasypiaj gruszek w popiele, mamó. Lekarz w rodzinie bardzo by się przydał. Nie musiałybyś tyle czasu po przychodniach wysiadywać i miesiącami czekać na badania...

– On jest pediatrą. Janina jeszcze aż tak bardzo nie zdziecinniała. – Teść patrzył na Sławka bez zachwyty. – I wcale nie uważam, żeby taki znowu cudowny był. Pokurczone toto jakies. I oczy jak u tych psów, co sanki ciągną. Jak to one się nazywają?

– Husky – odpowiedziała Emilka.

– No właśnie! Psu może i pasują takie wyblakłe oczy, ale nie chłopu! Na dodatek jak mi podaje rękę, to zawsze mokra. – Bernard puścił oko do Wiktorii. – Ja bym swojemu dziecku takiego pediatry nie życzył. Nawet jeśli dziecko ma już swoje lata...

– Ależ co ty, Beniu, opowiadasz?! To przystojny, bardzo elegancki, czysty i pachnący mężczyzna. A jaki kulturalny, delikatny, uprzejmy, pomocny. Jak matką się opiekuje. No skarb. Mówię ci, Sławusiu, skarb! I nie myśl sobie, że ja gruszki w popiele zasypiam. Umówiłam ich ze sobą, ale niestety... Ona go nie chce. Wyobrażasz sobie? On ją chce, a ona jego nie! Nauczycielka w latach odrzuca lekarza. Taką dobrą partię.

– Wiktorio, czemu go nie chcesz? – Szwagier wyglądał na równie przybitego jak jej matka. – Z tego, co słyszę, to naprawdę fajny z niego kawaler.

– Czekam na księcia z bajki – odpowiedziała Wikтория uprzejmie. – Romantycznego, szczerego... – Oparła łokieć o stół i zaczęła wyliczać, odginając palce: – Takiego, który nie będzie obsesyjnie kontrolował rzeczywistości. Takiego, który będzie mnie kochał, a nie tylko posiadał. Takiego, którego potrafi poruszyć coś więcej niż za ciasne buty. – Wyprostowała wszystkie palce prawej dłoni, więc oparła o stół lewy łokieć i uśmiechnęła się najśladszym ze swoich uśmiechów. – Wymieniać dalej? Czy wystarczy?

– Floł masz odjechany, że kucajcie narody. – Emilka patrzyła na nią z podziwem. – Ale z tego, co słyszę, to mi wynika, że też skończysz z Panem Pipetą. I dobrze! – Parsknęła śmiechem. – Nasze dzieci będą podwójnie spokrewnione.

– No sam, Sławuś, zobacz. Rozumiesz coś z tego, co one mówią?

Sławuś nie rozumiał, co mówi jego córka, ale za to bezbłędnie odszyfrował przekaz szwagierki: „Czekam na księcia z bajki, który jest twoim przeciwieństwem”. Na szczęście on też nie miałby ochoty na księżniczkę taką jak ona.

– Spokojnie, mamó. Wikтория przyznała właśnie, że szuka księcia. Ma do tego prawo. Najwidoczniej za dużo bajek w dzieciństwie czytała, a i teraz przecież wciąż je dzieciom czyta. Pewnie dlatego trudno jej dorosnąć. Dajmy jej spokój. Nie ona temu winna, tylko lektury. Masz już dość tej rozmowy, prawda? Widzę, że jesteś wyraźnie poirytowana. – Spojrzał na nią troskliwie. – Spieszę ci z odsieczą i zmieniam temat. Jeśli pozwolicie, opowiem wam coś à propos lektur... – Rozejrzał się po gawiedzi, nikt nie protestował, brakowało tylko, by zakrzyknęli jednogłośnie: „Prosimy!!!”. – Mamy na statku pokaźną bibliotekę. Kiedy tylko znajduję fundusze, uzupełniam ją o co ciekawsze pozycje. Internet Internetem, ale prawdziwej książki nic nie zastąpi, więc dbam, żeby się ta nasza biblioteka rozrastała. Ostatnio funduszy było więcej i zamówienie okazało się na tyle duże, że dostaliśmy dwie książki gratis. Niestety obydwie były jakimiś babskimi czytałkami. Ale sobie pomyślałem, że jak chłopaki już wszystko połkną, to i po nie sięgną, więc wystawiłem na półki. I uwierzycie? Nie sięgnęli! To znaczy sięgali, ale zaraz oddawali. Po przeczytaniu kilkunastu stron przynosili z powrotem, dziwiąc się, że ktoś w ogóle to czyta. Odkryłem wtedy pewne prawo...

– Powiesz jakie? Bo widzę, że jesteś wyraźnie podekscytowany. – Wiktoria przekrzywiła głowę jak dziecko.

– Odkryłem, że kobiety szukają w książkach złudzeń, a mężczyźni prawdy. Dlatego wybieramy zupełnie inne lektury i dlatego moi matrosi dali sobie spokój z babskimi czytadłami. Fabuła im się w głowie nie mieściła, po prostu... – Sławek podparł brodę dłonią i jakiś czas milczał, wpatrując się w Wiktorię natarczywie. – Ale to też tłumaczy, dlaczego szukasz księcia z bajki. Złudzenia, moja droga, złudzenia!

– Pozwolisz, że jednak nie stracę nadziei?

– Oczywiście, że pozwolę. – Podniósł obie dłonie w geście kapitulacji. – Łudź się ile dusza zapagnie!

– Dziękuję, łaskawco!

Na szczęście Bernard zagadnął zięcia o ulubione książki marynarzy, a że były to pozycje historyczne, wdali się w burzliwą dyskusję na temat Sikorskiego, Piłsudskiego, Petlury, Stalina, Witosa, Mikołajczyka, Mołotowa, Dmowskiego, Moraczewskiego, Grabskiego... Przerzucając się jedynie słusznymi argumentami i wygłaszając kolejne jedynie słuszne prawdy historyczne, omal nie skoczyli sobie do gardeł, bo mieli zupełnie odmienne argumenty i zupełnie odmienne prawdy. Chociaż atmosfera przy stole zrobiła się na pierwszy rzut oka gorąca, to w gruncie rzeczy akademicka awantura Sławka i Bernarda wyciszyła wszystkich pozostałych. Pan domu i jego teść przekrzykiwali się i wyzywali od ignorantów, bękartów Europy, bachorów komuny oraz pseudo-Polaków, a w tym czasie Mela wymieniła talerzyki na czyste, Emilka przykucnęła obok krzesła babci, żeby podyktować jej przepis na sałatkę, natomiast Wiktoria miała wystarczająco dużo czasu, by się uspokoić.

Kiedy się uspokoiła, dotarło do niej, że Mirek od dłuższego czasu bawi się widelcem, rysując nim esy-floresy w miseczce z majonezem.

– A ty? Czemu nie politykujesz? – zagadnęła cicho. – Na pewno masz coś do powiedzenia. Zdawałeś przecież rozszerzoną maturę z historii. I jeśli dobrze pamiętam, to przedtem wygrałeś dwie olimpiady.

– Nie wygrałem. Byłem tylko finalistą, nie laureatem. – Wzruszył ramionami.

– A za dyskusję z nimi serdecznie dziękuję. Jeśli się odezwę, staną się bardzo zgodni i obydwaj wskoczą na mnie. Dziadek powie, że o niczym nie mam pojęcia, bo uczyłem się z podręczników, które fałszują historię, żeby pozbawić nas tożsamości narodowej i zrobić z nas bezwolnych wyrobników Unii, a ojciec poprze go z całego serca i zacznie opowiadać o oficerach z Zachodu, których musiał odsyłać do domu, bo tamtejsze szkoły morskie przygotowały ich do pracy tylko na jednym typie silnika: albo Burmeister, albo Diesel. Nie to, co nasze stare dobre akademie, które wypuszczały matrosów umiejących pływać na każdym rodzaju silnika, a nawet bez silnika! Zaraz potem oznajmią jednogłośnie, że jestem głupkiem, który nie dorósł do ich dyskusji, bo nic nie wie. Szkoda nerwów. Poza tym oni to lubią. Bądź spokojna. – Ponownie wzruszył ramionami. – Jeszcze trochę i się zmęczą, a na zgodę otworzą butelkę.

Nie minął kwadrans, a Bernard stuknął kieliszkiem o kieliszek Sławka.

– Zdrowie! Najważniejsze, że szczęśliwie wróciłeś i zajmiesz się wreszcie tym uroczym stadkiem, które trochę się w międzyczasie rozrosło. Mam nadzieję, że Wiktoria pozwoli ci tu mieszkać? – Uśmiechnął się do córki. – Jak tam, panno dziedziczko? Nie wygonisz chyba szwagra ze swoich włości? Dasz mu tu jakiś kąt?

– Tato, przestań – bąknęła Wiktoria. – To tak samo jego dom jak i mój – dodała, choć miała poczucie, że dom dużo bardziej należy do Sławka niż do niej.

– W świetle prawa zupełnie nie masz racji, córeczko. – Bernard chciał się chyba zemścić za jedynie słuszne prawdy, które przed chwilą głosił zięć. Całkiem dobrze mu szło: Sławek coraz mocniej zaciskał zęby. – Zresztą mamy tu prawnika... Miruś! Wyjaśnij ojcu i cioci, jak to wygląda.

– Skoro już zostałem wezwany do tablicy, to po pierwsze, odcinam się od tematu, bo nie jestem jeszcze prawnikiem; jestem studentem prawa. A po drugie, chciałem wam coś powiedzieć... – Chociaż głos chłopaka był spokojny i pozornie beznamiętny, siedząca tuż obok Wiktoria dostrzegła wykwitające na jego twarzy wielkie czerwone placki. – Jeśli rozmawiamy o tym, kto w tym domu zostaje, a kto nie, to chciałem powiedzieć, że ja się niedługo wyprowadzam. – Przełknął z trudem ślinę. – Za dwa, trzy dni. Wy...

Słowa ugrzęzły mu w gardle, więc zamilkł. Reszta towarzystwa spoglądała po sobie, jakby każdy chciał się upewnić, że dobrze zrozumiał. Emilka i Wiktoria spuściły głowy.

– Postanowiłeś udowodnić, że jesteś dorosły, tak? – Sławek pierwszy zapanował nad emocjami i odzyskał głos. – Wynajmiesz mieszkanie z kolegami, a ja będę za nie płacił? Jak za wszystkie twoje dotychczasowe fanaberie zresztą? Chcesz raptem wydorosnąć na mój koszt? Dobrze zgaduję?

– Wnusię, co ciebie tak nosi? Najpierw chciałeś do Warszawy uciekać, a teraz na wynajmowany kąt... Jeszcze się sam namieszkasz, zobaczysz. Przecież ty dziecko wciąż jesteś. Tyle lat nauki przed tobą... Rób wszystko po kolei, a nie na łapu-capu to życie szarpiesz – tłumaczyła Janina, ocierając łzy. – Teraz jest czas, żeby studiować i przy rodzinie siedzieć. Przy ojcu, matce, siostrze... Czego ci tu brakuje?

– Niczego mu nie brakuje. Wręcz przeciwnie: za dobrze ma. Wszystko na tacy podane. I takie są efekty. – Sławek spojrzał z pretensją na żonę. – Zamiast docenić i podziękować, wyciąga rękę po więcej.

– Doceniam. A ręki po nic nie wyciągam. Ja was tylko informuję...

– Przestań mi tu pyskować – ojciec przerwał Mirkowi w pół zdania, ledwo powstrzymując się od krzyku. – Co tobie się wydaje? Że staniesz się mężczyzną tylko dlatego, że zamiast wprost poprosić mnie o pieniądze, będziesz domagał się pożyczki, którą obiecasz oddać z nawiązką? Nic z tego, mój synu! Mężczyzna tym się głównie różni od zwykłego samca, że ma pieniądze. Zarób je najpierw, potem możesz się wyprowadzać, dokąd chcesz. Droga wolna. Ale dopóki żyjesz na naszym garnuszku, to jesteś tylko chłopcem i zwykłym samcem. – Spojrzał na niego nieco łagodniej. – Chociaż nie wątpię, że za kilka lat staniesz się mężczyzną. I wiesz chyba, że ci w tym pomogę. Choćbym miał sobie żyły wypruć.

– Nie musisz sobie niczego wypruwać. – Mirek podniósł głowę i mierzył się wzrokiem z coraz bardziej zdenerwowanym ojcem. Wiktoria miała przeogromną ochotę powiedzieć do szwagra: „Widzę, że jesteś wyraźnie poirytowany”, ale poprzestała na złośliwych fantazjach. Głównie ze względu na Mirka. – Od stycznia przenoszę się na zaoczne. Znalazłem już pracę. W biurze notarialnym, więc złapię trochę praktyki.

– A ja cię zaraz za łeb złapię i nim potrząsnę!!! – Tego było już dla Sławka za wiele. – Żadnych zaocznych, żadnej pracy i żadnej wyprowadzki! Zrozumiano?! Stać mnie jeszcze na to, żeby zapewnić własnym dzieciom warunki do normalnego kształcenia! Skończmy tę bezsensowną rozmowę, dobrze?! – Z zawodowego przyzwyczajenia chciał dorzucić: „Bo jeśli nie, to w najbliższym porcie wracasz do domu”.

– Za sześć miesięcy zostaniecie dziadkami. – Mirek uśmiechnął się uprzejmie do ojca i oniemiałej matki. – Wyprowadzam się do Justyny. Jestem z nią już prawie dwa lata. Utrzymywaliśmy nasz związek w tajemnicy, bo... bo... – zająknął się, a potem dokończył desperacko, polykając z nerwów sylaby: – Ona wykłada prawo. W zeszłym roku miała z nami

zajęcia. Próbowaliśmy nad tym zapanować, ale się nie dało. Teraz, kiedy Justyna jest w ciąży, nie ma sensu dłużej się ukrywać. Chcemy być razem i bardzo się kochamy.

– Amen! – Kiwnęła głową Emilka i podniosła szklankę z wodą. – Ja cię błogosławię. Żyjcie długo i szczęśliwie. A wiadomo już, co to będzie? Chłopczyk czy dziewczynka? Dżizas! – zakrzyknęła. – Zostanę ciotką?! Ciotka Emilka... Fatalnie brzmi, co nie? Jakbym szydełkowała pokrowce na kontrabasy. Ale siara!

– Uspokój się – syknęła Wika, widząc pobladłe twarze dziadków i... przyszłych dziadków. Wyglądali jak eksponaty z gabinetu figur woskowych.

Sama ledwo przyswajała tę wstrząsającą informację, więc co dopiero musiało się dziać w głowie Meli? I Sławka... Trochę mu nawet w tej chwili współczuła. Już nie miała ochoty mówić „Widzę, że jesteś wyraźnie zaskoczony”. Opisując księcia z bajki, wytykała szwagrowi złośliwie jego wady, ale głównie po to, by przygotować Amelii grunt pod rozmowę na temat pracy. Nie miała pojęcia, że coś przebije tę sensację...

– Wykłada prawo? To ile ona ma lat? – Tym razem Bernard pierwszy odzyskał zimną krew.

– Trzydzieści dwa. Ale różnica wieku nie ma dla nas żadnego znaczenia.

– Co się tak na niego patrzycie i wytrzeszczacie oczy? Było mnie słuchać! – prychnęła pogardliwie Emilka. – Tyle razy wam mówiłam, że on nie lubi dziewczyn.

– Moje kumpele od dawna przezywają go Benjamin. Kleisz?

– Nie kleję.

– Ojej! No od Benjamin Braddocka z *Absolwenta* – cmoknęła zniecierpliwiona Emilka.

– Już kleję. Dustin Hoff... – Wiktoria urwała i wytrzeszczyła oczy. – A skąd ty znasz ten film?!

– Słyszałam o nim w przymierzalni! – dziewczyna fuknęła sarkastycznie, a potem westchnęła. – Rozumiem, że ty też uważasz mnie za skończonego muła?

– Broń Boże! Ale to bardzo stara produkcja.

– Znam prawie wszystkie filmy, które dostały Oscara, jakbyś chciała wiedzieć.

– Siostrzenica wyglądała na mocno nadąsaną. – I jestem pewna, że w tym domu to akurat ja mam je najlepiej obczajone.

– Mhm. Tylko z pokazaniem hasła „Hollywood” nie umiałaś sobie poradzić...

– Sorry! To raczej wy sobie nie poradziłyście.

– Dobrze już. – Wika oparła się bezsilnie o kuchenny blat. – Możemy wrócić do Benjamin vel Mirka?

– A czy to ja zmieniam temat? Znowu ja jestem winna, tak? Też kiedyś stąd ucieknę. Zobaczysz! – Chociaż w głosie Emilki słychać było oburzenie, to oczy jej się śmiały. – No więc Mirek znalazł sobie panią Robinson... Ja się o niej dowiedziałam zaraz po tym, jak im się lover włączył. Pech chciał, że taka jedna pinda z mojej klasy jest sąsiadką tej całej Justyny. Szybko ich rozkminiła, a potem rozniosła niusa po całej szkole. Co ja się wtedy przez niego musiałam nasłuchać! Totalną hejterką się stałam i miałam ochotę go regularnie zabić. Bo czaisz? Cudowny, idealny, nieskazitelny Miruś! – Krzywiła się, parodiując zachwyty. – Wszyscy się mało za nim nie posrali w tym domu...

– To nie do wiary. – Pokręciła głową Wiktoria. – Nie dalej jak dzisiaj rano mówiłam twojej mamie, że zaczynasz panować nad językiem i wysławiasz się w miarę po ludzku.

– Okej, sorry! Staram się mówić jak człowiek, ale z tego wszystkiego wyższy level emocji mi się niechcący zaktywował.

– Wiesz o nich od ponad roku i nic nam nie powiedziałaś? Dlaczego?
– A co by to dało? Przecież i tak robiłby swoje, a w domu tylko zgrzyty by były niepotrzebne i jazdy po bandzie bez trzymanki. Poza tym nie uwierzysz, jaką miałam radochę, wysłuchując, jaki z niego wielce zajebi... wielce fajny synek i wnuczek! Erasmus, Warszawa, prawo... – Uśmiechnęła się złośliwie. – Yhy! Erasmus srazmus! I te jego wieczne nocowanki u Rafała, wspólne obiadki, treningi, wyjazdy... A Rafała od września w Szczecinie nie ma, bo pojechał na rok do Wrocławia. – Ustawiła w zmywarce ostatni talerz, zamknęła ją i włączyła.
– No, to mamy pozamiatane! Chyba wszystko już sprzątnęliśmy po bitwie. Ale przyznaj, że piękne było Waterloo, prawda?
– Powinnaś nam jednak była powiedzieć...
– Dżizas! Jaka ty jesteś, no! Pytam się raz jeszcze: co by to dało?! – Emilka obrzuciła ciotkę niechętnym spojrzeniem. – Mirek miał rację, że wam nic nie mówił. Może ty go nie rozumiesz, ale ja tak. Bardzo dobrze zrobił! Wszyscy by się miesiącami szarpali bez sensu. A tak, to był tylko jeden dym. Z fasonem, trzeba przyznać, ale jeden. Więc uważam, że zamiast się na mnie... stroszyć... – Zachichotała, ale szybko spoważniała. – Uważam, że zamiast się na mnie stroszyć, powinnaś mi podziękować. I Mirkowi też! Chciałabyś codziennie przeżywać coś takiego jak dzisiaj?
– Raczej nie...
– No właśnie! – Emilka wzięła się pod boki. – To zrozum wreszcie, że ja nie mam mózgu gimbazy i ściemniałam, bo chciałam dobrze dla wszystkich! Też niepotrzebnego dymu nie lubię. A takiego, jak tu był, to się nawet nie spodziewałam. Chociaż uprzedzałam nolajfa, że ojcu agresor się włączy i zacznie musować jak bąbel w oranżadzie. Ale żeby aż tak? Widziałaś kiedyś taką jazdę?

Wiktoria nie mogła się przyznać, że brała udział w dużo gorszych jazdach i widziała dużo gorsze dymy. Były one jednak kameralne: w czterech ścianach, bez udziału osób trzecich. W towarzystwie Paweł uchodził za dżentelmena, który ją uwielbia, obsypuje prezentami i rozpieszcza... Ale rzeczywiście, to, co wydarzyło się w tym domu przed kilkunastoma minutami, wstrząsnęło nawet nią. A co dopiero Emilkę.

Mirek powiedział, co miał do powiedzenia, i ostentacyjnie zamilkł; Sławek dostał ataku furii i wykrzykiwał, że jutro osobiście pójdzie do tej pedofilki i się z nią rozmówi; Mela straciła kontakt z rzeczywistością i siedziała otępiała na swoim krześle; Janina szlochała, Bernard polał sobie i wypił jedną po drugiej trzy kolejki, a Wiktoria wciąż uciszała radośnie szczebioczącą Emilkę.

Podjeżdżała, że siostrzenica realizuje obmyśloną wcześniej z bratem strategię i bierze na siebie rolę odgromnika. Po przedstawieniu, jakie urządzili podczas sprzątania, Wiktorii wydawało się prawdopodobne, że te diablęta znowu uknuły intrygę, by wyprowadzić wroga w pole albo przynajmniej trochę go unieszkodliwić. Tym razem się jednak nie udało. Emilka została brutalnie wyproszona z salonu, krótko potem opuścił go również Mirek. On akurat z własnej woli: złapał kurtkę i wybiegł z domu, trzaskając drzwiami. Nie było to ani mądre, ani dojrzałe, ale przynajmniej wyrwało Melę z otępienia. Zaczęła klócić się z mężem, z trudem przekrzykując własną matkę, która zaciekle awanturowała się z Bernardem.

Nikt nikogo nie oszczędzał. Wiktoria siedziała, patrzyła i słuchała... Bała się nie tylko odezwać, ale choćby poruszyć. Straszne były te wszystkie pretensje i zarzuty, którymi się zasypywali. Wywlekali od lat skrywane żale i tajemnice. Niektóre tak głupie, że wstyd było o nich mówić, a niektóre tak ważne, że aż dziw, jak dali radę tyle czasu milczeć. Ale sama też

przecież latami dusiła w sobie prawdę. Nie mogła ich potępić. Mogła się tylko pocieszać, że nie ona jedna... I podziwiać, że oni – chociaż są wściekli – nie biją...

Miała ochotę uciec do Emilki i razem z nią słuchać ogłuszającego ymcyk-ymcyk-dżdż-dżdż-dżdż-ymcyk-ymcyk, ale bała się podnieść z krzesła.

Tkwiła w bezruchu, dopóki nie przyjechała taksówka, którą zamówili Bernard i Janina. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Sławek poprosił Melę o rozmowę w cztery oczy.

– Idźcie pogadać na górę! – Uwolniła się wreszcie ze swojego krzesła i radośnie poparła szwagra. – Ja tu wszystko posprzątam. Podeślijcie mi tylko Emilkę do pomocy. O ile może już wyjść ze swojego pokoju oczywiście... – Spojrzała pokornie na Sławka.

– Oczywiście – przytaknął. – Zaraz jej powiem, żeby zeszła ci pomóc. Dziękuję.

Po chwili zamilkło rozdzierające uszy ymcyk-ymcyk-dżdż-dżdż-dżdż-ymcyk-ymcyk, a po minucie w kuchni pojawiła się Emilka.

– Władca ogłosił amnestię, ale zesłał mnie na sprzątanie. Fajna impra była, co nie?

Zebrały ze stołu królewską zastawę i ogromne ilości jedzenia. Z trudem udało im się zrobić w lodówce miejsce na wszystkie rarytasy i przysmaki, od kilku dni szykowane specjalnie na tę kolację.

– Nerwy to jednak najlepszy środek odchudzający – zauważyła beztróska Emilka, wakując sałatki. – Chyba tylko ja się dzisiaj porządnie najadłam.

– Szczerze zazdrosczę. Nie tylko apetytu, ale i dobrego humoru. – Wika miała ochotę uraczyć ją dłuższą pogadanką, bo zachowanie siostrzenicy zupełnie jej się nie podobało, ale w tym momencie w kieszeni niemiłosiernie zszarganych, dziurawych i wystrzępionych džinsów rozległ się sygnał telefonu. Wiktoria odłożyła na później to, co miała do powiedzenia, i uśmiechnęła się pod nosem. Dopiero teraz zauważyła te spodnie. Prawdopodobnie na znak buntu i nieśmiałego protestu Emilka postanowiła się przebrać, kiedy ojciec odesłał ją do pokoju. Zemsta godna osiemnastolatki!

– O, Mirek napisał... – Stuknęła w ekran i odczytała wiadomość: – „Mam nadzieję, że nie popsulem rodzinnej kolacji. Przepraszam ich w moim imieniu. O ile ktoś cię tam jeszcze słucha”.

– Gdzie on teraz jest? U tej swojej Justyny?

– Skąd mam wiedzieć? – Emilka rozłożyła ręce. – Pewnie tak... Czekał, zaraz zapytam...

– Płynnie przesuwając kciukiem po klawiaturze, prawie nie patrząc na telefon. – Myślę, że u niej. Gdzie miałby być?

– Widziałaś ją kiedyś?

– Tylko na fotach. Najpierw poprosiłam tę pindowatą durną Jolkę... tę jej sąsiadkę, a moją kumpelę znaczy... Chociaż to żadna kumpela tak naprawdę. W życiu z nią flołu nie złapię... – Zniecierpliwiona mina Wiktorii przyspieszyła narrację. – Na tych fotach od Jolki to wyglądała mało ciekawie. Ale wczoraj wieczorem, a w zasadzie w nocy, bo siedziałam i gadałam z Mirkiem prawie całą noc... Chyba dlatego byłam rano tak padnięta, że aż stanęłam na laptopa zamiast na wagę... Swoją drogą raz jeszcze megadziękuję, że mi swojego kompa oddałaś...

– Skup się!!!

– Skupiam się! Jestem bardziej skupiona niż ta odessana sałatka. – Emilka pomachała kolejnym pojemnikiem próżniowym i upchnęła go w lodówce. – Wczoraj Mirek pokazał mi kilka zdjęć. Tej Justyny, znaczy. Całkiem w porządku się wydaje. Wprawdzie widać, że już nie z pierwszego odłowu i jakaś taka... – Zamyśliła się, szukając odpowiedniego słowa.

– Tradycyjna... Tradycjonalna? Jak to powiedzieć? Nieważne! No taka całkiem inna niż ja i niż moje kumpele i jego kumpele. Kminisz, co mam na myśli?

– Chyba tak... – powiedziała Wiktoria, choć nie była do końca pewna, czy dobrze kmini.
– Ale on nigdy by normalnej laski nie wyhaczył przecież. Zawsze szukał mądrych starych nudziar. Nie myślałam tylko, że aż tak starych... O, odpowiedział! – Złapała za pobrzękującą komórkę. Wpatrywała się w ekran z coraz szerszym uśmiechem, a potem zaniosła się radosnym chichotem. – Ależ kochany braciszek raptem się z niego zrobił!

– Co napisał?

– „Tak. Jestem u Justyny. Pyta, kiedy nas odwiedzisz, bo chciałyby cię poznać. Zadzwoń jutro, jak będziesz mogła rozmawiać. Musisz mi pomóc wynieść moje rzeczy. Chyba że ojciec już je spalił, a potem mnie wyklął. Jeśli nie, to zorganizuj wszystko tak, żebym dał radę przyjechać i zabrać je, kiedy rodziców nie będzie. Kocham cię, siostrzyczko!”

– To cię tak rozbawiło? – westchnęła Wiktoria. – Bo dla mnie nie ma w tym nic śmiesznego...

– Daj spokój. Też mam uczucia. Hełol!!! – Nastolatka wyglądała na mocno urażoną. – Jak pozwolisz mi doczytać do końca, to będziesz wiedziała, co mnie tak mega rozbawiło. Mogę?

– Oczywiście. – Wika skinęła głową. Coraz bardziej opadała z sił.

– No to słuchaj! – Emilka ponownie skoncentrowała się na telefonie i podrygując ze śmiechu, sylabizowała: – „A teraz przekażę ci to w twoim języku, żebyś na pewno wszystko zrozumiała. Zadekowałem się u mojej laski. Przesyła ci pozdro. Kolnij do mnie, jak będziesz bez pluskiew. Potrzebuję help, żeby się wyautować z chaty i zabrać stragan. Chyba że staremu się włączył hejter i mam pozamiatane. Jeśli nie, to wyczaj bazę i daj strzałę, kiedy mogę zawinąć na kwadrat. Nara!”

– Mój Boże... – Wiktoria zachichotała, chcąc nie chcąc. – Jacy wy, wbrew pozorom, jesteście do siebie podobni...

Dom lśnił czystością, lodówka pękała w szwach, zmywarka cichutko szumiała. Usłyszały trzeszczenie schodów, a potem zbliżające się kroki.

– No to sytuacja opanowana. – Pan kapitan stanął w drzwiach kuchni z taką samą miną, z jaką pojawiał się na mostku. – Wiem już wszystko!

– Czyli co? – Wika zerknęła ukradkiem na zegarek. Nie było ich prawie dwie godziny. W takim czasie można powiedzieć wszystko albo prawie wszystko...

– Wiem, że zostanę dziadkiem, a moja żona postanowiła zarabiać na waciki.

– Gdzie jest mama? – W głosie Emilki pobrzmiwał niepokój. – Dlaczego nie przyszła?

– Mama położyła się spać. Kazała was przeprosić, ale to był dla niej naprawdę ciężki wieczór. Należy jej się porządny odpoczynek. Ty też idź już do siebie. Dobranoc. – Spojrzał na Emilkę. – Chciałbym teraz porozmawiać z twoją ciocią.

– A o czym? – Córka ani myślała go słuchać. – Mnie się wcale nie chce spać. Zostanę tu z wami, dobra?

– Nie zostaniesz. – Sławek przestał się uśmiechać. – To nie są twoje sprawy. Bądź grzeczna i zrób, o co proszę.

Wiktoria zesztyniała. „Bądź grzeczna i zrób, o co proszę”... Paweł posługiwał się tego typu zdaniami bardzo często. A kiedy nie była grzeczna i nie robiła, o co prosił, zaczynał bić... Poczula, że ogarnia ją paniczny strach. Zaczęła powtarzać sobie w duchu, że niepotrzebnie się boi. Przecież miała stuprocentową pewność, że Sławek nigdy jej nie uderzy. Ale skojarzenie zrobiło swoje. Te same słowa... to samo zimne spojrzenie... ten sam cynizm... to samo opanowanie... ta sama bezwzględna kontrola uczuć i emocji...

Mimo że nakazywała sobie spokój, denerwowała się coraz bardziej. Resztką

przytomności postanowiła, że musi jak najszybciej odbyć tę cholerną rozmowę i mieć ją wreszcie za sobą. Co chciał jej powiedzieć? Dlaczego zamiast wspierać Melę, zostawił ją w sypialni? Wiedziała, że nie dowie się, dopóki nie pozbędzie się Emilki. Ta jednak, jak mały osiołek, wciąż się upierała, że nie pójdzie do siebie. Wiktoria wiedziała, skąd bierze się ten upór, i była nim naprawdę wzruszona. Ale niestety musiała teraz zagrać tak, jak Emilka i Mirek zegrali wczoraj przed Amelią.

– Dziecko! Ostatni raz cię proszę, żebyś położyła się spać! – Ojciec zawiesił głos i spojrzał na córkę podejrzliwie. – Chyba że i ty masz jakąś nowinę do ogłoszenia. Jeszcze o czymś nie wiem?

– A wiesz o tym, że nie mam laptopa, bo pomyliłam go dziś rano z wagą? – wypaliła zadziornie dziewczyna. – I że dizajn chcę studiować w Warszawie?

– O czym ona mówi? – Sławek stracił zimną krew, ale tylko na ułamek sekundy.

– To nic ważnego... – Machnęła ręką Wika, dziwiąc się, że jest jeszcze w stanie myśleć.

– Mała! Idź do swojego pokoju. Nie słyszysz, że twój tata i ja musimy porozmawiać? Szoruj na górę i nie dyskutuj teraz o durnych laptopach i dizajnach! Są poważniejsze rzeczy na tym świecie.

Czuła się podle, ale obiecała sobie, że jutro jej to wytłumaczy.

– Jasne! – Siostrzenica natychmiast nastroszyła piórka i patrzyła na Wiktorię jak na zdrązdzynię. – Przepraszam, że nie zaszłam w ciążę i nie poszłam do pracy!!! Na drugie mam To Nic Ważnego! Jak Sam Wiesz Kto!!! Od jutra mówcie mi Hermiona Granger!

– Co ty pleciesz?

– Głupoty. A co innego mogłabym pleść? Z warkoczy już dawno wyrosłam. – Odwróciła się i rzuciła przez ramię: – Pozbierałam, posprzątałam, powakowałam. Dobranoc!

– Dobranoc. – Sławek wychylił się za nią do przedpokoju. – Ale jutro sobie porozmawiamy. Długo i poważnie. Twoje zachowanie jest karygodne. I żebyś cię nigdy więcej nie widział w tych okropnych spodniach!

– Coście postanowili? – Wiktoria udawała, że nie słyszy ostentacyjnie dudniących o schody pięt. – Co teraz zrobicie? Powiem szczerze, że wam nie zazdroszczę. W życiu bym nie podejrzewała, że Mirek...

– Zostaw to mnie. Nie musisz się martwić o nas i o nasze dzieci. Chciałem z tobą porozmawiać o czymś zupełnie innym. – Skrzywił się, słysząc wybuchające na cały dom ymcyk-ymcyk-dżdż-dżdż-dżdż-ymcyk-ymcyk. – Poczekaj. Zaraz przyjdę. Muszę tylko wyjaśnić córce, że powinna przyciszyć muzykę, bo jej matka właśnie stara się zasnąć. Nie mam pojęcia, po kim Emilka odziedziczyła tę znieczulicę. A ty może w tym czasie... – Rozejrzał się po kuchni. – Widzę, że schowałyście wszystkie flaszki. Nie masz ochoty na drinka? Bo ja bym się chętnie napił. Zrobisz mi?

– Jasne!

Trzęsącymi się rękami nalewała wódkę i sok do dwóch szklanek. Zatopiła w nich plasterki cytryny, a potem rozsypała kostki lodu po całej podłodze – zbyt nerwowo szarpała wyciągnięty z zamrażalnika foliowy woreczek. Zdażyła sprzątnąć głównie dzięki Emilce, która próbowała negocjować z nieustępliwym ojcem. Trwało to na tyle długo, że Wiktoria zdołała się trochę wyciszyć i parę rzeczy postanowić.

Kiedy Sławek wrócił do kuchni, siedziała przy stole, sącząc drinka z obojętną miną.

– Przepraszam, że musiałś czekać, ale ona jest nie do wytrzymania! – Szwagier wznosił oczy do góry, spoglądając w tę część domu, gdzie znajdował się pokój jego córki. – Od jutra się

nią zajmę. No więc... Chciałbym z tobą porozmawiać o...

– Chwila! – Wiktoria uniosła dłoń. – Ja wiem, że nie muszę się martwić o was i o wasze dzieci, ale czy ty wiesz, że Mirek chce tu przyjechać po rzeczy, kiedy was nie będzie w domu? Emilka ma mu pomóc. – Czuję, że zdradza zaufanie siostrzenicy, sytuacja była jednak zbyt poważna. – Nie chcę się wtrącać, ale wydaje mi się, że...

– Chwila! – Sławek powtórzył gest Wiki. – Mówiłem przecież, że dam sobie z tym radę. Nie będziemy teraz rozmawiać o Mirku. Nie potrzebuję niczyjej pomocy. Tyle lat radziłem sobie z problemami swojej rodziny bez ciebie, poradzę sobie i dziś. Chciałbym z tobą porozmawiać o czymś zupełnie innym.

– O pracy Meli? – Rozmowa ze szwagrem przypominała walenie głową w mur. Prawdopodobnie duma nie pozwoliła mu zapytać, skąd Wika wie, że Emilka knuje z bratem potajemną wyprowadzkę. Zapewne z tego samego powodu udawał też, że w ogóle go to nie interesuje. – Masz coś przeciwko temu? Melcia naprawdę nieźle sobie radzi...

– Chcę pogadać o czymś poważniejszym.

Matko jedyna?! A co może być dla niego poważniejsze od Mirka Benjamina i pracującej żony? No chyba nie rozdeptany laptop?!

– Przepraszam, ale muszę być szczerzy... – Zimne oczy z nawiązką wynagradzały brak lodu w drinku. – Nie masz wrazenia, że powinniśmy mieszkać oddzielnie? Chyba reagujemy na siebie podobnie, prawda? Lubisz mnie? Bo... przepraszam, ale powiem wprost: ja za tobą nie przepadam.

– Szczerłość za szczerłość. I co z tym zrobimy? – Wiktoria miała wrazenie, że ktoś posmarował jej spodnie miodem, a potem wsadził ją w mrowisko.

– Od lat jesteś tu panną dziedziczką, a ja zwykłym lokatorem. – Sławek uśmiechnął się uniesieniem. – Ale od lat szykowałem się na to, że kiedyś tu przyjdiesz. Bez grosza przy duszy, sama...

– Mam pieniądze! Nie dopłacasz do mnie. Ustaliliśmy z Melą równy podział wydatków i płacimy rachunki na pół. Może nie zdążyła ci o tym powiedzieć?

Patrzył na nią z pogardą i obrzydliwą litością, a ona dygotała w środku. Wciąż nie wiedziała, do czego zmierza. Chce ją wyrzucić z domu?

– Czy ty wreszcie zaczniesz rozmawiać ze mną poważnie? Co mnie obchodzą jakieś rachunki? Nie musisz ich płacić na pół. Stać mnie, żebym płacił je w całości!

– Dobrze... – Nie miała już siły walczyć. Była zdecydowanie słabsza i chciała wreszcie iść do łóżka, bez względu na to, co usłyszy. Oby tylko naciągnąć kołdrę na głowę i nie widzieć tego niby mądrego spojrzenia. – Co zatem od lat szykowałeś na moment, kiedy tu przyjdę bez grosza przy duszy?

– Spłacę cię. A ty odpiszesz się od naszego domu raz na zawsze. Odkładałem pieniądze i zbierałem niemałą sumkę. – Zanurzył usta w szklance.

– Ile? – Strach, przerażenie i niepewność odpłynęły z niej jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Opuściła głowę, żeby nie widział w jej oczach odrazy i „rzyga jak fontanna wieloryba”, jak by powiedziała Emilka. Nie rozumiała, jakim cudem był w stanie tak zimno kalkulować. Właśnie spadł mu na głowę syn, który za pół roku zostanie ojcem, żona, która poszła do pracy i prawdopodobnie nerwowo przewala się teraz w łóżku, córka, która chce studiować dizajn i siedzi zatrzęsnięta w swoim pokoju... Ale co tam! On ma teraz inne zadanie. Rozmówić się ze szwagierką!

– Czteryście tysięcy. – Odstawił drinka na stół. – Wypłacam ci jutro czteryście tysięcy i więcej się nie widzimy. Zdaję sobie sprawę, że nie jest to połowa wartości tego domu, ale więcej nie mam. To co? Pasuje?

– Nawet nie wiesz, jak bardzo. – Podniosła głowę. – Ale daj mi trochę czasu na znalezienie mieszkania.

– Niestety. Sama widzisz, co tu się dzieje...

– Tydzień? – Wstała, wyciągając do niego rękę. – Wytrzymasz ze mną tydzień?

– Patrzyła na Sławka z sympatią. Prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jej właśnie pomógł. – Za tydzień mnie tu nie będzie. Daj mi siedem dni. Jestem za stara, żeby wybiegać stąd jak wasz Mirek.

– W porządku. – Potrząsnął jej dłonią. – Cieszę się, że jesteś rozsądna.

Paweł też tak często mówił. „Cieszę się, że jesteś rozsądna”...

VIII

GOŁĄB, CZYLI PRZYJAZNY WSPÓLTOWARZYSZ

Preferuje zabudowę dużych aglomeracji. Tam, gdzie jest dokarmiany, zupełnie niepłochliwy. Zatrzymuje się rzadko i na krótko, ale za to wszędzie: na budynkach, drzewach i krzewach, jezdniach i chodnikach, balkonach i dachach.

Towarzyski przez cały rok. Samica i samiec nie różnią się wyglądem. Bez względu na płeć słabsze osobniki ustępują silniejszym, nie tylko podczas żerowania, ale także przy wyborze lokalizacji gniazda czy miejsca odpoczynku.

ROZDZIAŁ 27

– Nie mogę się doczekać, kiedy zostanę babcią. – Anka zanurzyła dłoń w długim jedwabistym futrze płowej labradorki, która wystawiła do głaskania napęczniały brzuch.

– Weterynarz powiedział, że to za sześć tygodni.

– Ale pamiętaj, że wszystkie wnuki oddajemy! – Kamil spojrział na nią z przestraczem. – Śniło mi się, że nasz dom ma na froncie wielki okrągły otwór, przez który wciąż wchodzi i wychodzą całe sfory psów, a ja jestem na zewnątrz, uwiązany na łańcuchu. Obudziłem się mokry od potu!

– Skąd te wnuczeta? Planowane? – zaśmiała się Wiktoria.

– Jakie tam planowane? – Kamil ze zgorzaniem pokręcił głową. – Ledwo na nią się zgodziłem. – Skinął w kierunku ciężarnej. – Gdybym wiedział, że taka z niej puszczałska, w życiu bym pod swój dach nie wpuścił.

– Ona wcale nie jest puszczałska! To był gwałt na nieletniej. Przecież nasza Kolia nie ma nawet ośmiu miesięcy – tłumaczyła Anka, spoglądając z rozbawieniem to na psa, to na Wikę.

– Gwałt połączony z bezprawnym wtargnięciem na posesję. Nikt nie zauważył, że ona już może...

– Prawie nikt – poprawił ją mąż. – Pies sąsiadów zauważył, niestety.

– No! Pies sąsiadów faktycznie okazał się bystrzejszy niż my. I ją bezczelnie zgwałcił.

– Oczywiście! – Kamil rzucił Kologii spojrzenie pełne potępienia. – Wpadł do naszego ogrodu, zakneblował ją, przywiązał za łapy do cyprysów przy altance, a potem zgwałcił. I kto by pomyślał, że ten skończony perwers wabi się Cykor?! Przewrotne imię jak na gwałciciela, prawda?

– Bo ona nie bardzo wiedziała, co się dzieje. Pewnie myślała, że to jakaś zabawa. Prawda, malutka? – Pies potwierdził przypuszczenia swojej pani, liżąc ją po uchu i tłukąc ogonem o kanapę.

– Gadałeś z właścicielem Cykora? – Wiktoria obserwowała ludzko-psie pieczyoty i coraz poważniej myślała o przygarnięciu jednego ze szceniaków. Zanim przyjdą na świat i dorosną na tyle, że będzie je można zabrać od matki, już dawno urządzi się w nowym mieszkaniu. Przydałby się jej tam ktoś, kto będzie na nią czekał...

– A jakże! – Kamil złapał za gips sięgający od pięty do pachwiny i ułożył nogę na oparciu fotela. – Powiedział, że nie poczuwa się do odpowiedzialności, bo Kolia sprowokowała jego psa. A wiadomo, że jak suka nie da, to pies nie weźmie. Machnąłem ręką na tę jego filozofię i odpuściłem. Na wszelki wypadek zabroniłem Anuli wypinać się przy pieleniu w jego stronę. Jeszcze też się poczuje sprowokowany...

– A tyle się mówi o edukacji seksualnej – westchnęła Wiktoria. – Chociaż co się psom dziwić? Człowiek niby bardziej świadomy, a też czasami zanim się zorientuje, że to nie zabawa, jest już po wszystkim. Jak u Mirka i tej jego Justyny...

– No właśnie. Co z nimi? Emilka zrelacjonowała ci swoją wizytę u brata i przyszłej bratowej? – Anka złożyła ręce. – Tylko, błagam, postaraj się to opowiedzieć jej słowami! Ta mała nie przestaje mnie bawić, dziwić i zaskakiwać.

– Przecież wiesz, że nie dam rady dokładnie powtórzyć. Jeszcze mało kminię ten spicz. – Wiktoria uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Najważniejsze, że przestała się na mnie stroszyć i dezaktywowała hejtera.

– Dezaktywowała co? – Kamil skrzywił się boleśnie, poprawiając ułożenie nogi. – Co to jest hejter?

– Nie „co”, tylko „kto”. Hejter to osoba, która ślepo nienawidzi wszystkiego, z czym się nie zgadza. Wiecie, na przykład takie internetowe świry w stylu „Ty zdrajco narodu polskiego! Ty rządowy pacholku!” albo „Lecz się na nogi, psycholu, żebyś mógł klęknąć i lizać dupę opozycji!”.

– A, no, no... – Pokiwali głowami. – Znamy. „Jesteś ubek, esbek i bolszewickie ZOMO od pałowania księży” albo „Idź do kościoła i się w nim podpal razem z całą resztą moherowej ciemnoty”.

– Dokładnie – przytaknęła Wiktoria. – I Emilka zamieniła się w takiego właśnie hejtera. Boże! Jaka ona była wściekła i śmiertelnie obrażona za moją przeprowadzkę do was. Nie odzywała się przez dwa dni, a jak ją w końcu zmusiłam do mówienia, to pożałowałam. Dała mi w kość.

– Trzeba było jej powiedzieć, że nie miałaś wyjścia. Dostałaś jasne ultimatum od Sławka.

– Po pierwsze, hejter ma to do siebie, że jest głuchy i ślepy z nienawiści, a po drugie...

– Wika na chwilę zamilkła, przypominając sobie, jak ostrożnie musiała dobrać słowa w rozmowie z siostrzenicą. – To jest jednak jej ojciec, a ona jest jednak jeszcze bardzo młoda. Nie mogłam wyjeżdżać z ostrą amunicją, chociaż przyznam, że dużo nerwów mnie ten pacyfizm kosztował.

– A powiedziałaś, że za pieniądze od niego zafundujesz jej studia w Warszawie? Jeśli się dostanie, oczywiście.

– Nie. I wam też niech się to pod żadnym pozorem nie wyrwie! Zapłacę za studia Emilki, ale dopiero wtedy, kiedy on jej odmówi. Przecież pan kapitan by mnie rozszarpał, gdybym wyskoczyła przed szereg. A przedtem powiedziałby: „Weź sobie te swoje śmieszne pieniądze! Stać mnie jeszcze na kształcenie własnych dzieci”. – Próba naśladowania Sławkowego barytonu przyprawiła Wiktorię o silny atak kaszlu. – On ma obsesję na tym punkcie! Ale z drugiej strony... – Odchrząknęła kilka razy, wciąż nie mogąc uporać się z głosem. – Jestem mu naprawdę wdzięczna. W zasadzie to on mi życie uratował. Gdyby nie jego propozycja, nie wiem, co by się ze mną dzisiaj działo.

– Wydymał cię jak złoto, a nie życie uratował. Bez przesady z tą wdzięcznością. – Kamil dźwignął się z fotela, zgonił psa z kanapy i zajął jego miejsce, kładąc głowę na kolanach żony, a zagipsowaną nogę na stole. – Chata jest tak odpicowana, że przynajmniej dwie bańki można za nią wołać. Niech ci zresztą Anula powie, za ile chodzą domy w tej dzielnicy. Zagrzybiałe rudery z ponemieckimi instalacjami i zdziczałymi ogrodami sprzedają się za bańkę z długim ogonkiem.

– Fakt. W zeszłym miesiącu sprzedałam taką rudere za milion czterysta. Podziwiałam kupców i lojalnie uprzedzałam, w co się pakują, ale napalili się jak szczerbaty na suchary. Nawet nie chcieli oglądać innych ofert, ze znacznie tańszymi, nowiutkimi domami, w których jedyne, co można by malować po wniesieniu walizek, to paznokcie. – Anka bawiła się włosami męża, nawijając na palce krótkie kosmyki. – Magia dzielnicy robi swoje. Każdy chciałby mieszkać w willi na Pogodnie. A w takiej jak wasza to już w ogóle. Ona jest w zasadzie nowa. Ponemiecką to ma chyba tylko architekturę.

– Zgoda. Ale kto za te wszystkie remonty płacił? – Mimo całej niechęci do szwagra Wiktoria potrafiła zachować przytomność umysłu.

– Przy wycenie nieruchomości i podziale majątku żaden sąd nie wzięłby tego pod uwagę. Zasada jest taka, że przychodzi rzeczoznawca...

– Jaki sąd? Jaki rzeczoznawca?! – przerwała. – Co mi po tym, że dom jest wart dwa

miliony? Miałabym w nim dalej mieszkać, żeby w końcu zwariować? Bardzo dziękuję. Wolę wziąć te czterysta tysięcy. Kupię sobie mieszkanie, zapłacę Emilce za studia i jeszcze coś zostanie. Świętego spokoju żaden sąd i żaden rzeczoznawca nie wyceni!

– Też prawda – przytaknął Kamil. – Zapewne zrobiłbym to samo, co ty, ale nie kłaniałbym się aż tak nisko i nie szalał ostentacyjnie z wdzięczności. Uwierz, to cwany lis, który dużo bardziej szanuje twardego wroga niż miękkiego przyjaciela. Chyba przez to morze...

– A czy ty, cwany lisie, mógłbyś szanować nasze meble i przestać je maltretować? Wiercisz się, jakbyś miał robaki. Do żyrandola ją najlepiej przyczep.

– To naprawdę skandal. – Kamil usiadł, ostentacyjnie odpychając rękę, która przed chwilą głaskała go po włosach. – Skandal i bezczelność! W tym domu nawet pies jest traktowany lepiej ode mnie.

– Bo pies jest w ciąży.

– A ja jestem w gipsie! Chociaż wolałbym być w ciąży. – Kamil zastukał w opatrunek. – Cierpię po cichutku, jęczę sobie w duchu, staram się nie uprzykrzać innym życia, znoszę dzielnie męki i nie afiszuję się ze swoim kalectwem... W zamian chcę tylko wygodnie poleżeć na własnej kanapie. Czy to naprawdę tak dużo? Okazuje się, że i owszem! Zbyt wiele wymagam... Najlepiej, gdybym się od razu zabił, a nie tylko złamał nogę. Wtedy wszyscy mieliby święty spokój. Pies mógłby chodzić w moim szlafroku i spać w mojej sypialni, żona nie musiałaby po mnie sprzątać i nikt nie maltretowałby mebli...

– Troszeczkę przesadzasz, Kamisiu. Nie jesteś kaleką, a twój szlafrok byłby na Kolię za duży. Nie żołądkuj się, bo to niewskazane w ciężkich stanach. Podobno kości się wolniej zrastają, kiedy się człowiek denerwuje. No chodź. – Anka poklepała swoje kolana. – Kładź się i oddychaj głęboko.

– Co za podłość! – Mąż ułożył się ponownie. – Naigrawać się z chorego człowieka... I to kto?! Własna żona i sprawczyni wypadku w jednej osobie! Inna na jej miejscu obskakiwałaby mężusia jak sułtana, po pierwsze z miłości, a po drugie, żeby uspokoić swoje sumienie. A ta? Nie obskakuje, wyrzutów nie ma i na dodatek szydzi z kaleki. Szykanuje wręcz! Pastwi się! Kawalka kanapy żałuje... – Przymknął oczy, mrużąc cicho, jakby już tylko do siebie: – Trzeba było naprawdę się zabić, a nie nogę łamać i wystawiać się na pośmiewisko całej ulicy. Nie byłbym teraz dla nikogo ciężarem. Żyłbym we wspomnieniach ludzi jako sprawny, samodzielny, zaradny mężczyzna. Taki, który nikomu nie przeszkadzał, mebli nie maltretował...

– Błagam cię, przestań, bo nie wytrzymam! – Wiktoria wybuchła śmiechem, a Kamil otworzył szeroko oczy i spojrzał na nią, unosząc lekko głowę z kolan żony.

– Tu się nie ma z czego cieszyć. Prawdziwe błogosławieństwo, że los cię do nas sprowadził. Przynajmniej ma mi kto szklankę wody podać. Gdyby nie ty, umarłbym z głodu, chłodu i brudu. Zapomniany jak pies. To znaczy jak przysłowiowy pies, a nie ta tutaj... – Kiwnął w stronę Koli. – Hrabina futrzarska, psia jej mać!

– No widzisz. A ja dzięki temu, że mogę się do czegoś przydać i chociaż trochę pomóc, nie mam aż tak strasznych wyrzutów sumienia, że spadłam wam na głowę i tu siedzę. To bardzo uszlachetnia twoje cierpienie i nadaje mu sens, nie uważasz?

Kiedy Wiktoria obiecała Sławkowi, że w ciągu tygodnia zniknie mu z oczu, nie bardzo wiedziała, dokąd się wyprowadzi. Uznała jednak, że dla kogoś, kto ma czterysta tysięcy, znalezienie lokum nie będzie stanowiło żadnego problemu. Poza tym oprócz gotówki miała też Melę – agenta nieruchomości, doskonale orientującego się w szczecińskim rynku mieszkaniowym. Była pewna, że z pomocą siostry zdoła spełnić daną szwagrowi obietnicę. Może

nawet wyniesie się przed upływem siedmiu dni?

Położyła się do łóżka w naprawdę dobrym nastroju, który byłby wręcz euforią, gdyby nie ucieczka Mirka. Czuła ulgę i wewnętrzny spokój. Po raz pierwszy od wielu lat zapadła w nieprzerwany wielogodzinny sen, a kiedy się obudziła, miała wrażenie, że potrafi przenosić góry. Zeszła do kuchni, w której zastała tylko Sławka i Melę. Siedzieli w milczeniu przy stole i popijali kawę.

– Dzień dobry. A gdzie Emilka? – Starła się powstrzymać szczebiot, który nie pasowałby do ponurej atmosfery.

– Będziesz teraz udawać, że nie słyszałaś całej awantury? – Spojrzenie szwagra natychmiast zgasiło jej radosny nastrój.

– Nic nie słyszałam. Naprawdę. Spałam jak zabita...

– Wyszła i trzasnęła drzwiami. Dawno nie widziałam jej tak rozeźlonej. – W oczach Amelii widać było bezgraniczny smutek i zupełną bezradność. – Nie mam pojęcia, gdzie teraz jest. Może u Mirka? Boże jedyny! Ja tego nie wytrzymam! – Oparła się o blat i schowała twarz w dłoniach. Po chwili spomiędzy jej palców wyciekła pierwsza łza, a potem następna i następna.

– To o niego się pokłóciliście? – Nie przytuliła siostry, bo obecność Sławka dosłownie ją paraliżowała. Nie chciała go prowokować niepotrzebnymi gestami albo nadmiarem słów. Znowu skojarzył jej się z Pawłem: nie denerwować, nie wykonywać gwałtownych ruchów, nie patrzeć w oczy...

– O ciebie się pokłóciliśmy, nie o Mirka. Moja córka uważa, że jestem skończonym bandytą, gdyż najpierw wygoniłem z domu własnego syna, a teraz wyrzucam jej ukochaną ciotkę. Oznajmiła, że jesteś jej najlepszą przyjaciółką, więc wyprowadza się razem z tobą. A my będziemy sobie tu zdychać sami i płakać na starość, że dzieci nas nie kochają. Tak to z grubsza wyglądało – zrelacjonował zupełnie spokojnym, niemal urzędowym tonem. – Nie wiem, jak i czym zdołałaś ją tak szybko przeciągnąć na swoją stronę, ale szczerze gratuluję.

– Jakie „przeciągnąć na swoją stronę”?! – Wika była naprawdę wstrząśnięta tą krótką, acz treściwą relacją. – Przysięgam, że z nią nie rozmawiałam! Nie mówiłam jej ani o naszej umowie, ani o swojej wyprowadzce – tłumaczyła się coraz rozpaczliwiej. – Ostatni raz widziałam Emilkę tutaj, wczoraj wieczorem. Byłeś przy tym! Pamiętasz?! Daję słowo honoru, że potem już z nią nie rozmawiałam!

– Chodzi mi o całokształt, nie o wczorajszy wieczór. – Sławek zastanawiał się, czy Wiktoria jest głupia, czy tylko udaje. Jeśli udawała, to była w tym całkiem wiarygodna: aż jej podbródek drgał, kiedy zapewniała o swojej niewinności. – Sami jej powiedzieliśmy, że się niedługo wyprowadzasz. Dzisiaj, przy śniadaniu.

– Aha, no to chwała Bogu. – Mimo zdenerwowania Wiktoria poczuła ulgę. – Bałam się, że mnie o coś podejrzewasz.

– Nie wiem, za co tu chwalić Boga. Na pewno nie za jej zachowanie. I za to, co nam wykrzyczała. – Sławek wziął łyk kawy, a potem delikatnie wytarł kąciki ust. – Nie poznaję własnego dziecka. Kiedy cztery miesiące temu wypływałem w morze, zostawiłem w domu grzeczną, cichą nastolatkę. Po powrocie zastałem krnąbrną i bezczelną dziewczuchę. Zachodzę w głowę, co się mogło stać? Może wpadła w jakieś złe towarzystwo? Wiesz coś o tym? Jako jej najserdeczniejsza przyjaciółka na pewno lepiej niż my orientujesz się, co albo kto ma na nią tak fatalny wpływ...

Gdyby nie wciąż płacząca Mela, Wiktoria chyba nie powstrzymałaby się od wyjaśnienia temu zimnemu tępakowi, że doskonale wie, kto miał, od początku, fatalny wpływ na jego dzieci – on sam! Zapanowała jednak nad nerwami.

– Porozmawiam z Emilką i wszystko jej wyjaśnię. Wytłumaczę, że nie wyrzucasz mnie

z domu, tylko pomagasz mi rozwiązać jeden z większych problemów, w jakie się wpakowałam. Bo to prawda. I jestem ci za to bardzo wdzięczna. Po raz pierwszy stanę na własnych nogach... Emilka nie zdaje sobie z tego sprawy i pewnie dlatego tak gwałtownie zareagowała. – Wika już poprzedniego dnia zauważyła, że Sławek w trudnych sytuacjach posługuje się na ogół bardzo krótkimi zdaniem, więc w miarę możliwości starała się nie mówić zbyt wylewnie. – Wytłumaczę jej całą sytuację i jestem pewna, że zrozumie. Zobaczysz, że jak tylko Mela znajdzie mi jakieś mieszkanie...

– Mela ma ci szukać mieszkania?! – Twarz Sławka ponownie stężała. – Czy ty oszalała? Czy ty myślisz, że ona będzie nadal pracować? Nie widzisz, jakie są tego efekty? Nie widzisz, co tu się dzieje? Kiedy ty wreszcie zaczniesz myśleć i poważnie traktować życie? – Popatrzył na Wiktorię z politowaniem. – Chyba już nigdy.

– W porządku. Zadzwoń do Anki.

– A może chociaż raz spróbowałabyś sobie poradzić bez pomocy? Daję ci tyle gotówki, że to naprawdę żadna sztuka.

– Wiem. Ale jeśli mam oddać kilka tysięcy prowizji, to chciałabym żeby te pieniądze trafiły do kieszeni kogoś znajomego. – Czują, że za chwilę wybuchnie. – Poza tym nie mam problemów z proszeniem o pomoc. Przesadna samodzielność kojarzy mi się z samotnością. A obsesyjne dążenie do niezależności jest nieznośne. Szanuję to, ale trzymam się z daleka od takich ludzi.

– Rób, co chcesz. – Sławek spojrział na zegarek i kompletnie stracił zainteresowanie dalszą rozmową. – Na mnie już czas. – Podniósł się z krzesła, wstawił do zmywarki filiżankę po kawie i wyszedł z kuchni. Po chwili słychać było, jak otwiera szafę w przedpokoju, tak starannie wypucowaną przez Wiktorię na jego przyjazd.

Dla pewności odczekała, aż ucichnie odgłos oddalającego się samochodu.

– Nie płacz... – Przytuliła wreszcie siostrę, która wciąż siedziała z twarzą schowaną w dłoniach. – Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze. Trochę nas to wszystkich zaskoczyło, ale jak kurz opadnie, to jeszcze będziemy się z tego śmiały. No nie rycz! – Potargała jej włosy. – Chyba że wpadłaś w czarną rozpacz, bo babcią zostaniesz. To rycz do woli. Postarzy cię to okropnie, nie da się ukryć... – Próbowała wykrzesać z siebie serdeczny śmiech. – Jak to Emilka wczoraj powiedziała? Będziesz szydełkować pokrowce na kontrabasy?

– Przepraszam cię za niego... – Amelia rozplakała się jeszcze bardziej i oderwała ręce od przekrwionych oczu. – Co ja mam robić?!

– Przede wszystkim zakropl sobie Visine albo Clarastil, albo co tam masz... Bo nie wyglądasz jak babcia, tylko jak upiór. – Wiktoria natychmiast zapomniała o niedawnej wściekłości. – Widziałam je gdzieś tu... Zaraz, zaraz... – Grzebała w apteczce. – Mam! – Podała Meli smukłą buteleczkę i pilnowała, czy prawidłowo aplikuje lekarstwo. – Bardzo dobrze – pochwaliła, zakręcając pojemniczek. Usiadła na krześle i ponownie przytuliła siostrę. – Nie przepraszaj mnie za Sławka. Ja naprawdę jestem mu wdzięczna. Od początku było wiadomo, że nie damy rady razem tu mieszkać. Pamiętasz, jak zabrałaś mnie od Pawła? Już wtedy o tym rozmawialiśmy i już wtedy bałyśmy się, co będzie, kiedy Sławek wróci z morza. Pamiętasz?

– Pa... pamiętam. – Melę wciąż wstrząsał płacz.

– No właśnie! I wciąż się bałyśmy. Nie gadałyśmy o tym, chowałyśmy głowy w piasek, ale wiadomo było, że problem sam się nie rozwiąże. Prawda?

– Pra... prawda.

– A tymczasem jednak się rozwiązał, i to właśnie dzięki Sławkowi. I to jak pięknie! Mam

ochotę skakać do nieba, ale się powstrzymuję, bo ty ryczysz i ryczysz!

– Pomyślałaś, jak ojciec zareaguje na tę no... nowinę? – Z oczu Amelii zaczęła wreszcie znikać hiszpańska czerwień. – Przecież on Sławka zabije. Albo ciebie.

– Mało masz zmartwień, żeby jeszcze o tym myśleć?! – Wiktoria popukała się w czoło. – Nie wiem, jak zareaguje ojciec, ale wiem, że w szukaniu problemów jesteś lepsza od naszej mamy. Melciu... – Objęła ją ramieniem i kołysała delikatnie, przemawiając takim głosem, jakby opowiadała bajkę. – Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze... Pogadam z Emilką... Potem się wyprowadzę... Sławek znowu wypłynie w morze... Będziecie mnie odwiedzać... A ja was... Za rok pójdziemy na wspólny spacer po Jasnych Błoniach z twoim wnukiem albo wnuczką... I przejadę się wreszcie ciuchcią dla dzieci, która tam kursuje... Ciocia Emilka nauczy malucha mówić...

– Tylko nie to! – Mela parsknęła śmiechem. – Jak ja się wtedy z wnukiem dogadam?

– Wytrzymaj nos. – Wika podała siostrze chusteczkę. – No, teraz to się czuję, jakbym w szkole była. Albo w świetlicy... Ogarniesz się wreszcie i przestaniesz buczeć?

– Już się ogarnęłam i już nie bucę, proszę pani! – Wbrew zapewnieniom Meli na chwilę załamał się głos. – Naprawdę nie jesteś na niego zła? Bo ja mam ochotę go zabić!

– Naprawdę nie jestem zła, wręcz przeciwnie! – Wiktoria huknęła się w pierś. – Dokąd on teraz pojechał? Szukać Emilki?

– Nie. Pojechał na uniwersytet rozprawić się z Justyną. Jest mężczyzną, a nie babą, więc niczego nie robi chaotycznie ani spontanicznie. Działa według planu. – Chociaż oczy Amelii wciąż pozostawiały wiele do życzenia, to jej umysł zdawał się powoli wracać do formy.

– Wczoraj rozprawił się z tobą, dzisiaj zajmie się Mirkiem i Justyną. Dopiero kiedy załatwi ten problem, skupi się na Emilce.

– Jak on chce odnaleźć tę całą Justynę? Dzisiaj niedziela, uniwersytet jest zamknięty.

– Otwarty – sprostowała smętnie Mela. – Zjazd zaocznych. A o dziesiątej czterdzieści pięć pani doktor Justyna Stroińska rozpoczyna wykład dla studentów pierwszego roku: doktryny polityczno-prawne. To jedyna zatrudniona tam Justyna... Internet to potęga, moja droga. Nie sztuka znaleźć człowieka...

– Boże kochany. – Wiktoria aż przysiadła. Milczała chwilę, starając się samodzielnie odgadnąć szczegóły obmyślonego przez Sławka planu, ale wszystko, co przychodziło jej do głowy, wydawało się albo absurdalne, albo wręcz niebezpieczne. Wlepiała spojrzenie w siostrę.

– Pojedzie na uniwersytet, odnajdzie ją i...? Powie jej „Ciuś, ciuś, marcheweczka, niedobra dziewczyneczka”? To jest dorosła kobieta! A Mirek? Pomyślał o Mirku? Teraz to już na pewno się obrazi. Nie mogłaś go zatrzymać? Wytłumaczyć jakoś? – Przerwała na widok miny Amelii.

– No tak. Jemu nie da się nic wytłumaczyć. Bredzę bez sensu, przepraszam... To co on chce jej powiedzieć?

– Ma natychmiast zostawić Mirka w spokoju i przestać się z nim spotykać.

– A dziecko?

– Będziemy płacić alimenty. I to takie, że jeszcze dla niej na życie wystarczy.

– Ale oni chcą być razem. Mirek wczoraj powiedział...

– Mirek nie wie, czego chce, bo jest zbyt młody, żeby to wiedzieć. – Baryton i krótkie oschłe zdania jednoznacznie wskazywały, że Mela słowo w słowo cytuje męża.

– On wam tego nie wybaczy!

– Nieprawda. Jeszcze nam za to kiedyś podziękuję. Jak będzie dorosły.

– On już jest dorosły!

– Tym związkiem i tą ciążą najlepiej udowodnił, że nie jest.

– Jest! Ma dwadzieścia jeden lat! – Chociaż Wiktoria doskonale wiedziała, że Amelia

złośliwie przedrzeźnia Sławka, i tak się denerwowała.

– Ma dwadzieścia jeden lat i wielką karierę przed sobą. Naszym obowiązkiem jest zadbać, aby jakaś zboczona kobieta tego nie zniszczyła.

– A jeśli on ją naprawdę kocha?

– Rozmawiajmy poważnie, bardzo cię proszę!

– Ale tak się nie da rozmawiać!

– Wiem i w zupełności się z tobą zgadzam. – Mela wróciła do własnego głosu, co Wika przyjęła pełnym ulgi westchnieniem. – Dlatego dałam sobie spokój, chociaż nie masz pojęcia, ile mnie to kosztuje!

– Myślisz, że ona będzie w ogóle chciała rozmawiać ze Sławkiem?

– Sama przed chwilą powiedziałaś, że z nim się nie da rozmawiać, więc zapytaj raczej, czy będzie chciała go słuchać. Obawiam się, że nie.

– I co wtedy? Zastrzeli ją? Wyśle w rejs dookoła świata? Podpali uniwersytet? – Trudno jej było przewidzieć reakcję szwagra na nieposłuszeństwo.

– Wtedy zagrozi, że pójdzie do dziekana albo i do rektora. Złoży na nią skargę za deprawowanie studentów. Rozdmucha wszystko tak, że kobieta sama się spakuje i ucieknie na drugi koniec Polski. Ale zaszargana opinia dopadnie ją wszędzie. Na dodatek nie będzie już mogła liczyć na żadną pomoc z naszej strony. Sławek okaże jej hojność i wielkoduszność tylko dzisiaj. Jeśli skorzysta, to jej zysk, a jeśli nie, to będzie dostawać najniższe alimenty i zdechnie z głodu razem z dzieciakiem, na którego próbuje złapać Mirka.

– Przestań! – Wiktoria zatkała uszy. Nigdy nie lubiła szwagra i miała o nim niezbyt dobre zdanie, ale to, co właśnie usłyszała, przerastało jej wyobrażenia.

– Jakim cudem udało wam się przeżyć razem tyle lat? Zawsze taki był? Czy teraz tak mu się porobiło? – Patrzyła z podziwem na Melę. – A może ty jesteś aniołem? Dlatego ciągle uczynasz sobie pogawędki z Bogiem?

– Zawsze taki był... Nie mogę narzekać na swoje małżeństwo... Kochamy się... Chyba... Po prostu sytuacja nas przerosła. On chce kontrolować życie... Moje, swoje, dzieci. Chce wszystkich od siebie uzależnić, bo to mu daje poczucie władzy. Dzięki temu czuje się prawdziwym facetem. Za wszystko zapłaci, na wszystkich zarobi... I cały się w to zaangażuje... Wypruje sobie żyły i uwierz, że mówi to serio. Ja wiem, że to okropnie prymitywne. Ale przyznaj, że wyjątkowo męskie...

– Rezygnujesz z pracy? Pytam, bo to mieszkanie dla mnie... Rozumiesz chyba, że bardzo zależy mi na czasie. – Poczuli się trochę głupio, że w takim momencie myśli o sobie, ale coraz bardziej pragnęła uciec. Obawiała się, że nie wytrzyma w tym domu nawet siedmiu dni.

– Odczekam chwilę z decyzją. Na razie i tak jestem na miesiąc wyłączona z obiegu. Szef obiecał, że nie zadzwoni, nawet jakby się świat miał zawalić. Dał mi wolne, bo tak się umawialiśmy, kiedy mnie zatrudnił. To bardzo porządny gość. Szkoda byłoby odchodzić...

– Amelia ciężko podniosła się z krzesła i zniknęła na chwilę w przedpokoju, żeby przejrzeć się w lustrze. – O matko! Jak ja wyglądam!!! – rozległ się po chwili jej krzyk. – Chyba o dziesięć lat się postarzałam przez tę noc... – Wróciła do kuchni i klapnęła za stołem. – W dupie to mam. Nie chce mi się ani myć, ani malować... A wracając do twojego pytania – potrząsnęła głową, jakby chciała oprzytomnieć – szukaj mieszkania przez Ankę. Chyba że nie będzie miała czasu, to polecę ci kogoś z naszego biura.

– Nie gniewasz się na mnie? – Poczucie winy wciąż gryzło Wiktorię.

– Czyś ty oszalała?! Chcesz mnie dobić? – Broda Meli niebezpiecznie zadrżała. – Dziwię się, że to ty się nie gniewasz i jeszcze chcesz ze mną rozmawiać. Pozwalam, żeby mój mąż wyganiał cię z twojego własnego domu, bez słowa patrzę i słucham, jak cię traktuje. Nienawidzę

siebie za to! I wstyd mi przed tobą. I przed sobą też... Jaka ja jestem słaba i beznadziejna...

– Łzy ponownie zalały jej policzki.

– Nie płacz! Błagam, nie płacz! – Wiktoria rzuciła się do niej i złapała ją za ręce tak gwałtownie, jakby Amelia miała osunąć się w jakąś przepaść. – Naprawdę jestem szczęśliwa i bardzo zadowolona. Nigdy nie miałam poczucia, że ten dom jest mój. Nigdy w ten sposób o nim nie myślałam. Nie licząc naszego dzieciństwa oczywiście. No już. Dostyc ryków! Bo pójdziesz do kąta i będziesz w nim stała tyle minut, ile masz latek. Nie chcę być złośliwa, ale możesz od tego niezłego skurczu dostać...

Kilka ładnych minut siedziały w milczeniu.

– Kiedy powiedziałaś Emilce o Pawle? I o tym, że cię bił?

– Co?! – Wika patrzyła na Melę jak na ducha. – Ja? Emilce? O Pawle? Nigdy! – Nie rozumiała, skąd to podejrzenie. – O czym ty mówisz?

– Jestem tak słaba i tak beznadziejna, że nie potrafiłam nawet porządnie cię bronić, kiedy się dzisiaj rano kłócili. Zrozum, było tego za dużo na mnie jedną!

– Rozumiem i nie mam pretensji. – Wiktoria wcale się siostrze nie dziwiła. Dla niej też za dużo było tego wszystkiego. – Ale co z Emilką? I co ma do tego Paweł?

– Emilka walczyła o ciebie jak lwica. Bałam się, że w końcu czymś w Sławka rzuci...

– Amelia przerwała i zamyśliła się. – Pamiętasz naszą rozmowę o niej, o tobie, o was? Wtedy, jak przyszedł z Jerzyka, z randki z tym... jak mu tam? Wojtkiem? Włodkiem? Waldkiem?

– Witkiem. – Uśmiechnęła się mimowolnie Wiktoria.

– Gorzej niż koala byłaś skacowana. Zdychałaś na fotelu, a Emilka cię reanimowała...

– Pamiętam. A po południu rodzice zrobili nam nalot. – Wika uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Myślałam, że łeb mi rozerwie.

– Przed ich przyjściem ona pojechała na zakupy, a my długo gadałyśmy... Mówiłam wtedy, że czasami jestem zazdrosna o twoje relacje z Emilką. Że chwilami czuję się przy was niepotrzebna, jakbym wam tylko przeszkadzała...

– Ale przecież wszystko sobie wyjaśniłyśmy. – Wiktoria kręciła się niepewnie na krześle, bo nie miała pojęcia, do czego zmierza ta rozmowa. – Nadal czujesz się, jakbyś nam przeszkadzała? To bzdura! Nigdy nie będę dla niej matką. I na szczęście, bo marnie bym się spisała w tej roli.

– Wcale nie. Byłabyś wspaniałą matką. Ale ja nie o tym... Przypomniałam sobie, co wtedy mówiłyśmy, bo przy śniadaniu, kiedy Emilka tak cię broniła przed Sławkiem, znowu poczułam się zazdrosna. Wiesz co? – Amelia westchnęła, powstrzymując kolejny napływ łez.

– Ona nigdy tak nie stanęłaby za mną. Nigdy by tak o mnie nie walczyła. Chyba dlatego Sławek nie był dzisiaj dla ciebie zbyt przyjemny. Jego też zaskoczyła. Nie spodziewał się aż takiego ataku.

– Chrzanisz. Gdyby trzeba było, Emilka broniłaby cię trzy razy bardziej niż mnie. Zaręczam ci!

– Ty chrzanisz jeszcze gorzej niż ja. Ona zupełnie poważnie mówiła, że wyprowadzi się stąd razem z tobą. Rozumiesz? Chce mieszkać z tobą, a nie ze mną!

– Czy ty własnej córki nie znasz? Ona ma po prostu niewyparzony język. Porozmawiam z nią i wszystko jej wytłumaczę... À propos... Może wreszcie włączyła telefon? – Wiktoria wzięła do ręki komórkę i po raz kolejny spróbowała połączyć się z siostrzenicą. „Cześć, tu Emi. Właśnie złapałaś się na moją pocztę głosową. Straciłaś już jeden impuls, więc możesz sobie pogadać przez następne czterdzieści pięć sekund”, usłyszała znowu. – No, niestety. Nastroszyła

się po całej linii. Nawet telefonicznej. Nie martw się – dodała krzepiąco. – Przejdzie jej i wróci. Ona nie chce się wyprowadzić od ciebie, tylko zrobić na złość ojcu, za to, że mnie niby krzywdzi. Powtarzam, że wszystko jej wytłumaczę. Bądź spokojna. Biorę ją na siebie.

– No nie wiem... Nie słyszałaś, co ona tu krzyczała...

– Wyjaśnij mi lepiej, o co chodzi z Pawłem, bo zaraz też zacznę krzyczeć!

– Aha, aha. No właśnie! – Mela pokiwała głową. – Jak tak się tu szarpali o ciebie, to Sławkowi w końcu całkiem nerwy puściły i wyskoczył do Emilki z pytaniem, czy aby dobrze wie, kogo tak zaciekle broni, i czy powiedziałaś jej wszystko o sobie. I jakoś, od słowa do słowa, zapytał ją w końcu, prosto z mostu, co wie o Pawle i o waszym związku.

– No czy on jest normalny?! – Wściekłość Wiktorii znowu wróciła na orbitę. Złościła się też na siebie: że też akurat dzisiaj musiała zaspać na śniadanie!

– Wiesz, o co mu chodziło? Generalnie chciał dobrze... – Amelia tłumaczyła męża bez większego przekonania. – Próbował jej dowieść, że ty złą kobietą jesteś, zmarnowałaś sobie życie i sprowadzisz Emilkę na równie złą drogę. Nawet nie starał się dowiedzieć, co cię spotkało. Nie starał się, bo wszystko wie lepiej, bez pytania innych o zdanie i zbędnego dowiadywania się o szczegóły.

– I co ona na to? – przerwała Wika, bo zdążyła się już sama zorientować, że Sławek wie nawet to, co zostanie odkryte dopiero za sto lat.

– Zaskoczyła nas oboje. Mnie może nawet bardziej... Powiedziała coś w stylu: „Paweł ją bił. Długo to ukrywała, ale w końcu zebrała się na odwagę i od niego uciekła. Podziwiam ją za to”.

– Przysięgam, że słowem nie pisnęłam! Musiała podsłuchać albo wyczytać coś między wierszami... – Przypomniała sobie kilka sytuacji, kiedy nie zapanowała nad językiem. Dwa albo trzy razy Amelia przy tym była, razem próbowały szybko zagadać temat, żeby Emilka się nie połapała. Najwidoczniej nie doceniły bystrości młodego umysłu. – I co Sławek na to? Opuścił jej?

– No... Opuścił... – Amelia podniosła się z krzesła, jakby chciała uciec. – Chyba się jednak wykąpię.

– Co było dalej?! Wracaj tu natychmiast!

Mela z ociąganiem cofnęła się z przedpokoju.

– Powiedział, że do końca nie wiadomo, kto kogo bił, bo świadków nie ma... – Amelia stała w drzwiach oparta o framugę i patrzyła tak skruszonym wzrokiem, jakby to ona była autorką tego podejrzenia. – I że jak Emilka się do ciebie wyprowadzi, a potem wróci do nas z siniakami i naderwanymi uszami, to on jej do domu nie wpuści... Właśnie wtedy wpadła w szal. Wyszła i trzasnęła drzwiami, zupełnie tak samo jak wczoraj Mirek. A Sławek mało mi tu zawału nie dostał... Zrozum go, błagam! – Wiedziała, że prosi siostrę o coś niemożliwego, ale do pewnego stopnia naprawdę rozumiała męża. – On się czuje osaczony. Po raz pierwszy w życiu stracił nagle kontrolę nad wszystkim. Rzeczywistość przycisnęła go do ściany: nie ma gdzie się cofnąć, czuje się zaszczuty, więc atakuje na ślepo. Nie patrzy, w kogo i czym wali...

– Okej. – Wiktorii nie było stać na dłuższą odpowiedź. To znaczy było ją stać, ale nie chciała dobijać siostry. – Idź się kąpać. Ja w tym czasie zadzwonię do Anki. Niech zacznie działać jak najszybciej. Zdaje się, że agenci nieruchomości nie znają takiego pojęcia jak „niedziela”?

– Niestety. Większość ludzi ma wolny czas tylko w weekendy i tylko wtedy można im pokazywać mieszkania. A nasz klient nasz pan! – Uśmiechnęła się smutno Amelia. – Polubiłam tę pracę, wiesz? Ale jeśli trzeba będzie, zrezygnuję.

– Pamiętaj, że nikt nie może cię do niczego zmuszać. Ani do tego, żebyś nie pracowała,

ani do tego, żebyś pracowała. Rób tak, jak ci podpowiada własne serce i własny rozum.

– Tak zrobię. – Ucałowała Wiktorię w policzek. – Dzięki...

– Poza tym nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Jeśli się zwolnisz, to pozbędziesz się przynajmniej tego przekłętego iPhone'a i przestaniesz mi wysyłać cudaczne SMS-y – parsknęła Wika. – Czasami naprawdę brakowało mi na nie wyobraźni.

– Masz rację. Serdecznie go nienawidzę. Wiesz, że tydzień temu klientka zadzwoniła i poprosiła, żebym przestała się do niej zwracać per „Szanowna Pani Cebulo”?

– Też nie byłabym zachwycona. A czemu tak się do niej zwracałaś?

– To nie ja! To ten cholerny iPhone! Ja pisałam „Szanowna Pani Beato”...

Patrzyły na siebie przez chwilę i nagle wybuchły śmiechem. Najpierw normalny, z każdą sekundą przybierał na sile. Dusiły się, krztusiły, zalewały łzami, zatykały uszy, odwracały od siebie, żeby złapać choć jeden głębszy wdech, piszczały, kwiczały, parskaly, próbowały nawzajem się uciszyć i coś powiedzieć, ale traciły mowę po pierwszej sylabie.

– Ana... – Wiktoria wyla się po blacie. – Ana... – Zaczęła uderzać dłońmi o stół, kręcąc głową na znak niemocy. – Ana...

– Przes... – dławiła się Mela, kucając. – Przes...

– A na imię miałaś właśnie Cebula!!! – ryknęła Wika na ostatnim oddechu i omal nie straciła przytomności. Podobnie zresztą jak jej siostra, która kilka razy próbowała dośpiewać „Piękne imię, musisz przyznać, miła ma”, ale nie zdołała wykrzusić nawet dwóch pierwszych słów.

Prawdopodobnie psychiatra potrafiłby dokładnie wytłumaczyć przyczyny tego zachowania i nazwałby je jakimś fachowym terminem. Amelii i Wiktorii wystarczyło słowo „katharsis”. Doznały prawdziwego oczyszczenia...

Musiał minąć kwadrans, zanim wróciły im normalny oddech, tętno i ciśnienie. Mela poszła do łazienki, żeby dodatkowo oczyścić się w wannie, a Wika wypuściła się na krótki spacer po ogrodzie. Miała ochotę na papierosa, a nie chciała palić w domu, żeby pan kapitan nie wyczuł dymu w swoim królestwie. Obawiała się niepotrzebnie drażnić wystarczająco już rozeźlonego szwagra. Tym bardziej że spodziewała się, iż z wyprawy wojennej wróci nie z tarczą, lecz na tarczy.

Wiktoria podejrzewała, że Justyna Stroińska, doktor od doktryn politycznych i nie wiadomo czego jeszcze, rozniesie w pył magistra inżyniera Sławomira Czubatkę, pana mórz, oceanów i też nie wiadomo czego jeszcze. Nie znała jej, ale znała Mirka. Ten chłopak nie mógłby zakochać się w głupiutkiej, naiwnej, infantylnej, słodkiej i potulnej paniencie. Jego nonszalancko-pogardliwy stosunek do matki też wiele mówił – nie szukałby raczej kandydatki na żonę wśród kobiet podobnych do Meli: cichych, ustępliwych, uległych...

Wika upchnęła w kieszeniach kurtki papierosa, zapalniczkę, klucze i telefon. Wyszła przed dom i wróciła po okulary przeciwsłoneczne. Pogoda była piękna. Śnieg odbijał lejące się z nieba złote promienie, a rześkie mroźne powietrze szczypało w policzki. „Ale szybko przyszła zima w tym roku” – pomyślała i sama się zdziwiła, że jest w stanie zauważyć coś równie błahego. Uznała to za dobry objaw. Zapaliła papierosa i sięgnęła po komórkę. Stuknęła w klawisz z zieloną słuchawką.

„Cześć, tu Emi. Właśnie złapałaś się na moją pocztę głosową. Straciłaś już jeden impuls, więc możesz sobie pogadać przez następne czterdzieści pięć sekund”.

– To chamstwo, żeby tyle czasu być poza zasięgiem! Szczególnie dla BFF. Właśnie się dowiedziałam, że podobno nią jestem. Odezwij się, mała zołzo! Mam nadzieję, że wyrobiłam się

z tym tekstem w czterdzieści pięć sekund, bo jeśli nie, to mi oddasz kasę za kolejny zmarnowany na ciebie impuls! Pa! Znaczy... Nara!

Rozłączyła się i pogratulowała własnemu mózgowi, który zdawał się pracować zupełnie normalnie mimo absolutnie nienormalnych okoliczności. Nie planowała wcześniej, co nagra na pocztę głosową Emilki, więc była dumna, że pamiętała o BFF, czyli best friend forever, jak siostrzenica zwykła określać niektóre z przyjaciółek. Wybrała kolejny numer.

– Świnia z ciebie skończona! – Anka darowała sobie powitalne formułki. – Od wczoraj o was myślę i się denerwuję. Żeby mi chociaż głupiego SMS-a nie wysłać?! Sławek już wie, że Mela pracuje? Czy wciąż to jeszcze ukrywacie? Jak tam sytuacja na froncie?

– Ustalmy najpierw, czy chcesz rozmawiać o średniowiecznych harcownikach, czy o froncie wschodnim?

– Nie rozumiem. Średniowiecze nigdy mnie specjalnie nie kręciło. Jakoś mentalnie się nie identyfikowałam. Co się stało?

– Okej. Czyli o Meli opowiem ci na końcu, bo jej praca to tylko harce są. Zacznę od wydarzeń na froncie wschodnim...

Rozmawiały niemal dwie godziny. Wiktoria wypaliła papierosa, weszła do domu, wypila herbatę i na kilkanaście minut oddała telefon siostrze, która w międzyczasie się wykapała i wyglądała już bardziej jak człowiek. Potem, przełączywszy Ankę na głośnomówiący, opchnęła razem z Melą jedną ze stu niedojedzonych sałatek. Zjadła i zostawiła siostrę z przyjaciółką na prawie godzinę. Wzięła prysznic, wysuszyła się, umalowała, wróciła do kuchni i płynnie dołączyła do burzliwej dyskusji, która trwała i trwała, i trwała...

– Rozumiesz teraz, że musisz mi pomóc? – Kiedy Wika wyszła na kolejnego papierosa, postanowiła zmobilizować Ankę do działania. – To dla mnie sprawa życia i śmierci! Nie wytrzymam z tym świrem tygodnia. Przysięgam, że nie będę marudzić, wybrzydzać i grymasić. Warunki mam proste: mieszkanie ma być do zasiedlenia od zaraz, w ścisłym centrum, dwa pokoje, jakieś czterdzieści pięć, pięćdziesiąt metrów... Aha, i blisko komunikacji miejskiej. O samochodzie pomyślę później. Błagam! Ratuj mnie! Masz jakąś pasującą do tego ofertę? Biorę od ręki! I nie urwę z prowizji nawet złotówki!

– Uspokój się. Weź kilka głębokich wdechów. Mam dla ciebie bardzo dobrą ofertę. Obydwie powinnyśmy być zadowolone, chociaż ja skorzystam zapewne dużo bardziej. Zdasz się spać do wieczora? Ile czasu potrzebujesz? Dwie godziny? Pięć? Osiem? Powiedz, o której mam przyjechać. Obrócimy kilka razy, ale damy radę wyprowadzić cię z domu złego jeszcze dzisiaj.

– Dzisiaj?! A gdzie notariusz? – Wiktoria przez chwilę zachłysnęła się piękną perspektywą, jednak szybko uznała, że Anka się wygłupia. – Nie mam jeszcze pieniędzy od Sławka. Przecież jest niedziela.

– Zabiorę cię do nas, durna babo! Na to nie potrzeba notariusza ani pieniędzy. Niedziela też w niczym nie przeszkadza.

– Bez przesady! – Wrzuciła niedopałek w zaspę i natychmiast wystraszyła się, że kiedy przyjdzie ocieplenie, szwagier odnajdzie go na swoim trawniku. Zaczęła grzebać w śniegu. – Nie chcę znowu robić za przybłędę. Znajdź mi coś. Zacisnę zęby i wytrzymam, ile będzie trzeba. Byle nie dłużej niż tydzień. Pamiętaj!!! Zrzygam się, jeśli usłyszę pretensje, że nie dotrzymałam umowy. Napluję mu w gębę! Przysięgam...

– Dasz mi coś powiedzieć? – Anka znowu zaczęła się śmiać. – Słuchałam was dwie godziny. Możesz teraz w zamian posłuchać mnie przez pięć minut?

– No? – Wiktoria odszukała wreszcie peta i zniosła go do przydomowego śmietnika.
– Dawaj!

– Też mam pewien problem. Oczywiście wstyd o nim wspominać przy waszych kłopotach, ale... Zauważyłaś, że znowu dosypało śniegu?

– Zauważyłam! – krzyknęła Wika triumfalnie. – Nie uwierzysz, ale tylko co przestałam się w nim grzebać!

– Kto go u was sprząta?

– Do wczoraj Mirek. A dzisiaj to chyba mój ukochany szwagier szuflował. Nie wiem. Mówiłam ci, że spałam jak dziecko. Jeśli nie słyszałam karczemnej awantury o mnie, to jak miałabym usłyszeć łopatę?!

– No widzisz. A mnie nie jest tak dobrze, niestety. Wszystko na mojej głowie! Bo Kamiś nie ma czasu na tak przyziemne sprawy jak śnieg. On odpala swój furgon z napędem na cztery koła i rusza spod domu przed szóstą rano. A ty się, kobieto, męcz! Raz i drugi machałam łopatą, ale wczoraj się zbiesiłam. Co to ja jestem? Jakiś pług syberyjski, do jasnej cholery?! I wymyśliłam coś genialnego. To znaczy... Tak mi się wydawało...

– Co zrobiłaś? – Przypalając kolejnego papierosa, Wiktoria nie zapanowała nad płomieniem zapalniczki. – Bo ja właśnie zjarałam sobie pokaźny kawałek fryzury. Boże! To jakiś sądny dzień!!!

– Odsnieżyłam wszystko wodą ze szlauchu. Bardzo ładnie mi poszło. I w minutę!

– Co?! – Wika przestała przyglądać się swoim nadpalonym włosom. – Nie rozumiem. Jak to? Odsnieżałaś wodą?! W życiu nie słyszałam o czymś podobnym. Jak się odsnieża wodą?

– Uwierz mi, że rewelacyjnie. Prawdziwe czary-mary: lejesz wodę na śnieg, a on natychmiast znika.

– Przecież woda zamarza...

– Ale tylko w minusowych temperaturach, prawda?! – Anka cmoknęła nerwowo.

– A w telewizji mówili, że nie będzie mrozu. Pokazywali plus dwa stopnie dla Szczecina. No to wzięłam szlauch, podpięłam go do ujęcia w garażu... Musiałam w garażu, bo zewnętrzne, ogrodowe krany Kamiś już odciął na zimę...

– Mhm.

– No! I polałam śnieg wodą. Powtarzam ci: rewelacja! Chwila i wszystkie chodniki i podjazd wyglądały jak latem. Sąsiedzi patrzyli na mnie jak na głupią, ale ja na nich tak samo. Bo oni napierniczali łopatami spoceni jak świnie i nie było widać końca ich roboty. A ja? Wodę zakręciłam, garaż zamknęłam, kozaczki na obcasie włożyłam, wsiadłam w autko i pojechałam do pracy.

– I...?

– Może się streszczę do niezbędnego minimum. Telewizja kłamie!

– Zamarzło? – Wiktoria była coraz bardziej ubawiona.

To był jeden z najdziwniejszych dni w jej życiu. Nigdy dotąd nie doświadczała tak skrajnych emocji. Chociaż wstała z łóżka zaledwie cztery godziny temu, zdążyła być już wściekła, rozbawiona do utraty przytomności, smutna, rozgoryczona, szczęśliwa, bezradna i pełna nadziei. Czuła się, jakby ktoś zmieniał kolory szkieł w jej okularach: czarne–różowe–czarne–różowe–czarne... Teraz, dzięki rewelacyjnej metodzie odsnieżania wodą, znowu były różowe.

– Zamarzło! Lepiej niż Bałtyk za Karola Gustawa! – Anka wybuchła śmiechem, ale szybko spoważniała. – Finał był taki, że Kamiś wywinął orla i złamał nogę. Leżał na oblodzonym chodniku kilka kroków od drzwi wejściowych i nie mógł się ruszyć. Dzwonił do mnie, ale miałam wyłączony telefon, bo byłam akurat z klientami u notariusza. Więc zaczął się wydzierać

tak głośno, że wszyscy sąsiedzi powychodzili z domów. Nie mogli mu jednak pomóc, bo się przewracali zaraz za furtką. Od ulicy do domu mamy jednak ładnych parę metrów, nie? Swoją drogą to zdumiewające, że on znalazł tak daleko, a inni nie dali rady... – Wiktoria usłyszała w tle Kamila. – No co?! Ja się nie naśmiewam, tylko cię podziwiam! Że oni nie dali rady, a ty dałeś...

– Ucałuj ode mnie jego złamaną nogę. I co? Jak sobie poradzili?

– Najpierw chcieli rzucić mu linę, ale nikt nie miał nic wystarczająco długiego i mocnego, a on leżał i krzyczał z bólu, więc żeby nie tracić czasu na szukanie sznurka, utworzyli łańcuch ratunkowy. Taki, wiesz, że każdy się kładzie i jeden drugiego trzyma za rękę... I jakoś go wywlekli z powrotem na ulicę. Na suche, znaczy...

– Zlituj się! Przecież to lepsze od „szanownej pani Cebuli”! – Wika starała się zdusić śmiech. – Wiesz co? Mam wrażenie, że szanowny pan Bóg wsadził mnie dzisiaj na psychiczny roller coaster...

– Kto to jest pani Cebula? I co ma do tego roller coaster?

– Nieważne! Mów dalej. Sąsiedzi wywlekli Kamila na suche i zawieźli do szpitala?

– No. Oni zawieźli, a ja go stamtąd zabrałam. Jak wyszłam od notariusza, to zobaczyłam, że mam milion nieodebranych połączeń – relacjonowała Anka zbolalym głosem. – Od razu czułam, że stało się coś złego i mało na zawał nie padłam ze strachu, kiedy oddzwaniałam. A tu się okazuje, że tylko nogę złamał! W zasadzie to nawet nie złamał. Kość mu pękła... No wiem, kochanie, wiem. Pęknięcie boli tak samo jak otwarte złamanie w trzech miejscach albo i bardziej... Szczególnie że ty masz podwyższony próg wrażliwości. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żebyś się zwyczajnie skaleczył. Nawet przy obieraniu marchewki rozcinasz sobie palec „do kości” albo „do mięsa”. Innej opcji nie ma. Ale za to, między innymi, cię kocham... No i słuchaj dalej! – zwróciła się ponownie do Wiktorii. – Pojechałam do tego szpitala, wchodzę i widzę, że wszyscy patrzą na mnie jakimś dziwnym wzrokiem. Bo oczywiście mój Kamiś nie omieszkał opowiedzieć, co go spotkało, i cały personel, od rentgena po gipsownię, próbował rozwiązać zagadkę oblodzonych chodników. I nikt nie potrafił. Pewnie do dzisiaj uważaliby, że to sprawka tych samych zielonych ludków, które robią kręgi w zbożu, jak lądują statkami kosmicznymi, gdybym po wyjściu od notariusza nie zadzwoniła i nie powiedziała, że to tylko ja odśnieżałam wodą... – Krzyki Kamila po raz kolejny przerwały opowiadanie Anki. – No dobrze! Powiem jej, jaka była reakcja lekarzy... Nie wstydę się! Wstydzić to się powinni ci od pogody w telewizji. To przez nich... Kochanie! Jeśli jeszcze raz zaczniesz mi tłumaczyć różnicę między temperaturą powietrza i temperaturą przygruntową, przysięgam, że popełnię samobójstwo, waląc głową o twój gips!!! Okej... Niech ci będzie... Popełnię samobójstwo, dopiero jak zdejmą ci gips...

– Jaka była reakcja lekarzy?! – Łzy śmiechu zamarały na policzkach Wiktorii niczym woda na chodnikach pod domem Anki.

– Podobno musieli od nowa robić zaprawę gipsową, bo zanim ochłonęli, to ta pierwsza stężała. A chirurg zadzwonił na rentgena i podał rozwiązanie zagadki. Też im ponoć było bardzo wesoło. No i pielęgniarki w okamgnieniu wszystko rozapały, więc nic dziwnego, że kiedy do tego szpitala przyjechałam, to wszyscy patrzyli na mnie jak na morderczynię kretynek...

– Nigdy już nie włączę telewizora! – zadeklarowała Wika. – A Kamil? Jak się trzyma po tym wszystkim?

– On bardzo dobrze, ale ja ledwo. I właśnie chciałabym wrócić do meritum... Słuchaj! Oszaleję z nim za chwilę! Mój mąż czuje się upokorzony, porzucony, niechciany i sama nie wiem, co jeszcze. Leży i stęka, celebrując swój gips jak częstochowskie wota. Oczywiście obwinia o wszystko mnie, bo do głowy mu nie przyjdzie, że powinien był odśnieżyć nasze chodniki przed wyjściem do pracy!

– Po raz kolejny cię błagam. Nie rozśmieszaj mnie!

– Ja cię wcale nie chcę rozśmieszyć – prychnęła Anka. – Ja cię o pomoc błagam! Mam poumawianych klientów, notariuszy, banki... A ten jójczy! Błagam!!! Wprowadź się do nas dzisiaj! Przy swoim trybie pracy zapewnisz mu godziwą opiekę. Poza tym potrafisz obchodzić się z małymi dziećmi, a on przypomina teraz rozkapryszonemu siedmiolatkowi. Nie miałam pojęcia, że zwykły gips tak lat odejmuje! Może zeskrobie mu trochę z nogi i sobie pod oczy położę? Będę miała powieki siedmiolatki! Uważam, że to jeszcze lepsze odkrycie niż odśnieżanie wodą.

– Nie, nie... To nie jest dobry pomysł... – Wiktoria zaczynała się wahać, ale rozsądek podpowiadał jej, że Anka ma już wystarczająco dużo problemów i nie potrzebuje kolejnego w postaci Wiktorii. – Mam na myśli moją przeprowadzkę do was. Chociaż zagipsowanie sobie oczu też niczego sobie... – parsknęła.

– A ja uważam, że twoja przeprowadzka to cudowne rozwiązanie! – entuzjastowała się Anka. – Ty zajmiesz się Kamilem, a ja w zamian za to znajdę ci mieszkanie. Postaram się jak nigdy. Przysięgam! Na spokojnie razem czegoś poszukamy. Nie możesz przecież kupować chaty w desperacji. Trzeba pochodzić, pooglądać... Będziesz miała czas do namysłu, bo jemu ten gips dopiero za sześć tygodni ściągną.

– Przestań. Twój mąż potrzebuje spokoju, a nie dwóch jazgoczących bab.

– To ja ci go dam do telefonu. I tak wciąż się wtrąca i przerywa. Proszę, kochanie, porozmawiaj z Wiktoria... .

– Wika? – Kamil brzmiał, jakby złamał wszystkie dwieście sześć kości. – Już wiesz, że żona chciała mnie zabić? I że jestem pośmiewiskiem całej dzielnicy i całego szpitala?

– Tak. Już wiem. – Wiktoria od kilku minut nie przestawała serdecznie się śmiać.

– Dobrze się czujesz? Bardzo cię boli noga?

– Bardziej boli mnie to, że nie chcesz się do nas wprowadzić. Ratuj!!! Nie odmawia się kalece! Miej serce! Może i jestem upierdliwy, ale twojemu szwagrowi do pięt nie dorastam. Jego nikt nie przebije, więc na pewno polepszysz swoją sytuację bytową. I moją też. Wpadłem w łapy prawdziwej Misery!!! Ona mnie zadreczy i zamęczy. W tobie cała nadzieja!

– Która jest godzina? – Wiktoria ledwo dała radę odchylić zziębniętymi palcami ciasny ściągacz zimowej kurtki i spojrzeć na zegarek. – O dwudziestej powinnam być gotowa do ewakuacji. Może nawet wcześniej? Zadzwoń i dam znać.

– Ratujesz nam życie! – zakrzyknął radośnie. – Anula, mamy ją!!!

Spieszyła się tak bardzo, że zanim minęła dwudziesta, zdążyła się na dobre rozgościć w domu przyjaciółki. Ale wyprowadzka nie była przyjemna... Kiedy Emilka wreszcie wróciła i zobaczyła pakującą się w pośpiechu Wiktoria, powiedziała jej wiele gorzkich słów, a potem zabarykadowała się w pokoju ze swoim ymcyk-ymcyk-dżdż-dżdż-dżdż-ymcyk-ymcyk. Sławek, który wrócił do domu jeszcze później niż córka, gotował się ze złości. Zarówno pani doktor, jak i pan dziekan odprawili go z kwitkiem, informując zgodnie, iż wedle litery prawa nie ma już żadnej kontroli nad tym, co robi jego syn, więc uprasza się pana kapitana o niezakłócanie porządku publicznego i oddalenie się na właściwy dystans. Mirek zadzwonił do ojca i powtórzył mu to samo, tylko znacznie krócej, i niewyszukanymi słowami skomentował jego wizytę na uniwerku. Sławek zatrzęsął się w sypialni. Nie wyszedł, kiedy Wiktoria przetaczała przez próg walizki i razem z Anką utykała kartony w samochodzie. Jediną osobą, która ją pożegnała, była Mela.

– Jeśli ktoś w tym domu jest kapitanem, to tylko ty. – Wika przytuliła się do niej przy wpychanym po brzegi samochodzie. – Uwierz!

– Co ty gadasz? Kapitan nie płacze! – Amelia wyglądała jak ostatnie nieszczęście. Tusz z rzęs zalewał ciemnymi smugami jej policzki. – Jedź już! Bo zaraz wsiądę z wami do samochodu i stąd ucieknę! – Wepchnęła Wiktorię do środka, trzasnęła za nią drzwiami, odwróciła się na pięcie i pobiegła do domu.

– No to jadziem! Od jutra zaczynasz nowe życie, moja kochana! To znaczy za sześć tygodni, jak Kamisiowi gips już zdejmy... Ale od jutra zajmę się szukaniem mieszkania dla ciebie... – Anka przekręciła kluczyk w stacyjce i wyjechała na ulicę. – Może teraz, póki on nas nie słyszy, powiem ci, jak trzeba z nim postępować. Po pierwsze, masz mu ciągle współczuć. Po drugie, masz święcie wierzyć, że mój Kamiś ociera się o nieosiągalny dla ciebie absolut cierpienia. Po trzecie, masz pamiętać, że nigdy w życiu nie spotkało cię gorsze upokorzenie i nigdy tak bardzo nie wstydziłaś się przed sąsiadami. Po czwarte...

Wiktoria patrzyła na mijane domy i ulice. Wycierała łzy w kołnierz kurtki.
Czarne–różowe–czarne–różowe...

ROZDZIAŁ 28

Miała wrażenie, że ta przeprowadzka stanowi coś w rodzaju wyjazdu do sanatorium, dzięki któremu ma odpocząć i nabrać sił po ostatnich burzliwych i nieprzyjemnych wydarzeniach. Na atmosferę domu Anki i Kamila składały się spokój, śmiech, harmonia i... anielska cierpliwość. Nikt się nie zastanawiał, co można powiedzieć, a czego nie. Nikt nie bał się mówić, co myśli, i nie trząsał ze strachu, że za chwilę kogoś zdenerwuje niepotrzebnymi słowami...

Anka miała w nosie, że gada nad uchem męża, generując ciągły szum informacyjny. On w zamian jęczał i wyrzekał na swój los oraz na nią, nie przejmując się, że Anula za każdym razem przewraca oczyma i stęka. Mimo tych jęków i stęków doskonale się bawili. I bardzo kochali. Wiktoria obserwowała ich z boku i już pierwszego dnia zauważyła, że nie potrafią oddalić się od siebie choćby na pół metra. Kamil uwielbiał kłaść głowę na kolanach żony, a ona głaskała go wtedy trochę bezwiednie, ale zawsze czule i delikatnie. Siedząc na kanapie, albo opierali się o siebie ramionami, albo splatali dłonie, pieszcząc nawzajem swoje palce. Były to drobne, prawie niezauważalne gesty, które jednak nie umknęły Wiktorii. Patrzyła na te czułości z prawdziwą przyjemnością i po raz kolejny doszła do wniosku, że jej szwagier jest tylko oschłą i zimną kłodą drewna, a nie człowiekiem. Wrócił z morza po czterech miesiącach i nie uraczył Meli żadnym ciepłym gestem czy spojrzeniem: przywitał ją i traktował, jakby nie była jego ukochaną, ale jakąś daleką znajomą. Postronnemu obserwatorowi trudno byłoby nawet określić, czy tę daleką znajomą lubi, czy jej nie lubi, czy może jest mu obojętna. Po tak długiej rozłące nie stać go było na choćby jeden z tysiąca miłych gestów, które Kamil robił po rozstaniu na trzy godziny.

„Prostak!” – pomyślała o szwagrze, ale gwoli sprawiedliwości złagodziła wyrok: „Skomplikowany prostak! Więcej uczuć i zainteresowania okazuje Piłsudskiemu, drużynie futbolowej i partii niż kobiecie; to jednak jest na swój sposób skomplikowane...”

Kiedys zapytała siostrę, jakim cudem wytrzymuje z tak zimnym człowiekiem. Mela wytłumaczyła jej wtedy, że Sławek nigdy nie emanował ciepłem, więc zdążyła się przyzwyczaić i już od lat nie oczekuje od niego czułości. Starła się też wyjaśnić, że mimo oziębłego usposobienia jej mąż ma też pewne zalety.

– Ja wiem, że jest bardzo zamknięty w sobie, ale jeśli dzieje się coś złego i wymagającego interwencji, to zawsze można na niego liczyć. Jest wtedy niezawodny – zapewniała. – Nie wyobrażasz sobie, jak wtedy się ożywia i uaktywnia.

„Czyli ma dokładnie tyle wrażliwości, co czujnik systemu antywłamaniowego!” – pomyślała Wika, ale nie powiedziała tego głośno. Uważała, że związek z Pawłem dożyłotnio pozbawił ją prawa do krytykowania innych. Milczała więc. Z zamkniętymi ustami patrzyła, analizowała, wyciągała wnioski... Od kilku dni badawczo przyglądała się swojej przyjaciółce i jej mężowi.

Kamil w niczym nie przypominał Sławka. Wprawdzie też miał określone preferencje sportowo-polityczne, ale w rozwoju emocjonalnym wznosił się ponad poziom systemu alarmowego. Wbrew ostrzeżeniom Anki nie okazał się aż tak marudnym i kłopotliwym pacjentem. Nawet jeśli często stękał i jęczał, to robił to naprawdę ujmująco, wzbudzając raczej

rozbawienie niż irytację. W gruncie rzeczy nie potrzebował żadnej opieki, natomiast bardzo potrzebował kogoś, kto wysłucha jego utyskiwań. A ponieważ utyskiwał równie rozbijająco, jak jęczał, można było nawet czerpać z tego przyjemność. Nudził się w pustym domu, do którego Anula wracała dopiero wieczorem. Zawiadywał firmą przez telefon, przygotowywał oferty na kolejne przetargi, przyjmował zleceniodawców i podwykonawców, ale wciąż czuł się jak opuszczony inwalida.

Towarzystwo Wiktorii naprawdę dobrze mu robiło. Porównując ją z żoną, miał wrażenie, że Wika w ogóle nie pracuje. Wychodziła do szkoły i wracała mniej więcej po pięciu godzinach. Oprócz weekendów miała wolne wtorki. Wprawdzie widział, jak dużo czasu poświęca przygotowywaniu się do lekcji, sprawdzaniu prac, tworzeniu scenariusza i szykowaniu rekwizytów do zbliżających się jasełek, ale robiąc to wszystko, była jednak w domu!

Pomagał, jak mógł, i doskonale się przy tym bawił: skonstruował sześć par prześlicznych anielskich skrzydeł, dwie imponujące aureole oraz trzy korony dla Kacpra, Melchiora i Baltazara, którzy wbrew temu, co twierdziła w dzieciństwie Emilka, wcale nie byli reniferami Świętego Mikołaja. Pomagał też sprawdzać prace domowe i klasówki, zaśmiewając się przy tym do łez. Najbardziej lubił te, które pisali trzecioklasiści.

– „Ptaki pochodzą z tak bardzo dawna, że my tego nie możemy pamiętać, jak powstały, więc ja też tego nie wiem”. – Rżał jak koń, czytając odpowiedź Krzysia, od którego Wiktoria najwidoczniej domagała się cudów. – I bardzo dobrze chłopak kombinuje! Nie tylko ty, ale wszyscy inni nauczyciele będą mogli mu nagwizdać. Napisze za kilka lat, że nie wie, kiedy była koronacja Bolesława Śmiałego, bo posadzili go na tronie tak dawno, że nie możemy tego pamiętać. Okresowy układ pierwiastków też powstał bardzo dawno. A wzór na pole trójkąta jeszcze dawniej... No, genialny chłopak z tego Krzysia! Co on dalej pisze? – Przekreślił wymiętoloną kartkę na drugą stronę i ponownie wybuchł śmiechem. – „Gady kopalne wyglądały bardzo brzydko. Żyły w starych kopalniach. Wyginęło ich bardzo dużo”. Słuchaj! – Nie przestawał rzeć. – Ty powinnaś zbierać takie perełki i wrzucać je w Internet.

– Znasz moje zdanie na temat Internetu? Niczego tam nie czytam i nie wrzucam. – Wzruszyła ramionami. – Chociaż wiem, że jest strona, na której nauczyciele zamieszczają podobne teksty. Koleżanka pokazała mi kiedyś najlepszy hit ze szkolnych zeszytów. Zadanie brzmiało: „Jest siedmiu krasnoludków, siedem szklanek mleka i sześć ogórków kiszonych. Czego nie dostanie jeden krasnal?”. Uczeń odpowiedział: „Sraczki”.

Klejąc anielskie skrzydła i sprawdzając klasówki, zarówno ona, jak i Kamil leczyli sobie psychikę: on po uwłaczającym incydencie na oblodzonym chodniku, Wiktoria po pełnych napięcia ostatnich dniach w domu Meli i Sławka.

– Wiesz co? Gdybym tak bardzo nie kochał mojej Anuli, to zaraz bym się z nią rozwiódł i ożenił z tobą – powiedział Kamil któregoś dnia. – To naprawdę skandal, żeby taka fajna babka była niezagospodarowana. Coś trzeba z tym zrobić!

– Błagam – zaprotestowała Wiktoria ze śmiechem. – Tylko nie próbuj mnie swatać! Pamiętaj, że jestem kobietą po przejściach, okej? Najpierw, wiele lat temu, twoja żona zeswatała mnie niechcący z Pawłem i spuśćmy na to zasłonę milczenia...

– Spuśćmy – przytaknął.

– Potem z Melą założyły mi konto na portalu randkowym. Na to też spuśćmy zasłonę...

– Oczywiście! – znowu ją poparł.

– A potem mama swatała mnie z Bożydarem...

– Kurtyna!!! – zakrzyknął Kamil na cały głos. – Chyba czas, żeby zaczął cię swatać facet, a nie one. Co o tym myślisz?

Nie zdążyła odwieść go od karkołomnego pomysłu, bo w tym momencie do salonu wpadła Anka. W rozpiętym płaszczu i z obłędem w oczach.

– Kochanie! Daj mi gotówkę. – Bezwiednie głaskała wijącego się przy jej nogach psa, który nie posiadał się z radości, że pani wróciła do domu. – Pan taksówkarz nie przyjmuje kart. Masz dwie dychy?

– Zobacz w kuchni. Portfel jest na parapecie albo na blacie... Pan taksówkarz?! – Kamil usiadł, prężąc się jak struna, przez co zarzucona na stół noga opadła na podłogę, a gips huknął o parkiet. – Uuuu!!! – zawył boleśnie. – Skąd pan taksówkarz? Przecież wyjechałaś z domu samochodem. Czemu wracasz taksówką? Co znowu zrobiłaś?

– Pojechałam do myjni, tej obok naszego Netto. A potem z niej wyjechałam i poszłam na zakupy. Chwilowo nie mam samochodu. To znaczy mam, ale niesprawny... – Anka chciała rzucić się do kuchni, ale mąż jej na to nie pozwolił.

– Ani się rusz! Co ma myjnia do zakupów, naszego samochodu i taksówkarza?!

– No, jaki ty jesteś dociekliwy... – Targała zawinięty wokół szyi ogromny szal. – Nie pomyślałam o temperaturze, która ociera się o minus dziesięć...

– Znowu?! Czy to pierwsza zima w twoim życiu? Czy ty do tej pory w Afryce mieszkałaś?! Anula! Ja cię proszę! Co się stało?

– Pojechałam do myjni, tej obok naszego Netto. A potem z niej wyjechałam i poszłam na zakupy. Kiedy po zakupach wróciłam do samochodu, okazało się, że przez dwie godziny moje autko błyskało światłami, bo zamarzło coś w kablach...

– Co ty robiłaś przez dwie godziny w Netto?! – Kamil był coraz bardziej zdenerwowany.

– Jak to co? Zakupy. Czy ja po chińsku mówię? Nie tylko w Netto. Na ryneczku obok Netto najpierw byłam... Po biały stanik...

– Aha! Rozumiem! – Mąż starannie układał nogę na stole. – Znaczy nie rozumiem, ale to pewnie dlatego, że nigdy nie kupowałam białego stanika. Może i dobrze? Nie lubię aż tak czasochłonnych zakupów. I co było dalej? Dwie godziny szukałaś białego stanika na ryneczku, potem byłaś w Netto, a samochód sobie stał i mrugał światłami, tak? No super... Mów, mów. Twoja historia urzeka mnie coraz bardziej...

– Jak już znalazłam ten biustonosz, zrobiłam zakupy w Netto i wróciłam na parking, to drzwi nie mogłam otworzyć, bo przymarzły. Na dodatek okazało się, że w przednim kole mam kaptur. Pewnie też przez mróz...

– I co zrobiłaś, kochanie moje jedyne? Wyrwałaś drzwi?

– Nie. Poleciałam do panów z tego CPN-u, co jest obok myjni, żeby mi pomogli. Byli naprawdę bardzo mili i wręcz się ścigali, który pierwszy wymieni koło. – Mrugnęła do Wiktorii. – Wiesz, na blondynkę zagrałam.

– I który wygrał casting? – Mąż patrzył na Ankę z udawanym podziwem.

– Żaden, niestety. – Rozłożyła ręce. – Musiałam im podziękować za pomoc, bo okazało się, że zamarzył też zamek bagażnika, w którym jakiś nieodpowiedzialny konstruktor zaplanował miejsce na koło zapasowe!

– To gdzie masz samochód?

– Jak to gdzie? Na parkingu pod naszym Netto. Akumulator rozładował się kompletnie, ale za to jakie autko jest czyste i pachnące! – Anka rzuciła szal na oparcie kanapy. – To gdzie masz portfel? W kuchni?

– No. Na parapecie chyba... – stęknął Kamil, masując nadwyrężoną pachwinę. – No widzisz? No sama widzisz! – zwrócił się do Wiktorii, kiedy Anka pobiegła szukać portfela. – My zdecydowanie musimy się wyprowadzić do ciepłych krajów! Najpierw ja omal nie straciłem

życia przez jej odśnieżanie wodą, a teraz umarł samochód... Anula to naprawdę całkiem mądra kobieta, ale pod warunkiem że temperatura jest in plus. W temperaturach ujemnych nie kojarzy podstawowych praw fizyki!

Zanim Wika zdążyła cokolwiek powiedzieć, Anka wybiegła z kuchni, machając triumfalnie pugilaresem małżonka.

– Mam! Znalazłam! – Kiwnęła na nią. – Pomożesz mi? Cała taksówka zapchana po dach. Musimy przynieść. Nie uwierzycie, co kupiłam! Już nie mogę się doczekać, jak wypróbuję...

– Ja też! – Kamil wycelował w żonę obydwa palce wskazujące. – Mówisz o białym staniku, prawda?

Mylił się. Kiedy wreszcie wniosły do domu kilkanaście reklamówek, Anka podeszła do niego z ostatnim pakunkiem.

– Zobacz! – Chciała położyć mu na kolanach okazałych rozmiarów karton, ale została natychmiast powstrzymana.

– Nie kładź tego na mnie! Znowu mi coś złamiesz! – Kamil rozpostarł obydwie dłonie nad zdrową nogą. – Nie mam zamiaru zamienić się w gipsową mumię, która będzie mogła tylko mrugać, jak ten biedny samochód światłami. Muszę trzymać się jak najdalej od ciebie, dopóki mróz nie zelżeje.

– Ale ty histeryzujesz, naprawdę! – Anka ułożyła wielkie pudło na drugim końcu stołu. – Myślałby kto, że z nożem za tobą po domu latam.

– Nie potrzebujesz noża. Wystarczy ci szlauch... A co to jest? Bo chyba nie biustonosz?

– To jest mop parowy! Zaraz się dowiecie, co umie... – Sięgnęła do torebki i wyciągnęła zmiętą księżeczkę. – Słuchajcie! – Zaczęła czytać w natchnieniu: – „Urządzenie do czyszczenia pary z wieloma końcówkami...” – Urwała, ściągając brwi. – Nie miałam pojęcia, że para ma wiele końcówek, ale ja z fizyki zawsze cieniutka byłam.

– Wiem! – jęknął Kamil. – Nikt tego nie wie lepiej niż ja. Nawet twoi nauczyciele! W zasadzie to powinienem ich teraz odnaleźć i pozwać o odszkodowanie – perorował z coraz większą swadą. – Gdyby taki jeden z drugim zostawił cię na rok w tej samej klasie i porządnie wytłumaczył różne stany skupienia wody... Wyjaśniłby, że zamarza w temperaturze zero stopni... Że objętość lodu jest większa niż objętość wody, z której powstał, przez co jego gęstość jest blisko dziesięć procent...

– Kamiś! Ja cię proszę! Oszaleć można! Mam do Częstochowy na kolanach iść i się ukrzyżować?! – Anka rozłożyła ręce na boki i stała przez chwilę z opuszczoną bezwładnie głową.

– Przecież niechcący to zrobiłam. A o zamarzaniu wody w temperaturze zero stopni dobrze wiem. Moja wina, że w telewizji zapewniali, że tego dnia nie będzie mrozu?! Nie moja!

– Ale dzisiaj już wiedziałas, że jest mróz. A samochód umyłaś!

– No fakt... Dzisiaj jakoś rzeczywiście nie pomyślałam...

– Właśnie – westchnął Kamil. – Ja tu narzekam, a co ma powiedzieć ten biedny samochód? On ma jeszcze gorzej. Został sam, zamarznięty, na pustym ciemnym parkingu. Też bym tak skończył, gdyby nie pomoc dobrych ludzi. Leżałbym do tej pory na zamarzniętym chodniku i mrugał, dopóki sił by mi starczyło. Aż w końcu przestałbym mrugać...

– Oczywiście! Tak by dokładnie było! I napisaliby o tobie piękną bajkę pod tytułem *Chłopiec bez zapalek*. – Anka machnęła ręką, ucinając dyskusję. – Wróćmy może do mopa... Wiecie, że już nigdy nie będę musiała kupować detergentów? Bo ten mop czyści samą gorącą parą. I to jak! Z naszego domu na zawsze znikną zacieki, kamień i rdza, no i w ogóle będzie błysk!

– Oprócz rdzy, kamienia oraz zacieków bardzo szybko i ty znikniesz z tego domu. Jestem pewien, że wylądujesz w Siemianowicach – prorokował Kamil, kartkując instrukcję mopa.

– Wybacz, ale nie dam rady cię tam odwiedzać. Jak zdejmą mi wreszcie ten cholerny gips, to nie od razu będę całkiem sprawny. Na pewno czeka mnie długa i bolesna rehabilitacja...

– A dlaczego mam wylądować w Siemianowicach? – Patrząc na skręcającą się w fotelu Wiktorię, Anka też zaczęła się śmiać.

– Bo tam najlepiej leczą oparzenia, kochanie – wyjaśnił jej mąż, nie odrywając oczu od instrukcji. – Para, którą emituje ten mop, ma temperaturę stu stopni. Przecież to chyba oczywiste, że jak go uruchomisz, to prędzej czy później skończysz w szpitalu. Siemianowice są aż na Śląsku. A ja, powtarzam, jeszcze długo nie będę mógł sobie pozwolić na tak forsowny wyjazd. To szmat drogi... – Położył na stole instrukcję i kilkakrotnie przejechał palcem po kartkach, rozprasowując je dokładnie. – Wiesz, że nie możesz sprzątać nim sama? Pamiętaj, że jak mnie albo Wiktorii nie będzie w domu, to pod żadnym pozorem nie wolno ci tego uruchamiać!

– Dlaczego?

– Może ja przeczytam... – Kamil pochylił się nad kartkami, które przed chwilą tak pieczołowicie prasował. – „To urządzenie nie może być używane przez osoby o ograniczonych możliwościach fizycznych, motorycznych lub umysłowych. To urządzenie nie może być używane przez osoby nieposiadające niezbędnego doświadczenia i/lub wiedzy. Użytkowanie urządzenia przez takie osoby jest możliwe wyłącznie pod nadzorem opiekuna”. – Podniósł głowę, zamyślił się na chwilę i mruknął pod nosem: – Cholera! Muszę to skserować i przyczepić do szlauchu... Kolia! – zwrócił się do psa leżącego pod stołem. – Tobie też coś podobnego powinienem zawiesić na ogonie. W ciąży byś dzisiaj nie była...

– Bardzo śmieszne! – Żona usiadła obok niego, cmoknęła go w policzek, a potem oparła głowę na jego ramieniu. – Myślałby kto, że sam nigdy nic głupiego nie zrobiłeś. Pamiętasz, jak cię prosiłam, żebyś kupił mi podpaski ze skrzydełkami? No! Pochwal się Wiktorii, co przyniosłeś.

– Jak to co? Podpaski! – Chichotał Kamil.

– Owszem – parsknęła Anka. – Myślałam, że trupem padnę z wrażenia! Mój geniusz kupił mi podpaski i... kilogram skrzydełek!!! Kilogram kurzych skrzydełek! Szok!

– Ale przyznaj, że nikt sobie przez to nóg nie połamał. Ani nie zamarzył na parkingu, prawda? – bronił się Kamil dzielnie.

Wiktorcia ledwo oddychała, zmęczona długim śmiechem.

Naprawdę czuła się tu jak w sanatorium albo w ośrodku odwykowym – odwykała od smutku, przygnębienia i ciągłej niepewności. Kontakt ze starym światem miała tylko przez Emilkę. Dziewczyna często wpadała do Anki i Kamila, a poza tym widywały się w szkole, gdzie przyszła dizajnerka pobierała korepetycje z fizyki i matematyki u kolegi Wiktorii. Z tego, co mówił, uczyła się na zwiększonych obrotach i radziła sobie coraz lepiej. Zapewniał, że maturę z obu przedmiotów zda bez najmniejszych problemów, ale wciąż intensywnie pracowali, bo nie chodziło przecież o uzyskanie minimalnego limitu punktów, lecz o to, by zdać z jak najlepszym wynikiem.

Pierwszy atak furii, w jaki Emilka wpadła na wieść, że jej BFF wyprowadza się i zostawia ją na pastwę losu i szalejących rodziców, dawno już minął. Kiedy emocje opadły na tyle, że siostrzenica była w stanie słuchać i nie krzyżeć, Wiktorcia przeprowadziła z nią długą rozmowę. Starala się być na tyle szczerą, na ile tylko mogła. Pewne rzeczy z oczywistych względów musiała jednak przemilczeć. Może i Emilka nie do końca wszystko zrozumiała i nie we wszystko uwierzyła, ale najważniejsze, że zaakceptowała stan rzeczy. Przyjęła też do wiadomości, że

ojciec nie jest potworem, który skrzywdził Wikę, wyrzucając ją z domu. Dezaktywacja hejtera nie przeszkadzała jej wprawdzie obnosić się z drobnymi fochami, ale rodzice nie mieli teraz głowy do przejmowania się nadąsaną córką.

Z doniesień Emilki wynikało, że Sławek nie składał broni – wciąż próbował rozdzielić syna i tę „zбочzoną babę”, jak niezmiennie nazywał Justynę. Poruszał niebo i ziemię, a Janina dzielnie mu w tym sekundowała. Podejrzała, że w romansie wnuka musiał maczać pazury sam szatan, i była skłonna przeprowadzić coś na kształt amatorskich egzorcyzmów. Sławek jako zdeklarowany racjonalista nie wierzył w egzorcyzmy i inne czary, więc poprosił teściową, aby zamiast tego porozmawiała z wnukiem i tą zбочzoną babą. Mirek odwiedził babcie po jej wielokrotnych szantażach i błaganiach. „Zobaczysz! Ja mogę umrzeć jutro albo pojutrze, a ty będziesz żyła latami i zdręczę cię wyrzuty sumienia, że odmówiłaś mi jednego spotkania”. Poszedł. Sam. Wyszedł po kwadransie z czystym sumieniem. Podziękował za egzorcyzmy i wyraził wdzięczność za to, że babcia będzie się za niego modlić aż do śmierci, która – głównie przez Mirka i jego opętaną kobietę – lada chwila zaatakuje zбочoną Janinę.

– Najbardziej to się bał, że dziadek go zamurdzi – relacjonowała Emilka, popijając wodę z granulkami fitness style, które zawitały pod dach Anki razem z Wiktoria. – Ale na szczęście dziadek całkiem mainstreamowy się okazał i wyciłował totalnie: w ogóle się nie odzywał, tylko bujał w fotelu i oglądał mecz. Mirek nawet myślał, że ogluchł, ale nie. Dyskutował z komentatorem z telewizora, czyli łapał decybele.

– Mainstreamowy?! – Kamil miał okazję bliżej poznać Emilkę dopiero teraz, kiedy niemal codziennie przychodziła do jego domu. Za każdym razem go zaskakiwała. – A co to znaczy?

– Taki, który podąża za tym, co jest popularne – wyjaśniła mu żona z wyższością. – Akceptuje to i bezwiednie odwzorowuje. Dziadek jest mainstreamowy, bo nie umrze na myśl o tym, że jego wnuk zakochał się w dużo starszej kobiecie. Dobrze mówię?

– No, mniej więcej... – Emilka lekko się skrzywiła, gdyż definicja wydała jej się nie do końca poprawna. Zrezygnowała jednak z dokładniejszych wyjaśnień. Już dawno pogodziła się z tym, że pokolenie jej matki i ciotki nie grzeszy bystrością, więc trzeba im ograniczać napływ danych do niezbędnego minimum.

– A skąd ty to wiesz? – Kamil spojrzał na Ankę ze zdumieniem.

– Bo jestem mainstreamowa! W przeciwieństwie do ciebie, zacofany człowieku...

– Słuchaj – zagadnął szybko. – A jak ktoś w czasie mrozu polewa chodnik wodą, to można powiedzieć, że jest mainstreamowy?

– Nie. Raczej nie – odpowiedziała dziewczyna, chichocząc. – Chyba że wrzucicie ten sposób odśnieżania w sieć, a lemingi podłapią. Mainstream jest nieprzewidywalny.

– Lemingi?! Jakie lemingi? – Wszystkie trzy spojrzały na niego z wyraźnym zniecierpliwieniem, więc przestał dociekać. – No dobra. A rektor co powiedział?

– Przez rektora to tata chwilowo nawet lewitację zaliczył, bo facet obiecał mu, że osobiście porozmawia z Justyną. Ojciec pewnie myślał, że wyp... wyrzuci ją z roboty. Nie wiem, czy ten cały rektor z nią w ogóle gadał, bo nie pytałam o szczegóły. W każdym razie z roboty jej nie wyrzucił i nie dostała żadnej kary ani nic. Za to Mirek wyrzucił ojca ze swojego telefonu. W ogóle teraz nie gadają.

– A mama? – zapytała Wiktoria, zastanawiając się, czy wypada tak przesłuchiwać małą.

Musiła jednak wiedzieć, jak radzi sobie Mela. Myślała o niej przynajmniej sto razy dziennie i dopiero teraz rozumiała, jaki niepokój dręczył siostrę przez te wszystkie lata, kiedy

Wika była z Pawłem i miesiącami milczała i unikała zbyt bliskiego kontaktu z rodziną. Sytuacja powtarzała się teraz w odwróconym układzie. Tym razem to Wiktoria szalała z niepokojem, marząc choćby o godzinie szczerzej rozmowy. Niestety. Nic nie wskazywało na to, by to pozornie błahe marzenie miało się w najbliższym czasie spełnić. Dzwoniły czasami do siebie, ale ich dialogi przypominały czytanki z najgorszych ksiązek do nauki języka obcego.

- Dzień dobry, jak się masz?
- Dzień dobry. Mam się świetnie. A ty?
- Ja też mam się świetnie. Co słychać?
- Dziękuję. Po staremu. A co u ciebie?
- U mnie wszystko w porządku.
- No to do usłyszenia.
- Do usłyszenia.

Gdyby Wiktoria sama tak kiedyś nie rozmawiała z siostrą, zapewne nie rozumiałaby, co się dzieje, i wpadała we wściekłość. Ale rozumiała jak nikt inny i zamiast we wściekłość wpadała w czarną rozpacz. Po raz kolejny dostrzegała podobieństwa między Pawłem i Sławkiem i po raz kolejny uznała, że ci dwaj różnią się tylko jednym: tym, że Sławek nie bije. Ale ta różnica była naprawdę ważna, więc Wiktoria milczała.

Milczała i myślała. Pamiętając własne doświadczenia, mogła sobie wyobrazić, co dzieje się teraz między Amelią i jej mężem. On jest wściekły i miota się jak oszalone zwierzę, a ona robi wszystko, żeby dodatkowo go nie denerwować: zrezygnowała z pracy, bo mu to przeszkadza; odcięła się od Wiktorii, bo wie, że on jej nie lubi; potakuje wszystkiemu, co on mówi, bo to go uspokaja; skupia się na tym co on, bo wierzy, że ma rację; bagatelizuje to samo co on, żeby uniknąć awantury...

Do pewnego momentu Wika łudziła się, że przesadza, ale dzień, w którym spotkała się z siostrą i jej mężem u notariusza, rozwiął te złudzenia. Zobaczyły się wtedy po raz pierwszy, od kiedy opuściła ich dom w tempie przypominającym bardziej ewakuację niż wyprowadzkę. Wiktoria cieszyła się na to spotkanie i z wrażenia nie spała prawie całą noc. Potem nie spała przez dwie kolejne...

W ogóle ze sobą nie rozmawiały. Sławek i notariusz zorganizowali wszystko perfekcyjnie. One podały tylko dowody osobiste i podpisały wielostronicowy dokument: na ostatniej stronie czytelnie, na pozostałych parafką. Urzędnik czytał na głos, że Wiktoria zrzuca się wszelkich pretensji do nieruchomości posadowionej na... oznaczonej w księdze wieczystej numerem osiemset pięćdziesiąt, łamane przez... i akceptuje warunki zawarte w dziale trzecim, „Prawa, roszczenia i ograniczenia”...

Notariusz mruczał po prawniczemu, jednostajnie i beznamiętnie, a Sławek uśmiechał się leciutko, potakując przy każdym kolejnym akapicie. Mela siedziała ze spuszczoną głową i bawiła się zapięciem torebki. Potem wstała i wyszła.

W tym samym dniu na konto Wiktorii wpłynęło czterysta tysięcy złotych. To były niewyobrażalne pieniądze, przepustka do nowego życia, a jednak nie umiała się nimi cieszyć. Wieczorem poprosiła Ankę, żeby zaczęła szukać mieszkania, i wymawiając się bólem głowy, uciekła do łóżka. Była skołowana. Chciała zadzwonić do siostry... Liczyła, że może napisze przynajmniej SMS-a... Nie doczekała się.

W odróżnieniu od pozostałych nie miała do Meli żalu o to milczenie. Anka się oburzała, a Kamil zdumiewał, ale Wiktoria bardzo dobrze rozumiała zachowanie siostry. Nie mogła jednak im tego wytłumaczyć. Siedziała cicho, ale wciąż o niej myślała.

Dlatego postanowiła mimo wszystko przemaglować Emilkę.

– A mama? – ponowiła pytanie. – Ją też Mirek wyrzucił z telefonu?

– Mama? Przecież ona jest zeszara przed ojcem! – wypaliła Emilka i zarumieniła się gwałtownie. – Przepraszam... Błagam! Nie powtarzaj jej tego!

– I ty też tego więcej nie powtarzaj. – Wiktoria pokręciła głową. Okazując na zewnątrz skrajną dezaprobatę, ucieszyła się w duchu, że Emilka najwyraźniej nie ma pojęcia o nagłym zerwaniu kontaktów między siostrami. – Mało designerskie to było...

– Wiem. – Siostrzenica zarumieniła się jeszcze mocniej i szybko przeszła do meritum.

– Mama jeździ po kryjomu do Mirka i Justyny. Była tam chyba już z pięć albo sześć razy. Zapewniałam jej wtedy alibi. Ojciec chyba by ją zabił...

– No a ty? – Wika zmieniła temat, bo teraz wiedziała już wszystko: Mela nie była do końca grzeczną i posłuszną kobietą. – Jak ci się podoba bratowa?

– Taki sam nolajf jak Mirek. – Emilka odetchnęła z ulgą: chwala Bogu, tym razem ciotka najwidoczniej odpuściła sobie przepierkę młodocianego sumienia i upierdliwe moralizowanie.

– Drętwa strasznie, ale pasują do siebie idealnie. Umówmy się, mój brat też normalny nigdy nie był. Poza tym co mnie oni? Krzyczę im „Yolo!” i spadam do siebie. – Wzruszyła ramionami. – Ja wyznaję proste zasady: po cudzych cefalkach nie surfuję.

– Jezus Maria! Co ona mówi? – Kamil pociągnął żonę za rękaw swetra. Od dłuższego czasu starał się nie wtrącać, ale czuł, że za chwilę przestanie rozumieć. – Jaka Jolo? To ona ma na imię Jola czy Justyna? Bo coraz bardziej się gubię...

– *You only live once*, w skrócie yolo – prychnęła Emilka. – Czyli „Raz się żyje”! Widzisz, że ludzie robią coś szalonego albo głupiego, to krzyczysz „Yolo” i jest spoko... – Westchnęła, wydymając usta. Ileż można tłumaczyć?! Czasami miała wrażenie, że ci wszyscy dorośli, niby tacy mądrzy, urwali się z jakiejś innej planety. – A jak tam poszukiwania nowego lokum? Znalazłyście coś? – zagadnęła przedkapitalistyczną polszczyzną. – Byłyście już gdzieś oglądać mieszkania?

– Byłyśmy! I jedno bardzo mi się spodobało. Zagospodarowany strych na ostatnim piętrze wieżowca. Cały Szczecin pod stopami, z okien widać nawet Zalew i niemały kawał Niemiec... Cudo! – Wiktoria cmoknęła, ale zaraz skrzywiła się niechętnie. – Niestety tylko w ofercie tak ładnie wyglądało.

– Przysięgam, że pierwszy raz wdepnęłam w coś podobnego! – Anka zaczęła tłumaczyć się przed Emilką, zanim ta zdążyła o cokolwiek zapytać. – Kiedy facet zgłosił mieszkanie do sprzedaży, jak zwykle poszłam i zrobiłam kilkanaście zdjęć. Najwięcej oczywiście z tarasu, bo panorama naprawdę zwala z nóg. Ale wewnątrz też sfotografowałam. Kuchnię, pokoje... W całkiem niezłym stanie były: zabudowy, nowiutka łazienka... Klient uprzedzał, że weźmie kilka rzeczy, ale pozostawił to do uzgodnienia z ewentualnym kupcem. Skąd mogłam wiedzieć, że wyprowadzi się po kilku dniach bez ostrzeżenia i zabierze ze sobą wszystko?!

– Zabrał kuchnię? Wielkie mi halo! – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Coś wymyślimy. Mówiłam przecież, że pomogę...

– Niunia! – Wiktoria uniosła obojczyki jeszcze wyżej niż siostrzenica. – On zabrał wszystko!!! Meble to akurat najmniejszy problem. Zabrał kaloryfery, wannę, sedes... Wydłubał je razem z fugami, wyobrażasz sobie? Zabrał nawet armaturę i te kostki, w które się wkręca kable od żyrandola! Cud, że nie zrolował widoku zza okna!

– O mało nie zemdlałam, jak zaprowadziłam tam twoją ciotkę – kontynuowała Anka.

– Zadzwoiłam potem do faceta i zapytałam, czy to jakiś żart. Odpowiedział, że buduje dom i każdy kaloryfer i kran są teraz dla niego na wagę złota. Pokłóciliśmy się okropnie i rozwiązaliśmy umowę, ale co się wstydu najadłam, to moje. Chwała Bogu, że na swojego

trafiło. – Popatrzyła z wdzięcznością na Wiktorię. – Bo niejeden kupujący za taką ofertę podziękowałby mi raz na zawsze.

– No to pięknie burak zakmieci! A coś innego znalazłyście?

– Nie chciałam zapeszać, ale jest takie jedno cudne mieszkanko...

– No i czemu ja nic o tym nie wiem?! – Emilka nadąsała się jak mała dziewczynka. – No czemu? Tak się nie robi.

Wiktoria i Anka z czułością i rozbawieniem obserwowały dziewczynę. Znajdowała się na tym szczególnym etapie rozwoju, kiedy z jednej strony potrafi się gwałtownie wybuchać, ledwo powstrzymując się od przeklinania, ale z drugiej – często przypomina się małe, rozkapryszone dziecko, które nie dostało obiecanej cukierki i jest gotowe ostrzegawczo wygiąć usta w podkówkę, a potem rozedrzeć się na cały głos. Wika zachowała w pamięci obrazek, który był doskonałą ilustracją tej fazy. Pewnego dnia, kiedy po lekcjach weszła do pokoju nauczycielskiego, zastała tam Emilkę i jej korepetytora. Byli tak pochłonięci pracą, że nie usłyszeli otwierających się drzwi. Zanim się z nimi przywitała, patrzyła jakiś czas na siostrzenicę i uśmiechała się od ucha do ucha. Emilka siedziała przy stole w gigantycznych szpilkach, których obcas był zdecydowanie dłuższy niż jej spódniczka. Wysuwając koniuszek języka, rozwiązywała ubiegłoroczne zadania maturalne, a jej długopis wieńczyła miniaturowa figurka Kubusia Puchatka... Sprawiała wrażenie kolażu, w którym sklejoną dziewczynkę z kobietą. Teraz wyglądała bardzo podobnie: nadąsane dziecko w pełnym makijażu.

– Nic ci nie mówiłam, bo to bardzo niepewna oferta. Sprzedający musiałby zjechać z ceny aż o pięćdziesiąt tysięcy i chyba się domyślasz, że wcale się do tego nie pali – wyjaśniała spokojnie. – Ale z drugiej strony, bardzo mu się spieszy i na gwałt potrzebuje pieniędzy. Kiedy powiedziałam, że płacę gotówką i od ręki, to aż oczy mu się zaświeciły. Jeśli nie znajdzie nikogo za taką cenę, jaką teraz woła, to jest gotów się targować. Obiecał, że da znać najdalej za dwa tygodnie. Dlatego nic nie mówiłam, bo to takie patykiem po wodzie pisane.

– Nie wymawiaj przy mnie słowa: „woda”, dobrze? Jakies lęki mam... – jęknął Kamil.

– Oby mi kiedyś przeszło. Obawiam się, że bez terapii się nie obędzie...

– Chcesz o tym porozmawiać? – zapytała Anula i klepnęła się w kolana. – To kładź się na kozetkę!

– Co to za lokalizacja? – zapytała Emilka. – Ile tam jest pokoi?

– Dwa. Ale ogromne, bo to stare budownictwo. I jak pięknie zrobione! – Wika westchnęła na samo wspomnienie. – Rok temu był kapitalny remont. Wszystko jeszcze pachnie nowością.

– Phi! W starym budownictwie? Mieszkanie może i pachnie, ale za to klatka schodowa na pewno wali syficzną meliną. Nienawidzę takich poniemieckich ruder! – Emilka nie chciała się przyznać, że wołałaby, aby ciotka kupiła coś, co stworzyłoby pole do popisu dla jej dizajnerskiej fantazji. W świeżo odnowionych pomieszczeniach nie będzie się raczej czym wykazać...

– I tu się mylisz. Żadną syficzną meliną nie wali. Klatka była remontowana dwa lata temu i też jest pachnąca. Poza tym domofon, a przy bramie monitoring, żeby odstraszyć wszystkich właścicieli niecierpliwych pęcherzy. Śliczne patio w oficynie, odnowione elewacje. Prawdziwa perełka. Zresztą mogę ci zaraz pokazać. Przepraszam, kochanie... – Anka wyslizgnęła się spod męzowskich ramion i poszła po służbowego laptopa.

– Mimo wszystko uważam, że czterysta pięćdziesiąt tysięcy za dwa pokoje to zdecydowana przesada! – nie poddawała się Emilka. – Nie lepiej kupić od dewelopera coś nowego? W stanie surowym będzie, ale za połowę tych pieniędzy.

– Ono nie kosztuje czterysta pięćdziesiąt tysięcy, tylko równe trzysta. I uwierz mi, że warto tyle za nie dać. Cudne jest! A do tego jakie miejsce... Na Swarozycza, vis-à-vis Teatru Polskiego, który widać z okien. Wyobrażasz sobie? Pięć minut drogi do parku, pięć do Wałów

Chrobrego, pięć do centrum... Marzenie... – Wiktoria ponownie westchnęła, ale zaraz klepnęła się w uda i rzuciła wesoło: – Przestań się stroszyć, że ci nic nie mówiłam! Nie mówiłam, bo jestem pewna, że bardzo szybko znajdzie się kupiec i weźmie to mieszkanie z pocałowaniem ręki, zamiast się targować.

– Ale... Heło! Ja czegoś nie kminię teraz. – Emilka uniosła starannie wyregulowane brwi. – Przecież tata dał ci czterysta tysiąków. Czyli masz kasę na mieszkanie bez żadnego targowania i jeszcze sto w nawiasie zostaje. Tylko nie mów, że puściłaś gdzieś sto tysięcy? Bo chyba nie kazali ci tyle zapłacić za to, że tu cię trzymają?

– Wiesz co?! – Anka, która przed chwilą wróciła na kanapę i opierając się plecami o plecy męża, czekała, aż komputer się uruchomi, spojrzała na dziewczynę ze zgrozą. – Za to, co powiedziałas, powinnaś w ramach przeprosin do wiosny odśnieżać nasz ogródek!

– Ale tylko łopata!!! – krzyknął natychmiast Kamil. – No co się śmiejecie?! Jak patrzę na Emilkę i jej słucham, to czuję, że przebiłaby moją Anulę i nie zadowoliliby się wodą ze szlauchu, tylko od razu z mopem parowym by wyskoczyła! Swoją drogą, mogłoby być ciekawie... – Zadumał się na chwilę. – Idę o zakład, że w Siemianowicach nie mieli jeszcze nikogo, kto by się poparzył przy odśnieżaniu...

– Kamiś, daj już spokój. – Anka pogłaskała męża po głowie i pocałowała go w usta. – Żaden serial nie ma tylu odcinków, ile razy cię już przeproszałam za ten nieszczęsny incydent.

– Ładny mi incydent! – Chwycił oburącz zagipsowaną nogę i podniósł ją najwyżej, jak się dało. – To jest trwały uszczerbek na zdrowiu, a nie incydent!

– Jaki trwały uszczerbek?! Przecież za chwilę ci to zdejną... – Żona pocałowała podetknięty jej pod nos gips i wróciła do ekranu laptopa. – O! Zaraz zobaczysz, mała, całe mieszkanie, budynek i klatkę schodową. Sama się przekonasz, że nie ma tam mowy o żadnym śmierdzącym syfie.

– Wiem, że gips mi zdejną, ale trwały uszczerbek na zdrowiu i tak będę miał. Ta noga nigdy nie wróci do pełnej sprawności. Jestem o tym przekonany! Będzie mnie bolała i rwała na każdą zmianę pogody. Ale trudno, jakoś to wytrzymam... Oby tylko się w ogóle zginała. A bo to wiadomo, czy dobrze mi ją złożyli? Tego nigdy nie wiadomo. Jak ją składali, to tak się ze mnie śmiali, że mogli coś popierdzielić. Tyle się wszędzie słyszy o błędach lekarskich... To jak im wierzyć? Ale co się lekarzom dziwić, jeśli człowiek już nawet własnej żonie zaufać nie może i dnia ani godziny nie zna, kiedy się na jego życie zamachnie... Idzie styraną chłop do domu, pieniądze niesie... Wydawałoby się, że nic, tylko go z otwartymi ramionami witac i ciepły obiad podać. Ale nie! Zamiast obiadu i ciepłych ramion jest jedno wielkie jeb! I leży człowiek na oblodzonym chodniku i zmiłowania woła... – mamrotał Kamil, ale coraz ciszej i już tylko do siebie. Wszystko wskazywało na to, że pochylone nad komputerem trzy kobiety przestały go słuchać.

– No cóż... Muszę przyznać, że ściemy tu zero. Chata wyczesana na maksa. I reszta też... – przyznała niechętnie Emilka. – Ale wciąż nie kleję, dlaczego jeszcze jej nie kupiłaś? Przecież masz kasę. O co cho?

– Cho o to, że chcę kupić mieszkanie i mieć jeszcze trochę na koncie, a nie wydać wszystko...

– Jakie wszystko?! – przerwała dziewczyna. – Dżizas!!! Sto tysiąków ekstra na koncie osiada, a tobie jeszcze mało?! Słowo daję, mózg mi się rozlepie! I wyciągnij trochę przed nawias... Za dużo tam zer. Trzeba je zredukować!

– Pozwól, że zostanę przy swoim, dobrze? – Uśmiechnęła się Wiktoria. – Muszę mieć

spokojną głowę. A głowę mam wymagającą, więc potrzebuję większego zapasu pieniędzy. Na tak zwaną czarną godzinę. Albo na różową. Nigdy nie wiadomo.

– O ja!!! – Usłyszawszy słowo „godzina”, Emilka odruchowo spojrzała na zegarek.
– Obiecałam, że będę w domu przed siódmą. A siódma dawno minęła. – Poderwała się z fotela, zrzuciła z nóg niebotyczne szpilki i zaczęła wciągać schowane w reklamówce kozaki na płaskiej podeszwie. – To mi ojciec nawtyka!

– Odwiozę cię – zaproponowała Anka. – Za kwadrans będziesz w domu.
– Nie. Dzięki. Zamówię taksówkę. Ale umrę z wdzięczności za waciki i płyn do demakijażu. Ma któraś taki z dwufazową formułą chroniącą rzęsy i żeby nie trzeba było za mocno pocierać powiek? – Mimo stresu i pośpiechu Emilka pamiętała o tym, co naprawdę ważne.

Anka popatrzyła na Wiktorię, a Wiktoria na Ankę. Ich spojrzenia były podobnie spłoszone. Miały płynić do demakijażu. Ale czy z dwufazową formułą chroniącą rzęsy?

– Ty teraz nie wybrzydź i nie marudź! – Anula poderwała się zza stołu. – Zaraz ci coś przyniosę. A potem cię odwiozę. Nie dzwoń po żadną taksówkę! – Ostatnie zdanie wykrzyczała, biegnąc do łazienki.

– Ja kiedyś oszaleję. Słowo daję i krwią się pod tym podpiszę... – stęknął Kamil, moszcząc się na poduszkach, które chwilowo musiały mu zastąpić kolana małżonki. – Ty, mała! A ty gadałaś z ojcem o studiach w Warszawie?

– Ty, duży! – prychnęła Emilka, upychając w torebce reklamówkę z butami na obcasie.
– A ty co sobie złamałeś? Nogę czy mózg?

– Hamuj, mała, hamuj... – Wiktoria poczuła, że czerwieni się za siostrzenicę. – Trochę szacunku dla starszych, dobrze?

– Przepraszam. – Emilka też się zaczerwieniła i na chwilę znieruchomiła. – Ale wkurzają mnie takie pytania! Jak ja mam z ojcem albo z mamą rozmawiać o studiach?! Przecież oni się kompletnie ode mnie oderwali! Mama chodzi i chlipie po kątach, a ojciec siedzi z tą swoją zimną, zaciśniętą gę... twarzą! Oni chyba zapomnieli, że ja maturę niedługo zdaję, a co dopiero mówić o studiach! Wy pojęcia nie macie, jak wygląda teraz nasz dom! Wypisz wysmaruj rodzinny grobowiec! Fejspalm totalny!!!

Nie wiadomo, czym skończyłaby się ta rozmowa, gdyby Anka nie przybiegła z łazienki. W jednym ręku trzymała waciki, a w drugim białą-niebieską buteleczkę. Wepchnęła je Emilce.

– Bierz i jedziemy! Makijaż zmyjesz po drodze... Nie żegnaj się za długo. Za minutę odjeżdżamy! Lecę odpalać auto! – Zgarnęła z blatu kluczyki i wybiegła z domu.

Zgodnie z zaleceniem pożegnały się szybko. Emilka zdążyła tylko zachęcić ciotkę do kupienia mieszkania na Swarżycza, bo musiała w duchu zgodzić się z tym, że lepiej by go nie urządziła. Wiktoria uściskała ją szybko i wypchnęła za drzwi. Potem wróciła na fotel i oklapła w nim bezradnie.

– Może ona ma rację?
– Ale z czym? – Wika spojrzała na Kamila umęczonym wzrokiem.
– Że powinnaś wciągnąć ten kwadrat i mieć na wszystko wywalone – zaśmiał się. – Chata jest bez kitu na maksa wyczesana i ktoś może ci ją sprzątnąć sprzed nosa. Nie rznij leminga!
– Przepraszam cię za nią. U niej mówienie wyprzedza myśli...
– Daj spokój! – Kamil nie przestawał się śmiać. – Ja dzięki tej twojej Emilce nowe horyzonty odkrywam... Ale naprawdę dobrze się zastanów. – Spoważniał nagle. – Sto tysięcy w nawiasie to rzeczywiście przesadzona ilość zer. I pomyśl o sobie.

– Wiesz, ile kosztuje kilkuletnie studiowanie w Warszawie? W prywatnej szkole? I wynajęcie tam mieszkania?

– Nie wiem. – Kamil jęknął, przekładając gips na oparcie kanapy. – Studiowałem w Szczecinie, na państwowej uczelni i niczego nie wynajmowałem.

– No właśnie... Ale mniejsza o to! Mogę zająć łazienkę? – Wiktoria podniosła się z fotela. – Powiedz, jaki mamy plan na jutro. Jutro wtorek. Cały dzień jestem w domu, więc mogę zrobić coś pożytecznego. Może okna przelecę? Niedługo święta... Nie uwierzysz, jaka jestem w tym dobra. Przed przyjazdem Sławka Mela dała mi taką szkołę pucowania szyb, że nikt mnie nie prześcignie.

– Oszalałaś? – Kamil udawał skrajnie przerażonego. – Nie dość że jestem połamany, to jeszcze mam dostać zapalenia płuc? Kto myje okna w taki ziąb?!

– Chrześcijanie.

– To ja przechodzę na buddyzm! Zapomnij o myciu okien, dobrze? Jutro koło południa przychodzi bardzo obiecujący zleceniodawca. Mamy ustalać warunki i dogadywać szczegóły. Jeśli wszystko wypali, to będę miał robotę na ładnych parę miesięcy. Dla siebie i dla wszystkich moich ludzi. Nawet kilku musiałbym jeszcze podnająć.

– A co to za robota?

– Zbrojenie i wylewka fundamentów pod duże osiedle domków, szeregowców i bloków typu *cottage*...

– Teraz to gadasz jak moja Emilka – parsknęła Wiktoria, przysiadając na oparciu fotela.

– Co to jest *cottage*?

– Jedno piętro plus użytkowe poddasze. Taki rozwleczony w nieskończoność szeregowiec z miniogródkiem dla każdego – wyjaśnił oględnie. – Nieważne! Grunt, że praca pewna i na długo.

– Czyli jutro ma przyjść jakiś deweloper?

– A jaki tam deweloper! – prychnął jak Emilka. – Podwykonawca dewelopera. Ale mój zleceniodawca, mam nadzieję. Kilka razy już współpracowaliśmy i nieźle nam szło.

– Jezus Maria! Podwykonawca, zleceniodawca... Wybacz, ale to nie jest na rozum prostej kobiety z budżetówki. W życiu nie ogarnę tego łańcucha pokarmowego. – Wiktoria westchnęła i uśmiechnęła się zachęcająco. – To wymyśl mi jakieś zajęcie na jutro, żeby mogła odpracować swój pobyt tutaj. A teraz idę się kąpać.

– Przestań gadać o odpracowywaniu! – Pogroził jej palcem, ale zupełnie inaczej niż Bożydar. – Jeśli chodzi o jutro, to, jak dla mnie, wystarczy, że ładnie się ubierzesz.

– Słucham?! – Zatrzymała się w połowie drogi z oburzoną miną.

– Ubierz się ładnie – powtórzył Kamil, chichocząc radośnie. – Mówiłem przecież, że zależy mi na dopięciu umowy z Jankiem. Trzeba by mu kawę zrobić. Ciasto jakieś podać... I zachęcić, przekonać i urzec... Hostessy jutro potrzebuję, a nie baby do mycia okien.

– Ja ci dam hostessę! – Wiktoria złapała się pod boki. – Wiesz, jak to się nazywa?!

– Nie wiem. – Uraczył ją bezbronną miną uwięzionego w gipsie kaleki. – Seksizm? Mobbing? Nie wiem, jak na to mówicie. My, faceci, nazywamy to marketingiem.

– Idę do łazienki. Wykąpię się, a potem spadam do łóżka, żeby tobie i Ance nie przeszkadzać w... marketingu. – Zaśmiała się i puściła do niego oko.

– A wam tylko jedno w głowie! – Kamil spojrzał niechętnie na swój gips. – Założyłbym ci coś takiego na nogę i ciekaw jestem, jakie odnosilałybyś sukcesy w... marketingu! Przysięgam, że jak mi to gówno wreszcie zdejmą, to najpierw się ze szczęścia urznę w sztok, a potem faktycznie będziesz musiała zostawić mnie z Anulą sam na sam przynajmniej na dobę!

– Mam nadzieję, że zanim zdejmą ci gips, już dawno rozpakuję się we własnym

mieszkaniu, więc będziesz mógł pić i marketingować do woli. Spadam pod prysznic. – Po raz kolejny próbowała wyjść z salonu, ale po raz kolejny jej się nie udało.

– To co? Pomożesz mi go jutro omotać?

– Niech ci będzie. – Machnęła ręką. – To będzie rozliczenie za to, że moja niesforna Emilka wciąż siedzi wam na głowie. Całkiem jak ja. Polecę jutro po ciasto, zrobię wam kawę i jakiś obiad przygotuję, gdyby się podwykonawca i zleceniodawca zasiedziało. Uzgodnię to jeszcze z Anką. Nie wiem, o której znajdzie jutro czas, żeby wpaść i coś połknąć...

– Ja wiem, że nie znajdzie. Nawet minuty. Zrób jej rano stertę kanapek, żeby do wieczora miała co jeść. I nie strasz mnie, że się stąd wyprowadzisz, zanim gips mi zdejmą. Ja nie chcę tu siedzieć sam i jeść kanapek!!!

– Jakoś to zgramy. Wycziluj... – Parsknęła śmiechem. – A teraz idę się wreszcie wykapać. Dobranoc, jakby co.

Zanim weszła na piętro, słyszała zrzędlawy monolog Kamila.

– Aha! Już widzę to „dobranoc”... Anula wróci i będą gadać do rana. A o mnie, oczywiście, ani przez chwilę nie pomyślą... Nawet kul człowiekowi nie ma kto podać! Dżizas! Jak mnie pod tym gipsem wszystko swędzi!!!

ROZDZIAŁ 29

Ubrała się normalnie, ale z samego rana zaliczyła marszobieg do cukierni i warzywniaka, a potem ogarnęła z grubsza mieszkanie. Między jednym a drugim wręczyła przyjaciółce imponującą stertę kanapek, obiecując, że zrobi co może, by jak najlepiej wypaść w roli hostessy.

– Wikuś, ja cię błagam! Postaraj się, żeby Kamiś dostał to zlecenie! – apelowała Anka, dopijając w pośpiechu kawę. – Sama widzisz, że on w gipsie murszeje i jest nie do wytrzymania. Jak mu z Jankiem nie wyjdzie, to zadręczy nas obie! Ty masz przynajmniej wyprowadzkę w perspektywie. A ja?! Zostanę tu na jego pastwę.

– No dobra. Ale co ja mogę? – Wiktoria wyjęła ciasta z pudełka, ułożyła je starannie na dużej srebrnej paterze i schowała do lodówki. – Kawę mogę zaparzyć, nic więcej. Mam z tym Jankiem o wylewaniu fundamentów rozmawiać?

– Oczywiście, że nie. Cudów od ciebie nie wymagam i wcale nie o fundamentach teraz myślę. – Anula przyciszyła głos. – Podając kawę i ciasto, sprzedasz mu kilka tekstów w stylu „To wspaniałe, że są jeszcze na tym świecie ludzie, którzy potrafią docenić rzetelność byłego współpracownika i o nim pamiętać” albo „Proszę się poczęstować sernikiem. Z tego, co widzę, kalorie pana omijają. Chodzi pan na siłownię czy na basen? A może jedno i drugie?”, albo „Zawsze wiedziałam, że pan jest wyjątkowym mężczyzną. Zawsze to Kamilowi powtarzałam”.

– To on taki wyrzeźbiony?

– Kto? Kamil?

– Nie Kamil, tylko Janek. Widziałaś go kiedyś?

– Widziałam. Kilka razy. Nie jest wyrzeźbiony. Normalny jest.

– To dlaczego mam mówić „Kalorie pana omijają. Chodzi pan na siłownię czy na basen? A może jedno i drugie?” – Wiktoria przedrzeźniała entuzjastyczny ton Anki.

– Jak to dlaczego? Żeby podpisał umowę z Kamisiem!

– Nic nie rozumiem.

– No właśnie widzę... – skwitowała z przekąsem Anula i spojrzała na zegarek. – Muszę jechać. Klienci czekają. Wytłumaczę ci to kiedy indziej, dobrze? Teraz powiem krótko: celuj w testosteron i trzymaj go na małym ogniu. No aż taka głupia to chyba nie jesteś? – Wyrwała z notatnika małą karteczkę, na której szybko coś napisała. Otworzyła lodówkę, zgięła karteczkę na pół i postawiła przed paterą z ciastami. Wiktoria zajrzała jej przez ramię.

– „Nie jedz nas!!!” – przeczytała. – Po co ta kartka?

– Dla mojego Kamisia. – Anka zaczęła w pośpiechu zbierać rzeczy i wrzucać je bezładnie do torebki. – Ma brzydki zwyczaj wydłubywania z ciastek bitej śmietany i kremu. Zakrada się do lodówki, rozgrzebuje ciastko, a potem nie wiadomo, co z tym zrobić.

– Przecież ja tu cały czas będę. Nie ma szans, żeby w tym ciężkim gipsie dostał się ukradkiem do kuchni.

– To go nie znasz. Jest połączeniem małego łobuza z dużym łasuchem. – Uśmiechnęła się czule. – Żaden gips go nie powstrzyma przed plądrowaniem lodówki. Szczególnie jeśli wie, że są w niej ciastka. – Ponownie skontrolowała zegarek i cmoknęła z niezadowolaniem. – Jestem na styk. Obym w jakiś korek nie wpadła, bo zawali mi się cały dzień. No to leczę, pa! – Ucałowała przyjaciółkę w policzek. – I błagam! Postaraj się z tym Jankiem!

– Dobra, dobra... Postaram się...

Kiedy za Anką zatrzasnęły się drzwi, Wiktoria przekreśliła zamek, a potem stanęła przed wielkim lustrem. Wydeła leciutko usta, zatrzepała rzesami i nawijając na palec pasmo włosów, zaszcebiotała słodko: „Z tego, co widzę, kalorie pana omijają. Chodzi pan na siłownię czy na basen?”. Skrzywiła się z dezaprobatą. Nie! Tak się nie da. Odrzuciła głowę do tyłu, wypięła pierś, przymrużyła oczy i bez śladu uśmiechu zapytała uwodzicielsko niskim głosem: „To siłownia czy basen? Zawsze powtarzałam Kamilowi, że jest pan wyjątkowym mężczyzną...”. „Jeszcze gorzej! Marilyn Monroe to ja nie jestem” – westchnęła ciężko. „Lepiej zajmę się tym, na czym się znam. Sprzątanie na pewno idzie mi lepiej niż oczarowywanie”.

Odkurzyła dywany i pod czujnym okiem Kamila umyła podłogi mopem parowym.

– No. – Odetchnął z ulgą, kiedy chowała czarodziejskie urządzenie do szafki pod schodami. – Kolejny raz się udało i obyło bez ofiar w ludziach. Ale zobaczysz, kiedyś stanie się nieszczęście. Anula nie powinna przynosić do domu takich niebezpiecznych maszyn.

– Ten mop jest naprawdę fajny i zupełnie bezpieczny. Też sobie taki kupię. – Wika przecierała szklany stół. Uśmiechnęła się do swojego odbicia. – Mam nadzieję, że święta spędzę już u siebie. Wreszcie u siebie... Tylko co to będą za święta? – Twarz, która odbijała się w szklanym blacie, spoważniała i zrobiła się bardzo smutna. – W tej rodzinie nikt już z nikim normalnie nie rozmawia. Mela się nie odzywa, Emilka ucieka z domu, Sławek mnie nienawidzi, ojciec obraził się na wszystkich za sprzedaż domu, Mirek to już w ogóle szkoda gadać... Ale się porobiło...

– My z Anulą wyjeżdżamy w góry. Możesz jechać z nami... Świętami nie ma się co przejmować. Dwa dni raptem... wszystkiego... a szumu jak w ramadan... – Kamil mówił niezbyt płynnie, bo skupił się na przeglądaniu dokumentacji budowlanej. – Przeczekać trzeba... tylko...

Żeby mu nie przeszkadzać w przygotowaniach, zabrała swoje smutki do kuchni. Zdecydowała, że utopi je w zupie jarzynowej. Do tego zrobi mielone z ziemniakami i mizerią. Nie był to na pewno obiad, którym można oczarować przyszłego chlebodawcę Kamila, ale wolała nie ryzykować kulinarnych eksperymentów. Otworzyła lodówkę, żeby wyjąć z niej włoszczyznę.

– A to spryciarz! – Zaniosła się śmiechem na widok rozgrzebanego torciku z bitą śmietaną. – Symulant jeden!

Wzięła do ręki karteczkę, która stała obok patery. Pod apelem NIE JEDZ NAS!!! dopisano NIE PRZYJMUJĘ ROZKAZÓW OD CIASTEK!

– Łobuzie! – Weszła do pokoju i stanęła przy stole. – Co to ma być? – Położyła karteczkę na środku planu zabudowy. – Ten torcik do śmieci można teraz tylko wyrzucić. Wygląda, jakby niedźwiedź się do niego dorwał. Nie mogłeś sobie po ludzku odkroić kawałka?

– O co chodzi? – Mąż przyjaciółki miał zupełnie taką samą minę jak buszujący w śmieciach pies ze zdjęcia, które Wiktoria kiedyś dostała od Witka. – Czego ty chcesz od biednego kaleki?

– Ładny mi kaleka! Zdejmowany chyba ten gips masz! – Nie mogła powstrzymać chichotu. – Kiedyś ty dał radę do kuchni pójść, że cię nie widziałam i nie słyszałam?

Kamil nie zdążył odpowiedzieć, bo rozległ się dzwonek domofonu.

– O! Jest Janek. Otworzysz mu? – Zrobił przymilną minę. – Zanim ja dojdę do drzwi...

– Ani myślę! – Wzruszyła ramionami. – Jeśli dałeś radę dobiec do lodówki, zdewastować ciasto i wrócić tu niepostrzeżenie, to do drzwi też na pewno dokuśtykasz. Proszę! – Podała mu kule. – A ja idę do kuchni. Może coś da się jeszcze zrobić z tym torcikiem. Jakoś go pookrawam czy co... Kolia! Chodź ze mną – cmoknęła na psa. – Załapiesz się na pyszne ciasto. Trochę

rozbabrane, ale nie będziesz się brzydzić, prawda? Ciężarne potrzebują dużo glukozy. Chodź, malutka.

– Bezdusznna pielęgniarka! Piguła bez serca! – stękał Kamil, dźwigając się z krzesła i opierając ciężko na kulach. – To jednak prawda, że kobiety nie są okrutne tylko wtedy, gdy kogoś kochają...

– Przecież mam być dzisiaj hostessą, a nie pielęgniarką. – Poklepała go po ramieniu. – No już! Jazda do gościa. Biegusiem, biegusiem... Tylko się nie przewróć, bo sobie coś złamiesz.

– Zaśmiała się złośliwie i zamknęła za sobą drzwi do kuchni.

Reanimacja torciku nie była wcale łatwa. Kamil wsadził w niego paluchy tak głęboko, że tylko dwa skromne kawałki nadawały się do postawienia na stole. Resztę pochłonęła zachwycona Kolia.

– Smakuje ci? – Wiktoria przykucnęła obok psa i głaskała go po napęczniałym brzuchu. – Jedz, kochana, jedz. Musisz mieć siły na urodzenie i wykarmienie potomstwa. A wiesz, że wezmę jedno twoje dziecko? Jeśli uda mi się kupić to mieszkanie na Swarożyca, to będziemy codziennie ganiać po parku... Oddasz mi swoją córeczkę? Bo chyba wołałabym dziewczynkę... Mam nadzieję, że wrodzi się w ciebie i też będzie taka ładniutka i cichutka. Czy ty w ogóle umiesz szczekać? Czy dopiero się nauczysz? – Pies skończył jeść i z wdzięczności za niespodziewaną ucztę oblizwał twarz Wiki wielkim jęzorem. – No pięknie! Dzięki! – zaśmiała się, wycierając policzek. – Cała jestem w czekoladzie i ślinie!

Umyła twarz i ręce, a potem zabrała się do krojenia ciast. Na szczęście oprócz torciku kupiła jeszcze sernik, murzynka i strudel jabłkowy – nie zawierały bitej śmietany, więc pozostały nietknięte.

Ułożyła je najładniej, jak umiała. Przygotowała talerzyki, włączyła ekspres, przetarła widelczyki i łyżeczki, wyjęła filiżanki. W myślach powtarzała podsunięte jej przez Ankę banialuki, którymi miała zmiękczyć zimne kapitalistyczne serce. „Proszę sobie nałożyć jeszcze ciasta. Kalorie pana omijają najwidoczniej. Chodzi pan na siłownię czy na basen? Że też znajduje pan na to czas. Na pewno jest pan niesamowicie zapracowany, prawda? Dzisiaj tylko prawdziwi mężczyźni jakoś sobie radzą... Ale jakim kosztem!”

– Zaraz się zrzygam – mruzczała. – Trudno! Raz się żyje. Yolo! – Potrząsnęła głową, poprawiła włosy, a potem wyszła z kuchni, żeby przywitać się z gościem i zapytać, czego sobie życzy. Kawy, herbaty? Jeśli kawy, to jakiej? Białej, czarnej, cappuccino? A jeśli herbaty, to zielonej, owocowej, czerwonej czy czarnej? Z cytryną czy bez? A może z sokiem malinowym? To doskonały wybór na taki mróz jak dzisiaj...

„Bycie hostessą to jednak ciężki kawał chleba” – pomyślała, przekraczając próg salonu.

– Dzień dobry, pani Wiktorio! A co pani tutaj robi? Gdzie jest Ania? – Janek spojrzał na Kamila, unosząc wysoko brwi. – Czyżbyś... Nie wiedziałem. Przepraszam... To oczywiście nie moja sprawa.

– A to wy się znacie? – Kamil był tak zdziwiony, że nie dotarło do niego, iż jest właśnie podejrzewany o to, że rozstał się z żoną. – Skąd, jeśli można wiedzieć?

– Jasne, że się znamy. Witam pana – podała rękę Bobowi. – To jest tata jednej z moich uczennic. Znamy się ze szkolnych zebrań, które pan Jan nagminnie opuszcza, nawiasem mówiąc. – Uśmiechnęła się.

– Nie żaden pan Jan, tylko Janek. Jeśli oczywiście mogę sobie pozwolić na taką poufałość. – Lekko się zaczerwienił. – A na zebrań nie przychodzę zbyt często, bo po pierwsze, naprawdę nie mam czasu, a po drugie... proszę wybaczyć, co pójde, to szlag mnie trafia na te

wszystkie marudzące mamuśki. Nie wiem, jak pani z nimi wytrzyma! Z betoniarką łatwiej się dogadać niż z nimi. Pytałem już panią kiedyś, gdzie kupuje pani cierpliwość. Bo naprawdę podziwiam pani spokój, pani Wiktorio.

– Nie żadna pani Wiktoria, tylko Wiktoria. – Jeszcze raz podała mu rękę. – Regulamin szkoły nic nie wspomina o tym, że nie wolno nam mówić po imieniu do rodziców uczniów. A jeśli chodzi o cierpliwość... No cóż. Lata praktyki. Przydaje się nie tylko w szkole. Przy obsługiwaniu faceta ze złamaną nogą też jest konieczna. – Zaśmiała się, wskazując głową Kamila.

– No właśnie, co ci się stało? Jakiś wypadek na budowie? Mocno się potłukłeś?

– Co? A nie... – Kamil machnął lekceważąco ręką. – Nie ma o czym gadać.

– W pracy się tak załatwiłeś? – Janek drażył temat. – BHP się nie przestrzegało, co?

– Ja przestrzegałem, ale inni nie bardzo... – dukał Kamil, trąc czoło w zakłopotaniu.

– Padłem ofiarą cudzej ignorancji, że tak powiem.

– Mam nadzieję, że wywaliłeś durnia na zbity pysk albo przynajmniej pojechałeś mu po premii!

– Należałoby się, ale dałem jeszcze jedną szansę. Niech zna serce! – Kamil zezował na Wiktorię, która ledwo utrzymywała powagę.

– Za miękki jesteś, chłopie! Zawsze mówiłem, że masz za dobre serce. No i co? Dokucza ci bardzo ten gips?

– Nie, w ogóle. W zasadzie to wcale mi nie przeszkadza. Mówiłem, że nie ma o czym gadać. To tylko chwilowa niedyspozycja... – Wika wytrzeszczyła oczy na zboląłego kalekę. „Gips wcale nie dokucza”? „Nie ma o czym gadać”? „Chwilowa niedyspozycja”?! – Wściekam się tylko na przymusowy areszt domowy! – mówił dalej Kamil, ignorując jej spojrzenie. – Szlag mnie trafia, że nie mogę wszystkiego sam dopilnować. Wprawdzie mój Edek całkiem nieźle szefuje chłopakom, ale wiesz, jak to jest.

– Wiem, wiem. A kiedy ci to zdejmują?

– Za jakieś dwa tygodnie.

– Oj, to trochę długo. Niedobrze. – Skrzywił się Bob Budowniczy. – Potem pewnie jakaś rehabilitacja? Kolejny miesiąc do tyłu... – Zawiesił na chwilę wzrok w pustce i w milczeniu odginał palce, jakby coś obliczał. – Szkoda... – odezwał się w końcu. – Sądziłem, że to coś mniej poważnego, i chciałem...

– Jaka tam rehabilitacja?! – przerwał mu Kamil. – Ta noga tak źle wygląda tylko przez ten jeba... cholerny gips! Ale to tylko pęknięcie. Nic się nie złamało, nic się nie przemieściło. Konował na wyrost mnie chyba zagipsował. Na kiedy miałbym być gotowy?

– Startujemy z budową zależnie od pogody. Ziemia musi być miękka, a diabli wiedzą, czy wiosna zacznie się w lutym, czy w kwietniu. Ale już teraz czeka nas huk roboty. Trzeba dogadywać umowy, zbierać materiały, zamawiać całe wagony cementu, prętów zbrojeniowych... Co ci będę tłumaczył? Sam wiesz, jak to wygląda przy tak dużym przedsięwzięciu... Potrzebuję ludzi. Od nowego roku ruszamy z kopyta. Zaraz po sylwestrze... Rozumiesz? Nie mogę ryzykować... – Janek nie wyglądał na przekonanego co do rychłego ozdrowienia Kamila.

– Deweloper będzie mnie cisnął. W umowie mam wysokie kary za każdy dzień zwłoki...

– Nie martw się. – Wiktoria uśmiechnęła się najpiękniejszym ze swoich uśmiechów.

– Święta i sylwester w górach postawią go na nogi lepiej niż jakakolwiek rehabilitacja. Już Anula o to zadba, żeby szybko doszedł do siebie.

– Anula zadba? – Zdezorientowany Bob Budowniczy spoglądał to na Kamila, to na nią.

– To wy... To ty nie... Nie jesteście...? – zaplątał się i lekko zaczerwienił.

– Nie. Nie jesteśmy parą – pomogła mu. – Czy ty sobie wyobrażasz, żeby on potrafił się

odkochać? Chociaż Anka wystawia go czasami na ciężkie próby, chłopak się nie poddaje. Tylko patrzeć i podziwiać!

– No właśnie coś mi nie pasowało... – Janek drapał się po brodzie. – Dlatego jak was tu razem zobaczyłem, to poczułem się lekko zaskoczony. Ale w sumie wszystkiego można się po ludziach spodziewać. Nic mnie już nie zdziwi.

– Mnie też, ale jak widzisz, o Kamila możemy być spokojni. – Chciała dorzucić coś zabawnego, ale zamilkła pod ciężkim spojrzeniem Janka.

– O niego to ja akurat zawsze byłem spokojny. I będę. Myślałem, że Anuli coś odbiło i go zostawiła. – Wzrok mu nieco złagodniał. – Co w takim razie tutaj porabiasz? Jeśli wolno spytać oczywiście. Jesteście spokrewnieni?

– Przygarnęli mnie, bo jestem chwilowo bezdomna...

– Wiktoria jest spokrewniona z moją żoną – wszedł jej w słowo Kamil. – Ale nie krwią, tylko tym magicznym kobiecym pokrewieństwem dusz – dodał nieco ironicznie. – Rozumiesz? Psiapsiółki jeszcze z liceum! I to nie my ją przygarnęliśmy, tylko ona wyświadczyła nam grzeczność, wprowadzając się na jakiś czas. Anula nie chciała, żebym siedział całymi dniami sam. Jest trochę nadopiekuńcza...

– Dlatego wylądowałam u nich na podwójnym etacie: pielęgniarki i hostessy. – Tym razem to Wiktoria przerwała Kamilowi. – Ale szybko się okazało, że żadnej porządnej roboty tu dla mnie nie ma. Chłopak radzi sobie jak złoto. I częściej on pomaga mnie niż ja jemu. Ostatnio na przykład... O właśnie! – Uśmiechnęła się czarująco. – A na jasełka przyjdiesz? Czy potraktujesz je tak samo jak wywiadówkę?

– Oczywiście, że przyjdę! – Bob wydawał się wręcz urażony jej podejrzaniem.

– Martynka by mi nie wybaczyła! Bez przerwy ćwiczy rolę i codziennie muszę ją przepytować. Z tego wszystkiego sam się nauczyłem. „Dlaczego dzisiaj wśród nocy dnieje i jako słońce niebo jaśnieje. Chrystus! Chrystus nam się narodził, aby od piekła nas oswobodził!” – recytował z dumnie zadartą brodą. – „Nie bójcie się, pasterze. Oto zwiastuję wam radość wielką: dzisiaj w Betlejem, w mieście Dawidowym, narodził się wam Mesjasz, Zbawiciel świata. Idźcie go powitać. A to jest znak, po którym go poznacie: znajdziecie niemowlę nowo narodzone, w pieluszki spowite, w żłobie położone”.

– No, bardzo ładnie. Naprawdę ślicznie się nauczyłeś. Brawo! – pochwaliła Wiktoria takim tonem, jakim przemawiała do uczniów: ciepłym, zachęcającym i pełnym podziwu. – To nie jest łatwy tekst, więc tym bardziej należy ci się pochwała. Jak tylko spotkam twoją mamusię albo tatusia, to powiem im, jakiego mają mądrego synka.

– Dziękuję bardzo. – Ukłonił się przesadnie nisko. – Tatuś i mamusia na pewno nie uwierzą, ale powiedzieć zawsze można... – Zaśmiał się. – A tekst faktycznie niełatwy. Chociaż gorzej było ze słowami kolędy. Martynka wciąż się myliła i śpiewała: „Pan niebiosów obrażony”. Już miałem do ciebie dzwonić i poprosić, żebyś dała jej rolę pastuszka, bo pewnie jest prostsza niż aniołka, co?

– Żartujesz?! Role pastuszków zostały rozchwyte przez chłopców. Przecież żaden szanujący się mężczyzna, nawet siedmioletni, nie zechce być aniołkiem! – Popukała się w czoło. – Najbardziej boję się o Maciusia. Nie wiem, czy go kojarzysz.

– To ten, co ciągle udaje robota? Martynka często o nim opowiada.

– Ten sam. Byłby doskonały w adaptacji *Gwiezdnych wojen*, ale jeśli chodzi o jasełka, to może sobie nie poradzić. Wiesz, jak wygląda każda próba? Na koniec wszystkie dzieci razem recytują: „Niech przy żywicznym zapachu strojnej choinki...” – zaczęła kiwać głową

i uśmiechać się coraz szerzej, bo Janek natychmiast podchwycił tekst. Mówili dalej razem: – „...upłyną piękne chwile polskiej Wigilii ze wspólnie śpiewaną kolędą, upragnionym gościem przy stole, w kochającym rodzinnym kole”. – Zaklaskała. – No bardzo ładnie. Widzę, że pilnie odrabiasz lekcje – pochwaliła go po raz kolejny. – Więc kiedy dzieci kończą recytować tę kwestię, to Maciuś wychodzi z szeregu i oddala się na usztywnionych nogach, suwając mechanicznie stopami i powtarzając metalicznym głosem: „*Game is over... Game is over... Game is over... Game is over... Game is over... Game is over... Game is over...*”. Ty się tu nie śmieję! – skarciła Boba Budowniczego, chociaż sama z trudem powstrzymywała się od chichotu. – Wyobrażasz sobie, co będzie, jak on zrobi coś takiego na przedstawieniu? Niby codziennie przysięga, że nie wywinie mi żadnego numeru, ale złamanego grosza bym za to nie dała. Muszę być przygotowana na wszystko.

– A ty? Kim będziesz w jasełkach? Matką Boską?

– Nie. Ja będę stała za kotarą i powtarzała: „Matko Boska, żeby tylko się udało!”. Maryję gra Sonia. Ma chyba najbardziej świętą buzię ze wszystkich, chociaż w przyszłości chce zostać policjantem albo złodziejem i wciąż nie może się zdecydować.

– A córka tej grubej upierdliwej baby, która czepia się wszystkich i wszystkiego na każdym zebraniu? Przepraszam, chyba nie powinienem tak mówić... – Zaczerwienił się. – Ale ona jest naprawdę okropna! Jak ty z nią wytrzymujesz?!

– Mówiłam ci, lata praktyki. W każdej klasie znajdzie się taki rodzic. Dobrze, jeśli tylko jeden. Najgorzej, kiedy trafi się kilkoro naraz. Tworzą wtedy zwartą grupę. W pokoju nauczycielskim mówimy na takich „ruch oporu”. Zawsze są przeciw. Albo lekcja za długa, albo przerwa za krótka, albo kreda za twarda, albo zeszyt za miękki... Oszaleć można. Czasami trzeba się mocno pilnować, żeby nie przerzucać niechęci i złości na dzieciaki. Bo co one winne? Laura, czyli córka Buki, to naprawdę fajna i mądra dziewczynka...

– Buki? – przerwał jej Janek. Zmarszczył na chwilę czoło, myśląc intensywnie. – Buka to ta... Ta straszna niby-skała z Muminków? – Wybuchł tak tubalnym śmiechem, że szyby w oknach zadrżały. – Pięknie! Ja jestem Bob Budowniczy, mama Laury to Buka... Wszystkim rodzicom wymyślasz przezwiska?

– Nie ja wymyślam, tylko dzieci! – Tym razem to Wiktoria zaczerwieniła się po uszy. Miała nadzieję, że zapomniał o przydomku, który kiedyś nieopatrznie wyrwał jej się z ust. – Boba Budowniczego wymyśliła twoja córka. Natomiast jeśli chodzi o Bukę... – Opowiedziała mu o reakcji małej dziewczynki, która natknęła się pod szkołą na odzianą w fioletowy płaszcz matkę Laury. Rozbawiła go prawie do łez. – Nie doceniamy fantazji dzieci. Ja bym w życiu nie wymyśliła ani Buki, ani Boba Budowniczego. Natomiast one sypią takimi pomysłami jak z rękawa. Twoja Martynka to też bardzo udany egzemplarz... Jeśli mogę delikatnie się wtrącić, to sugeruję, żebyś jej nie denerwował bez potrzeby.

– A wtrącaj się. – Machnął ręką. – Już dawno pogodziłem się z tym, że jesteś dla niej wyrocznią: jak pani Wiktoria powie, że czarne jest białe, to znaczy, że jest! Codziennie godzinami wysłuchuję, co mówiłaś, jaką miałaś bransoletkę i czy byłaś w spodniach, czy w sukience.

– To normalne w tym wieku. Jedyny okres, kiedy każdy uczeń kocha nauczyciela... – westchnęła.

– No, nie wiem, czy normalne. Czy wiesz, że jak Martynka bawi się w szkołę, czyli jest tobą, to zakłada sobie końcówkę mopa na głowę? Te takie białe frędzle...

– Boże! – Wiktoria złapała się za włosy. – Chciałam iść do fryzjera przed świętami, ale wygląda na to, że powinnam się tam wybrać jak najszybciej!

– Przestań. Masz bardzo fajne włosy... – Bob Budowniczy znów oblał się rumieńcem. – Zapytałem ją, dlaczego to robi, a ona na to: „Bo jak pani Wiktoria pochyła się nad moim

zeszytem, to zawsze tak ładnie sobie włosy łapie” i zademonstrowała mi, jak to robisz, pochylając się nad lalką.

– Ja sobie włosy łapie? Nie kojarzę jak...

– Pokazałbym ci, ale musiałbym mopa najpierw założyć.

– Nie radziłabym. Tu jest tylko mop parowy.

– A to dziękuję! To nie pokażę. W każdym razie nie chciałem, żeby Martynka zakładała na głowę coś, czym myję podłogi, więc poleciałem szybko do sklepu i kupiłem nową końcówkę do mopa, bo bez tego nie ma zabawy w szkołę i w ukochaną panią Wiktorię z gęstymi kręconymi włosami, które tak ładnie łapie, kiedy pochyla się nad zeszytem.

– Ze wszystkich sił staram się uznać tego mopa za komplement, ale ja przecież nie mam dredów! No cóż... – dodała po chwili ugodowo. – Jak sama mówiłam: fantazja dzieci nie zna granic...

– Nie zna. Też to wiem. A co z wtrącaniem się w moje metody wychowawcze? Co robię nie tak?

– Aha! Nie... To nie chodzi o to, że coś robisz nie tak... – Wiktoria od kilku minut zastanawiała się, kiedy ma najbliższy wolny termin, żeby odwiedzić fryzjera, więc trudno jej było wrócić do rozmowy. – Ja tylko mówiłam, żebyś niepotrzebnie nie drażnił Martynki, bo pożałujesz.

– Czemu?

– Gdybyś chodził na zebrania, tobyś wiedział! Omawiałam wszystko najpierw ogólnie, a potem z kolejnymi rodzicami...

– Dobrze, proszę pani, już będę grzeczny i postaram się nie opuścić żadnego zebrania.

– Kręcił brzeżek swetra całkiem jak jej pierwszaki, kiedy je ganiła.

– Przestań! – Parsknęła śmiechem. – Chodziło o to, że któregoś dnia rozmawiałam z klasą o agresji. O tym, czy dzieciaki zdają sobie sprawę, że mogą kogoś denerwować i że same mogą być czasami zdenerwowane do granic wytrzymałości. I o tym, jak temu zapobiegać i jak sobie z tym radzić. Rozumiesz?

– Rozumiem, proszę pani. Ja sobie radzę. Jeśli ktoś mnie wkurza, to wsadzam go do betoniarki i kręcę tyle minut, ile ma latek. Zawsze pomaga!

– Wyglupiaj się, wyglupiaj... – Spojrzała na niego pobłaźliwie jak na niesforne go Maciusia powtarzającego „*Game is over*”. – A co, jeśli to ty kogoś wkurzasz? A konkretnie własną córkę?

– Ja?! Córkę?! – oburzył się. – Ja ją traktuję jak małą księżniczkę.

– Księżniczki też miewają focha. Szczególnie księżniczki!

– No dobra. To czym ją wkurzam?

– Wychowujesz ją. I to ją wkurza. Bo każesz sprzątać, bo wyłączasz komputer o określonej godzinie, bo wyganasz do łóżka, bo masz jasny system kar i nagród... Chociaż uważam, że z andrzejkami trochę przesadziłeś. Podobno powiedziałeś, że nie będziesz się z nią bawił w żadne wróżby, bo przez okrągły rok masz w domu andrzejki: pełno jej butów w całym przedpokoju. I dopóki nie nauczy się ich sprzątać, może zapomnieć o wróżeniu.

– Opowiedziała ci? – Spuścił wstydliwie oczy. – Popłakała się wtedy, a mnie trzy dni męczył moralniak.

– Dzieciaki wszystko mi mówią. Ale nie przejmuj się! Odbiła sobie.

– Naprawdę? A jak? – Wyglądał na bardzo zadowolonego, że zaraz się dowie, jak jego córeczka zemściła się na nim za przeplakane andrzejki.

– Rozmawialiśmy o agresji, jak już wspominałam. Najpierw o tej w szkole, potem płynnie przeszłam do rodziny. Tłumaczyłam, że nigdzie nie jest różowo przez trzysta

sześcioletni pięć dni w roku i że tam, gdzie są ludzie, tam są konflikty. No i, od słowa do słowa, zaczęliśmy mówić o tym, co dzieciaki denerwuje u rodziców i jak tę złość odreagowują. Martynka siedziała grzecznie w ławce, słuchała, myślała... Kiedy zapytałam: „Co robicie na złość mamie albo tacie?”, dzieci odpowiadały, że krzyczą albo tupią, albo rzucają zabawkami i tym podobne... W pewnym momencie twoja córka zaczęła uśmiechać się pod nosem i patrzeć z wyższością na całe klasowe towarzystwo. Mówię ci! Niemal zobaczyłam wystające jej z włosów małe różki. Podniosła dwa palce – Wiktoria powtórzyła gest dziewczynki – i powiedziała: „Jak tata mnie zdenerwuje, to czekam, aż wyjdzie z domu, i otwieram lodówkę”. Zapytałam, co z niej wyjmuję, a ona na to: „Nic nie wyjmuję. Otwieram lodówkę, a potem idę do szkoły...”.

– Boże! – Janek parsknął i zasłonił twarz dłońmi. – Rozwiązałaś właśnie największą zagadkę mojego życia! Czy ty masz pojęcie, ile razy ja tę cholerną lodówkę poziomicą badałem? Trzy razy wymieniałem uszczelki! O wyrzuceniu jedzeniu i zalanej podłodze nie wspomnę...

– To może wreszcie zaczniesz chodzić na zebrania? Zaoszczędziłbyś na uszczelkach i zbieraniu wody z podłogi.

– Czemu do mnie nie zadzwoniłaś? Albo nie napisałaś maila? Masz wszystkie namiary. – Patrzył na nią przez rozcapierzone palce, nie przestając się śmiać.

– Martynka uczy się bardzo dobrze, nie widziałam powodów do szybkiej interwencji. – Prychnęła tak, że Emilka na pewno byłaby z niej dumna. – A poza tym uznałam, że za te smutne andrzejki należy ci się kara.

– Należała mi się! – przyznał pokornie. – Żeby wynagrodzić Martynce krzywdy moralne, kupię wszystko, o co poprosi w liście do Świętego Mikołaja. Musi tylko jeszcze raz spisać swoje życzenia, bo prezenty, które wymieniła w pierwszej wersji, zdecydowanie wykraczają nawet poza możliwości prawdziwego Boba Budowniczego.

– Co? Marzy jej się empetrójka? empeczwórka? iPod? iPhone? czytnik e-booków?

– A widzisz? Ty też nie doceniasz dziecięcej fantazji! Empetrójki i iPody są zbyt banalne jak na moją Martynkę. – Wyraźnie rozpierała go ojcowska duma. – Poczekaj, poczekaj... Mam tu gdzieś te jej życzenia, to sama przeczytasz. – Zaczął szukać w pełnej dokumentów aktówce.

– Nosisz przy sobie list do Świętego Mikołaja?! – Dobrze, że był zajęty grzebaniem w teczce i nie mógł zobaczyć rozczulonego wzroku, jaki utkwiała w nim Wiktoria.

– A co? A nuż go naprawdę spotkam? Wtedy dam mu całą aktówkę. Niech spełni nie tylko marzenia Martynki, ale jeszcze moje faktury pozałatwia... O, mam! Proszę, zobacz sama.

– Podał jej kolorową kopertę, na której dziecięca łapka namalowała dwie choinki i kilka wielobarwnych bombek. Między choinkami stał mężczyzna trzymający za rękę małą dziewczynkę.

Wika poczuła, jak coś chwyta ją za gardło. Dobrze znała takie obrazki, bo widziała ich już tysiące, ale ten wydawał się zupełnie inny. Na wszystkich pozostałych, jakie miała okazję oglądać, byli tatuś i mamusia, ewentualnie tylko mamusia... Kiedyś, bardzo dawno temu, trafił do jej klasy Dominik, którego mama zginęła w wypadku samochodowym. Chociaż nie żyła już od czterech lat, to na rysunkach chłopca zawsze była obecna: rysował ją, jak jedzą razem obiad, spędzają wakacje w górach, robią zakupy. Zawsze ją rysował. Z aureolą nad głową... Rysunek Martynki był jeszcze bardziej przejmujący.

– „Do Świętego Mikołaja” – przeczytała głośno. – No tak, z pisownią „ę” i „ą” trzeba będzie jeszcze powalczyć. Chyba że to nie błąd ortograficzny, tylko literówka? Na pewno literówka! Chciała napisać: „Do Świetnego Mikołaja”... – Wiktoria starała się pokryć paplaniną

chwilowe zmieszanie. – Mogę? – Odchyliła kopertę.

– No przecież po to ci dałem.

Wyjęła kartkę, ozdobioną jeszcze większą ilością rysunków. Rozłożyła ją i natychmiast rozpoznała pismo Martynki: literki były szerokie i niskie, a „z” przypominało barokowy ornament.

– „Kochany Święty Mikołaju!” – czytała głośno Wiktoria. – „Ja wiem, że grzeczna nie zawsze byłam, ale sam powiedz, kto jest?” Ma rację! Ty zawsze jesteś grzeczny? – Spojrzała na Janka, a widząc jego ni to skruszoną, ni to zawstydzoną minę, serdecznie się roześmiała. – No właśnie! To co się dziecka czepiasz o kilka par butów w przedpokoju? Ja ją rozumiem. Przedpokój bez walających się damskich butów jest jak karateka z białym pasem. – Wzruszyła ramionami.

– Ciekawe porównanie... A ty jaki masz? Czarny?

– Czarny pas w kwestii rozwalania butów w przedpokoju? – upewniła się, a kiedy przytaknął, odpowiedziała zgodnie z prawdą: – Czarnego może nie, ale zielony na pewno. Dlatego rozumiem Martynkę.

– Ja wiem, że ją rozumiesz. Czytaj dalej, czytaj! – zachęcił. – Nie bez powodu dałem ci ten list.

– „Nasza pani zawsze mówi, że nie ma ludzi idealnych”. To o mnie? Oj! – Zasłoniła usta, więc jej głos stał się mocno przytłumiony. – „Że jak się coś robi, to czasami może wyjść inaczej, niż się chciało. I mi tak czasami inaczej wychodzi. Ale nasza pani mówi, że lepiej coś zrobić źle i potem poprawić, niż nie robić nic. A ja lubię robić dużo różnych rzeczy, więc często coś mi źle wychodzi”. Rozumiesz? – przerwała, żeby się wytłumaczyć. – Powtarzam im, że błędów nie popełnia tylko ten, kto nic nie robi, żeby się nie przejmowali porażkami.

– Rozumiem, rozumiem – Janek przytakiwał ze śmiertelnie poważną miną. – Czytaj dalej, czytaj...

– „Ja myślę, że nasza pani ma rację, ale mój tata to chyba tak nie myśli, bo mój tata myśli, że ja muszę być zawsze grzeczna i wszystko dobrze robić. Może gdyby tata chodził na wywiadówki do mojej szkoły i słuchał się naszej pani, toby tak nie myślał”. A widzisz!

– Wybuchła śmiechem. – Nawet dziecko wie, że za rzadko przychodzisz na zebrania! A gdybyś przychodził, tobyś tak nie myślał, jak myślisz.

– Tylko myślałbym jak jej pani? – Też się zaśmiał. – Dziecko wie, czemu nie chodzę na wywiadówki. Czytaj dalej – zachęcił po raz kolejny.

– „Ja wiem, że mój tata nie ma na nic czasu i jest strasznie zaharowany, a czasami to nawet niemiłosiernie. I bardzo mi go szkoda. Ja wiem, że nie możesz mu przynieść pod choinkę czasu, ale bym cię prosiła o jakieś nowoczesne maszyny i roboty, które by go zastąpiły przynajmniej na trochę, żeby odpoczął i się ze mną więcej bawił”. No, to jest urocze, że o tobie pomyślała. – Wiktoria pokręciła głową. – I w ogóle, że tak się rozpisła. Dzieciaki raczej przekazują Mikołajowi zwyczajną listę zakupów, nie przejmując się nawet porządnym wstępem, nie mówiąc już o tłumaczeniu się z tego, że nie zawsze są grzeczne.

– Ale widzisz? Nawet dziecko wie, że nie mam czasu. – Pokraśniał z dumy. – Jak chcesz, żebym przychodził na zebrania, to musisz mi załatwić robota, który mnie zastąpi!

– No widzę, widzę. Że jesteś strasznie zaharowany, a czasami to nawet niemiłosiernie.

– Nie mogła się powstrzymać od chichotu. – Ale co Martynka chce dla siebie? – Wróciła do czytania. – „A ja cię proszę najbardziej o starszą siostrę, o żywe zwierzę, dużą flagę Polski i o sztucz... sztucz...” – Atak śmiechu odebrał jej głos. – „O sztuczne rzygi” – wykrztusiła w końcu.

– No widzisz? A ty myślałaś, że poprosiła o empetrójkę! Nic z tych rzeczy. – Wziął list

z jej rąk, włożył do koperty i schował między papiery w aktówce. – Sama przyznasz, że starsza siostra wykracza poza moje możliwości. Żywe zwierzę też. Męczyłoby się tylko. Zbyt często nie ma mnie w domu... Szkoda zatem, że moja córka nie marzy o empetrójce. Znacznie łatwiej byłoby mi być Świętym Mikołajem.

– Gdzie się kupuje sztuczne rzygi? – Wiktoria wciąż nie mogła się uspokoić. – I po co jej one? Mam nadzieję, że nie będzie ich kłaść na moim biurku?

– Na pewno nie. Sama widzisz, że jesteś dla niej wyrocznią. Dałem ci ten list do przeczytania, żebyś wiedziała, dlaczego z mopem na głowie chodzi, jak bawi się w szkołę. I żebyś zdawała sobie sprawę, że chociaż opuszczam zebrania, to mam cię codziennie w domu. „Tato, jak ziewasz, to zasłaniaj usta. Pani Wiktoria by ci powiedziała, że kiedyś muchę połkniesz i będziesz ją miał do śmierci na sumieniu” – zacytował dziecięcym głosem. – „Tato, nie garb się”, „Tato, nie obgryzaj ołówka, chyba że ci go przedtem wodą utlenioną przemyję”. Tato, a pani Wiktoria to, a nasza pani siamto... Skaranie boskie z tobą mam! A ty mi jeszcze na wywiadówki każesz przychodzić.

– To ja im aż tak marudzę? – skrzywiła się Wika, ponownie ustalając w myślach termin wizyty u fryzjera. Wciąż nie potrafiła uznać tego mopa za komplement. – Poza tym na zebraniu rodzice mogą się garbić, ile chcą, i gryźć, co chcą.

– Buka najchętniej pogryzłaby ciebie.

– Janek! Ja cię błagam! Tylko ani słowa Martynce o Buce i całej reszcie!

– Nie musisz mi tego mówić – obruszył się. – Nie powiem jej nawet, że cię dzisiaj spotkałem.

– To dobrze... – Odetchnęła z ulgą, a potem wróciła do nurtującego ją pytania: – Ale po co jej sztuczne rzygi? Na co dzień obcuje z dziećmi, ale o czymś podobnym słyszę po raz pierwszy.

– No! Jak miło! Przynajmniej tutaj jestem lepszy niż ty. Ha! – Pstryknął palcami. – Mnie dużo bardziej zdziwiła flaga Polski, ale szybko skojarzyłem, że to też przez ciebie.

Upatriotyczyliś ich z okazji jedenastego listopada, prawda?

– Troszeczkę – przyznała. – Ale tylko na tyle, na ile potrafią zrozumieć polskość. Robiliśmy białoczerwone kotyliony...

– Troszeczkę! Ładne mi troszeczkę! Jak Martynka przyszła do domu, to zrobiła mi pranie sumienia za to, że nie mamy wywieszanej flagi. Wykręciłem się wtedy brakiem uchwytu przy oknie. Wcisnąłem jej kit, że za późno na montaż, bo trzeba mieć zgodę spółdzielni mieszkaniowej... Przytaknęła i byłem pewien, że już dawno o tym zapomniała. A tu proszę!

– Wskazał głową teczkę. – Na majówkę wywieszamy flagę. Nie mam wyjścia. Załatwiłaś mnie na cacy! Dzięki!

– Ale, przepraszam bardzo, o sztucznych rzygach nigdy nie mówiłam – broniła się ze śmiechem. – Do czego jej one potrzebne?

– Sztuczne rzygi są potrzebne do rozkładania na stole, kiedy gotuję szpinak i kilka innych równie zdrowych potraw – wyjaśnił Janek niechętnie. – Mistrzem kuchni nie jestem. Wykupiłem jej obiady w szkole, ale to nie do końca rozwiązuje problem...

– Mała diabolic! Już po numerze z lodówką wiedziałam, że wyrośnie z niej charakterna kobieta.

– Nie wiem, co z niej wyrośnie, ale małą diabolicą faktycznie jest. Dlatego się dziwię, że dałaś jej rolę aniołka. Skrzydła i aureola jak nic ją poparzą...

– No właśnie! – przerwała mu Wiktoria, klepiąc się w czoło. – Przecież do tego zmierzam i o tym na początku chciałam powiedzieć, ale mi umknęło... W gadaniu mam zdecydowanie czarny pas... – Rozłożyła przepaszając ręce. – À propos skrzydeł, aureoli i wszelkiego rodzaju

jasełkowych akcesoriów chciałam pochwalić kochanego, nieocenionego Kamila. Twoja Martynka będzie miała przepiękne skrzydła, które zrobił... – Rozejrzała się po salonie. – Boże! A gdzie jest Kamil? Dokąd on poszedł? Kiedy?

– Nie wiem...

– Kamil! – krzyknęła, podrywając się z krzesła, na którym nie wiadomo kiedy usiadła.

– Kamiil!

– Słucham? – Mąż Anki stanął w progu. Jedną ręką wspierał się na kuli, w drugiej trzymał natkę pietruszki. – Czego się tak wydzierasz?

– Co ty robisz? – Spojrzała na niego zszokowana.

– Jak to co? Zupę jarzynową... Mielone też już prawie zrobiłem. Ostatnie dwa się smażą...

– Przepraszam. Nie wiem, czy gorsza ze mnie hostessa, czy pielęgniarka... – Stała chwilę, zasłaniając usta dłonią, a potem zamachała rękoma. – Kawy? Herbaty? – Popatrzyła ogłupiałym wzrokiem na Janka. – Zaraz ciasto przyniosę.

– Kawy, jeśli można... – odpowiedział z równie mądrym wyrazem twarzy. – A za ciasto dziękuję.

– Rozumiem. Chodzisz na siłownię czy na basen?

– Na nic nie chodzę. Nie mam czasu. A dlaczego pytasz?

– Nie wiem... Tak jakoś... – Czuli, że za chwilę spłonie ze wstydu i wyląduje w Siemianowicach bez pomocy mopa parowego. – Zaraz przyniosę kawę. I ciasto...

Zatrzasnęła się w kuchni. Co to było? Co się stało? Sięgnęła po papierosy, wzięła z parapetu popielniczkę, ustawiła ją pod okapem i włączyła wyciąg. Łapczywie wdychała dym i wydmuchiwała go prosto w szumiący głośno wiatrak.

„Ogarnij się!” – próbowała przemówić sobie do rozumu. „Pozbieraj się, kobieto!”

Pozbierała się i ogarnęła szybko. Zaniósła im kawę, cukierniczkę, śmietankę, talerzyki, widelczyki, ciasto... Ustawiła wszystko między planami, nad którymi się pochylali, i zapytała, kiedy podać obiad.

– Ja dziękuję. – Bob Budowniczy nawet nie podniósł głowy. – Zaraz muszę jechać. Uzgodnimy tylko z Kamilem styczniowe szczegóły i mnie nie ma.

– Okej. – Wycofała się do kuchni. Ponownie zapaliła papierosa.

Jeśli powiedział, że uzgadnia z Kamilem styczniowe szczegóły, to znaczy, że bierze go do roboty. Czyli misja zakończyła się sukcesem... Czyli Anka będzie zadowolona. I Kamil też...

Może i dobrze, że Janek nie zostaje na obiad? Niech już idzie w cholerę! Razem z tym swoim głośnym śmiechem i ślicznymi, pozornie bezbronnymi oczyma. Trochę opadały mu powieki... Efekt był piorunujący – zбитy pies albo Sylvester Stallone. Tylko przygarnąć do serca! I jeszcze to, że niby się ledwo znają, ale on wie, jak Wiktoria łapie włosy, pochylając się nad szkolną ławką, a ona wie, dlaczego lodówka w jego domu tak często sama się otwiera...

„Ogarnij się, durna babo!” – powtórzyła w myślach. „Ogarnij się i weź się do czegoś pożytecznego, zamiast myśleć o Bóg wie czym!”

Zaciągając się dymem, usłyszała daleki grzmot. Struchlała. Spojrzała w okno, za którym powoli opadały wielkie płatki śniegu. Piorun? Skąd burza w taki mróz i w taką śnieżycę? Eee, to pewnie jakaś ciężarówka...

Z trudem zmusiła się do przygotowania obiadu. Większość zrobił już Kamil. Boże, co za wstyd! Co ona mu powie? Że nagle zgłupiała i straciła kontakt z rzeczywistością do tego stopnia, że nie zauważyła, kiedy wyszedł do kuchni, i nie poczuła zapachu smażonych kotletów?

Najgorsze, że naprawdę nie zauważyła i nie poczuła! Co się stało?!

Dobrze wiedziała, co się stało, ale było to zbyt absurdalne – tylko kretyńka zakochuje się w pięć minut... Zdawała sobie sprawę, że jeśli chodzi o uczucia, nigdy za mądra nie była i wystarczała jej minuta, by się śmiertelnie zakochać, ale przecież przegadała już z Bobem Budowniczym nie jedną, nie pięć i nie sto minut! Ich telekonferencje z czasów, kiedy on pracował na Śląsku, a Martynka była w Gorzowie u dziadków, można by liczyć na doby. I nic! A dzisiaj? Co się stało?! Pytała samą siebie po raz enty, machinalnie krojąc ogórka na mizerię.

– Chciałem się pożegnać. Lecę już. – Drzwi kuchni gwałtownie się otworzyły. – Dziękuję za kawę.

– Jasna cholera! – zaklęła, patrząc, jak krew zalewa deskę.

– Co się stało?

„Dobre pytanie” – pomyślała. „Też chciałabym wiedzieć...”

– Nic – odpowiedziała beztrosko, wkładając dłoń pod strumień lodowatej wody. – *Game is over.*

– Nie potrzebujesz pomocy?

– Nie. Dam sobie radę.

– No to do zobaczenia. – Zamknął drzwi, ale po sekundzie znowu zajrzał. – Postaram się nie opuszczać wywiadówek. Pa!

– Pa. – „Sra!!!”, pomyślała.

Polewanie skaleczonego palca zimną wodą pomagało jak umarłemu kadzidło: woda w odpływie zlewu nie traciła na czerwoności. Zakręciła kran, owinęła dłoń kilkoma warstwami ręcznika papierowego i uniosła do góry wyprostowane ramię. Tak zastał ją Kamil.

– Wikto... – urwał gwałtownie. – A ty co? W Statuę Wolności się bawisz? Mam ci podpalić te chustki, żebyś była bardziej wiarygodna?

– Bardzo śmieszne! – burknęła. – Palec sobie rozcięłam. Spowalням krążenie, bo krew mi leci jak głupia.

– Ojej! – Przykuśtykał do niej, odrzuciwszy kulę. – Pokaż... Aj, aj, aj... Zaczekaj. Zaraz ci to przemyję i przykleję plaster. Trzymaj rękę tak, jak trzymasz, tylko ściśnij jeszcze nadgarstek drugą dłonią. Zaraz coś znajdę. – Otworzył szafkę i wyciągnął z niej apteczkę. – Nie płacz. Doktor Kamil zaraz ci pomoże i dokończy za ciebie ten krwawy obiad.

– Nie płaczę. Daj spokój...

– Jakie daj spokój? Dziewczyno! Ty mi życie uratowałaś. Nie wiem, jak zdołam ci się odwdzińczyć! – Podszedł do niej z zestawem opatrunkowym. – A teraz opuść na chwilę ramię, żyrafko. Z tym gipsem na taboret za cholerę nie wejdziesz. Dawaj tu swoją ranę ciętą. Aleś się głęboko dziabnęła... Skakałaś na ten nóż czy co?

– Niby za co miałbyś mi się odwdzińczyć? – Niepewnie podała mu rękę, ale widząc, jak fachowo opatruje ranę, szybko się uspokoiła.

– Już nie bądź taka skromna, dobrze? Zawsze myślałem, że moja Anula jest mistrzynią świata w ogłupianiu facetów, ale teraz widzę, że bijesz ją na głowę! Na nauki do ciebie powinna chodzić! To był prawdziwy majstersztyk! Rozbroiłaś go totalnie! Nawet jednej dwukośnej żebrówki w nim nie zostało! – wykrzykiwał entuzjastycznie Kamil.

– Czego?

– Pręty dwukośnie żebrowane... takie do zbrojenia betonu... Mniejsza o to! Gdyby nie ty, wyszedłby stąd po minucie! No... Zrobione! Teraz znowu ręka do góry. I siadaj sobie wygodnie. Zrobić ci kawy albo herbaty? A może ciasta? Janek nawet nie tknął. Ja zresztą też.

– To nie jesteś na mnie zły? Że ja z nim gadałam, a ty w kuchni obiad robiłeś? – Wiktoria potulnie wykonała polecenie i przycupnęła na taborecie z wyprostowanym nad głową ramieniem.

– Wikuś? Ile ty litrów krwi straciłeś, zanim przyszedłem? Cztery i pół? – Spojrzał na nią z politowaniem. – Za co mam być zły? Za to, że mi tyłek uratowałaś? Przecież ja bym bez ciebie tej roboty nie dostał. Już ja znam Janka. Widziałaś, jak zaczął się wycofywać? Że za długo w gipsie, że miesiąc rehabilitacji... Gdybyś nie wkroczyła ze swoją słodką gadką, to już dawno z kimś innym by rozmawiał. Specjalnie do kuchni uciekłem, żebyś mogła go całkiem otumanić. I naprawdę, powtarzam, psychologiczny majstersztyk to był! Niech no tylko Anula wróci wieczorem do domu... Już ja jej powiem, że ma do ciebie na korepetycje chodzić...

Wiktoria słuchała go kompletnie oszołomiona. Słodka gadka? Otumanić? Psychologiczny majstersztyk?

Co się stało?!

ROZDZIAŁ 30

– Słucham? – Zanim odebrała, z trudem przełknęła ślinę. Na ekranie komórki pulsował napis BOB B.

– Cześć. Jeszcze raz dziękuję za wczorajszą kawę. Jak tam palec?

– Dobrze. Kamil profesjonalnie się nim zajął. Powiedział, że na budowach nie takie rany opatrujecie. Jakoś nigdy nie pomyślałam, że musicie być fachowcami także od opatrywania ran... – Serce tłukło jej się w piersi, rozsadzając żebra. Czy jeśli Janek zaproponuje spotkanie już dzisiaj, to powinna się zgodzić? Czy może lepiej kilka dni poczekać? Ale czy wytrzyma te kilka dni? Pół nocy nie spała, a kiedy w końcu zasnęła, śnił jej się bez przerwy. A co tam! Yolo!!! Umówi się z nim dzisiaj.

– Zgadza się. Jak byłem na Śląsku, wtedy, wiesz, co Martynkę musiałem do rodziców odstawić i zawracałem ci głowę... Pamiętasz?

– Pamiętam. Oczywiście, że pamiętam – mówiła, spoglądając w lustro. Przyglądała się krytycznie swoim włosom. Może jednak nie umówi się z Jankiem dzisiaj? Może najpierw pójdzie do fryzjera? Nie chciała wyglądać jak mop... Tak! Przeprosi go, wykręci się czymś, na przykład wizytą u rodziców. Powinien zrozumieć, bo z tego, co zdążyła się zorientować, dziadkowie Martynki bardzo przypominają Janinę i Bernarda.

– No. Więc jak byłem wtedy na Śląsku, to takiemu jednemu rękę urwało. Na moich oczach! Oparł się o maszynę; nie zauważył, że brakuje obudowy na łańcuch. I pociągnęło go za rękaw. Ułamek sekundy, dosłownie. Chwila nieuwagi... Ale daliśmy radę i chłop żyje.

– Straszne... Naprawdę straszne... – Coraz mocniej utwierdzała się w przekonaniu, że mimo palącej tęsknoty nie może umówić się z Jankiem na dzisiaj. Najpierw fryzjer, a potem jakiś nowy ciuch. Musi go oszołomić! Pośpiech jest złym doradcą. Ale z drugiej strony... Jak wytrzymać?! I jak oprzeć się elektryzującym piorunom, które waliły w nią przez całą noc?

– Ale ja w zupełnie innej sprawie dzwonię. To znaczy za kawę też chciałem podziękować i o twój palec zapytać, ale... – zająknął się. – Dzwonię, bo...

– Tak? – Pies trącał fryzjera i ciuchy! Oszołomi go innym razem. Dzisiaj pozostanie przy oczarowywaniu.

– Całą noc nie spałem...

Omam nie podskoczyła ze szczęścia i ledwo powstrzymała radosny okrzyk, zasłaniając usta dłonią.

– Całą noc nie spałem, bo, wyobraź sobie, Martynka dostała bardzo wysokiej gorączki. Lekarz przed chwilą wyszedł. Jakąś wirusówkę złapała. Zostawię ją w domu do końca tygodnia. Może trochę dłużej. Dzwonię, żeby uprzedzić, że nie będzie jej jakiś czas w szkole.

– Wirusówkę? A tak... Faktycznie, sporo dzieci teraz choruje... Prawie pół klasy nie ma... – dukowała, wyzywając się w myślach od skończonych idiotek. – I zostawisz ją samą? Taką chorą? Czy babcia przyjedzie? – dopytywała uprzejmie, chociaż pragnęła jak najszybciej się rozłączyć.

– No coś ty! Gdzie samą?! Sąsiadka się nią zaopiekuje. Martynka ją uwielbia. Pomaga mi często, nie wiem, co bym bez niej zrobił. Nieraz już uratowała mi życie.

– To dobrze. Niech się Martynka kuruje i jak najszybciej wraca do szkoły. Pozdrów ją ode mnie. – Silila się na spokój, choć przepełniała ją szczerą nienawiść do wielce uprzejmej sąsiadki Boba Budowniczego. Gdyby wiedziała, którędy ta małpa chodzi, pożyczylaby od Anki

szlauch i równie uprzejmie odśnieżyła jej wszystkie chodniki!

– Pozdrowię, pozdrowię. Jak powiedziałem, że będę do ciebie dzwonił, to kazała mi zapytać, czy przez tę dłuższą nieobecność nie wypadnie z jasełek. – Zaśmiała się, jakby było z czego. – Bardzo się o to boi. Aha! Pytałem ją o te anielskie skrzydła. Podobno są naprawdę cudowne, tylko nie rozumiem, dlaczego wciąż trzymasz je w folii.

– A wiesz, jak by dzisiaj wyglądały, gdybym ich nie zabezpieczyła? Po tylu próbach i tylu dotknięciach dziecięcych łapek przypominałyby Kolię... to znaczy psa wracającego z jesienno spaceru. Kamil aż cztery poduszki na nie poświęcił... pierze z czterech poduszek. Na dodatek to były posagowe poduszki Anuli. Ale oddała je na przemiał bez wahania, bo kto dzisiaj śpi na pierzu? Chyba tylko anioły.

– Przeszkadzam ci? – Najwidoczniej nie udało jej się ukryć znużenia.

– Nie... Do szkoły się szykuję, ale jeszcze chwilę mogę pogadać – skłamała. Pierwszą lekcję zaczynała dopiero za cztery godziny.

– No to szykuj się. Już kończę. Czyli co? Moja córka nie straci roli w jasełkach?

– Oczywiście, że nie. Powiedz jej, że może spokojnie chorować. Oby nie za długo, bo klasa będzie za nią tęskniła.

– Dobrze, przekażę. To życzę ci miłego dnia.

– Dziękuję. Nawzajem.

Rzuciła telefon na łóżko i ponownie spojrzała w lustro, uśmiechając się kwaśno do własnego odbicia.

– Ale ty jesteś durna! – Popukała się palcem w czoło. – Aż mi ciebie szkoda!

Poszła pod prysznic i rozplakała się jak dziecko. Buczała i chlipała głośniejsz niż jej uczniowie i bardziej rozpaczliwie niż Emilka nad zniszczonym laptopem. Nie nakazywała sobie jednak spokoju i nie zmuszała się do bycia silną i twardą. Wręcz przeciwnie, pozwoliła sobie na chwilę ogromnej słabości. Płakała i sprawiało jej to swego rodzaju przyjemność, a przynajmniej niosło ulgę. Płakała przez Boba Budowniczego, przez swój parszywy los, przez Sławka, przez włosy jak mop, przez Pawła, przez niesprawiedliwość świata, przez Witka i Bożydara, przez obrażonych rodziców, przez to, że ten ze Swarożycy się nie odzywa, przez bezdzietność, przez brak kontaktu z Melą... Mówiąc krócej: przez zaszranego wczoraj, beznadziejnego dziś i niepewnego jutro. Czuła, że nikomu nie jest potrzebna i tylko wszystkim przeszkadza. Płakała i płakała, i płakała... I nie mogła przestać...

Pod słono-słodkim prysznicem kompletnie straciła poczucie czasu. Kiedy wypłakała ostatnią łzę, poczuła napływające nie wiadomo skąd siły. Zdała sobie sprawę, że doszła do ściany i albo rozwali sobie o nią łeb, albo coś w końcu zrobi. I nie chodziło o Boba Budowniczego, on tylko przelał czarę goryczy. Musiała coś zrobić ze wszystkim i ze wszystkimi!!!

Wyszła z kabiny, tak zamasyściła otwierając drzwi, że omal ich nie wyrwała. Osuszyła się starannie ręcznikiem, a potem zaczęła pieczołowicie wcierać w ciało balsamy i odżywki. Myślała przy tym intensywnie. Przypomniał jej się fachowy artykuł dla sfrustrowanych kobiet, przeczytany sto lat temu w babskim czasopiśmie. Psycholog doradzał w nim, by wyobrazić sobie wielką komodę. Obojętnie jaką: drewnianą, plastikową, ratanową... nieważne. Ważne, żeby miała trzy szuflady. Zalecał, by zrobić remanent w życiu i poukładać w tej komodzie ludzi i problemy: do pierwszej szuflady włożyć sprawy i osoby, o które trzeba bezwzględnie walczyć; do drugiej – takie, o które można zawalczyć, ale można też odpuścić; do trzeciej wszystko, co nie

jest warte żadnych emocji.

Komoda Wiktorii była oczywiście wiktoriańska: z połyskującego mahoni, wykończona pięknymi roślinnymi ornamentami. Szuflady miały metalowe uchwyty w kształcie lwich głów i dla pewności zamykały się na finezyjne złote kluczyki. Imponujący, stabilny, wielki mebel.

Sprzątanie zaczęła od tego, czego była pewna: Mela i Emilka do górnej szuflady, Paweł do dolnej. Zawahała się... Paweł powinien iść do śmieci, a nie do żadnej szuflady! Przecież jego obecność będzie uwłaczać reszcie zebranego w komodzie towarzystwa! Uznała, że autor artykułu nigdy pewnie nie został pobity, więc zapomniał o punkcie utylizacji odpadów. Zutylizowała Pawła i z zadowoleniem spojrzała na pustą dolną szufladę.

Czas kogoś tam ulokować... Bożydar i Witek? Idealnie! Zanim upchnęła ich w komodzie, przypomniała sobie, jak się nią zachwycali. Że się nie narzuca, że jest wyrozumiała, że mało nachalna... Ani jeden, ani drugi nie zdawał sobie sprawy, że jest taka tylko dlatego, że nic do nich nie czuje. Gdyby zobaczyli, jak zareagowała wczoraj na Janka i do czego doprowadził ją dzisiaj jego telefon, zapewne nie posiadaliby się ze zdumienia... „Sorry, panowie” – mruknęła do siebie. „Mam nadzieję, że w niejednej górnej szufladzie wylądujecie. Pa!” Żeby Witkowi i Bożydarowi nie było smutno, dorzuciła im panią ze szkolnego bufetu, która doprowadzała ją do furii tym, jak traktowała dzieci, i tym, że starała się na siłę przekonać cały pokój nauczycielski do swoich poglądów politycznych.

Sławek... Dolna czy środkowa? Długo nie mogła się zdecydować. Gdyby nie pieniądze od niego, nie miałyby szans na ułożenie sobie życia. Poza tym jest mężem Meli i ojcem Emilki... No dobra, niech będzie środkowa... Ale warunkowo!

Po chwili obok Sławka umieściła Mirka i jego Justynę. „Może jak zamieszkacie w jednej szufladzie, to się w końcu dogadacie?” Jeśli miała uporządkować swoje życie, nie mogła się oszukiwać. Lubiła Mirka, ale nie aż tak. A Justyny na oczy nie widziała. Trudno!

Rodzice... Wahała się, czy ich rozdzielać, ale w końcu doszła do wniosku, że komoda to nie rodzinny grobowiec. Bernard trafił do starszej córki i wnuczki, a Janina do zięcia i wnuka. „Przepraszam, mamu. Na pewno dużo lepiej będziesz się czuła z nimi. A tata i tak urwie się na widzenie z tobą... Ach tak! Oczywiście! Wybacz! Już, już! Zaraz pošlę do dolnej szuflady matkę Bożydara. Nic do niej nie mam, ale racja, pan doktor mógłby się bez niej czuć zagubiony... Przepraszam, że sama o tym nie pomyślałam!”

Po jakimś czasie Wiktorii zdumiała się, że wbrew zapowiedziom psychologa w szwach trzeszczy nie dolna szuflada jej komody, ale górna. Była tam Mela, Emilka, ojciec, Anka, Kamil, ponad dwudziestka uczniów z pierwszej B i tyle samo z trzeciej A, nowe mieszkanie, nienarodzone szczenię Kologii, okrągła suma na koncie bankowym, zakup samochodu, designerskie studia Emilki, kolejny stopień w awansie nauczycielskim i wiele innych rzeczy. W środkowej szufladzie na ogromnym metrażu rozlokował się Sławek z teściową, synem i ewentualną synową. A w dolnej? Wcale nie było tam tak ciasno. Bożydar z matką, Witek, bufetowa... Trochę skromnie... Dorzuciła Bukę. Albo spacyfikuje bufetową, albo się pozabijają. A co tam! Witek będzie miał przynajmniej ubaw, zorganizuje im walkę w kisielu, a potem porzysła fotki i filmiki wszystkim znajomym paniom. Niech się chłopak nie nudzi!

No i wreszcie Janek... Środkowa czy dolna? Ze względu na towarzystwo odrzuciła dolną. Ale czy zasługuje na środkową? Czy w ogóle warto o nim myśleć? Zmusiła pamięć do pracy. Cofnęła się aż do pierwszego dnia szkoły, a potem odtworzyła najdrobniejsze detale: kolejne spotkania z rodzicami, to, jak spacyfikował mamę Laury, wyjazd na Śląsk, rozmowy telefoniczne, nieporadne wiadomości zostawiane na jej sekretarce, telekonferencje na Skypie, wczorajszą rozmowę, list do Świętego Mikołaja, oczy zbitego spaniela... „Niech ci będzie”. – Uchyliła środkową szufladę. – „Ale jesteś tu na takich samych warunkach jak mój szwagier.

Obyś tylko się z nim nie zaprzyjaźni! Nienawidzę niezależnych mężczyzn!”

Wiktoria rozejrzała się dookoła. Zobaczyła tylko nieskazitelnie czystą beżową terakotę. Czyli koniec – uporządkowała najważniejsze sprawy. Czas wziąć się do roboty! To nieprawda, że skoro przez wiele lat dawała sobą pomiatać, to ma do końca życia siedzieć w milczeniu i biernie przyglądać się wydarzeniom. Dostyc!!! Podeszła do komody. Szarpnęła metalowy uchwyt w kształcie lwiej głowy i otworzyła błyszczącą szlachetnym mahoniem górną szufladę.

Mela? Zadzwoń do niej i nie będzie się dłużej bawić w ciuciubabkę. Powie, że doskonale ją rozumie, ale błaga o spotkanie w cztery oczy. Jeśli siostra odmówi, to Wika powtórzy słowa, które kiedyś od niej usłyszała i które uratowały jej życie: „Chcę tylko, żebyś pamiętała, że jestem”.

Emilka? Koniec wodzenia jej za nos i chronienia przed brutalnym światem dorosłych! Powie, że sfinansuje jej studia w Warszawie. Oczywiście pod warunkiem że dziewczyna najpierw zda maturę na piątki. To ją zmotywuje do jeszcze większego wysiłku. A Sławek niech zapomni o tym, że Wika cokolwiek z nim skonsultuje. Nie! Dostyc tego!!! Ze środkową szufladą nie gadamy i nie zabiegamy o względy zamkniętych w niej ludzi!

Ojciec? Zadzwoń do niego jeszcze dzisiaj i umów się na spotkanie. Wszystko mu powie. O tym, jak Paweł ją tłukł. O tym, jak trudno było od niego uciec. Wyjaśni, czemu przez tyle lat tak dziwnie się zachowywała. Wytlumaczy, dlaczego tak chętnie przyjęła ofertę szwagra. Trudno, nie ma wyjścia! Zupełnie nie zależało jej na tym, co myśli o niej matka, i miała to głęboko w nosie, ale z ojcem musiała się rozmówić.

Kamil i Anka? Są kochani, ale czas się od nich wyprowadzić. Nie ma co czekać na łaskawcę ze Swarożycza. W Szczecinie jest dużo innych ładnych mieszkań. I to do wzięcia od zaraz. Wieczorem pogada z Anulą. Niech jak najszybciej umawia ją do notariusza z tym małżeństwem na Bohaterów Getta. Druga linia zabudowy, niedaleko całkiem duży zielony skwer. Córcia Kologii będzie miała gdzie biegać. A że Wiktoria nie lubi tych nowych bezdusznych wymuskanych osiedli? Drobiazg. Przyzwyczaj się. Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma!

Wyszła z łazienki pachnąca i od stóp do głów wybalsamowana koenzymem Q10. Poszła do swojego pokoju i sięgnęła po telefon. No to teraz sobie podzwoni...

Zaczęła od kogoś, kogo nie było w żadnej z szuflad.

– Salon fryzjerski, słucham?

– Chciałabym się umówić na najbliższy wolny termin do pana Radka. To pilne...

IX

FENIKS, CZYLI ZWIASTUN NADZIEI

Baśniowy ptak podobny do orła. Upierzenie ma złoto-czerwone, ogon żółty w purpurowe kropki, dziób biały o szmaragdowym połysku, oczy szafirowe, na nogach migoczące łuski. Kiedy czuje zbliżającą się śmierć, przygotowuje w swoim gnieździe stos ofiarny i spala się w promieniach słońca, a potem odradza z popiołów...

ROZDZIAŁ 31

Czytała kryminał, który polecił jej Kamil. Niedawno go skończył i gorąco zachęcał do lektury, mimo że nie przepadała za tym gatunkiem.

– Niesamowita książka! Trzyma w napięciu do ostatniej strony i z każdym rozdziałem człowiek jest coraz bardziej skołowany, zastanawiając się, kto zabił, bo w zasadzie wszyscy mają motyw, a nikt porządnego alibi. Ledwo nabierasz przekonania, że rozszyfrowałaś mordercę, wychodzą nowe fakty i wątki i cała teoria się wali.

Dała się namówić i nie żałowała. Była zaledwie na czterdziestej którejś stronie, a już się wciągnęła. Trochę przeszkadzała jej Kolia leżąca na przeciwległym końcu kanapy. Zamiast spokojnie leżeć, wciąż się wierciła, ziejąc i popiskując na zmianę. Kiedy usiadła i zaczęła drapać tapicerkę, Wiktoria cmoknęła, żeby przywołać ją do porządku.

– Co ty wyprawiasz, maleńka? Przestań niszczyć meble. Chcesz, żeby Kamil wyгнаł nas obydwie na twoje legowisko? I tak wciąż na mnie burczy, że pozwalam ci tu włązić. Leż jak człowiek, dobra? Albo spadaj do siebie.

Kolia ziewnęła przeciągle, zakończyła dłuższym piskiem i popatrzyła na Wikę jakoś dziwnie.

– Znowu chcesz na dwór? Spacer? Idziemy na spacer? – Wyraźnie zaakcentowała ostatnie słowo, wiedząc, że pies doskonale je zna i bardzo lubi. Tym razem nie wywołało ono jednak najmniejszego entuzjazmu. Wręcz przeciwnie. Kolia obróciła się kilka razy, drobiąc łapami, żeby nie spaść z dość wąskiego siedzenia, a potem wygodnie się rozwalila, położyła łeb na welurowym oparciu i przymknęła brązowe ślepią.

– Ale jesteś marudna... – Wiktoria wepchnęła stopy między psi grzbiet a kanapę i z powrotem wzięła książkę do ręki.

Nie było jej dane czytać zbyt długo. Tym razem lekturę przerwał Kamil. Na dźwięk grzebania kluczem w zamku usiadła, nastawiając uszy zupełnie tak samo jak leżący w jej nogach pies.

– To ty?! – krzyknęła.

– Niezbyt mądre pytanie! – odrzyknął. – Nawet gdyby to był złodziej, też odpowiedziałby ci teraz „Tak, to ja”!

– Ale Kolia nie machałaby wtedy ogonem!

– Machałaby! Ona każdego z radością wpuści i każdemu da się przelecieć!!!

– Nie słuchaj go... – szepnęła Wiktoria, głaszcząc płowe futro, i wróciła do krzyku, bo bardzo nie chciało jej się wstawać. – Jak tam?! Żyjesz?! Dałeś sobie radę?! Taksówkarz pomógł ci wsiąść i wysiąść?! Nie poślizgnąłeś się?!

– Oczywiście, że dałem radę! Bez pomocy taksówkarza! Przestańcie robić ze mnie kalekę!!!

– Jasne, jasne... Przepraszam...

Kiedy Kamil dostał od Janka propozycję współpracy, nastąpiła w nim cudowna przemiana. Przestał jęczeć, stękać i utyskiwać na swój los. Godzinami siedział za biurkiem, wciąż coś pisał, obliczał i do kogoś dzwonił. Kiedy dowiedział się, że deweloper zwołuje spotkanie wszystkich podwykonawców, uparł się, że będzie w nim uczestniczył osobiście,

choć Janek zapewniał go, iż nie jest to absolutnie konieczne i jeśli zajdzie taka potrzeba, zadzwoni z ewentualnymi pytaniami. Kamil jednak nawet nie chciał o tym słyszeć. Od samego rana stukał gipsem po domu i nerwowo pakował opracowaną starannie dokumentację zbrojenia terenu pod ogromne osiedle mieszkaniowe.

– Gdzie są opinie i pomiary geodezyjne?! – pytał żonę, która ze stoickim spokojem piła kawę i rozmawiała z Wiktoria, jakby nie dostrzegając jego obecności.

– Wikuś, słonko, co cię ugryzło? – mówiła łagodnie i cicho, co zabawnie kontrastowało z zachowaniem jej męża. – Dlaczego tak nagle chcesz się wyprowadzić i kupić pierwsze lepsze mieszkanie?

– Wcale nie pierwsze lepsze. To na Bohaterów Getta jest naprawdę fajne. Dobra cena... I nie trzeba w nim nic robić... Zostawiają wszystko... Zmywarkę nawet... – W przeciwieństwie do Anuli nie była w stanie się skupić przy Kamilu, który trzy razy kazał jej wstawać, żeby sprawdzić, czy nie usiadła na teczce z wynikami badania gruntu i zalecanym systemem palowania gliniastego podłoża. – Nie oszukujmy się... Ten ze Swarożycza nie opuści z ceny... Nie ma na co czekać...

– Nie widziałaś takiej szarej teczki?! – Kamil zamachał dłonią tuż przed oczyma żony.

– Nie, kochanie, nie widziałam. – Anka wychyliła się zza niego, żeby złapać kontakt wzrokowy z Wiktoria. – Dlaczego przekreślasz Swarożycza? Tłumaczyłam ci, że za dwa dni wszystko się wyjaśni. Gadałam wczoraj z właścicielem i uprzedziłam, że nie będziesz dłużej czekać. Ale chyba dwa dni poczekać możesz, co? Nie zachowuj się jak Emilka i nie tup bez sensu.

– A co mi te dwa dni dadzą? – Wika wzruszyła ramionami. – Ty też nie zachowuj się jak Emilka i nie fantazuj bez sensu. Pięciu dych nie opuści. I tak się dziwię, że jeszcze nie znalazł kupca.

– Chwała Bogu, że nie znalazł. Dzięki temu kruszeje i traci pewność siebie. Jak z nim wczoraj rozmawiałam i mówiłam, że nie będziesz dłużej czekać, to był wyraźnie zestrachany. Sam mnie błagał, żebym przetrzymała cię jeszcze dwa dni. Bo za dwa dni...

– Mam! Jest! Znalazłem! Leżała w przedpokoju! – Kamil wpadł do kuchni z szarą teczką. – Położyłem ją tam, żeby nie zapomnieć!

– Super! – Anula przesłała mężowi całusa, a potem ponownie zwróciła się do Wiktorii: – Ten facet umoczył ogromne pieniądze w jakiś szemrany biznes. Dał się nabrać lepszemu od siebie cwaniakowi, który go wyrolował i wpędził w niezłe kłopoty. Wiesz, jak to bywa.

– Nie wiem, bo pracuję w szkole, ale słyszałam co nieco... – Przypomnieli jej się dziwni ludzie, którzy odwiedzali Pawła. Czasami zza drzwi jego gabinetu dochodziły krzyki, czasami nawet płacz. Oczywiście krzyczał zawsze Paweł, a płakali zawsze ludzie, którzy do niego przychodzili.

– No właśnie. I on ma pojutrze rozprawę w sądzie. W zależności od wyroku albo będzie biegiem sprzedawał mieszkanie za ile popadnie, albo się na nas wypnie. Pojutrze. Rozumiesz? Dwa dni! Nie wytrzymasz dwóch dni?

– Wytrzymam. Ale co? Mam potem w cudzym nieszczęściu mieszkać? Bo jak przegra sprawę, to...

– Ty to jednak naiwna jesteś! – przerwała jej Anula i wzięła ostatni łyk kawy. – Nie martw się o niego. Nawet jeśli przegra sprawę, to ma jeszcze sporo większych i dużo bardziej wartościowych nieruchomości. Tyle że są zapisane na żonę, matkę, teściową, kochankę i cholera wie kogo jeszcze. Ale w obliczu prawa bidulek jest właścicielem wyłącznie marnej kłitki na Swarożycza. Sprzeda ją, odda całą kasę Skarbowi Państwa i zabyłśnie obywatelskim przykładem: „Oddaję wam wszystko, co posiadam! Zostały mi już tylko idee!”. Ech, Wika,

Wika... – Anka pokiwała pobłaźliwie głową i podniosła się z krzesła. – To co? Wytrzymasz dwa dni? – zapytała, wstawiając filiżankę do zmywarki. – Nie wiem, co ci się w tym twoim kudłatym łbie uroiło, i nie naciskam, żebyś mi wyjaśniała, ale dwa dni chyba nie stanowią dla ciebie problemu?

– No nie... – przytaknęła Wiktoria, chociaż nie była przekonana, czy dobrze robi. Miała przecież działać szybko i natychmiast. Z drugiej strony dwa dni to nie dramat. Za dwa dni, czyli pojutrze. A pojutrze to prawie natychmiast... – I wypraszam sobie kudłaty łeb! Wczoraj u fryzjera byłam!

– Moim zdaniem niepotrzebnie tak krótko ścięłaś włosy. Domyślam się, że to też jakiś element życiowej rewolucji? Podobnie jak nagła decyzja o wyprowadzce... Nie rozumiem, o co ci chodzi, ale robię, co mogę. Obiecuję, że jeśli Swarożyca nie wypali, to za trzy dni jesteśmy u notariusza i kupujemy mieszkanie na Bohaterów Getta. A teraz muszę już lecieć. – Oplatając szyję Wiki ramionami, Anula chcąc nie chcąc, zobaczyła swój zegarek. – Cholera! Znowu jestem w niedoczasie!

– Nie widziałaś moich planów?! – Rozgorączkowany Kamil po raz kolejny wpadł do kuchni, a widząc wychodzącą z niej żonę, zagroził drzwi własnym ciałem. – Do drugiej w nocy je wczoraj kreśliłem. Nigdzie ich nie ma! Ani na moim biurku, ani w przedpokoju! Gdzie one są?!

– Przepraszam, kochanie, zapomniałam ci powiedzieć... – Anka pogłaskała go po ramieniu. – Jak już te plany nakreśliłeś i poszedłeś spać, to był telefon z Paryża. Nie chciałam cię budzić, więc sama podjęłam decyzję. Zamówiłam firmę kurierską i jakieś sześć godzin temu je zabrali. – Ucałowała go czule w usta. – Muszę lecieć, pa!

– Z Paryża?! Gdzie są moje szkice?!

– Jak to gdzie? W Luwrze. – Uśmiechnęła się Anula. – Sam dyrektor dzwonił i o nie prosił. Głupio było odmówić, co nie? No to wysłałam. Pa! – Zniknęła im z oczu.

– Dlaczego ja jej jeszcze nie zabiłem?

– Pewnie dlatego, że ją kochasz – odpowiedziała Wiktoria, podnosząc się zza stołu.

– W czym te swoje plany masz? Gdzie mam ich szukać?

– Jak to w czym? W Luwrze!

Plany zbrojenia gliniastego terenu znalazły się w szarej teczce.

– Faktycznie! – ucieszył się, kiedy Wika położyła przed nim starannie wykreślone szkice.

– Teraz sobie przypomniałem! Chciałem mieć wszystko razem. Trzymaj za mnie kciuki, dobra?

– Cmoknął ją w policzek. – A ty? Co będziesz dzisiaj robić?

– Też zaraz wychodzę. Mam tylko trzy lekcje, więc pewnie wrócę przed tobą. Obiad wystarczy podgrzać... Może wreszcie zabiorę się do kryminału, który mi poleciłeś?

– No! Super jest! Tak się pogubisz, że szok. A jak się na koniec dowiesz, kto zabił, to jeszcze większy szok zaliczysz... Dobra! Dzwonię po taksówkę, a ty trzymaj za mnie kciuki

– poprosił, stukając w komórkę. – Niby mam rekomendacje Janka, ale to za mało. Muszę przekonać do siebie dewelopera... Czy ja z tym gipsem wyglądam na wiarygodnego pracownika?

– Wyglądasz wyjątkowo wiarygodnie – zapewniła go.

Poszła do szkoły, wróciła, wyprowadziła Kolię na spacer, zjadła obiad, a Kamila wciąż nie było. Zaczęła się martwić, czy spotkanie z deweloperem wypadło po jego myśli, ale szybko się uspokoiła, słysząc, jak po wejściu do domu wesoło ruga psa za to, że każdego z radością wpuści i każdemu da się przelecieć.

– Nie dokuczaj jej. – Przytuliła się do płowego, ciężko dyszącego futerka. – Ona jakaś dziwna dzisiaj jest. Taka niespokojna... Wciąż się wierci... Może to już czas?

– Za wcześniej. Jeszcze ponad dwa tygodnie zostały. Zatrzała się pewnie czymś. Od przedwczoraj żarcia nie tknęła... Co, mała? – Kamil usiadł ciężko w fotelu i cmoknął na Kolię. – Wciągnęłaś jakieś stare śmierdzące ryby z przydrożnego śmietnika? Nie nowina, prawda? Cierp ciało, coś chciało! – Wbił bezlitosne spojrzenie w psie ślepią. – A tylko spróbuj zarzygać moją ukochaną kanapę! Na maczkę do Bacutilu pójdziesz, sierściuchu!

– Daj jej spokój. – Wiktoria mocniej przylgnęła do Kologii, żeby zasłonić wydrapaną włókna tapicerki. – Jak tam spotkanie? Długo cię nie było.

– Spotkanie w porządku. Pełen sukces. A długo mnie nie było, bo potem z Jankiem omawiałem szczegóły. Pojechaliśmy do jego biura. Wypiliśmy kawę, zamówiliśmy obiad z cateringu. Gadaliśmy trochę o tym i owym...

– Czyli nie jesteś głodny? Mogę podgrzać zupę albo drugie. Ja już jadłam. – Oderwała się od psa i wyciągnęła wygodnie, kładąc głowę na przeciwległym oparciu kanapy. – Fajnie, że dobrze ci poszło. – Sięgnęła po książkę. – A wiesz, że ten kryminal jest naprawdę niezły? To wymuskany świątobliwy kuzyneczek ją zaciukał? Dobrze zgaduję?

– Janek bardzo o ciebie wypytywał. Dlaczego jesteś sama, dlaczego u nas mieszkasz. Chyba wpadłaś mu w oko, ale on jest naprawdę po niezłych przejściach i podchodzi do życia jak do jeża... – Kamil trochę się płątał. – A nie wiedziałem, ile mogę mu powiedzieć... I tak ni to mówiłem, ni to nie mówiłem... Może do niego zadzwonisz?

– Oczywiście, już lecę! – Wybuchła śmiechem. – No to jak? Dobrze zgaduję? Kuzyneczek? Czy jego żona? Bo ona też jest dość niepewna.

– Nie masz pojęcia, jaki to porządny facet. Tylko trochę zdziczały... Żona go zostawiła... To znaczy niby nie zostawiła, tylko pojechała na wakacje do siostry do Irlandii... I już nie wróciła... Ta ich mała miała wtedy dwa latka... Baba się w kimś tam zakochała i zapomniała o mężu i dziecku. To jakiś potwór musiał być. To jak? Zadzwonisz do niego? On chyba na to czeka... – Kamil zdecydowanie nie nadawał się na swata. Janina ze swoimi brutalnymi metodami była w tym dużo lepsza. – Ja przepraszam, że tak teraz mówię, ale naprawdę... To super gość... Tylko wycofany strasznie...

– Przestań. – Nie miała ochoty opowiadać Kamilowi o mahoniowej wiktoriańskiej komodzie z uchwytnymi w kształcie lwich głów i o tym, co postanowiła. Po pierwsze, będzie niezłomnie i uparcie zabiegać o względy ludzi z górnej szuflady. Po drugie, ludźmi z dolnej szuflady nie będzie już sobie zawracała głowy. A jeśli chodzi o tych ze środkowej... No cóż. To oni muszą zacząć zabiegać o jej względy. I w dupie ma, co przeżyli i co czują. Ona też swoje przeżyła i też coś czuje. Dostyc pokornego schylenia głowy! – Ale ciotka miała chyba najlepszy motyw. Przehulała w kasynie cały majątek, starsza pani zwędziła jej narzeczonego... Sama bym taką zabiła.

– Ja wiem, że on jest trochę zimny, ale w środku to naprawdę kawał serducha – nie poddawał się Kamil. – Jak na mój gust, to wpadł po uszy, tylko nigdy nie zrobi pierwszego kroku. Zrozum, że stracił zaufanie do kobiet. Sama powiedz, który facet...

– Koniec! – Poderwała się z kanapy. Odłożyła książkę na stół grzbietem do góry. – Przepraszam, ale chce mi się siku. – Wymaszerowała z salonu, tłukąc bosymi piętami o podłogę. Weszła do łazienki i oparła się o umywalkę, nad którą wisiało podłużne kryształowe lustro.

– Trzydziestoosmioletnia Wiktoria czuje się wstrząśnięta – mamrotała do swojego odbicia. – Właśnie się dowiedziała, że czterdziestoletni Janek jest po przejściach i nie ufa kobietom. Janku, Janku! Zaufaj kobietom! Wprawdzie żadna nie jest po równie dramatycznych

przejściach i żadna nie docenia takich wspaniałych, wyjątkowych, empatycznych i czułych mężczyzn jak ty, ale to nie powód, żeby te bezduszne jędze skreślać na całej linii. Czterdziestoletni Janek wpadł w zadumę i zasnął w rozterce nad telefonem. Zapraszamy na kolejny odcinek! – Skrzywiła się złośliwie i sama sobie pokazała język.

Spuściła wodę, a potem wróciła na kanapę, jeszcze głośniejsze niż poprzednio bębniąc piętami o podłogę. Zignorowała Kamila, ułożyła się wygodnie i wzięła książkę ze stołu.

Popatrzyła na stronę, na której skończyła lekturę. Wokół imienia Breena ktoś zakreślił długopisem kółko, poprowadził od niego strzałkę i napisał na marginesie: „To ona zabiła. Pogadamy teraz o Janku? Całusy. K.”.

– Czy ty jesteś normalny? – Nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy złościć. – To świństwo! A książkę można już wyrzucić na śmieci.

– Dobra, wyrzucę. Ale pogadamy?

– Nie pogadamy. – Trzasnęła okładkami i usiadła, opierając się szeroko rozłożonymi rękoma o kanapę. – Słuchaj, ja wiem, że chcesz dobrze, ale... Fuj, co to?! – Pod lewą dłonią poczuła coś mokrego i śluzowatego. Z obrzydzeniem wytarła palce w nogawkę. – Kolejny żart?

Po minie Kamila zorientowała się, że nie miał z tym nic wspólnego. Zaniemówił i z przerażeniem patrzył na psa. Podążyła za jego wzrokiem i też znieruchomiała. Kolia leżała na boku i wyraźnie się napinała. Nie ziała i nie popiskiwała. Wydawała jakiś dźwięk, ale trudno go było określić. Stękała?

– O rany... ona prze – wykrztusiła Wiktoria. – Ona rodzi... – Poderwała się z kanapy, żeby zrobić więcej miejsca. – Rodzi! Zaczęło się!!!

– Jak to rodzi? Dwa tygodnie przed terminem?! Na mojej kanapie?! – Kamil patrzył ze zgrozą na coraz bardziej napinającą się sukę. – Powiedz jej, żeby natychmiast przestała i poszła na legowisko.

– Wiesz co? Dobrze, że ginekologiem-położnikiem nie zostałeś. Kobieta to nie betoniarka! Nie zatrzymasz jej!

– Przecież ona nie jest kobietą, tylko psem!

– Może i nie jest kobietą, ale betoniarką też nie! Przestań siedzieć jak mumia! Pomóż! – Rozejrzała się bezradnie dookoła.

– Co mam zrobić? Trzymać ją za łapę, głaskać po łbie i powtarzać: „Przyj, kochanie, przyj”?! Ja w życiu przy żadnym porodzie nie byłem! Jestem na to zbyt wrażliwy!

– Trzeba czymś zastawić, żeby maluchy nie spadły. – Wika podbiegła do sekretarzyka i zaczęła ciągnąć go w stronę kanapy. – No rusz się! Musimy odwrócić go tyłem i obłożyć poduszkami.

– Przenieśmy ją na legowisko. – Kamil zwlekał z pomocą. – Może nawet sama da radę pójść?

– Za późno. Nie widzisz, co się dzieje? – Wika, ciężko dysząc, skinęła głową w stronę psa. – Pierwszy szceniak już jest.

– Co?! – Kamil przemógł się, bardzo powoli odwrócił głowę i spojrzał przez ramię. – O ja pier... – Połknął resztę przekleństwa, a potem szybko podbiegł do sekretarzyka i dopchnął go do siedzenia kanapy. – Co teraz?

– Teraz damy jej spokój. Świetnie sobie radzi. – Okładając poduszkami prowizoryczną porodówkę, Wiktoria patrzyła, jak suka rozgryza otaczające malucha błony i odcina zębami pępowinę. – Ale z ciebie dzielna mama. Już ci nie przeszkadzamy, już idziemy... – przemawiała cicho i łagodnie. – Będę tu zaglądać co jakiś czas, dobra? Tak tylko kontrolnie. Jak się

z pierwszym dzieciakiem obrobisz, to przyniosę ci miskę z wodą. I przepraszam, że burczałam, że mi czytać nie dajesz, bo ziejesz i się wierzisz... Skąd mogłam wiedzieć? A na przyszłość powinnaś zmienić lekarza. Żeby tak się pomylić w terminie? Skandal... – Zanim skończyła przemówienie i ułożyła poduszki, wylizane starannie szczenię ssało już mleko. – Boziu, jakie to słodkie. Kamil, chodź, zobacz! – Odwróciła się i ze zdumieniem stwierdziła, że jest sama. – No widziałas go? Zwiął! Ech, faceci... Zresztą, co ci będę mówić! Twój absztyfikant ma na imię Cykor, to sama wiesz... – Delikatnie pogłaskała psi łeb. – Czekał, zaraz przyniosę ci wodę.

– A tu się schowałeś! – Zaśmiała się, wszedłszy do kuchni.

– Nie schowałem się. – Lekko pobladły Kamil odwrócił w jej stronę ekran komputera.

– Przygotowuję się do porodu.

– Rychło w czas! – prychnęła. – Na szczęście z Anulą czytałyśmy już, co trzeba robić.

– I gdzieście wyczytały, że pies powinien się szcenić na mojej kanapie?!

– Oj, co ty z tą kanapą? Pieniądze w niej masz zaszyte czy co? Takie sobie miejsce wybrała na poród i już. A wszędzie piszą, że nie wolno wtrącać się psu w tego typu decyzje.

– Podniosła z podłogi miskę i nalała do niej świeżej wody. – Zamiast marudzić, chodź lepiej. Zobaczysz, jak ślicznie ten maluszek ssie.

– Nie wolno wtrącać się psu w decyzje! Ludzie! Zaraz oszaleję! – Kamil złapał się za głowę. – Pamiętasz? Opowiadałem wam kiedyś, jak śniło mi się, że mieszkam w budzie. Czuję, że to był proroczy sen! Rozumiem, że jeśli ten kundel postanowi, że mam się wynosić z domu, to też uszanujecie jego decyzję? – Nie przestając zrzędzić, wstał z krzesła i poszedł za Wiktoria. – Ciekawe tylko, czy wystawicie mnie na dwór razem z tą zafajdaną kanapą, czy nawet tego mi pożałujecie. Od biedy mogę leżeć na gołej ziemi, prawda? Wprawę już poniekąd mam. A bo to dla mnie nowość? Leżałem godzinami na oblodzonym chodniku i przeżyłem, to po co mi w zasadzie kanapa? Jak się ociepli i przyjdzie wiosna... – Zamilkł wreszcie, zatrzymując się przy oparciu, na którym Kolia położyła łeb i z przymkniętymi ślepiami leciutko posapywała. Nie zwracała na nich uwagi. Podobnie jak na podetkniętą pod nos miskę z wodą. – Ale cię ten maluch doi! – Kamil schylił się i spojrzał w oczy świeżo upieczonej matki. – Ile ich jeszcze będzie, co? Musisz nam powiedzieć, bo wyczytałem, że potem trzeba dokładnie policzyć łożyska, żeby żadne nie zostało w środku, bo dostaniesz zakażenia...

– Możesz sobie liczyć na zdrowie – wtrąciła się Wika. – Pierwsze już wyszło. Zjadła je.

– Wiesz co, Kolia? Powiem krótko: jesteś obrzydliwa! – Wzdrygnął się. – Ale jak zjadłaś, to powinnaś chyba popić. – Wziął z rąk Wiktorii miskę, zanurzył w niej palce i podsunął pod psi nos. Kolia uniosła łeb, a potem łapczywie oblizwała dłoń Kamila. – Widzisz? – Odwrócił się, patrząc na Wiktoria z wyższością. – Tak się robi! A ty z całą michą do rodzącej... No masz, malutka, masz. – Maczał palce w wodzie i poił w ten sposób psa przez kilka minut.

Po chwili Kolia ponownie się napięła i zaczęła cichutko postękiwać.

– Następnym idzie. To ja wracam do kuchni. – Odstawił miskę na podłogę i krzywiąc się z bólu, wyprostował plecy. – Nie mogę patrzeć, jak ludzie jedzą ślimaki, a co dopiero, jak psy jedzą łożyska. Przyj, kochanie, przyj. – Pogłaskał psa po głowie. – Tylko nie przesadzaj z ilością, dobra? Myślę, że dwójka albo trójka w zupełności nam wystarczy. Poza tym nie mamy aż tylu kanap... – Odszedł szybko, starając się jak najciszej stuknąć gipsem.

Kolia nie posłuchała. Kiedy wieczorem Anka wróciła z pracy, zastała siedem ślepych tłustych kluseczek ucepionych brzucha zmęczonej, ale dumnej mamy.

– Lekko nie było, ale jakoś urodziliśmy! – Kamil stał, trzymając się pod boki. – Masz jutro trochę wolnego?

– Tak. Powinnam wrócić przed osiemnastą – odpowiedziała Anula, nie odrywając wzroku od szczeniąt.

– Nigdzie nie będziesz wracać! Po pracy pojedziesz do meblowego i albo wrócisz tu z nową kanapą, albo wcale. Wszystko mi jedno, co to będzie za kanapa. Może być skórzana, może być zamszowa, może być w kwiatki albo nawet w pajacyki. Grunt, żeby była nowa! I dubeltówkę kup.

– Dubeltówkę? Po co? – Spojrzała wreszcie na męża.

– Bo będę strzelał do każdego psa, który spróbuje wleźć na tę nową kanapę! I do każdej baby, która mu na to pozwoli! Zrozumiano?

Anula przytaknęła mu ze śmiechem, ale Wiktoria ani myślała to zrobić.

– Gadaj zdrów. – Wzruszyła ramionami. – Moja Cykoria będzie wskakiwać, na co chce i kiedy chce.

– Cykoria?!

– A jak mam nazwać córkę Cykora i Kologii? To chyba oczywiste. To ta druga od lewej. Fajna, nie?

– A po czym ją poznajesz? Dla mnie wszystkie są takie same. – Kamil przyglądał się uważnie puchatym kuleczkom.

– No coś ty? Cykoria ma prawie dwa razy szerszy nosek od pozostałych. Już sobie wyobrażam, jaki kinol z niego wyrośnie za kilka miesięcy. Pewnie po ojcu odziedziczyła.

– Stłumiła parsknięcie, bo Kolia spojrzała na nią z wyrzutem. – Przepraszam, przepraszam...

– Poglaskała delikatnie jej zapadnięty brzuch.

– A dlaczego akurat ona? Są jeszcze trzy inne suczki. – Po dokładniejszych oględzinach Kamil musiał przyznać, że nosek Cykorii jest faktycznie znacznie szerszy niż noski pozostałych szczeniąt.

– Bo mam u niej dług wdzięczności. To ona urodziła się pierwsza i uratowała mnie od bezsensownej rozmowy z tobą na jeszcze bardziej bezsensowne tematy. – Spojrzała przeciągle na Kamila. – Mam nadzieję, że nie będziemy już do tego wracać. Bardzo cię o to proszę.

– Nie mogę obiecać, bo nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Przez tę akcję porodową mam luki w kojarzeniu. – Uśmiechnął się niewinnie.

– W takim razie Anula faktycznie musi jutro kupić dubeltówkę. Jak cię pociągnę serią, to natychmiast sobie przypomnisz i skojarzysz.

ROZDZIAŁ 32

– Jakie śliczne! – rozczulała się nad szczeniętami Emilka. – Może też wezmę jednego? Zapytam rodziców. A nuż się zgodzą? Przydałby się ktoś normalny w naszym domu, nie?
– Siedziała po turecku, z rękami na podłodze, a psiaki toczyły bitwę o jej palce.

Potomstwo Kologii miało już trzy tygodnie i rozwijało się w zastraszającym tempie. Do tej pory zgodnie z fachowymi poradami Anula trzymała szczeniaki z dala od ludzi, więc Emilka mogła je podziwiać tylko z daleka, przez uchylone drzwi. Dzisiaj wreszcie dostała zgodę na bliższy kontakt, z czego skwapliwie skorzystała, popiskując jeszcze radośniej niż wszędobylskie wiercipięty. O ile przez pierwszych kilkanaście dni nie sprawiały żadnych kłopotów, bo nie odstępowały Kologii, o tyle teraz trudno było za nimi nadążyć. Wiktoria miała czasami wrażenie, że jest ich nie siedem, a czternaście. Biegały po całym domu i na cokolwiek natrafiły na swojej drodze, natychmiast zaczynały to wachać, lizać i skubać. Trzeba było w pośpiechu usuwać z ich zasięgu wszystko, co do lizania i gryzienia się nie nadawało, a na dodatek uważać, żeby ich nie rozdeptać.

– To twoja Cykoria? Ta, co mi zaraz kciuk odgryzie? Dobrze poznaję?

– Dobrze – przytaknęła Wika. – Największa rozrabiaka. Chyba w ojca szaląputa się wdała, a nie w mamę. Jeszcze nie słyszałam, żeby Kolia na kogoś szczeknęła, a ta bez przerwy się drze. To znaczy nie szczeka, bo jeszcze nie umie, ale piszczy głośniej niż świnka morska.

– Czyli u psów też tak jest, że pierwsze dziecko wdaje się w ojca? Dobrze, że Mirek urodził się przede mną, co nie? – Spojrzała zaczepnie na ciotkę, mając nadzieję, że może wreszcie sprowokuje ją do poruszenia rodzinnych tematów, ale po raz kolejny się zawiodła. Nie bardzo rozumiała, dlaczego Wiktoria niedawno przeprowadziła z nią długą szczerą rozmowę, a zaraz potem znowu wcieliła się w lojalną siostrę i szwagierkę. No trudno... Zdążyła się już zorientować, że słabo klei sposób rozumowania starszego pokolenia i pewnie nigdy go do końca nie rozkmini. Najważniejsze, że pojęła przynajmniej fragmenty tego cudaczego świata, który sami sobie bez sensu komplikowali. – Zabierzesz Cykorię ze sobą, jak się będziesz wprowadzać?

– No coś ty! – Wika poderwała się z różowej kanapy, widząc, że jedno ze szceniąt zbliża się do leżącego na podłodze kabla telefonicznego. Kamil wbił w ściany kilkadziesiąt gwoździ, o które zahaczył wszystkie przewody, ale nie chcąc za bardzo pokaleczyć tynku, użył czegoś, co bardziej przypominało szpilki i co chwila wypadało. – Musi zostać przy Kologii jeszcze przez miesiąc. Podobno nie powinno się zabierać szceniąt od matki wcześniej niż w siódmym tygodniu... Emilka, weź stąd tę małą zarazę!

Kiedy siostrzenica wzięła na ręce wścibską puchową kluskę i odniosła ją do rodzeństwa, Wiktoria zdjęła kłapek, wbiła nim odnaleziony na podłodze gwoździak, a potem zawinęła kabel wokół metalowego łebka.

– Więc trochę pomieszkać sama, ale to nawet dobrze. – Wróciła na wściekle cyklamenową kanapę, którą Anka kupiła, korzystając z tego, że Kamil dał jej wolną rękę, jeśli chodzi o wybór mebla. Odkąd przywiozła ją ze sklepu, nie usiadł na niej żaden pies. Kamil też zresztą nie... – Akurat zdążę się rozpakować i ogarnąć na nowym miejscu. A potem zabiorę Cykorię i będziemy żyły długo i szczęśliwie. – Zaśmiała się, patrząc, jak jej przyszła współlokatorka podgryza brzuch braciszka.

– Pamiętaj, że pomogę ci w przeprowadzce! Chwała Bogu, że zaplanowałaś ją

na niedzielę, bo musiałabym się ze szkoły urwać. A tak to możesz mną rządzić przez cały dzień – zadeklarowała Emilka, chichocząc bez przerwy, bo szczenięta nie przestawały się nią interesować.

– Wiem i bardzo ci za to dziękuję. – Wiktoria też wciąż się uśmiechała, patrząc na szczeniaki. – Szczerze mówiąc, najchętniej wyniosłabym się do swojego wymarzonego mieszkanca już dzisiaj, ale Kamil z Anką mało mi dziury w brzuchu nie wywiercili. Zwłaszcza Kamil. Prawie się obraził, że chcę wziąć jakąś obcą firmę do przeprowadzek. Rozumiesz? Odkąd zdjęli mu gips, na wszelkie możliwe sposoby stara się odpracować kilkutygodniową bezczynność. Załatwia swoje budowlane sprawy od rana do nocy, więc tylko w niedzielę ma czas. Zgodziłam się, bo co mi tam, dzień wte czy wewte. Poza tym to miłe z ich strony, że zamiast mnie wyganiać, jeszcze przetrzymują...

– Nie to, co mój ojciec, nie?

– Daj spokój. Rozmawialiśmy już o tym i ani mi się śni od nowa ci wszystko tłumaczyć.

– Wiktoria nie dała się sprowokować. – Twój tata nie wyrzucił mnie z domu, tylko zaproponował układ, który pasował i jemu, i mnie.

– Szkoda tylko, że nikt nie zapytał, czy mi to pasuje – burknęła nastolatka.

– Uwierz, że ten układ jest dobry także dla ciebie.

– Bo zapłacisz mi za Warszawę? – Emilka chwilowo straciła zainteresowanie szczeniakami i spoglądała na ciotkę spode łba. – Ja wciąż się boję, że tylko przeze mnie wzięłaś kasę od ojca. A ja wcale nie muszę...

– Jak cię zaraz ośmioma psami poszczuję, to przestaniesz pleść głupoty! – Wika odplaciła jej takim samym spojrzeniem. – Ile razy mam powtarzać?! Pozabijalibyśmy się wszyscy, gdybyśmy mieszkali w jednym domu.

– Nieprawda! Dopóki ojciec nie wrócił z morza, to się nie zabijaliśmy! Było super! No sama powiedz! Źle nam było?!

Wiktoria milczała dyplomatycznie, dobierając w myślach słowa i argumenty. Nie zdążyła się jednak odezwać.

– No właśnie! – triumfowała coraz bardziej pąsowa Emilka. – Czyli przez niego wszystko się popie... popsulo! Przez niego się wyprowadziłaś!

– Nie przez niego. Zrozum, mała. I przestań... jak ty to mówisz? Cisnąć? – Uśmiechnęła się łagodnie. – Popsulo się, bo ja i twój tata byliśmy pod jednym dachem. Przedtem sto razy wracał z morza i nic się nie psulo.

– Nieprawda! – Emilka twardo obstawała przy swoim. – Od miesiąca cię tam nie ma i co? W domu taki kwach, że tylko strzelić rzyga jak fontanna wieloryba!

– No bo Mirek się wyprowadził i niedługo zostanie tatusiem. Dla twoich rodziców nie jest to zbyt łatwa sytuacja. Trudno, żeby w takich okolicznościach skakali z radości. Przyznaj sama. Nie bądź niesprawiedliwa.

– Niczego nie przyznam! – Dziewczyna zacisnęła usta i wzruszyła ramionami. – Wielkie mi halo, że się wyprowadził. No i się wyprowadził. Yolo! A nasz ojciec najpierw Szczecin wywrócił do góry nogami, żeby coś na to poradzić, a jak się nie udało, to uznał, że nie ma syna, i zabronił nam nawet o nim rozmawiać. Czy on jest normalny? Nie! – Gwałtownie pokręciła głową. – On jest nienormalny!!! Jak ty to mówisz? Przyznaj sama, nie bądź niesprawiedliwa? – Skrzywiła się złośliwie. – No? To przyznaj i nie bądź!

– Trudno mi to skomentować. Nie mieszkam z wami.

– I ciesz się! Ja niestety mieszkam! I widzę, co się dzieje! Mama z ojcem żrą się bez przerwy, a przede mną i całym światem udają wielce szczęśliwych! Film można by o nich nakręcić. Najlepiej pod tytułem *Miesiąc miodowy. Reaktywacja!*

– Oni się nie zrą, tylko rozmawiają. Czasami być może nieco zbyt emocjonalnie – tłumaczyła Wika, starając się zachować spokój. – Jesteś w takim wieku, że masz wyostrzone zmysły i...

– Nie baw się w psychologa, dobrze? – przerwała jej Emilka. – Wiem, w jakim jestem wieku i jakie mam zmysły! A co widzę i słyszę, też bardzo dobrze wiem!!!

Wiktoria zamilkła. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co chce jej powiedzieć siostrzenica, bo sama miała podobne odczucia, ale pod żadnym pozorem nie chciała się jej do tego przyznać. Na szczęście Emilka zamilkła i wróciła do zabawy ze szczeniętami. Odezwała się dopiero po kilku długich minutach.

– Przepraszam... – bąknęła, nie patrząc na ciotkę. – Jak chcesz, to sobie bądź psychologiem... Czil! – Przewracała na plecy zachwycone psiaki. – To w niedzielę, mówisz, się wyprowadzasz?

– Tak – potwierdziła Wika. – Z twoją pomocą, oczywiście.

– Super! Zapytam mamę, czy też może ci pomóc.

– Nie! – zaprotestowała Wiktoria gwałtownie. – Daj spokój. Nie pomieścimy się tam wszyscy – starała się złagodzić swój nagły sprzeciw. – Kamil, Anula, ja, ty... Będziemy się o siebie obijać. Poza tym nie mam aż tylu rzeczy. Kilka ciuchów zaledwie. A twoich rodziców zaproszę na parapetówkę, jak się na dobre rozlokuję...

– Jasne! – Dziewczyna wzruszyła ramionami, dziwiąc się, że ciotka ma ją za skończoną idiotkę. Już widziała tę parapetówkę: impreza roku, normalnie! Będzie tak odjechanie, że wszystkie celebryckie gazety to opiszą, a „Pudelek” się zawiesi! Ale okej. Niech im będzie! Chcą, żeby była głupią Emilką? Proszę bardzo! Położyła się na podłodze, a szczeniaki natychmiast na nią wlażyły i starały się utrzymać na podrygującym ze śmiechu brzuchu. Tuliła je, podnosiła, całowała w czarne noski... Wiktoria spoważniała, chociaż widok był naprawdę słodki.

Zgodnie ze swoim postanowieniem zadzwoniła kilka dni temu do Amelii.

– Możemy się spotkać gdzieś na mieście?

– Ojej! A co się stało? Masz jakieś kłopoty?

– Mela! Jak to co się stało? Wszystko się stało!

– Źle ci się u nich mieszka? Coś nie tak?

– Dobrze mi się u nich mieszka. Nie o nich chcę z tobą gadać, tylko o nas.

– Ale że co konkretnie?

– Konkretnie to wołałabym nie przez telefon. Spotkamy się?

– No, wiesz... Nie bardzo mam czas...

– Melcia! Tak czy nie? Bo ja mogę poczekać. Ja cię naprawdę rozumiem!

– To dobrze...

– Czy u was w domu wszystko w porządku? Panujesz jakoś nad Sławkiem?

– Tak, w porządku. Bardzo dobrze się dogadujemy. Zbliżyło nas to wszystko do siebie.

Wczoraj byliśmy w kinie, a potem poszliśmy do restauracji na romantyczną kolację. Naprawdę jest cudownie.

– Cieszę się. Ale dlaczego w takim razie nie chcesz się ze mną spotkać? On ci nie pozwala?

– Nie chciałabym cię urazić, ale chyba mylisz mojego męża z Pawłem. Sławek niczego mi nie zabrania. I nie bije mnie, żeby było jasne! Po prostu nie mam czasu...

– Uwierz, do głowy mi nawet nie przyszło, że Sławek mógłby cię bić. Chciałam tylko się spotkać i pogadać.

– Może w przyszłym tygodniu znajdę chwilę. Zadzwoń, dobrze?

– Mela! Wiem, że nie zadzwonisz. Naprawdę nie mam do ciebie pretensji. Pamiętam, jak latami próbowałaś do mnie dotrzeć, a ja odpowiadałam ci tak samo wymijająco... I wiem, że Sławek cię nie bije i nie ma co porównywać mojego związku z Pawłem do twojego małżeństwa, ale chciałam ci powiedzieć jedno: pamiętaj, że jakby co, to jestem. Będiesz o tym pamiętać?

– Oczywiście. Przepraszam, ale muszę kończyć. Idziemy zaraz ze Sławkiem na koncert tenorów do filharmonii. Nie bardzo lubię muzykę poważną, ale ma być podobno miło, lekko i przyjemnie. Zadzwoń w przyszłym tygodniu, dobrze?

– Dobrze. Pamiętaj tylko, że jakby co, to jestem. I możesz do mnie dzwonić, kiedy chcesz.

Amelia nie zadzwoniła ani w następnym tygodniu, ani w kolejnym. Trudno! Tamta rozmowa zapadła jednak Wiktorii w pamięć. Dlatego tak dobrze wiedziała, co ma na myśli Emilka, wykrzykując, że jej rodzice mogliby zagrać w filmie pod tytułem *Miesiąc miodowy*. *Reaktywacja*, chociaż rzeczywistość jest zupełnie inna. Rozumiała Melę, bo sama latami grała w takim filmie. Pocieszała się, że kinowy amant jej siostry nie jest damskim bokserem, ale z drugiej strony... Czy trzeba pięści, żeby uderzyć? Już dawno doszła do wniosku, że nie.

Wiedziała, że Sławek, który często i głośno potępiał przemoc, w gruncie rzeczy okładał Melę. Okładał ją słowami, chłodem, obojętnym spojrzeniem, brakiem czułych gestów, podporządkowywaniem sobie. Prawdopodobnie dawało mu to poczucie męskości, władzy, niezależności. Paweł był dużo prymitywniejszy, więc bił. A Sławek, skomplikowany prostak, wzniósł się ponad to. Ale jednak bił... Tylko był bijący inaczej... Chociaż spędziła z nim zaledwie kilka dni, zauważyła, że im jest chłodniejszy, tym większe samozadowolenie maluje się na jego twarzy – jakby był z siebie dumny. Podczas wizyty u notariusza omal z tej dumy nie pękł: uśmiechał się pod nosem i cały czas patrzył na Wiktorię z pogardą. Bardzo dobrze знаła to spojrzenie, które bolało równie mocno jak cios pięścią...

Przyglądała się Emilce baraszkującej ze szczeniakami, wciąż nie mogąc otrząsnąć się z przykrych myśli. Czowała, że traci Amelię, i wściekała się, że nic nie może na to poradzić. Ponieważ umieściła siostrę w górnej szufladzie swojej komody, poczucie porażki nie dawało jej spokoju.

Na szczęście z drugim lokatorem tej samej szuflady poszło jej dużo lepiej. Spotkanie z ojcem wspominała z niekłamaną przyjemnością. Był wprawdzie zaskoczony zaproszeniem do kawiarni, ale obiecał, że przyjdzie, i zapewnił, iż nikomu o tym nie powie. Wypili kilka kaw i przegadali kilka godzin w takiej konspiracji, że bohaterowie polskich powstań byliby z nich naprawdę dumni. Wzbudzili niezdrowe zainteresowanie kelnerów, głównie dlatego, że Wiktoria dużo płakała i wtulała się w ojca, ale mało ją to obchodziło. Najważniejsze, że powiedziała wszystko, co leżało jej na sercu, i wyjaśniła, dlaczego nie informując go o niczym, zrzekła się praw do rodzinnej posiadłości. Przepraszali się nawzajem, przytulali, głaskali po głowach. To było naprawdę cudowne i miało dla Wiktorii ogromne znaczenie. Przecież nie bez powodu ulokowała ojca w górnej szufladzie... Zaskoczył ją tylko tym, co powiedział, kiedy spląkana schowała twarz w jego marynarkę i uspokajała się powoli w bezpiecznym zaciszu mocno trzymającego ją ramienia.

– Gdybym wiedział, że tak się to skończy... Gdybym ja wiedział, że niepotrzebnie się zmuszam, bo wy i tak zrobicie wszystko po swojemu...

– Ale co? – chlipnęła. – Co by było, gdybyś wiedział?

– Nieważne. – Ponownie przygarnął ją do siebie. – Teraz to już bez znaczenia... Ale

na pewno byłoby inaczej... Nie wiadomo, czy dobrze, ale na pewno inaczej...

– Tato! O co ci chodzi? Nie rozumiem...

– Nieważne. – Ucałował ostrzyżone niemal na zapalną kędziory Wiktorii. Zbyt wiele lat minęło, żeby opowiadać o Róży, która miała zniewalające dołeczki w policzkach, kiedy się uśmiechała, i którą tak bardzo kochał. – Ważne, że wiesz, czego chcesz. I nie oglądaj się na nikogo! Na mnie i na matkę też. – Złapał ją za podbródek i pocałował czubek mokrego nosa. – Ja naprawdę długo myślałem nad twoim imieniem... Powiedziałaś mi dzisiaj, że chyba na złość ci je wybrałem. Nie masz racji. – Wytarł spływające po policzkach córki łzy. – Gdybym wszystko tak dobrze w życiu wybrał jak twoje imię, to kto wie, co by dzisiaj było...

ROZDZIAŁ 33

Leżała i rozkoszowała się myślą, że ma za sobą ostatnią noc pod cudzym dachem. Kolejną prześpi już pod swoim... Wreszcie!

Mieszkając z Pawłem, nigdy nie uważała się za panią domu. Podobnie rzecz się miała z miesiącami spędzonymi u Meli – mówiła prawdę, kiedy zapewniała siostrę i ojca, że dawno przestała traktować rodzinną willę jak coś, co należy do niej. Uważała ją za własność Amelii i Sławka, więc nie mogła czuć się tam u siebie. Nigdy też nie zakładała, że zostanie z nimi na zawsze, a w miarę jak zbliżał się powrót pana kapitana, zaczynała coraz częściej myśleć o wynajęciu jakiejś kawalerki. Nie przypuszczała, że szwagier zrobi jej tak miłą niespodziankę. „Tak, to było rozsądne, że nie wrzuciłam go do najniższej szuflady” – pochwaliła samą siebie. Zdawała sobie sprawę, że Sławek był daleki od dobroczynności, ale miała to w nosie. Nie przejmowała się również gadaniem Kamila, który nakłaniał ją, by podbiła stawkę o sto tysięcy.

– Zobaczysz! Bez szemrania dorzuci stówkę, byleby wreszcie położyć łapę na tej chacie. To jest cwany lis, a ty zachowujesz się jak głupia gaska – powtarzał, ale i to miała w nosie.

Nie chciała wojny. Chciała świętego spokoju, a ofiarowana przez szwagra suma była wystarczającą gwarancją spełnienia jej marzeń. Starła się to wytłumaczyć ojcu, kiedy spotkali się na konspiracyjnej kawie. Bernard niby przyjął do wiadomości jej argumenty, ale ani myślał o wszystkim zapomnieć.

– Ja mu i tak jeszcze wygarnę! – odgrażał się wojowniczo. – Niech no tylko się z nim spotkam! Cwaniakowata przybłęda! Czterytoma tysiącami się wykpił! Czegoś ty mi o tym wcześniej nie powiedziała, tylko do notariusza polazłaś jak cielę do rzeźni?

– Nie chcieliśmy was niepotrzebnie denerwować. Co by to dało?

– Jak to co?! – kipiał Bernard. – Zaproponowałbym mu identyczny układ: dałbym czterysta tysięcy i siedem dni na wyniesienie się z mojego domu!

– Tato, o czym ty mówisz? Przecież nie masz czterystu tysięcy... – Wika uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek. – Trafiłeś szóstkę w totka?

– Nie trafiłem. Ale mieszkanie byśmy z matką sprzedali i wprowadzili się do was. A tego chama bym spakował, wyrzucił za drzwi i psami poszczu! Zobaczysz, że ja mu to jeszcze powiem!

Wiktoria nie czuła się jednak ani jak głupia gaska, ani jak cielę zaprowadzone do rzeźni. Wiedziała swoje i kawałeczkiem serca lubiła Sławka za to, co zrobił. Była pewna, że gdyby nie miał tak parszywego charakteru, mogłaby kochać go szczerą rodzinną miłością i podarować mu miejsce w górnej szufladzie swojej psychoterapeutycznej komody. Wiedziała, że faceci pokroju jej szwagra są jak krowy, które nigdy nie zmieniają poglądów, ale mimo to wciąż miała nadzieję, że Sławek wzniesie się w końcu ponad oborę, i dlatego umieściła go w środkowej szufladzie. Gdyby nie ta nikła nadzieja, bez wahania zameldowałyby go w dolnej.

Wyskoczyła z łóżka. Nie mogła dłużej leżeć, rozsadzała ją energia. Trudno! Najwyżej obudzi Ankę i Kamila. Chyba nie będą źli, w końcu dzisiaj ostatni raz płacze się po ich domu.

Ledwo uchyliła drzwi, natknęła się na sforę radosnych tłustych kuleczek, które zobaczywszy ją, natychmiast oderwały się od matki i na wyścigi biegły do Wiktorii, sikając ze szczęścia po podłodze. Poglaskała wszystkie razem i każdą z osobna. Szurając ostrożnie

stopami, dotarła do wyjścia na taras i wypuściła Kolię, która odkąd została mamą, odmawiała wychodzenia poza przydomowy ogród; wyskakiwała na trawę, załatwiała, co było do załatwienia, a potem szybko wracała do szczeniąt. Czekać na powrót Koli, Wika przetarła parkiet. Nie było to łatwe, bo musiała pilnować, żeby żaden maluch nie zjadł papierowego ręcznika. Potem dłuższą chwilę baraszkowała z psiakami.

– Dosyć tego! Jazda do matki. Idę się kąpać. – Otrzeпаła piżamę i ruszyła do łazienki.
– *Game is over... Game is over... Game is over...* – Suwała stopami, żeby nie rozdeptać kłębiącego się pod nogami towarzystwa. Zamknęła się przed szczeniakami, nieczuła na tęskne skomlenie. Nie mogła ich tu wpuścić, bo łazienka nie była zabezpieczona przed atakiem wścibskich nosków i pyszczków. Wykąpała się, zagłuszając nuceniem psie piski. Kiedy wyszła spod prysznic, nie zobaczyła siedmiu nosów tłoczących się w szczelinie pod drzwiami, ale za to usłyszała Anulę.

– Zarazy jedno! Sio mi stąd, bo zaraz z was zrobię śniadanie! Kolia! – krzyczała tak głośno, że nie było wątpliwości, iż w tym domu nikt już nie może liczyć na sen. – Zabierz dzieciary! Pobaw się z nimi! Daj im klocki albo kredki... Bo ja wiem? Urodziłaś i leżysz zadowolona! Kooooliaaa!

– Nie drzyj się, bo Kamila obudzisz – zaśmiała się Wiktoria, wchodząc do kuchni. – To w sumie moja wina, że tak latają. Wstałam i je rozochociłam zabawą, ale nie mogłam już dłużej leżeć.

– Daj spokój! Wcale nie wstałaś pierwsza. Kamila od dwóch godzin nie ma w domu.
– Anula na chwilę odwróciła się od deski, na której kroїła chleb. – Ja też już dawno nie śpię, ale leżałam cicho w łóżeczku i czytałam sobie...

– A gdzie on jest?

– Pojechał na budowę. Możesz się zająć pomidorami i szczypiorkiem? Zjesz multikolorową jajecznicę?

– Na budowę? W niedzielę?! A moja wyprowadzka? – Przyglądała się pomidorom, tak jakby po raz pierwszy coś podobnego widziała. – Ja muszę się przenieść dzisiaj! Choćbym miała wszystko na własnych plecach targać!

– Nie dramatyzuj, dobrze? Bierz się do roboty i tnij, waścka!

– Ale czemu on pojechał na budowę? – dziwiła się Wika, szatkując szczypior.

– Coś się tam zapadło czy wybrzuszyło... Jakaś woda wyszła... Nie wiem dokładnie. Zrozumiałam tylko tyle, że pomiary geodezyjne były przekłamane, więc cały plan zbrojenia poszedł w cholerę.

– I w środku nocy do niego z tym zadzwonili?

– Nie w środku nocy, tylko o siódmej rano. Przez gwałtowną odwilż teren się jakoś dziwnie zachowuje... Ojej no, nie męcz mnie o szczegóły! – Anula cmoknęła niecierpliwie.

– Czy ja się na tym znam albo coś z tego rozumiem? Odebrał telefon, bluzgał jak szewc, zadzwonił do geodety i do Janka i wyszedł. Powiedział, że musi wszystko zobaczyć i dokładnie sprawdzić. Drobniej te pomidory pokrój...

– Ale dzisiaj niedziela!

– Od razu widać, że w budżetówce robisz. Tylko wy jeszcze uważacie, że niedziela to dzień wolny od pracy.

– A moja przeprowadzka?! – Wiktoria zaczęła wpadać w panikę. Nie po to rewolucjonizowała swoje życie, żeby odwlekać najważniejsze terminy i wydarzenia.

– Mówiłam, żebyś nie dramatyzowała? Mówiłam! – Anka włączyła kuchenkę i rozgrzewała patelnię. – Nie doceniasz mojego męża, kochana. Wyszedł z domu dwie godziny temu nieprzytomny ze złości, ale najwidoczniej zdążył się ogarnąć, bo niedawno przysłał mi

SMS-a, że nie wie, kiedy wróci, ale załatwił zastępstwo. Janek cię przeprowadzi. Ma tu być koło południa z furgonem.

– Janek? – Serce Wiktorii podskoczyło. – Janek jest głównym nadzorcą dewelopera. Niech sam się zajmuje budową.

– Ale to nie Janek, tylko mój Kamil odpowiada za uzbrojenie terenu. Dawaj te pomidory... Czy ty naprawdę nie masz większych zmartwień? – Anula wzięła z rąk Wiktorii deskę i zsunęła jej zawartość na skwierczące masło. – No! Podduszają się teraz... – Przykryła patelnię szklaną pokrywką. – Zrób herbaty, a ja wyrzucę na talerz jakieś wędliny i sery.

– Po cholere tego tyle? – Wika coraz bardziej się naburmuszała, ale wcale nie na sery i wędliny. – Kolia i jej szczeniaki będą z nami jadły czy co?

– Przecież to nasze pożegnalne śniadanie! Musi być uroczyście i na bogato! Zaczynasz nowe życie!

– Daj spokój. Wystarczy jajecznica. Bez przesady z tą uroczystością. – Radość, jaką czuła wyskakując z łóżka, nagle się ulotniła.

– Ej! Co tobie? – Anula zamieszała drewnianą łyżką na patelni. – O co ci chodzi? Jesteś zła, że Kamil nawalił? – Przyglądała się Wiktorii trochę zirytowana. – Zrozum go... W biznesie już tak jest... Nie chcę cię urazić i wytykać luksusu, jaki daje praca w szkole... Zarabiamy więcej od ciebie, ale za to nigdy nie możemy na sto procent liczyć na wolny weekend. Wiesz, ile razy ja nawalałam? Ile razy obiecywałam Kamilowi miłą rodzinną niedzielę, a znikalam na cały dzień, bo o dziewiątej rano zadzwonił do mnie klient znad morza i oznajmił, że...

– Przestań. Nic nie rozumiesz – przerwała Ance. – Chodzi mi o to, że same damy sobie radę. Ile ja mam rzeczy? Tyle co kot napłakał. Najwyżej obrócimy dwa, trzy razy.

– No a stare komody i witrynka? Gdzie mam je wrzucić? Na dach? A może kółka im doczepię i będę wlokła na sznurku za samochodem?

No tak... Komody i witrynka... Kiedy po kanapowym porodzie Kologii Anula podstępem wprowadziła do domu wymarzony – oczojebny, jak by powiedziała Emilka – różowy narożnik, uznała, że należy wymienić też pozostałe meble w salonie, i postanowiła unowocześnić wnętrze. Kamil rwał włosy z głowy, żałując, że domagał się zakupu nowej kanapy, ale w końcu uległ. Wika zdążyła się zorientować, że zawsze ulegał, tylko nie zawsze od razu. W kwestii nowej aranżacji salonu też potrzebował kilku dni. Żał mu tylko było przepięknych antyków. Zaproponował je Wiktorii, a ona z ochotą przyjęła prezent. Skonsultowała decyzję z siostrzenicą, która gorąco ją poparła i natychmiast wymyśliła pasujący do starych mebli wystrój: firany, zasłony, sofę, szezlong, lampę z wielkim abażurem...

– Słuchaj! – mówiła z rozpalonymi policzkami. – Jeśli pójdziemy w taki dizajn, to mega będzie ci pasował ten stary druciany manekin z mojego... to znaczy twojego pokoju. – Zaplątała się na chwilę, bo po nagłej wypowiedzi Wiktorii natychmiast przeniosła się do jej pokoju i wciąż miała problem z określeniem, czyj on właściwie jest. – Ten z drutów, co go czarną, ale nie młotkową farbą tuningowałyśmy. Obwiesimy go szalami z piór i zarzucimy wielkim kapeluszem. Ale będzie odjazd! I fajna pamiątka z rodzinnego domu. Taki nostalgiczny performance nam wyjdzie... Salonik będziesz miała wyczesany lepiej niż pani Bovary. Zaufaj mi!

– Czytałaś Flauberta? – zdumiała się Wiktoria.

– Kogo?! – dziewczyna zdumiała się jeszcze bardziej.

– Skąd znasz *Panią Bovary*?

– Jak to skąd? Jest taki nurt w dizajnie, bowaryzm. Pokój à la pani Bovary to

pomieszczenie, w którym czuje się tęsknotę za nierealnym. Wchodzisz i wiesz, że ten, kto tam mieszka, odgradza się od brzydoty świata – tłumaczyła fachowo Emilka. – Trochę nierealne fantazje, duża emocjonalność, lekkie nieprzystosowanie do rzeczywistości, wybujałe marzenia, sentymentalizm...

– Aha... – Wika nie była w stanie wykrztusić nic więcej.
– A ten Faber to jakiś dizajner jest? Co on ma wspólnego z bowaryzmem?
– Nie Faber, tylko Flaubert – poprawiła siostrzenicę, chociaż chwilowo czuła się od niej znacznie głupsza. – Taki francuski pisarz. To on wymyślił panią Bovary.
– Francuski pisarz? A do czego on pisze? Do „Elle”? Do „Vogue”? Bo jakoś nie kojarzę...

Niezależnie od luk w dizajnowej edukacji Wiktoria cieszyła się na bowarystyczny pokój. Wiedziała, że we wnętrzu odgradzonym od brzydoty świata będzie się czuła doskonale, i ani myślała zaprzeczać, że jest sentymentalna, nieprzystosowana do rzeczywistości i ma wybujałe marzenia oraz nierealne fantazje. Tym chętniej zgodziła się wziąć na Swaróżyca antyki Anki i Kamila. Ale jeśli ma je przewozić Janek? Ooo, nie! Nie ma takiej opcji! Co jak co, ale do pierwowzoru pani Bovary jej daleko!

– Nie musisz wrzucać komód na dach i wlec witryny na sznurku za samochodem.
– Wzruszyła ramionami, chociaż Anula nie mogła tego widzieć, bo znowu mieszła pomidory.
– Najwyżej zostaną u was.
– Wiesz co? Zaczynasz mnie... hmmm... irytować?! Czemu się tak stroszysz?
– Przyjaciółka huknęła pokrywką o patelnię. – Kamil naprawdę pewnych rzeczy nie jest w stanie zaplanować. Bardzo chciał ci dzisiaj pomóc, ale wyszło, jak wyszło. – Rozłożyła bezradnie ręce.
– Takie jest życie. Nie zachowuj się jak księżniczka na ziarnku grochu!
– Ale mi nie chodzi o Kamila, tylko o Janka! – wykrzyczała desperacko Wiktoria. – Nie chcę go tu! Rozumiesz?!
– O Janka? A co on ma z tym wspólnego?! – Anula tylko przez chwilę patrzyła na Wiktoria ze zdziwieniem. Po kilku sekundach uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Halo! Czy ja o czymś nie wiem? – Ponieważ nie doczekała się odpowiedzi, zaczęła mówić niby sama do siebie. – Kamiś wspominał, że czarowałaś go, jak mogłaś, i tylko dzięki twoim gierkom Janek dał mu tę robotę. Kazał mi do ciebie na nauki chodzić, bo podobno w kwestii ogłupiania chłopów przy tobie jestem piccolo. Hmmm... czyżby mój Kamiś czegoś nie zauważył?
– Z całym szacunkiem, twój Kamiś jest ślepy!
– Wypraszam sobie. Chociaż... – Anka drapała się po głowie. – Może i masz rację?
W kwestiach damsko-męskich ma subtelność kafara. Czyli co?
– Gównu! – burknęła Wiktoria. – Wcale nie czarowałam Janka i żadnych gierek nie skuteczniałam. Normalnie z nim rozmawiałam. Tyle że za długo to trwało i...
– I się zakochałaś! – Kłasnęła Anula, wyraźnie zachwycona swoim niespodziewanym odkryciem.
– Nie przesadzaj. Zaraz „zakochałaś”! Nie można się zakochać w minutę. Ale coś mi się głupiego we łbie uroiło. Na szczęście mam to już za sobą i ani mi się śni więcej z nim spotykać. Chyba że na zebraniach w szkole. Dobrze się składa, że bardzo rzadko na nie przychodzi.
– Ależ można zakochać się w minutę! – Przyjaciółka uśmiechnęła się błogo. – Ja w Kamisiu zakochałam się w piętnaście sekund! Jak tylko go zobaczyłam, to wiedziałam, że albo on będzie moim mężem, albo ja będę starą panną. Chemia, moja droga, chemia!
– Ale chemia jest jak tango – westchnęła niechętnie Wiktoria. – Trzeba dwojga.

– Ty mi tu nie parafrazuj, tylko opowiedz po kolei. Jak to było?

Zrelacjonowała więc wszystko od początku: pierwsze spotkanie z rodzicami; wyjazd Boba Budowniczego na Śląsk; liczne telekonferencje w sprawie zaległości Martynki; niespodziewane pojawienie się Janka w ich domu; list do Świętego Mikołaja; telefon, po którym spodziewała się cudów, a usłyszała tylko, że Martynka złapała wirusówkę; płacz pod prysznicem i terapię komodą.

– A potem twój Kamil zaczął truć, żebym zadzwoniła do Boba Budowniczego, bo podobno bardzo o mnie wypytywał – zakończyła. – Wyobrażasz sobie?!

– Ciekawe, czemu nic mi o tym nie powiedział? Porozmawiam sobie z nim przy najbliższej okazji... – Anula zadumała się na chwilę, grzebiąc w multikolorowej jajecznicy, ale szybko wróciła do tematu. – No i co? I co? Zadzwoniłaś do niego?

– Ty chyba na głowę upadłaś – prychnęła Wiktoria. – Oczywiście, że nie.

– Dlaczego? – Trudno było powiedzieć, czy w głosie przyjaciółki przeważało zdziwienie, czy rozczarowanie.

– Albo jesteś tępa, albo nie dosłyszałaś. On siedzi w środkowej szufladzie, więc nie ma takiej opcji, żebym zabiegała o jego względy!

– Ewidentnie coś cię nawiedziło z tymi szufladami. – Anula uśmiechnęła się do niej jak do wariatki. – Daj sobie spokój z komodą. Nie obraż się, ale uważam, że to idiotyczne. Bo co teraz? Wykasujesz numery tych z dolnej szuflady, telefony od tych ze środkowej łaskawie odbierzesz, a tych, co są w górnej, zadręczysz troskliwym wydzwanianiem? Tak się nie da! To jakiś obłęd!

– Być może dla kogoś, kto ma poukładane życie, jest to idiotyczne, ale dla mnie nie. Nawet nie wiesz, jak dobrze mi to pozamykanie ludzi w szufladach zrobiło. Do tej pory żyłam w potwornym chaosie: latałam bez celu i kręciłam się jak chomik w kołowrotku. Nie wiedziałam, dokąd idę. Nie wiedziałam, co robić, skupiałam się na tym, żeby nikogo nie urazić i odpokutować spędzone z Pawłem lata... I według mnie to był znacznie większy obłęd niż ten z komodą.

– Wiktoria patrzyła nieustępliwie na przyjaciółkę. – Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale ja teraz naprawdę żyję trzy razy spokojniej. Przede wszystkim przestałam się bać i wreszcie nie czuję się jak zupełne zero. Nauczyłam się normalnie reagować na sytuacje i na ludzi. Nie wpadam w panikę, kiedy dzwoni do mnie matka. Kiedyś dostawałam drgawek, jak wyświetlał mi się jej numer. Trzęsłam się i leciałam na każde zawołanie tylko po to, żeby wysłuchiwać, jaka jestem stara, beznadziejna i niewdzięczna. A odkąd zatrzasnęłam ją w komodzie, przestałam się trząść, i chociaż ona dalej gada swoje, mam to gdzieś! Nawet z nią nie dyskutuję. Wysłuchuję marudzenia i grzecznie się rozłączam. Ktoś, kto mieszka w środkowej szufladzie, nie będzie mnie oceniał i mi doradzał, a jego zdanie kompletnie się dla mnie nie liczy. Matka nie wmówi mi, że jestem stara i beznadziejna! Proste? Proste... – Wiktoria przycichła, wzrok jej nieco złagodniał, a na ustach pojawił się nikły uśmiech. – Być może kiedyś, za jakiś czas, jak już wszystko się ułoży, i w moim życiu, i w głowie, to dam sobie spokój z komodą, ale nie teraz. Wiem, że możesz tego nie rozumieć, ale to jest naprawdę genialny patent dla kogoś, kto pogubił się tak jak ja.

– No dobra, staram się zrozumieć. – Kiwnęła głową Anula. – I uważam, że zatrzaśnięcie twojej matki w środkowej szufladzie to genialny pomysł. Zawsze była toksyczna. Bardzo dobrze, że przestałaś się nią przejmować. Ale dlaczego tak samo chcesz traktować Janka? Jeśli już musisz tak radykalnie porządkować świat, to błagam – złożyła ręce – wrzuc go do górnej szuflady. Nie przekreślaj go.

– Ja go nie przekreślam. – Wika pokręciła głową. – Problem w tym, że teraz to od niego, a nie ode mnie zależy, w której szufladzie wyląduje. Może w górnej, a może w dolnej? Zobaczymy... – Podniosła się zza stołu i zaczęła zbierać brudne talerze.

– Zostaw to! Siadaj i posłuchaj. Dobrze? – poprosiła Anka. – Ja co nieco o Janku wiem. On jest bardzo skryty i zamknięty w sobie, ale czy ty masz pojęcie, co przeżył? Nie dziw się, że jest lekko zdziczały i raz zachowuje się tak, a raz inaczej. Wczuj się w jego sy...

– Daruj sobie! – Krzesło Wiktorii szurnęło po kaflach, omijając na szczęście baraszkuje po podłodze psiaki. – Nie będę się wczuwać w niczyją sytuację! Mam powyżej uszu wczuwania się! Też swoje przeżyłam, ale nigdy nie wymagałam, żeby traktowano mnie jak kryształowy wazonik! A teraz mówię dość! Rozumiesz? Mam potąd! – Przejechała ręką na wysokości czoła. – Mam potąd zamkniętych w sobie facetów i uczuciowych inwalidów! Niech wy... – Dalszy ciąg przekleństwa zagłuszyły trzaskające drzwiczki zmywarki. – Koniec!!! – Wika w najwyższym skupieniu ustawiła programator, a potem odwróciła się do Anuli i dorzuciła już spokojnie: – Nie potrzebuję zaradnego macho ani zimnego dowódcy. Potrzebuję faceta, który by do mnie mówił, który by mnie rozumiał, który by mnie przytulał... Niby niewielkie wymagania, prawda? A jednak... Zrozum... – westchnęła bezradnie. – Marzę tylko o jednym: żeby ktoś wreszcie mnie po prostu kochał. Bez tych wszystkich kretyńskich korowodów i gier.

Anka milczała, na zmianę rolując lnianą serwetkę i ją rozwijając.

– Okej, niech będzie... – odezwała się w końcu. – Może nie do końca cię rozumiem, ale odpowiedz mi teraz na jedno pytanie.

– No?

– Dlaczego człowiek ze środkowej szuflady nie może tu przyjechać i cię przeprowadzić? Olej go! Przecież olewasz środkową szufladę. Bądź zatem konsekwentna i miej Janka w głębokim poważaniu.

– Ale on mnie wkurza i nie mam ochoty go oglądać – burknęła Wiktoria.

– Czyli nie jest w środkowej szufladzie? – zapytała Anula ironicznie. – Więc co? Górna czy dolna? Zdecyduj się.

– Środkowa!

– Skoro tak mówisz... – Anka starała się wyjść z kuchni, odsuwając stopą szczenięta.

– Skoro tak mówisz, to trzeba chłopca olać i szykować się do przeprowadzki. Idź, zaklej taśmą drzwiczki witryny. Janek jest całkiem jak mój Kamiś: będzie zrzędził, że nie zabezpieczyłyśmy mebli.

– Ale...

– Żadne „ale”! Wystarczy tych twoich „ale” jak na jeden dzień. Chcesz się przeprowadzić czy nie?! – Przyjaciółka spoglądała na Wiktorię wojowniczo. – Zrozum, albo skorzystamy z pomocy Janka i zamieszkasz dzisiaj na Swarżycy, albo zostaniesz u nas przynajmniej jeszcze na tydzień. Przemyśl spokojnie tę alternatywę, a ja w tym czasie wezmę prysznic i upodobnię się do człowieka, okej?

Kiedy wróciła z łazienki, zastała Wikę pakującą kartony z książkami. Na podłodze siedziała Emilka i zanosila się śmiechem. W trzymaną przez nią rolkę po szerokiej taśmie wbiły się zębami dwa szczeniaki. Dzielnie walczyły o nową zabawkę, nie puszczały nawet wtedy, kiedy dziewczyna unosiła rolkę i dyndały łapkami nad ziemią.

– Cześć, mała. Widzę, że zerwałaś się skoro świt, żeby pomóc ciotce? Co tam słyhać? Co w domu?

– Cudownie! – Emilka wydeła umalowane usta. – Jak wstałam i zesłam na dół, to

zobaczyłam, że mama śpi w salonie na kanapie. Pewnie w sypialni było jej za gorąco, co nie? – zapytała prowokacyjnie. – Albo może materac za twardy? Jak myślicie?

– Zostaw te psy i weź się do roboty. – Wiktoria wyjęła z jej rąk rolkę. Potoczyła ją po podłodze w kierunku Koli, cmokając zachęcająco. – Pobaw się trochę ze swoimi dziećmiakami. My nie mamy czasu. – Parsknęła, patrząc, jak rolka w połowie drogi znika w bezładnym kłębowisku siedmiu pyszczków, czternastu uszek i dwudziestu ośmiu łapek. – Ale będzie mi ich brakowało... – westchnęła.

– Dzięki! – obruszyła się Anka. – Szkoda, że o mnie tego ani razu nie powiedziałaś.

– No to mamy floł, bo o mnie też nie.

– Zoły jesteście. Przecież wiecie, że was kocham. Bezwarunkowo! – Wika wyszczerzyła do nich zęby. – Kocham was, chociaż jesteście dużo brzydsze od szczeniaków. I czasami mnie wkurzacie do granic.

– I vis-à-vis! – Emilka podniosła się z podłogi. – To co mam robić? – Wyprężyła się jak struna, salutując przed ciotką.

– Idź do mojego pokoju. Powynoś, proszę, wszystkie wory, pudła i kartony, które tam stoją. Sprawdź, czy nie zostało coś w szafkach. Przeglądałam je sto razy, ale mogło mi coś umknąć.

– Nawet jeśli umknęło, to podrzucę ci kiedyś albo sama wpadniesz – uspokoiła ją Anula, a potem krzyknęła za oddalającą się Emilką: – Do przedpokoju wynoś! Zaraz ci pomożemy, tylko Kolię ze szczeniakami zamknijemy w kuchni, bo te diablęta porozrywają wszystko na strzępy.

Wbrew temu, co mówiła Wiktoria, rzeczy miała znacznie więcej, niż kot napłakał. Wprawdzie kiedy wyprowadzała się od siostry, jej dobytek zmieścił się w samochodzie Anki, ale od dnia zakupu mieszkania na Swarożyca codziennie znosiła do domu nowe zdobycze, znajdowane z siostrzenicą zarówno w najlepszych sklepach, jak i na brudnych polowych łożkach pchlego targu – bowaryzm nie był wcale taki prosty, jak jej się na początku wydawało...

Przez godzinę układały wszystko w przedpokoju, a gdy zabrakło miejsca, wytargały pakunki do garażu, doszedłszy do słusznego wniosku, że tak będzie nie tylko lepiej, ale i wygodniej.

– Chwała Bogu, że mój Kamiś tego nie widzi – stękała Anula, dźwigając ciężki wór pełen bowarystycznych bibelotów. – Jak go znam, to dociekałby złośliwie, dlaczego od razu na to nie wpadłyśmy i czemu zaniósłszy te tobołki najpierw do przedpokoju, a dopiero potem do garażu. On zadaje czasami tak głupie pytania, że ręce opadają!

– Tylko niech ci teraz nie opadną, bo w tym worku jest odjechany zegar z mosięzną baletnicą. – Emilka szła tuż za nią z manekinem przypominającym skrzyżowanie seksbomby z klatką na ptaki. Przywiozła autobusem, wzbudzając niezdrową sensację.

– Postaw tego manekina gdzieś z boku. Ma tak delikatne druciki, że musi leżeć na samym wierzchu. A jak... – Wiktoria nie dokończyła, bo usłyszała podjeżdżający samochód.

– O, jest Janek! – Anula rzuciła wór na ziemię, nie troszcząc się o drogocenny zegar z baletnicą, i pobiegła do bramy.

– Widzę, że wszystko przygotowane? No, brawo, dziewczyny! – Bob Budowniczy wyskoczył z szoferki. – Bardzo dobry pomysł, żeby znieść to do garażu. Z góry przepraszam, że was nie doceniłem. Byłem pewien, że zawalicie cały przedpokój i trzeba będzie z każdym kartonem latać po schodkach z ganku do samochodu.

– No wiesz? Aż takie głupie to nie jesteśmy. – Ance nawet powieka nie drgnęła. – Ale

przeprosiny przyjmujemy. A na przyszłość prosimy o bardziej sprawiedliwą ocenę naszego intelektu oraz zdolności organizacyjnych.

– Oczywiście! Obiecuję poprawę. – Uśmiechnął się, patrząc na trzy dzielne, mądre i doskonale zorganizowane kobiety. Zatrzymał wzrok na Emilce. – My się nie znamy... – Podał jej rękę. – Janek – przedstawił się. – Dla przyjaciół Bob Budowniczy.

– Mam mówić „panie Bobie”? – Dziewczyna wykonała coś na kształt nieporadnego dygnięcia. – Ja jestem Emilka. Dla wrogów Emalia.

– Miło cię poznać, Emilko – mocno zaakcentował ostatnie słowo. – Mów do mnie, jak ci wygodnie i jak chcesz. „Pana” możesz sobie darować, ale jeśli jestem za stary na brak szacunku, to też jakoś przeżyję. A do niej jak się zwracasz? – Spojrzał na stojącą obok Wiktorię i już nie odrywał od niej wzroku. – Po imieniu czy per „ciociu kochana”?

– Generalnie po imieniu. Chyba że mi się hejter włączy. Bo czasami to ona potrafi tak dowalić, że tylko ją udusić. Na przykład kilka dni temu zrobiła mi przepierkę sumienia, bo podobno nie tak z bratem gadałam i dałam ciała na całej linii, bo podobno powinnam... hmmm... Nieważne! – Emilka zamilkła, widząc, że nikt jej już nie słucha.

– Cześć. Byłem ciekaw, jak wyglądasz w nowej fryzurze.

– Skąd wiedziałeś, że obcięłam włosy? – Wiktoria czuła, jak pałą ją policzki.

– Bo Martynka obcięła frędzle mopa. Ale na szczęście wyglądasz znacznie lepiej od niej. To znaczy od mopa. Od obciętego mopa lepiej – płątał się rozpaczliwie. – To znaczy, chciałem powiedzieć, że wyglądasz bardzo ładnie.

– Ja pierdzielę! Adorator, że pierwsza liga kuca... – mruknęła Emilka, pomagając Ance zawiązać niebieski worek z precjozami wynalezionymi na łózkach polowych. – Z kim on tego dzieciaka ma? Chyba z jakąś głuchą?

– Ciszej – syknęła Anula, ledwo zachowując powagę.

– Chciałam ci podziękować, że przyjechałeś. – Wika nie słyszała ani siostrzenicy, ani przyjaciółki. W zasadzie w ogóle mało co słyszała, bo szumiało jej w uszach. – Powinieneś z córcią dzisiaj siedzieć... niedziela przecież...

– Jest u dziadków.

– Aha... Mimo wszystko dziękuję...

– Nie ma za co. Cieszę się, że mogłem pomóc Kamilowi.

– No tak... W takim razie dziękuję w imieniu Kamila...

– Naprawdę drobiazg. Nie ma o czym mówić.

– Aha... No to zacznijmy pakować, co? – Odwróciła się i spojrzała na zgromadzone w garażu tobołki. – Można je wrzucać jak leci, tylko ten niebieski worek i manekin muszą iść na samym końcu. – Złapała pierwszy z brzegu karton i wepchnęła go Jankowi w ręce. – Może zrobimy tak, że ty wejdiesz na pakę i będziesz od nas odbierał rzeczy i jakoś logicznie je układał? – Omiotła wzrokiem to, co zniosły do garażu, a potem zajrzała do wnętrza furgonu. – Powinniśmy się bez problemu zmieścić.

– Dobrze. Ale proponuję najpierw zapakować meble. – Bob Budowniczy odłożył pudło na ziemię. – Emilka, pomożesz mi? Ja wezmę witrynę od dołu, a ty złapiesz ją z drugiej strony. Dasz radę?

– Człł – odpowiedziała nastolatka, wruszając ramionami.

– Że co?

– Mówi, że da radę. – Anula poklepała Janka po ramieniu. – To pakujcie, a my przysuniemy resztę mebli...

Po kilkudziesięciu minutach załadowany po brzegi furgon ruszył spod domu. Pilotował go prowadzony przez Ankę samochód z Wiktoria i Emilką na tylnym siedzeniu.

– Ciociu kochana, o co cho z tobą i z Bobem? Lecisz na niego? – Siostrzenica szturchnęła Wikę, nie bawiąc się w zbędne ceregiele. – Bo on patrzy na ciebie jak wół na karetę... Chociaż muszę przyznać, że lover to na razie hula między wami gorzej niż Wi-Fi w Bieszczadach! Podoba ci się?

– Może trochę... – odpowiedziała Wiktoria po dłuższym namyśle. – Albo może nawet trochę więcej niż trochę.

– No to co wy wyprawiacie?! – Emilka nie po raz pierwszy miała problemy ze zrozumieniem tego pokręconego pokolenia i modliła się w duchu, żeby na starość też jej się tak nie porobiło. – Zaproś go na kawę, poproś, żeby meble ci pomógł ustawić, wymyśl, że na gwałt jakiś karnisz trzeba zamontować... Najwyżej się go potem zdejmie i zaspachluje dziury... A my z Anulą powiemy, że nas głowy nagle rozbolały i się wyautujemy zaraz po wniesieniu całego majdanu. Anula! Nie boli cię głowa? – Emilka wychyliła się za oparcie fotela. – Bo mnie jakby zaczyna łupać w skroniach...

– Wiesz, mała, że mnie też? Z każdym kilometrem bardziej... – zachichotała Anka, spoglądając w lusterko wsteczne, żeby sprawdzić, czy nic nie rozdzieliło ich z furgonetką Janka. Przy okazji złapała spojrzenie Wiktorii i wesoło do niej mrugnęła.

– Ani się ważcie! – Chociaż Wika mówiła poważnie, nie mogła powstrzymać śmiechu. – Bob przewiezie nam majdan i mu grzecznie podziękujemy. A jeśli bolą was głowy, to skoczę szybko do apteki.

– Dzisiaj niedziela. Apteki zamknięte...

– I tu się mylisz, moja kochana! – zakrzyknęła triumfalnie Wiktoria. – Apteka na placu Popiela jest zawsze otwarta. Zaledwie pięć minut drogi od mojego nowego mieszkanka... Ha! Mówiłam ci od początku, że to idealna lokalizacja. – Spojrzała na Emilkę, która długo nie mogła pogodzić się z wyborem ciotki. – Park, Wały Chrobrego, teatr, tramwaje... i czynna przez cały tydzień apteka. Że o całodobowych sklepach monopolowych na każdym rogu nie wspomnę.

– Dziwne nie jest – prychnęła siostrzenica. – Gdyby w tej dzielnicy zamknęli monopole chociaż na godzinę, to doszłoby do zamieszek.

– Przesadzasz, jak zwykle. – Wika rozczochrała jej włosy. – Byłam tam już nieraz i za każdym razem wracałam bardziej zachwycona. Nie tylko mieszkaniem, ale i dzielnicą. Bardzo sympatyczni ludzie. Niektórzy mnie już poznają, uśmiechają się, mówią „Dzień dobry, sąsiadko”. Jeszcze się nie wprowadziłam, a już czuję się jak u siebie.

– Spoko. Twoja biografia, twój wyrok... A co będzie z Bobem?

– Nic. A co ma być?

– Powiedziałas, że ci się podoba. – Emilka wciąż miała wrażenie, że ciotka nie mówi jej wszystkiego i zbywa ją, jakby była uczennicą z pierwszej A. Coraz bardziej ją to irytowało.

– Zostawisz to tak?

– Zostawię. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Może coś, a może nic? – W głosie Wiktorii nie było już żadnych emocji. – Sprawdziłaś, czy nie zostawiłam czegoś w szafkach?

– A jak myślisz, mojej mamie było za gorąco w sypialni czy materac był za twardy, że spała dzisiaj w salonie?

– Nie rozumiem... Co to ma do rzeczy?

– Że mam dość traktowania mnie jak debila! – Emilka odwróciła się plecami i zaczęła z ogromnym zainteresowaniem obserwować mijany krajobraz.

Wiktoria wbiła wzrok w przeciwległą szybę. Trochę dręczyło ją sumienie, ale była pewna, że nie może rozmawiać z nastolatką jak z koleżanką. Uważała, że nie powinna obciążać jej swoimi życiowymi dylematami, tak jak obciążała Melę czy Ankę. Bała się, że mogłaby tym pokaleczyć młode serce, wierzące jeszcze w prostotę i oczywistość świata. Niech Emilka zbiera własne doświadczenia i daj Boże, żeby były inne niż te, które zebrała Wiktoria...

Patrzyła w okno, ignorując ostentacyjne dąsy siostrzenicy. Samochód mijał właśnie Park Żeromskiego, były coraz bliżej celu. „Ależ Cykoria będzie miała miejsca do biegania” – cieszyła się Wika, pilnując, żeby na jej twarzy nie wykwitł zbyt szeroki uśmiech, który mógłby zdenerwować rozsierdzoną Emilkę. Kiedy przyjdzie wiosna i wszystko się zazieleni, będzie tu z nią przychodziła i rozkładała się z kocem na trawie. Pies się wyhasa, ona wystawi twarz do słońca albo poczyta książkę... Potem pójdą razem na Wały. Cykoria wskoczy do fontanny i zapewne długo nie da się z niej wywlec. W końcu to labrador... Jak już nacieszy się fontanną, zjedzą razem obiad w Colorado albo w Columbusie, albo w Chrobrym, albo w Porto Grande – mało istotne gdzie, bo każda z tych knajp ma cudny widok na nabrzeże i ogródek, do którego wpuszczają je obie... Jeżeli Cykoria wda się w mamusię, jeśli chodzi o apetyt, to trzeba będzie zamówić dwa obiady... Obojętnie jakie... Kolia zżerała przecież wszystko, jakby była śmieciarką, a nie psem. Kiedy pewnego razu zbyt nachalnie domagała się poczęstunku, Wiktoria postawiła na podłodze słoiczek z musztardą. Była przekonana, że to ostudzi psią namolność, ale zanim zdążyła się wyprostować, słoiczek był pusty i wylizany od dna aż po gwint... Jeśli Cykoria wda się w matkę, to będą mogły wiosną usiąść w knajpie na Wałach i zamówić dwa talerze gulaszu węgierskiego albo kapuśniak, albo szaszłyk... Ależ będzie pięknie!

A Janek? Chwilowo wołała snuć wizje z psem w roli głównej, bo w tym momencie życia dużo bardziej ufała sikającym po podłodze szczeniętom niż mężczyznom. Pies na pewno będzie ją kochał: zawsze, całym sercem i bezwarunkowo. A faceci? Ktoś kiedyś powiedział: „Faceci są jak plemniki: człowiekiem staje się jeden na milion, i to tylko w sprzyjających okolicznościach”. Nie chciała ryzykować, wołała unikać przegranej. Za dużo tego było... Kolejna porażka mogłaby ją zabić, a ona planowała coś odwrotnego – zmartwychwstanie! Postanowiła więc zostawić wszystko losowi i Bobowi Budowniczemu. Skorzysta z tymczasowego meldunku w środkowej szufladzie czy zmusi Wiktorię do eksmitowania go na niższe piętro? Co będzie dla niego ważniejsze: niezależność czy miłość? Wybierze gierki i zabawę w przeciąganie liny czy będzie mówił szczerze, co czuje i co myśli? Co zrobi z szansą, którą mu dała?

Anula zaparkowała na Swarożycza, tak gwałtownie puszczając sprzęgło, że wszystkie podskoczyły na siedzeniach. Dobrze im to zrobiło, otrząsnęły się z rozmyślań.

– Dobra! Traktuj mnie jak debila. – Siostrzenica uśmiechnęła się pojednawczo. – Ale powiedz, że tego tak nie zostawisz. Że będzie jakiś dalszy ciąg.

Wika wpatrywała się w odnowioną elewację budynku i w odrestaurowaną starą bramę z wreszcie własnym adresem. Nigdy nie była na wojnie ani na zesłaniu, nigdy nie żeglowała w poszukiwaniu nowych kontynentów – ale rozumiała teraz, co czuje wracający z misji żołnierz, żeglarz, który widzi rodzimy ląd, i zesłaniec, który po latach wraca do ojczyzny.

– Zawsze jest jakiś dalszy ciąg, mała... Tylko trzeba być cierpliwym. I wierzyć w ludzi...